Inches
Centimetres
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Grey Scale #13
R G B WH GR BL C M Y K
A
B

O WYCHOWANIU MACIERZYŃSKIÉM.

O WYCHOWANIU

MACIERZYŃSKIÉM

PRZEZ

ZOFIĄ KOWERSKĄ.

Dzieło premijowane na konkursie przez Redakcyją „Bluszczu“ ogłoszonym.

WARSZAWA.

Nakładem **Michała Glücksberga**, księgarza.

1881.

2

Дозволено Цензурою.

Варшава, 3 Декабря 1881 года.

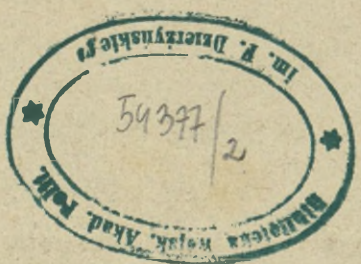

Druk J. Ungra, Warszawa, Nowolipki Nr. 3.

Od Redakcyi Bluszczu.

Redakcya *Bluszczu*, pragnąc matkom dać w rękę odpowiedni w wychowaniu dzieci przewodnik, któryby, traktując przedmiot wszechstronnie, oparty był zarazem na naukowych zasadach; ogłosiła w roku 1874 konkurs na napisanie dzieła pod tytułem: „**O wychowaniu macierzyńskiém**" i termin ostateczny do nadesłania rękopismów, naznaczony na d. 1 Kwietnia 1875 r.; przedłużyła następnie, dla umożliwienia większego współzawodnictwa, do d. 1 Stycznia 1876 r.

Gdy jednak z nadesłanych *czterech* prac, ówczesny komitet konkursowy nie uznał żadnéj za odpowiadającą wymaganiom programatu, a tém samém kwalifikującą się do nagrody; przeto Redakcya *Bluszczu* zmuszoną była poraz drugi rzeczony konkurs ogłosić, naznaczając d. 1 Kwietnia 1879 r., jako termin ostateczny do nadsyłania rękopismów.

Tym razem, z nadesłanych prac *ośmiu*, komitet konkursowy po odczytaniu rękopismów, uznał *trzy* prace za kwalifikujące się do ściślejszego rozbioru, mianowicie:

1) Opatrzoną epigrafem z Goldsmith'a,
2) Z godłem: „Bona fides" — i nakoniec:
3) Z godłem: △ (trójkąt).

Gdy ostatnia z tych prac, zarówno przez rozległe traktowanie przedmiotu, jako też umiejętne stosowanie wyników wiedzy pedagogicznéj i doświadczenia życiowego do potrzeb społe-

czeństwa, w zupełności odpowiadała wymaganiom, nakreślonego przez Redakcyją *Bluszczu* programu; przeto komitet konkursowy na posiedzeniu swém w d. 30 Grudnia 1879 roku odbytém, jednozgodnie przyznał nagrodę jéj autorce, którą, po rozpieczętowaniu koperty, okazała się być, pani *Zofija Kowerska*.

Do składu komitetu konkursowego wchodziły następujące osoby: pp. *Kraków Paulina*, *Sikorska Jadwiga*; oraz pp. *Chmielowski Piotr*, *Łagowski Floryjan*, *Plenkiewicz Roman i Struve Henryk*.

PRZEDMOWA.

„Czego brak dziewczętom francuzkim do dobrego wychowania?" — zapytał Napoleon I-szy pani Campan, osoby, która wielkie na polu wychowawczym położyła zasługi. — „Matek" — odpowiedziała.

Matek — któreby umiały wychowywać dzieci! Oto jednogłośne wołanie we wszystkich krajach, we wszystkich społeczeństwach. Czem są bowiem rodziny, czém są matki—tém są obywatele kraju, tém są kobiety w ogóle. Ich czyny — to plon: zasiew rzuciły matki.

Być szafarzem bożego ziarna dla dusz dziécięcych, walczyć miłością, zdobywać nią serca dla cnoty i nie uchylać się od żadnych trudów i pracy dla ukochanych, czy może być wznioślejsze powołanie, szczęście większe i czystsze? Te matki, które go gdzieindziéj szukają, to ślepe duchem istoty, niegodne słodkiego matek imienia. Czynność ich tylko ujemna; mają dzieci z ciała, lecz nie mają ich według ducha; obca ręka, obce wpływy wychowują synów i córki tych nieszczęśliwych. Dzieciom, które osierocają moralnie, należy się litość, ale ratunek ich jest niepodobny: tu działa przypadek jedynie.

Nietylko im wszakże ratunek jest potrzebny: czekają go nasze dzieci, dzieci matek kochających i poświęconych, tych, co całe niebo dobrych chęci składały w pracy macierzyńskiéj. One chcą, pragną, kochają — ale nie wiedzą. Niczego im nie brak, tylko kierunku do pracy troskliwéj, tylko przetarcia oczu do jasnego spojrzenia, tylko zamienienia miękkiego złota dobrych chęci w hartowną stal woli.

W imię miłości cóż może się stać niepodobném?

Zebrane w niniejszéj pracy wskazówki są owocem usiłowań rozświecenia jednéj, pojedyńczéj ścieżki życia, usiłowań któremi także miłość kierowała. Podzielenie się wynikiem ich z szerszą publicznością jest tylko skróceniem drogi tym matkom, które same dojśćby mogły do podobnych wniosków. Trochę doświadczenia własnego, a więcéj pracy nad dziełami innych: oto podstawa téj książki. Nie zawiéra ona w sobie nowości i za nią się nie ugania; pragnie tylko przynieść wskazówki pewne tym matkom, którym zajęcia lub brak sposobności nie pozwoliły na poszukiwania własne.

ROZDZIAŁ I.

Obowiązki matki zaczynają się przed urodzeniem dziecka. Matka wiele może dla zdrowia swych dzieci. Wpływ zachowania się matki ciężarnéj na dziécię, które nosi w łonie.

Obowiązki matki względem dziécięcia zaczynają się jeszcze przed jego urodzeniem. Przez cały dziewięciomiesięczny przeciąg czasu, w którym je piastuje w swém łonie, jest ona tak nierozerwalnie z niém związana, iż jedno życie, jedna krew płynie w obojgu. Zachowaniem się swojém, może się ona przyczynić do wyposażenia małéj istoty, którą na świat ma wydać, zdrowiem i siłą, oraz zapewnić jéj warunki szczęśliwego życia, w prawidłowo zbudowaném ciele.

Wprawdzie nie jest ona w tym razie wszechmocną; ale nie jest téż zupełnie pozbawioną możności działania. Niezawodną jest rzeczą, że gdyby każda kobiéta, zostająca w stanie błogosławionym, pragnęła wydać kwitnące siłą i zdrowiem dziécię; gdyby chciała już wtedy żyć dla niego; mniéj mielibyśmy między nami istot wątłych, słabych moralnie i fizycznie.

Zastanówmy się tylko, czy rzecz nie wyda się naturalną i logiczną? Przez cały czas ciężarności, organizm dziecka zależy zupełnie od organizmu matki; z niego czerpie on siłę żywotną, która w krótkim stósunkowo czasie z mikroskopijnego zarodka, tworzy dziécię już żyć na własną rękę mogące. Natura działa tu zapewne w sposób tajemniczy i niedościgniony; lecz samo połączenie tak zupełne matki z dziécięciem już nam pokazuje, czém musi być organizm żywiący, dla organizmu życie przyjmującego. Tymczasem matki zbyt wcześnie poczynają niewłaściwie obchodzić się z dziécięciem; a ponieważ nie widzą go jeszcze i niedostrzegają jego cierpień; więc często nie domyślają się nawet, jak

wielkie, przed urodzeniem, zadają mu tortury. Niewiem, czy dziécię już je wtedy odczuwa, lecz nieraz przez całe życie widoczne nosi ich ślady. „Często wieki nie są w stanie odkupić błędu jednéj chwili". Jeżeli w życiu historyczném ludzkości jest to prawdą; w życiu człowieka pojedyńczego, tylko na mniejszą skalę, to samo się powtarza. Często długie lata cierpienia są następstwem błędów, jakich ciężarna matka dopuściła się względem dziécięcia. Ach — ileż błędów takich codziennie się popełnia! Młoda kobiéta, biédna salonowa lalka, nie jest w stanie odczuć powagi i świętości stanu macierzyństwa. Ona przez cud niezbadany nosi drugie życie w sobie, w niéj siła Boża tworzy dziécię, czyni ją matką, a ona swego położenia się wstydzi, nie zrzuca gorsetu podkopującego jéj zdrowie, utrudniającego rozwój naturalny dziécięcia. Dla czczéj zabawy pozbawia się snu potrzebnego dwóm istotom, naraża się na upadek w tańcu, nie czuwa nad swoim skarbem i tylko utyskuje nad przykrościami, jakie stan wyjątkowy jéj sprowadza.

Ta kobiéta to jeszcze dziecko, którego uczucia nie wzniosły się nad poziom próżności i małostek towarzyskiego życia. Może nazawsze zostanie ona dziecięciem jak to często się zdarza; może dojrzeje umysłem; lecz czy dojrzeje w kierunku moralności i cnoty rodzinnéj? To jeszcze wielkie pytanie. Kobiéta kocha swe dziécię lub dzieci, ale tak lęka się zostać matką powtórnie, że jeżeli Bóg zeszle jéj nadzieję macierzyństwa, zdaje się jéj, że w nią grom nieszczęścia uderzył. Drży na myśl boleści, jakie ją czekają, płacze nad powiększającą się rodziną a z nią powiększającemi się trudami. Zapomina, że jéj zły humor, strachy, płacze, rujnują jéj zdrowie, szkodzą tém samém i noszonemu przez nią dziécięciu. Wzruszenia, doznawane z tego powodu, mogą je zabić w łonie matki, a jeżeli nie, to przynajmniéj rozwinąć w niém zarody rozlicznych chorób nerwowych, które zrobią z niego słabą i nienormalnie rozwiniętą istotę. Dzieciobójstwo oburza nas, a przecież popełniamy je tak często na mniejszą skalę! Nie zabijamy wprawdzie dziécięcia doraźnie, lecz pozbawiamy je rozkoszy przepędzenia życia w zupełném zdrowiu, skracamy mu życie, wydajemy na nie wyrok wiecznego niedołęstwa, nimeśmy jeszcze dziécię życiem obdarzyły.

Niereligijność wdarła się do ognisk małżeńskich. *Wola Boża* nie przewodniczy już przy powiększaniu się rodzin; samolubne zamiłowanie wygód kieruje wolą człowieka. Liczne grono dzieci uważane jest za nieszczęście dla rodziców, patryjarchalność rodzinnych stósunków—za śmieszność.

O przedmiot ten potrącam mimochodem, gdyż on o tyle tylko tu mię zajmuje, o ile skrzywienie pojęć ogólne wpływa na usposobienie matek i *błogosławieństwo Boże*, *błogosławieństwo macierzyństwa*, przemienia im w przekleństwo losu.

Przerobić pojęcia, jakie nurtują społeczeństwo, któżby śmiał powziąć podobną nadzieję? Jeżeli jednak słowa moje dojdą jakiéj matki, nadzieją macierzyństwa do rozpaczy przyprowadzonéj, niech zwrócą jéj uwagę, już nie na pociechy przyszłe, z posiadania dziécięcia wypływające, lecz na bezużyteczność łez wylewanych, na szkodę wyrządzaną zdrowiu dwóch istot, przez lekceważenie położenia swego, lub uważanie go za nieszczęście. Bolesnego przejścia nic nie jest wstanie odwrócić, a złe zachowanie się, oraz brak panowania nad sobą, smutki nierozsądne i nienaturalne, podkopując zdrowie, samo przejście utrudniają; a już ile złego wyrządzają dziécięciu, to zostanie na zawsze niedocieczoną tajemnicą, odsłaniającą się tylko niekiedy matce w wyrzutach sumienia, jakich dozna, gdy zobaczy dziécię z trudnością znoszące ciężar chorobliwego życia, moralnie zaś i umysłowo niezdolne prawidłowo się rozwijać. Ileż to nazawsze podkopanych organizmów, ile strat rodzinnych wypływa często z małych nieostrożności matek przy nadziei będących! Jakichże wyrzutów musi doznawać ta, która, z własnéj winy przyspieszywszy przyjście na świat dziécięcia, śmierć jego spowodowała, lub obdarzyła je nędzném życiem, nękaném ustawiczną chorobą. Mogła wydać dziécię silne, zdrowe, piękne przez dobrze rozwinięte ciało; bystre umysłowo, odważne, wytrwałe, (brak tych przymiotów często ze słabości fizycznéj wypływa), a uczyniła je nędzném, chorém, bladém, źle zbudowaném, brzydkiém, lękliwém i pozbawioném siły i energii myślenia. Nie umiała pojąć swego zadania, przejąć się jego wielkością, poczuć w sobie Boskiéj iskry tworzenia. „Czas, w którym kobiéta dziécię pod sercem nosi, jest świętą epoką; matka nosi w sobie przyszłość, nosi ludzkość. Duch twór-

czy przenika ją i w tym czasie nowém życiem napełnia, bo wielka twórczość wszechświata powtarza się na małą skalę w tworzeniu się jéj dziecięcia. Jest ona narzędziem Bożém. Bóg tworzy przez nią na nowo świat — świat w jednéj egzystencyi ludzkiéj zawarty".*)

Poświęcenie wielkiemu dziełu małych względów próżności i nędznych chwilowych uciech—czy miało by się nazywać ofiarą? Tylko skrzywione wyobrażenia, mogą zniewalać matkę do szukania zaspokojenia w wybrykach próżności a odwracać ją od pięknego celu zachowania złożonego w jéj łonie drogiego skarbu, w całéj możliwéj doskonałości, jakim go Bóg chciał uczynić. Względy własnego jéj zdrowia, własnych potrzeb z tém zadaniem zgadzają się wyśmienicie; zatém trochę tylko odwagi, a odrzucimy to, co nam do duszy próżność światowa wsączyła. Z pod nawałów piaszczystych, wzniesionych w duże pagórki, Holender wytrwałą i mozolną pracą odgrzebuje rodzajną ziemię. I w naszéj duszy, pod obcémi naleciałościami, spoczywa grunt pod ziarno Boże stworzony. Starajmy się tylko oczyścić go, odzyskać za pomocą pracy wewnętrznéj, na podstawie religii i nauki dokonywanéj, a poznamy słodycz życia w ofiarach podjętych dla tych korzyści, których nic naruszyć nie może, bo je nasze dzieci i wnuki życiem swojém uwiecznią. Niech już w nas spoczywa zadatek lepszéj przyszłości, a ludzkość o swoje jutro lękać się przestanie, bo ujrzy losy swoje złożone w ręku cnotliwych i rozumnych matek.

Chociaż właściwy sposób zachowania się kobiét ciężarnych jest rzeczą mniéj więcéj znaną; umieszczę tu jednak w krótkości główne jego warunki. Choćby żadnéj matce słowa moje nic nowego nie powiedziały, może niektórym przypomną lekceważone obowiązki i ważność tychże w ich oczach podniosą.

Przestrach, gniéw, i wszelkie namiętne wstrząśnienia, tak dobrze moralne, jak fizyczne; niedostateczne i złe pożywienie, jak również przeładowywanie żołądka potrawami niestrawnemi i ciężkiemi, są wpływami nader szkodliwemi dla dziecięcia zostającego w łonie matki. Zbytni ruch, zbytnie umęczenie, oddzia-

*) Schmit: Briefe an eine Mutter.

ływają zarówno źle, jak życie pozbawione zupełnie ruchu. W ogóle życie dotychczasowe nie powinno się zmieniać, jeżeli było pracowite lub czynne. Gospodyni domu niech nie przerywa swych zajęć, strzegąc się tylko podnoszenia rzeczy ciężkich, opiérania ich na żywocie, wspinania się i podnoszenia rąk z wysileniem, dla dostania wysoko umieszczonych przedmiotów. Akuratność tylko życia pracowitego zwiększyć należy. Godzina spoczynku nigdy nie powinna być spóźniona, a jeżeli dzieci starsze przerywają sen matce, ojciec lub bona powinni wziąć na siebie obowiązek sypiania w pokoju dzieci, by matka w spokojnym śnie mogła znajdować posiłek. Kobiéty, próżniacze życie pędzące, lub te, które oddane są pracy zmuszającéj do ciągłego siedzenia; powinny tryb zwykły odmienić, jeżeli to jest możebném, a przynajmniéj ze dwie godzin dziennie przechadzki na świéżem powietrzu używać, gdyż to jest koniecznie do zdrowia potrzebne. Długie przesiadywanie w miękkich fotelach i na kanapach; ubranie niewygodne, buciki na dzisiejszych wysokich obcasach, które tak łatwo pośliźnięcia się i upadki powodują, nadając ciału położenie nienaturalne, są dla matek brzemiennych nader szkodliwe.

„Ponieważ uważano—powiada Meier— że kobiéty ciężarne, temperamentu zgryźliwego, podlegające złym humorom, wydają dzieci niedołężne; podczas kiedy matki z usposobieniem wesołém i jednostajnie spokojném, dają, po największéj części, życie dzieciom silnym i zdolnym: jest zatem rzeczą naturalną, żeby kobiéty brzemienne starały się o utrzymanie zawsze dobrego humoru".

Panowanie nad sobą wiele, wiele tu może. Nawet dobry humor często od nas samych zależy. Możemy téż od siebie wiele uczuć nieprzyjemnych odsunąć, jak naprzykład uczucie bezmiernego strachu, na myśl o przyszłych cierpieniach; obawy, wywołane wyobraźnią, by spojrzenie na rozmaite kaléctwa, ułomności i brzydoty nie wpłynęło na potworność dziécięcia. Często, w mieście szczególniéj, jest się narażoną na spotykanie ubogich kalék, linoskoków sztuki pokazujących i t. p. a przecież nie wpływa to na przychodzące tam na świat dzieci. Przeto nie sam widok jest szkodliwy, ale przerażenie, mające źródło w wyobraźni, pozostawionéj bez steru rozsądku, wywołującéj rozdrażnienie i wstrząśnienia szkodliwe dla dziecięcia i matki.

Pomyślmy, jakie to nieocenione szczęście przynieść na świat zdrowie silne, płuca oddychające swobodnie, członki elastyczne, żołądek prawidłowo trawiący, a będziemy się starały wszystko, co jest w naszéj mocy, uczynić, by dziécię nasze obdarzyć tak nieocenionémi dobrami. Kto na świat zdrowo przychodzi, ma już wszelkie dane, że zostanie na całe życie silnym fizycznie. Dzieci słabe po największéj części są chorowitémi i w wieku dojrzałym.

„Idźmy jeszcze jeden krok daléj—mówi wyżéj przytoczony autor. Gdy się widzi, że często dzieci, nie tylko zewnętrzne, ale także intellektualne i moralne przymioty matek dziedziczą; wtedy mimowoli nasuwa się pytanie: czy to wszystko jest tylko przypadkiem, czy téż, że kobiéta ciężarna istotnie do tego się przyczynia? Zostawmy to pytanie bez odpowiedzi, ale nie możemy zamilczéć, że nie tylko usposobienie ciężarnéj kobiéty, ale jéj, zatrudnienie, przedmioty, które jéj umysł zajmują—mają wpływ na moralną stronę dziecięcia, któremu ma dać życie". Doktór Moszyński w swoich „*Radach dla matek*" zaleca kobiétom ciężarnym czytanie książek poważnych, moralnych i pożytecznych, lecz nie powieści, wyobraźnią podniecających.

Jeżeli są dane, pozwalające przypuszczać, że zachowanie się matki, przed urodzeniem dziécięcia, może wpłynąć nawet na jego usposobienie moralne; to jakże kobiéta, znajdująca się w stanie błogosławionym powinna być oględną, jak swoje serce powinna zamknąć przed każdą myślą i uczuciem mniéj podniosłém! Jak czujną straż nad swym umysłem sprawować powinna, by go nie zbrukała żadna myśl zdrożna. „Zaklinam was matki— woła Hufeland—odpędźcie od siebie wszelkie złe i grzeszne namiętności; bądźcie spokojne i wesołe; wzrok zwracajcie ku temu, co wieczne, co niebieskie: wtedy doznacie niewymownéj radości, żeście dzieciom waszym dały warunki szczęśliwego życia na ziemi i w niebie. Wszak i Śty Augustyn powiada, że „już w łonie matki zakosztował był soli Bożéj" i nawrócenie swoje przypisywał modlitwom Śtéj Moniki, która, nosząc go w swém łonie, błagała Boga, by dziécię, które wydać miała, prawdziwym stało się chrześcijaninem.

ROZDZIAŁ II.

Niemowlę zaraz po urodzeniu. Obchodzenie się z niém. Karmienie uważane jako wpływ moralny na dziécię i na matkę. Matka jest najwłaściwszą mamką dla dziecięcia. Czas odłączenia dziecka od piersi i żywienie go po odłączeniu. Ubranie niemowlęcia. Łóżeczko czy kołyska? Przedwczesne zmuszanie do siedzenia i chodzenia. Pielęgnowanie skóry. Mieszkanie. Hartowanie. Manija leczenia. Lekarz. Pożywienie. Ubiór. Strój.

Wychowanie fizyczne, ta strona edukacyjnego zadania, która najłatwiéj zbadać się daje, która, należąc do świata zewnętrznego, opiéra się na doświadczeniach, dokonywanych zarówno na żyjących zwierzętach, jak i w laboratoryjach chemicznych i na stołach anatomicznych; ta gałąź mówię wychowania, dająca się podciągnąć pod niewątpliwe prawa fizyjologiczne i anatomiczne powinnaby najwięcéj do doskonałości być zbliżoną. Jakże daleką jest przecież od niéj! „Generacyja dzisiejsza słabszą jest od dawniejszych"! Oto okrzyk trwogi dbałéj o swą przyszłość ludzkości.

A jeżeli tak jest, jeżeli ciało nasze coraz mniéj jest wytrwałe i krzepkie, coraz przystępniejsze różnym chorobom chronicznym; fałszywe wychowanie musi tu bardzo ważną rolę odgrywać i dziwić się trzeba, że jeżeli ogrom nauki, jaką nabywać musimy, zwiększył się tak, iż nadmierna praca umysłowa musi szkodzić naszemu zdrowiu; z drugiéj strony, wyniki badań naukowych, mających ciało nasze na celu, nie przeniknęły jeszcze ani w rodziny, ani w ogół oświecony i nie zrównoważyły szkody, jaką rozwojowi fizycznemu przynoszą nowe, źle na zdrowie oddziaływające wpływy, nieznane przodkom naszym.

Skargi przyjaciół ludzkości na zupełne zaniedbywanie przez ogół koniecznych dla zdrowia względów podnoszą się zewsząd.

Nawoływania o „*moralność fizyczną*", któraby czynną straż sprawowała w interesie naszego fizycznego dobrobytu, coraz częściéj i głośniéj słyszéć się dają. W przykazaniu „nie zabijaj" religija nas uczy, że zachowywanie zdrowia jest naszym obowiązkiem. Pomimo tych wszystkich pobudek moralnych; pomimo obawy, że dzieci nasze i wnuki, będą pokoleniem słabszem od naszego; jakże mało rodziców stara się o fizyczny prawidłowy rozwój swych dzieci? Gdzie są matki, które poradnik naukowy miały w ręku i jakich praw słuchają przy wychowaniu fizycznem? Oto własnego „widzimisię", przesądów zastarzałych i niewiedzieć skąd czerpanych uprzedzeń; wreszcie wygodnego niedbalstwa, pozwalającego niańkom i bonom robić, co im się podoba, lub téż częstokroć szkodliwszéj jeszcze przesadnéj własnéj troskliwości.

Przed urodzeniem dziecka, matka mogła się do jego zdrowia przyczynić; po urodzeniu, tym większy wpływ może wywierać na jego rozwój fizyczny, zwłaszcza, że skutki jego nie zagadkowo, ale widocznie się przedstawiają.

„Do chwili urodzenia, życie dziecka zależy od organizmu matki. Jego płuca nie oddychają, żywi się krwią matki, w sposób podobny do żywienia się rośliny. Jest téż to życie w saméj rzeczy roślinne: kształcenie się i wzrastanie na obcym gruncie. Ponieważ obieg krwi w dziecięciu jeszcze nieurodzoném, jest ten sam, co u matki, zupełnie od jéj ustroju zależny i ma tylko na celu wzrost i żywienie się dziecka, a nie odnawianie krwi zużytéj przez płuca i wątrobę, które w niém jeszcze nie działają; zatém ten obieg podlega prawom tymczasowym, nie odpowiadającym późniejszemu celowi, a odbywa się drogami, które się zamykają w chwili, w któréj, przez urodzenie, stósunek z obiegiem krwi matki się zrywa i dziecię już za pomocą własnych organów przy życiu utrzymać się musi. Ta gwałtowna przemiana wszystkich dróg krwionośnych w chwili urodzenia jest najważniejszą i najpotężniejszą rewolucyją, jaką ciało ludzkie przez bieg życia przebywa. *)

---

*) Fürst: Das Kind und seine Pflege.

Dziécię z urodzeniem, wchodzi w zupełnie nowe warunki: „zależy już od funkcyj własnego serca, własne jego tętno i arteryje stanowią o cyrkulacyi jego krwi, własnych płuc oddech oswabadza ją z kwasu węglowego, a zaopatruje w tlen. *)

Gdy się zastanowimy nad owém gwałtownem przejściem dziécięcia do warunków zupełnie różnych od tych, w jakich się znajdowało przed urodzeniem; gdy pomyślimy, czém dla niego jest powietrze, z którem nagle i raptownie wchodzi w zetknięcie, a które temperaturą swoją różni się niesłychanie od temperatury w jakiéj dotąd przebywało; dojdziemy łatwo do przekonania, że umiejętne pielęgnowanie niemowlęcia w piérwszych chwilach jest bardzo ważną rzeczą. Musimy racyjonalném postępowaniem ułatwić mu zapoznawanie się z nowém życiem przez otoczenie go z początku warunkami, o ile można zbliżonemi do poprzedniéj jego egzystencyi i pozycyi, jaką mu przybrać dajemy. Zadanie to już nam wskazuje, że pielęgnowanie niemowlęcia w piérwszych chwilach — musi podlegać prawom, których przekroczenie zgubne dla niego ma skutki. Jest ono zwykle w tych piérwszych dniach powierzone kobiécie fachowéj, która powinna znać owe prawa i niémi się kierować. Do umysłu wszakże owych kobiét, tak rozmaite przesądy i fałszywe wyobrażenia mają przystęp, że matka, znająca główne warunki prawidłowego obchodzenia się z dzieckiem, może mu oszczędzić wielu z tych „mąk", jak je nazywa Saltzmann, którym zaraz po przyjściu na świat poddane jest dziécię. „Peryjod życia rozpoczynający się po urodzeniu, jest epoką najtrudniejszą do przebycia, a więc tą, w któréj uwaga najtroskliwsza i staranie najbardziéj drobiazgowe są potrzebne. Ileż niemowląt umiéra w istocie tylko wskutek fałszywego obchodzenia się osób, opiekujących się niémi." **)

---

*) Ibiden.

**) Roseville: Guide medical des mères de famille.

Biblioteka Wojsk. Akad. Polit. im. F. Dzierżyńskiego

Kąpiel, w któréj, zaraz po urodzeniu, obmywają dziécię, powinna miéć 27—28° R. „Nie mała liczba dzieci ważnych doznaje uszkodzeń, a nawet umiéra, jeżeli temperatura kąpieli jest za wysoka i dziécię w zbyt gorącą wodę włożone. *). Często ręce mamek, zgrubiałe od pracy, nie są w stanie dokładnie umiarkować temperatury wody. Zapewniają one, że woda „ledwo letnia" chociaż ta dochodzi czasem do 32° R. Chorobę maleńkich dzieci, tak zwaną *sapkę* czyli ostry katar, najczęściéj sprowadzają zbyt gorące kąpiele. Nawet dla delikatniejszych rąk rozróżnienie temperatury wody nie jest łatwe. Dla tego to bardzo ważném jest przed słabością zaopatrzenie się w dobry termometr. Kąpiel nie dłużéj nad 4—5 minut trwać powinna. Mydło, często używane do obmywania nowonarodzonych jest także jedną z „mąk", jakie się im zadaje. Skóra małego dzieciątka jest zanadto delikatna, żeby ją użycie mydła nie miało przyprawić o cierpienie. W kilku książkach znalazłam zalecenie dodawania do piérwszéj kąpieli paru łyżek olejku migdałowego, oliwy, lub świéżego, niesolonego masła. Twarz, a szczególniéj oczy dziecięcia, powinny być obmywane wodą, w osobném naczyniu znajdującą się, a nie tą samą, w którą dziécię włożoném zostaje. Obtarte starannie do sucha dziécię, powinno być ciepło ubrane i zawinięte tak wszakże, by jego poruszenia nie były krępowane. Użycie powijaków, przytwierdzających ręce wzdłuż ciała i związujących nogi razem, jest zadaniem gwałtu naturze. Dziécię przez piérwsze miesiące życia ma skłonność do utrzymywania pozycyi, w jakiéj znajdowało się w łonie matki. Poruszenia jego członków są jakby konwulsyjnemi ruchami, po których do zwykłego położenia powraca. Zmuszać je do pozostawania w inném jest żądaniem przeciwném wymaganiom natury.

Po wykąpaniu i ubraniu, ile można wygodném, nie uciskającém żadnéj części małego ciałka, ani gwałtu w niczém mu nie zadającém, można dziecięciu podać kilka łyżeczek wody letniéj z cukrem; wszelkie ziółka, ulepki, — cały ten arsenał apteczny, z jakim spotyka się dziécię zaraz po urodzeniu, wszystko to jest

*) Fürst.

wielce szkodliwe i niebezpieczne: wywołuje bowiem kurcze w jego wnętrznościach. Nawet tyle zachwalony rumianek uważają dziś za środek szkodliwy, bo niepotrzebny zdrowemu dziécięciu. Gdy jest chore, należy wezwać lekarza, lub przynajmniéj w koniecznym tylko razie i to z wielką ostróżnością używać środków leczniczych; lecz gdy rzeczywiście chorém nie jest, żadnych lekarstw bezwarunkowo do żołądka wprowadzać mu nie trzeba.

W 5—6 godzin po urodzeniu, należy dziécię podać do piersi. „Piérwszy pokarm, który się w piersi matki utworzył, dla swéj rzadkości i wielkiéj ilości cukru, służy dziecku, jako środek przeczyszczający i wydalający z żołądka *smółkę* (piérwsze ciemne odchody)" *). Jest to naturalny i najlepszy środek dla dziécięcia; dla tego z podaniem piersi matki nowonarodzonemu nie trzeba zwlekać aż do dnia drugiego, jak to nieraz się zdarza.

Dziécię w piérwszych tygodniach, podobne jest do delikatnéj rośliny, któréj powietrze, światło i ciepło powinniśmy wymierzać w dobrze umiarkowanych ilościach. Potrzebuje ono obok spokoju, zawsze jednakowo ciepłego, czystego, wolnego od kurzu i dymu powietrza pokojowego, mającego 16° R. Powinno być strzeżone od zbyt silnego światła, hałasu, przeciągów i zaziębienia. Trzeba mu ułatwić w piérwszych dniach przyzwyczajenie się do nowego świata, do jakiego w tak nagły i gwałtowny sposób przeniesione zostało! **).

Łóżeczko dziecka, ani zbyt blizko okna, ani blizko pieca stać nie powinno. Ważném jest zachowanie jak największéj około niego czystości. Suszenie pieluszek i bielizny w tym samym pokoju, jest jednym z najszkodliwszych wpływów na dziécię. „Wydało by się obrzydliwém, picie wody napojonéj nieczystemi wyziewami, a pijemy powietrze, które téż same nieczystości zawiéra. Dziécię, które tak zatrutém powietrzem dzień i noc oddycha, musi doznać jego szkodliwego działania. Zmoczone

*) Koehler: Poradnik dla matek.
**) Fürst:

pieluszki i ubranie, natychmiast z pokoju wyniesione być powinny, a nigdy nie rozwieszane przy piecu dla wysuszenia." *).

Nie dosyć jednak mieszkanie dziecka zarówno małego, jak większego, strzedz od szkodliwych i zatruwających wyziewów. Samo oddychanie mieszkańców, zużywa zapas zdrowego powietrza, „a natomiast pokój napełnia się zużytém, wydychaném i różnemi wyziewami zanieczyszczoném, przeto do dalszego oddychania już nie przydatném powietrzem, jednak zupełna nieświadomość szkodliwych z tego następstw zmusza dzieci do wciągania w płuca tego zatrutego powietrza." **). Odświéżanie go przeto w pokoju jest konieczne i nieodzownie potrzebne. Wyniosłszy łóżeczko dziecinne do innego pokoju, lub przysłoniwszy je starannie, w zimie lufcik, w lecie okno codziennie otwiérać trzeba. „Pokój dziécięcia zarówno małego, jak większego, powinien być jasny; przez piérwsze jednak dwa tygodnie po urodzeniu okno ma być zasłonione firanką, najlepiéj zieloną, jak najwięcéj na słońce wystawiony, lepiéj na piętrze, niż na dole umieszczony. Strzedz trzeba, by nie był wilgotny i by żadne złe zapachy do niego nie dochodziły, bo powietrze za duszne, napełnione niezdrowemi wyziewami, brak światła i słońca, jak również wilgoć, powoli podkopując organizm małéj istoty, szkodzi jéj rozwojowi, osłabia ją, a tém samém usposabia do rozlicznych chorób. W pokoju tym nie powinno być, ani kwiatów, ani flakonów zawiérających perfumy, bo silne zapachy, jakie się z nich wydzielają, działają podniecająco na mózg dziecięcia i mogą spowodować konwulsyje. Również należy bacznie zważać, by w pokoju dziecinnym nie było kurzu, dymu, ni czadu, które wtedy nawet, gdy nie mogą mieć szkodliwego wpływu na dorosłych, sprowadzają złe następstwa dla dzieci i powodują katar, zapalenie oczu, utrudnienie oddechu, prawdziwy początek zaczadzenia, albo kongestyje mózgu." ***).

Niedorzecznym jest zwyczaj, zbliżania zaraz po urodzeniu dziécięcia do światła dla zobaczenia koloru jego oczu, lub prze-

---

*) H. Meier.
**) Dr. Kaczkowski: Rady dla matek.
***) Roseville.

konania się do kogo jest podobne. Oczy jego, nieprzywykłe do światła, starannie od jego działania ochraniać należy, równie jak i organa słuchu, które są jeszcze za słabe, by mogły być na hałas zbyt wielki narażone.

Bóg, dając piersiom matki pokarm, nietylko umieścił w nim najlepsze pożywienie dla niemowlęcia, nietylko karmienie dla największéj części kobiét, uczynił funkcyją nie podkopującą zdrowia, owszem dla organizmu korzystną; ale nadto dał w nim matce środek wychowawczy i szkołę, w któréj kobiéta do moralnego macierzyństwa się usposabia.

Utartém jest mniemanie, że miłość macierzyńska jest uczuciem wrodzoném i—jeżeli tak się wyrazić można—przeznaczeniowém. Nie myślę temu zaprzeczać; wszakże miłość ta kształci się i uzacnia przez ofiarę, a przyzwyczajenie tak wielką rolę odgrywające w życiu ludzkiém i tu ma potężną władzę. Matka, chcąca odpowiedzieć późniejszym obowiązkom swoim, niech się odda dziécięciu od piérwszéj chwili, niech je karmi, zarówno dla jego dobra, jak i dla swego macierzyńskiego udoskonalenia. Niech obcéj kobiécie nie oddaje miłości niemowlęcia, piérwszych budzących się w niém uczuć, piérwszego jego uśmiéchu; niech na nią nie przelewa praw, jakie jéj saméj Bóg nadał; niech w najemne ręce, nie składa wpływu na budzący się charakter dziecięcia; niech nie lekceważy spójni, jaką karmienie między nią a niemowlęciem wytworzy.

Czyś próbowała kiedy matko, zasadzić własnemi rękami drzewko w twoim ogrodzie? Ogrodnik sadził jednocześnie inne drzewa; przyjęły się wszystkie i niéma między niémi różnicy. Ale na następną wiosnę poszedłszy do ogrodu, najpiérw oglądasz ręką twoją posadzone drzewo, patrzysz z zajęciem, czy wypuszcza pączki, czy korę ma nieuszkodzoną. Obchodzi cię ono najwięcéj, a chociaż stoi z innémi w rzędzie, o nie chodzi ci wyjątkowo; rozwijające się listki jego cieszą cię podwójnie. Jakkolwiek można by to uczucie twoje samolubnym przypisać pobudkom, jest ono tak ogólnie ludzkie i tak wszędzie się przejawia-

jące, że je za przyrodzone człowiekowi uważać należy. Dziécię, karmione własną twą piersią, będzie przez ciebie kochane z tém zwiększoném uczuciem, z jakiém spoglądasz na twoję ogrodniczą pracę, nie różniącą się niczém od najemnéj pracy ogrodnika. Poznasz słodycz uśmiéchu dziecka, na widok podawanego mu pożywienia; jego anielskie spojrzenie, gdy pijąc pokarm z twéj piersi, zdaje ci się dziękować oczkami niewinności pełnemi, a rączętami pieści cię i głaszcze. Jego wyglądający między wargami języczek, podczas gdy ssie, będzie ci się wydawał czémś uroczém; ruchy rąk i nóżek różowych—tych nóżek, które nie wiedzą jeszcze, jak ziemia bywa twarda — większą rozkosz ci sprawią, niż nie jedna marna przyjemność, jaka cię może spotkać wśród ludzi. Gdy podaniem własnéj piersi uspokoisz jego żałośne krzyki, uczujesz zadowolenie, jakby z dopełnienia dobrego uczynku, a widok dziecięcia usypiającego na twém łonie i otwiérającego jeszcze od czasu do czasu zaspane oczęta, wyda ci się obrazkiem tak ślicznym i uroczym, że mimowoli uczujesz błogość rozlewającą się w myślach twoich.

Nie odejmuj sobie tych rozkoszy czystych i nie lekceważ związku moralnego, jaki karmienie wytwarza. Wszystkie kłopoty, utrudzenia, niedospania wywołane karmieniem, są potrzebne do twego wychowania macierzyńskiego. Bóg chciał, byś przez szkołę tę przeszła, dał ci możność zaspokojenia wszystkich wymagań dziécięcia, jak jemu dał znowu możność objawiania tych wymagań krzykiem, którym przywołuje cię wśród nocy do swego boku, trzyma ustawicznie przy sobie, odejmuje ci możność wydalania się poza dom, w celu szukania rozrywek za obrębem rodziny.

Bezustannemi potrzebami swemi dziécię uczy matkę zapomnienia o sobie, poświęcania nowym obowiązkom wszystkich dawnych przyzwyczajeń i zachcianek, słowem — udoskonala ją, aby, obok poczucia obowiązku, zasmakowała w jego spełnianiu. Dla osiągnięcia tego celu, natura użyła środka zbawiennego, acz ostrego. Wyrzuca on kobiétę z dotychczasowéj kolei: ospałą—zmusza do czujności; zamiłowanéj w stroju—daje konieczność mniéj obcisłego ubrania; lekkomyślną—przywiązuje nagle do domowego ogniska; łakomej—nakazuje wstrzymanie się od potraw,

mogących szkodzić dziécięciu. Krzyk małego tyrana zmusza matkę do opuszczenia najulubieńszych zajęć, powołuje ją nagle do łóżeczka niemowlęcia, a wszystko to w celu nauczania kobiéty, iż odtąd obowiązek macierzyński uważać ma za najpiérwszy i najświętszy ze wszystkich.

Przypuściwszy nawet, że pokarm najemny równie zdrowym być może; wiele innych przyczyn zniewolić powinno matkę do karmienia dziecka swojego. *).

Bywają nierzadkie przykłady zabicia przez mamkę dziecka niezdrowym pokarmem, lub narażenia go na długotrwałe cierpienia przez udzielenie mu zaraźliwych chorób, którym klassa kobiét, dostarczająca mamek najbardziéj podlega. Wszakże pomijając i te wypadki, pragnę zwrócić uwagę matek na często zdarzające się choroby dziecinne, wywoływane przez mamki nadużyciem jedzenia, ich popędliwością, podawaniem piersi w sposób grożący dziecku uduszeniem, zwłaszcza w razie zdrzémania się. Kontrola nad tém wszystkiem niesłychanie trudna— prawie niepodobna.

Rousseau utrzymuje, że kobiéta najemna może mieć zdrowe mléko, jako mamka; jest jednak złą matką, bo dla zarobku opuściła dziecko własne. Zarzut podobny może we Francyi być dla niejednéj ciężką niesprawiedliwością; u nas wziąć go można dosłownie. Tyle okolic kraju naszego bezustannie się skarży na brak rąk do pracy, że kobiéta silna i zdrowa może zarobić na życie, nie opuszczając dziecka własnego. Była tedy złą matką. Jakże więc z ufnością można jéj powierzyć dziécię?

Karmienie niemowlęcia, powinno się, mniéj więcéj, co trzy godziny odbywać. Nierozsądnie jest za każdym płaczem dziécięcia pierś mu podawać. Jeżeli pora karmienia jeszcze nie przy-

---

*) Już w XV wieku Elżbieta Jagiellonka, w XVI Erazm Gliczner i Mikołaj Rej z Nagłowic, radzą matkom karmienie dzieci własną piersią.

szła, piérwéj zbadać należy, czy dziécię nie ma wilgotnych pieluszek, czy mu co nie dolega, nim mu się poda pożywienie.

Prawie wszyscy lekarze, jakich dziełami posiłkuję się w niniejszéj pracy, radzą od piérwszéj chwili uregulować czas podawania dziécięciu pokarmu. Z początku częściéj, jak co dwie, późniéj co trzy lub cztery godziny; w nocy najlepiéj, by dziécię wcale nie było brane do piersi, lub co najwięcéj raz jeden. „Jestem zdania — mówi Roseville— że trzeba uregulować czas karmienia dziécięcia, w interesie zarówno jego, jak matki. Płacz jest jedynym jego językiem; więc nim wyraża ono: głód, pragnienie, nieukontentowanie, niewygodę, ból—słowem wszystkie żądania. Największa zaś liczba kobiét, gdy słyszą płacz niemowlęcia, mniema, że mu się chce jeść—i zaraz ssać mu dają; a jeżeli płacze często, jak to niekiedy się zdarza; wtedy ciągle przy ich piersi i we dnie i w nocy zostaje. Wypływa z tego takie przeładowanie żołądka mlékiem, iż dziécię musi je oddawać, a im więcéj mu go dają, tém więcéj go wyrzuca. Pod wpływem tych niestrawności, tych ciągłych wymiotów, przy działaniu mléka, które, nie mając czasu wyrobić się prawidłowo, niéma już własności pożywnych; żołądek się wysila, trawienie staje się utrudnioném, odżywianie idzie słabo, dziécię mizernieje. Następnie mogą przyjść zapalenia, kurcze żołądka, dyjaryja, przeciwko którym sztuka napróżno niekiedy walczyć usiłuje. Dziécię wreszcie krzyczéć musi i potrzebuje. „Krzyk jest dla niego gimnastyką, najważniejszém ćwiczeniem mięśni klatki piersiowéj; jest to zarazem najlepszy środek pobudzenia krążenia krwi w ciele dziecka. Każde niedomaganie objawia się u niego krzykiem, a sen i krzyk są to najlepsze środki lecznicze, za pomocą których wyrównywają się nieznaczne zaburzenia w organizmie. *)

Zbyteczne ssanie bywa najczęściéj powodem krzyku, mianowicie u dziecka, którego mamka uważa karmienie za jedynie swoje zadanie. Nieraz widziałam dziécię krzyczące, od piersi odwracające się ze wstrętem i rzucające nóżkami, któremu mam-

*) Karol Reklam: Nauka zachowania zdrowia i zdolność do pracy.

ka, lub nierozsądna matka gwałtem pierś do usteczek wkładała. Była to prawdziwa męka dla biédnego niemowlęcia.

Zbyt częste zresztą karmienie niesłychanie męczy matkę. Ciągłe drażnienie brodawek, spowodowywa zbyteczne wyrabianie się mléka, osłabiające karmiącą, gdy przecież matka powinna swoje zdrowie oszczędzać. Widzimy często bardzo silne kobiéty nędzniejące przy karmieniu, najczęściéj dla tego, że je wyczerpuje zbyteczne wyrabianie się mléka, w skutek ciągłego podawania piersi dziécięciu, tak że niezdrowie własnym nierozsądkiem spowodowane, zmusza je często do zaprzestania karmienia.

Jeżeli przeładowywanie pokarmem niemowlęcia jest niewłaściwe; to równie szkodzi mu mléko, przepalone w piersiach wskutek zbytniéj wstrzemięźliwości w karmieniu. Chyba w gwałtownéj potrzebie może karmiąca na czas dłuższy oddalać się od dziecka, nic mu bowiem jéj pokarmu skutecznie nie zastąpi.

Dodać tu należy, że warunki, w jakich dzieci u nas się chowają, bywają często bardzo nieprzyjazne.

Babunie i ciocie zwykle są zwolenniczkami tradycyjnego postępowania. Opowiadają, jak same z dziećmi się obchodziły i własne czyny uważają za dowody niezbite, chociaż te czyny nie wydały zadawalających rezultatów. Ojcowie są nieobecni. Niańki są uosobieniem najdzikszych, często zabójczych przesądów. Ogół jest nieświadomy i obojętny.

Matki zatem podwójnéj oględności, podwójnéj siły i rozsądku potrzebują. Trzeba im się zdobyć na wielką energiją, szukać światła w nauce, strzedz się zarozumiałéj pewności siebie, opartéj na własnych uprzedzeniach, bo ta najwięcéj dzieci gubi i gubiła.

Do matki, nie do najemnéj karmicielki, należy śledzić pierwsze błyski budzącego się życia moralnego w dziécięciu. Ona piérwszy posiéw w serce jego rzucić powinna, a uczynić tego nie może, jeżeli dziécię do obcéj kobiéty rączki z miłością wyciąga, z jéj spojrzeń, słów i obejścia czerpie wrażenia i uczucia a na matkę patrzy obojętnie. „Trzeba — mówi kardynał Sadolet, w swém dziele: *O wychowaniu*, aby to dobre ziarno, które ma wydać owoce dla szczęścia żywota, siane było jak najwcześniéj i rozrastało się w duszy dziecka, kiedy miejsce jest jeszcze próżne

i kiedy młody i świéży umysł nie jest zajęty myślami obcemi. Skoro się wcześnie posiéw zrobiło, ziarno zakorzenia się głęboko i gruntownie." Jeżeli zaś przy niemowlęciu jest mamka, śmiało powiedzieć można, że matka nie ma na niego żadnego wpływu, jest widzem, pośrednio tylko przez mamkę działać mogącym. A cóż to jest dzialanie pośrednie, gdy chodzi o duszę?

Mamka przestawszy karmić, pozostawiona nadal jako niańka, zachowuje wpływ moralny przy sobie, na mocy przywiązania dziecinnego. Jeżeli zaś po odłączeniu opuszcza wychowańca, miłość jego nie od razu przenosi się na matkę. Dziécię tęskni, wreszcie obdziela uczuciem swojém wszystkie otaczające je osoby, przywięzując się najwięcéj do tych, które je najbardziéj psują i pieszczą a matka pragnąca zachować swoję powagę, czuje często, że jéj brak podstawy, na którejby wpływ na dziecko mogła gruntować. — Straciła więc dla swych wychowawczych wpływów, bardzo drogi czas piérwszego posiéwu. Do wychowania téż szczególniéj zastosować się dają słowa Pawła Śgo: „Kto posiada miłość—wszystko posiada".

Pożywienie matki karmiącéj, powinno być zdrowe i posilne. Mięso, owoce i mléko niech stanowią jego podstawę. Niech jéj sposób życia pozostanie niezmienionym, ze zwróconą wszakże uwagą na najlepsze odżywianie, bo już nie jedna, ale dwie istoty z niego korzystać muszą. Posilne, zdrowe i lekkostrawne pokarmy dają dobre i pożywne mléko, Do pięciu miesięcy niedość obfity pokarm matki winien być zastępowany tylko przez świéże mléko krowie, rozcieńczone wodą i lekko cukrem osłodzone. Żadne inne jedzenie do téj pory jeszcze dziecku nie służy i bułeczka rozmoczona w mléku, kaszki i lekkie rosołki, bez włoszczyzn gotowane, dopiéro po upływie tego czasu mogą być przyrządzane bez szkody.

Wielu lekarzy radzi odłączać dziecko od piersi w dziewiątym lub dziesiątym miesiącu; żaden nie radzi przedłużać karmienia nad rok jeden. I rzeczywiście przychodzi czas, w którym

mléko karmiącéj, traci własności potrzebne do prawidłowego odżywiania dziecka; sama zatém natura wskazuje, że przedłużone karmienie, ani dla matki, ani dla dziecka zdrowém być nie może. Odłączanie nie powinno być gwałtowną, jak zwykle bywa przemianą. Można dziécię do niego przygotować, oswajając je z jedzeniem i coraz rzadszém podawaniem mu piersi; tym sposobem, dziécię prawie nie czuje przykrości odłączenia. Najboleśniéj odczuwają je dzieci, przyzwyczajone przez matki, lub mamki do ustawicznego ssania, regulującego się nie rzeczywistą potrzebą wychowańca, lecz uprzedzeniem karmicielki.

Jeżeli matka ma domowego lekarza, powinna się go co do odłączenia poradzić; lecz jeżeli dziecko zdrowe, a sprowadzenie lekarza przedstawia trudności, może bez obawy je odłączyć. Jest to przejście często przykrzejsze dla niéj, niż dla jéj małego pieszczocha. Widziałam matki płaczące rzewnie, gdy przyszła chwila odłączenia; łzy to były dziecinne; świadczyły wszakże, iż karmienie, nie tylko nie jest uciążliwém, ale owszem przywiązującym i przyjemnym obowiązkiem.

Po odłączeniu, szególniejszą uwagę matka zwrócić powinna na hygieniczne żywienie dziecka. Jadło ono już wprawdzie, ale tylko to, co miało mu raczéj zastąpić nie dość obfity i posilny pokarm matki. Teraz dopiéro zaczyna być stworzeniem mięsożernem i żującém; upodobania jego bywają jednak często fałszywe i nie zawsze dogadzać im można. Różowy tłuścioch przepada za słodyczami. Na widok cukru radośnie się uśmiécha, kartofle pożéra z chciwością; mięsa natomiast nie lubi, a jarzyny wypluwa ze wstrętem. Matka musi mu tedy wydzielać i dobiérać jedzenie, powoli przyzwyczajać do rzeczy pożywnych i zdrowych, mając na ciągłéj uwadze jego ustrój fizyczny. Każdy z nas wié, jak przestrzeganie hygienicznych przepisów wpływa na rozwoj ciała. Niektórzy badacze nowocześni utrzymują, że materyjalne warunki odbijają się na całych pokoleniach i przekształcają je. Berkeley, słynny metafizyk XVIII, wieku, używając hygienicznych środków, jakie dla swych celów za właściwe uważał, wychował olbrzyma z dziecka, które znalazł żebrzące na moście w Londynie. Było ono małe i wątłe. W 16tym roku życia, w którym umarło, miało siedm stóp wysokości. W ogóle w żywieniu dziec-

ka należy wybiérać raczéj potrawy pospolite i o ile można naturalne. Wszystko to, co wybredność i smak nadużyciem stępiony do wymyślniejszéj kuchni przydały, nie jest dobrém i właściwém dla dziecka. Ostre zaprawy, fasze, sosy wymyślne, nie przyniosą mu pożytku, a jeżeli nie zaszkodzą fizycznie, to dadzą mu poczucie sztucznych potrzeb i zaszczepią w niém przyzwyczajenia, które zawsze źle się na dalszém jego życiu odbiją. Jakoż przyzwyczajenia w całym ciągu wychowania ważną rolę odgrywać muszą. Już i w niemowlęctwie dziécię nabyć może niepotrzebnych nawyknień, które w następstwie matce przyczyniają wiele kłopotu.

Takiem n. p. jest huśtanie dziecka, dla łatwiejszego uśpienia go. Huśtane przez niańkę we dnie, domaga się tego i w nocy, co męczy ją i naraża dziécię na niebezpieczeństwo, kiedy niańka znużona siada, trzymając je na ręku: zdrzémnąwszy się upuścić je może.

Pospolitym u nas zwyczajem jest wychowywać niemowlęta w poduszkach wypchanych puchem, co wielu lekarzy za szkodliwe uważa. Natomiast zalecają oni używanie materacyka, wypchanego włosieniem lub, co mi się właściwszém wydaje, materacyka z miękkiego a grubego materyjału, jak wojłok, przepikowanego, po złożeniu go w kilkoro. Pierzynka, zwłaszcza w lecie, sprowadza poty, osłabiające dziécię; w zimie rozgrzéwa je zbytecznie, narażając na zaziębienie w chwili przewijania. Niektórzy lekarze radzą wychowywać niemowlęta bez wszelkich materacyków lub poduszek. „W tych rodzinach — mówi Reclam — w których na wzór anglików dzieci noszone są, nie w poduszkach, ale od piérwszego zaraz dnia na rękach troskliwéj piastunki, w położeniu, w którém w każdéj chwili mogą poruszać rękami i nogami, nieskrępowane zasznurowaną poduszką; dzieci takie daleko prędzéj zdobywają samodzielność w ruchach, gdyż wykształcenie ich mięśni bez porównania szybciéj się w nich odbywa. *)

---

*) Reclam: Nauka zachowania zdrowia i zdolności do pracy.

Co do tego, czy dziécię w łóżeczku wychowywać od razu należy, czy też można mu dać kołyskę, zdania lekarzy się różnią. Koehler, Roseville i Moszyński pozwalają na kołyskę. Zalecają tylko umiarkowanie jéj ruchów, twierdząc, że dziecię już w łonie matki do podobnego kołysania przyzwyczajone było. Natomiast: Fürst, Meier, Reclam i Kaczorowski, bezwarunkowo potępiają ten zwyczaj. Przytoczę tu słowa ostatniego z tych powag, by dać możność matkom ocenienia powodów, na których przeciwnicy kołyski swoje zdanie gruntują. „Wszystkie części ciała dziecięcia nowonarodzonego są bardzo delikatne. Jego mózg, jako przeważna część ustroju nerwowego, jest nader miękki, prawie na pół płynny; przeto ciągłe kołysanie nie pozwala temu narządowi prawidłowo się rozwijać, w skutek czego powstają nudności i wymioty a nawet zapalenie mózgu, pozostawiające, jako następstwo, nagromadzenie wody w głowie. Stąd pochodzi owa znaczna śmiertelność pomiędzy dziećmi w piérwszych miesiącach, nad czém nikt należycie zastanowić się nie chce, chociaż temu łatwo zaradzić można. Potrzeba tylko usunąć kąpiele gorące, piernaty, poduszki i kołyskę, wtedy można wychować czerstwe i zdrowe dziécię. W celu przekonania się jak zgubne bywa kołysanie dla niemowląt, niech spróbuje dorosła osoba, przy pełnym żołądku, kazać się kołysać gwałtownie; natenczas łatwo się przekona o zgubnych następstwach kołysania w ogóle, uwzględniając prócz tego jeszcze indywidualność dziécięcia, które po nakarmieniu wymaga jak największego spokoju. Dzieci przywykłe do kołysania, domagają się także w ciągu dnia, by je ciągle na rękach nosić i hojdać, co je nie zawsze uspakaja."

Powyższe słowa powinny przynajmniéj zachęcić matki do wielkiéj pilności nad tém, w jaki sposób kołysanie się odbywa. Często bywa ono tak gwałtowne, zwłaszcza przy kołyskach wiszących na pasach, iż łatwo przypuścić, że nie może być dla dziecka właściwém i dopełniać się bez przynoszenia mu szkody.

Co do sypiania dziécięcia w jednym łóżku z matką, czy mamką, wszyscy bez wyjątku hygieniści są mu stanowczo przeciwni. Nie tylko dla tego, że śpiąca matka niemowlę zadusić może, ale „że wyziewy osób starszych są dla dzieci niezdrowe i w sku-

tek nich dzieci nędznieją, jako też różnych chorób od starszych osób nabyć mogą".

Dziécię, układające się do spoczynku, nie powinno rąk chować pod kołdrę; ma być nią tylko do pach okrytém tak, by ręce na kołdrze były widoczne. Dla tego w zimie, trzeba kłaść dziécięciu ciepły flanelowy kaftanik na koszulę nocną. Często sen dziecka jest niespokojny i wśród nocy można je znaleźć rozkrytém; kaftanik flanelowy w każdym więc razie jest korzystnym. W lecie, gdy dziécię sypia pod prześciéradłem, lub kołdrą bardzo lekką, ostrożność ta staje się niepotrzebną.

Jedném z najniedorzeczniejszych przyzwyczajeń mamek i nianiek, jest chęć przedwczesnego zmuszania dziécięcia do siedzenia i trzymania prosto głowy. Widywałam nieraz dzieci obstawione poduszkami, lub zwitkami bielizny, pozostające w pozycyi zgarbionéj, z głową usiłującą utrzymać równowagę, lecz co chwila opadającą i chwiejącą się na wszystkie strony. Niańki muszą być bardzo strzeżone, by w podobny sposób nie postępowały z dziécięciem. Przewodniczką tu może być natura. Wtedy dopiéro, gdy dziécię samo, chwyciwszy za poręcz łóżeczka, usiąść jest wstanie; można mu pozwolić pozostawać w pozycyi siedzącéj. Inaczéj „skrzywienie zbyt jeszcze słabéj kolumny pacierzowéj, lub innych części kadłuba, jest smutném, często obserwowaném następstwem tak niedorzecznego postępowania, mającego na celu sztuczne przyspieszenie naturalnego rozwoju dziecka".

Do niedorzecznych też zwyczajów zaliczyć trzeba próby stawiania dziecka na nóżki wtedy, gdy jeszcze samo nie objawia potrzeby i możności utrzymania się na nich. Wszelkie przyspieszanie w tym razie naturalnego rozwoju, nie tylko opóźnia chodzenie, ale jest szkodliwém dla zdrowia. Dziecko położone swobodnie na ziemi, na miękkiéj kołdrze, samo zaczyna się czołgać, posuwać, wstawać na nogi. Pomaganie dziécięciu do chodzenia przez podtrzymywanie go pod pachy jest szkodliwe, bo ugniata mu piersi i boki. Jeszcze szkodliwsze zakładanie mu paska pod pachy i podtrzymywanie z tyłu, dla ułatwienia

mu chodzenia. Natura, sama tylko natura działać tu powinna, a gdy wreszcie naznaczy dziécięciu czas powstania na nóżki; nie trzeba się zbytecznie obawiać upadków, strzegąc je tylko od zbliżenia się do mebli z kantami ostrémi, od wchodzenia na stołki, wschody i t. p. Upadek na równéj powierzchni, nie może mieć złych następstw. Dziécię jeszcze tak mało od ziemi odrosło, że upadając nie jest narażone na niebezpieczeństwo, a nawet upadek jest dla niego nauką ostrożności i rozwagi. Nakładanie dziecku na głowę watowanego wałka, mającego je strzedz od niebezpiecznych uderzeń, jest wielce przez lekarzy ganione, jako powodujące szkodliwe rozgrzewanie głowy.

Pielęgnowanie skóry dziécięcia w piérwszych miesiącach życia dokonywa się zwykle prawidłowo. Codzienne kąpiele są nawet w najuboższych domach stósowane; lecz po skończeniu roku, dziécię często pod tym względem jest zaniedbane. Myte bywa wprawdzie codziennie, ale kąpiele ustają, kiedy obmywanie całego ciała, przynajmniéj co drugi dzień, jest dla zdrowia bardzo pożyteczne. Od trzech lat, kąpiel, brana dwa razy na tydzień wystarcza. Kąpiele te, począwszy od skończenia roku, powinny mieć 25° R.; brane zaś być mogą w pokoju mającym 15°. Kąpiel powinna trwać pięć minut, poczém dziécię starannie obtarte, przynajmniéj przez godzinę wychodzić z pokoju nie powinno. Czystość największa całego ciała jest konieczna. Płókanie ust, mycie zębów miękką szczoteczką zalecają wszyscy lekarze. Najlepszym proszkiem do zębów, jest kréda zwyczajna, w aptece starannie oczyszczona i miałko sproszkowana.

Największa część rodziców nie zdaje sobie dokładnéj sprawy, czém są dla zdrowia dziecka warunki mieszkania, w którém ono przebywa. „W niezdrowém mieszkaniu, nie może być wychowaném zdrowe dziécię". — woła jeden ze znakomitych lekarzy. Dziécię, w skutek większéj wrażliwości *swego organizmu* odczu-

wa bezporównania silniéj otaczające je warunki, niż człowiek dorosły. Brak światła, zdrowego, czystego powietrza, wilgoć, dym i kurz, szkodzą dzieciom daleko więcéj, niż dorosłym. Rodzice zwykle za mało na to uważają. „Najlepszy pokój w domu nie jest jeszcze za dobry dla największego skarbu, jaki Bóg daje rodzicom". Często wszakże się zdarza, że kiedy salon jest obszerny, jasny i na południe wystawiony, dzieci mieszkają w małém, na północ położoném, wilgotném mieszkaniu. „Dużo światła, dużo powietrza dajcie dzieciom waszym! Pan Bóg waszym rękom powierzył szafunek tych swoich darów, nie skąpcie ich wiośnie życia, obok was kwitnącéj. Człowiek dorosły już tylko odnawiania, utrzymania życia potrzebuje; organizm dziecięcy tworzy, rozwija się; jemu brak każdy—podwójną szkodę przynosi".

Mówiąc o piérwszém wychowaniu dziecka, wspomnieć należy, iż wybór niańki jest niezmiernie ważny. Łagodność, zręczność, czujność w nocy, zamiłowanie porządku i roztropność, do najpiérwszych jéj przymiotów należą, a matka przez piérwsze tygodnie jéj pobytu, troskliwie badać powinna, czy przymioty te posiada w zupełności. Jest téż rzeczą ważną, by niańka była zdrową, miała oddech czysty i nie wydzielała potu ostrego, psującego powietrze, którém dziecko oddycha.

W piérwszém dzieciństwie na rozwój sił i zdrowia wielką należy zwrócić uwagę, hartując dziécię powoli i rozsądnie. Oswajanie go z zimną wodą, obléwanie nią, zalecone jest przez wszystkich prawie o wychowaniu piszących. Jeżeli dziécię od początku jesieni codziennie (z wyjątkiem dni słotnych) na powietrzu zostaje, pora zimowa nic zaszkodzi mu z pewnością. Stósownie odziane, może ono iść na przechadzkę w południe, ślizgać się po lodzie, łopatką śnieg kopać i przenosić. Z wyjątkiem dni bardzo wietrznych, w klimacie naszym rzadko zimno wznosi się do stopnia szkodliwego dla dziecka, a oswojenie ze zmianami powietrza niezmierną mu korzyść przynosi. Ale jak we wszystkich działach wychowania, tak i w hartowaniu wielka systematyczność jest potrzebna. Wyprowadzanie nagłe na zimno dziecka, które w ciepłym

pokoju kilka tygodni przebyło, zaszkodzić mu może; ale gdy obléwane zimną wodą i wyprowadzane było codziennie, większe nawet zimno zniesie bez żadnéj szkody dla zdrowia. Rousseau powiada: „Ciało jest posługaczem ducha; lecz by posługacz był dobry, trzeba by był silnym i wytrwałym, wtedy tylko może odpowiedzieć wymaganiom pana – ducha". Widzimy rzeczywiście, iż równie jak duch na ciało, tak ciało na ducha oddziaływa, że rozdrażnione chorobą nerwy—tego ducha niesłychanie osłabiają; że słaby organizm przeszkadza do pracy umysłowéj i wytrwałego działania, że wreszcie samę nawet chęć działania osłabia i niszczy. Hartowanie przeto ciała oddziaływa niezawodnie na ducha.

Zwracając uwagę na rozwój fizyczny, nie należy podlegać słabości niektórych rodziców wiecznego upatrywania jakichś niemocy w dziécięciu i leczenia go najczęściéj bezpotrzebnie. Często słyszy się matki mówiące, iż leczą dzieci *domowémi środkami*; u niektórych leczenie niemowląt staje się prawdziwą manią. Ulepek rumbarbarowy, proszek troisty, magnezyja, rumianek, olejek blekotowy do smarowania brzuszka, zioła do kąpieli, mające sen sprowadzać, nie opuszczają pokoju dziecka. Co za zgubna metotoda! Wszystkie bez wyjątku nowsze poradniki lekarskie, z oburzeniem mówią o téj kuchni łacińskiéj, karmiącéj nieszczęśliwe niemowlęta i psującéj ich żołądek przez wywoływanie w nim trawienia w sposób przeciwny naturze. A już o dawaniu dzieciom napoju na sen, o gotowaniu dla nich makówek, lekarze mówią, jak o zbrodni, zabijającéj ciało i umysł niemowlęcia. Jedynym środkiem, bez lekarza stósownym, jaki dziécięciu szkody przyniéść nie może—jest dyjeta karmiącéj matki. Wstrzymanie się przez nią od jedzenia potraw niestrawnych, reguluje żołądek dziécięcia. Są bowiem potrawy, które spożyte przez matkę tak szkodzą karmionemu przez nią niemowlęciu, że dostaje ono po nich rznięcia w żołądku. Nie można wszakże ganić bezwarunkowo matek, które nie będąc wstanie za każdém niezdrowiem dziécięcia wzywać lekarza, same, w razach mniéj ważnych, starają się je leczyć. Obłożenie brzuszka ogrzaną pieluszką, rumianek, lewa-

tywka, lub mała doza magnezyi, są w ręku rozsądnéj matki środkami nieprzynoszącemi szkody, bo ich używa tylko wrazie rzeczywistéj potrzeby. Ale te matki, które i zdrowe dzieci opychają lekarstwami, które codziennie rumianek podają, jako napój, a troisty proszek dają przed nocą, by spokojny sen sprowadzić; te, które bez porady lekarza kąpią dziécię w aromatycznych ziołach, nie bacząc na to, że leżące dziécię aromat tych ziół silnie odczuwa, mając twarz bardzo zbliżoną do wody,— te matki grzészą zarozumiałością, którą przywykliśmy dobrą wiarą nazywać. „Pycha wiedzy jest skromnością w porównaniu z pychą niewiadomości.” Te słowa przychodzą mi na myśl często, gdy w pokoju niemowlęcia widzę zaprowadzony system, nie oparty na żadném badaniu, na żadnéj racyjonalnéj podstawie, a będący tylko zarozumiałą samowolą, któréj żadne dane naukowe, żadne perswazyje przeprzeć nie mogą. „Ile razy mam gości, tyle razy daję proszek troisty dziecku”, mówiła mi jedna matka karmiąca—„jest wtedy spokojne i mnie od zabawy nie odrywa.” Logika godna podziwu!

Wrazie choroby dziecka obowiązkiem matki jest, nietylko zwiększona czynność i troskliwość, ale i wielka przytomność umysłu. Jeżeli dziécię niéma gorączki, matka może spróbować środków domowych wyżéj wspomnianych, gdy się jednak okaże gorączka, lub symptomata jakie groźnéj natury, lekarz niezwłocznie wezwany być powinien.

Dziwna zaiste sprzeczność pojęć wyrobiła się u nas, co do lekarzy i ich użyteczności. Są matki lękające się więcéj lekarza, niż choroby dzieci. „Ja doktora strzegę się, jak ognia” mówi niejedna z nich w zaufaniu znajomym. Z tych niektóre leczą homeopatycznie, inne pozostały wierne dawnéj metodzie; ale zarozumiałość, jak w tych, tak w tamtych, jest równie wielka i równie nieuzasadniona. Inne znów matki, gorączkowo trwożliwe, wzywają lekarza za lada pozorem niedomagania, same, we własnéj wyobraźni stwarzają choroby dziecinne, wmawjają je lekarzowi i rzekomym pacyjentom, przyuczając dzieci do przesadnéj

obawy o zdrowie własne, co w dalszém życiu istotnie się u nich w stan chorobliwy zamienia.

Jak jedne, tak drugie matki błądzą. Nie wzywając lekarza, gdy dziécie jest chore, i lecząc je same w razach ważniejszych, dają dowód lekkomyślności, lub zarozumienia; wmawiając dzieciom chorobę i wyzyskując usłużność lekarza na opychanie ich coraz nowemi lekarstwami, nie mniejszą przynoszą im szkodę. Matki, ani zdrowego dziécięcia leczyć, ani jego choroby na swą odpowiedzialność brać nie mają prawa. Rady lekarza powinny być skrupulatnie wykonane, bez względu czy się dziécię na lekarstwo krzywi lub nie. Bardzo często matki pozwalają sobie sądzić lekarza, przyjmować jednę radę, a drugą odrzucać, krytykować jeden, a pochwalać inny środek, nie mając o medycynie żadnego pojęcia. Jest to zawsze oznaką zarozumiałego a płytkiego umysłu. Rozumna matka powinna lekarza wzywać tylko wrazie potrzeby, ale wezwawszy go słuchać bezwzględnie. Niech się téż stara, aby lekarz jéj dzieci był zacnym człowiekiem, któremu, nietylko jako lekarzowi, ale jako uczciwemu człowiekowi zaufać by mogła.

Byłam raz w domu, gdzie do chorego dziecka wezwano lekarza. Było to na wsi i, nim przybył, dziecko już zaczęło się bawić i biegać. Przyjechawszy i obejrzawszy małego pacyjenta, lekarz siada i pisze receptę mikstury, złożonéj z kilku środków. Od stolika wstaje z westchnieniem i mówi do mnie, jako do swojéj dawnéj znajoméj: „Musiałem to zapisać, choć dziecko żadnego nie potrzebuje lekarstwa. Wiem, że rodzice byliby nie kontenci, gdybym o cztery mile przyjechawszy, recepty nie zostawił; zdawałoby im się, że napróżno pieniądze wyrzucili.“ Lekarz, który podaje niepotrzebne lekarstwo, jest co najmniéj słabego charakteru człowiekiem.

Inny lekarz wezwany do dziecka chorego tylko w wyobraźni matki, powiedział jéj, że żadne lekarstwa nie są potrzebne tam, gdzie cierpienia dostrzedz niepodobna. Matka załamała ręce „Niech pan przynajmniéj dla mojéj spokojności cokolwiek zapisze — zawołała. Znajomość takiéj logiki macierzyńskiéj, skłoniło zapewne i wyżéj wspomnionego lakarza do zapisania recepty i doprawdy niełatwem jest leczenie dziecka niemą-

dréj matki. Niedowierzania, obawy, uprzedzenia jéj, dają lekarzowi często więcéj kłopotu, niż sama choroba, a nerwy i wszystkie nerwom przypisywane kaprysy matek, są plagą doktorów dziecinnych. I tu, jak we wszystkiem, miłość powinna być miłością rozumną, bo inaczéj biada dziécięciu!

Jeżeli położyłam nacisk na charakter lekarza, któremu powierzamy dziécię, to dla tego, że choroby dziecinne trudniejsze są do zbadania, niż choroby starszych. Dziécię małe nie może powiedzieć co je boli, a mówiące już, często nie umié określić rodzaju bólu i pojąć jego przyczyny (mając nudność dziécię pospolicie mówi, że je gardło boli). Zdarza się więc, że lekarz przy utrudnionych w ten sposób warunkach, nie wié, co jest dziecku, nie umié poznać choroby. Sumienny człowiek mówi w takim razie: „Szukaj pani rady u kogo innego, ja nie wiem, co jest dziecku twojemu." Lekarz mniéj sumienny, z obawy utraty praktyki w domu rodziców małego pacyjenta, próbuje różnych środków, szuka omackiem nici, któraby go do prawdy doprowadzić mogła; znajduje ją często, ale dziécię cierpi na opóźnieniu, lub w cięższą chorobę zapada. Matki, mieszkające w mieście są pod tym względem lepiéj zabezpieczone, mogą wybiérać i miéć domowego lekarza, który się staje przyjacielem rodziny, przyjacielem dzieci, wyciągających do niego rączki z zaufaniem. Taki lekarz może miéć ogólny kierunek nad fizycznem wychowaniem dzieci i być wzywanym za najlżejszym objawem choroby. Na wsi położenie jest trudniejsze; wybór lekarza niepodobny i trzeba wzywać tego, który mieszka najbliżéj. Wzywać go tedy należy w razach ważniejszych, lecz słuchać jego rady skrupulatnie.

Medycyna dzisiaj wyrobiła już sobie takie uznanie, tak wysokie i tak zasłużone zajęła stanowisko, że rady dwóch największych pisarzy pedagogicznych przeszłego wieku Lockego i Rousseau, zalecających unikać i strzedz się doktorów, wydają się zacofanemi i śmiesznemi; chociaż poważny Locke, jako medyk-teoretyk,*)

*) Gliszczyński: „Locke, jego życie, ogólny charakter jego filozofii." Locke szczególniéj przykładał się do medycyny i chociaż jéj nie nauczał i nie praktykował, zjednał sobie wielką sławę w Oksfordzie.

stara się nas dobrze dla swego zdania usposobić i z najlepszą wiarą zapytuje: „Z jakiego względu możnaby nie ufać człowiekowi, który część życia swego poświęcił na zbadaniu medycyny, gdy ten człowiek radzi nie spieszyć się z uciekaniem się do leczenia i lekarzy.

W epoce piérwszego dzieciństwa wielka baczność musi być zwrócona na pożywienie, któreby, po odłączeniu, stopniowo przeprowadzało dziécię od dotychczasowego trybu, do tego, jaki wiodą starsi. Wszakże i w dalszym ciągu, przez całą epokę, wieku chłopięcego, pożywienie dziécięcia powinno być przedmiotem jak największéj uwagi. Ma ono być obfite, z przewagą pokarmów mięsnych. Nauka i doświadczenie uczy nas, że z pokarmów człowiek czerpie siłę, że za ich pomocą odnawiają się w jego ciele, zużyte przez czynność dzienną tkanki, więc otrzymuje moc żywotną. Dziécię, oprócz téj saméj, co człowiek dorosły potrzeby odnawiania sił zużytych, potrzebuje ich jeszcze do wzrostu. Nadto nauka mówi, że dziécię, z pokarmów przyjmowanych, potrzebuje wyrabiać w sobie większą stósunkowo ilość cieplika, bo jego ciało przedstawia większą powierzchnią odnośnie do całéj jego objętości, niż ciało dorosłego człowieka; — przeto utrata owego cieplika przez promieniowanie w dziécięciu jest większa. W zalecaniu przewagi mięsa w jedzeniu dziecinném, fizyjologowie mają na uwadze: że choć wszelkie pokarmy zawiérają części pożywne, mięso ma ich najwięcéj; zatém organizm dla przyswojenia ich sobie, najmniéj potrzebuje zużywać sił na pracę trawienia.

Ponieważ niema pokarmu, któryby zawiérał wszystkie potrzebne organizmowi ludzkiemu pierwiastki i gdy te znajdują się tak dobrze w płodach roślinnych, jak zwierzęcych; zatém mięszanie pokarmów oraz jak największa ich rozmaitość daje, przy przeważającém pożywieniu mięsném, najpomyślniejsze rezultaty. W naszym kraju, gdzie „pomarańcza złota" nie dojrzewa, a o dobre jabłko często trudno i stósunkowo jest ono bardzo

drogie, dzieci za mało jadają owoców. Do pożywienia zwykłego ludzi średniéj zamożności wchodzą one rzadko; — wieś za mało produkuje, miasta za mało ich spożywają. Dzieci, które do owoców mają pociąg naturalny, nie mając ich sobie dostarczanych w dobrym gatunku, zjadają, gdy im się zdarzy sposobność, wszelkie kwaśne i niedojrzałe, a szkodzące ich zdrowiu. Rodzice zamożniejsi, powinni by się starać o obfitsze obdzielanie dzieci owocami dojrzałemi; mniej zamożni jarzynami niech ten brak zastępują.

Często bardzo dzieci jedzą mało dla tego, że potrawy składające obiad nie przypadają im do smaku—że ich nie lubią; że mléko podawane na śniadanie, już im się sprzykrzyło; że do herbaty wieczornéj mają tylko bułki, które im się przejadły. Jakkolwiek głośne objawianie gustów przez dzieci, dyskusyje nad jedzeniem, przebiéranie i kapryszenie, powinno dzieciom być wzbronione, bo dogadzanie sobie jest najkrótszą drogą, prowadzącą do egoizmu; to jednak zachęcam matki do nie lekceważenia sobie gustów dziecinnych i do zwracania na nie pilnéj, choć skrytéj uwagi. Niech nie wié dziécię, że matka śledzi, co ono spożywa z apetytem, czego jada więcéj, a czego mniéj. Słyszałam nie jednę matkę mówiącą: „Moje dzieci muszą jeść wszystko.“ W tém, że dzieci, muszą brać choćby trochę każdéj potrawy, do któréj nie okazują widocznego wstrętu, leży tylko nauka przyzwoitości towarzyskiéj; ale w postępowaniu matek, o jakich wspomniałam, to jest najgorsze, że przy dysponowaniu obiadu, nie mają najmniejszego względu na gusta dzieci, i zdarza się, że cały obiad składa się z potraw zaledwie przez nie cierpianych. Zaspokoją one wprawdzie piérwszy głód dzieci, lecz nie doprowadzą ich żołądka do stanu sytości. A przecie niezepsuty i prawidłowo funkcyjonujący organizm dziecinny, nie może bez szkody częstego niedostatku doznawać. Rozmawiając z wieśniaczkami nieraz słyszałam od nich, że krowa, lub wieprzak ich jest *zły do jadła*; znaczy to: że zwierzę jest wymyślne; że chyba głód ciężki zmusi je do jedzenia karmu, smakującego, a nawet tuczącego inne tegoż gatunku zwierzęta. *Muszę jadło jéj krasić*, mówi wieśniaczka, *bo inaczéj, nie dałaby mi i kapki mléka*; albo: *żebym temu*

prosięciu nie dogadzała, jak rodzonemu dziecku, toby nic nie rosło. Są i między ludźmi i między dziećmi takie organizmy *złe do jadła*, które potrzebują wyjątkowéj wygody żeby mogły rozwinąć się fizycznie. Rodzice rzadko kiedy na to wzgląd mają. Konstatują fakt, że dziécię jest wybrédne i patrzą spokojnie, że zaledwo dotyka jedzenia. Takie niedostateczne zaspokajanie żołądka, przynosi szkodę ogromną, bo albo wzrost odbywa się kosztem sił, albo odnowa sił zużytych odbywa się kosztem wzrostu, albo jedna i druga funkcyja dziecinna podkopaną zostaje. Organizm przyzwyczaja się wprawdzie do mniejszego absorbowania pokarmów, ale dzieje się to z jego szkodą. Jeżeli dzieci nie lubią mięsa w jednym kształcie, można i trzeba pod inną podawać je postacią, zwłaszcza kiedy są głodne, aby zaspokoiwszy głód mniéj pożywnemi potrawami, nie odsunęły téj, jaka najwięcéj pożytku im przynosi. Wiem, że wiele rodziców mniema, że mléko i jarzyny dostatecznie dziécię odżywiają i zdanie to nieraz potwierdzone było przez lekarzy, a kilku z nich na dowód podawało przykład dzieci własnych, rzadko karmionych mięsem, których jednak zdrowie nic nie pozostawiało do życzenia. Wszakże już dzisiaj, najznakomitsi w dziedzinie fizyjologii badacze, zgadzają się na konieczność przewagi mięsa w pożywieniu ludzkiém i dziécięcem. Na ich téż zdaniu opiérając się, wypada zaznaczyć, że cukier i w ogóle rzeczy słodkie, podpadają, w opinii matek, zbyt surowemu uprzedzeniu. Gdyby nie to, że dzieci namiętnie je lubią, a matki znowu lubią dzieciom dogadzać; cukier byłby zupełnie usunięty z pożywienia dziecinnego. Jednak jest on tak koniecznie organizmowi potrzebny, że ten ostatni, nie mając go sobie dostarczonym w ilości dostatecznéj, musi go sam wyrabiać z pierwiastków zawartych w innych pokarmach, nadających się do téj przemiany. „Cukier jest bez porównania lepszy, niż jego reputacyja. Dla tego rozwiążcie klątwę, która go w dziécięcym świecie prześladuje. Zębów on nie psuje, owszem pomaga im zaopatrywać się w wapno. Dla żołądka jest téż pożyteczny, jeżeli nie używany nadmiernie. *).

*) Moleschott: Lehre der Nahrungsmittel.

W ogóle nie należy lekceważyć naturalnych pociągów i gustów dziecinnych. Przyczyną ich jest często potrzeba organizmu, i matki, nie okazując dzieciom zbytniéj uwagi na ich wygody, powinny wszakże ich gusta uwzględniać i dbać o urozmaicenie ich pożywienia. Nadmieniam tu, że opieka rodzicielska nad synem do szkół, lub uniwersytetu chodzącym, winna baczną uwagę rozciągnąć na jego pożywienie. Chłopiec często żywi się lada czém, żeby oszczędzić część dochodu na przyjemności i zarabia sobie na katar kiszek, często podkopujący całą jego przyszłość, bo choroba ta ma to do siebie, że niesłychanie wpływa na usposobienie moralne i siłę władz umysłowych. Gdy jeden ze znajomych mi młodych ludzi udawał się na uniwersytet do Petersburga, lekarz, przyjaciel jego rodziców, powiedział mu: „Pamiętaj że jedzenie jest rzeczą piérwszorzędnéj wagi dla młodego człowieka. Nie kup sobie nowego ubrania i chodź, w podszarzaném; przechodź koło teatru, gdzie śpiéwa Patti i nie wstępuj do niego ni razu; odmawiaj sobie dorożki i sanek, bądź skąpy na wszystkie zachcianki; ale niech jedzenie twoje będzie obfite, pożywne i zdrowo przyrządzone.” Że nie leży w naturze młodego człowieka, by mogąc słyszéć piérwszą na świecie śpiéwaczkę, odmówił sobie téj rozkoszy, dla spożycia soczystego befsztyku; więc rodzice, jeżeli tylko są w stanie, powinni obmyśléć mu stałe stołowanie, zaspokajające dostatecznie jego potrzeby.

„W liczbie poczuć, które służą nam, jako wskazówki potrzeb fizycznych, jest poczucie ciepła i zimna; sposób ubiérania dzieci, nie biorący poczuć tych w rachubę, musi być uważany za zły.” *). Często ubiéramy dzieci niedostatecznie. Ich krótkie sukienki, nie dosyć je zabezpieczają i kiedy całe ciało okryte jest ciepło, nogi wystawione są na zimno. Są rodziny, gdzie nietylko nogi, ale ręce i szyję dzieci obnażają, a rodzaj

*) Herbert Spencer: O wychowaniu.

ten ubiérania nawet w zimie się nie zmienia. W wielu dziełach naukowych znajduję przestrogę, że, ubiérając dzieci nieodpowiednio, przytępiamy ich wzrost, gdyż organizm te siły, jakiemi by się posługiwał na pracę wzrostu, musi zużywać na wyrabianie cieplika, którego zużywanie się w dziecku o wiele, a nawet, jak utrzymuje Liebig, dwa razy jest większe, niż w dorosłych. „Każda uncyja substancyi pożywczéj, napróżno zużyta na utrzymanie temperatury ciała, jest umniejszeniem o tyle rozwoju fizycznego, nawet wtedy, gdy się uniknie katarów, kongestyj i innych chorób. Mniejszy wzrost, lub budowa mniéj doskonała, musi być następstwem nieodpowiedniego ubrania." Herbert Spencer stara się przekonać o tém następną humorystyczną uwagą: „Gdzie jest ojciec, któryby w dojrzałym wieku, nie mając innéj fizyjologicznéj potrzeby nad odnowę tkanek i tracąc bez porównania mniéj cieplika, niż jego dziécię, uznał za zbawienne chodzić z obnażonemi ramionami, nogami i szyją? Przecież ten wydatek sił, przed którym by się cofnął, gdyby szło o niego, narzuca małym istotkom, daleko mniéj, niż on, do ponoszenia go zdolnym, a jeżeli nie narzuca, to nie sprzeciwia się bynajmniéj, gdy go im narzucają inni."

Zastósowanie tedy ubrania do temperatury powietrza, w jakiém dziecię przebywa, jest całą mądrością w tym razie. Oprócz powyższych warunków, ubranie powinno odznaczać się jeszcze wygodą. Dziécię niech się w niém czuje zupełnie swobodném, nigdzie nieuciśniętém, nieskrępowaném w żadnym ze swych ruchów. Gorsety i sznurówki, na które lekarze wyrzekają tak bardzo i tak jednogłośnie, niech dzieweczkom przez matki narzucane nie będą. Jeżeli dorośłszy zażądają ich same, nie tak straszną przyniosą już im wtedy szkodę, jak w epoce wzrostu.

Ale w wychowaniu u nas, tyle zagnieździło się uprzedzeń i przesądów, niczém niewytłómaczonych, iż dziwić się trzeba, że, przy postępie ogólnym, trwają ciągle jak trwały, a matki nie mają odwagi zejść z bezmyślnie wydeptanéj drogi. W téj ich obawie pogwałcenia ustalonéj opinii i bojaźni puszczenia się nowemi tory, mają źródło wszystkie błędy wychowania dzieci naszych a w szczególności córek. Matki, choć może czują, że

być człowiekiem należy się kobiécie, postępują tak, jakby były przekonane, że Bóg ją stworzył jedynie na to, aby była ładna, pociągająca i przyjemna. Już małą dziewczynkę, wystrojoną jak lalkę, w obcisłą, często niewygodną sukienkę, uczą być ozdobą salonu. Wychodzi dziécię do gościa, który nic nie znajduje lepszego do powiedzenia jak: „Jakaś ty ładna! Jaką ty masz śliczną sukienkę" a dziéweczka pogląda po sobie z zadowoleniem i pokazuje jeszcze buciki i pończoszki. Wyśmienita lekcyja próżności! Małe dziécię wié już, że jedna sukienka jest ładniejsza, druga brzydsza, — w jednę ubiéra się z zadowoleniem, drugą czasem ze łzami przywdziéwa.

Że strój jest rzeczą zupełnie od wyobrażeń zależną, że sukienka, którą dziécię bogatych rodziców uważa za brzydką, będzie bardzo piękną dla ubogiego maleństwa; więc radziłabym przynajmniéj ubiérać dzieci zawsze według jednéj i téj saméj skali. Rodzice, mogący dać dziecku sukienki jasne, z ozdobami, haftami i koronkami, jeżeli nie potrafią nabrać przekonania, że strój wykwintny dla dziecka najzupełniéj jest niestósownym; niech je przynajmniéj ubiérają zawsze jednakowo, niech ono strój taki uważa za chléb powszedni i na strojniejszy go dla gości nie zamienia. Nie będzie w takim razie szukało próżności w stroju, bo ten, jaki nosi, będzie dla niego rzeczą zwyczajną. Matka, która niéma odwagi ubiérać dziécięcia bardzo skromnie, co zawsze byłoby do życzenia, jakiekolwiek jest jéj mienie; niech zapyta saméj siebie, na co starczyć jéj może: na perkal, barchan, wełnę, flanelę, jedwab' lub aksamit i niech jéj dziécię zawsze w jednakowo skromnéj, lub jednakowo strojnéj chodzi sukience, byle była wygodna i nie krępująca jego ruchów. Przy koniecznéj potrzebie dozwalania dzieciom biegania, skakania, słowem wszelkiéj swobody ruchów; sukienki te często narażone być muszą na zniszczenie, a więc, które z nich strojniejsze, tém większy żal ich być może. Wszakże zbytek i marnotrawstwo są rzeczą względną, boć wiadomo, że często, stósunkowo do mienia kupującego,

perkal, czy wełna, daleko większym jest zbytkiem, niż dla innych jedwab' lub aksamit.

Kobiéta podnioślejszego umysłu, zdolna ocenić błahość stroju, ubiéra dzieci swoje czysto, wygodnie, oraz jak najskromniéj. Wszak i taki ubiór nie wyklucza pewnéj zręczności i piękna. Dzisiejsze sukienki bez odcinanych staników, wybornie odpowiadają temu celowi, a tani perkalik ubiéra bardzo ładnie dzieci, choćby najzamożniejszych rodziców.

ROZDZIAŁ III.

Zabawa i zabawki. Gimnastyka. Trzymanie się prosto. Systematyczność w wychowaniu fizycznem.

W ruchliwości dziécięcia tkwi naturalny jego popęd do zabaw. Spojrzyjmy tylko na zdrowe dziécię, od rana do wieczora niezmordowanie czynne, pracujące po swojemu (zabawa małych dzieci, jest ich pracą), nie zdolne chwili usiedzieć na miejscu, pełne przedsiebiorczości, gorliwości; a uznamy, że ruchliwość ta, jest niezbędnym, naturalnym środkiem, wzmacniającym ciało dziecka i dopomagającym mu do prawidłowego rozwoju. Ktokolwiek więc, bądź to przez fałszywe pojęcie o przyzwoitości bądź przez chęć zaoszczędzenia ubrania dzieci, przeszkadza im w ruchliwéj zabawie, nie pozwala im na bieganie, skakanie, przewracanie się, wdrapywanie na drzewa;—ten staje w poprzek dobroczynnym działaniom przyrody— grzészy przeciwko jéj prawom, których się nie narusza bezkarnie.

Wolność zabawy jest prawem dziécięcia, aż do stopnia, w którym przez niewiadomość skutków, może się na niebezpieczeństwo narazić, lub gdy jego zabawa przynosi szkodę moralną. Okłada naprzykład batem swego drewnianego konika, męczy kota, bije lalkę, drażni pieska pokojowego i z podniesioną pałeczką za nim biega,— matka zaraz uwagę jego zwrócić powinna, i do serduszka jego przemówić, że tak postępować nie można. Jest w takiéj zabawie młodego dziecka tysiące odcieni; rozsądna matka niech się im przypatruje bacznie. To mały człowiek; w czynach jego już oko troskliwe dopatrzéć może myśli—kierowniczki.

Śmiało powiedzieć można, że w ludziach dorosłych, skądinąd wychowanych starannie, bardzo wiele wad charakteru pochodzi stąd, że na zabawy ich w dzieciństwie, za mało zwracano uwagi, bacząc jedynie na wykształcenie umysłu.

Czuwanie wszakże nad dzieckiem w czasie jego zabawy nie powinno bynajmniéj krępować jego swobody. Niech w zabawie pozostaje sobą dopóty, dopóki zabawa ta nie przekracza granic przyzwoitości, lub dopóki w ciągu niéj nie zaczną się jego złe instynkta objawiać. Konwencyjonalność wszelka w zabawie, owo oszukiwanie siebie, jakiego dopuszczają się starsi na tak wielką skalę, niech ze świata dziecinnego będzie wygnane. Niech się dziécię bawi w całéj prawdzie swojego „ja". Często słyszy się matki i niańki mówiące: „To brzydka zabawa", gdy dziécię biega, hałasuje, skacze, znosi różne przedmioty na środek pokoju, by z nich niby dom wybudować; kopie dołki w ogrodzie, by z nich zrobić sadzawki, albo zabija w ścieżkę kołki, mające płot przedstawiać. Szczególniéj bony wykwintne, uważają takie zabawy za „brzydkie", a jednak dziécię znajdują w nich wyborną rozrywkę, wyrabia siłę, kształci muskuły, uczy się zaradności, pomysłowości, symetryi, kształci pewność ręki i oka, nawet do pewnego stopnia i gust.

Dobrze jest, gdy zabawy kształcą siłę i zręczność; gdy dziécię coś przenosi, popycha, podrzuca, chwyta, ustawia, składa, przesuwa. Zabawa dzieci—to wrodzona ich czynność, szukająca pola do działania. Dziécię, które się nie bawi, lecz spokojnie i bezczynnie przepędza całe godziny, niezawodnie musi być chore, albo przygnębione wychowaniem fałszywém, które wrodzoną ruchliwość jego zabiło.

Usposobienia przyrodzone dzieci musimy brać w rachubę; zatém i zabawy nie możemy brać za rzecz nie przynoszącą nic dla późniéjszego życia. Natura, dając im ochotę do zabaw, musiała w nich umieścić środek wychowawczy i gdy się bliżéj przypatrzymy bawiącemu się dziécięciu, widzimy wyraźnie, że jeżeli dla dorosłych, zabawa jest wytchnieniem, rozrywką, odpocznieniem ; dla dziecka — jest szkołą. Pomijając wpływ zbawienny, niczém zastąpić się nie dający, jaki ma na rozwój fizyczny, uczy je ona pracy, czynności, zarówno rąk, jak i umysłu, bo myśl

towarzyszy jéj ciągle. Znudzenie i bezczynność zabija tak ciało, jak umysł.

Zabawa z innémi dziećmi, jest dzielnym środkiem kształcącym charakter. „Wychowanie dziécięcia, od innych dzieci odłączonego, nie jest wychowaniem do życia" — utrzymuje słusznie jeden z pedagogów: „Połowa egzystencyi dziécięcia zmarniałaby, gdyby od towarzystwa innych dzieci odłączone zostało. Wychowywanie w towarzystwie, wychowuje do towarzystwa. Dzieci z dziećmi przywykają, jak późniejsi ludzie, oceniać się wzajemnie, kochać, szacować się podług wartości, sądzić i być względem drugich sprawiedliwémi. Wśród zabaw dziécięcych, ściérają się charaktery, zwalcza kłótliwość, duch przeciwieństwa, duma, zarozumiałość, skrytość i podstęp. W zabawie wspólnéj, dzieci uczą się porządku, roztropności, przychylności dla bliźnich, przyjaźni, chętnego ustępowania; tam nabywają umiejętności rozumienia się i poszanowania wzajemnego, działania w zgodzie i jedności, oceniania siły, poszanowania własności i strzeżenia jéj. Tam towarzyskie cnoty się kształcą i obywatelskie życie na małą skalę się rozwija".

Dziécię nie przesycone zbytkiem zabaw, nie zaprawione wychowaniem do coraz nowych wymagań; bawi się doskonale zabawką, na którą inne obsypywane cackami od urodzenia nie spojrzałoby nawet.

Zabawki dziécięcia nie potrzebują być wyszukane, ani kosztowne. Często wykwintne cacko spotyka los zupełnego opuszczenia, podczas kiedy dzieci wracają do swoich klocków drewnianych patyków, fasoli różnokolorowych, reprezentujących trzody bydła, do koników drewnianych i cynowych żołniérzy. Kto obserwował zabawy dziecinne, wié, że lada drobiazg: koperta rzucona przez ojca, stare pudełko podarowane przez matkę, dostarczają dzieciom równie przyjemnéj zabawy, jak najwyszukańsze cacka. To téż ci, co obsypują dzieci coraz nowemi zabawkami, błądzą podwójnie: bo albo dają dzieciom rzecz kosztowną, którą, pobawiwszy się wesoła gromadka, rzuca dla staréj łopatki, którą mogą kopać i przenosić piasek, albo téż doprowadzają młodych bogaczy do przesytu.

Wśród mnóstwa zabawek dziécię się nudzi: „Mamo co ja będę robił" — pyta co chwila. „Baw się" — odpowiada matka. „Nie mam się czém bawić, te wszystkie zabawki już mi się uprzykrzyły, nie mam nic nowego, nudzę się". To téż nie tych dzieci mi żal, co, nie mając wcale zabawek, same je sobie tworzą i wynajdują; ale tych, które się już niemi bawić nie umieją.

Przy wyborze zabawek trzeba uważać, by formą swoją odpowiadały wymaganiom pedagogicznym, to jest: by kształciły gust artystyczny dziecka; przeto wszelkie twarze wykrzywione, karły, potwory, nigdy nie powinnyby się w rękach dzieci znajdować. W wielu pismach spotyka się skargi na szkodliwość farb, pokrywających zabawki; znajdowano w nich zjadliwe trucizny. Dla dzieci małych, mających zwyczaj dotykania ustami wszystkiego, zabawki malowane są najzupełniéj niewłaściwe. Dla starszych dzieci, tak zwane zabawki pedagogiczne, jak łamigłówki geograficzne i t. p. nie uzasadniają zwykle swéj reputacyi; dziécię bowiem zważa raczéj na kontury części pojedyńczych, na kolory i kształty, nie na miejscowość, figurę kraju lub części świata i chyba ktoś starszy, wspólnie z dzieckiem się bawiący, może, zwracając jego uwagę, łamigłówkę uczynić pożyteczną dla umysłu. Lalki, figurki, żołniérze, zwiérzęta i t. p. kształcą wyobraźnią dziecka, gdyż bawiąc się niemi, wystawia ono sobie, że ma do czynienia z istotami żywemi. Takie wycieczki wyobraźni są naturalną potrzebą dziécięcia i w braku lalek, zwiérząt i t p. zadawala się lada przedmiotem, który fantazyja jego odziéwa w kształty przedstawić się mające.

Już w najpiérwszem dzieciństwie, przyszły człowiek wdrażany być powinien do małych obowiązków. Króciuchny pacierz, ułożony przez matkę, a do pojęcia dziécka zastósowany, powiedzenie dzień dobry rodzicom i domownikom; układanie zabawek, zamykanie drzwi za sobą, jeżeli już siły temu podołać mogą, stawianie bucików, w porządku przy łóżeczku, po ich zdjęciu, ściéranie kurzu na stoliku w dziecinnym pokoju, systématycznie i codziennie dopełniane,—są małymi obowiązkami, którym dziécię podołać może. Są to zapewne drobnostki; wszakże przyuczając dziecko do porządku i obowiązkowego zajęcia, zaszczepia się w niém, pojęcie obowiązku. Nie za co innego téż ono je

uważa, gdy do matki przychodząc, mówi: „Już zabawki ułożyłem, kurz starłem,—czy mama pozwoli pójść na spacer?" Innym razem przychodzi zapytać, czy można wziąć książkę z obrazkami?" A zabawki poukładane?—zapytuje matka.

Zajęcia dziecinne powinny jednak być krótkotrwałe, bo natura dziatwy nie znosi długiego przymusu. Powinny też być takie, aby dziécię potrzebowało wprawdzie małego wysiłku woli do ich spełnienia, ale, by nie były dla niego za uciążliwe, trudne i przykre; by obowiązek, raczéj jako przyjemność w umyśle dziecka się zaznaczał — nigdy zaś jako uciążliwy i nudny przymus. Późniejsze wychowanie za jedno z żądań głównych, mieć będzie skłonienie wychowańca do zamiłowania obowiązku; nie czyńmyż mu go więc wstrętnym w piérwszych latach dzieciństwa.

Do lat 7 lub 8 dziécię, uczące się nie wiele jeszcze lub nie uczące się jeszcze wcale, zostawione rozwojowi swobodnemu, wśród zabaw, jakich jego natura wymaga, nie potrzebuje sztucznego kształcenia sił za pomocą gimnastyki. Równocześnie z poczynającą się nauką na seryjo, bardzo jest korzystnem wprowadzić gimnastykę do trybu wychowawczego. W wychowaniu domowém urządzenie jéj natrafia na niemałe przeszkody. Prowadzona początkowo pod kierunkiem matki, która zwykle nie była w młodości w gimnastyce kształcona, przechodzi następnie w ręce nauczycieli i nauczycielek, którzy najczęściéj gimnastyki nie umieszczają w rzędzie nauk przez siebie udzielanych. Nie można się téż dziwić, że rodzice znalazłszy w nauczycielach przymioty moralne i umiejętne udzielanie nauk innych, na gimnastykę mniejszą zwracają uwagę. Jest téż ona u nas w zupełném prawie zaniedbania. Wyjątkowi tylko rodzice, mogą i chcą dzieci w niéj kształcić, jakkolwiek wielkie ona oddaje usługi w wychowaniu fizyczném młodzieży.

Póki człowiek żył w stanie zbliżonym do natury, nie ślęczał nad księgami, gimnastyka nie była mu potrzebną. Polowanie, pływanie, walki z ludźmi i rzec można z całą naturą, kształciły i wzmacniały jego ciało, rozwijając je do potęgi, do jakiéj obecnie sztucznym tylko sposobem za pomocą gimnastyki zbliżyć je można. Wiele matek, mniéj wykształconych, uważa ją za innowacyją bezużyteczną i spogląda na nią z niedowierzaniem; atoli

od najdawniejszych czasów ludzie, uspółeczniając się, do wychowania starali się ją wprowadzić. Kształcenie młodzieży greckiéj i rzymskiéj w walkach wszelkiego rodzaju, w bieganiu, pływaniu i konnéj jeździe, niczém innym nie było, jak gimnastyką. Średniowieczne zabawy młodzieży szlacheckiéj, turnieje, robienie bronią, bieganie do pierścienia, strzelanie do celu, miały to samo znaczenie, co ćwiczenie cielesne u Greków i Rzymian.

Tylko że dawniéj gimnastyka traktowaną była jedynie zwyczajowo i jako wprawa do walki późniejszéj i rzemiosła wojennego; dziś wkroczyła w dziedzinę hygieny i opiéra się na zbadaniu właściwości ciała i prawidłowym rozwoju wszystkich organów, który polega na tém, aby kształcenie się jednych z tych organów nie odbywało się kosztem drugich; słowem, gimnastyka stała się nauką, którą umiejętnie kierować należy. Dziki łowiec, czołgający się dla podejścia zwierza, wchodzący na drzewo dla ukrycia się w jego liściach, robi to samo, co mały gimnastyk, którego ruchy nie są usprawiedliwione żadną potrzebą. Sztuka zastępuje tu naturę. Ale Indyjanin, obok wprawnych nóg do biegu, ma płuca rozwinięte i zdrowe; nie podlega żadnym nienormalnym przypływom krwi do mózgu; muskuły rąk ma elastyczne i silne; słowem warunki jego rasowe i osobiste są inne. Biorąc więc jego ruchy naturalne za wzór do gimnastyki nowoczesnéj, trzeba je umiejętnie stósować, zarówno do organizacyi naszéj rasy, jako téż i do indywidualnych właściwości ciała dziécięcego. Takiego zastósowania może dopełnić tylko człowiek specyjalnie z przedmiotem obeznany, jeżeli już nie medyk-anatom, to przynajmniéj nauczyciel, znający wszystkie wyniki badań naukowych, wiedzący, jaką koleją mają następować ćwiczenia, jakie indywidualne właściwości przeszkadzają do niektórych ćwiczeń i t. p.

Znałam młodą dziewczynkę, która od biegania na *rundlaufie*, branym zawsze pod pachę lewéj ręki, miała podwyższone lewe ramię. Mówiono mi téż o chłopczyku, mieszkającym na wsi do którego co niedziela sprowadzano nauczyciela z poblizkiego miasta. Dziécię z zapałem oddawało się ćwiczeniom gimnastycznym, lecz w poniedziałek regularnie cierpiało na ból głowy. Inny chłopczyk, mający cierpienie w nodze, pozostałe po sparaliżowaniu w dzieciństwie, nie mógł wykonywać pewnych ćwiczeń;

pomimo to nauczyciel domowy niedoświadczony, wymagał ich od niego koniecznie. Możnaby tu przytoczyć bardzo wiele innych przykładów na poparcie mego twierdzenia, że nie dosyć jest umiéć się samemu gimnastykować, żeby dziécię gimnastyki uczyć, a przynajmniéj uczyć jéj dziécię każde. Ponieważ rozwój wyjątkowy jednego członka, odbywa się kosztem innych; ustósunkowanie przeto ćwiczeń, mających wszystkie harmonijnie rozwijać, a nadto zastósowanie ich do potrzeb indywidualnych dziecka, nie jest rzeczą łatwą i wymaga biegłości w nauczycielu. W miastach większych, rodzice mniéj zamożni, zebrawszy kilkoro dzieci, z domów bliżéj sobie znanych, mogą obrać godzin parę w tygodniu, w ciągu których gimnastyki udziela specyjalny nauczyciel; na wsi przecież trudność jest większa i tu chyba odpowiedniemi podręcznikami posługiwaćby się potrzeba; faktem jest wszakże, że zarówno w mieście, jak i na wsi, gimnastyka zanadto u nas przez rodziców zaniedbywaną bywa.

A jednak logika sama powinnaby za nią przemawiać. Dziécię w wieku chłopięcym, uczy się przez kilka godzin dziennie. Siedzi nad książką, pracuje umysłem, ciało zaś jego pozostaje w bezczynności. Przez ten czas młodzieniec czerwonoskóry przeskakuje rowy, biega, ugania się za zwiérzętami, kąpie się, pływa, wdrapuje się na drzewa ze zręcznością kota. Ileż ciało jego przyjęło rozmaitych położeń, ile ruchów wykonało, podczas gdy nasze dziécię, godziny te przebyło prawie w jednéj i téjże saméj postawie. To téż gdy wstanie od nauki, należy mu dać możność wykonywania sztucznie tych wszystkich ruchów, jakie piérwszy naturalnie odbywa; inaczéj ciało prawidłowie rozwinąć się nie może. Spojrzyjmy bo na chłopca wychodzącego ze szkoły. Wybiegając, potrąci czasem kolegę, gdyż czuję potrzebę ruchu, biegu, walki; ale zaraz potém, dostraja się do przyzwoitości ruchów wszystkich przechodniów ulicznych i wraca do domu, gdzie musi spokojnie przesiedzieć czas jakiś przy obiedzie. Następnie uczy się znowu, a jeżeli w ciągu dnia miał godzinę przechadzki, kierownikom jego wydaje się, że mu nic do rozwoju fizycznego już nie brak.

Fałszywość takiego przekonania bije w oczy. Dla tego sądzę, że zakłady naukowe, zarówno męzkie jak żeńskie, powin-

nyby koniecznie udzielać uczniom swoim częstych i systematycznych lekcyj gimnastyki. Jeżeli nie można chłopiąt, po ukończeniu godzin szkolnych, otoczyć dziką przyrodą i pozwolić im wśród niéj bujać swobodnie, niechże przynajmniéj sztuka da im możność wynagrodzenia braku tych naturalnych ruchów. W ostatnich czasach odzywały się głosy *) utrzymujące, że gimnastyka nie może zastąpić natury. Niezawodnie, że tak jest. Różnorodne ruchy, jakie wykonywa swobodnie bujający chłopiec przez godzin kilka, musi nauczyciel gimnastyki zamknąć w jednéj godzinie; przecież jeżeli to nie może zastąpić w zupełności natury, daje przynajmniéj ciału młodzieńca rozwinięcie, zbliżające się do rozwinięcia dziecka żyjącego w jéj otoczeniu swobodném. W wychowaniu téż dzisiejszém, gimnastyka niczém zastąpioną być nie może. Wprawdzie biskup Dupanloup utrzymuje, że gimnastyka, pływanie, konna jazda i fechtunek, udzielane w szkole, zabijają ochotę do nauki, przeszkadzają do poważnego rozwijania umysłu— ubożą ducha. Myśliciel ten oświadcza się za zupełném wyrugowaniem tych ćwiczeń z zakładów naukowyah męskich. Ośmielę się jednak powiedzieć, że to dowodzenie nie wytrzymuje krytyki. Jeżeli bowiem duch, umysł, rozwija się moralnie i dochodzi do pełni swego życia tylko przy zdrowém ciele; jeżeli choroba, niemoc fizyczna, obezwładniają zarówno ciało, jak umysł i czynią go niezdolnym do pracy; to gimnastyka prowadzona rozumnie, raczéj wesprzéć może ducha, niż go osłabić. Naturalnie, należy tak ułożyć godziny, żeby dziécię, zmęczone gimnastyką, miało czas dostateczny na odpoczynek, nim się do pracy umysłowéj zabierze. Widok upadku przeciętnego sił fizycznych naszego społeczeństwa, tém więcéj powinien nas zachęcić do ćwiczenia naszych dzieci w tém wszystkiem, co na rozwój ciała korzystnie wpłynąć może i zdrowie w przyszłości im zapewnić.

W Anglii gimnastyka wchodzi w skład wychowania szkolnego i bardzo systematycznie jest prowadzona.

Ćwiczenia téż gimnastyczne bardzo podobają się dzieciom; znajdują one w nich przyjemność, nie tylko ze względu na współ-

*) Herbert Spencer.

zawodnictwo, jakie się między niemi obudza, ale wprost przez zamiłowanie ruchu i ćwiczeń fizycznych. Znałam gromadkę dzieci, oczekujących z niecierpliwością godziny przeznaczonéj na gimnastykę.

Taniec jest równie wybornem i bardzo przyjemném ćwiczeniem dla dzieci. Tańczące przy dźwiękach fortepijanu, bawią się doskonale, a przytém używają zdrowego ruchu. Zastósowanie téj rozrywki nie powinno wszakże być rozwijaniem próżności i szukaniem w niéj zadowolenia miłości własnéj. Stąd nie o balach i wieczorach dziecinnych tu mowa, ale o tańcu zdrowym i swobodnym, nie wywołującym pochwał dla zręczności i wdzięku ruchów dziecinnych.

Do rzędu ćwiczeń fizycznych należy również śpiéw, kształcący, nie tylko organ słuchu, ale téż rozwijający płuca, przez wciąganie do nich większéj naraz ilości powietrza, niż przy zwyczajném oddychaniu. Głośne czytanie, chociaż w mniejszym stopniu, tę samę korzyść przynosi.

Jakkolwiek w każdym domu, gdzie są dzieci, słyszéć się daje bardzo często powtarzane słowa: „Trzymaj się prosto", należy tu jednak zaznaczyć, iż proste trzymanie się, nie tylko dodaje wdzięku postaci, ale jest warunkiem zdrowia. Przy garbieniu się i podawania ramion naprzód, klatka piersiowa nienormalnie się rozwija, ciało przybiéra kierunek nienaturalny. Trzeba, o ile można, obecną generacyją, połowę życia spędzającą nad książką, schyloną całemi godzinami nad pisaniem, strzedz od następstw tego przeciwnego naturze kierunku. Jedném z tych następstw szkodliwych, jest niemożność utrzymania kości pacierzowéj w tym stanie sprężystości, jaka jest potrzebna do prostego trzymania się. I tu przyzwyczajenie bardzo wiele dopomaga do ustrzeżenia się złych wpływów pracy, odbywanéj w pozycyi siedzącéj. Któż z nas nie znał lub nie miał jakiéj babci, bardzo staréj, a jednak w ośmdziesięciu latach życia prościéj się trzymającéj, niż młoda wnuczka, zaledwie z dziécięcia na pannę wyrastająca? Babcię tę już nie siła organizmu utrzymała w po-

zycyi prostéj, gdyż w swym fotelu siedziała, nie opiérając się o jego poręcz, ale siła przyzwyczajenia. W młodości wymagano od niéj takiego, aż do sztywności posuniętego wyprostowania i zostało ono jéj zwyczajem na całe życie. W rezydencyi jednéj ze znakomitych rodzin naszego kraju, oglądałam krzesełko, pozostałe, po owéj wygasłéj już prawie generacyi. Ma ono bardzo wysoką poręcz tylną, zupełnie prostopadłą, a siedzenie tak bajecznie wązkie, że tylko w pozycyi, doprowadzonéj do możliwego wyprostowania się, utrzymać się na niém można. Jest ono najzwyczajniejszéj roboty—dębowe. Tradycyja domu zachowała wiadomość, że na takich krzesełkach siadywały panny owego wielkiego rodu, dla nawyknienia do prostego trzymania się. Dzisiejsze wychowanie wyrzekło się we wszelkich kierunkach heroicznych środków, do jakich zaliczyć i owe krzesło wypada, wyglądające raczéj na narzędzie tortur, niż na sposób pomocniczy w wychowaniu fizycznem. Z odrzuceniem powijaków, w jakie przez tyle wieków krępowano dziécię od chwili urodzenia, odrzucone zostały i wszystkie podobnego rodzaju środki. Nie znaczy to jednak, że należy zostawić wychowaniu zupełną swobodę; owszem, oddziaływanie innego rodzaju, wytłómaczenie podrastającemu dziécięciu szkody, jaką sobie przynosi złém trzymaniem się, zachęty, perswazyje, przypominanie, ustawać nie powinny.

Niektóre dzieci mają zwyczaj uczyć się chodząc. Zwyczaj to korzystny dla zdrowia i można wdrożyć weń dziécię, a nawet niektóre lekcyje pozwolić mu odbywać w ten sposób, by chodziło w koło pokoju, podczas kiedy nauczyciel siedzi. Naturalnie rzecz warunkuje się tu okolicznościami; gdy kilkoro dzieci razem się uczy, już siedzenie spokojne jest konieczne, jakkolwiek nienaturalne, więc szkodliwe. Zdarzyć się téż może, że chodzenie rozprasza uwagę dziecka. Mówiąc o tém, chciałam tylko zwrócić uwagę matek, że siedzenie spokojne na jedném miejscu, oprócz, że jest dla zdrowia szkodliwém, wcale nie jest koniecznym warunkiem postępu w naukach i jeżeli okoliczności na to pozwalają, należy dziécię strzedz, o ile można, od skutków pozostawienia wciągu większéj połowy dnia w pozycyi siedzącéj.

Przy wychowaniu fizyczném dzieci brak nam dostatecznych wiadomości. Często zarozumiałość i „widzimi się" własne stawiamy w ich miejsce. To téż nie od rzeczy będzie przypomnieć, iż „dwa warunki matce koniecznie są potrzebne, by tym działem wychowania mogła się z korzyścią dla swych dzieci zajmować. Temi warunkami niezbędnemi również i w wychowaniu moralném są: „*systematyczność i wytrwałość*". Strzeżmy się uważać wychowanie fizyczne za coś dodatkowego jedynie; zawód srogi wywiódł by nas wkrótce z błędu. A przecież czyniąc je zależném od przypadku i kaprysu, traktowalibyśmy je, jako rzecz całkiem podrzędną. Młoda osoba nie dla tego jedynie powinna odbywać przechadzki, że piękna pogoda wzywa ją odetchnąć świéżem pól i lasów powietrzem; nie wtedy tylko ma kształcić swój głos w śpiéwie, kiedy jéj przyjdzie zachcianka; albo oddawać się gimnastycznym pożytecznym ćwiczeniom, gdy do nich znajdzie w sobie ochotę; wszystkie te zajęcia, muszą być poddane regularnemu następstwu. Dopilnowanie zaś ich przyniesie skutki niezawodne.*)

*) Théry: Conseils aux mères.

ROZDZIAŁ IV.

Piérwsze ocknięcie się intelligencyi w niemowlęciu. Jego otoczenie jest piérwszą jego szkołą. Władza assymilacyi. Matka od razu swój wpływ zaznaczyć powinna. Karmienie, jako wpływ moralny na dziécię i matkę. Zbyt wczesne rozwijanie dzieci jest szkodliwe. Matka powinna poważnie do zadania wychowawczego się przysposobić. Ojciec względem niemowlęcia ma obowiązki. Siła moralna i jednostajność humoru są warunki ustalenia wpływu wychowawczego. Wpływ pobożności matki.

Od chwili, w któréj niemowlę zaczyna rozpoznawać osoby i przedmioty, jakie je otaczają, w któréj zaczyna już objawiać skłonności, okazywać radość lub niezadowolenie; od téj chwili rozpoczęło się jego wychowanie moralne. Czyśmy sobie tego życzyli lub nie, czyśmy spostrzegli budzenie się dziécięcego ducha, lub czyśmy na nie pozostali ślepi; niemowlę już jest na téj drodze, na któréj wszystkie napotkane wpływy, wszystkie pomoce, lub przeszkody moralne, odbiją się w jego charakterze.

Każda władza człowieka, w jakimbądź stopniu rozwinięta, szuka mimowiednie udoskonalenia się pod działaniem wpływów zewnętrznych. W dziécięciu, to naturalne dążenie do rozwoju w każdym kierunku jest tak widoczne, że codzienny prawie postęp zaznaczyć się daje. Małe ciałko rośnie w stósunku, w jakim już nigdy w późniejszym wieku się nie powiększa; w piérwszych miesiącach waga jego prawie się podwaja; ruch członków z każdym dniem nabiéra siły i elastyczności; piérwsze błyski intelligencyi wprędce urastają do widocznéj już możności poznawania i rozróżniania twarzy otaczających, wola zaczyna się objawiać wyraźnie; słowem wychowanie, które niemowlę bądź naturalnie, bądź wskutek wpływów otoczenia nabywa — już się rozpoczęło. Już wtedy człowiek, jakimkolwiek będzie w przy-

szłości, wszedł na drogę stopniowego rozwoju, na któréj postęp od rodzicielskiego wpływu zależy;—postępowanie otaczających, już wtedy może i powinno się przyczyniać do położenia podstaw téj moralnéj budowy.

„Otoczenie niemowlęcia jest takiém pożywieniem dla jego umysłu, jak mléko matki dla jego ciała". Czy można o tém wątpić? Przypatrzmy się tylko széroko otwartym oczętom jego, rączkom wyciągającym się ku przedmiotom spostrzeganym: czy ten wzrok nie pragnie przyswoić sobie wszystkiego, co przezeń do umysłu dostać się może i złożyć tam wrażenie, czyli przyczynić się do rozwoju intelligencyi? Czy rączęta nie usiłują przez dotknięcie, przyswoić umysłowi pojęcia o jakości przedmiotów?

Ciało ma wyraźne potrzeby, o których zaspokojenie upomina się zaraz po urodzeniu i daje niejako wskazówki otaczającym, jakie są wymagania natury, co do jego rozwoju i wzrostu;—wychowanie umysłu, w piérwszych chwilach mądrość twórcza wzięła na siebie. Dary Boże, towarzyszące nam przez całe życie: światło, powietrze, dźwięki, kształcą zmysły niemowlęcia, uczą je obserwować, rozróżniać, wychowują jego umysł. Prawie bez naszego współudziału, dziécię uczy się rozróżniać wrażenia: ciepła i zimna, kształty przedmiotów, ich miękkość lub twardość, lekkość lub ciężar; uczy się oceniać swoję siłę, z pomocą oporu przedmiotów, jakie dotyka. Przyroda otoczyła niemowlę różnorodnemi barwami i kształtami, dzieła jéj, jak i dzieła ludzkie, mające rozmaite własności i przymioty, uderzając zmysły dziecka, tworzą w jego umyśle pojęcia i kształcą je, niezależnie prawie od woli otaczających.

Czyżby charakter niemowlęcia był jedyną stroną nie potrzebującą uprawy? Czy, kiedy ciało i umysł czerpią z otoczenia wpływy i za pomocą ich się rozwijają, uczucia jedne miałyby czekać późniejszéj epoki na zbudzenie się w piersi dziecka, lub w jego niemowlęctwie nie ulegać żadnemu oddziaływaniu?—Nic nas nie upoważnia do podobnego przypuszczenia. Widzimy, że przyzwyczaić można dziécię do spokojnego spania w łóżeczku, nie dawszy mu kołyski; do żądania pokarmu w pewnych godzi-

nach, jeżeli matka tylko w oznaczonym czasie piersi mu podawała; że z drugiéj strony, przyzwyczaja się ono do kołysania i inaczéj usnąć nie chce; że nawet do powijania, z rękami wzdłuż ciała przywiązanemi i nogami skrępowanemi, przyzwyczaja się tak, że rozwi zane i zwięzów uwolnione, spać nie może przez kilka piérwszych dni swobody: rączki bowiem kładzie sobie do oczu, drapie się, członki jego drgają, czując niezależność wolności — co mu spać spokojnie przeszkadza. Tych wszystkich przyzwyczajeń niemowlę nie powzięło naturalnie; nabyło je pod wpływem osób, udzielających mu opieki;—piętno ręki wychowawczéj, jest tedy na niém od piérwszych chwil widoczne.

Dziedzina uczuć jest zapewne mniéj widoczna; śledzenie ich postępu trudniejsze, objawy nie łatwe do zbadania, wszakże nie wątpijmy, że uczucia w niemowlęciu żyć zaczynają równocześnie ze stroną intellektualną; — są to dwie siostry od siebie zależne, idące w parze całe życie, jednocześnie téż do życia w dziécięciu się budzące. Z postępowania matek sądziéby wszakże można, że nie zdają sobie sprawy z tego wczesnego urabiania się charakteru w niemowlęciu. A przecież to matkę Bóg umieścił tak blizko serca dziécięcia, by mogła jaknajwcześniéj wpływać na budzące się uczucia! W jéj ręku złożył możność oddziaływania na jego charakter, związawszy ją z niém węzłem najsilniejszéj miłości, jaką serce ludzkie odczuwać jest zdolne. Miłość przez cały czas wychowania pozostanie środkiem najpotężniejszym, najwłaściwiéj i najkorzystniéj działającym, a matka ma od piérwszéj chwili w swém ręku tę nić przewodnią, po któréj miękkim, nigdy nie zerwanym wątku, dostaje się wpływ macierzyński do dziecinnego serca. W ciepłym, miłośnym promieniu, rozwijają się w dziecku uczucia i, jeżeli w piérwszym roku życia rozwój ten jest na oko niedostrzeżony, w gruncie musi być równie wielki i doniosły, jak rozwój fizyczny i intellektualny.

Jest w ludzie przekonanie, zakorzenione głęboko, iż dziécię *wdaje się* zwykle w swoję mamkę, że z mlékiem wciąga jéj przymioty i wady. Pewna wykształcona matka zapewniała mię, że jéj dzieci usposobieniem do siebie niepodobne, mają każde charakter swojéj mamki. Przekonanie takie jest fałszywe, jeżeli przymioty moralne dziecka przypiszemy mléku karmicielki. Za-

wartość mléka, co do części składowych, jest ta sama u wszystkich kobiét, z małą różnicą stósunku, która wpłynąć może zapewne na rozwój fizyczny dziecka, a témsamem wpłynąć na jego stronę moralną—ale tylko pośrednio; — nigdy wszakże, jako wpływ natychmiastowy i przenoszący w mléku mamki jéj moralne przymioty i wady. Ale przypatrzmy się bliżéj owemu przesądowi ludu, a zobaczymy, że jeżeli myli się on co do przyczyn, skutki obserwował od wieków i, na ich podstawie sądząc, błądzi tylko przez naznaczenie im fałszywego źródła. Łono piastujące dziécię — to piérwsza jego szkoła, nie dla tego, że łono to zawiéra pokarm niemowlęcia, ale że zawiéra duszę, serce, przymioty i wady, każdą matkę, każdą mamkę na osobną indywidualność urabiające.

Gdy się widzi dziécię u piersi, ssące słodkie mléko karmicielki, a jednocześnie wpatrujące się w jéj oczy, co się ku niemu z miłością zwracają; wtedy ma się jakby przeczucie, że ten stósunek, wiążący dziécię z jego mamką, nie ogranicza się jedynie do zaspakajania jego potrzeb fizycznych, ale, że w nim tchnie siła niezbadana, co przez cud sympatyi, udziela mu coś z moralnych karmicielki przymiotów. „Jest prawo duchowe, które znajduje zastósowanie we wszystkich epokach życia ludzkiego, ale które najsilniéj i najgłębiéj działa w wieku niemowlęcym. Jest to prawo udzielania się uczuć, prawo, że tak powiem zarazy duchowéj. Każda czynna, moralna indywidualność ludzka, zwracając się ku innemu człowiekowi, obudza w nim uczucia podobne swoim. Czynne przymioty ducha, zgromadzone w osobistości silniejszéj, przenoszą się na słabszą. Zarówno dzieje się to z odwagą, jak z trwogą, radością i smutkiem, z zapałem i obojętnością. Dziécię śmieje się i płacze z matką, nie znając przyczyny jéj łez, lub uśmiéchu; nim zacznie przemawiać językiem ze słów złożonym, rozumié już język uczucia. „Kto zna dzieci, ten wié, że w słowach powyższych zawiéra się głęboka prawda. Niemowlę tak do naśladownictwa pochopne, taką ma intuicyją uczuć, jakich doznają otaczające je osoby, szczególniéj te, które się niém opiekują, że mamki i niańki, by dać dowód, jak są przez niemowlęta kochane, mają zwyczaj wywoływania w nich przeróżnych uczuć. Mamka udaje, że płacze: dziécię natychmiast żałośnie płakać za-

czyna; chowa się przed niém, taki sam objaw smutku wywołuje; pokazuje się nagle z uśmiéchem na twarzy: dziécię się śmieje i cieszy. Matka gniéwa się i łaje służących: dziécię jeszcze mówić nie umiejące, robi marsa, mruczy coś pod nosem, naśladuje matkę, gniéwa się niby; jeżeli widzi kogo z otaczających bijącego starsze dziécię, niechybnie nauczy się bić i spróbuje swych sił na kimś z rodzeństwa. Najpiękniejszy dar człowieka—mowa, jest tylko naśladownictwem i może być taką tylko, jakiéj nauczyli dziécię ci, co je otaczają. Nie tylko przejmuje ono wyrażenia, ale ton, akcent, wymowę, nawet dźwięki głosu i tym sposobem idzie wślad za usposobieniem wychowawców. Wyrażenia i akcent, w późniéjszym wieku poprawić się dają; ale uczucia, jakie kierowały mową otaczających, te wniknęły głębiéj i nie pozostaną bez skutku na późniejsze życie dziecka. Jeżeli w około niego przemawiano tylko w słodkim i szlachetnym tonie, unikając ostrych i grubych wyrażeń, czyniąc ze słów piękną muzykę, w któréj podnioślejsza dusza dźwięczała; wtedy uczucia, jakie mowa otaczających budziła w dziécięciu, będą uszlachetniające, wychowujące małą duszyczkę dla dobra i piękna.

Władza assymilacyjna jest w dziecku posunięta do stopnia niekiedy prawdziwie zdumiewającego; zatém przepis działania na niemowlę nie jest łatwy. Należy pamiętać, że każdy nasz postępek odbije się w jego umyśle i zostawi w nim ślad, często zatarty w jego wspomnieniu, późniéj otrzymanemi wrażeniami, ale niezatarty w skutkach, jakie wywrze na jego charakter. Skutki te mogą być nic nie znaczące narazie; gdy jednak pomyślimy, że przy ciągłém oddziaływaniu tychże samych osób na dziécię, ilość takich wrażeń zbiéra się bardzo znaczna; przyjdziemy do przekonania, że co do kontroli, nad własnemi czynnościami, nigdy przesadzić nie można.

Dziécię jest źwierciadłem, w którém odbijają się przymioty i wady jego otoczenia. Dowiedzioną jest rzeczą, iż nawet czyny i słowa, których nie rozumié, robią na niém wrażenie, bo zachowuje je w pamięci, aż do wieku, w którym już wytłómaczyć je sobie potrafi. Dziécię tedy jest bardzo bystrym dostrzegaczem;

a ten zmysł obserwacyjny natura dała mu na to, by jego serce i umysł uczynić przystępnemi dla wpływów wychowawczych.

Wpływ przecież nie otrzymuje się nagle, w jednéj chwili. Gdy się jest matką, trzeba od piérwszych dni życia niemowlęcia wyrabiać w sobie tę siłę, która tworzy wychowawczynią. Kiedy słyszę matkę usprawiedliwiającą upór, niecierpliwość, złość i tyraniją dziécięcia tém, że jeszcze jest małe, żal mi téj matki, gdyż w dobréj wierze przypuszcza, że przyjdzie dla niéj i dla wychowańca chwila, w któréj role się zmienią, w któréj dziécię poczuje się uległém jéj wpływowi, ona zaś znajdzie w sobie siłę potrzebną do zapanowania nad wadami dziecka. Matce téj z góry wywróżyć mogę, że chwila ta nie nadejdzie nigdy.

Nigdzie tak, jak w wychowaniu, logika następstw nie jest widoczna. Ziarno kąkolu wrzucone w ziemię, nie może wydać pszenicy; skądże więc, siejąc w sercu dziecka wady uporu, samowoli, kapryśnéj niestałości, a same przywykając do słabości, nierozsądku, niedotrzymywania obietnic — to jest kłamstwa, wprowadzonego w system wychowawczy, jako pierwiastku stałego; skądże mówię, możemy nagle wzbudzić ufność w dziecku, skłonić je, by naszym słowom wierzyło, by naszéj władzy ulegało by ciągle podsycanéj w niém samowoli się wyrzekło, a nasz własny charakter, by się pozbył odrazu oddawna zakorzenionéj w nas słabości? Wychowując dziécię, kształcimy w sobie wychowawców. Niech matki nie myślą, by powyższe słowa były frazesem jedynie;—są prawdą bo je doświadczenie codzienne stwierdza. Jakżebym pragnęła, by każda matka swoję piérwszą pociechę piastująca, chciała je wziąć pod rozwagę! Ta mała istota, ten tworzący się między nią a matką od piérwszych chwil urodzenia stósunek—to przyszłość moralna całéj rodziny. Od nadania mu trwałéj, niewzruszonéj podstawy, zależy potém cały przebieg wychowania. Piérwsze dziécię zaraża samowolą młodsze rodzeństwo. Matka, która pogardzała powolném wstępowaniem na wyżynę obowiązku, nie znajdzie się na niéj nagle, za jednym wysiłkiem; upadać będzie bez końca i śliska droga przyzwycza-

jenia sprowadzi ją znowu do jéj podnóża, na którym pozostając długo, pocieszała się myślą, że jeszcze czas pielgrzymki nie nadszedł, że zawsze będzie pora ją rozpocząć, a przebyć ją można dzięki jednemu wysiłkowi. O, nie—stokroć nie! Od piérwszego przebłysku intelligencyi w dziecku, rozpoczyna się już jego wychowanie nadobre i matka swoję rolę zaznacza nieodwołalnie, dając dziecku od razu uczuć to stanowisko, jakie względem niego ma zajmować dopóty, dopóki z własnéj woli cofać się z niego konsekwentnie nie zacznie, zostawiając na swe miejsce religiją i zasady moralności, które w jego duszę własną ręką winna zaszczepić.

To stanowisko matka zajmuje czasem podstępem, na zasadzie prawa mocniejszéj fizycznie istoty, to jest: używając postrachu, kar, nagród, obietnic, oszukaństwa; ale dziécię czuje dobrze, że to jest uroszczenie chwilowe, siła gorączkowa, nienaturalna która zapewni wychowańcowi tém łatwiejsze późniéj zwycięstwo. Ale zwycięstwo kosztuje czasem tak wiele! Biédne dziécię traci na niém najpiękniejsze przymioty serca i umysłu; — wola staje się w niém samowolą, miłość samolubstwem, odwaga nierozwagą, wytrwałość uporem, a już w co się obraca uszanowanie dla rodziców, dla władzy wychowawczéj, o to trzebaby zapytać tych właśnie matek, co, ugruntowanie swego wpływu odkładając na jutro, jutra nie doczekały nigdy. „Piérwszy krzyk dziecka jest próbą; niedługo wszakże będzie rozkazem, jeżeli mała istota poczuje słabość matki". Bardzo prędko dowiaduje się niemowlę, co swoim krzykiem otrzymać może i czy w matce ma wychowawczynię, czy tylko słabą i powolną sługę, którą lekceważyć można.

W dziedzinie moralnéj to tylko się posiada, co się wysiłkiem rozumnéj woli zdobyło i matka nie jest jeszcze uposażona w przymioty wychowawczyni dla tego, że matką została. Duszę dziécięcia trzeba sobie zdobyć przez udoskonalenie własne i wychować ją dla Boga w miłości, która przez pracę wewnętrzną rozumną miłością się stała.

Rozwijanie przecież dziécięcia, otoczenie go atmosferą prawdy, pracy i miłości; wychowanie jego zmysłu spostrzegawczego, przez dostarczanie mu przedmiotów, na których mogłoby się kształcić; nie znaczy bynajmniéj, że rozwój umysłowy niemowlęcia przyspieszać należy. Nic owszem nadto szkodliwszego dla intelligentnéj jego przyszłości. Wcześnie rozwijające się dziécię starają się często matki i mamki rozwijać jeszcze przez uczenie go rozmaitych figlów, sztuk, przez rozbudzenie zbyteczne jego, już i tak dość wcześnie żyjącego, umysłu. Każą mu się popisywać z mądrością, uczą całych frazesów, na których powtórzenie potrzebuje wysiłku pamięciowego. Mózg dziecinny i bez tego skłonny jest do łatwego podrażnienia; pobudzanie zatém większego napływu krwi do mózgu, musi być dla niego szkodliwém. Nawet włościanki, zaniedbujące następnie najzupełniéj umysł dziecinny, każą dzieciom popisywać się z mądrością i często całą rodzinę bawią owym popisem, znajdując zadowolenie miłości własnéj w opowiadaniu kumom szczegółów dziécięcego rozwinięcia i w zapewnianiu, że jest ono „okropnie mądre".

Miłość, stanowczość, łagodność, zajęcie się dzieckiem odpowiednio do jego potrzeb przyrodzonych, ale nie przesadne i przedwczesne zmuszanie niemowlęcia do rozwijania się przedczasem; oto droga właściwego z niém postępowania. „Jest miara, jest porządek w którym rozwijają się władze umysłowe. Jeżeli w wychowaniu trzymamy się tego porządku i miary właściwéj—działamy zgodnie z prawami natury. Inaczéj, władze umysłowe muszą być przeciążone, bo im się podaje ciągle naukę trudniejszą, niż ta, którą bez szkody przyswoić by sobie mogły, lub też jeżeli ta nadmierna uprawa przyniosła rozwój większy, niż wiek dziecka usprawiedliwia, odniesiona nieprawidłowa korzyść pociągnie za sobą nieuniknioną szkodę, wyrównywającą, a nawet przewyższającą mniemane dobro. Bo natura jest rachmistrzem surowym i jeżeli z jednéj strony żądamy od niéj więcéj, niż wydawać powinna, reguluje natychmiast wagę, przez odejmowanie na innéj drodze".*)

---

*) Spencer.

Cudowne dzieci się nie chowają: jest to spostrzeżenie czynione od wieków. Zatém przyroda — ten „rachmistrz surowy" odejmuje najczęściéj na zdrowiu to, cośmy zyskali na umysłowéj uprawie. Wejdźmy między lud, a usłyszymy także często rodziców mówiących: „Pewnie się nie uchowa — bo zanadto mądre". A jednak im dziécię mędrsze, tém więcéj je męczą nauką przeróżnych, niezgodnych z wiekiem figlów, konceptów i słówek. W klassie wykształconéj dzieje się zwykle, że przez całe dzieciństwo i wiek chłopięcy, wymagają od umysłu coraz więcéj i więcéj, niżby ten dawać prawidłowo powinien. Jest to jedna z przyczyn, któréj przypisują upadek coraz większy sił fizycznych kształcącéj się młodzieży.

Przedwczesne natężanie umysłu, sprowadza nieprawidłowe zmiany w organizmie. „Jeżeli bowiem w młodości zużycie sił, potrzebnych do pracy umysłowéj, przechodzi widoki natury; ilość sił, pozostających do zużycia na inne potrzeby, zmniejsza się i schodzi niżéj, niżby stać była powinna, co wywołuje w ustroju fizycznym szkody rozmaitego rodzaju."

Charakterystyką dzisiejszego wychowania jest przewaga starań rodzicielskich, zwrócona prawie wyłącznie do strony intellektualnéj. Dwa drugie działy wychowania: moralny i fizyczny, pozostawione są odłogiem i mało kto zdaje sobie sprawę z téj prawdy, że, aby módz w pełni używać nabytéj wiedzy, trzeba posiadać — zdrowie. „Odkrycia fizyjologiczne wykazały, jak olbrzymi jest wpływ mózgu na funkcyje organów ciała. Trawienie, cyrkulacyja krwi, a stąd i wszystkie funkcyje organiczne, głęboko odczuwają podniecenia mózgowe". Doświadczenie codzienne okazuje nam młodzież, wyczerpaną fizycznie przez męczące nauki, zmuszoną nieraz porzucić je wskutek zrujnowanego zdrowia, zapadającą na rozliczne cierpienia — tak, że stan przeciętny zdrowia młodzieży w ostatnich czasach pogorszył się znacznie. Czas byłoby zwrócić na to baczną uwagę rodziców, aby, o ile to leży w ich mocy, ratowali dzieci swe od skutków nadmiernéj pracy umysłowéj, starając się o takie rozkład czasu, ażeby

*) Spencer.

zmęczenie, wywołane nauką, prowadziło konieczny wypoczynek za sobą; żeby ból głowy, rozpalenie policzków, uczucie osłabienia, nie były próżną dla nauczycieli wskazówką, ale owszem pociągało za sobą natychmiastowe uwalnianie od lekcyj; wreszcie żeby godziny nauki tak były rozłożone, by przedmioty trudniejsze, przeplatane były przedmiotami łatwiejszymi, a między jedną a drugą godziną pracy, było dane uczniowi przynajmniéj kilka minut odpoczynku. Dla młodszych dzieci trzy kwadranse najwyżéj na każdą naukę wystarczyć by powinno, z pozostawieniem między godzinami kwadransa odpoczynku.

Obserwując dzieci przy nauce, często nie mogłam się oprzéć przypuszczeniu, że roztargnienie ich, nieuwaga, lenistwo, nie tylko pochodzą ze złego wykładu, nie tylko są dowodem ruchliwości wyobraźni dziécięcéj, ale w wielu razach objawem zapobiegliwości natury, broniącéj się przeciwko nadmiarowi pracy umysłowéj, tak wielkie niedobory sprowadzającéj w organizmie, a nawet we władzach intellektualnych. Miałam sposobność przebywania z chłopczykiem bardzo delikatnym fizycznie, choć bardzo rozwiniętym umysłowo. Gdy skończył lat dziesięć, rodzice zapragnęli przygotować go do szkół. Przygotowanie to wprowadziło do jego nauk dwa języki: rosyjski i łaciński; a że już poprzednio uczył się po francuzku, niemiecku i naturalnie po polsku; nagle więc zaczęła się dla niego nauka naraz pięciu języków, obok innych nauk szkolnych w obcym języku nabywanych. Chłopiec bardzo roztropny i ożywiony przy zabawie i rozmowie, przy lekcyi stawał się leniwym, roztargnionym, chociaż tak czuł potrzebę nauki, że zawsze z ochotą próg pokoju szkolnego przestępował. Uskarżał się często na ból głowy, bywał rozpalony, osłabiony a wszystko to przechodziło po paru godzinach wypoczynku. Widocznie przeto praca była dla jego umysłu za wielka i przedwczesna; to téż ten umysł, zdolny doskonale pojmować naukę, odczuwał jednak naturalną, nieprzezwyciężoną niechęć do jéj przyjmowania; bronił się, jak gdyby natura złożyła w nim była jakąś ogromną władzę, niedopuszczającą nadmiaru pracy. „Jabym tak chciał się uczyć, ale nie mogę" prawie z płaczem powtarzał. Przy takiéj chęci, przy wyśmienitéj pamięci i jeszcze lepszém pojęciu; dziécię to okazywało pozory nieprzezwyciężonego lenistwa. Było jak człowiek, który

nie może niczém przeprzéć potrzeby wypoczynku. Ma pragnienia najsilniejsze dojścia do zamierzonego celu, spieszy się i ma zamiar najszczerszy nie spocząć ani na chwilę, aż stanie u mety; tymczasem—pada wśród drogi i usypia. Potrzeba naturalna zwyciężyła jego najgorętsze pragnienia.

Kobiéta karmiąca, która z rozbawionéj, młodéj mężatki przedzierzgnęła się w sumienną i troskliwą matkę, niech pomyśli, że niebawem przyjdzie chwila—nadeszła już może, w któréj zacznie być matką karmicielką w znaczeniu moralném. Niech się do téj chwili przygotowuje powoli, bo obowiązki jakie ją czekają, są trudne i wielkie. Najprzód niech zbada samę siebie. Grzechy swoje zna, nieraz się z nich spowiadała. Dziś niech własna jéj wyobraźnia, obok grzesznéj ludzkiéj istoty, jaką tyle razy przed spowiedzią badała, stawi jéj na oczy— matkę własnego jéj dziécięcia. Niech ją sądzi surowo w imię miłości i obowiązku a zawsze z przekonaniem, że jeżeli rad swych późniejszych dla dziecka nie poprze własnego życia przykładem, to niech mu lepiéj nie udziela ich wcale, bo dziecko swe nauczy tylko lekceważyć ją samą i podejrzywać o obłudę.

Po takiém zbadaniu własnéj osoby, niech matka rzuci wzrokiem do koła siebie. Jakiemi są osoby otaczające jéj dziecko a przede wszystkiém—jéj mąż? Jeżeli powiedzieć sobie może, że to jest ojciec kochający, człowiek, który ma o wychowaniu wysokie i nauką rozjaśnione pojęcie—to Bóg dał jéj błogosławieństwo wielkie. Niechże je umié cenić, a męża niech weźmie za wspólnika myśli i poglądów. Niech z nim rozmawia o wychowaniu, zdanie jego i rady bierze pod ścisłą uwagę, w wątpliwościach do niego się udaje, w punktach spornych stara się go przekonać, lub własne przekonanie odmienić, jeżeli to jéj rozum doradza. Z takich rozmów wypłynie światło zbawienne dla jéj dzieci, szczęśliwszych od wielu innych, bo posiadających jeden z najważniejszych warunków wychowania: zgodę i jedność wychowawców w poglądach i w sposobie postępowania z niemi. Gorzéj, gdy

matka zmuszona jest powiedzieć sobie, iż w mężu nie znajduje pomocnika w trudném swojém zadaniu.

Jest urzędnikiem, lekarzem, professorem, lub gospodarzem; cały dzień niéma go w domu, a gdy wróci potrzebuje, spokoju. Płacz dziecka go niecierpliwi; narzeka na wesołe wykrzyki i śpiéwy niańki; skoro zaś dziécię biegać i paplać zacznie, on utrzymywać będzie, że z domu uciekać trzeba, że mu głowa pęka od hałasu. Inny mąż częściéj w domu przebywa: znosi obecnosć dziecka z godną podziwu cierpliwością; bierze je na ręce, bawi się niém, pieści i całuje; wszakże widzisz odrazu, że to nie jest baczny i rozumny dla niego kierownik. Bierze on życie lekko, próżność zagłuszyła jego przymioty, egoizm zapanował w jego sercu wszechwładnie; albo téż miłość jego dla dziecka może się tylko zdobyć na pieszczoty, żarty i pobłażanie na wszystko, ale nie pojmuje miłości rozumnego wychowawcy.

Większa zresztą część ojców wcale się nie wtrąca do wychowania dziecka w piérwszéj epoce ich życia. Jakkolwiek zwyczaj podobny stan utrzymuje, rozsądna matka niech się stara pod tym względem swego męża przerobić. Dwie osoby jaśniéj i dokładniéj zbadać mogą przedmiot, niż jedna; powtóre, z wpływem ojca rzecz ma się zupełnie tak samo, jak z pozostawieniem, przez matkę zreformowania wychowania na czas późniejszy. Ojciec przyzwyczaja się do patrzenia na dziécię, jak na rzecz miłą, kochaną, ale do niczego, prócz wydatków materyjalnych nie zobowiązującą. O osobistém na niego oddziaływaniu niéma on pojęcia i w ogóle niejasną sobie zdaje sprawę z tego, że to jest przyszły człowiek i że wszystko, co go otacza, jest zadatkiem tego, czém bądzie późniéj. Ojciec, w piérwszych chwilach myśli może, że kiedyś przyjdzie dla niego pora wystąpienia względem dziecka w roli wychowawcy; ale tę chwilę odwleka; tymczasem nie przypatruje się bliżéj małéj istotce, nie bada, ani jéj praw, ani potrzeb; psuje ją, pieści, pobłaża, lub bez dokładnego zgłębienia przyczyny, podnosi głos, łaje, i na tém ogranicza swoję rolę ojcowstwa. Psuje pracę matki, jeżeli to praca rozsądna; dopomaga do znarowienia dziécięcia, jeżeli postępowanie matki ku temu zmierza. Przynosi zatém szkodę wychowańcowi i to nie

tylko chwilową, gdyż tym sposobem tworzy zawiązek stósunku, w jakim do dziecka na całe życie zostanie.

Jak w rządach, nagle wprowadzane reformy, bywają zwykle przez ludzi nowych; tak w wychowaniu, chyba jakiś wpływ nowy, przybywająca bona, nauczycielka, czy nauczyciel, zaprowadzając w wychowaniu radykalną zmianę, mogą na dziécię w sposób dotąd niepraktykowany oddziałać, rodzice zaś pozostaną na zawsze dla dziécięcia tém, czém byli poprzednio. Ojciec, który niemowlęciu nic ze siebie nie daje, który wiedzy swéj nie umié zużytkować na dokładne zbadanie jego potrzeb, i nie zwraca uwagi na postępowanie otaczających je osób, a przede wszystkiém na postępowanie matki; taki ojciec nazawsze pozostanie zerem, pod względem wpływu moralnego na dziécię.

„Prawie zawsze — mówi Spencer—mężczyzna uważa, system panujący w pokoju dziecinnym, za sprawę obcą dla siebie.—*Ja to zostawiam kobiétom* — odpowiada pytającemu o szczegóły, dotyczące się wychowania dziecka, a ton, z jakim wygłasza te słowa, najwyraźniéj wskazuje, że starania o dzieciach uważa za coś ubliżającego swojéj męskiéj godności. To téż gdy spojrzymy z podnioślejszego nieco punktu widzenia rzeczy, niezadawalając się zwykłym konwencyjonalnym poglądem; wtedy dziwném się zaprawdę wydaje, że gdy wychowanie wołów piérwszorzędnéj piękności jest tak ważnym dla ludzi wykształconych przedmiotem, iż nie wahają się poświęcić mu wiele czasu i głębszych naukowych badań, tymczasem wychowanie ludzi,jest dla nich k westyją, którą zdają się poczytywać za niegodną swojéj uwagi.

Mamy, które się nigdy niczego nie uczyły, oprócz języków i muzyki, mając dodane sobie do pomocy mamki pełne przesądów, uważają się za sędziów kompetentnych w kwestyjach ubioru, żywienia i ilości ruchu, jaki jest dla ich dzieci potrzebny. Ojcowie zaś przez ten czas czytają książki i artykuły gazet, uczestniczą w komitetach, robią doświadczenia i przeprowadzają dyskusyje, w celu odkrycia najlepszego sposobu tuczenia wieprzów, któreby medale otrzymały i t. p.“

Nie myślę zastanawiać się nad tém, co u nas przeszkadza ojcom, wglądać w sprawy dziécięcego wychowania, ale to pewna,

że i u nas pokój dzieci odwiédzany bywa przez ojca, najczęściéj w charakterze słabego rodzica, lubiącego wziąć w objęcia swoję pociechę, lub grzmiącego Jowisza domowego, przed którym drżą dzieci, bony i niańki; nader zaś rzadko w charakterze wychowawcy, który wié czego i dla czego tak, a nie inaczéj wymaga.

Ojcowie ci chyba nie wiedzą, że wychowanie dziecka wraz z jego urodzeniem rozpocząć się powinno. Legouvé, matce pytającéj go, kiedy nadejdzie pora właściwa rozpoczęcia wychowania jéj trzyletniego dziecka, odpowiedział: „Jeżeli pani, wychowania swego dziecka jeszcze nie rozpoczęła, trzy lata straciłaś bezpowrotnie.

Matka niech czyni, co może, żeby zainteresowanie się ojca dziécięciem uczynić zainteresowaniem kierownika, myśliciela, badacza. Wszak to właśnie rola ojca w rodzinie. Uwagi matki wiele ujść może; umysł ojca, ten umysł wytrawny, badawczy powinien doświadczenie matki wesprzéć nauką i męską rozwagą Pokój niemowlęcia niech matka stara się uczynić dla niego krainą dobrze znaną i nawiédzaną codziennie; niech w jego wzroku szuka kontroli nad czynnościami swemi; by je uwolnić od zarozumiałéj nielogiczności lub błędów w dobréj wierze popełnianych. Ojciec, patrząc rzadziéj, łatwiéj zwrócić może uwagę na rzeczy, których matka nie spostrzegła, patrząc na nie ciągle wzrokiem przyzwyczajenia. Moralna strona traci nieskończenie wiele na braku wpływu ojcowskiego i staje się uboższą o cały dział wrażeń, nabytków i wskazówek, jakie Bóg przeznaczył dziécięciu, dając mu ojca.

Pomijając tysiączne odcienia wad i przymiotów, jakie matka w mężu swoim odkryć może, powinna ona się starać ubezwładnić piérwsze, co do wpływu na dzieci, a drugie ku ich dobru skierować. Jest to możliwém dla rozumnéj kobiéty. Trudniéjszą, a nawet niesłychanie trudną jest rzeczą przerobienie męża, ale i tego próbować trzeba. Jeżeli jest to człowiek rozumny i kochający, a tylko z dziećmi i ich hałasem nieoswojony i po męsku niecierpliwy; można powoli przyzwyczaić go i wciągnąć do znoszenia dziecka. Późniéj ono samo wrodzonym wdziękiem przy-

ciągnie go, zainteresuje sobą, przywiąże do swéj dziecinnéj rozmowy. Do osiągnięcia tego celu potrzeba tylko trochy dyplomacyi macierzyńskiéj. Jeżeli mąż twój zmarszczone ma czoło i widzisz, że się należy wybuchu niecierpliwości spodziéwać, odprowadź od niego dziécię hałaśliwe i ciągle o wszystko pytające. Przeciwnie korzystaj z jego dobrego humoru i pobłażliwéj gotowości odpowiadania dziecku i znoszenia jego krzyku. Słowem od piérwszéj chwili staraj się wzmocnić stósunek ojca do dziecka i odwrotnie. Na męża ubogiego w wartość moralną, staraj się działać uzacniająco, a wpływ twój na niego niech będzie zawsze kierowany tą myślą, że jest to ojciec twych dzieci. Wierz, iż twoje usiłowania, wyrobienia w mężu przymiotów ojcowskich, nie będą zupełnie bezskuteczne; ale gdybyś widziała, że podołać temu zadaniu nie możesz, a próby twoje okazały się płonnemi, stań mocno o własnéj sile i powiédz sobie, że w twoich ręku jedynie, przyszłość moralna twego dziecka spoczywa. Im więcéj przeszkód w około, a mniéj pomocy w otaczających, tém większą i wytrwalszą siłę powinnaś wyrabiać w sobie; miłość i poczucie obowiązku da ci odwagę. Smiles powiada: „Wyrobienie odwagi nie należy zwykle do ukształcenia kobiéty, a przecież jest ono daleko ważniejszém, niż muzyka, francuski język, albo nauki przyrodnicze. Zamiast zgodzić się z Sir Ryszardem Steele, że kobiétę uważać trzeba jako *„czułą troskę i kochania godną słabość"*; powinniśmy raczéj wyrobić w niéj odwagę, natchnąć ją silném postanowieniem, a przez to uczynić ją zaradniejszą, świadomszą siebie, pożyteczniejszą i szczęśliwszą." Zdaje mi się, że nie znajdzie się nikt, coby chciał temu zaprzeczyć. Ale jeżeli męstwo i siła moralna potrzebne są kobiécie w ogólności; to w matce stanowić powinny podstawę, bez któréj wszystkie jéj plany i dobre chęci w niwecz się obrócą. I niech nikt nie sądzi, że owa siła i męstwo moralne wyklucza łagodność i wyrozumiałość. Przymioty te oswobodzą ją tylko od nerwowéj czułostkowości, wszakże nie znikną bynajmniéj. Słabość bywa popędliwą i namiętną, siła jest pogodną i wyrozumiałą.

Przez wyrobienie w sobie odwagi, matka pozyska jeszcze jeden przymiot niemałego w wychowaniu znaczenia. Jest nim jednostajność humoru. Czując w sobie siłę wytrwałą, spokojną

a dzielną; nie da się opanować troskom codziennego żywota. Małe niepowodzenia gospodarskie, wydadzą się jéj czém są: nieuniknionemi i nic nieznaczącemi wypadkami. Nieudane wielkanocne ciasto, zaledwo krótką skargę na jéj usta wywoła, wraz ze spokojną wymówką, dla winnego kucharza lub kucharki, ale nie zachmurzy jéj czoła, ani nie odbije się tonem znieciérpliwienia w odpowiedzi, jaką udzieli niezadługo o coś pytającemu ją dziecku. Zniebieszczona bielizna wywoła wprawdzie wymówkę dla praczki, ale będzie to tylko wymówka uczyniona z obowiązku, sama rzecz wyda się jéj błahostką wobec celu, ku któremu zdąża wytrwale. Jest też to błahostką w istocie, a przecież, ile to razy dzieci były niesłusznie łajane dla tego, że służący stłukł kosztowny półmisek lub wazę!

Gdy matka rozgniéwana podobném wydarzeniem, opryskliwie przemawia do dziecka; w tedy w serduszku, niepoczuwającego się do winy maleństwa, obudza się niesprawiedliwości uczucie.

Ta wytrwała i jednostajna siła, panująca nad charakterem, powinna się rozciągnąć i do rzeczy ważniejszych.

Matka w nieszczęśliwym lub niedobranym związku małżeńskim, niemoże być obojętną na swoję niedolę, a jednak obowiązkiem jéj ukrywać przed dziećmi swój stósunek do męża. Jeżeli złe jest tego rodzaju, że żadna wyrozumiałość, łagodność, uległość, perswazyje i dowody przywiązania nie są wstanie mu zaradzić wtedy kobiéta powinna jedno tylko zadać sobie pytanie: Jaki sposób wyjścia najpożyteczniejszy będzie dla dzieci? a znalazłszy go, iść w raz obranym kierunku, nie ulegając żadnym względom; choćby się o nie dopominało własne jéj serce. Kobiéta, która jest matką, powinna być matką przede wszystkiém. Powołanie żony jest wielkie, ale powołanie matki—jeszcze jest świętsze.

Niemowlę i dziécię z niemowlęctwa wychodzące, nie może jeszcze pojąć Boga, może Go tylko przeczuwać, jeżeli oczy mat-

ki widzi często wznoszące się do nieba, a kolana jéj zginające się w chwili gorącéj modlitwy. Wówczas dziécie, niewyraźne uczucie, wywołane tym widokiem, bezwiednie gromadzi do téj skarbnicy, która dopiéro w późniejszym wieku dla niego się otwiéra i powoli składane w nią wrażenia, poddaje pod sąd dojrzałego umysłu.

Gdy dziécię, już na młodzieńca wyrosłe, rzuci okiem w przeszłość; gdy spojrzy ku jutrzence dni swoich i zajrzy do tego świata rodzinnego, który je wypiastował, do tych kątów ukochanych, w których duch jego dotąd przebywać lubi—gdy z tych wspomnień powionie ku niemu tchnienie uczuć, jakiemi karmiono jego dzieciństwo: w tedy odnajdzie ono w nich i pobożność, która z macierzyńskich słów i uczuć do jego duszy wnikała. Twarz matki, dziś postarzała, a niegdyś młoda, w jakiéjże chwili wyryła się najgłębiéj w jego wspomnieniu? Oto w téj najpewniéj, w któréj małe rączki dziécięcia składała do modlitwy i oczy wznosiła ku niebu, zléwając w jedném westchnieniu podziękę za dziécię, które jéj Bóg dał i prośbę o jego życie, cnotę i szczęście w przyszłości. Ten wielki poryw myśli i uczucia, stanowiący modlitwę serdeczną, dawał obliczu macierzyńskiemu wyraz takiego zapału, że go dziécię odczuwało bezwiednie. Słów znaczenia nie rozumiało jeszcze, a już jego serce przygotowało się do uczucia pobożności. Czuło się pod opieką Stwórcy, chociaż ani Jego wielkości, ani istnienia pojąć nie było wstanie.

Taka uprawa serca pod późniéjszą naukę wiary powinna się zacząć od kolébki. Jak miłość dla rodziców dla tego jest tak silném uczuciem, że wzrasta wraz z nami, że jéj się od kolébki uczymy; tak miłości Boga, rzadko kiedy w wieku późniejszym rodzi się w sercu, jeżelibyśmy jéj nie mieli zaszczepionéj sobie w dzieciństwie.

Człowiek, wychowany w kosmopolitycznych przekonaniach, nie staje się nagle patryjotą, w chwili kiedy mu ojczyznę ukażą, — bo miłość kraju, jak każda miłość, nie jest przekonaniem — jest uczuciem, i siedlisko jéj nie w głowie, a w sercu się znajduje. Wiara w Boga nie rodzi się téż w tenczas, gdy nam naukę dogmatów podają; trzeba dla niéj otworzyć najprzód

serce, usposobić je, uprawić, wlać w nie miłość Bożą jak najwcześniéj.

To dzieło matki. Ręka jéj niech poprowadzi dziécię ku światłu wiary; niech mu w religii da wiernego stróża duszy „za którą odpowié przed Panem.“

ROZDZIAŁ V.

Wyjście z niemowlęctwa. Łakomstwo. Poszanowanie cudzéj własności. Grzeczność. Temperament i dziedziczność. Nieposłuszeństwo i upór. Kłamstwo. Prawda jest podstawą wychowania. Wyobraźnia dziecka. Próżność systematycznie rozwijana.

Wyjście z niemowlęctwa jest epoką bardzo ważną dla dziécięcia. Zaczyna mówić, może więc objawić swoje myśli; biega, może zatém podążyć za myślą krokami; ma zęby i może ich użyć na przeżucie podanych sobie pokarmów; zna wszystkich domowników, nazywa ich po swojemu i sympatyją rozmaicie obdziela; z dnia na dzień przybywają mu nowe wyrazy w mowie, nowe pojęcia w umyśle i matka spostrzega, że maleństwo ma już wyraźne skłonności, które ledwie mgły niemowlęctwa z siebie otrząsnąwszy, już pokazują się widocznie i usiłują narzucić się otaczającym. W tym wieku, dziécię wié już dokładnie, że jego matka jest stanowcza i wtedy ulega jéj bez szemrania, albo że jest słaba i wtedy staje się jéj tyranem; matka zatém już przy wyjściu z niemowlęctwa uczyniła dziécię szczęśliwém, to jest uległém i posłusznem, lub wiecznie niezadowoloném, to jest kapryśném i narowistém.

Jak w późniejszém wychowaniu najskuteczniéj działać można przez owładnięcie i skierowanie najwybitniejszych skłonności wychowańca; tak i w piérwszém dzieciństwie, trzeba się starać odkryć najsilniejsze upodobania dziecka i za ich pomocą władzę rodzicielską gruntować. Takiém upodobaniem, najwyraźniéj się ujawniającém, jest łakomstwo. Dziécię, wychodzące z niemowlęctwa, jest stworzeniem, nie tylko potrzebującém jeść, ale i jeść lubiącém.

Widok matki karmiącéj skłaniał je do płaczu lub uśmiéchu, jedynie dla tego, że piersi jéj zawiérały ulubioné jego pożywienie; radowało się zarówno do łyżeczki, lub do flaszki z gutaperkowym korkiem, jeżeli sztucznie karmioném było; teraz widok ulubionych potraw jest najsilniejszém ze wszystkich wrażeniem. Matka, okazując się stanowczą przy wydzielaniu jedzenia, władzę swoję w umyśle dziecka zaznacza. Najczęściéj wszakże się zdarza, iż matka właśnie najwidoczniéj na tym punkcie słabość swoję uwydatnia.

Wnoszą naprzykład małego Jasia do pokoju w chwili, kiedy matka naléwa herbatę. Na stole stoją ciastka tłuste i niezdrowe, których lekarz dziecku zabronił. Matka wié, że Jaś już jadł kolacyją, że pora spania dla niego się zbliża, że, przeładowawszy żołądek malca, zgotuje mu noc niespokojną. Ale przede wszystkiém boi się jego krzyku; woła więc zdaleka na niańkę, żeby go nie wnosiła albo prędko serwetą ciastka przykrywa. Jaś widział ten ruch i domyśla się zdrady; doświadczył jéj już nieraz, spogląda na matkę z niedowierzaniem, a pod serwetą przeczuwa zakazany owoc. Wyciąga rączki, płacze i nareszcie odkrywa serwetę. Wtedy matka się śmieje, daje dziecku ciastko i coprędzéj wysyła z pokoju, a męża woła, żeby mu powiedziéć, jaki Jaś jest *rozumny* — „Zaraz poznał, żem go chciała oszukać" — mówi ze śmiéchem. Nie widziałam jeszcze tak mądrego dziecka". Mąż opowiada to wydarzenie babci lub cioci i cała rodzina cieszy się z rozumu Jasia.

Matka ta już pozwoliła się osądzić dziecku. Osłabiła w niém wiarę w prawdomówność swoję i dała mu poczucie jego własnéj wyższości. Zapewne w rocznem, czy dwuletniém maleństwie, pojęcie to jeszcze jest bardzo niejasne, i jako prawda, ledwo przed niém majaczy; ale zastósować to spostrzeżenie Jaś wkrótce potrafi. Widząc, że krzykiem i napiéraniem się może zwalczyć matkę, nie zaniedba tego środka przy każdéj sposobności. Przeciwnie, jeżeli matka, nie chowając przed Jasiem ciastek, upieści go tkliwie na dobranoc, ale na jego napiéranie się odpowié stanowczo: *nie można*, i słowa swego nie cofnie; Jaś zapłacze wprawdzie za piérwszym i drugim, a może i trzecim razem, ale za

czwartym święcie uwierzy matczynemu *nie można*—i prośby nie powtórzy.

Jeżeli dziécię jest już wstanie zrozumiéć tłómaczenie; matka może mu go udzielić, może mu powiedzieć:—„*Nie można Jasiu, bo cię będzie brzuszek bolał, będziesz płakał w nocy, obudzisz mamę i niańkę i sam nie będziesz mógł spać*".—Jeżeli w tym razie tłómaczenie jest trudniejsze, bo zawiéra jedynie przewidywanie na przyszłość; w innych razach tłómaczenie matki, nawet przez małe dziecko zrozumianém być może.— „Nie bierz na ręce kotka, bo cię udrapie. Nie bierz do buzi pieprzu, bo gorzki".—Dziécię było już zadraśnięte przez kotka, miało już w ustach gorzkie rzeczy i rozumié od razu tłómaczenie matki. Nigdy jednak i dla żadnych względów, nawet w chorobie dziecka nie trzeba używać kłamstwa.

Oprócz wiary w prawdomówność matki, można dziecku małemu dać pojęcie o własności i jéj poszanowaniu.—„*Nie można tego brać, bo to cioci; nie ruszaj tego, bo to babci,*"—Są to przestrogi, które już wybornie zrozumié, tém bardziéj, że przyjemność posiadania jest mu wrodzona. Dziécię wié, że kołyska do niego należy; płacze skoro które z rodzeństwa w nią się kładzie; swojéj kołderki, sukienek, filiżanki, z któréj pije, nie lubi dawać nikomu, a już dziecko roczne krzyczy i łzami się zaléwa, gdy widzi inne, ssące pierś jego matki lub mamki. Dziecko, wychodzące z niemowlęctwa, wiedzieć już może, że jest wiele w domu przedmiotów, których dotykać niéma prawa, bo są własnością cudzą; zégarek jest ojca i on tylko może go pokazać dziecku i otworzyć kopertę, brać go samemu nie wolno; drobiazgi na gotowalni lub półkach są matki własnością, ona je tylko pokazuje dziecku — lecz samo ruszyć ich niéma prawa. Dobrze jest, aby mały człowiek, który, gdy dorośnie, poddany będzie prawom, jakie w kraju panują, od dzieciństwa wiedział, że są rzeczy dozwolone i niedozwolone, a cudzą własność otaczał poszanowaniem.

Przyzwyczajenie dziecka do grzeczności, nauczanie go, by o wszystko prosiło, za wszystko dziękowało, pożyteczne jest, nietylko jako forma, ale jako zaszczepienie w niém poczucia obowiązku wdzięczności za otrzymywane dary i choćby drobne przysługi. Z początku ustami jedynie ono wymawiało słowo „dziękuję," lecz powoli słowo to zacznie budzić w sercu uczucia wdzięczności, wprawdzie nie dosyć często napotykane wśród ludzi, lecz piękne, wzniosłe i uzacniające serce, w którém się zrodziło.

Gdy dziécię zrobi małą przysługę matce, przyniesie stołeczek pod nogi, czy podniesie rzecz upuszczoną, matka powié mu téż „dziękuję", a dziécię będąc tym razem obdarowującém, nie obdarowaném, uznaje, że mu się wdzięczność należała, więc i stósunek tego uczucia, wyrażonego podziękowaniem, do otrzymanéj przysługi zrozumié.

W ruchliwém i ciekawém stworzonku, zaczyna się już na dobre przejawiać temperament. Jest łagodne lub popędliwe, powolne lub prędkie, sprytne, rozmowne i pamiętające wszystko, co usłyszy, albo z trudnością pojmujące i jakby umysłowo zaspane. Matka zapytuje siebie skąd wzięło się takiém? a w ślad za tém pytaniem przychodzi drugie:—„Czy dziécię przynosi ze sobą temperament i skłonności, czy, jak utrzymują niektórzy, dusza jego jest kartą białą, na któréj wszystko ad libitum napisać można?"

Pomimo, że rozstrzygnięcie téj kwestyi przedstawia pewne trudności, dla matki jednak myślącéj, przedmiot ten obojętnym być nie może; dla tego téż ośmielę się wypowiedzieć przekonanie moje w tym względzie — przekonanie, poparte zresztą zdaniem współczesnych powag pedagogicznych.

Dziécię przynosi z sobą temperament. Wady, przymioty, usposobienia, są w niém, jak śpiące w ziemi ziarnka owych roślin, które czasem lat kilka oczekują chwili sposobnéj, żeby wzejść i rozbudzić się do życia. Dziécię, rodząc się, takie zarodki charakteru ze sobą przynosi. Jedno posiada już wtedy wszystkie wa-

runki bujnego rozrostu, inne jest wątłą i nikłą roślinką, wymagającą troskliwego a umiejętnego starania.

Natura nie może być niekonsekwentną. Czyż dając niezaprzeczenie dziecku pamięć, zdolność do muzyki, poezyi, rysunku, mechaniki, rachunku, języków i to w stopniu tak rozmaitym, czyniła by duszę jego białą kartą pod względem charakteru? Wszystko, co z jéj rąk wychodzi, jest pokombinowane rozumnie, skądby się więc tu wzięła taka nielogiczność? Wszak zdolności oddziaływają na charakter i odwrotnie; wszak są przymioty i wady rodzinne, których nawet wychowanie nie zmienia całkowicie; przymioty i wady narodowe, przywiązane do klimatu, tradycyi, rodzaju pożywienia. Jakże często podobieństwo fizyczne, nałogi, dziécię otrzymuje w spadku po rodzicach? Czyżby ich charakter nie udzielał podobnych także własności?

Papillon, w studyjum swojém nad dziedzicznością, podając mnóstwo dowodów podobieństwa, przyzwyczajeń dzieci do przyzwyczajeń rodziców, daje za przykład dziecko trzymiesięczne, które zakładało nogę na nogę zupełnie w taki sposób, jak to zwykł czynić jego ojciec. Znam młodą dziewczynkę, któréj matka umarła, wydając ją na świat; przykład więc działać tu nie mógł, a mającą ten sam ruch ust, to samo zacinanie się w mowie i mruganie oczami, które miała matka. Inne dziecko, nieznające babki lub dziadka swego, dawno leżącego w grobie, będzie naprzykład miało ruchy, głos, tak uderzająco do którego z nich podobne, że zwracać będzie uwagę tych wszystkich, którzy znali tę babkę lub dziadka.

Charakter nie może podlegać warunkom innnym, jak ciało a szczególniéj jak zdolności tak wybitnie się przejawiające.

Pogląd mój zapewne podzielą matki rodzin liczniejszych. Wiedzą one bowiem, jak każde z ich dzieci inne objawiało od najmłodszego wieku skłonności, jak innego z każdém potrzeba, było postępowania,

Dziedziczność i niedocieczone, przed urodzeniem jeszcze działające wpływy, obdarzają dziécię indywidualnością; lecz wychowanie i okoliczność zmienić je mogą. „Indyjanin rodzi się ze wzrokiem niesłychanie bystrym. Wzrok ten staje się jeszcze bystrzejszym, bo warunki, w których rozwija się pokolenie, od-

działywają i na jednostkę, ową przyrodzoną bystrością wzroku obdarzoną. Gdyby jednak Indyjanin znalazł się w dzieciństwie wśród społeczeństwa oświeconego i został na naukę do zegarmistrza oddany; władze jego wzroku inaczéjby się rozwinęły i w krótce widziałby lepiéj z blizka, z daleka zaś gorzéj, niż jego przodkowie. Tak działają na jednostkę wpływy otaczające i nadające jego rozwojowi kierunek." *).

Trzeba tu często wiele i ciężkiéj pracy; ale im obowiązek macierzyński był trudniejszy, im święciéj został spełniony; tém więcéj zasłużone błogosławieństwo, jakie na dobre matki zléwają wszystkie społeczeństwa i wszystkie narody.

W dziecięciu tedy daje się już zauważyć wybitnie indywidualność. Wady i przymioty zarysowują się coraz wyraźniéj i matka śledzić je powinna starannie, bo im wcześniéj pracować nad niemi zacznie, tém lepszych doczeka się owoców.

Pomówię tu pokrótce o zwykłych wadach dziecinnych.

Najwybitniéj zarysowuje się: nieposłuszeństwo i upór.

Na rozwinięcie piérwszéj z tych wad, składa się zarówno temperament dziecka, jak słabość, beztaktowność wychowawców i, że tak powiem, nierówność i niekonsekwentność ich postępowania. Jak tylko dziécię pojmować zacznie, matka powinna uspokoić się niejako w sobie i znaleźć dość siły do opanowania zarówno słabości, jak niecierpliwości i uniesień, aby dziécię nie znalazło jéj nigdy bezsilną i mdłą moralnie, ani téż zbyt wymagającą i niewyrozumiałą, Niech dziécię czuje, że zależność jego od matki jest zawsze ta sama, nie rozluźniająca się, ani ściśniająca kapryśnie. „Przywrócenie karności — mówi Ascher — jest daleko trudniejsze, niż utrzymanie jéj zawsze w jednakowym stopniu."

Nie przeczę, że jedostajność, równość, spokój postępowania, jest o tyle rzadkim, o ile trudnym do nabycia przymiotem. To

---

*) Johann Arendt, Gedanken ueber Erziehung und Unterricht.

téż matka, nie posiadająca go w swym charakterze, musi go w sobie wyrabiać przez ciągłą uwagę na siebie i bezustanne zwracanie myśli na dziécię i jego wychowanie.

Jeżeli nieposłuszeństwo nie jest narowem, wypływającym ze słabości wychowawcy, ani z wrodzonéj skłonności dziécięcia; to siedliska uporu trzeba szukać głębiéj, gdyż bywa on już objawem charakteru. Dziécię, prowadzone ze stanowczością i miłością, rzadko bywa upartém do wysokiego stopnia; odrobinę uporu ma jednak prawie każde. W niektórych wada ta nad wszystkiemi góruje, utrudniając niesłychanie zadanie wychowawcy. Upór wszakże niekiedy jest silnéj woli zarodkiem.

Bierne to i ślepe zastósowanie woli, ale w małém dziecku jedynie możliwe. Zdarzyło mi się raz spotkać u jednego z naszych wielce zasłużonych pedagogów matkę, która, chcąc umieścić syna w jego zakładzie, uważała za stósowne wyznać, iż jéj chłopiec bardzo jest uparty: „To dobrze" odpowiedział, jakby ciesząc się z tego, pedagog. Po wyjściu matki, prosiłam o objaśnienie. „Najwyżéj w człowieku cenię silną wolę"—odrzekł pedagog;— dziecko zaś które nie było upartém, nigdy jéj miéć nie będzie. Jest to spostrzeżenie, które w długoletniéj mojéj pracy nad młodzieżą, nigdy mię nie zawiodło."

Nie ulega wątpliwości, że jeżeli upór jest silną wolą, źle skierowaną; silna wola, jest uporem zwróconym ku dobremu i pod prawa rozumu poddanym, Matka więc z upartém dzieckiem, postępować powinna bardzo oględnie. Jeżeli upór dziecka staje w sprzeczności z wolą matki, powinien być ugięty koniecznie; ale spostrzegłszy tę wadę w dziecku, może na objawy uporu go nie narażać. Gdy naprzykład dziécię ma ochotę wyjść na przechadzkę, pomimo niepogody, a matka przewiduje, że je ta ochota doprowadzi do wybuchu uporu, może bez osłabienia swéj władzy wymyślić prędko jakąś zajmującą zabawkę, która by mu wybiła z głowy piérwszą zachciankę. Jeżeli może nie wymagać od niego rzeczy narażających je na zacinanie się w uporze, a są to rzeczy błahe i mogące być pominięte bez szkody dla charakteru dziecka i władzy matki; niech będzie oględną i pobłażliwą; niech się stara, by dziécię słuchało jéj przez miłość, nie przez uczucie bojaźni.

Dzieci, nie mające matki, powszechnie obudzają litość dla tego, że czujemy instynktowo, iż zbawiennego pierwiastku miłości zabraknie w ich wychowaniu i że nic go zastąpić nie może. Mówiąc miłość, rozumiem miłość rozumną. Nią walcz z uporem dziecka; niech przywiązanie do ciebie stanie się tą siłą, która zwróci jego własną uporczywość ku pokonaniu osobistéj zachcianki. Jest to możliwém, nawet w dziecku bardzo małém; ale jeżeli dwie wole wasze staną naprzeciw siebie, musisz koniecznie okazać się silniejszą, bo piérwsze ustępstwo prowadzi cały ich szereg za sobą i sprawi, że cię dziecko lekceważyć będzie, czego dopuścić nie powinnaś.

Z tego téż względu szkodliwym jest zwyczaj matek grożenia dziecku surowością ojca, lub innéj osoby w domu, któréj się lęka.—„*Cicho, bo zaraz powiem tatce.*"—„*Tatko idzie.*"—W tym razie najczęściéj popełniamy kłamstwo obok groźby, bo ojca niema w domu.—„*Chodź zaprowadzę cię do ojca.*"—Tu matka ciągnie za rękę dziecko, z krzykiem się jéj wydziérające. Innym razem matka wychodzi do drugiego pokoju, pobędzie w nim chwilę i wraca ze słowami:—„*Zaraz tatko przyjdzie.*"—Podczas jéj nieobecności niemądra niańka szepnęła dziecku.—„*Nie bój się! mama nie poszła po tatkę, mama jest w drugim pokoju.*"—Co za fałsze, wykręty, kłamstwa! Jakie podanie w wątpliwość władzy macierzyńskiéj, jakie podkopanie wpływu jéj na dziecko! Jeżeli dziś, kiedy ma trzy lata, poradzić z niém sobie nie umiesz i potrzebujesz straszyć je ojcem; bądź pewna, że jakiémkolwiek stanie się dziécię w przyszłości, twojemu wpływowowi nic zawdzięczać nie będzie. Możesz przepędzać przy niém bezsenne noce, dawać mu się tyranizować z zapomnieniem własnych upodobań, nadskakiwać mu i drżéć o nie w każdéj chwili; będzie rosło, jak dziczka obok gruszy, wyciągając przeznaczone dla niéj soki, zabijając jéj żywotność, wcale jednak nie uszlachetniając się jéj sąsiedztwem,

A jednak pomyślmy, co za szczęście, ślad swego przejścia na ziemi w duszy dziecka zostawić! „Patrz, oto dzień prędko przeminie—mówi Caryle—życie nasze kończy się rychło; nadejdzie noc, w któréj nam już o czynach żadnych nie myśléć. A gdy noc przyjdzie, to i całe szczęście nasze w nicość się rozwieje.

Lecz praca nasza—ta nigdy nie zniknie." A czy może być praca piękniejsza i w owoc obfitsza, jak wychowanie dzieci? Ty i one znikną ze świata, ciała wasze będą prochem, a jeszcze praca twoja krzewić się będzie we wnukach i prawnukach i po za grobem będziesz mogła powiedzieć: „żyję!"

Jedna matka, pięćdziesięcioletnia i posiwiała już kobiéta, niegdyś bardzo światowa i rozrywkom oddana, mówiła mi raz ze łzami w oczach: „Żałuję teraz tych wszystkich chwil, z których dzieci moje okradłam, oddając je światu. Dziś pozostał mi po nich niesmak tylko i znużenie a szczególniéj żal, że na dzieciach moich obce tylko wpływy widzę. Nic z nauk swych i przymiotów nie są mi winne, a wieleż wad usunąć mogłam! Znam ich twarze — dusze ich oddaliły się od mojéj, bo nie mam ich zaufania."

Drugą wadą, przejawiać się już mogącą w małém dziécięciu, jest pociąg do kłamstwa. Dziécię widzi się samém w pokoju, ogląda się więc, czy nikt nie nadchodzi i chwyta przedmiot, którego mu dotykać nie wolno. Jeżeli to przysmak, chowa się z nim i jé; jeżeli to przedmiot ciekawość jego obudzający—bawi się w kącie nim i psuje. Albo dziécię przychodzi do matki i pyta, czy może pójść na spacer? Matka odpowiada, że nie, bo jest za wielkie błoto. Dziécię biegnie do niańki i mówi:—„*Mama pozwoliła.*" Spostrzegłszy taką skłonność, bardzo często zresztą objawiającą się w dzieciach sprytnych i żywych; matka prędko tamę położyć jéj powinna. Śledząc postępowanie i rozmowy dziecka, niech obmyśli środki zaradcze. W maleństwie nie może tak, jak w starszém dziecku obudzić zamiłowania prawdy, przez zaszczepienie poczucia jéj świętości i piękna; może tylko odzwyczajać je od kłamstwa i przekonać o jego bezużyteczności i szkodliwości. Postępowanie tak warunkuje się tu okolicznościami, że trudno podać najwłaściwsze i najskuteczniejsze sposoby! Matka znajdzie je z łatwością, byle je obmyślała spokojnie. Kłamstwo, które w dorosłych takim staje się nałogiem, że często popełniają je dla saméj przyjemności; w dziecku wykorzeniać trzeba systema-

tycznie, najprzód własnym przykładem, potém pokazaniem dziecku na każdym kroku, że kłamcy nikt nie wierzy. Jeżeli naprzykład kłamliwe dziecko opowiada co, matka spokojnie odrzec może:— „*Niewiem, czy to prawda; gdyby to powiedział tatko albo ciocia, wierzyłabym; ty powiedziałeś nieprawdę wczoraj, więc dziś wierzyć ci niemogę.*"—Dziécię zaręcza, że mówi prawdę. protestuje przeciw niedowierzaniu okazanemu sobie: wtedy matka mówi mu łagodnie i spokojnie:—„*Więc dobrze, wierzę; ale jeżeli się kiedy przekonam, że powiedziałeś nieprawdę, niedziw się, że ci nigdy wierzyć nie będę.*"

Niestety, zdarzyło się raz w rodzinie pewnéj, że dziécię, moralizowane w ten sposób rzekło:—„*I tatko mówi nieprawdę.*"— I, jako przykład, opowiedziało fakt dobrze mu znany. Jest to rzeczą straszną, że bardzo często przykładów podobnych rodzice nie szczędzą dzieciom. Jeżeli kłamstwo nie odnosi się do faktów, co przecie często się zdarza, to odnosi się do uczuć. Dzieci słyszą, że się o kimś mówi z lekceważeniem i wstrętem, a przyjmują się go z otwartemi rękami. Co za lekcyja wyśmienita obłudy!

Boleść i oburzenie ogarnia, gdy się widzi matki wszczepiające zawczasu w dziecko nieufność do słów swoich. A jednak ogół matek tak postępuje.—„*To cukierek Maryniu*"—mówi matka, podając dziecku niesmaczny proszek. Marynia, skosztowawszy, widzi, że matka skłamała i drugi raz z pewnością jéj nie uwierzy.

Marynia jest już zdrowsza, ale jéj lekarz zabronił jeść owoców; chowają je przeto przed nią starannie. Dziécię wchodzi nagle, gdy matka lub starsze dzieci jedzą wiśnie. Matka, niemogąc ukryć spełniającego się faktu, krzywi się nagle i wstrząsa; mówi do Maryni:—„*To be! Nie dobre.*"—A inne dzieci naśladując matkę, jak na komendę, robią miny, jakby po zażyciu trucizny. Marynia nie wierzy, napiéra się i dąsa, wynoszą ją płaczącą i rzucającą się ze złością na ręku niańki. Matka Maryni, wychowuje sobie rodzinę kłamców.

Nie ganię tu chowania przed dziécięciem rzeczy, których jeść nie może. Jest to tylko oszczędzenie biédnéj dziecinie tortury patrzenia na owoce zakazane, a dotykające jego struny najdotkliwszéj, jako łakomego zwierzątka; ale gdy dziécię owoce

zobaczy, nie wmawiaj w nie, że są nie dobre, ale powiedz ostateczne a nieodwołalne słowo: „*nie można!*" Obok fizycznego wychowania, miéj ciągły wzgląd na moralne i wierz, młoda a niedoświadczona matko, że daleko łatwiéj poskromić piérwsze zachcianki dziecka, niż następnie wszystkim dogodzić.

W wydzielaniu pożywienia, bądź jak we wszystkiem wyrozumiała, łagodna, ale stanowcza. Bądź opatrznością dziecka, ale mu się przez słabość wyzyskiwać nie daj, bo oprócz szkody fizycznéj, przynosisz mu nieobliczoną szkodę moralną. Wiem, że, czytając ostatnie słowa, posądzisz mnie o przesadę i powiész, że małym rzeczom nadaję kształty olbrzymie. Jeżeli jednak życie całe składa się z drobnostek, które często w następstwach rosną do nieobliczenie wielkich skutków; to wychowanie pod tym względem jeszcze jest drażliwszéj natury. Ziarna kłamstwa i uporu krzewią się prędko, a są z początku małém nieposłuszeństwem dziecka, lub figielkiem, poczytywanym mu za mądrość rzadką w tym wieku. Mamy je zrazu za rzecz błahą, a jednak w krótce życie zatruć nam mogą i są już plamą na czystéj duszy dziécięcia. Szczególniéj kłamstwo, tę brudną i wstrętną podszewkę naszego żywota, odrzućmy daleko od siebie. Niech się jéj dziécię dotknie jak najpóźniéj, z odrazą, jaką go przejąć nie zaniedbujmy. Strzeżmy je pod tym względem od wpływu otaczających. Służący mają upodobanie w straszeniu, oszukiwaniu i opowiadaniu dzieciom fałszów; uczyńmy wszystko, co tylko można, by dzieci od tego wpływu zabezpieczyć, a choćby udać się to w zupełności nie mogło, przynajmniéj sami bądźmy dla naszych dzieci uosobieniem prawdy. To niezawodnie jest możebném. W następstwie nasuną się niejakie trudności, o których wspomnę niżéj, wszakże ufność w prawdomówność swoję można wzbudzić do tego stopnia, że dla dzieci: „*mama tak powiedziała*" będzie ostateczném rozstrzygnięciem, każdéj kwestyi. Można to w dzieciach do takiego stopnia posunąć, że nie będą mogły zrozumiéć, by matka w czémkolwiek mylić się mogła.

Do pewnéj prawdomównéj matki (byłam tego świadkiem), przybiegło raz z ogrodu dwoje dzieci, z których jedno pięć, drugie sześć lat miéć mogło.—„*Prawda mamo*,—zawołał Oleś,—*że bratek ładniejszy od fijołka, a Julcia mówi, że fijołek ładniej-*

szy?"—„*Julci lepiéj się podoba fijołek, a tobie bratek,*"—odrzekła matka.—*Ale mama niech powié, który z tych kwiatków ładniejszy?*"—„*Który ładniejszy? Nie wiem, ale ja wolę fijołek.*"—Oleś, starszy z dzieci zafrasował się:—„*Kiedy tak*—rzekł—*to Julcia powiedziała prawdę.*"—Matka napróżno starała się wytłómaczyć dziecku trudność rozstrzygnięcia kwestyi, gdy idzie o upodobanie. —„*Już pewno fijołek ładniejszy,* mówił, *kiedy mama więcéj go lubi, bo mama zawsze prawdę mówi.*"— Nie umiał jeszcze chłopczyna zastósować teoryi o różności upodobań, ale wiedział, że matka zawsze mówi prawdę. Można zaręczyć, że matka ta nie oszukiwała nigdy Olesia, że nie wmawiała w niego, iż lekarstwo gorzkie, było słodkiém; że dziad zabiéra w worek dzieci niegrzeczne; że nasypanie soli na ogonek ptaka, ułatwi jego złapanie; że bocian przynosi dzieci, albo z głów kapuścianych one wychodzą. I jakże prawdomównością ułatwiła sobie zadanie wychowania, przez sam wpływ, jaki prawda zawsze na umysł ludzki wywiéra, jakąż korzyść moralną przyniosła dziecku, dając mu możność szanowania matki!—Nad pozyskanym szacunkiem dziecka—drogim skarbem zaiste— rozwodzić się nie będę, jako nad korzyścią, którą matka odnosi. Chodzi mi tu przede wszystkiém o dziecko.

Pragnęłabym miéć złotą wymowę, by gromy potępienia rzucić na kłamstwo i obłudę rodziców, tak czuję bezmierną krzywdę, jaka się przez to dzieciom wyrządza:—„*Lepiéj, abyś mu kamień do szyi uwiązał i do wody rzucił, niżbyś je zgorszył,*"— mówi Pismo święte. A czy możesz wlać mu w duszę zjadliwszą truciznę jak nauczyć je kłamać?

Znam rodzinę, w któréj towarzystwo starszych, podczas zimowych wieczorów, grywa w karty dla zabawy. Cała przyjemność téj gry zasadza się na oszukiwaniu żartem ciotki, mającéj wzrok bardzo krótki. Dzieci są obecne, widzą podstępnie wyciągane asy i figury; śmieją się, patrząc na ciotkę, cieszy je gdy się oszukaństwo uda, pomagają w niém nawet, podając karty pod stołem. Czy to nie codzienna nauka kłamstwa?

Miłość dla dzieci, poczucie rodzicielskiego obowiązku, niech postępki twoje, matko, i usta oczyści z tych szumowin uczuć. Jeżeli sama prawdy pokochać nie zdołasz,

nie odejmuj dziecku twemu możności jéj ukochania. Miłość prawdy da mu szczęście i pokój wewnętrzny, którego pozbawić go nikt nie jest w stanie, da mu siłę potępienia złego, zarówno w drugich, jak w sobie; nie pozwoli mu hołdować próżności i pozorom, a postawi w jego duszy najszczytniejszy ideał prawdy i sprawiedliwości. A ty sama, jeżeli prawdy nie dasz za podstawę wychowaniu twojego dziecka, będzie to gmach budowany na piasku. Przyjdą wiatry i nawałnice—życie przyniesie je dziecięciu twojemu—i zburzą gmach, pod którego gruzami spocznie cała praca twoja. Tylko prawda jest ową opoką, na któréj człowiek w ewangielicznéj przypowieści budował gmach swój: „*Dęły wiatry, biły gromy, a on stał nieporuszony.*" Takim będzie i gmach moralny wzniesiony ręką twoją, jeżeli dasz mu prawdę za podstawę. Cegiełkę po cegiełce znoś, a buduj, a umacniaj z trudem i znojem, bo tylko trud owoce przynosi. Wszystko, co możesz, czyń, by w dziecku zaszczepić wstręt do kłamstwa; miłość twoja niech czujną straż przy niém postawi, by złe nie zaraziły go przykłady, a rozum niech bada pilnie, niech dostrzega nawet odcień złego najlżéjszy, nie lekceważąc niczego.

Umiejmy przecież odróżnić kłamstwo od tego, co jest tylko płodem imaginacyi dziécięcia.

Dziécię bowiem ma niezmiernie żywą wyobraźnią. Już trzyletnie tworzy sobie obrazy, zadziwiające czasem dokładnością i dowcipem. Stawia naprzykład trzy przedmioty na stole, z których jeden jest mamą, drugi tatkiem, trzeci starszym bratem lub siostrą. Za trzy te osoby dziécię mówi samo, zbliżając mamę do tatki, tatkę do braciszka. Posłuchajmy tylko paplania malca. Naśladuje on gruby głos ojca, co mu się wcale nie udaje; cienki matki, co mu się udaje lepiéj; z zadziwiającą dokładnością powtarza wyrażenia i łajanie ojca, tłómaczenie się matki, jednostajny głos, jakim starsze dzieci wydają lekcyją. Innym razem komponuje sceny jaskrawe. Widziało gdzieś na ulicy lub na wsi matkę bijącą dziécię; więc scenę tę odtwarza, widząc w grubszym

klocku drzewa matkę, w opalonéj zapałce — dziécię. Matka wymierza razy niemiłosierne; dziécię płacze, a morały, jakich mu udziela, są zupełnie te same, które mały aktor słyszał z ust swoich rodziców. Innym razem małe dziécię wystawia sobie, że jest psem. Chodzi na czworaku, szczeka, kąsa niby, chwyta za suknią, żąda, by je uderzono, co znowu daje mu sposobność skowyczenia i skomlenia. Kładzie z papiéru wyciętą koronę na głowę i robi poważną minę — jest królem; podłużny papiér z otworem, przez który przekłada głowę, mający reprezentować ornat czy komżę—czyni je księdzem. Wchodzi na stołek, przedstawiający kazalnicę i głos modelując komicznie, wystawia sobie, że każe. Chwilami przerywa sobie mowę, naśladując wzdychanie ludu. Innym razem włoży coś, co ma udawać okulary—jest babcią; stuka obcasami a czoło marszczy—to tatko. Głowa jego pełna jest podobnych pomysłów, ale przechodzą one czasem w kłamstwo i wtedy poskramiać je należy. Dziécię wraca ze spaceru i z całą pewnością opowiada naprzykład, że widziało konia ze skrzydłami (kiedyś jakiś wizerunek Pegaza wpadł mu w ręce), albo ogromnego słonia, bawiącego się ze lwem: wtedy matka prędko tamę opowiadaniu położyć powinna, tłómacząc dziecku, że to nieprawda, a nieprawdy nigdy mówić nie trzeba, słowem, zostawiając dziecku imaginacyją, jako ozdobę żywota, nie trzeba jéj pozwolić przeradzać się w kłamstwo.

Są rodziny, w których rozwijanie próżności w dzieciach odbywa się systematycznie. Zaledwie dziécię okazało piérwszy przebłysk rozumu, już każde jego słówko, każdy postępek wzbudza podziw w otaczających je osobach. Malec domyśla się łatwo, że jest przedmiotem powszechnéj admiracyi; widzi, że miłość rodzicielska objawia się w formie próżności i samo téż próżnością przesiąka od wczesnego dzieciństwa. Im daléj postępuje w lata, tém wada ta, przy odpowiednich warunkach, coraz więcéj w niém się rozwija. Dziécię za każdém słówkiem, wypowiedzianém przy innych, ogląda się, czy zwracają na nie uwagę, czy zwykły po-

dziw obudza; — cokolwiek mówi, zawsze ma na celu wywołanie pochwały.

Goście muszą wysłuchać wszystkich jego konceptów, figlów, wierszyków; wobec gości, dziécię pragnie prześcignąć się w mądrości i nienaturalności. Powoli zaczyna wyobrażać sobie, iż nie można prowadzić innéj rozmowy, jak na temat o jego doskonałościach. — „Widziałem dzieci — mówi Fenelon — które, ile razy spostrzegły, że między sobą rozmawiano pocichu myślały zaraz, że się to do nich ściągało.. Tak bowiem wobec nich postępowały najbliższe im osoby; uwierzyły przeto, że są uosobieniem doskonałości."

W rodzinach liczniejszych próżność mniéj się w dzieciach rozwija: lecz tam, gdzie mało jest dzieci, lub tylko jedno, tam wszyscy nad jéj zaszczepieniem najsumienniéj pracują. Szczególniéj matki jedynaków pozbawione są właściwéj miary w tym względzie i zawsze sobie wystawiają, że syn lub córka jest wyjątkowém i cudownėm dziécięciem.

Niemowlę nie rozumié jeszcze pochwał, w koło niego głoszonych; ale niech już wtedy matka przyzwyczaja otaczające je niańki, bony, krewnych i przyjaciół do oględności i baczności na siebie. Piérwsze pochwały niech przyjmie zimno, niech okaże, iż ją ani tak bardzo cieszą, ani zajmują; niech odzwyczaja systematycznie wszystkich od owéj plagi wychowania rodzinnego, owéj rozpływającéj się w rozkosznych dymach, zadowolonéj z siebie próżności.

Pochwała dana dziecku, niech będzie nacechowana powagą. To zachęta, któréj mu odmówić nie można. Ale niech mu będzie udzielona tylko w obecności rodziców i nauczycieli — nigdy przy obcych.

Gdyby rodzice mogli się domyśléć, jak brzydki, wstrętny wyraz zarozumiałości mają ich dzieci, jeżeli się w nich próżność obudzi, nigdyby się nie zgodzili na oszpecenie nim młodzieńczych ich twarzyczek.

ROZDZIAŁ IV.

Ciekawość wrodzona dzieci. Opowiadanie. Umiejętność słuchania. Nauka o rzeczach. Nauczanie początkowe. Czytanie dziecinne. Szkodliwy wpływ bajek na małe dzieci. Bona. Nauka obcego języka. Moda francuzczyzny.

Od najmłodszego wieku dziecko o wszystko się pyta. Stwórca, dając mu tę ciekawość, dał zarazem możność oświecenia się, poznania nieskończonéj liczby przedmiotów, które choć do właściwéj nauki nie należą, dają jednak podstawę wiedzy wszelakiéj. Nie zdajemy sobie sprawy, ilu to rzeczy dziécię nauczyć się musi, nim nadejdzie chwila nauki książkowéj. Wszak wszystkie ogólne pojęcia, których przyswojenia sobie nie pamiętamy, stopniowo wchodziły do naszego umysłu. Dziécię zbliża rączkę do płomienia—nie wié, że parzy; zaczołgawszy się nad staw, wpada weń—nie wié, że w wodzie utonąć może; nie wié nic o życiu, nic o sile nieprzepartéj zjawisk natury, o nazwie uczuć, jakich doznaje; musi więc uczyć się wszystkiego, na co my już nie zwracamy uwagi, a co umysł jego trzyma w ciągłéj pracy i natężeniu. Jeżeli z téj pracy lat piérwszych zdamy sobie sprawę; poznamy, że dziécię nauczyło się mnóstwa rzeczy, kierowane tym twórczym popędem, który intuicyją zowiemy. Wszak tylko przez intuicyją poznało ono znaczenie wszystkich wyrazów, zawiérających pojęcia oderwane, nazwę uczuć i t. p. W latach czterech lub pięciu dziécię tak obszerny ma dykcyjonarz wyrazów, że już wiele rzeczy nieznanych zrozumiéć potrafi. Lubi téż namiętnie opowiadania.—„*Niech mi mama co opowié*"— jest jego prośbą codzienną. Słuchałoby bez końca, a matce przybywa możność, wywiérania wpływu na dziecko jednym sposobem więcéj i zapełnienia małéj główki wielostronnemi wiadomościami. Niech z tego korzysta skwa-

pliwie. Zna już ona wybornie słownik swego dziecka; wié, jaki okres, jaki wyraz dziécię zrozumiéć może, a tak umié się zniżyć do pojęcia małéj główki, że z oczu w nią wlepionych, widać zaraz, jak jest pojmowaną wybornie.

Są jednak matki i niańki, nie zważające na to, czy każdy wyraz ich odpowiadania dokładnie przez dziécię jest zrozumiany; opowiadają monotonnym głosem i zamiast rozwijać, usypiają raczéj umysł wychowańca. Nie będę się rozszérzać nad nieużytecznością takiego opowiadania, ale zwrócę uwagę matek na wielkie korzyści, jakie dziécię osiągnie ze słuchania umiejętnie prowadzonéj z niém rozmowy — innémi słowy, gdy się je słuchać z uwagą nauczy, co jest umiejętnością wysokiego znaczenia. Nie posiada jéj na przykład nasz włościanin, który tak się przyuczył słuchać kazania, nie rozumiejąc go, że już nie natęża wcale uwagi, nawet gdy kapłan przemawia językiem do jego pojęcia zastósowanym. Trzeba go dopiéro obudzić podniesionym i odpowiednio modulowanym głosem, wykrzyknikami, westchnieniami, a i wtedy, jeżeli się nastręczy jakiś okres trudniejszy, do którego rozwikłania potrzebowałby niejakiego natężenia umysłu, nie zrobi on żadnego wysiłku z swéj strony; po prostu słuchać przestaje i drzémie, albo myśli o czém inném. Wyjątki od téj reguły są rzadkie i należą do nich ludzie, którzy postawieni w innych warunkach, mogliby stać się znakomitymi uczonemi, albo myślicielami. Przyczyną téj obojętności jest, że włościan naszych nikt w dzieciństwie słuchać nie uczył. Z chłopskiém pacholęciem nikt nie rozmawia, nikt mu nic nie opowiada, chyba bajkę, a ta wcale do jego pojęcia nie jest zastósowana. Jest to bajka, w któréj głównie odgrywają rolę czarownice, królewicze, zbójcy, smoki, o czém dziécię nie ma wyobrażenia. To téż w szkółkach wiejskich najtrudniejszą rzeczą jest obudzić w dzieciach uwagę. Jeszcze wyuczyć je czegoś na pamięć dosyć łatwo przychodzi; ale dojść z niemi do téj doskonałości, by zrozumiały to, co sobie przyswajają pamięcią — przedstawia często nieprzezwyciężone trudności i dla tego tak ciężko uczą się one czytać, dla tego tak mało zadają sobie trudu, by rzecz przeczytaną zrozumiéć. Dzieje się to nie tylko przy nauczycielach złych i niesumiennych, ale i przy tych, co poświęcając się nauce wiejskich dzieci nie dla zarobku,

ale z czysto filantropijnych pobudek, całéj usilności dokładają, by dzieci mogły ich objaśnienia zrozumiéć, i nigdy nie używają takich wyrazów, którychby znaczenia nie znały. Niestety! dzieje się często to samo i z dziećmi oświeceńszych rodziców.— Matki, nie wdrażając dzieci do korzystnego słuchania, przygotowują nauczycielom bardzo ciężkie zadanie; bo obok nauki właściwéj, przychodzi nauka słuchania, trudniejsza prawie od piérwszéj, bo walcząca z zakorzenionym już nałogiem. Tu opatrznościowa rola matki ma rozległe pole do trudu, opłacającego się niezmierną w następstwie korzyścią. Rozmowy z dzieckiem otwiérają przed nią jego duszę, ułatwiają śledzenie postępu w rozwoju umysłowym, a dziecku udzielają tysiące wiadomości, podanych z rozsądkiem, miłością, które obok umysłu rozwijają i serce.

Matka opowiada na przykład z czego się robi chléb i obok wiadomości o zbożu i mące, mówi o pracy ludzkiéj, o jéj pożytku, o uznojoném czole robotnika, o Opatrzności Bożéj, która małemu ziarnku wrzuconemu w ziemię pozwala wydawać plon obfity.

W dalszym ciągu dziécię dowiaduje się o różnych sposobach otrzymywania soli, cukru, o wyrabianiu papiéru, o sposobach dobywania rudy żelaznéj o przetapianiu jéj, o zastósowaniu pary do lokomotywy, fabryk i t. p.

Wzór prowadzenia takich rozmów znajdzie każda matka w dziełku: *Les récréations instructives,* które uwieńczone zostało na wystawie londyńskiéj. Jest w niém wiele rzeczy nauczających i opowiedzianych łatwo, ze ścisłością naukową, a jednak w sposób tak zajmujący, że dzieci, słuchając, ani na chwilę się nie nudzą. Zresztą do takich rozmów najdrobniejszy przedmiot może podać sposobność.—„Nie potrzeba nawet do tego książki—mówi Delbrück.—Ucząc dzieci nie naśladuj twych dawnych nauczycieli, nie szukaj po głowie formuł, określeń, wedle których uczono cię rzeczy dawno zapomnianych. Usiłuj raczéj dziecku wytłómaczyć to, co sama wiész o każdym przedmiocie, swoim sposobem—sposobem matkom właściwym, zajmując, bawiąc, uśmiéchając się, kochając. Jesteś w obecności małego dziécięcia; z pewnością nie zna ono wielu przedmiotów, które ty dobrze poznałaś. Objaśniaj mu je więc, nie tak, jak tobie objaśniono, ale, jak je sama w obecnéj chwili pojmujesz; mów o wszystkiém, co jasno w twym

umyśle utkwiło, nie patrząc w książkę, ale w oczy dziécięcia".— Wyraz oczu małego słuchacza powié matce, czy jest dokładnie pojmowaną, czy słowa jéj przynoszą spodziéwany pożytek. Arago, wykładając astronomiją licznym słuchaczom, szukał wzrokiem tego z nich, którego twarz wyrażała najmniéj intelligencyi i nie spuszczał z niego oka, śledząc na nim wrażenia swego wykładu. Jeżeli w jego twarzy dostrzegł ślad najlżejszego znużenia, natychmiast usiłował jeszcze jaśniéj i przystępniéj się tłómaczyć. Pewnego dnia rzekł do przyjaciela:—„Tegoroczny mój kurs astronomii będzie lepszym, niż wszystkie inne. Odkryłem w mojém audytoryjum skończonego głupca, w którym przecież potrafiłem obudzić zajęcie. Podobnie matka niech usiłuje być jasną, zrozumiałą i dla umysłu swego dziecka dostępną, niech przemawia do niego językiem czystym, bo dziécię przejmuje zarówno język poprawny, jak błędny; jedno zaś i drugie, jednakiéj po niém pracy umysłowéj wymaga. A jakże wiele potém musi jéj zużywać na poprawianie zepsutéj mowy! Za przestrogę w tym razie niech służy doświadczeniem wielokrotnie stwierdzony pewnik, że dziécię, źle języka uczone, trudniéj nałamać do dobrego nim władania, niż dziécię, które się go wcale nie uczyło. W ogóle niech matki nie zapominają w wychowaniu dzieci, o sile, jaką ma przyzwyczajenie. Przysłowie mówi, że staje się ono drugą naturą. Nic nadto prawdziwszego! Bo i do trucizny przyzwyczaić się można.

Wszakże Herbert Spencer idzie jeszcze daléj.

„Nauka o rzeczach—powiada on—nie tylko, że powinna być inaczéj udzielaną, niż to zwykle ma miejsce, ale i ogarniać daleko więcéj przedmiotów. Przede wszystkiem należałoby ją na znacznie dłuższy przeciąg czasu rozłożyć i nie ograniczać jéj do rzeczy, znajdujących się w domu, ale objąć nią wszystko, co widzimy: na polach, łąkach, w lasach, kopalniach i t. d. Nie powinnaby się kończyć z piérwszym okresem dzieciństwa, lecz trwać przez dalszy czas młodości i to w taki sposób, by się zlać mogła następnie z poszukiwaniami naturalisty i uczonego. I tu możemy iść za wskazówkami natury. Czyż jest żywsza przyjemność nad tę, jakiéj doznaje dziécię, zrywając kwiat nieznany, znajdując owad, jakiego jeszcze nie widziało, lub zbiérając kamyki

i muszle? I któż nie widzi, że sympatyzując z zachwytem dziecka, jaki w niém widok tych przedmiotów obudza, można je doprowadzić do dokładnego zbadania ich własności i całéj nawet budowy? Botanik, który spróbował poprowadzić dzieci w lasy i na łąki, mógł zauważyć zapał, z jakim się one przyłączają do jego pracy; gorliwość, z jaką wynajdują mu rośliny; wytężoną uwagę, z jaką śledzą jego badania; rozbudzoną ciekawość, z jaką zarzucają go pytaniami. Uczeń Bacona, konsekwentny sam z sobą, sługa i tłómacz natury — zrozumié, że powinien skromnie iść za wskazówkami dawanemi sobie w ten sposób. Dziécię, oswojone już z własnościami pospolitemi ciał nieorganicznych, powinno być prowadzone tym samym torem do zupełnego zbadania przedmiotów, spotykanych podczas codziennych przechadzek. Zacząć tylko należy od faktów jak najprostszych: w roślinach zauważyć barwę, kształt listków, łodyg i gałązek; w owadach: ilość skrzydeł, nóżek, macek i barwę. Gdy te fakta będą już zupełnie i dokładnie zbadane, należy przejść do innych; w kwiatach obserwować: liczbę słupków i pręcików, kształt korony; czy jest kulistą, czy dwuboczną; układ liści: czy są naprzeciwległe, naprzemianległe, szypułkowate, bezogonkowe, lśniące, kosmate, ząbkowane lub gładkie? W owadach należy obserwować podział ciała, znaki na skrzydłach, ilość i budowę nóg, położenie najmniejszych organów, a zawsze w celu rozbudzenia w dziecku ochoty do samoistnego poznawania i badania. Późniéj, gdy wiek stósowny nauki nadejdzie, można wskazać dziecku, sposoby przechowywania tych roślin, którym tyle ceny nabyte wiadomości dodały; nadto dostarczyć mu potrzebnych przyrządów do zabezpieczenia poczwarek motyli, dla obserwowania ich przemian. Jest to zabawa jedna z najżywiéj zajmujących umysł dziécięcy, zabawa, która twać może lata całe i która téż, nietylko że daje początek kollekcyi entomologicznéj, nietylko że podnosi urok wszystkich niedzielnych przechadzek, ale nadto staje się doskonałym wstępem do nauki fizyjologii."

W istocie, dziécię prowadzone w ten sposób jeszcze nie rozpoczęło właściwéj nauki, ale o wielu rzeczach ma dokładne pojęcie i jego szczupła erudycyja ułatwi mu zdobycie wiedzy w przyszłości. Jest ona wszakże mało znaczącym jeszcze nabyt-

kiem w porównaniu z nawyknieniami, jakie w ciągu nauki o rzeczach zdobywa. Nawyknienia zaś te polegają na tém, iż umysł dziecka przyucza się zastanawiać nad wszystkiém, co je otacza. Pyta o wszystko, a jego wątpliwości tak się mnożą i tak wchodzą w coraz szersze zakresy, że matka musi być bardzo wykształcona, by mogła odpowiedzieć na wszystkie dziecka pytania. Bez rozbudzenia jednak tego zmysłu spostrzegawczego na zjawiska, choćby najmniejszego znaczenia, nie byłoby odkryć i wynalazków.

Spadające jabłko z drzewa, naprowadziło Newtona na odkrycie prawa grawitacyi. Zjawisko było codzienne, pospolite; umysł przecież wielkiego męża nie spoczął, aż doszedł jego przyczyny. Daleką jestem od myśli, by każde dziecko, rozwijane według téj metody, miało być w przyszłości Newtonem; ale przywodząc ten przykład, pragnęłabym zachęcić matki do nadawania dzieciom od razu tego kierunku, który, jak widzimy, najskuteczniéj do samodzielności prowadzi.

Zalecając wszakże matkom rozmowę z dziećmi, jako jeden z najważniejszych środków rozwijania ich umysłu, nie chciałam przez to powiedzieć, że jestem zwolenniczką nauki dorywczéj i jakby podawanéj dziecku z nienacka. Rozmowy matki mogą i powinny być nauczające, nie zastąpią przecież nauki formalnéj, którą, jako *obowiązek* traktować należy.

To święte słowo: „*obowiązek*" niech dziécię twoje przyucza się rozumiéć od najmłodszego wieku. Jak z obowiązku stawiało porządnie przy łóżku buciki; tak teraz niech w oznaczonym czasie rozpoczyna swą lekcyją. Podrastające maleństwo niekoniecznie ma być obciążone pracą. Nauce może poświęcić kwadrans lub pół godziny dziennie, ale niech to już będzie nauka porządna, bez odrywania się od niéj dla jakiéjkolwiek rozrywki. Niech dziécię porzuca zabawki, niech nawet nie dojé swego śniadania, nie dopowié innym dzieciom powiastki, skoro bijąca godzina do obowiązku je wzywa. I naukę można, a nawet trzeba uczynić zajmującą dla dziecka; ale gdy w ciągu niéj napotka trudności, niech przywyka uważać je za rzecz nieuniknioną, którą pokonać własnym wysiłkiem powinno. Ucząc jednak mało, należy uczyć dobrze, systematycznie, sumiennie, nie pozwalając

dziecku iść daléj, dopóki piérwsze kroki stawia niepewnie, bo piérwszy ten posiéw—to zadatek przyszłego plonu, to podwalina gmachu przyszłéj wiedzy, któréj rozmiarów żadne oko objąć nie zdoła—gdyż jest nieskończoną. Ale właśnie dla tego, że w tym wieku na naukę, pojętą seryjo, jeszcze pora nie przyszła; dobrzeby było, gdyby te pół godziny pracy, każda matka, pragnąca dobra swojéj dzieciny, wyłącznie wzięła na siebie. Prócz niéj bowiem nikt nie może lepiéj ocenić sił umysłowych dziecka, rozumié się, jeżeli sama zajmowała się niém od chwili, gdy władze jego zaczęły się budzić z uśpienia.

Z tego pokazuje się, jakie stanowisko umysłowe matka względem dziecka zająć powinna.

Kto nie idzie naprzód, ten się cofa— prawda to stara jak świat—a młoda matka z wiedzą częstokroć powierzchowną, nie ugruntowaną i nieprzetrawioną rozmyślaniem, zapomniałaby wkrótce i téj odrobiny, jaką pod przymusem szkolnym nabyła. Dziécię miałoby w niéj troskliwą bonę, ale oświeconéj kierowniczki nie znalazłoby z pewnością. Pozwalając ograniczonéj swéj wiedzy umniejszać się codziennie, matka musiałaby zasmakować w literaturze powieściowéj wyłącznie — trudno bowiem przypuszczać, by nigdy nic nie czytała — a z téj, dla niéj saméj, niewielka korzyść wypłynąć może, dla dziecięcia zaś żadna.

Z tych przeto powodów sądzę, że matka, oświecając swoję małą gromadkę, sama się kształcić i oświecać powinna. Często kierunek dzieci jéj wskażą, jeżeli przez wybitną do jednego przedmiotu zdolność, samę do kształcenia się w nim pobudzą. A urobienie sobie jednolitego systematu wychowawczego, wybór drogi dla chłopców, która przynajmniéj w części od matki zależy, czyż nie wymaga, by szła z postępem nauki i wiedziała czego chciéć, nie przez kaprys jedynie, ale z głębokiego przeświadczenia, zdobytego rozmyślaniem i pracą? Ah! wiedza nigdy nic nie popsuła; tylko jéj brak daje nam zarozumiałych półmędrków.

Od takiego zarozumienia pragnęłabym niektóre matki uchronić. Gdy brak znajomości jakiego przedmiotu nie pozwala im dać dziecku dokładnego o nim objaśnienia, niech wstyd fałszywy wobec dziecka nie doprowadza je do kłamstwa lub wymijają-

cych odpowiedzi. Dziécię np. zapytuje, dla czego księżyc raz bywa okrągły, a drugi raz pokazuje się tylko, jako skrawek mały. Jeżeli matka czuje, że mu tego zjawiska wytłómaczyć nie może, zamiast zbywać dziecko krótkiém: „Daj mi pokój!" niech raczéj powié:—„Tatko, albo pan N. wié to lepiéj od mamy; poprosimy go o wytłómaczenie nam tego.—„W wieczór, gdy przyjdzie ojciec, matka zażąda objaśnienia, którego sama słuchając, tłómaczy dziecku trudniejsze wyrażenia, a którychby pojąć nie mogło; następnie stara mu się rzecz wyłożyć na dotykalnym przykładzie. Bierze dwa kłębki i świécę, i, jeżeli widzi, że uwaga dziecka nie odbiega, w skutek znużenia, od przedmiotu, tłómaczy mu rzecz całą, dopóki dziécię nie zrozumié dokładnie. Jeżeli zaś okazuje roztargnienie, wynikające z umysłowego zmęczenia, odkłada dopełnienie nauki na dzień następny. Jest w takiém przyznaniu się do niewiadomości cóś niezmiernie wzruszającego. Dziécię wcale nie traci szacunku dla matki, jeżeli widzi, że się kształci dla niego, że o pomoc udaje się do ojca, lub kogoś oświeceńszego; traci go jedynie wtedy, gdy się przekona, że matka, dla ocalenia źle zrozumianéj godności osobistéj, dała mu tłómaczenie fałszywe, że udaje umiejętność, nie posiadając jéj wcale. Jeżeli matka nie ma w koło siebie nikogo, coby mógł odpowiedzieć na tego rodzaju pytania, ani książki, przedmiot objaśniającéj; niech poprostu powié dziecku: „Ja się tego nie uczyłam i nie umiem ci tego wytłómaczyć. Jak pójdziesz do szkoły, a nauczysz się, to sam mamie objaśnisz." Jeżeli jednak do takiéj ostateczności matka niekiedy dojść musi, powinna się starać wszelkiemi siłami, by to jak najrzadziéj się zdarzało.

Obok rozmowy z dzieckiem, przychodzi już czas czytania mu powiastek dziecinnych, życiorysów i t. p. przedmiotów. Literatura dziecinna, niedawno jeszcze tak uboga u nas, coraz więcéj się rozwija. Samo wydawanie w Warszawie trzech pism dziecinnych świadczy o postępie w tym kierunku. Że jednak są

to pisma dla dzieci różnego wieku; więc spotykają się w nich artykuły napisane językiem nieprzystępnym zupełnie dla dzieci poczynających się dopiéro umysłowo rozwijać.

Nie można więc dość gorąco zalecać matkom, by wieczorną przyjemność własną, jak zebrania towarzyskie, wizyty i teatr poświęcały czytaniu z dziećmi i objaśnianiu rzeczy mniéj dla nich dostępnych. Będzie to składanie skarbów w sercu i umyśle dziécięcym, których *ani mól nie zjé, ani złodziéj nie zabierze.* Wobec tego, czémże jest zadowolenie próżności, poklask świata, lub artystyczna przyjemność, choćby najbardziéj podnosząca jéj ducha? Nie mówię tu o bezwzględném wyrzeczeniu się ludzi i świata; pragnę tylko, by przestawanie z dziećmi stało się dla matki chlebem powszednim, by serdeczny swój zapał przeléwała na mały, własny światek, zamiast go nieść w ofierze zabawom i próżności. Ileż to ważnych objawów skłonności dziecinnych ujdzie oka matki, niekierującéj czytaniem małych ciekawców, ile straconych chwil, w których mogłaby znaléźć sposobność poznania ich serc do gruntu i oddziaływania na nie skutecznie!

Jeżeli dziécię czyta samo, w nieobecności matki, cel podwójnie chybiony, bo najprzód wielu rzeczy z tego, co czyta nie pojmie, choć przedmiot mógłby zajmującym być dla niego; a powtóre, nieprzywykłszy zasięgać objaśnień u starszych, pomija miejsca niezrozumiałe, traci wątek logiczny i nabywa wady traktowania powierzchownie wszystkiego. Lenistwo i lekkomyślność już i tak jest naszą narodową przywarą; trzeba więc starać się, by dziécię, czytając rzeczy mało dla siebie przystępne, wady téj nie nabywały; owszem przyuczały się sięgać do rdzenia przedmiotu. Również gdy im się daje do czytania rzecz dla ich wieku i umysłowego rozwinięcia nieodpowiednią, zaszczepiamy w nich umysłowe lenistwo, które staje się w następstwie najcięższą przeszkodą w nauce i męczarnią, zarówno dla nauczycieli, jak uczniów.

Dzieci do lat 9 lub 10 nie mogą przełamać trudności technicznych czytania; mało które w tym wieku czyta tak, by inne dzieci z przyjemnością słuchać go mogły. Jeżeli więc matka widzi, że w skutek tego odbiegają myślą od przedmiotu, niech sama weźmie książkę do ręki i zacznie czytać dobitnie, z wła-

ściwą modulacyją głosu, a uwagę dzieci do przedmiotu przywiąże. Odtąd prośba: „Niech nam co opowie," zamieni się na:—„Niech nam mama co przeczyta."—Tym sposobem matka nowy wpływ na dzieci pozyska i znajdzie możność śledzenia ich rozwijających się skłonności.

Czytanie dziecinne stało się dziś potęgą pedagogiczną, jak to słusznie powiedział jeden z wychowawców niemieckich i matka brać ją w rachubę powinna. Ale potrzeba jéj rozważyć, jakie czytanie jest najwłaściwsze dla dziecka, jakie przez nie ma w niém uczucia rozwijać, jakie strony ducha powoływać do życia. Taki tylko sumienny namysł, pozwoli matce zrobić dobry wybór między książkami, jakie corocznie na gwiazdkę i w ciągu roku się ukazują. Każdą przed podaniem do ręki dziecku przeczytać powinna i przekonać się, czy odpowiada wymaganym warunkom. Temi zaś są: 1) uczucie etyczne, przenikające książkę, które stanowi o tém, czy ta przyniesie korzyść moralną dziécięciu; 2) treść zajmująca i do pojęcia dziecka zastósowana; treść bowiem nużąca umysł, zrażając wcześnie do czytania, szkodę tylko przynosi; 3) język czysty i poprawny, ale nie język starszych, którego dziécię nie zrozumié; 4) wdzięk formy, kształcący smak dziecka; i po 5) prostota w obrazach i osnowie, bo wiek dziecinny, będąc samą prostotą, nie lubi przesady, a naciąganie odczuje odrazu. Czytając dzieciom, nieraz zrobiłam uwagę, że książki, pod jakimbądź względem zbyt jaskrawe malujące obrazy, wywiérały wpływ szkodliwy na dzieci, bo je rozdraźniały i wyprowadzały z uczuć dziecinnych, a zatém wiekowi temu najwłaściwszych, uczuć swobodnéj pewności jutra, wesołej ufności, która pozwala dzieciom nie czuć, że żyją. Takiemi obrazami są opisy okrutnego obchodzenia się z ludźmi i zwierzętami, straszne niebezpieczeństwa, na jakie mali bohatérowie powiastek narażani bywają; opisy męczeństw świętych; szczégóły igrzysk starożytnych, gdzie ludzkie i zwierzęce cierpienie sprawiało rozkosz widzom. Obrazy podobne niezmiernie podniecają uczucia dziecinne i rozdraźniają je do tego stopnia, że pewien znany mi chłopczyk, który w wieczór przeczytał szczegółowy opis śmierci synów Edwarda IV-go, w nocy spać nie mógł, miał gorączkę i ciągle w niéj powtarzał:—„To książe York. Nie zabijać go! Ja to jestem królem!"—

Smutek wogóle źle oddziaływa na dzieci, nie przypada wcale do ich ruchliwéj natury, i dziécię od smutnéj książki, nad którą się spłakało, odchodzi z niesmakiem, cierpi nad fikcyjném wydarzeniem, traci ochotę, zarówno do nauki, jak do zabawy, chowa się gdzieś w kącik, siedzi w nim spokojnie, bo wszystko w jego wyobraźni powleka się czarnemi barwami. Przeciwnie po przeczytaniu powiastki, nad którą się uśmiało, dziécię ściska matkę gorąco, idzie do zatrudnień swoich ochoczo, wszystko mu się rozjaśnia i umila, śpi spokojnie, a sny ma zdrowe i wesołe, tak że często można je słyszéć śmiejące się we śnie. A jak do tego rozweselenia dziecku mało potrzeba! Dowcip autora, piszącego dla dzieci, wcale niepotrzebuje być wymyślny. W jednéj na przykład powiastce dziecinnéj, jest mowa o Kubusiu, który tak był uszczęśliwiony z osła, kupionego mu przez babunię, że chciał podłożyć mu pod głowę własną poduszkę, gdy go ujrzał śpiącego ze łbem na ziemi leżącym. Dzieci chórem się śmiały z téj zachcianki Kubusia i nieprędko ją zapomniały. Wesoły śmiéch dzieci, który im zarówno fizycznie, jak moralnie idzie na zdrowie, wywołać łatwo, byle do tego nie używać ośmieszania kalectw fizycznych, a także i moralnych, jakiemi są: idyjotyzm, waryjactwo, bo te tylko litość wzbudzać powinny. Kwestyja ta należy do tak elementarnéj moralności, że nad nią rozszérzać się nie będę; chcę tylko jeszcze zatrzymać się chwilę nad popotrzebą podawania dzieciom do czytania rzeczy naturalnych, zdrowych, niepozbawionych piękna i idealności prostéj i dziecinnéj, a nie tchnących grozą i okrucieństwem.

Oprócz rozdrażniającego wpływu, wywiéranego na dzieci tkliwe, można je zaprawić, zwłaszcza gdy z natury są chciwe wrażeń, do zasmakowania w obrazach jaskrawych i malujących same tylko męczarnie. Znałam jednego chłopczyka, lubiącego namiętnie czytanie i opowiadanie, ale nie każdém się zadawalał. Pewnego dnia, gdy mu ciotka, chodząc z nim po pokoju, o szaréj godzinie, opowiadała tak zwane bajeczki, usłyszałam go mówiącego:—„Ej to nie ładna bajeczka, ja takich nie lubię".—„A jakież lubisz?"—zapytała go ciotka.— „Lubię tylko bajeczki o niegrzecznych dzieciach, co dostają rózgą, nie jedzą obiadu, klęczą na grochu, albo są w ciemnym pokoju zamknięte".—

Dziecina ta, zaledwo sześć lat mająca, już nie zawalała się prostemi powiastkami, w których rzecz się kończy przechadzką, przejażdżką, lub dobrym uczynkiem; potrzebowała silniejszego wrażenia! Jakże książka podawana takiemu dziecku powinna być prosta, czysta, zdrowa w znaczeniu moralném, jak powinna rozbudzać dobre jego instynkta, a usypiać drapieżność, będącą w niektórych dzieciach wadą wrodzoną. Że tak jest, dość się przypatrzéć wiejskim pacholętom, męczącym zwierzęta, rzucającym nieszczęśliwe koty do wody, bijącym psy i konie, wybiérającym gniazda ptasze, rzucającym kamieniami na niewinne żaby. I nie jest to u nich bezświadoma zabawa. Starsi chłopcy mianowicie, zaprawiają się do okrucieństwa i sprawia im ono przyjemność, z któréj zdają sobie sprawę wybornie. Jakóż zapytany raz przeze mnie pastuszek, topiący kota, dla czego to robił? odpowiedział mi wyraźnie:—„Strasznie lubię patrzéć, jak się biédny męczy."

Jestem téż najmocniéj przekonana, że bajki, że świat czarów, czarownic, wróżek, nie jest właściwy dla dzieci młodszych, to jest do lat 7-iu lub 8-iu. Bo dziécię małe, albo przypuszcza, że usłyszana lub przeczytana bajka mieści w sobie prawdę i wtedy, z obudzoną wiarą w nadzwyczajność, umysł jego staje się skłonnym do zabobonów i przesądów, albo téż przywyka do robienia z własném *ja* tego rodzaju ugody, że dla rozkoszy, jakiéj przy słuchaniu bajek doznaje, wmawia w siebie dobrowolnie, że to wszystko jest prawdą. Takie „*okłamywanie siebie*" niszczy w dziecku poczucie prawdy. Prawda w powiastkach powinna być opartą na prawdopodobieństwie i tchnąć naturalnością i prostotą. Bajecznemi opowiadaniami, łatwo w dziécięciu zburzyć równowagę umysłową i przechylić ją ku niewinnym z pozoru fałszom, które następnie skrzywić mogą jego charakter.— Wtedy téż dopiéro można dzieciom bajki opowiadać, lub je dawać do czytania, gdy już są wstanie ocenić zarówno allegoryczne, jak i fantastyczne zmyślenie.

Tym, którzy by mi powiedzieli, że wyobraźnia zyskuje na karmieniu się fantazyją bajek i że się tym sposobem rozwija,

odpowiem: że naprzód kosztem pojęć i charakteru wyobraźni rozwijać się nie godzi; a powtóre, iż życie zwyczajne, bez téj szczypty idealności, jaką zawiéra powiastka, jest samo w sobie pełne poezyi i uczucia. Dobry czyn, poświęcenie dla innych choćby najmniejszéj zachcianki, słówko serdeczném uczuciem natchnione—wszystko to—tém piękniejsze, im prostsze. Wyznaję, że czytając najzwyczajniejsze powiastki dzieciom, często miałam łzy w oczach i pewnego razu tonący pies, tak żywo mnie zajął, żem wspólnie z dziećmi uczuła radość, gdy go nareszcie dobry chłopczyk wyratował, a wyratowawszy do domu przyniósł i uprosił matkę, by mu pozwoliła go żywić i wychowywać. Matka była uboga, musiała uszczuplić wygód rodzinie, żeby zadowolić dziécię i biédnego topielca wyżywić; ale miała litość nad zwierzęciem opuszczoném i wychowała wiernego przyjaciela dla syna. Jakżeż to proste opowiadanie, jaki przedmiot niewymyślny, a jednak trzeba widziéć, jak się nim dzieci interesują, jak Staś słuchając, woła z uniesieniem:—„Ach! żeby téż ta matka dała się uprosić!"—A Zosia dodaje:—„Ej! przecież znajdzie trochę kartofli, żeby pieska wyżywić."

Trzeba znać dzieci, żeby wiedziéć, o ile więcéj zajmują je takie proste opowiadania, niż suknie złociste księżniczek, zrobione dla nich przez wróżki, niż piękni królewicze i wozy zaprzężone gołębiami. Jeżeli zyskuje tu wyobraźnia — czemu ośmielam się przeczyć, bo wyobraźnia dzieci małych obraca się w dziecinnéj sferze i królewicze, królewny i wróżki są zupełnie nienaturalnym dla niéj przedmiotem —to zapytuję: co tu zyskuje uczucie? Czém się kształci poetyczna strona ducha, która uczucie koniecznie miéć za podstawę powinna? Starsze dzieci są już w stanie zrozumiéć, że bajka jest bajką, ale młodsze, choć niby wątpią, niedowierzają, nie mogą się jednak oprzéć zabobonnéj ufności. Ta mięszanina pojęć i obrazów, mających przedstawić wzór życia, a dających same fantastyczne i nadprzyrodzone zjawiska; te dzieci—niby takie same jak i mali słuchacze, a jednak w jednym obrazie przedstawione z czarownicami i wróżkami; mącą tylko pojęcia główek młodych, nie przynosząc im żadnéj rzeczywistéj korzyści. Dzieci nie są w stanie zdać sobie dokładnéj sprawy z tego pomięszania prawdopodobnych i nadprzyrodzo-

nych obrazów. Matka mówi, że to bajka, że to wszystko nieprawda; pomimo to umysł dziecka nie wié, co sądzić o tém, co ma uważać za prawdę, co policzyć na karb zmyślenia. W niepewności ciągle powtarza:—„Ale to nie prawda, mamo? Jakżeby wóz miały ciągnąć gołębie? Prawda, mamo, że olbrzymów niéma na świecie? Prawda mamo, że Pan Bóg by nie pozwolił, żeby złe wróżki czarowały dzieci, żeby królewiczów w niedźwiedzią skórę oblekały? Ej! jaki to niemądry ten pan, co tę bajkę napisał! On myślał, że mu dzieci uwierzą!"—Pomimo takich wykrzykników dziécię wątpi, czuje się owiane przesądną trwogą i, jeszcze kładąc się spać, ściska matkę za szyję i zapytuje, jakby potrzebowało utwierdzenia, jakby chciało rozwiać mimowolnie nasuwnjące mu się obrazy:—„Wszak wróżek nie ma, prawda mamo?"—powtarza. Mimowolnéj jednak trwogi pozbyć się nie może, boi się wchodzić do ciemnego pokoju, miéwa sny przerażające. Pewna dziewczynka jadała kapustę surową białą; czerwonéj zaś nie dotykała nigdy. Zapytana przez matkę o przyczynę tego, odpowiedziała: — „Nie jem téj kapusty, bo mi się zdaje, że w niéj jest krew czarownic."— O téj krwi czarownic (Hexenblut) doczytała się była w jakiéjś bajce niemieckiéj.

Nieraz spotykałam się z zapewnieniem, że dzieci bardzo lubią bajki czarodziejskie. Znam przecież wiele takich, które, nietylko że w nich nie mają upodobania, ale, prosząc o kupienie książeczki, lub przeczytanie powiastki, zawsze dodają: — „Tylko nie bajkę, bo ja bajek nie lubię."—

Wielu także pedagogów uważa opowiadania bajeczne za właściwy pokarm dla dzieci od najmłodszego wieku, opiérając się na zasadzie, że i ludzkość w dzieciństwie bajki tworzyła i karmiła się niemi. Tworzyła je niezawodnie, lecz nie w piérwszém dzieciństwie swojém. „Dla piérwotnego człowieka—mówi Veron—myśl o przyczynowości, zamyka się w samymże skutku. Jego intelligencyja, początkowo dotyka tylko przedmiotów konkretnych. Pojęcia o genijuszach i mocach tajemniczych powstają daleko późniéj. Bóstwami są początkowo istoty, których działalność może być najdotykalniéj stwierdzoną, a więc są niemi: światło, słońce, gwiazdy, ogień, wiatry, chmury, kwia-

ty" *). Autor wspomniany dowodzi daléj, że fałszywie rzecz pojmujemy, przypuszczając, że bajki dla ludzkości piérwotnéj były bajkami. Były one dla niéj prawdą, bo w nie wierzyła. „Cała owa cudowność, jaką według naszych wyobrażeń karmiły się ludy piérwotne, jest tylko złudzeniem, w które wprowadza nas nieznajomość warunków psychologicznych, intellektualnego rozwoju ludzkości." Człowiek piérwotny w swoich pełnych fantastyczności podaniach, zdaje sprawę z wrażeń własnych za pomocą rysów, jakie w przedmiocie opisywanym spostrzegał. Widok dzieł natury był dla niego tém, czém się zmysłom przedstawiał. Dla Greka, mieszkańca półwyspu, słońce rano wychodziło z morza i w morzu się w wieczór chowało. To było prawdą dla niego, prawdą na świadectwie zmysłów opartą. Ludzkość zresztą piérwotna miała język tak ubogi, że mu początkowo na przymiotnikach zbywało. Człowiek odważny poprostu nazywał się w języku owych ludów *wilkiem*, podstępny *lisem* i t. p. Te przenośnie zaś, mówi Max Müller, mogły z czasem stawać się nazwiskami, które, przechowując się w rodzinie, były najzupełniéj zrozumiałemi dla dziadka, pojmowanemi jeszcze dobrze przez ojca, ale które w dalszym ciągu wydawały się już dziwnemi dla syna, a przez wnuków zostały najfałszywiéj pojęte. Mitologije pełne są historyj zwierząt, ptaków, ryb, które ważną odgrywały rolę w sprawach ludzkich, ostrzegając, broniąc, lub na zgubę prowadząc człowieka. Tradycyje o zwierzętach, chwytających kobiéty, wychowujących dzieci, znajdują zastósowanie w wyrażonéj powyżej teoryi Maxa Müllera."**).

Nigdzie przecież nie znajdujemy wzmianki, upoważniającéj nas do przypuszczenia, że człowiek piérwotny nie wierzył w baśnie w ten sposób powstające. Dopiéro oświata wiarę tę obala. Lud nasz dotąd ma zabobonów tysiące, mnóstwo baśni, w które wierzy tak silnie, iż żadne zapewnienia człowieka oświeconego wiary téj w nim zachwiać nie mogą.

---

*) Eugène Veron, Du progrès intellectuel dans l'humanité.

**) Herbert Spencer, Essais sur le progrès.

Czy dzisiejsze bajki dziecinne mają za podstawę prawdę, jak to miało miejsce z bajkami ludzkości piérwotnéj? Czy, podając je dziecku, chcielibyśmy w nie wmówić, że są one niezaprzeczoną prawdą? Czy możemy, gdy zapyta, czy wróżki istnieją, odpowiedzieć twierdząco?... A przecież ludzkość w kolébce bajki swoje brała za prawdę, „najnaturalniéj wyrażała to, co było jéj przekonaniem, co dyktowała jéj wiara. Homer, gdy mówi, że Jowisz sen zwodniczy sprowadza na Agamemnona, że Minerwa zachęca Achillesa do umiarkowania, wyraża tylko to, w co Grecyja cała wierzyła. Jowisz i Minerwa nie są fikcyją dla niego, lubo nią dla nas się stały. *)

Czy więc przyjmiemy za zasadę, że ludzkość w piérwszéj epoce dzieciństwa bajek tworzyć nie mogła, gdyż nie miała, ani dostatecznie rozwiniętego języka, ani była zdolną dochodzić do pojęć wyższego rządu nad pojęcia zmysłowe (konkretne); czy przypuścimy, że tworząc baśnie, wierzyła w nie, jako w prawdy nieulegające zaprzeczeniu; zawsze pozostanie wątpliwém twierdzenie tych, którzy na zasadzie badań nad ludzkością w kolébce, zalecają bajki, jako pokarm odpowiedni dla dziécięcego umysłu. Inna rzecz, co do wpływu bajek na umysł dzieci starszych, w których już obudził się rozsądek. W nich bowiem pierwiastek fantastyczny nie może zakłócić równowagi pomiędzy uczuciami i wyobraźnią, a pojęciami rozumowemi; owszem, rozszerzając ich umysłowy horyzont, nie pozwala im w prozie życia codziennego ugrzęznąć i staje się początkiem kształcenia estetycznego.

Początkowe nauczanie mimowoli nasuwa, tyle razy już u nas poruszaną kwestyją trzymania bony.

Moraliści nie szczędzili gromów wymowy, potępiając zwyczaj przyjmowania bon cudzoziemek; tymczasem te dotąd nie przestają

---

*) E. Véron.

do nas napływać i niejedna matka uważałaby za największe dla siebie nieszczęście, gdyby swym dzieciom nie mogła dać bony — niemki lub francuzki. Bezzaprzeczenia bony cudzoziemki bardzo wiele złego u nas zrobiły, choćby z tego względu, że przybywają szukać chleba, nie rekomendowane przez nikogo; my zaś biorąc z nich piérwszą lepszą, bez żadnego wyboru, wprowadzamy często do domu zgorszenie i zły przykład dla dzieci. Nie w tém jednakże tkwi główna złego przyczyna, ile raczéj w bezwzględném powierzaniu im dzieci i w przelewaniu na nie praw macierzyńskich. Często pokój dziecinny znajduje się na drugim końcu domu i w nim mieści się bona z wychowańcami. Jest to złe podwójne: najprzód ze względu na poddanie dzieci pod wpływ obcéj, nieznanéj nam osoby; powtóre, jako usunięcie ich z pod wpływu matki. Gdyby dzieci wraz z boną pozostawały ciągle pod jéj okiem, złe wpływy dałyby się usunąć. Matka mogłaby się wkrótce przekonać, jakie jest postępowanie bony z dziećmi i nawzajem, jak ją dzieci traktują. Wyrugowanie bon cudzoziemek, a wprowadzenie bon polek w niczém rzeczy nie zmienia. Klasa bowiem, która mogłaby ich dostarczać, klasa — wydająca dziś panny służące i szafarki, nie zawsze także odznacza się moralnością.

Jedyną więc korzyścią wynikającą z téj zmiany, byłoby oszczędzenie dzieciom przedwczesnego trudu uczenia się obcych języków i właśnie na ten wzgląd pragnę zwrócić uwagę matek.

Ogół pedagogów naznacza rozpoczęcie nauk dziecka, w siódmym lub ósmym roku; niektórzy radzą dziewczynki uczyć wcześniéj, niż chłopców. Jakóż w ogóle u nas formalnéj nauki nie rozpoczynają z dziećmi przed tym czasem. Ale niektóre matki, są przekonane, że nauka mówienia obcym językiem wcale nauką nie jest i to skłania je do obarczania nią umysłu dziecka, zaledwie zaczynającego mówić. To przekonanie jest tak upowszechnione i utarte, że walka z niém staje się prawie niepodobną do dziś dnia i wbrew zdaniu najpiérwszych powag naukowych, wykazujących zgubny wpływ wczesnego uczenia, spotykamy pięcioletnich lingwistów, mówiących trzema naraz językami. Matki, przyspieszając tak naukę, nie wiedzą o tém, że bezpożytecznie wy-

czerpują cały zapas siły nerwowéj dziecka, która mu jest do wzrostu i prawidłowego rozwoju nieodzownie potrzebną, a nadto, że kształcą tylko pamięć z upośledzeniem innych władz rozumowych, które w tymże samym czasie muszą pozostawać odłogiem.

To téż smutnym i oburzającym jest widok rodzin, w których nauka obcych języków, najczęściéj powierzchowna, uważana jest za główny i jedyny cel wykształcenia. Co za fałszywa i nielogiczna zasada! „Wychowanie ma uczłowieczyć młodzieńca—powiada J. Kremer—podnieść go do zacności ludzkiéj i zbliżyć do poznania Boga, by rósł niebu i ziemi na cześć". A czyż mówienie, choćby najpoprawniejsze obcemi językami, może doprowadzić do tego?

Umiejętność mowy obcéj ma w życiu tylko pomocniczą, względną wartość. W wychowaniu téż należy jéj drugorzędne miejsce wyznaczyć i nie pozwolić na jéj rozwielmożnienie się kosztem sił dziecka i nauk, mających piérwszorzędne znaczenie. Zresztą obca mowa nie powinna mowy ojczystéj spychać ze stanowiska naczelnego, jakie się jéj słusznie należy. Wyrugowana z rozmów dzieci pomiędzy sobą i z rodzicami, z pewnością i w sercu ich zajmie podrzędne miejsce, i stanie się nazawsze niepoprawną, zaniedbaną, skoro jéj tylko od służących uczyć się będą. Przede wszystkiém więc dzieci ojczystéj mowy uczyć należy, jeżeli chcemy, by umiały myśléć i wyrażać swoje myśli poprawnie.

Że jednak zwyczaj uczenia obcych języków stał się u nas prawie powszechnym; przeto, nie mogąc téj zarazie zapobiedz, pragnęłabym przynajmniéj do minimum złe jéj następstwa sprowadzić, przez wskazanie środków, oszczędzających dzieciom nadmiernego wysiłku.

Przyjąwszy więc rok siódmy dla więcéj, a ósmy dla mniéj rozwiniętych dzieci, za porę najwłaściwszą do rozpoczęcia nauki w ogóle; radzę dopiéro w tym samym czasie rozpocząć i naukę obcych języków, wszakże nie teoretycznie, ale przyjmując do nich bonę cudzoziemkę, gdyż tylko tym sposobem, bez szkody dla zdrowia i zbytecznego wysiłku, obcą mowę przyswoją sobie z łatwością.

Przypuściwszy bowiem, że umysł dziecka, czy przy cudzoziemce, czy przy polce, *uczącéj z reguł*, jednakowéj poddany jest pracy; to jeszcze ustósunkowanie postępu do zużytego nań czasu, stanowczo za piérwszym sposobem przemawia, zwiększając jeszcze jego wyższość wszystkiemi zdobyczami mechanicznemi i słuchowemi, jakie są każdego języka własnością. Składanie zdań poprawne, czy fałszywe, wymowa zła lub dobra: jednakowéj wymagają pracy, a choćby dla tego, że, co się umié, powinno się umiéć dobrze; lepiéj jest, gdy dziécię odrazu język we wszystkich jego własnościach sobie przyswaja. Natura zresztą ten, a nie inny, sposób uczenia się języka przeznaczyła dla człowieka, i złożyła w umyśle dziecka jakieś intuicyjne władze, dopomagające mu do przyswojenia sobie mowy każdéj, gdy ją słyszy z ust innego człowieka.

Nie małéj wagi w tym razie jest łatwość, z jaką dziécię przyswaja sobie praktykę języka, która następnie z rozpoczęciem saméj jego teoryi uczyni i reguły zrozumiałemi, które stósowane dotąd bezwiednie. Słowem jak w innych naukach, tak i tu metoda indukcyjna broni dziécię od zniechęcenia i niesmaku, i prowadzi umysł drogą naturalnego rozwoju.

Ale niech bona będzie tylko nauczycielką obcéj mowy, a nie kierowniczką dziecka; niech się z niém bawi pod okiem matki, niech z niém idzie na przechadzkę, gdy matkę obowiązki domowe zatrzymują, ale naukę, czytanie z dzieckiem i dla dziecka, niech matka weźmie na siebie, lub ją powierzy rozumnemu nauczycielowi lub nauczycielce. W takim razie wychowaniec nauczy się mówić i rozumiéć obcą mowę, moralna zaś strona na tém nic nie ucierpi.

Dotąd, zajmując się kwestyją bon cudzoziemek, mówiłam o matkach zamożniejszych, zatém nie potrzebujących ograniczać się w wydatkach, jakich staranne wychowanie dzieci wymaga. Obecnie niech mi wolno będzie zwrócić uwagę uboższych matek, na to, jak nieoględnie wyrzucają krwawo zapracowane przez męża lub przez siebie piéniądze, jeżeli przed innemi naukami,

dają piérwszeństwo nauce obcych języków. Co za nierozsądek zużywać godziny dzieci na naukę np. francuskiego języka, którego cała znajomość wkońcu ograniczyć się musi do czytania, bez dokładnego zrozumienia rzeczy i wyuczenia się pewnéj liczby, z najgorszą pronuncyjacyją—frazesów! Taki bowiem, a nie inny, może być rezultat owéj edukacyi, prowadzonéj zazwyczaj przez nauczycielki początkowe, płatne tanio, a uczące bez wszelkiéj metody i gruntownéj znajomości przedmiotu. Ale większa część matek, nie znających owego języka i nie wiedzących, jak takie początki na nic nigdy przydać się nie mogą, zabijają czas i umysł swych dzieci dla nierozsądnéj mody i z braku odwagi wyznania przed światem, że ich dziécię francuskiego języka nigdy się nie uczyło.

Dogadzając téj próżności, źle zrozumianéj, a nawet nie opłacającéj się, bo dziécię się francuzczyzny nie nauczy, ani nią *zaimponować* potrafi — matki opuszczają sposobność dania dziecku lekcyj, choćby trochę droższych, ale rozwijających umysł i wzbogacających go pożytecznemi wiadomościami. Ah! żeby one zrozumieć to mogły! Jakżeby się u nas średnie wychowanie kobiét i mężczyzn podniosło! Ale manija uczenia obcych języków tak nas opanowała, że we wszystkich stanach, prawie bez wyjątku grasuje. —

Słyszałam raz, jak włościanin, którego syn czytać we dworze się uczył, przyszedł prosić pani, żeby chłopca po łacinie uczyć kazała. Pani zaczęła go od tego odwodzić, mówiąc, że chłopiec bardzo źle jeszcze czyta, a pisze szkaradnie, a co do ortografii, że o niéj niéma najmniejszego pojęcia. Ale włościanin nie przestawał nalegać, mówiąc: „Żeby tak choć troszeczkę po łacinie go uczyć. Po polsku, to jużci każdy umié, ale takby jakoś człowiekowi było ładnie, żeby Wojtuś po łacinie *zarywał*". Jakaż ogromna liczba naszych współrodaków *zarywa* tak po francusku! A co się na to zużywa drogiego czasu, co środków materyjalnych, co sił umysłowych, które, w inną stronę zwrócone, dałyby plon korzystny, to trudno nawet w przybliżeniu obliczyć.

Zatém, pragnąc dobrze wychować dziécię, obliczmy piérwéj przed rozpoczęciem nauki, czy możemy język obcy do wychowa- wprowadzić tak, aby nauki—które prawdziwie kształcą człowie-

ka—nic na tem nie ucierpiały; aby język obcy, jako dodatkowy, pomocniczy, stanowił rzeczywiście środek ułatwiający dziecku w przyszłości zdobycie wiedzy i poznanie utworów literatury, którego z wielkich zachodnich narodów. Zastanówmy się, czy i z innych względów do przyjęcia téj wiedzy, do zrozumienia arcydzieł przygotować je możemy; a gdy się przekonamy, że środki nasze materyjalne na to nie pozwalają, dajmy dziecku gruntowną naukę we własnym języku, a jeżeli w późniejszym wieku samo poczuje tego potrzebę, wtedy można być pewnym, że, łamiąc wszystkie trudności, potrafi sobie zrozumienie obcéj mowy przyswoić i zdobyć w niéj klucz do otwarcia wiedzy skarbnicy.

Do jak ogromnéj liczby matek odnoszą się powyższe słowa, przekonać się można z liczby kobiét i mężczyzn, wychowanych w naszym kraju, którzy popisują się w towarzystwie lichą francuczyzną, kalécząc ją najokropniéj za każdym prawie wyrazem. W ich wychowaniu była ona celem (nieosiągniętym nawet, niestety ; dla niego—wszystko inne zaniedbane zostało.

Klasa uboższych naśladuje przykład z góry idący. Kiedyś zapytałam pannę służącą, co się dzieje z jéj młodszą siostrą. Odrzekła mi *z godnością:* że *kończy edukacyją*, że ją rodzice umieścili u jednéj panny, w któréj zakładzie już trzy lata przebyła i wielu rzeczy się nauczyła. Zapytałam:—„Czego ją mianowicie uczono?"—„Francuskiego, muzyki"—była odpowiédź. Gdy owa siostra przyjechała do panny służącéj, wzięłam ją na egzamin. Okazało się, że straciła trzy lata na nauczeniu się czytania najszkaradniejszego po francusku i że z owego czytania nic prawie nie rozumiała. W równym stopniu znajomość muzyki zdobyła. Mimo tego w kilka miesięcy późniéj, ogłaszała się w piśmie prowincyjonalném, jako nauczycielka, mogąca udzielać początków języka francuskiego i muzyki, a co gorzéj—że i miejsce znalazła.

Zatém owa manija francuczyzny, uważanéj za główny cel wychowania, przechodzi u nas z pokolenia na pokolenie, przenika do sfer najniższych a najwięcéj już opanowała te dobre i kochające matki, które jak to mówią, niebaby dzieciom przychylić pragnęły, ale które nad tém, co to jest niebo, nie zastanawiają się wcale. Dość im, gdy dziécię łamaną francuczyzną

przemówi. Są to ofiary owczego naśladownictwa, wywołanego nie wskutek tego, że większy i wielki świat po francusku umié, ale, że po francusku mówi w swoich salonach, że patentem otwiérającym do niego przystęp, po bogactwie, jest język francuski.

Z górnych tych sfer moda po szczeblach schodzi aż na dół i w tém leży wysokich sfer wina. Gdyby wielkie panie i możni panowie tylko z konieczności, gdy w chodzą w stósunki z ludźmi innéj narodowości, używali francuskiego języka, a pomiędzy sobą mówili po polsku; gdyby wychowaniu swych dzieci nie dawali piérwszeństwa francuzczyznie, z pominięciem przedmiotów istotnie kształcących umysł: wtedy przykład ich nie wpływałby na obniżenie ogólnéj oświaty w kraju, jak to obecnie ma miejsce; nie obliczając, ileby dobrego zrobiło wprowadzenie mówienia dobrze i czysto po polsku, w którym to razie rzeczywista umysłowa wartość nie potrzebowałyby się pokrywać fałszywym blichtrem i niby znamieniem starannego wychowania, za jaki uchodzi francuzczyzna, okraszona czystym akcentem.

Rozmawiałam pewnego razu o rozmaitych kwestyjach społecznych z jedną z najrozumniejszych kobiét mi znanych. Na chwilę zapanowało między nami milczenie. Przerwała je moja znajoma naglém odezwaniem się: — „Ah! jakżebym chciała być wielką panią—największą z pań polskich.”— Spojrzałam na nią zdziwiona. Takie życzenie wydawało mi się całkiem niezgodne z podniosłością jéj ducha i pragnień. — „Dziwisz się,—zawołała wtedy—a jednak nie cofam objawionego życzenia. Chciałabym być wielkę panią, by zaprowadzić w moim salonie zwyczaj mówienia tylko po polsku. Wszystkich wpływów, wszystkich podstępówbym użyła, by wyrugować francuzczyznę z towarzystw. Musiałabym dopiąć celu choć w części, wsparta urokiem wielkiego imienia i wielkiego majątku. Poświęciłabym życie temu celowi, zachęcałabym własnym przykładem, ośmieszałabym modę teatrów amatorskich francuskich, podnosiłabym wszystko co ojczyste i tym sposobem zasłużyłabym się krajowi”.—Że wielkie myśli często wielu umysłom naraz przychodzą; przypuszczam więc, że i do duszy któréj z wielkich pań naszych zakołatała, lub zakołace myśl podobna, a dobroczynny jéj wpływ zejdzie powoli

i do biédnych dzieci klas uboższych, branych na tortury źle uczonéj francuzczyzny, która wedle przekonania zaślepionych matek ma im otworzyć kiedyś wstęp do salonów i zbliżyć do ludzi, mówiących i piszących po francusku. Żadne małpowanie nie ma u nas większego upowszechnienia, jak wyżéj wspomniane, choć jest najniedorzeczniejsze ze wszystkich.

ROZDZIAŁ VII.

Obowiązki matki postronne. Światło wiedzy. Poczucie obywatelskie. Praca na byt rodziny. Zarząd domowy. Obowiązki towarzyskie. Gościnność. Równoważenie w wychowaniu wpływów światowych przez oświecony wpływ rodzicielski. Co przez postęp rozumieć należy?

Gdyby obowiązki matki postronne nie miały wpływu na dzieci i ich charakter; gdyby, co do tych obowiązków, zdania nie różniły się tak stanowczo, że ideał matki prawie w każdego pojęciu jest inny; książka ta byłaby o cały jeden rozdział uboższą. Dla wyżéj wspomnianych przyczyn jednakże, nie mogę pominąć milczeniem, tak niesłychanie ważnego wpływu, jakim jest przykład macierzyńskiego życia na młode pokolenie. Dziécię bowiem z przykładu matki moralny pożytek lub zgubę odnosi.

Przede wszystkiem niech matka pracę wychowawczą podejmuje, nie tylko dla swego dziecka, ale dla kraju i przyszłości—niech sama czuje się obywatelką. Obowiązki macierzyńskie nie uwalniają jéj od tego, by nie miała znać potrzeb społeczeństwa, do którego ona i jéj dzieci należą. Owszem, im te potrzeby pozna dokładniéj, tém szérszy pogląd sama na własne obowiązki zdobędzie. Nie powinna téż uchylać się od przyjmowania udziału w jakiéjkolwiek pracy społecznéj, zwłaszcza, gdy przy dostatkach, może rozporządzać swym czasem. Stowarzyszenia dobroczynne, opiekowanie się ubogiemi rodzinami, dziewczętami potrzebującemi pracy, szerzenie oświaty w kółkach sobie dostępnych, wreszcie czynne popiéranie instytucyj i wszelkich przedsiewzięć, mających dobro ogółu na celu — otwiérają dla jéj działalności aż nadto szérokie pole po miastach. — Na wsi, do rzędu prac obywatelskich zaliczam wzorowe prowadzenie domo-

wego gospodarstwa, które obok materyjalnych korzyści, daje przykład i zachętę innym do pomnażania krajowego bogactwa. Zresztą ogrodnictwo, pszczolnictwo, prowadzone umiejętnie, może także dział jéj pracy stanowić. W zakresie znowu moralnym do niéj należy opiekowanie się szkółkami wiejskiemi, gdzie ku temu miejscowe nie zachodzą przeszkody, starania o chorych, wywiéranie jak najrozleglejszego wpływu na nieoświeconych prostaczków. Jak zaś w mieście, tak na wsi, może dopomagać do rozwoju literatury krajowéj, przez popiéranie wszelkich pożytecznych wydawnictw i t. d. Kobiéta rozumna, nie zaniedbująca swych dzieci, znajdzie czas, jeżeli nie na wszystkie, to na jedno z tych pożytecznych zajęć. Tym sposobem da dzieciom przykład społecznéj pracy—inaczéj wyrosną bez poczucia solidarności z krajem, do którego należą, nie znając uboższych, nieoświéconych współbraci, nie rozumiejąc ich potrzeb. Kobiéta zresztą światła, potrafi to poczucie obowiązków obywatelskich urzeczywistnić w życiu stósownie do położenia i stanowiska, jakie w społeczeństwie zajmuje, a témsamém wdrożyć dzieci do pracy społecznéj, gdy wiek ich na to pozwoli.

Obowiązki matki nie uwalniają téż kobiéty od wzięcia udziału w pracy na byt rodziny, jeżeli położenie tego wymaga, lub mąż w pracy potrzebuje jéj pomocy, jak to często się zdarza przy gospodarstwie rolném i wielu innych powołaniach. Mąż nie będzie ukrywał przed kobiétą rozumną, stanu swych interesów, ani dochodów i wydatków; owszem, weźmie ją za doradczynię i wspólniczkę w traktowaniu tak ważnego przedmiotu, jakim jest byt materyjalny rodziny. Matka nie powinna się usuwać od przyłożenia w tym razie całéj usilności swego rozumu, wiedzy, doświadczenia, dobrych chęci i pracy, żeby z bark męża ująć część ciężaru.

Mill nazywa: „*kulą u nogi męża*" taką żonę, która nie może pojąć, ani jego dążności, ani celu podjętéj pracy przez niego. Spełnianie ubowiązków macierzyńskich, nie może usprawiedliwiać kobiéty, jeżeli jest taką kulą u nogi swego małżonka; prze-

ciwnie dla samego przykładu, jaki winna swym dzieciom, obowiązkiem jéj nieść pomoc w pracy mężowskiéj. Widok takiéj doskonałéj spółki rodzicielskiéj, wpłynie lepiéj na dzieci, niż najbardziéj natchnione słowa, największa troskliwość macierzyńska.

Kobiéta nie umiejąca pracy z mężem podzielić, oceniać jego przekonań, zasad i dążności; nie czująca potrzeby podążać z nim ku wyższemu udoskonaleniu, ku światłu i cnocie: najczęściéj złą jest matką. W roku 1865 wytoczona była przed kratki sądowe *Trybunału Sekwany* sprawa jednego z takich małżeństw niedobranych, która nabyła wielkiego rozgłosu.

Żona jednego z generałów francuskich wybiérała się na bal. W chwili, gdy już była ubrana, wszedł mąż i, zdziwiony zamiarem żony, przypomniał jéj, że ich córeczka była chora i doktór zawyrokował, że stan jéj zatrważający.—„Pojadę—odpowiedziała żona — ale na balu będę tylko dwie godziny. Obiecałam być i uchybiłabym konwenansom, gdybym obietnicy nie dotrzymała".— —„Ale twoja córka jest umiérająca!" — zrobił uwagę ojciec. — „Zabawię tylko godzinę".—„Jeżeli w takiéj chwili opuścisz dom —odrzekł mąż—nie wrócisz do niego więcéj."— Żona pojechała, lecz i generał dotrzymał słów, nie przyjął jéj więcéj do domu. Skarga, jaką ta zła matka zaniosła przed sąd, została odrzuconą. Trybunał uznał słusznym postępek męża.

Lekkość, bezczynność, brak światła, wyradza takie matki potworne.

Nawet kobiéta bogata nie powinna uchylać się od zarządzania domem, służącymi, od wglądania w każdy kącik „*swojego królestwa*", gdyż tylko tym sposobem utrzymuje się owa karność i ład domowy, bez którego wszystko się rozpada i w rozstrój przechodzi. Ład ten jest dla dzieci praktyczną lekcyją ekonomii, bez której zarówno majątkowe, jak i życiowe sprawy muszą popaść w deficyt. Jest taki stósunek nierozerwalny między porządkiem i karnością wewnętrzną, a ładem umysłowym i moralnym, że gdyby mi kto powiedział, iż pewien młodzieniec nie odebrał sobie życia dla tego jedynie, że jego matka była rządną, spra-

wiedliwą i umiejącą utrzymać karność — panią domu; nie zaprzeczyłabym temu bynajmniéj, choć z pozoru rzecz się paradoksalną wydaje. Ład bowiem, jaki panuje w domu rodziców, mimowoli i w gospodarstwie umysłowém dzieci odbić się musi.

Obowiązków towarzyskich, nie powinna téż zaniedbywać matka, gdyż rzeczywiście są one obowiązkami. Nie można bezwarunkowo zerwać z ludźmi, bez przyniesienia sobie i otaczającym niezaprzeczonéj szkody moralnéj. Człowiek nie jest stworzony do samotności, ani do zasklepienia się wyłącznie w kółku rodzinném,— zamknięty sam z sobą i w samym sobie, przyzwyczaja się do tego, że w rozumowaniach swoich zawsze ma racyją. Ściéranie się opinij przynosi światło. Sprawiedliwie téż ktoś powiedział: że strzedz się trzeba człowieka, który widuje ludzi tylko jednego stronnictwa, bo człowiek ten niezawodnie będzie głupi lub uparty.

Kobiécie, szczególniéj matce, potrzebna jest ta nauka życia, która się tylko w stósunkach z ludźmi zdobywa, również jak śledzenie dążeń, zboczeń, wad i przymiotów swojego czasu, co wszystko w wychowaniu ważne zastósowanie mieć może. Nie trzeba téż, by matka popadła w jednę z wad, którą nazwę samolubstwem rodzinném. Ta admiracyja saméj siebie, rozszérzona tylko do kółka rodzinnego, zapominająca o reszcie świata, szczególniéj jest szkodliwą przez wpływ, jaki na chłopców wywiéra; zacieśnia bowiem ich poglądy, odejmuje ich pragnieniom owe piękne i bezinteresowne dążenia, których miłość ludzkości jest źródłem, a koncentruje wszystkie ich uczucia w światku rodzinnym, od którego schodzą do jeszcze cieśniejszego obrębu, jakim jest własna osoba. Dziewczęta mniéj przy takim porządku rzeczy mają do stracenia. Ich powołanie skromniejsze co do usług, jakie oddać mogą krajowi i towarzystwu, za to bardziéj pożyteczne dla rodziny; ich uczucia tkliwsze i wylewające się w tysiącznych, drobnych, rodzinnych poświęceniach, nietyle biernym czynią ów egoizm familijny; wszakże i one od dzieciństwa powinny oddy-

chać życiem pełném, z jakiém zapoznać się bez stósunków z ludźmi nie mogą.

Mówiąc o niezaniedbywaniu przez matkę stósunków towarzyskich, nie miałam bynajmniéj na myśli świata próżności, formy, mody, wyścigów w zbytkach, bogactwie i kokieteryi, w czém ludzie szukają wrażeń dla zabicia nudy—owéj *„bladéj córy próżniactwa"*; mówiłam jedynie o kółku przyjaciół dla serca, o kółku ludzi myślących dla umysłu. Stósunki, w których oddycha się swobodnie i zawsze coś zyskuje dla uczuć i myśli, należy cenić i przekazywać synom i córkom w spuściznie. W tym kółku i dzieci znaleźć mogą towarzystwo właściwe wiekowi swojemu; — matka nieraz z niemi odwiédzać może przyjazną sobie rodzinę, a rozmowa o dzieciach ze znajomemi matkami, obustronną korzyść przynosi. Doświadczenie jednéj matki, posłużyć może drugiéj, a dobra rada, choćby rzadko napotkana, jest rzeczą nieocenioną.

W życiu towarzyskiém tak pojętém, dzieci mieć będą przykład gościnności, grzeczności i uprzejmości domowéj. Cnota ta staropolska, często do przesady u nas doprowadzana, miała jednak źródło swoje w sercu, w uczuciu braterstwa i solidarności narodowéj. Żyje ona jeszcze i w niektórych rodzinach zamieszkałych po miastach. Od kobiéty, pani domu zależy, by goście czuli się, jak u siebie, by żaden przymus nie nasunął im myśli, że są ciężarem a nie przyjemnością. Dzieci niech widzą matkę spieszącą tam, gdzie siedzi gość osamotniony i nie poszukiwany przez innych; gdzie panienka nieładna i nieśmiała, rozmyśla nad nierównością darów natury, gdzie nudny i trochę głuchy staruszek oczekuje miłosiernéj osoby, któraby go cierpliwie słuchać chciała. Podobny przykład rozbudza w dzieciach poczucie potrzeby małych poświęceń towarzyskich, które wnoszą równowagę w niedobrane zgromadzenie, a dają delikatną pomoc tym, co towarzystwu niewiele ofiarować mogą, choćby ofiarować pragnęli, — i tym, co potrzebują podania sobie ręki życzliwéj, by zwyciężyć nieśmiałość, fałszywy wstyd, od których tak trudno wyswobodzić się niektórym charakterom.

Nieraz spotkałam się ze zdaniem, że matka interesująca się sprawami społecznego znaczenia i nie zaniedbująca towarzyskich stósunków, obowiązkom swoim macierzyńskim zadosyć uczynić nie może; — mojém zaś przekonaniem jest, że, aby im odpowiedziała godnie, powinna czuć się czynnym członkiem społeczeństwa, wśród którego żyje; idzie tylko o to, by, mając wychowanie dzieci za zadanie najwyższe, umiała innym obowiązkom właściwe miejsce przeznaczyć, i obrócić je na korzyść i udoskonalenie swych dzieci, które tylko w takim razie prawidłowo mogą rozwinąć wszystkie przymioty, jakiemi od natury obdarzone zostały.

Póki dzieci są małe, matka może być pewną swego na nie wpływu, choćby w innych nie wzbudzała uznania dla swych umysłowych, obywatelskich i towarzyskich przymiotów. Ale wpływ ten zachwieje się bardzo od chwili, kiedy córki dorastające i dorosłe zaczną wyrabiać sobie własny sąd o życiu i świecie; kiedy synowie, młodzieńcy marzący już o przyszłości, z gorącą pewnością zwycięstwa w walkach życia, obejrzą się na matkę i zobaczą, że w swéj wychowawczéj pracy, zapomniała już o szérszych życia potrzebach, że ta matka nie może im dać rady skutecznéj. Pełen uszanowania syn, nie powié tego, ale pomyśli, że matka nie zna wymagań towarzystwa, nie zna nic z tego, co leży poza obrębem kółka rodzinnego i wpływ jéj osłabnie do tego stopnia, że dwudziestoletni syn już zdania jéj przy swoich planach na przyszłość w rachubę brać nie będzie. Nie chodzi mi tu o cierpienie matki, widzącéj, że syn kocha ją jedynie przez wspomnienie lat dziecinnych, ale już jéj radom, jéj doświadczeniu i rozumowi nie ufa; chodzi mi o potrzeby młodzieńca, któremu oświecona rada, rozumnéj i znającéj życie kobiéty, tak bardzo przydać się może. Córki bezwiednie tego samego doświadczają. To, że nie widziały matki w stósunku do innych ludzi, da im o świecie fałszywe pojęcie; opowiadania matki, niestwierdzone przykładem, popadną u nich w podejrzenie, nie co do jéj prawdomówności, ale co do jéj pojęć; wprowadzone przez matkę w towarzystwo ujrzą ją nieobytą z niém, bez znajomości, bez wpływu, bez zawiązanych stósunków, a jeżeli córki te będą o tyle wyższe, że nie doznają wstydu za pocziwą kobiécinę, drzé-

miącą na kanapce, o którą nikomu nie chodzi; to przynajmniéj będą miały żal do ludzi za to osamotnienie matki; żal do niéj, że zerwawszy z towarzystwem, nie poznała jego wymagań. Przykłady takiego stósunku niejednokrotnie w mojém życiu widziałam. Objawy niedowiarstwa w macierzyński rozum i doświadczenie, zaczynają się zwykle między 15tym a 18tym rokiem chłopięcia. Czuje ono dorastające własne skrzydła, zdaje mu się, że niemi bez pomocy niczyjéj latać potrafi; szérsze horyzonty uśmiéchają mu się; wszystko, co przychodzi z zewnątrz, silnie na nie działa; wpływ świata stacza walkę z wpływami rodziny, które uosobione w zadomowionéj i zakrzątanéj w ciasném kółku matce, popadają u dziécięcia w podejrzenie. Przypisuje im ono jakieś osobiste, interesowne pobudki a wzrok i słuch wytęża ku obcym, często wrogim wpływom. Obcy ludzie żyją w świecie, działają w sferze obywatelskiéj, pracują umysłowo, czytają—zatém wiedzą. A matka? Cóż ona wié? Umié dzieci strofować, dbać o ich wygody i moralność, jest cnotliwa, prawdomówna, uległa względem ojca — nic więcéj. Tak myśléć będzie podrastające chłopię, bo w tym wieku nie potrafi ono jeszcze ocenić zasługi domowych cnót matki. Dopiéro gdy pozna inne kobiéty—lekkie i wietrzne córy Ewy; gdy córka rozejrzy się po świecie i sama zaciągnie obowiązki rodzinne i doświadczenia wszystkich trudów macierzyństwa: wtedy dopiéro matka doczeka się swych cnót cichych uznania. Nastąpi to około 22go lub 25go roku życia jéj dziécięcia. A więc mniéj więcéj 7 lat trwać będzie ten cichy stan nieufności, niedowierzania i jakby niewyraźnéj nagany, czy żalu do matki, za jéj zardzewienie w rodzinie. Często niestety niedowierzanie to objawia się lekceważeniem dla słów i zdania matki, i choć nie występuje zbyt widocznie, badawcze jednak oko dostrzeże je z łatwością. Towarzyszyć mu będą nieraz wszelkie pozory uszanowania, ale niemniéj przeto wpłynie na obniżenie stopnia szacunku dla matki, zasługującéj skądinąd na największą miłość i cześć. Nawet oświecona, rozumna i obyta z życiem matka, spostrzeże niejednokrotnie, że przez ponętę, jaką ma nowość dla młodéj istoty, wpływy postronne większe na duszy dziecka czynić będą wrażenie, niż tego oczekiwało jéj macierzyńskie przewidywanie.

Przychodzi czasem na młodzieńca taka chwila wrażliwości na to, co mówi. *ktoś*, *świat*, *moda*, *zwyczaj*, *książka*, że matka z całym zasobem umiarkowania, rozumu, doświadczenia, znajomości serca ludzkiego, przenikliwości, dyplomatycznéj umiejętności działania w porę, ledwo zrównoważyć potrafi wpływ postronny. A cóż dopiéro mówić o poczciwéj kobiécinie, która pod względem doświadczenia towarzyskiego, nauki, życia obywatelskiego i stósunków społecznych, została tam, czém była w swoich latach 18tu.

Zważywszy, że to rozglądanie się chłopięcia za wpływem zewnętrznym, następuje w wieku niezupełnéj dojrzałości, a więc w wieku potrzebującym jeszcze kierunku, rady, zachęty, oddziaływania rodzicielskiego; a zrozumiemy, jaka krzywda wynika dla dzieci z podobnego stósunku.

Są to wszystko skutki bezpodstawnego wychowania, jakie kobiéta odbiéra.

W wychowaniu męskiém pedagogowie trzymają się przynajmniéj jednéj zasady. Uznali oni niektóre przedmioty za podstawowe, jako rozwijające umysł wszechstronnie. Do takich, obok matematyki, należy nauka łacińskiego i greckiego języka. Są one nietyle celem, ile środkiem. Nie idzie tu już bowiem o samę znajomość n. p. literatury greckiéj, ile o wyrobienie, o rozwinięcie umysłu. Na takiéj gimnastyce spędza młodzież męska całą epokę chłopięcego wieku. Aby kiedyś być dobrym lekarzem, prawnikiem, gospodarzem, inżynierem, pracuje chłopię przez całe lat 7 lub 8, na polu, nie mającém z jego późniéjszą specyjalnością żadnego na pozór związku. Tymczasem wychowaniu kobiéty, zwłaszcza domowemu brak wszelkiéj myśli przewodniéj. Nikt nie zadaje sobie pracy pomyśléć, jakie mianowicie nauki i w jaki sposób wykładane, mogą najodpowiedniéj wykształcić rozum istoty, powołanéj do najtrudniejszego w świecie zadania, bo wychowania dzieci do przyszłego życia i obowiązków społecznych. Wszystko tu zależy od mody, panujących przesądów, jest dziełem przypadku, bezmyślności, kaprysu i takie też przynosi owoce. Biorąc rozbrat z nauką i książką, w ośmnastym roku życia, młoda dziewica jest zbiornikiem idei cudzych, nieprzetrawionych w umyśle, pochwytanych nieporządnie, a tém samém nie usposabiających jéj do samodzielności, i logicznego zdawania sobie sprawy, za-

równo z wiadomości nabytych, jak i z uczuć myśli i własnych postępków. Epoka bezobowiązkowości i próżniactwa—wiek, w którym otrzymuje nazwę dorosłéj panny, dopełnia rozpoczętego przez wychowanie dzieła.

Był czas, gdy tak zwane *prawa kobiéty* dawały powód do bardzo żywych dyskusyj. Jak zwykle w takich razach, dwa przeciwne obozy, w padając w przesadę, zapomniały o wszelkiém umiarkowaniu w téj walce na słowa.

Przesadny i lękliwy konserwatyzm chciał utrzymać kobiétę w ograniczającéj ją pod każdym względem bierności; rzekomi znowu obrońcy jéj praw pragnęli ją, nietylko wyswobodzić od wszelkich obowiązków rodzinnych, ale nadto i wprowadzić na szérszą życia arenę.

Tak niepomierne jednak tych ostatnich żądania i apostołowanie całéj sprawy przez niedojrzałe lub przewrócone umysły, sprawiło, że ogół, wyczekujący ostatecznych walki wyników, zraził się w końcu fałszywém stósowaniem w praktyce nowéj idei i przed jéj następstwami cofnął tak daleko, że stanął aż po za liniją postępu. Do dziśdnia téż przez kobiétę światłą większość rozumié taką, która zatopiona w księgach, zapomina o domu i dzieciach i, powierzając je niańkom i bonom, zaniedbuje najświętsze obowiązki, jakie na nią macierzyństwo włożyło. Ale jeżeli nauka niedokładna, według słów Bacona, odwodzi umysł od Boga, a prawdziwa zbliża ku Niemu; to równém prawem można powiedzieć, że fałszywe światło odwodzi od obowiązku, prawdziwe zaś czyni obowiązek ten świętszym i spełnienie jego ułatwia. Bez nauki i odpowiedniego przygotowania umysłu, bez znajomości psychicznych własności dziecka i zasad pedagogiki, wyrobionych pracą stuleci, matka nie podoła nigdy, swemu zadaniu. Dobre chęci, intuicyja macierzyńska i miłość dzieci, nie zastąpią umysłowych jéj braków. To téż, gdy odczuwa je w sobie, niech pracą stara się je usunąć. Jak w piérwszych latach, oświécając umysł dziecka przez rozmowę, skierowaną, ku zjawiskom otaczającego je świata, pracowała nad sobą, by mu ich zrozumienie ułatwić; tak obecnie niech kroczy naprzód w zdobywaniu wiedzy, z rozwijającym się jego umysłem, jeśli chce w późniejszych latach zachować matki powagę. Bez postępu

niéma udoskonalenia. Bez udoskonalenia trudno być mistrzem w jakimkolwiek zawodzie.

Wspomniawszy powyżéj słowo: *postęp*, tak często nadużywane w naszych czasach, pragnęłabym w interesie matek określić bliżéj jego znaczenie. Wszak udoskonalając moralnie i umysłowo swe dzieci, powinny urobić sobie jasne pojęcie na czém on rzeczywiście polega.

Od najdawniejszych czasów, ludzie wiekowi skarżyli się na upadek cnót dawnych i przeszłość za wzór do naśladowania współczesnym stawiali; twierdzili zawsze, iż *dawniéj lepiéj bywało*, że czasy na gorsze się zmieniły. U pisarzów starożytnych, znajdujemy mnogie dowody téj skłonności ludzkiéj. Narody téż całe lubią tak oglądać się na kolébkę swoję i otaczają ją poezyją i wielkością, jak ludzie starzy, którzy, wraz z dzieciństwem i młodością własną, widzą zaginioną już nazawsze, dla nich samych i dla świata całego, poezyją uczuć i wrażeń.

Że wszelkie takie ludzkie właściwości i skłonności przyrodzone znajdują w dawnéj epoce przeciwstawiane sobie prądy nowe i kierunek krańcowy, który, wychodząc z zasady, że wiary dawne są fałszywe; świéżo wytworzone posuwa do największéj przesady; — więc i stara cześć świata dla przeszłości, mająca wiele stron dziecinnych i niewyrozumowanych tak została sponiewiérana obecnie przez młode pokolenie, że nic już dobrego widzieć w niéj nie chce i wszystko, co do niéj należy, pogardliwie nazywa: archeologiją, zgnilizną.

Nie jest to tak dziwném, jak się może wydawać na pozór.

Zdobycze naukowe naszego wieku są tak wielkie i takie jeszcze w blizkiéj przyszłości obiecują dopełnienia, że uwierzono w ich moc absolutną, zdolną rozwiązać nam wszelkie życia zagadki. Zarozumiałość własna z jednéj strony, z drugiéj ślepa wiara w naukę, włożyła nawet w usta jednego z filozofów nowoczesnych zdanie, że: „nauka dała dymisyją Ojcu niebieskiemu,

wyprowadziła go za granicę swoich krain, dziękując mu zresztą za Jego dotychczasowe usługi".*)

Co jednak nauka postawiła na miejsce zburzonego przybytku? Oto negując dawne wiary, zdobyła się zaledwie na hypotezę materyjalną. — Na piérwszéj, owéj dawnéj, wierze wlanéj w serca wszystkich plemion, ludzkość dorobiła się zasad etycznych, najwznioślejszych; na drugiéj, zaczyna się dorabiać egoistycznéj obojętności na wszystko, co nie jest interesem indywidualnym, wreszcie nicości duchowéj, tak słusznie przez sąsiadów naszych *nihilizmem* nazwanéj.

„Jest to rzeczywiście smutnym do zaznaczenia kontrastem— mówi Flamaryjon—że wspaniały i niezrównany postęp nauk pozytywnych, że zdobycze, w dziedzinie natury stopniowo otrzymywane przez człowieka, podnoszące tak wysoko nasz umysł, strąciły nasze serca w tak głębokie poniżenie. Boleśnie jest czuć, że kiedy z jednéj strony rozum coraz więcéj swą potęgę zaznacza, z drugiéj uczucie wygasa i życie wewnętrzne duszy ustępuje przed roszczeniami ciała".

Niezawodnie smutny to widok i każda istota myśląca, a szczególniéj matka, kierująca wychowaniem młodego pokolenia, powinna wznieść się na to bezstronne stanowisko, z którego mogłaby dojrzéć, co w pochodzie ludzkości dzisiejszéj jest rzeczywistym postępem ku dobremu, tym postępem, który szczęście ogółu, a uzacnienie jednostek ma na celu; co zaś szkodliwą mrzonką pysznych swą wiedzą uczonych, lub interesowaném wyznaniem ludzi, szukających wiary najwygodniejszéj — takiéj, któraby ich drogiemu *ja* największe przyniosła korzyści.

Postępem więc, jest umocnienienie w nas poczucia sprawiedliwości i wyrozumiałości; porównanie wszystkich wobec prawa; uprzystępnienie dla wszystkich nauki, już to przez stósowanie jéj przymusowe i przez mnożenie się zakładów naukowych, już to przez popularyzowanie nauki, za pomocą przystępnie pisanych i tanich książek. Postępem jest tolerancyja, która uwolniła sumienie od twardych więzów wiekowych, która z pomocą świa-

*) August Comte.

tła, na wieki obaliła świat czarów, duchów nieczystych, opętanych, strachów, upiorów, uroków, dni feralnych, urodzin pod nieszczęśliwą lub szczęśliwą gwiazdą. Postępem, jest wyswobodzenie myśli ludzkiéj od praw, przepisanych przez silniejszą materyjalnie ciemnotę. Już dziś nikt nie pokutuje w więzieniu, za odkrycie ludzkości nowéj prawdy, za podbicie dla niéj nieznanéj dotąd potęgi, a sławy naukowe znane są i szanowane powszechnie. Prawdy odkrywane pod mikroskopem fizyjologa, pod skalpelem anatoma, w laboratoryjum chemika; wielkie pomysły, które lądy i morza okrywają wozami i statkami parowemi, przebijają góry, które przez cud elektryczności pośredniczą w rozmowie o tysiące mil odległych osób i „w jednéj chwili pozwalają nam liczyć pulsacyje całéj ludzkości“—to postęp.

Zastósowanie do prawodawstwa najszczytniejszych przepisów ewangelii: litość nad zbrodniarzem, zniesienie tortur i w niektórych państwach kary śmierci, pociecha religii i pracy niesiona więźniowi; usunięcie z drogi zbłąkanéj kobiéty pokusy dzieciobójstwa przez urządzenie żłobków; wyrwanie małoletnich przestępców z przepaści zbrodniczych i kształcenie ich na użytecznych członków rodziny ludzkiéj; niezliczone instytucyje dobroczynne, stowarzyszenia wreszcie rolnicze, przemysłowe, handlowe —to postęp.

Ale materyjalistyczna teoryja szczęścia osobistego, oparta na używaniu; ale cielec złoty, jako bożyszcze żywota; obojętność dla zasad, martwota ducha, schlebianie bogactwu, podstęp rozwijany dla zysku, egoizm wysuszający serca, związki rodzinne rozluźnione, zatracające się uczucie obywatelskie, wiara zachwiana, szalone teoryje i pragnienia zburzenia porządku społecznego,—to negacyja tylko postępu.

Tak! istnieją wyższe duchowe cele. Uszlachetnianie się ludzkości, nie tylko na wiedzy, nie tylko na zdobyczach naukowych spoczywa: jest życie ducha w którém zwalczanie jednostkowego samolubstwa stanowi podstawę wyższéj doskonałości.

Nauka jest potęgą! — Ale potęgę tę równie ku szkodliwym, jak ku pożytecznym celom zwrócić można. Nie sama wiedza, ale przekonania, stanowiące o jéj zastósowaniu, można uważać za rozstrzygające o jéj wartości i przyznać, że jak w jednostce, tak

w społeczeństwach zasady i urobienie charakteru na piérwszym planie kłaść i za najwyższy postęp uważać należy. Spojrzyjmy w nasze serce, odszukajmy w niém iskry Bożéj, pod nawałem żądz samolubnych, a rozświéci nam ona spoczywające w głębi zawsze to samo pojęcie cnoty i moralności.

Wielkie ideje, czyny szlachetne, szczytne poświęcenia zachwycają nas, jak zachwycały naszych praojców przed wiekami; w sumieniu naszém znajdujemy czynów tych oddźwięk w szlachetnym porywie, lub pokornėm uznaniu, żeśmy uczuciem i męstwem nie dorośli owych wielkich mężów, w których duch był silniejszy od ciała.

W tym przez wieki niezmienioném, zawsze jednakiém poczuciu i pojęciu cnoty; w tym ich oddźwięku serdecznym, jaki się w nas znajduje, widzimy jasny dowód, że wysokie prawa dla ducha pozostały te same, co przed wiekiem; że stare wiary, ewangeliją oczyszczone z samolubnych przymieszek, są do dziś dnia najpewniejszemi stróżami postępu duchowego i że pozostaną takiemi, choćby szkoła materyjalistyczna, wszelkiemi możliwemi dowodami branymi z przyrody, chciała dowieść, że prócz samolubnych pobudek niéma innych praw i natchnień dla człowieka.

Prądów tych strzedz się trzeba i dziécię przed niemi, o ile można, ochraniać. Wpływ rodziny, religii, miłości, niech przeciw nim oddziaływa. Dziécię niech się czuje potomkiem duchowym bohatérów, męczenników i myślicieli przeszłości, niech spuściznę ich przechowa jego serce a tradycyja ogólno ludzka i narodowa niech w jego wychowaniu właściwą rolę odegra.

Jeżeli niektóre teoryje filozofii nowoczesnéj pracują nad obaleniem wiary, nie odkrywszy poprzednio zagadki życiowéj, o któréj tyle tylko wiedzieć można, że umysł ludzki nigdy jéj nie odkryje — to téj ich nowatorskiéj dążności niszczenia, nie dającéj nic w zamian, strzedz się szczególniéj w wychowaniu należy.

Wszak i materyjalizm ma swoję pedagogikę;*) często w dziełach skądinąd bardzo dobrych, spostrzegamy ślady jego wpływu;

*) Naprzykład Pedagogiczne artykuły: Laskera.

umiejmy więc odróżniać ziarna od kąkolu. Ilekroć światło nauki i indukcyi prowadzi do odkrywania praw najlepszego fizycznego wychowania, ilekroć dotyczy prawidłowego nauczania i podania dziécięciu nauki w stopniowaniu najwłaściwszém dla umysłu; tyle razy możemy mu zaufać, jest to wiedza nie przechodząca pojęcia człowieczego; ale moralne wychowanie rozwijajmy, jak dawniéj, na zasadach z ewangelii czerpanych.

Byłoby smutną rzeczą, próbki moralności odbywać na charakterze dzieci naszych i dla tego, że zwiérzęta w „walce o byt“ kierują się instynktem zachowawczym i indywidualnemi pragnieniami, wprowadzać zasadę egoizmu do praw moralnych, rozkrzewiać w sercu dzieci chwast nie potrzebujący uprawy, jakim jest samolubstwo, a duchowi ich odjąć wszystko to, co w pojęciu własném człowieka do godności istoty wyjątkowéj podnosi. Uczynić go tylko *cząstką ogólnéj natury*, jakaż to smutna, jak poniżająca teoryja! Smutna i poniżająca dla człowieka, ale stokroć więcéj dla dziecka, gdy ją piastunką jego duszy czynimy.

Nie jeden dzisiejszy uczony materyjalistycznéj szkoły, własném dowodzeniem zaślepiony, miał jednak matkę, która jego charakter na dawnych prawach urabiała; kiedyś, dzieckiem będąc, czuł w sobie duszę nieśmiertelną; to go czyni jeszcze *wyrozumiałym* dla cnoty, uważa ją za *nieszkodliwe*, a nawet *pożyteczne przyzwyczajenie*. Lecz dziécię wychowane od urodzenia w potwornéj zasadzie odnoszenia wszystkiego tylko do własnéj osoby, poczyta już bezinteresowną cnotę za śmieszną i szkodliwą a miłość dla rodziców za przesąd.

Nie bierzmy filozoficznych teoryj za jedno z nauką. I dzisiejszych uczonych doprowadza ona do rozmaitych wniosków. Postęp wiedzy nie jest, ani skutkiem wyrugowania z umysłów wiary i ideałów dawnych, ani owo wyrugowanie koniecznie za sobą prowadzi. Jedni uczeni szukają w nauce dowodów, obalających religiją, inni znajdują w niéj tém silniéj popiérające ją zasady.

Herbert Spencer, z którego dzieła o wychowaniu parę ustępów przytaczałam, wypowiada w innéj swéj pracy p. t. „*Prawa i przyczyny postępu*“ zdanie następujące: „Pomimo pozorów

przeciwnych, nieustraszone naukowe poszukiwania bezprzestanku zmierzają do dania tém silniejszych podstaw religii.“ I daléj: „Uczony, przekonany szczerze, że idzie tam, dokąd prawda go wiedzie, staje się po każdém poszukiwaniu głębiéj przekonanym, że wszechświat jest zagadką nierozwiązalną. Zarówno w świecie zewnętrznym, jak w świecie wewnętrznym, widzi się on wśród zmian ciągłych, których ani początku, ani końca odkryć nie może“. Uczony angielski kończy swoje *studyjum* następującemi słowy: „We wszystkich kierunkach poszukiwania doprowadzają uczonego do znalezienia się wobec niezgłębioności; im daléj postępuje, tém wyraźniéj odgaduje, że sam jest dla siebie zagadką. Poznaje on jednocześnie wielkość i ograniczoność umysłu ludzkiego; jego potęgę wobec tego, co podpada pod miarę jego doświadczenia, jego bezsilność wobec tego, co owo doświadczenie przechodzi. Czuje żywo niezbadaną naturę faktu najpospolitszego, pojętego w samym sobie. Za prawdę, tylko uczony widzi, że absolutna wiedza jest niepodobną; tylko on wié, że w każdym objawie życia spoczywa niezgłębiona tajemnica“.

Nie potępiajmy jednak bezwzględnie dzisiejszego postępu;— wskrzeszając w naszéj wyobraźni przeszłość, umiejmy z niéj wybrać to, co rzeczywiście wielkiém w niéj było, nie rzucając gromów na czasy dzisiejsze za to, że są innémi od dawnych. Ludzkość postępuje niezawodnie we wszystkich kierunkach a że są stronnictwa wstecz, w moralności, czy nauce, idące, to postępu ogólnego niezmienia.

Starajmy się tylko z darów, jakie niesie teraźniejszość, wybrać te jedynie, które, ubogacając nasz umysł, nie zubożają ducha.

Dobro przedwieczne rozsiane jest po wszechświecie; umiejmy tylko patrzéć, a znajdziemy je, w mniejszéj lub większéj części, w każdym narodzie i w każdéj prawie jednostce.

Każda epoka, każde społeczeństwo przedstawia dla wychowawcy naukę i korzyść, bo albo daje przykłady cnót i myśli, godne zastósowania, albo stron ujemnych i skutków, jakie sprawiają.

Takie doświadczenie z dziejów przeszłych i współczesnych zawsze należy porównywać z naszemi narodowemi skłonnościami. One niech będą miarą w zastósowaniu, bo wychowanie powinno być narodowém na ojczystéj tradycyi opartém, pielęgnującém przymioty plemienne, a na wady spadkowe podwójne baczenie zwracającém.

ROZDZIAŁ VIII.

Wiek chłopięcy.—Religija.—Miłość rodzinna.—Wpływ ojca w rodzinie.

Wiek dziécięcy jest czasem największego stósunkowo postępu. W piérwszych trzech latach dziécię największy obszar wiedzy zdobywa; późniéj przyrost jéj staje się coraz mniéj widocznym. Jeżeli jednak piérwsze lata dziécięcia można dokładnie podzielić na pewne epoki umysłowego rozwoju; to wiek chłopięcy, poczynający się od lat 7-iu lub 8-iu, już trudniéj się nadaje do takiego podziału. Dla tego mówiąc o nim, przestanę oznaczać dokładniéj lata, w jakich wychowaniec do przyjęcia danych wpływów staje się zdolnym, a mówić będę w ogólności o całéj epoce wieku chłopięcego, który obejmuje czas od 7-go lub 8-go roku, do lat 16-tu lub 17-stu. Jakkolwiek różnica postępowania matki z dziécięciem 8 letnim, a 18 letnim młodzieńcem musi być wielką; mówienie z osobna o każdym dziale wychowania i o każdéj z tych epok, przedłużyłoby pracę moję nad miarę, zwłaszcza że uchwycenie pory do działania właściwéj, zależy tylko od rozumu wychowawcy; żadne więc dzieło pedagogiczne nie może dać co do tego wyraźnych wskazówek.

Wiek piérwszego dzieciństwa jest wiekiem naśladownictwa; jeżeliby zaś kto dla wieku chłopięcego szukał znamienia i pragnął go podobnie, jak pewną epokę historyczną jedném słowem określić; to najwłaściwiéj powinien by go nazwać *wiekiem wiary*. W saméj rzeczy ufność w własne siły, wiara w przyszłość i wogóle serce, usposobione do przyjęcia przekonań przez kierowników wpajanych, są tego wieku najwłaściwszą cechą.

Na ten wiek zatém, w którym wrażenia przyjmowane zaczynają już nabiérać samowiedzy, kiedy tajemniczy nerw, łączący serce z umysłem, kształci się i działać konsekwentnie zaczyna; na ten wiek przypada zdobycie raczéj wiar, niż przekonań i poglądów, będących większéj dojrzałości udziałem.

Zrozumiejmy się.

Szesnastoletni młodzieniec, lub dziewica, mają już zapewne przekonania i poglądy, lecz charakterystyką tych poglądów nie jest zasada na krytyce i rozmyślaniu oparta, ale raczéj niewyrozumowana, młodzieńcza wiara, nie pytająca o źródło, skąd ona wypływa. Niech matka zrozumié tę właściwość wieku i wyzyska ją na korzyść udoskonalenia i szczęścia dziécięcia, niech na tym gruncie, którego żyzne łono otwiéra się dla przyjęcia zasiewu, pracuje bez przerwy. Rolnik wybiéra najdorodniejsze ziarno do rzucenia go w ziemię; matka niech z wiar ludzkości, weźmie dla dziecięcia te, które dla współbraci najwięcéj przyniosą pożytku, najbardziéj uzacnią duszę młodą. A więc najprzód niech mu da wiarę—wiar, któréj potrzebę i pragnienie człowiek, rodząc się przynosi— t. j. religiją.

Religija jest najpewniejszą piastunką duszy. Między pokusami i niebezpieczeństwy, przeprowadzi ją czystą, jeżeli już nie w piérwotnéj dziécięcéj czystości, to przynajmniéj w odzyskanéj białéj szacie przez żal szczéry za grzéchy.

Dopóki dziécię jest małe, nie trzeba religii ujmować dla niego w formy suchéj i trudnéj nauki, jaką jest katechizm, zwracający się tylko do rozumu, a nie kształcący uczuć dziecka. Nauka religii elementarna wcale niepotrzebuje być dogmatyczną; matka może nie mówić dziecięciu o łasce, wolnéj woli, darach Ducha świętego, cnotach kardynalnych i t. p. Niech tylko je nauczy widziéć Boga w jego dziełach. Niech mu objawia piękności natury, jéj nieprzebraną różnorodność, jéj bogactwo i mądrość, w któréj ujawnia się wszechmocny Bóg; niech zapala duszę dziecka pragnieniem doskonałości przez czytanie i opowiadanie żywotów świętych i męczenników, którzy śmierć za wiarę

ponieśli, pamiętając o starannym wyborze, jaki w czytaniu dla dzieci zawsze czynić potrzeba.

Pamiętam, jak ogromne i moralnie kształcące wrażenie zrobiło na mnie w dzieciństwie czytanie chrześcijańskiéj powieści— „*Fabijola.*" Każdy w swych wspomnieniach odnajdzie pamięć podobnego wrażenia, któremu zabrakło tylko dalszego ciągu, by się stało nicią przewodnią żywota i dało nam wielkie i nieporównane szczęście, jakie leży w pewności, że droga, którą postępujemy jest drogą udoskonalenia.

Historyja biblijna i życie Pana Jezusa, zawiéra téż w sobie wiele rysów dla umysłu dziecku właściwych i kształcących. Taka nauka religii nie udziela się jedynie w godzinach na to przeznaczonych, ale wszędzie i zawsze winno ją dziécię na swéj drodze spotkać. Modlitwa ranna i wieczorna, owa krótka a zupełnie do pojęcia dziécięcego zastósowana modlitwa Pańska, daje powód do rozmowy o Bogu, jak równie każde zdarzenie, każdy wypadek, każdy postępek dziécięcia. Rozmowa ta niech płynie z serca do serca, niech dziécię odczuję wiarę matki w jéj głosie, spojrzeniu, gdyż jeżeli inne przedmioty uważamy za źle wykładane, gdy nauczyciel niemi się nie przejmie; to nauka wiary przestaje nią być zupełnie, jeżeli jéj nie ożywia natchnienie, przejmujące uroczystém namaszczeniem, uszanowaniem, uwielbieniem i miłością dla Boga. Nie z głowy i dla głowy uczyć jéj należy, lecz zapalić nią serce dziecka, jeśli chcemy postawić ją u stéru jego żywota.

Starsze dziécię powinno od takiego, czysto uczuciowego pojmowania, przyjść powoli do nauki zasad wiary, katechizmu, historyi Starego i Nowego Testamentu, przepisów kościelnych i t. d. Radziłabym matce, by do téj nauki dała dziecku oświeconego nauczyciela, posiadającego najprzód warunek zajmującego wykładu tak, aby dziécię lekcyi religii oczekiwało z przyjemnością, a słuchać jéj mogło z podniesieniem ducha. Gdy do niéj przychodzi z niechęcią, a wśród wykładu usypia; lepiéj mu jéj wcale nie dawać. Drugim przymiotem nauczyciela jest taka znajomość przedmiotu, któraby na każde zapytanie dziecka znalazła odpowiedź jasną, dobitną i przekonywającą.

Od lat 8-iu dziécię w niedzielę i święta obowiązkowo do kościoła chodzić powinno, chyba że zbyt wielkie zimno, lub gorąco w świątyni narażałoby jego zdrowie. Ludzie nieprzyzwyczajeni do tego obowiązku, mają go sobie za ciężar i jego potrzeby nie odczuwają.

Wybór spowiednika, jeżeli dziécię jest katolickiego wyznania, równie jest ważnym, jak wybór nauczyciela. Jeżeli odbycie piérwszéj spowiedzi pozostawia dziécię zimném, nie dodatni, ale ujemny wpływ na duszę jego wywiéra.

Powtórzę tu raz jeszcze, że wszystkie te spełniane obowiązki religijne i nauka religii, nie powinny uwalniać matki od ciągłéj baczności na to, by dziecko jéj żyło otoczone atmosferą wiary, miłości, uwielbienia dla Boga. Przy każdém niebezpieczeństwie, wstrząśnieniu moralném, doznaném szczęściu lub niedoli; niech dziécię widzi ze słów i uczynków matki, że myśl o Bogu towarzyszy jéj nieustannie. Taki tylko przykład pobożności działa stanowczo; spełnianie obowiązków religijnych i wykonywanie obrzędów kościelnych nazimno, zaszczepia w duszy dziecka tylko indyferentyzm, a z czasem doprowadza je do zupełnéj niewiary.

Dla matki dzisiejszéj, pragnącéj wychowywać religijnie swe dziécię, zadanie nie jest łatwém; okoliczności nie dopomagają jéj w niém i dzieło wielkie, samo z siebie, dziś prawie na apostolską pracę urasta. Niech matka wié to naprzód, że wszystkie wpływy zewnętrzne: ludzie, książki, kierunek nauki nowoczesnéj, walczyć z nią będą o wiarę dziecka. Niektórzy filozofowie dzisiejsi zaprzeczają istnieniu Boga; inni, jak z łaski przyznają, że Bóg jest dla tego jedynie, że bez tego przypuszczenia, początku wszech rzeczy odkryć nie umieją, ale obalają zupełnie wzniosłą teoryją zbliżenia się do Boga przez życie cnotliwe. A jednak teoryja ta, iluż to wielkich czynów, ilu poświęceń, ilu wzniosłych myśli i uczuć stało się źródłem; jak potężnym wreszcie może być czynnikiem w wychowaniu, jakim bodźcem dla dziecka i pomocą dla nauczyciela, jaką nakoniec daję siłę przyszłemu rycerzowi w walce z życiem i jak silnym przyobleka go pancerzem! Wszak go uczy zwyciężania złych skłonności, znoszenia nieszczęść i niepowodzeń z podniesioném czołem, pogardzania, próż-

nością, uwielbienia dla cnoty. Jakiémże prawem rodzice odrzucają taki czynnik z życia swych dzieci? A odrzucają go coraz częściéj, niestety!

W niewielu wprawdzie rodzinach wyrzeczone zostało słowo ostateczne: niéma Boga, niéma wiary; ale przykład, postępki, cele są dosadniejsze, niż słowa i to, co nazywano dawniéj wychowaniem chrześcjańskiém, znika zpośród nas coraz więcéj.

Że zupełny brak zasad moralnych coraz częstszém jest zjawiskiem; że egoizm, chęć używania i nadmierne pragnienie samolubnego szczęścia, coraz więcéj serca ludzkie ogarnia; to przypisać należy, nietylko obecnemu ustrojowi społecznemu rozwojowi potrzeb dawniéj nieznanych i trudności wywalczenia sobie materyjalnego bytu; lecz i wielkiemu oziębieniu uczuć religijnych i usunięciu ich na drugi, a nawet ostatni plan w wychowaniu nowoczesném.

Nie śmiem przemawiać dłużéj w imieniu wielkiéj prawdy niepotrzebującéj niedołężnych słów moich, by zajaśniéć całą swoją potęgą, i myślę, że każda dobra i kochająca matka, czuje potrzebę religijnego w wychowaniu kierunku. Nietyle więc o poczuciu téj potrzeby mówić pragnę, ile o wielkiéj trudności wprowadzenia jéj w życie, przy postronnych wpływach i gorszących przykładach.

Wielu ojców zgadza się wprawdzie w zasadzie na kierunek religijny w wychowaniu dzieci, ale zachowaniem się swojém przeczy mu bezustannie. Wszyscy w ogóle młodzi mężczyźni, jakich dziecię widuje, składają się potrosze na ogólne wrażenie, z którego dziécię nie zdaje sobie sprawy z początku, ale które wkrótce zamienia się w przekonanie: że mało kto ze znajomych mu mężczyzn jest pobożny; że na braku pobożności nic się w szacunku ludzkim nie traci i że nawet ta w pewnym stopniu okrywa śmiesznością mężczyznę.

Rozumna matka powinna najprzód często w nieobecności dzieci kwestyją tę z mężem roztrząsać i starać się nakłonić niewierzącego lub obojętnego do systematycznego postępowania z dziećmi w téj mierze. Niech mu rozgrzeje serce, własném pragnieniem dobra dzieci; niech mu da pojąć, jak

potężnéj dźwigni na życie całe ich pozbawi, jeżeli im wiarę odejmie; wreszcie nich zwróci jego uwagę na rozdwojenie pojęć, jakie wrzuci im w duszę, jeżeli przy zimnéj nauce o Bogu, nie da im nigdy przykładu stósowania jéj w życiu.

Ale jak człowiek niewierzący może kłamać wiarą? Wprawdzie czyni tak wielu; lecz dopełnianie formy, bez odczucia jéj ducha, tak mi się wstrętném wydaje, że nie chcę podawać tu matkom rady, by do podobnego kłamstwa chciały zachęcać swych mężów. Dzieci mają bardzo bystry zmysł spostrzegawczy i dojrzą wkrótce udawania; zatém po długim namyśle, muszę uznać za najstósowniejsze w tym razie wychowanie dzieci w gorliwości największéj dla wyznania własnego, obok wielkiego i świętego poszanowania dla wszelkich religij i wyznań innych. Owo uczucie tolerancyi, którego Chrystus nauczał swojém z Samarytanami postępowaniem, niech od piérwszych chwil będzie dziecku wpajane; niech mu matka mówi i tłómaczy, że zarówno katolik, jak luteranin, lub izraelita wart jest szacunku, jeżeli wiara jego pomaga mu do czynienia dobrze, że żadną religiją pogardzać nie należy, owszem szanować wszystkie, tém więcéj, że wszystkie uznają istnienie przedwiecznego Boga, Stwórcę świata, jako téż i istnienie duszy nieśmiertelnéj. Niech dziécię wié, że nie należy mu szukać chluby z tego, że się urodziło w religii, którą uznaje za najlepszą, ale że tylko czuć się powinno szczęśliwém i dziękować Bogu, że ją wyznaje.

Mając takie od dzieciństwa wszczepione uszanowanie dla każdéj religii, dziécię nie zadziwi się zbytecznie i nie straci szacunku dla ojca, gdy się dowié, że ma swoję wiarę, różną od wiary matki, że dla tego nie chodzi do kościoła i u spowiedzi nie bywa. Takie objaśnienie będzie zgodne z prawdą. Na zagadnienie małego ciekawca, w co wierzy ojciec, — matka może nie dać bliższego objaśnienia, ale powiedzieć: że ojciec wierzy w Boga, że jest chrześcijaninem, a jeżeli są różnice w jego wyznaniu, to dziécię nie potrzebuje o nich wiedzieć, bo człowiek obowiązany jest tylko znać zasady własnéj wiary.

Czego jednak stanowczo od ojca wymagać trzeba, to téj sumienności, któraby uszanowała dzieło matki i wiarę dziecka, któremu powątpiewanie nigdy na myśl nie przyszło. To poczucie

uczciwości rodzicielskiéj mają w części ojcowie; są wszakże tacy, co nie powstrzymują się wobec dzieci od rozpraw religijnych, od szyderstw względem kościoła, sług jego i dogmatów. Choćby nawet byli przekonani, że wiarę od kościoła odłączyć można, nie powinni dawać podejrzywać dzieciom tego rozdwajania, które pojąć może zaledwo umysł dojrzały.

Mało jest kobiét, nie mających żadnéj wiary; mało zatém matek, któreby dziecku zaszczepić jéj nie mogły; są jednak i takie.

Na czém ich obowiązek polega? Nie śmiem rozstrzygać. Czy należy im kłamać przed dziécięciem wiarę, któréj nie mają i powierzyć jego kierunek religijny kapłanowi wyznania, do którego dziécię należy? Czy, jak radzi Esquiros dla swego Emila, nie mówić mu nic — nic wcale o Bogu, i zostawić przyszłości i potrzebie jego serca uwierzenie w Boga? Czy idąc za własném przekonaniem powiedzieć dziécięciu, że Boga niéma? Ostatni sposób, wyznać trzeba, byłby najracyjonalniejszy; ale dreszcz mię przejmuje na myśl, że takiemu eksperymentowi poddanémby miało być dziécię, któremuby tém samém na całe życie pociecha wiary, jéj moc uzacniająca, utrwalająca w dobrem i pozwalająca ufać w przyszłe życie, odjętą została. Mało matek zgodziłoby się na to dla szczęścia dziecka, dla jego moralnéj przyszłości, jeżeliby ją miały na względzie; to zaś, co większa część z nich wybiéra, to jest kłamstwo uczuć religijnych, jako takie, wstrętném mi się wydaje. Dla tego nie śmiem orzekać i pragnę sumieniu matki zostawić sprawę wiary, wykazawszy tylko wpływ jéj niezmiernéj wagi na całe życie człowieka.

Wiara jest czynnikiem nieskończonéj doskonałości; kto ma pod tym względem wątpliwość, niech spojrzy na jéj wpływ w piérwszych wiekach chrześcijaństwa, na jéj działanie we wszystkich społeczeństwach, na zadziwiające skutki, jakie do dziś dnia wywiéra na naród żydowski, który zachowała narodem przez wieki prześladowania, rozprószenia, dając mu siłę oporu biernego przeciw rozkładającym czynnikom. Edgar Quinet w swojéj pracy: „O duchu religii" powiada: że „religija jest źrodłem życia narodów, a każdéj duszy przyrodzoną i najgłębiéj tkwiącą potrzebą; dowodzi téż przykładami historycznemi, że „spokój

żywota i myśli na niéj się głównie zasadza, a walka, dramat, roztérka wewnętrzna zaczyna się dopiéro, gdy przychodzi zwątpienie."

Rozważywszy, jakim wiara jest czynnikiem dla rozwoju uczuć etycznych dziecka, jakim jest dla niego warunkiem szczęścia i spokoju; spojrzyjmy jeszcze na nią ze stanowiska, jakie sobie pedagogika dzisiejsza za punkt wyjścia obrała.

Nowocześni pedagogowie zalecają w wychowaniu dziecka, zarówno moralném, jak intellektualném, trzymanie się wskazówek, jakie nam daje postęp stopniowy, przez który przechodziła ludzkość. I tak, to, co otaczało kolébkę ludzkości, winno otaczać kolébkę dziécięcia, a wszystkie uczucia, pojęcia, nauki mają postępować w takim porządku, w jakim zdobywała je ludzkość, począwszy od stanu dzikości, a kończąc na rozwoju, w jakim się znajduje. Otóż przez długie wieki, których przebieg podają nam dzieje, wiara była podstawą społeczeństw i życia jednostek; od ślepéj wiary, zaczynały wszystkie ludy, zarówno bałwochwalcze, jak wyznające jednego Boga; zatém biorąc tę rzecz, nie z punktu uczuciowego jedynie, ale na zasadzie filozoficznych wniosków, musimy przyjść do przekonania, że wiara jest najwłaściwszą, najnaturalniejszą piastunką młodości.

Matka powinna dobrze rozważyć tę kwestyją, a także głowa rodziny—ojciec. Wspólny wynik swych rozmyślań niech rodzice zamienią w stały i ścisły systemat, aby ich dzieci nie błądziły w ciemnościach, gdy idzie o kwestyją tak wielkiéj wagi i by wyrastali z nich ludzie przekonań, a nie obojętni. Rodzaj to najmniéj ludzkości przynoszący korzyści. Cytowany już przezemnie Quinet, powiada że: „przeczenie jest jeszcze wiarą, ale grobem jéj, obojętność." Ojcowie kościoła myśleli to samo i kiedy w dziejach wiary wielu widzimy nawróconych, z pomiędzy przeczących, mało ich dostarczyła klassa obojętnych. Tak, obojętność jest grobem, bo idzie z nią w parze bezmyślność i zastój, czyli brak wszelkiego postępu. Od niéj to szczególniéj strzeż dziécię, by żyć mogło — nie wegetować, wzlatywać — a nie pełzać.

W końcu wspomnę tu jeszcze o smutnych rozdwojeniach, o dramatach serdecznych, do jakich różność wiary daje powód

w rodzinach. Ileż to matek cierpi nad niedowiarstwem synów, ile łez wylanych nad zatwardziałością mężów i zięciów!

Jeden z moich znajomych, wdowiec, nie mający wiary żadnéj—oddał swoje dwie córki do zakładu Sercanek, gdzie wywychowano je na dobre katoliczki. Starsza z dziewcząt, wróciwszy do domu, poszła wkrótce za mąż i nie wiem, czy dostrzegła stan duszy ojca; ale druga, przenikliwa i myśląca, wprędce odkryła różnicę własnych pojęć z jego pojęciami. Ponieważ zostawała w korespondencyi z przełożoną zakładu, w jakim była wychowana; zapewne więc do niéj udała się po radę, gdyż rozpoczęła trudne dzieło nawrócenia ojca. Dyskutowała z nim, prosiła, błagała, modliła się, suszyła na jego intencyją. To wyrodziło pomiędzy nimi stósunek dziwnéj natury. On martwił się troską dziécięcia, ona wyczerpywała się w téj walce, w któréj czuła, że siły jéj są zasłabe, rozum zamało w argumenta zasobny; za to jéj serce cierpiało. Taki stan trwał lata całe. Miłość zobopólna zwiększała się między nimi codziennie; ale nawrócenie nie przyszło. Wreszcie ojciec umarł nagle, a córka wstąpiła do klasztoru w tém przekonaniu, że ofiara z własnéj osoby okupi może zbawienie ojca.

To są, niestety! skutki różnicy wiary między sercami bliskiemi sobie uczuciem. To téż rodzina, będąca kółkiem zamkniętém w sobie, powinna niejako skupić się w około jednéj wiary, w niéj znajdując jednę spójnią więcéj, a nie rozdwojenie, rozbrat pojęć i uczuć.

W pojęciu dziecka i jego uczuciu, zaraz po Bogu, występuje rodzina. Jest to zupełnie naturalna koléj i dziécię każde, nawet nie zdające sobie jeszcze sprawy z swych myśli, widzi Boga na niebie, jako Pana i Stworzyciela wszech rzeczy, a Opatrzność jego uosobioną w rodzicach. Rodzina, rodzeństwo, dom rodzinny były dotąd światem dziecka; wszystkie jego wspomnienia z niemi się łączą i żadne późniejsze szczęście czy niedola, nie są wstanie zatrzéć, ani ich pamięci, ani ich wpływu. Od rodziców zależy, by wpływ ten i pamięć były uzacniającemi; by do nich myśl

wracała po pociechę i zachętę w dobrem. Od rodziców téż zależy, by w sercu dziecka otworzyć czyste źródło miłości braterskiéj, tego uczucia silnego, bezinteresownego, a dającego najżywsze pociechy.

Szukając w rodzinach przyczyny mniejszéj lub większéj miłości braterskiéj, jako téż przyczyny zupełnego jéj braku; każdy dojść musi do przekonania, że wszystko od rodziców zawisło, gdyż serce ich—to ognisko i skarbnica, z któréj cały zasób, uczuć czerpią ich dzieci. Gdy widzą od dzieciństwa matkę, karmiącą własną piersią młodsze rodzeństwo, jéj poświęcenia i zapominanie o własnych upodobaniach dla potrzeb rodziny; gdy ojciec daje im widok przywiązania i szacunku dla matki, pracy dla rodziny; gdy czują, że w niéj złożył całe szczęście i wszystkie nadzieje swoje: niemogą oprzéć się poczuciu solidarności rodzinnéj, owemu pierwiastkowi miłości braterskiéj. Rodzice tedy, chcąc tym skarbem wyposażyć swe dzieci, niech przedewszystkiem dają im przykład wielkiego przywiązania i solidarności małżeńskiéj. Niech dzieci widzą ich zgodność pod względem systemu wychowawczego — rzecz która im wpadnie w oko najłatwiéj—niech nie słyszą sprzeczek z zaciętym prowadzonych uporem, wobec których zmuszone będą sądzić własnych rodziców. Starsze dzieci niech się wcześnie przyuczają do opiekowania się młodszemi, do pamiętania o ich potrzebach; niech czują, że są obowiązane do dawania im dobrego przykładu i pomocy w każdym wypadku.

Wpływem, najbardziéj podkopującym miłość braterską, jest różnica, jaką między dziećmi robią niektórzy rodzice. Takt i sprawiedliwość, te dwa niezbędne przymioty wychowawców, powinny ich ochronić od okazywania dzieciom owéj różnicy, choćby serce do tego ich skłaniało. Pragnęłabym, aby w niém dla wszystkich dzieci równe się miejsce znalazło. Zdarzyć jednak się może, że jedno z dzieci wybitnemi przymiotami pociągnie rodziców, że zasługiwać będzie na ich wyłączne umiłowanie, że się serca ich oprzéć większemu przywiązaniu nie potrafią. Niech w takim razie najprzód usiłują przezwyciężyć własne uczucia; niech pamiętają, że dziécię nie jest winne, jeżeli mniéj hojnie uposażone od natury zostało i, że jeżeli wolno względem

obcych ludzi rządzić się sympatyją, względem własnych dzieci, tylko sprawiedliwością i obowiązkiem kierować się trzeba. Wszakże przypuściwszy już, że rodzice mają dla jednego z dzieci owo wyłączne przywiązanie; to i w takim razie wymagać od nich należy takiego panowania nad sobą, któreby nietylko dzieciom, ale nikomu z otaczających różnicy owéj zauważyć nie pozwoliło. Oprócz wyrządzającéj się tym sposobem dzieciom niesprawiedliwości, dzieje się im krzywda moralna, bo cierpi na tém zarówno charakter wybranego — jak i mniéj ukochanych. Piérwszy zaprawia się do egoizmu i zarozumiałości; drugie do zazdrości, zawiści, szemrania i krytykowania wychowawców, których niesprawiedliwość czują. Rzuca się także tym sposobem kość niezgody między rodzeństwo, odbiéra się dzieciom jedno z najpiękniejszych i najsilniejszych uczuć—miłość braterską, którą rodzice, a szczególniéj matka, od piérwszych chwil dziecka zaszczepiać w jego duszy powinna.

Mówiąc o wpływach rodziny na dziécię w epoce wieku chłopięcego, trzeba zaznaczyć wpływ ojca, który, w dobrze prowadzoném wychowaniu, wielkie i prawie niezbędne musi mieć znaczenie, szczególniéj gdy idzie o synów. Ojciec, ten naczelnik rodziny, jéj głowa i siła, a jednocześnie czynny członek społeczeństwa, zatém mający z niém bezpośrednie zbliżenie i przez nie wyrobiony na beznamiętnego sędziego i człowieka, który w zetknięciu się z różnorodnemi sprawami żywota, nabrał zdolności wszechstronniejszego obejmowania przedmiotu i większéj dośrodkowości myślenia; ojciec powinien wnieść do rodziny i wychowania element siły i energii męskiéj. Tymczasem bywa on często biernym i obojętnym widzem czynności swych dzieci, gdyż czas, jaki mu pozostaje od pracy zawodowéj; tak obcym bogom poświęca, że prawie nie wié, co się dzieje w rodzinie. Dzieci są dla niego ciężarem, a wychowanie nudném zajęciem pozostawioném matce, która: „jakoś to tam poprowadzi.” Od czasu do czasu skarży się biédak, że dzieci dorosły już do kieszeni ojcowskiéj i zaopatrzenie z niéj ich potrzeb materyjalnych,

danie im nauczycieli, uważa za spełnienie wszystkich swych obowiązków. Z siebie, z ducha swego, nic dać dzieciom nie chce, a nawet nie przypuszcza, by co dać był obowiązany.

Trudno jest niezawodnie taki kierunek myśli męża przerobić, obojętnego własnym rozgrzać zapałem; wszakże matka dobra i rozumna powinna w tym celu robić usiłowania od piérwszych chwil małżeństwa i macierzyństwa swojego, by dzieciom jéj nie zabrakło wpływu ojca, tak potrzebnego w wychowaniu, nietylko synom i córkom, ale i matce, któréj pojęcia wtedy tylko nie zacieśniają się i nie maleją, gdy pomiędzy nią i jéj drobiazgową pracą domową, a ruchem i postępem świata, stoi rozumny mężczyzna.

Nieraz kobiéta sama czyni ognisko domowe niemiłém i obojętném dla męża. Za przykład stawić tu można te próżno i lekkie niewiasty, które strój, zbytek, zabawę cenią jedynie, a nie mając dość obfitego źródła dochodów na zaspokojenie tych wszystkich upodobań, zmuszają męża do nadmiernéj pracy, do zapomnienia o potrzebach moralnych rodziny, dla dostarczenia jéj w pocie czoła, a czasem w poniżeniu godności własnéj zdobywanego grosza. Tak jest, niestety! Mało kobiét pojmuje świętość rodziny i doniosłość jéj moralnego w społeczeństwie znaczenia; wiele z nich uważa ją, jako wygodną spółkę jedynie. Takie zaś trudno, by pojęły jedno z najważniejszych zdań kobiéty, jakiém jest podnoszenie wszystkiego w koło siebie w sferę dobra i piękna, by w rodzinie stworzyć dla męża świat, w którymby, znajdując wypoczynek po walkach i zawodach, poznał całą czczość zadomowych rozrywek i zdobył przekonanie, że na ukojenie trosk jego, Bóg stworzył cichy zakon rodzinny, którego słodką atrakcyją jest miłość szlachetnéj kobiéty.

ROZDZIAŁ IX.

Miłość bliźniego. Miłość ojczyzny i rzeczy ojczystych. Prawda. Sumienie. Honor. Szczęście.

Ludzkość, ta każdego z nas rodzina w Chrystusie, zajmuje zwykle w naszém sercu tak małe miejsce, że do wyjątków zaliczeni być mogą ci, którzy ten święty ogień przechowali w swéj piersi. Miłość bliźniego w życie wprowadzona, zachwyca nas wprawdzie, jako oderwany obrazek, wzruszający nasze poczucia artystyczne; lecz niéma w nas rzeczywistéj miłości tego uczucia braterstwa, jakie winno łączyć ze sobą wszystkich członków ludzkości.

Niezdolni odczuwać szlachetniejszych pragnień, naznaczamy i dla dzieci naszych tę samę ciasną drogę, jaką dążymy do szczęścia. Nie chcemy zrozumiéć, że dla kochającego ludzkość człowieka, praca dla niéj podjęta, równe szczęście przynosi, jak dla egoisty samolubne używanie; tylko, że natura egoisty sama z siebie jest mniéj wrażliwa, mniéj szczęściu dająca przystęp, bo ograniczona i zubożona ciasną sferą osobistych pragnień; gdy przeciwnie miłość bliźniego, jak słońce oświéca i rozgrzewa serce, czyni je zdolniejszém do przyjęcia wznioślejszych uczuć i jeżeli boleść łatwiejszy do niego przystęp wtedy znajduje, to i uczucie szczęścia jest w niém stokroć silniejsze, żywsze, tak, że jedna godzina więcéj go przynosi, niż rok cały pociech egoistycznéj natury. Jesteśmy zatém w błędzie, jeżeli zaprawiamy dziécię do samolubstwa dla szczęścia przyszłego; tym sposobem bowiem pozbawiamy je uzacniającego uczucia, przez które człowiek, bez względu na religiją, stan, lub położenie, zostaje w ścisłym związku z całą ludzkością i zarówno szczęście ogólne,

jak i powszechną niedolę podziela. Przez to uczucie, staje się on żywym członkiem ludzkiéj rodziny; żyje, jakby zdwojonem życiem, skoro obok osobistych dążeń, bierze czynny udział w nadziejach i pracy ludzkości.

Miłość bliźnich jest obrazem miłosierdzia Bożego, jest uczuciem, które wydało wszystkie instytucyje, osładzające żywot biédaka; uczuciem, które ogarnia troskliwą opieką opuszczone przez matkę dziecko i dla małoletniego zbrodniarza niesie ratunek w umoralnieniu i nauce. Ale jest to uczucie czynne, dające się w innych obudzić jedynie przykładem. Przykładem też odwodzić należy dziécie, od pychy i dumy — tych wad, które najwięcéj oddalają człowieka od owéj przestronnéj miłości, o jakiéj wyżéj mówiłam. Nic też wstrętniejszego nad widok matki, która wobec dziecka, czczą tylko formę religijną spełniając, klęka przed krzyżem i nicość swéj wielkości u stóp jego wyznaje, a jednocześnie pogardza bliźnim, i gwałci na każdym kroku zasadę ewangelicznéj równości. Klasy uprzywilejowane umiały od wieków do miary swéj dumy rzekomą równość przykrawać; stąd tysiące uprzedzeń weszło nam w krew i stały się regulatorami wszystkich naszych postępków. Matka niech dobrze zbada własne usposobienie, by nie dawała dzieciom widoku sprzeczności między zasadą i czynem, ale jednę drugim stwierdzała.

Znałam pewną, bardzo bogatą panią, na któréj cześć cała okolica śpiéwała hymny pochwalne. Jeżdżąc bowiem na spacer, pani ta, zaglądała do chat włościańskich, przywoziła dzieciom koszulki wspiérała ubogich i dla chorych sprowadzała lekarstwa. Była ona sama rozczulona swą opatrznościową rolą i niemiernie się w niéj podobała sobie. Ta sama jednak dobroczynna pani umiała najboleśniéj zranić człowieka, stojącego niżéj od niéj choćby o jeden szczebel towarzyskiéj drabiny. Miało dar przekręcania nazwisk, niehistorycznych, niepoznawania ludzi, którym chciała dać poczuć ich niższość; sam wzrok, którym mierzyła ubogiego sąsiada, przypadkowo spotkanego w gabinecie męża, był wysoko impertynencki; słowem, duma jéj, znosiła stósunek z ludźmi, kłaniającymi się jéj nisko do kolan, lecz występowała natychmiast na jaw, skoro znalazła się w zetknięciu z ludźmi, zbliżonymi do niéj wychowaniem, ale nie mającymi prawa zali-

czać się do tak zwanego *towarzystwa*, które tylko „*dobrze urodzonych*“ do swego grona przypuszcza. Córki téj pani, z których najstarsza 14, najmłodsza 8 lat miała, tak rozumiały wybornie taktykę matki, że umiały ją stósować, z zadziwiającą na ich wiek biegłością.

Litować się trzeba było nad temi młodemi sercami, już pozbawionemi jednego z napiękniejszych przymiotów dzieciństwa— owéj wdzięcznéj, naiwnéj nieświadomości odcieni towarzyskich, i wyradzających się z nich: zawiści i pychy.

Jeżeli jednak zasmucić może głęboko widok takiéj rodziny pyszałków; boleśniéjsze jeszcze wrażenie sprawia zawiść ubogiego do bogatszych od siebie. A przecież są rodzice, postępowaniem swojem rozwijający najczęściéj bezwiednie w dzieciach ową nieubłaganą nienawiść do wszystkiego, co tylko wyżéj od nich stoi w hijerarchii społecznéj. Jeszcze dziécię nie jest wstanie wymawiać dobrze wyrazów, a już o jego ucho obija się gorzkie słowo niechęci przeciw tym z bliźnich, których los hojniéj swemi dary opatrzył. Jest to szkoła stokroć gorsza od szkoły pychy i dumy, — słowo przeradza się tu w kamień, co kiedyś rozbije okno bogacza; wreszcie w doraźne sądy rewolucyjne i w komunę. I pycha możnych i zawiść biédnych są to wysoce niechrześcijańskie uczucia, mające wspólne źródło w egoizmie; przecież duma płodniejszą jest w dobro; jeszcze coś tworzy, choćby z chęci wyniesienia się wyżéj, tymczasem zawiść umié tylko burzyć i niszczyć.

Niech téż matka wcześnie przyucza dziécię do dobroczynności; tylko nie do owéj bezpłodnéj, objawiającéj się w jałmużnie, udzielanéj jedynie dla pozbycia się żebraka; ale w poświęceniach, czynionych z własnéj osoby. Wynoszenie grosza, danego przez matkę ubogiemu dziadkowi, niewielką przynosi korzyść moralną dla dziecka — broni je zapewne od zupełnéj obojętności na potrzeby bliźniego, ale go nie usposabia do litości czynnéj. Niech dziécię daje; to, co do niego należy obdziela biédnych jałmużną, ale kosztem własnéj przyjemności, z piéniędzy, które otrzymało

na własność; niech zresztą poświęca wolną chwilę na odwiedzenie n. p. chorego dziecka, jeżeli to bez narażenia własnego zdrowia może uczynić, niech je rozrywa w chorobie, pokazuje mu obrazki, czyta mu coś i o jego potrzebach pamięta. Jeżeli mu nawet zechce oddać swoję wieczorną herbatę, niech matka nie pospiesza z nalewaniem mu drugiéj filiżanki, bo inaczéj odjęła by mu zasługę dobrego uczynku, pamiętając, że daleko większa wypływa stąd korzyść moralna, niż strata na zdrowiu z niewypitéj herbaty.

Kształcenie owéj niesamolubnéj pamięci o drugich, jest ważnym środkiem urabiania serca i charakteru. Niech dziécię zawsze ma obowiązek pamiętania o kimś. Choćby od niego miał zależéć dobrobyt psa, lub kanarka: staranie o nich już usposobią jego serduszko do ofiar. Tém więcéj niech będzie gotowe na każde zawołanie ojca i matki; niech młodszym dzieciom ustępuje w zabawach, niech pamięta, że babcia lubi mieć stołeczek pod nogi, że ojciec po obiedzie zapala cygaro i potrzebuje zapałek; że matka lubi przylépkę od chleba, dla niéj więc zachować należy ją; że ciocia lubi mieć bukiet na swoim stoliku i trzeba jéj go uwić z najpiękniejszych kwiatów; że braciszek lubi czekoladowy a siostrzyczka migdałowy cukierek. Ową pamięć serca, można i należy rozwijać; dzieci do niéj prędko i łatwo się naginają. Jest to zaiste ruda złotego kruszczu—miłości bliźniego.

W ciągu téj pracy nad sercem i umysłem dziecka matka ani na chwilę nie powinna zapominać, że obowiązkiem jéj wychować w chrześcijaninie—obywatela kraju. Jéj synowie, czy córki, mają żyć na ziemi, która ich wydała — podzielać losy wszystkich jéj mieszkańców, tworzących jednę rodzinę; wśród nich mają zawiązać w przyszłości najserdeczniejszę stósunki, utworzyć rodzinę, która ma przyjąć udział w pracy społecznéj; syn więc przyszła głowa rodziny; córka — przyszła kapłanka domowego ogniska, powinni ukochać swój kraj. Dla tego zaraz po nauce wiary, a często z nią razem, iść powinna nauka rzeczy ojczystych.

Nim się zacznie systematyczny kurs historyi, przeszłość narodowa dostarczyć może rysów pięknych, szlachetnych, podnoszących umysł dziecka. Obok zbiérania najpiękniejszych kwiatów z przeszłości naszéj, dla ubogacenia niemi duszy wychowańca, nie należy ukrywać przed nim i wad narodowych, jako jedynych przyczyn doznanych w przeszłości nieszczęść i upadku. Niech prawda kieruje słowami matki, czy nauczyciela, a dziécię obok pięknych i chwalebnych czynów przodków swoich, które uwielbia, niech się uczy boléć nad błędami i potępiać to, co było złem w istocie.

Obok takiéj epizodycznéj historyi, służącéj raczéj do kształcenia wyobraźni i uczuć, niż wiedzy, niech się dziécię dowiaduje o znakomitych miejscowościach i pamiątkach krajowych; niech mu matka opowié o okolicach kraju, które zwiedziła sama; niech mu pokaże pamiątkowe zabytki miasta, w którém mieszka, lub okolic rodzinnych, jeżeli na wsi przebywa. Jeżeli czas i mienie pozwala jéj na to, niech latem odbywa małe przejażdżki z dziećmi, do słynniejszych miejscowości kraju naszego. Zabierze jéj to kilka dni zaledwie, a takie wrażenia niezmiernie silnie działają na wyobraźnią dzieci, zaszczepią w ich sercu miłość dla rodzinnego kraju, dając im poznać jego piękności i zabytki.

Jak smutne i nienaturalne jest zaniedbywanie rzeczy krajowych, zostających w najbliższym stósunku z naszą przeszłością i przyszłością na korzyść sław i znakomitości zagranicznych, tego i rozbiérać nie będę, a uznając korzyść, wpływającą dla dziecka z wiadomości ogólno ludzkich i wszechkrajowych, chciałabym tylko, by ojczyste zajmowały piérwsze miejsce i występowały przed oczy dziecka w charakterze swojskim, rodzinnym, a zatém przemawiającym silniéj do jego uczuć i wyobraźni.

W latach 9-ciu lub 10-ciu historyja ojczysta z epizodycznéj zamienić się powinna na systematyczny, jakkolwiek nie zbyt obszerny kurs, zwiększający objętość swoję z każdym rokiem tak, żeby w latach 18-tu lub 20-tu, młodzieniec lub dziewica, znali dzieje narodowe dokładnie i w rozleglejszych ramach, niż historyją innych narodów.

Z nauką historyi winna się łączyć nauka literatury ojczystéj. Są to dwie siostry rodzone, gdyż jedna drugą objaśnia, do-

pełnia, tłómaczy; obie zaś wspiérają się i wiążą z sobą za pośrednictwem języka.

W piérwszéj epoce dzieciństwa, matka powinna się starać nauczyć swe dzieci czysto i poprawnie mówić językiem własnym; następnie powinna ten język dać im poznać z reguł.

Fałszywém jest pojęcie, że umiejętność gruntowna mowy własnéj sama z siebie się zdobywa, że nad nią pracować nie potrzeba. Dość jest z uwagą przysłuchać się rozmowie kilku nawet wykształconych osób, przeczytać kilka listów, jakie pospolicie się pisują i odbiérają, by się przekonać, że poprawność mowy i stylu nie jest rzeczą wrodzoną i że brak pracy na tém polu daje się bardzo między nami uczuwać. Mieszkańcy niektórych części naszego kraju tak źle mówią i piszą, że boleśnie jest słyszéć naszę piękną mowę, oszpeconą taką massą naleciałości obcych i błędów prowincyjonalnych. Barbaryzmy różnego rodzaju zmieniają cały tok i charakter naszego języka i doprawdy można zapłakać nad tą brzydką mięszaniną słów, mieniącą się być polską mową.

Zadaniem matki jest, o ile możność pozwala, ten stan rzeczy polepszyć. Jest ona dla dzieci swoich duszą i ogniskiem rodziny, z jéj to serca płynie słodka moc, stanowiąca spójnię rodziny; niech usta jéj przechowują w czystości język, owę spójnię rodziny szérszéj—narodu. A jakże łatwo jest, nie mówię dojść w tym razie do doskonałości, ale do niejakiego postępu! Prawie każda kobiéta, umiejąca czytać, lubi zajmować się książką; niech więc obok czytania dla treści, zwróci uwagę na język książkowy. Wprawdzie i tam niekiedy znajdują się błędy; wogóle jednak język książkowy, jest o wiele poprawniejszy od zwykłéj naszéj mowy, a o całe niebo wyższy od mowy mieszkańców niektórych naszych prowincyj.

Starając się, by dzieci poprawnie pisały językiem ojczystym, matka oszczędza im nie jednego upokorzenia w przyszłości, i o wiele im późniéjsze stósunki z ludźmi ułatwia. Człowiek, który umié myśl swoję ująć w słowa, a następnie przelać ją na papiér w formie poprawnéj i wdzięcznéj; człowiek, który pisząc, nie jest krępowany obawą popełnienia błędu gramatycznego, czy ortograficznego; człowiek taki, mówię, czuje się już członkiem

koła ludzi myślących. Jest prawie narażeniem się na śmieszność mówić o rzeczach tak powszechnie znanych i przemawiać w imieniu téj prawdy, że pisownia języka ojczystego jest w wychowaniu rzeczą piérwszorzędnéj wagi; przecież widzieliśmy na przykładach, jak często bywa zaniedbywana. Znam panny utalentowane i mówiące trzema językami, które listu ortograficznie napisać nie potrafią. Inni, młodzi i starzy nie mają pojęcia o znakach pisarskich, w nie jednym z ich listów, na cztérech zapisanych stronnicach, nie znajdziesz ani jednego przecinka.

Dziewczynki wychowywane w domu i w nim, jako dorosłe panny pozostające, mają większą sposobność pracowania nad własnym językiem; ale chłopcy, skoro progi rodzinne opuszczą, nie wszędzie i nie zawsze mogą się kształcić w tym kierunku. Obowiązkiem przeto rodziców zapełnić, o ile można, niedostateczność szkolnego wychowania przez lekcyje prywatne języka i literatury ojczystéj.

Zdarzyło mi się spotkać młodego człowieka, kończącego 8-mą klassę, który najnaiwniéj się zapytywał, kto to był Konrad *Wainrod* (Wallenrod), o którym właśnie w jego obecności mówiono. Ręcząc za autentyczność faktu, dodam jeszcze, że młodzieniec ten był wybornym matematykiem i dziś jest profesorem! Boléć trzeba nad takiemi faktami, ale im się dziwić nie można.

Matki myślące, powinny dzieci swoje kształcić za wszystkie te siéroty, nie mające gdzie po za obrębem wychowania szkolnego nabyć znajomości rzeczy swojskich, za wszystkie dzieci nieoświeconych i obojętnych rodziców, pamiętając na to, że bezwyznaniowość we wszystkich kierunkach odziéra ducha ludzkiego z najpiękniejszych przymiotów, obezwładnia go i przytępia.

Wiek chłopięcy jest wiekiem zapału; niechże go roznieca to, co naród ma najpiękniejszego; niech dzieje i literatura ojczysta wystąpią przed wzrokiem dorastającego chłopięcia w całym majestacie swoim. Odzieje to dla niego ziemię rodzinną w urok nowy, obcy dla tych, co nie znają, ani jéj przeszłości, ani utworów, jakiemi natchnęła naszych wieszczów i historyków. Miejsca, w których przebywać będzie, przemówią do niego językiem wymownym i potężnym, mową umarłych wieków, mową poezyi—téj kochanki języka.

Tu widok dawnego szlaku tatarskiego przypomni mu czytaną kiedyś powieść Szajnochy: „O niewoli na wschodzie". lub inną: „Mściciele" i oto jego wyobraźnia stworzy mu obraz, w którym snuć się będą dzikie hordy tatarskie, uprowadzające lud bezbronny, i najkorzystniejszy z łupów—dziewice polskie na sromotę skazane. Tu znowu widok sadu da mu rozkosz innego rodzaju. Pospolita kapusta, marchew i buraki, przypomną mu arcydzieło wieszcza i szepnie sobie:

Był sad. Drzewa owocne zasadzone w rzędy
Ocieniały szérokie pole; spodem grzędy;
Tu kapusta, sędziwe schylając łysiny,
Siedzi i zda się dumać o losach jarzyny;
Tam, plącząc stręki w marchwi zielonéj warkoczu
Wysmukły bób, obraca na nią tysiące oczu;
Ówdzie podnosi złotą kitę kukuruza;
Gdzieniegdzie otyłego widać brzuch harbuza,
Który od swéj łodygi aż w daleką stronę
Wtoczył się, jak gość, między buraki czerwone.

Na tle tego obrazu wystąpi wdzięczna postać Zosi, niefortunna wyprawa „ostatniego z Horeszków, chociaż po kądzieli" i pospolity wiejski ogród warzywny da mu rozkoszną chwilkę poetycznego zachwytu.

I niech nikt nie sądzi, że tego rodzaju wycieczki umysłowe poza obręb rzeczy dotykalnych kształcą jedynie fantazyją i artystyczną stronę ducha; są one uszczęśliwiającym czynnikiem. Człowiek, do którego zrozumiałym głosem przemawiają pamiątki narodowe i natura; który umié się wznieść od codziennych życia kłopotów do téj sfery, w któréj myśl sama sobie wystarcza, taki człowiek nieszczęśliwym być nie może.

Oprócz względu na szczęście, jest jeszcze wzgląd inny, subtelniejszéj natury. Młodzież dzisiejsza, narażona jest na niezdrowy powiew socyjalistycznych idei. Najłacniéj czepiają się one niedoświadczonych głów, szukają serc, pragnących dobra ludzkości (nie mowię tu już o tém, że socyjalizm najwięcéj rekru-

tuje sobie adeptów między ubogimi, nienawidzącymi bogatszych i w nowych idejach szukającymi zmiany dotychczasowego położenia)—podstępnym więc swym językiem wyzyskują to pragnienie na korzyść swych mrzonek. Badając, co najskuteczniejszą straż przy młodém sercu spełnićby mogło, jakie uczucie dać naszemu dziecku na odparcie ze wschodu i zachodu wiejącéj na nas zarazy; należy przyjść do przekonania, że owym kordonem sanitarnym, może najskuteczniéj być miłość ojczyzny. Jest to uczucie pochłaniające porywy obywatelskie młodzieńca, wykluczające mrzonki o zlaniu się narodów w handlową i przemysłową spółkę, mowiącą językiem międzynarodowym i uważającą patryjotyzm za czułostkowość nie naczasie już dziś będącą. Sama ta myśl, że przewrót społeczny naraziłby kraj rodzinny na straszne klęski, może wstrzymać młodzieńca na brzegiem przepaści.

Nie lekceważmy tego względu; przyszłość może nam przynieść potwierdzenie obaw dzisiejszych.

Ktoś nazwał prawdę słońcem moralném i nazwa ta wybornie charakteryzuje jéj naturę. Nauka dąży do odkrycia prawdy; wszystkie jéj dociekania prawdę mają na celu; nawet hypotezy uczone są prawdą względną; świat myśli, uczuć, bezwiednie ciąży ku niéj — ona jest atrakcyjną siłą i jednym z czynników ruchu umysłowego.

Mniemam, że kłamców dla tego jest tylu na świecie, że nie dotknąwszy nigdy ustami rozkosznego zdroju prawdy, nie wiedzą, ile mieści w sobie słodyczy i pokrzepiających własności. Przyzwyczajeni od dzieciństwa do kłamania przed sobą i drugimi, nie wiedzą, jakiéj wewnętrznéj szczęśliwości przyczyną jest prawda. Od nas zależy, by naszym dzieciom dać zakosztować jéj urok, by go wyssały z mlékiem matki, poczerpnęły z przykładu i atmosfery moralnéj, jaką je otoczymy; by usta nasze oczyszczone, jakby ognistym cheruba kamykiem, były dla dziécięcia organem prawdy bezwzględnéj. Słowa są myślami i uczuciami pod postacią żywą, są jakby zdawkową monetą skarbnicy moralnéj, jaka w nas spoczywa; by jednak nie zamieniły się wnędz-

ny, fałszywie dźwięczący alijaż, trzeba skarbnicę oczyścić z tego wszystkiego, co może szczére złoto zaśniedzić.—„Oczyśćcie dom" —woła ksiądz Robak do współobywateli. Na każdą matkę takby należało zawołać. Tak, oczyśćcie dom z fałszu, obłudy, zarówno z większego, jak i najdrobniejszego kłamstwa, bo jeżeli małe dziécię już kłam w życiu i słowach rozeznać umiało, podrastające chłopię dośledzi wszystkich jego odcieni; nauczy się na przykładzie rodziców wypaczać własne uczucia.

Przez takie w młodości przyzwyczajenie, myśl i wogóle moralna strona nasza tak chronicznie słabą i nielogiczną się staje, że już fałsz i prawda przestaje dla niéj dwa oddzielne pojęcia stanowić i zléwa się niejako w coś pośredniego, zawsze gotowego do ustępstw, a coby można nazwać rozluźnieniem sumienia.

Tylko dom rodzicielski może dziecku dać przykład prawdy, jako zasady życia i prawdomówności czystéj a odważnéj. Szkoła, świat, towarzystwo, raczéj zepsuć, niż korzystny wpływ pod tym względem wywrzéć mogą. Dosyć jest przypatrzéć się im bliżéj, by dojść do tego przekonania. Panuje tam co najwyżéj zasada Lykurga, potępiająca tylko niezręczne kłamstwo, takie, które pozorów prawdy przyjąć nie może. Czystéj miłości prawdy tylko w rodzinie można zaczerpnąć. Rzadki, jak Alcybijades, na swéj drodze Sokratesa napotka.

Od ogólników pozwolę sobie zejść do zastósowania, do niektórych przypadków, stanowiących punkt sporny pomiędzy wychowawcami. Jednym z takich jest kwestyja: czy dziecko należy chować w zupełnéj niewiadomości środków, jakiemi w przyszłości rozporządzać może, czy téż mu je wyjawić, skoro tylko będzie wstanie to pojąć? Czy mu powiedzieć:—Będziesz kiedyś bogate, jesteś piękne, jesteś zdolne, masz talent; lub téż chować je w niewiadomości tych darów z obawy, by nie urosło w pychę, zarozumiałość i próżność? Otóż ośmielę się powiedzieć stanowczo, że jak we wszystkiém, tak i w tym względzie, prawdą tylko rządzić się trzeba.

Gdyby mię zapytano: jakie warunki najkorzystniéj wpływają na wychowanie dziecka?—odrzekłabym, że mierność majątkowa i powierzchowność, ani piękna, ani brzydka rażąco; że jednak przepis ten do wszystkich zastósować się nie daje; więc trzeba

brać dziécię jakiém jest i w kole, w jakiém przeznaczenie je umieściło. Ubogie, widzi od urodzenia ciężką pracę rodziców, wysilenia nadludzkie matki, żeby dom i ubiór dziecinny był czysty; jéj oszczędność, jéj genijalne pomysły, by obiad jak najtańszym kosztem uczynić smacznym, by ojciec spracowany mógł miéć kawałek pożywnego mięsa; widzi nieraz ojca z zasępioném czołem, pogrążonego w myślach i wié, że je troska o chléb sprowadza; wié od najmłodszych lat, że jest członkiem rodziny biednéj: jemu więc o tém mówić nie potrzeba.

Pragnęłabym jednak dla moralnego dobra dzieci, by ubóstwo nie było owém pozłacaném ubóstwem, oszukującém innych, a uczącém dzieci od urodzenia próżności, fałszu i obłudy, tym razem najwięcéj poniżającéj osobistą godność człowieka. Niech uboga matka nie wstydzi się swego ubóstwa, niech je nosi z godnością i nie myśli, że ukrywanie go kosztem prawdy, szlachetną dumą nazwać się może. Nic straszniejszego nad nędzę złoconą, bo się pod nią moralnéj nędzy domyślać należy, bo za nią kryją się niezaspokojeni wierzyciele, łzy i przekleństwo ludzkie; kryją się niesnaski rodzinne, wykręty, podstępne kłamstwa i niedotrzymane zobowiązania.

Takie przykłady zabijają w dzieciach uczucia osobistéj godności i sprawiedliwości i nie są tak rzadkie, jakby się to zdawało, a trafiają się zarówno pomiędzy obywatelami ziemskimi, jak i mieszkańcami miast, którzy nie umieją sobie odmówić wygód i przyjemności, na jakie ich stan majątkowy nie pozwala. To téż, o ile ubóstwo, noszone z godnością, obudza mimowolny szacunek i korzystnie wpływa na charakter dziecka, o tyle złocona nędza najgorszy wpływ wywiéra na każdego z tych niewinnych aniołków. Poza nieuczciwością i niesprawiedliwością, chowa się zawiść, zazdrość, nieżyczliwość, pragnienie dostatków, zbytku i używania.

Na bogatszego od siebie człowieka, dziécię uczy się patrzéć z nienawiścią i zazdrością, a w ślad za tém idą niezdrowe marzenia, i bogactwo staje się celem życia, do którego, by dojść, wszystkie środki są godziwe. O, biédna matko! która musisz ochraniać dziécię przed tak zgubnemi wpływy, jeżeli ojciec przykładem je psuje! Czyń, co możesz, by je wyrwać z przepaści,

wszystkiemi sposobami przeciwdziałaj zgubnemu wpływowi. Niech tylko ciebie dziécię nie schwyta nigdy na kłamstwie. Mów z niém otwarcie, że wierzyciel ojca jest człowiekiem, który wyświadczył dogodność, pożyczając piéniędzy, że teraz upominając się o ich zwrot, jest w swojém prawie; że jeżeli ojciec oddać mu ich nie może, to jednak słuszność wszelka leży po jego stronie. Jeżeli dziécię jest już w stanie to zrozumiéć, możesz dodać, że gdyby ojciec nie mógł zwrócić wierzycielowi piéniędzy, to ono, gdy dorośnie powinno dopóty pracować, dopóki nie zbierze potrzebnéj sumy na jego zaspokojenie.

Gdy matka jaki grosz zaoszczędzi, może w obecności dziecka włożyć go do szufladki i powiedziéć, że jest to drobiazg w porównaniu do zaciągniętego długu, ale i ten grosz przeznacza na jego spłacenie i nie pozwoli sobie żadnego niepotrzebnego wydatku, żadnéj przyjemności, bo piéniądz ten do wierzyciela ojcowskiego należy.

Drugim wpływem, wynikającym z życia nad stan, a szkodliwie oddziaływającym na dziecko, jest przyzwyczajenie go do wygód i trybu niezastósowanego do majątkowego położenia, w jakim prawdopodobnie się znajduje. Gdy dorośnie i samo sobie zostawione już będzie, nic mu się nie wyda godniejszém pożądania, jak owe wygody, w jakich żyli rodzice i powiększy falangę pieczeniarzy, oszustów, wydrwigroszów i tych ludzi niepewnego rzemiosła, którzy niewiadomo z czego żyją, a jednak jadają zawsze najdroższe nowalije i palą najlepsze cygara. Los córek może być jeszcze gorszy, a sposób dostarczania sobie wygód życia jeszcze smutniejszy. Niezadowolenie, jakie się spostrzega w nowoczesnych pokoleniach, wypływa z potrzeb, wzrastających w stósunku większym, niżeli wzrastają środki dostateczne do ich zaspokojenia. Dla tego danie, jak najmniéj zbytkowych wymagań, ochrania wychowańca od chorobliwego niezadowolenia.

Mierność uczciwa, na bogactwo nie pozująca, niewiele zostawia do powiedzenia. Dziécię najkorzystniéj wśród niéj się rozwija; matka najwięcéj zwykle mu się oddaje, bo ani wymagania życia wielkoświatowego, ani ciężka praca na chléb od domu jéj nie odrywa.

Dziécię bogatych rodziców powinno wiedzieć, że jest bogatém; ale bogactwo owo niech mu będzie na każdym kroku przedstawiane, jako rzecz wielkie obowiązki na człowieka nakładająca.

Niech pamięta, że od bogatego człowieka więcéj się wymaga, niż od ubogiego, że mając środki po temu, więcéj doskonalić się winien, że sam Chrystus powiedział: iż bogacz trudniéj, niż ubogi do królestwa niebieskiego się dostaje i że jeśli ubogi żadnych obowiązków, prócz miłości bliźniego, względem bogacza nie ma, bogacz ma ich względem ubogiego tysiące. Niech zresztą oswaja się z tą myślą, że w naszym kraju wiele jest do zrobienia, że bogatemu nastręcza się wiele przedsiebiorstw, w które włożony piéniądz, przy umiejętnym kierunku, przyniesie zarówno jemu, jak i pracownikom nieobliczone korzyści. Również bogata w przyszłości panna, powinna mieć poczucie szérszych obowiązków zaszczepione z dzieciństwa. Niech jéj za wzór służą dawniéjsze matrony, co wkoło siebie rozlewały wpływ dobroczynny na wszystkich, przestrzegając czystości obyczajów, miłując wszystko swojskie. Niech wié zresztą, jak za granicą i u nas kobiéty rozumne i duchem obywatelstwa ożywione wspiérają swym majątkiem i wpływem literaturę i sztuki, jak zasługują się krajowi, stając na czele opiekuńczych i dobroczynnych towarzystw Zbytecznem byłoby mówić, że przykład winien tu współdziałać ze słowami, bo czyn zawsze od nich jest wymowniejszy.

Prawda, wydająca mi się być najcenniejszym środkiem wychowawczym, którego pominięcie zawsze szkodę przynosi, nie powinna powstrzymywać matki od powiedzenia dziecku, że jest piękne, jeżeli niém jest w istocie, a nie tylko w jéj wyobrażeniu. Piękność zresztą nie jest rzeczą, którąby się ukryć dała; dziecko zdobędzie prędko przeświadczenia o niéj; oświécają je co do tego spojrzenia niebaczne słowa obcych; wyjawi mu ją zwierciadło i matka udająca, że piękności dzieci nie widzi, prędko przez nie o obłudę posądzoną zostanie. Może więc, a nawet powinna mu powiedzieć, byle ze spokojem, po prostu:—Bóg dał ci ładną powierzchowność; tak jakby mówiła: że słońce świéci, lub dészcz pada; niech następnie doda, że piękność zależy od gustu i że się często ją traci.

Gdy dziécię jest nieco starsze, matka winna mu wyjawić obowiązki, jakie nań spływają z tym darem piękności. Może mu powiedzieć, że jeżeli dziecko garbate, lub pod innym względem upośledzone fizycznie, może być skwaszone, patrząc na innych z zawiścią i zazdrością; to dziécię piękne powinno czuć wdzięczność dla Boga, że je uczynił miłém i powabném dla oka innych ludzi, że mu dał powierzchowność, od któréj wzrok nie odwraca się ze wstrętem, ale owszem z upodobaniem na niéj spoczywa; że jest to jednak dar o tyle cenny, o ile odpowiada mu piękność duszy, dobroć serca; o ile nie oszukuje wzbudzonéj sympatyi, ale owszem stwierdza ją przez odkrywanie, przy bliższém poznaniu, przymiotów serca i umysłu.

Chłopcu powiédz, że piękność w mężczyźnie, jest mało cenionym darem, że niewiele może mu dopomódz do świetnego ukończenia nauk, lub w jakimkolwiek zawodzie, w którym tylko zdolność, nauka i praca pozyskuje uznanie i że raczéj szkodę, niż korzyść przynosi, jeźli z innemi przymiotami nie idzie w parze, bo zwraca oczy na nicość moralną, pięknemi przyodzianą kształtami.

Dziewczynkę starajmy się zachwycić obrazem pięknéj powierzchowności połączonéj z piękną duszą i wskażmy jéj zasługę, jaką może mieć osoba piękna, jeżeli sympatyją, jaką sobie zjednywa, wyzyskuje dla dopięcia wyższego, moralnego celu, zapalając umysły ku wszystkiemu, co piękne i szlachetne, co ku cnocie i spełnieniu wzniosłéj jakiejś idei prowadzi.

W istocie do pięknéj osoby wszyscy się garną i dziécię twoje dozna tego od najmłodszego wieku, że ludzie będą brzydsze dzieci omijać, by się rozkoszować jego widokiem. Wcześnie bardzo dojdzie twoja pieszczoszka przyczyny téj różnicy, i jeżeli wmawiać jéj będziesz, że niczém od innych dziéwcząt się nie wyróżnia, sprawisz, że jéj skromność będzie kłamaną skromnością, pod którą pycha nurtować zacznie, a dziécię przestanie ufać i wierzyć ci bezwzględnie, o co najusilniéj starać się powinnaś.

Nie uznawszy piękności dziecka, nie będziesz mogła walczyć z egoizmem, który, jak utrzymują niektórzy badacze ludzkiéj natury, bywa jedną z wad pięknych osób.— „Piękność" —

mówi jeden z nich—usposabia do uprzejmości, ale rzadko idzie w parze ze zdolnością do głębszych uczuć.*) Piękna kobiéta od dziecka przywyka do panowania, do odbiérania hołdów, do grzeczności, i usłużności mężczyzn, do tego, iż wszyscy przywięzują uwagę do każdego jéj słowa, a wszystko to wyrabia w niéj śmiałość, zarozumiałość i egoizm.

Matka wyprzedzić powinna te wady, i piękne dziéwcze, okryte puklerzem skromności w świat wprowadzić. Wszak i tak wiedzieć będzie, że piękność panowanie jéj zapewnia, ale ustrzeże się hypokryzyi—wady o tyle brzydszéj, ile pospolitéj.

W jednym tylko wypadku surowość prawdy powinna być przez litość i miłosierdzie złagodzona, a to w razie, jeżeli dziécię upośledzoném jest od natury. Każdy litościwy człowiek w stósunku z idyjotą, postępuje tak, by nieszczęśliwego utrzymać w przekonaniu, że się niczém od innych ludzi nie różni; przy fizycznych niedostatkach i kalectwach dzieci, ta sama litość powinna łagodzić bolesną prawdę.

Byłoby nieludzkością powtarzać bezustannie garbatemu dziecku, że życie jego wyjątkową koléj nieszczęścia przebiedz musi, że widok jego jest wstrętny dla oka, że gdzie się obróci, śmiéch złośliwy, lub politowanie obudzić musi. Takie postępowanie napełniłoby żółcią serce nieszczęśliwego dziecka, zrobiłoby je do zbytku nieśmiałém, bojącém się śmieszności, stroniącém od ludzi, obraźliwém i niebawem kalectwo fizyczne musiałoby wykrzywić moralną stronę człowieka. Niestety! samowiedza wyjątkowego położenia przyjdzie dla niego przy starciu się z ludźmi; zawsze jednak delikatność i litość dobrych sprawi, że nieszczęśliwy nie poczuje całego ogromu swego nieszczęścia i, jeżeli podejrzliwość nie zostanie w nim rozbudzoną wychowaniem, niejeden uśmiéch złośliwy ujdzie jego uwagi; nieśmiałość nie zabije w nim przymiotów towarzyskich, które każą zapomnieć o jego wstrętnéj powierzchowności.

Jeżeli obowiązkiem matki jest dać każdemu ze swych dzieci to, na co jéj serce, praca, poświęcenie zdobyć się może;

---

*) Mme de Rémusat, Essais sur l' education des femmes:

to upośledzonemu od natury, podwójną miarą wydzielać wszystko powinna. Nie mówię, by dla niego miała być słabą aż do zaniechania środków karności, gdy tego się okaże potrzeba; ale by jéj macierzyńska opieka, umiała je skutecznie osłaniać przed upokorzeniem, cierpieniem miłości własnéj i wszystkiém tém, co wsączając po kropli gorycz w jego serce, zabiłoby w niém spokój, ufność w siebie i miłość bliźniego.

Sposób obchodzenia się z takiém dziécięciem, niech będzie nacechowany przezornością i delikatnością siostry miłosierdzia, która wié, jak miejsca zranionego dotykać, by o ile można, oszczędzić cierpienia choremu i resztę organizmu wstanie zdrowia utrzymać. Dla tego, jeżeli rodzice kaléki mają środki wychowania go w domu, nie radziłabym oddawać chłopca do szkół publicznych, dziewczynki na pensyją; bo tym sposobem rzucą ich na pastwę szyderstwa dzieci rozmaitego, często bardzo zaniedbanego wychowania, zatém nie mających względu dla biédnego kaléki.

Téj saméj umiejętnéj a litościwéj troskliwości, potrzebują także umysłowe upośledzenia, (nie mówię tu już o zupełnym idyjotyzmie). Mówić dziecku pozbawionemu np. pamięci i zdolności, że nie jest ono wstanie nauczyć się niczego, że nic nigdy umiéć nie może; że między rodzeństwem i towarzyszami jest paryją umysłowym; znaczyłoby to zabić w niém wszelką ochotę do zdobycia pracą, choćby małych okruchów wiedzy, pozbawić na zawsze szlachetnéj ambicyi, oraz pragnienia przełamywania trudności z braku uzdolnienia wynikłych. I tu matka podwójną miarę trudu podjąć powinna, by wybrać dla dziecka najstósowniejsze pole do pracy, by je zachęcić, wesprzéć, umocnić, nie paraliżując jego usiłowań przez własne zniechęcenie się do bezowocnego nad niém trudu. Jeżeli dziecko samo brak zdolności w sobie poczuje, niech mu to bolesne przekonanie gorącém współczuciem osłodzi. Niech powié:—„Nie masz zdolności, moje dziécię, ale praca wiele może, zwycięża ona największe trudności. Zresztą nietylko człowiek uczony jest pożytecznym obywatelem kraju, dobry rzemieślnik przynosi mu téż korzyść i zaszczyt.

Sumienie jest tak pokrewnym prawdzie przymiotem, tak stoi z nią w bezpośrednim stósunku, że można je nazwać poczuciem prawdy ku nam samym zwróconém. Ale dla każdéj prawdy trzeba podstawy, trzeba wykrytego przez nią samą prawa, na którémby się mogła daléj rozwijać. Sumienie — wewnętrzna potrzeba posiadania praw etycznych — dała ludziom religiją i przekonania. I dziś téż sumienie tylko na téj podwójnéj podstawie kształcić się może.

Znaném jest wprawdzie i często powtarzaném, że sumienie jest darem wrodzonym, że je każdy z sobą na świat przynosi. Przekonanie to jest prawdziwe, jeżeli pod nazwą sumienia, rozumiemy władzę wewnętrzną sądzenia naszych czynności; jest fałszem, jeżeli przypisujemy jéj wrodzony wstręt do złego, a zamiłowanie dobra. Ocenić czynności własne umié każdy człowiek, będący w pełném posiadaniu władz umysłowych; ale stanowisko, z którego je sądzi, zmienia się dla każdego. To, co przez jednych za dobro jest uznawane, w przekonaniu innych może być poczytane za występek. Lichwa n. p. i dzisiaj jeszcze przez jednych uważaną jest za nikczemne wyzyskiwanie, podczas, gdy drudzy uważają pobieranie, choćby najwyższych procentów, za zysk najnaturalniejszy od kapitału posiadanego otrzymywany.

Wrodzoną zdolność sądzenia, rozwija w dziecku świat zewnętrzny i życie. Doświadczenie uczy je, że ogień pali, woda zatapia, uderzenie sprawia ból; że przyjemność wypływa z zadowolenia pragnień, smutek zaś rodzą przeszkody ich zaspokojeniu stawiane. W téj szkole naturalnéj kształci się sąd — sumienie.

Lecz będzie ono darem Bożym zmarnowanym, jeżeli nie damy mu poznania, co jest dobre, a co złe, jeżeli go nie wesprzemy na religii, i przekonaniach z niéj płynących.

Głos tego wewnętrznego sędziego stanie się bardzo słabym, jeżeli zagłuszą go namiętności i paradoksalna argumentacyja; słowem jeżeli pracą wychowawczą nie rozwiniemy i nie umocnimy téj szlachetnéj ducha ludzkiego władzy. Praca nad sumieniem należy do najdelikatniejszych działań edukacyjnych; musi ona bowiem, kształcąc wychowańca na podstawie religii, śledzić jego myśli, słowa i uczynki bez wzbudzenia podejrzeń, rozwijających

skrytość charakteru, a jednocześnie zdobywać sobie zaufanie i szczérość, bez któréj niepodobna w tym kierunku krokiem naprzód postąpić. Trzeba zarówno być bacznym dostrzegaczem i sędzią, nie zniżając się nigdy do roli szpiega; stać się dla dziecka okiem opatrzności, zawsze na nie zwróconém, nie ograniczając zbytecznie jego swobody; słowem—tak sprawiedliwość własną uczynić jasnowidzącą, aby ta nigdy się ku słabości, ani nadmiernéj surowości nie przechyliła, aby nigdy w podejrzliwość nie popadła, a z drugiéj strony nie grzeszyła zbytnią wyrozumiałością; aby nigdy nie dała się owładnąć słabością macierzyńską — tą słabością, co się admiracyją dla własnych dzieci ujawnia, lub tą drugą, co pragnąc widzieć w nich doskonałe istoty, przesadza ich złe skłonności i błędy.

Z subtelności i drobiazgowości tego działania widzimy, że tu główna rola raczéj matce, niż ojcu przypada w udziale; ojciec wszakże, nie schodząc do szczegółów, nie wywołując takiéj ufnéj ze strony dziecka szczérości; może, i musi działać w szérszych zarysach, dodając do pracy matki to, co jest tłem i perspektywą w obrazie i od czego sam przedmiot odbija dopiéro wyraźnie i dobitnie. Weźmy przykład najbliższy: przypuszczam, że matka pracuje nad obudzeniem w dziécięciu wstrętu do kłamstwa, usiłowania jéj muszą być drobiazgowe i powolne; ojciec zaś, z oburzeniem w głosie, mówi przy obiedzie o kimś ze znajomych:—„To człowiek podły, nikt mu ręki nie podaje sfałszował podpis ojcowski, popełnił czyn haniebny—kłamstwo. Nie przyjmę go więcéj w moim domu.—Dziécię patrzy na ojca z széroko rozwartémi oczami, myśli i kombinuje.

Ta energiczna apostrofa uwydatnia przed jego sumieniem słowa i pracę matki—jest ową perspektywą dla obrazu. Nie wiem, czy zdołałam dokładnie określić myśl moję; niech sobie jednak czytająca matka uprzytomni różnicę wpływu ojcowskiego, a macierzyńskiego; niech pomyśli, że ojciec przedstawia dla dziécięcia pracę poza domową, szérsze stósunki, obowiązki publiczne; matka zaś dom, miłość, rodzinę; a poczuje, jak oba te wpływy, działając na sumienie dziecka, działają przecież odmiennie i wzajemnie się uzupełniają.

Czujność i delikatność sumienia rozbudzić można do tego stopnia, że człowiek, nietylko złe popełnione, ale nawet ominiętą sposobność uczynienia dobrze sobie wyrzuca. By to otrzymać, niech matka wspólnie z dzieckiem rozważa jego postępki, pokazuje mu z uczuciem miłości chrześcijańskiéj, co dobrego mogło uczynić, jak mogło ustąpić siostrze lub bratu, jak go do posłuszeństwa zachęcić, jak młodszemu rodzeństwu winno przyświecać przykładem; jak ma cenić pracę służących i uczynić ją, o ile można, dla nich lżejszą, przyjemniejszą, jak im winno grzeczność największą; jak powinno być wdzięczne tym wszystkim, co pracują nad jego wychowaniem; jak to nigdy piéniędzmi niemożna zapłacić niańce za nocne czuwanie, tracenie zdrowia przy pielęgnowaniu, gdy było chore; jak cenić dobroć, cierpliwość tych wszystkich, co od dzieciństwa nad niém pracowali, by je rozwinąć, tak cieleśnie jak duchowo; jaką to gorącą wdzięczność winno czuć dla Boga, który mu dał taką opiekę, jak Mu za to dziękować czynem, kochając i dobrze czyniąc bliźnim; jaką szlachetną litość nad zwierzętami mieć należy, nie wyzyskując ich usług aż do udręczenia; jak słabszego przed mocniejszym bronić, a nawet niszcząc szkodliwego chrabąszcza, oszczędzać mu udręczeń i nie pastwić się nad żadném stworzeniem. „Dzieci z urodzenia dobre i zacnie wychowane—mówi Legouvé—dochodzą do tak niewzruszonéj uczciwości, jaką zaledwie zna cnota. Nic ich nie zmięsza, nic z drogi nie sprowadzi. Jeszcze wolne od wszelkich stósunków z ludźmi i rzeczami, nieświadome wszystkiego, co się nazywa porozumieniem, ugodą, zachowują duszę nieugiętą dla prawdy, i to nie jak sprawiedliwi i mądrzy — w skutek wyrozumowanéj woli—lecz, że ośmielę się użyć tego wyrazu, z głupoty, po prostu dla tego, że nic innego nie rozumieją. Nieraz próbuję oszukać dziecko sofizmatami. Przedstawiam jego instynktownym skrupułom ułudne rozumowanie, oparte na wymaganiach okoliczności, na koniecznych ustępstwach w życiu i t. d. Doprowadzę malca do milczenia, lecz go nie przekonam. Gdy po długiéj rozmowie zażądam od niego po raz ostatni, ażeby mi objawił swoje zdanie; srebrny głosik wyda tenże sam dźwięk, co i na początku rozmowy; odezwie się jedną, jedyną nutą, jaką zna—nutą sprawiedliwości i prawdy. Jest to niejako

instrument, którego nie podobna odstroić, jest to kamerton, którego gdy się dotkniesz, niezłomnie wydaje swoje *la*, pokazując ci, o ile od tonu zboczyłeś".

Do tego stopnia rozbudzone i ugruntowane sumienie dziecinne musiało być uprawiane przez szlachetną matkę. Taką też matkę przedstawia Legouvé w swéj pedagogicznéj powieści.

Sumienie światowe — honor jest uczuciem szlachetném, nie należy więc jego rozwijania lekceważyć. Daje nam ono pragnienie takiego uregulowania życia, by mu nikt nie miał nic do zarzucenia, by na niém najmniejsza nawet nie postała skaza.

Honor jest białą szatą, którą najlżejsze dotknięcie brudu kala bezpowrotnie; noszenie jéj zmusza do oględności i uwagi na siebie, do chodzenia tylko czystemi i otwartemi drogami. Sumienie chrześcijańskie strzeże nas od grzechu w obliczu Boga; honor od grzéchu w obliczu świata. Poczucie honoru jest zatém uznaniem solidarności ludzkiéj i przyznaniem prawa sądu, jakie ma towarzystwo nad pojedynczym człowiekiem. Stąd wyrosły sprawy i sądy honorowe, oczyszczanie honoru, bronienie honoru przyjaciela lub kobiéty.

Kształcąc poczucie honoru, nie należy brać dumy i pychy za szlachetną godność osobistą; a tém mniéj pojmować go w duchu pogańskim, jak to ma miejsce na przykład, gdy człowiek dopuściwszy się jakiego niecnego czynu, wyobraża sobie, że pozbawiając się życia, ocalić zdoła swój honor, albo też, że ubliży sobie, gdy przeprosi obrażonego przez się człowieka. Często bardzo honor źle pojęty staje się chorobliwém uczuciem, którém człowiek opanowany, podobny jest do owego manijaka, co dobywał oręża wtedy, gdy nikt nie napadał na niego.

Uczucie to objawia się najczęściéj u ludzi ubogich, przez los pokrzywdzonych, stojących na stanowisku zależném; spotyka się nierzadko u nauczycieli i nauczycielek domowych, czyniąc stósunek z nimi bardzo przykry i trudny.

Do pogańskiego pojmowania honoru przyczynia się niezawodnie apoteozowanie starożytności, karmienie jéj umysłowemi

płodami młodzieży przez całą epokę wieku chłopięcego. Wpływ rodziny powinien pojęcia skrzywione nauką sprostować. Jeżeli szkoła daje młodzieży za pokarm duchowy utwory, w których się odzwierciedlają pojęcia czysto pogańskie; rodzina powinna zaszczepiać w niéj pojęcia chrześcijańskie i duchem ich ożywiać uczucie honoru—to źródło wielu czynów szlachetnych.

Zbytecznem byłoby mówić, że zarówno przy kształceniu sumienia, jak uczucia honoru, krasomówstwo słowa musi iść koniecznie w towarzystwie o wiele skuteczniejszego krasomówstwa przykładu. Poparcie uwag czynem jest nieodzownym warunkiem powodzenia w pracy wychowawczéj.

Rodzice pragną szczęścia swych dzieci. Zbiérając mienie, pragną otoczyć synów i córki dobrobytem, na którym szczęście materyjalne polega; kształcąc ich umysł, chcą je wzbogacić duchowo, zapewnić im szczęście, jakiém wiedza obdarza. O przygotowaniu jednak ducha do tego, by szczęście człowiek w samym sobie znajdował, mało kto myśli; a przecież jedynie w nas samych, w naszém uczuciu i charakterze, można zbudować przybytek dla tego niebieskiego gościa.

Umiejętność odczuwania szczęścia jest władzą, którą, ogólnie biorąc, za niezależną od okoliczności uważać można, bo nie okoliczności, lecz nasze pojmowanie i ocenianie tychże, stanowi tu o wzbudzoném uczuciu. Księga żywota zawiéra dla każdego to, co w niéj jego oczy wyczytać są wstanie. Są ludzie nie pragnący jéj nawet otworzyć, a utyskujący nad tém, że przed nimi leży zamknięta. Inni, otworzywszy, przerzucają jéj karty niedbale, nie zatrzymując się nad żadną z piękności, bogato w niéj rozsianych. Tych ludzi nic uszczęśliwić nie jest wstanie; powoli wypala się w nich ognisko, które umiejętnością odczuwania szczęścia nazwaćby można.

Wypala się i znika, bo ludzie ci nie szukali szczęścia na właściwéj drodze; oni żądali go od świata, — widzieli je w zewnętrznych bytu warunkach, a odwracali oczy od życia zawartego we własnéj ich piersi. Nie starali się nabyć umiejęt-

ności życia, za pomocą tych sił, jakie w nich samych spoczywały; ich zapoznanie też wprowadziło ich na drogę nierównéj walki, któréj skutkiem jest zużycie bezowocne czynności duchowéj, wytężającéj się ku niedoścignionemu celowi. Uganianie się za szczęściem, zależném od warunków zewnętrznych, jest zapoznawaniem woli Bożéj, która jedyne ognisko szczęśliwości w nas samych złożyła.

Zważmy, jak szczęśliwymi czyni ludzi spokój ducha, tak doskonale w sobie utwierdzony, że jego siła, przy starciu się z rzeczywistością zewnętrzną, nienaruszoną zostaje.

Męczennicy chrześcijańscy uśmiéchali się do swoich katów, bo duch ich od cierpień fizycznych był silniejszy. Matka Machabeuszów cierpiała, lecz jednocześnie radowała się w duchu i w jego głębi była szczęśliwą, bo spokojną się czuła. Mędrzec starożytny, odpowiadający potężnemu Cezarowi, że cała jego władza nie wystarcza na odjęcie mu szczęścia, był człowiekiem niezrównanie szczęśliwym.

Oderwijmy się tylko od zwykłego punktu zapatrywania się na to, co w świecie szczęściem się nazywa, jak: dostojeństwa, tytuły, zabawy, bogactwo, a nie trudno będzie nam pojąć, że szczęście takie—jest czczą marą.

Nie mówię tu o odrzucaniu wszelkiego materyjalnego dobrobytu, jako o rzeczy do szczęścia niepotrzebnéj. Dostatek, pozwalający nam nakarmić i odziać nasze ciało wygodnie, jest wielkim czynnikiem do urabiania się prawidłowo naszego ducha, zatém do uposażenia go w tę siłę, która sama w sobie szczęśliwość znajduje; ale sam dobrobyt szczęściem nie jest. Wszystko, co spływa z zewnątrz utrzymuje nas w ciągłym niepokoju, obawie, w bezustanném pragnieniu. Nigdy zupełnego szczęścia nie czujemy. Dobro posiadane—to tylko szczebel, po zajęciu którego, wyciągamy pożądliwą rękę po dobro jeszcze większe, pragniemy się wspinać coraz wyżéj i nie możemy nigdy osiągnąć spokoju. Wytężona nadmiernie nić pragnień naszych zrywa się co chwila, a sama myśl, że to, w czém umieściliśmy szczęście, jest rzeczą znikomą, nietrwałą i zależną od okoliczności — już nam zdrój szczęśliwości zatruwa.

A jednak dążenie do szczęścia jest przyrodzoną potrzebą człowieczéj natury. Dopókąd ludzkość istniéć będzie, szczęście nie przestanie majaczyć przed jéj okiem, jako pojęcie nigdy nie określone w jego znaczeniu ogólném i przedstawiające się coraz w innéj formie dla każdego z jéj członków. Do *swojego* szczęścia człowiek zawsze dążyć będzie. Uczynić mu je przystępném za pomocą wychowania, czy to nie piękne, nie wielkie zadanie?

Doskonalenie się moralne, gdy do niego rodzice dzieci swe zaprawią, stanie się dla nich szczęściem bezporównania większém, niż może niém być zbiéranie skarbów dla bogacza. Miłość rodzinna, miłość ludzkości—to źródło rzeczywistego szczęścia! Samolubnych uciech może człowiekowi zabraknąć; tych, któremi dusza jego się nasyca, gdy żyje dla drugich, nie zabraknie mu nigdy. —

Uczmy zatém dzieci nasze kochać silnie—co ukochania godne, kochać jak najgoręcéj, lecz kochać rozumnie i czynnie, nie czułostkowo, nie powierzchnią serca—lecz jego głębią. Taka miłość zasłoni je od cierpień próżności, zarozumienia i pychy; zasłoni przed ranami miłości własnéj i tę miłość własną w szlachetną godność osobistą zamieni. Samo cierpienie i boleść, jaka w życiu każdego spotykać musi, stanie się dla nich szkołą męstwa, a nie upadkiem, podniesie je na taką wyżynę doskonałości, do jakiéj już nie dosięga cały tłum poziomych żądz, pokuszeń i namiętności.

Do takiego szczęścia, które właściwie jest dopiéro owocem lat dojrzałych i dojrzałych przekonań, rodzice tylko przez kształcenie uczucia i woli dziécię przygotować mogą.

Jeżeli jednak taką jednolitość i hart ducha można nazwać spokojem szczęścia, ową pogodą, panującą zawsze na szczycie, choćby poniżéj przepływały chmury, niosące gromy i nawałnice; to obok niego jest jeszcze zdawkowa moneta szczęścia codziennego, małego szczęścia, co jak ptak skrzydłem, umié uderzyć i spocząć na każdym przedmiocie, rzucić swój promień na każdą ciemność, jaskrawe światło przysłonić, stanąć zawsze wpoprzek maluczkich nędz żywota i nie dać im przystępu do przybytku naszéj szczęśliwości.

Jednostajność humoru, zawsze wypogodzone czoło, zadowolenie łatwo sprowadzone lada kwiateczkiem na ścieżce żywota znalezionym, to są skarby, w które dzieci łatwo zaopatrzyć możemy. „Trzeba mieć dumę w ducha całości, a pokorę w każdéj życia chwili"—mówi Krasiński. Całość ducha—jego dumna wyżyna, niech będzie w sobie zamkniętym światem, nieprzystępnym wpływom zewnętrznym; ale „pokora w każdéj życia chwili" — to łatwość otworzenia serca na najmniejszy szept natury, na wdzięk ludzkiego słowa, na uśmiéch niemowlęcia, na piękno, gdziekolwiek oko pochwycić je może, lub ucho dosłyszéć i zgromadzanie w sobie tych darów Bożych, które nas otaczają, a których tylu z nas nie dostrzega nawet na maluczkie „*pokorne*" szczęście każdéj chwili.

Matka może dzieciom dać takie szczęście, ukazując im, skąd jego źródło wypływa. Niezależnie od pracy nad pogodą i szczęśliwością wewnętrzną, może otworzyć im oczy na wszystkie te małe pociechy, jakie tak hojną ręką Stwórca na naszéj drodze rosypał. Słońce, powietrze, kwiaty, zwierzęta, śpiéw, słodycz rodzinnych i towarzyskich uczuć — to wszystko raduje, pociesza, byle umiéć uśmiéchem przyjąć każdą przybywającą rozkosz.

Śmiéch, wesele, radowanie się dzieci za każdym, najmniéjszym darem chwili, jest bardzo pocieszającym dla ich przyszłości objawem.

Bywają dzieci znudzone, skwaszone, wiecznie niezadowolone, wiecznie pragnące nadzwyczajności, których nic nie bawi; te już mają zaród choroby, zniechęceniem zwanéj, a toczącéj powoli, lecz wytrwale organizm duchowy. Niech matka zbada przyczynę choroby, skoro ją dostrzeże. Czy dzieci nie posiadają za wiele i nie otrzymują ciągle nowych zabawek? Czy ich umysł nie zbyt pospiesznie w kierunku niedziecinnym był rozwijany? Czy nie są przygnębione wymaganiami nadmiernemi i krępującymi ich ruchy? Może nieukontowanie i wieczne skwaszenie kogo z otaczających daje im przykład takiego usposobienia, lub opiekunowie dzieci nie umieją podzielać ich wesołości i do niéj zachęcać?

Któryś z pisarzy niemieckich zły humor nazwał: „katarem duszy". Jakkolwiek ten termin medyczny zabawnie wygląda w tym razie, dobrze wszakże określa rzecz samę, gdyż zły humor, jest rzeczywiście stanem chronicznym ducha. W dzieciach jest on zupełnie nienaturalnym i musi chyba być wywołany falszywém postępowaniem. Najłatwiejszym sposobem zaszczepienia go dzieciom nazawsze, jest dogadzanie wszystkim ich kaprysom, ich bezustannie wzrastającym zachciankom, które przeradzają się w żądania, nie mogące być nigdy zaspokojonemi.

Dziécię starsze, jeżeli postępowanie nauczycieli z niém jest właściwe, może już pojąć szczęście pracy, a przynajmniéj doznawać wielkiego zadowolenia, po każdém jéj dziennem spełnieniu. Postęp w pracy umysłowéj, może je napełniać radością i utrzymywać jego ducha w zdrowiu, jakie daje zawsze znajdowanie przyjemności w dokonywaniu obowiązku i taki stan zależy najczęściéj od sposobu postępowania nauczycieli i rodziców. Kto dał zasmakować wychowańcowi z téj czary największéj szczęśliwości — ukochania swych obowiązków, ten może mu zapewni szczęście, a niezawodnie spokój wewnętrzny całego żywota.

Kończę ten rozdział, przytaczając zdanie Spencera: „Szczęście jest najlepszym ze środków tonicznych". Znaczy to, że szczęście daje nam zdrowie, ułatwia trawienie, zatém do funkcyjonowania prawidłowego naszego organizmu się przyczynia. Ci przeto rodzice, którzy usposobili dzieci swoje do łatwego zadawalania się i radowania każdą najdrobniéjszą przyjemnością, ci zapewnili im potężny środek, ułatwiający im wzrost i silne rozwijanie się ciała.

ROZDZIAŁ X.

Nauka nie jest wszystkiém. Charakter. Pracowitość. Wola. Odwaga. Porządek. Dobroć.

Często zdarza się, że nawet najlepsze matki, które wyrzekłszy się samolubnych celów, żyją tylko dla dzieci i w nich umieściły szczęście swoje,—że takie matki nie zdają sobie sprawy, jakie stanowisko w wychowaniu ma zająć nauka, a jakie edukacyja moralna. Matkom tym zdaje się, że nauka jest to *panaceum* doskonałości i szczęścia; wśród troski o danie jéj dzieciom, spuszczają z oka cel główny— kształcenie charakteru. Jest to rzecz nader zwyczajna. Dziécię chodzi do szkół lub na pensyją; ma oprócz tego godziny lekcyj prywatnych, a jego postępy naukowe, tak dalece zadawalają matkę, że moralna strona dziecka nawet nie zwraca jéj uwagi. — Wśród rozmowy z niém, zawsze i zawsze występują tylko dobre stopnie, nagrody, pochwały szkolne, promocyje, patenta, rzadko kiedy troskliwość jéj ściąga się do przekonań i poglądów wychowańca. Dziécię, które się źle uczy, z jakiego bądź powodu, stokroć więcéj ją martwi, niż to, które okazuje złe skłonności; — a choćby chłopiec, odbiérający nagrody i promocyje, był samolubem, pyszałkiem, zawistnym lub niewdzięcznym, matka z dumą i upojeniem na niego spogląda. Znajomi i przyjaciele mimowoli także przyczyniają się do tego:—„Jakie to szczęście — zwykli mawiać wobec rodziców — miéć takiego syna, jak państwo! Uczy się dobrze, podobno piérwszym jest w klasie! Zawsze go moim chłopcom stawiam za przykład.” Osoba stawiająca tak za przykład chłopca, odbiérającego nagrody, wié dobrze, że jest nieznośnym samolubem, nieuczynnym i nieużytecznym, ale nad temi

przywarami nie zastanawia się wcale; zapomina o nich, albo je lekceważy, bo celująca nauka chłopca ze wszystkich wad go rozgrzésza.

Starannie wychowywane dziecko, znaczy w pojęciu ogółu dziecko, uczące się tego wszystkiego, czego zwyczaj uczyć każe. Taka opinija, wprowadza w błąd wielu rodziców. Nie przychodzi im nawet na myśl, że nauka bez charakteru, bez zasad moralnych, może wprawdzie dać światu jednego uczonego więcéj, ale nie da rodzicom wdzięcznego i kochającego syna, krajowi obywatela, rodzinie uszczęśliwiającego i uzacniającego ją członka.

Nie chcę tu bynajmniéj umniejszać czci, jaką ludzkość ma dla nauki, rozumiem jéj wpływ potężny na intellektualną i moralną stronę człowieka; ale pragnę zaznaczyć, że sama nauka nie jest jeszcze wszystkiém, chociaż w wychowaniu zajmuje tak wybitne stanowisko. Nauka — jest jakby majątkiem, który sam w sobie przedstawia kapitał martwy. Czémże jest majątek w ręku skąpca, w ręku złego lub rozrzutnego człowieka? Jest nieużytecznym lub źle używanym środkiem. To samo dzieje się z nauką, gdy jéj nie wesprze charakter. W ludziach samolubnych, chciwcach zmateryjalizowanych, staje się ona sługą przekupną, wyzyskiwaną ze złą wiarą; w ludziach słabych, chwiejnych, bez odwagi, siły i męstwa, jest orężem w ręku tchórza, który go ani użyć, ani wywalczyć nim w życiu nic nie potrafi; w niewytrwałym, lekkim próżniaku, choćby miał największe zdolności, będzie zawsze owemi skokami zająca, którego wszystkie żółwie, niezawodnie wyprzedzą do mety.

Jeżeli więc naukę i jako rzecz wziętą samą w sobie i jako środek pedagogiczny, wysoko cenić należy; to jednak nie trzeba nigdy do tego stopnia dać się oślepić jéj blaskiem, aby nam z oczu zniknęły wszystkie inne człowieczego ducha własności.

Nauka jest wyzwoleniem z więzów umysłu ludzkiego, jego usamowolnieniem; ale wolność, ten dar niebieski, jest darem niebezpiecznym lub nieużytecznym, jeżeli nie umiemy nad nim panować i kierować nim przez siłę woli, energiją, pracę, wytrwałość,

szlachetne dążności i przekonania, słowem przez charakter. Nawet powodzenie w życiu, więcéj nierównie od niego, niż od nauki zależy.—„Ludziom nie powodzi się w życiu — mówi biskup Dupanloup *) — częściéj przez brak charakteru, niż rozumu. Jest to uwaga, codziennie doświadczeniem stwierdzana. Człowiek lekkomyślny, słaby, chwiejny, zniechęcający się, łatwy do opanowania przez innych, ustępujący i uginający się przed napotykanemi przeszkodami — człowiek taki nie wzbudza zaufania; jakiekolwiek są przymioty jego umysłu, zawierzyć mu jednak niepodobna. Chrakter nie tylko jest siłą, stałością i energiją męską, ale także stwarza godność, podniosłość moralną, szlachetność duszy, w potrzebie—heroizm. Z niego wypływa wierność wspaniałomyślna, wytrwałe poświęcenia, usługi bezinteresowne, chwalebne zaparcie się, niezwalczony opór, gdy idzie o dobrą sprawę." Dodać tu należy, że nawet rozum, nie przez samę naukę się kształci i bynajmniej nie jest jéj równoznacznikiem.

Nie lekceważąc tedy nauki, jako środka rozwijającego umysł, pamiętajmy, że nie jest ona wstanie zastąpić dziecku moralnéj edukacyi, jaką tylko przykład życia rodzinnego dać może,—„Naród jest zawsze tém, czém jest rodzina."—Ona jest źródłem, z którego wypływają przyszłe przekonania, a zatém czyny młodzieńca lub dziewicy.

Powierzenie dziécięcia szkole (o nauczycielach domowych wspomnę poniżéj) nie uwalnia zatém rodziców od pracy wychowawczéj, o ile im na to okoliczności pozwalają. Szkoła, u nas szczególniéj, nie urabia ducha, a lenistwo, jakie rodziców skłania do ulżenia ciężaru własnym barkom i złożenia całéj odpowiedzialności za moralny kierunek na szkołę, pociąga zwykle najsmutniejsze skutki za sobą. Téj to przyczynie przypisać należy, że dzieci zdolne, obiecujące, umysłowo rozwinięte, nie ziszczają w dalszém życiu, powziętych o nich nadziei; że często w połowie drogi przychodzi zniechęcenie, podanie ucha i serca podszeptom nizkich namiętności, słowem że młodzieniec nie wytrzymuje

(*) Lettres á un homme du monde.

próby piérwszéj walki życiowéj, upada w niéj i podnieść się więcéj nie umié.

Pomyślmy tylko, ile obiecujących, genijalnych dzieci, wyrasta na tuzinkowych ludzi dla tego, że zdolnościom wrodzonym wychowanie nie dało podpory w silnym charakterze. Dusze słabe, wychowaniem nie wzmocnione, nie są zdolne do samoistnych wysiłków. Potrącane wpływem ubocznym, podszeptami namiętności, idą za prądem, który je unosi i, rozumiejąc nawet, co dobro rzeczywiste stanowi, oddalają się coraz bardziéj od niego. Nie brak im nauki, lecz charakteru. Gdyby go posiadały, mogłyby zdobyć tyle wiedzy, na ileby starczyła ich siła umysłowa. Ignacy Lojola, w 36-ym roku życia nic nie umiał. W tym wieku dopiéro, postanowił nauczyć się po łacinie i po grecku, nadludzką pracą, w któréj upadał, a siłą woli podnosił się zawsze, zdobył niezwykłą biegłość we wszystkich naukach swojego wieku. Silną wolą zwalczył wszystkie przeszkody, a niemałemi były one dla człowieka, który znał się tylko na sztuce wojennéj. Wiedza jego była zdobyczą charakteru. — Wszyscy wielcy uczeni, zawdzięczali swą wiedzę, nietylko zdolnościom wrodzonym, ale i wytrwałéj pracy, bez któréj nawet genijusze obejść się nie mogą.

Jeżeli zatém chcesz dać dziécięciu twemu wiedzę, umiejętność korzystania z niéj, powodzenie, szczęście, cnotę wytrwałą, daj mu silną wolę, odwagę, pracowitość, daj mu poczucie obowiązku i przekonania. Przez nie to tylko syn twój dopełni obowiązków obywatelskich, rodzinnych i wogóle obowiązków człowieka; przez nie córka twoja, uniknie pokus, na jakie naraża życie, spełni obowiązki macierzyńskie i „będzie głowy męża koroną.“ Nie pozwoli sobie wejść na owe ściéżki, tak kwieciste na wstępie, na które mogłaby zaprowadzić ją wyobraźnia, temperament lub wreszcie serce zbłąkane. Tylko przekonania, odważnie wyznawane, ochronią twe dzieci od kłamania czynem, od zdrad, odstępstw, podłostek, intryg, służalstwa, próżności, niemądréj pychy, zarozumiałéj nicości, plotek, oszczerstwa i fałszu. Uczucia nasze, przekonania, wiara — to nic innego, jak czyny nasze. Jest rzeczą jasną, że aby niemi kierować w duchu

chrześcijańskim, musimy siłą przekonań opanować nasze namiętności,—inaczéj one zapanują nad nami.

Jedną z wad nie występujących jaskrawo, a jednak podkopujących powoli a podstępnie naszę moralną istotę, jest lenistwo. Na piérwszy rzut oka, lenistwo wydaje się nam błędem małéj wagi w dziécięciu, które pozwalamy sobie zdrobniale leniuszkiem nazywać. Prawie bawi nas ten brak wytrwałości i łatwe zniechęcanie się naszego malca, jego wieczne wyręczanie się we wszystkiém już to niańką, jużto którém z rodzeństwa. Przypatrzmy się jednak bliżéj, a przekonamy się, że ów błąd mały, mieści w sobie zarody wad bardzo szkodliwych w następstwach.

Ateńskie prawa Drakona naznaczyły karę śmierci na próżniactwo, uważając je za kradzież, popełnioną na ogóle i państwie. Podobną sprawiedliwość wymierza naród pracowitych pszczół na trutniach próżniaczych. W istocie społeczeństwo, dając jednostce do spożytkowania tak wielką ilość wyprodukowanych przez siebie przedmiotów, ma prawo żądać od niéj w zamian pracy, ma do niéj prawo i rodzina, wreszcie samo wrodzone człowiekowi pragnienie szczęścia, które bez poczucia rozkoszy pracy, nigdy osiągniętém być nie może. Ktoś powiedział, że przez lenistwo powinnibyśmy stać się pracowitymi, gdyż tylko po pracy bezczynność jest przyjemnością. Zdanie to jest tylko zręcznie wypowiedzianym frazesem, albowiem wszelka praca potrzebuje wysiłku woli, gdyż lenistwo jest ospałością téj woli, jest jéj bezsilnością, omdleniem. Próżniak często czuje potrzebę pracy, a jednak nie ma siły do przezwyciężenia lenistwa; zatem wyrobienie pracowitości i kształcenie woli, jest prawie jedném i tém samém. Zaznaczyć tu wszakże wypada wielki wpływ, jaki przyzwyczajenie wywiéra na zamiłowanie pracy. Ze wszystkich przymiotów ten najłatwiéj się zdobywa mocą przyzwyczajenia i z tego względu przedstawia on dla matki obszerne pole, na którém łatwiéj, aniżeli na innych, doczekać się może owocu swoich trudów. Dla dojścia do niego, niezbędném jest wprzódy zbadanie natury lenistwa w dziecku.

Są dzieci ospałe i nieruchliwe, w których lenistwo zdaje się wypływać ze stanu ich zdrowia, ze zbytecznéj tuszy, z wody w głowie, lub tym podobnych przyczyn. Rzadko kiedy stan takiéj nieczynności, spotyka się w dzieciach zupełnie zdrowych,— zatém oddziaływanie na stan fizyczny i wzmacnianie organizmu zalecać tu należy. Gdy przecież zdarzy się, że dziecko pomimo zdrowia, do tego stopnia jest apatyczném, iż go żadne zajęcie, żadna czynność nie pociąga ku sobie, a obok tego nie można w niém podejrzywać upośledzenia władz umysłowych; trzeba się starać rozbudzić to życie, zatrzymane w swym biegu z jakichkolwiek powodów. Martwe członki, obezwładnienie ciała, léczy się środkami pobudzającemi; należy zatém i w moralnym świecie podobnych środków poszukać. Niepodobna, aby dziécię czegoś nie lubiło; niechaj to, co lubi, będzie zniewolone zdobywać sobie; niech jego słaba wola wzmaga się, zrazu na małe, późniéj na coraz większe wysiłki. W takiém apatyczném moralnie i fizycznie dziecku, zamiłowaniem najwydatniejszém będzie zapewne jedzenie; niechby mu ono nie przychodziło bez pewnego trudu. Przypuśćmy, że takie dziecko znalazłoby się, jak Robinson na odludnéj wyspie, i musiałoby samo wynajdywać i zdobywać sposoby do utrzymania życia. W takim razie, jakkolwiek leniwe i do lenistwa przyzwyczajone, musiałoby się zdobyć na jakiś pomysł, któryby w czynie urzeczywistnić pragnęło. Wiem, że sztuczne wynajdywanie środków, zmuszających do pracy, nie jest łatwe; trzeba się jednak uciec do niego i wyszukać sposobu, aby dziécię upodobaniom swoim, lub potrzebom, dogadzać mogło tylko za pomocą pracy odpowiednio zastósowanéj. Jest to środek ostry, jak owe zniewolenie do pracy dorosłych próżniaków, zapomocą pompowania wody, która im grozi zatopieniem, jeżeli na chwilę zaprzestaną roboty.

Matka naturalnie potrafi ustósunkować wysilenia dziecka do jego możności. Znajdując w niém chroniczne lenistwo, nie powinna rąk opuszczać, ale owszem słabą wolę dziecka własną wolą zastąpić. Wola ta, pobudzająca wolę dziecka do działalności, w początkach nie wiele może skutkować; zwolna jednak, może w niém wywołać ocknięcie się woli własnéj i przekonania o potrzebie pracy.

Nie zatrzymuję się dłużéj nad lenistwem, wypływającém z zupełnéj bezwładności moralnéj lub fizycznéj, gdyż przykłady takiego stanu są niesłychanie rzadkie. W zwykłych przypadkach wada ta objawia się inaczéj. Dziécię, czynne i ruchliwe w czasie zabawy, ucieka od wszelkiéj pracy, czy to umysłowéj, czy ręcznéj; gadatliwe i rzeźkie w chwilach swobody, staje się ospałém, ciężkiém lub roztargnioném, gdy idzie o natężenie uwagi, lub o przyłożenie rąk do systematycznego zajęcia. Jest to dowodem braku woli i przekonania o potrzebie pracy w samym wychowańcu; niekiedy jednak bywa następstwem braku taktu wychowujących, jeżeli ci, narzucają dziecku pracę nad siły, pracę niezgodną z jego umysłowém rozwinięciem, albo upodobaniem. Może nauka podawana dziecku jest za sucha, bez życia; może nieudolność nauczyciela winna temu, że uczeń niedosyć interesuje się przedmiotem, że go ten przedmiot, zamiast rozbudzać, usypia; może wreszcie, zniewalając dziécię do pracy nad wstrętnemi dla niego przedmiotami, pomijamy właśnie takie, do których czuje pociąg wrodzony. Znana jest historyja Linneusza, którego świat roślin pociągał od dziecka. Oddany przez ojca do kollegijum, gdzie go poddano nauce języków umarłych, uważany był przez profesorów za nieuka, a zmartwiony ojciec oddał go do szewca, który go bił i uważał za próżniaka do niczego. Niezmiernie wybitne powołanienie zdołało zwalczyć przeszkody i znieść tamy, jakie mu stawiano. Ale jak wszystko na świecie, tak i powołanie rozmaite ma stopnie, siłę i rozwój. Często trzeba go się doszukiwać w dziecku; często niedostrzeżone, leży w uśpieniu i czeka sposobnéj chwili, która może nie nadejść nigdy. Do rodziców należy odkryć je i obudzić. Dziécię, z trudem i niechęcią uczące się obcego języka, może ma pociąg do jakiéj gałęzi wiedzy, o któréj mu jeszcze nie wspominano. Odkrywszy taki pociąg, nie należy powiedzieć sobie obojętnie: nie czas jeszcze dla niego na historyją naturalną, dosyć będzie, gdy się zacznie jéj uczyć w latach czternastu; bo takie lekceważenie indywidualności dziecka byłoby niedarowanym błędem. Naprzód, idąc w jego wychowaniu za naturalnym popędem, otwiéra się dla niego daleko szérsze pole postępu; powtóre—rozwija się w niém zdolność myślenia, zamiłowania pracy, umiejętność uczenia się,

poczucie potrzeby i pragnienie wiedzy. Dziécię, które nauczy się pracować nad jednym przedmiotem, z pewnością i nad innym pracować potrafi, a zamiłowanie, rozbudzone do jednéj gałęzi wiedzy, da mu poczucie potrzeby ćwiczenia się w innych. Weźmy za przykład w tym razie historyją tych uczonych, którzy własném usiłowaniem i wybitnémi zdolnościami w pewnym kierunku, doszli do najwyższego stopnia wiedzy. Najczęściéj spotykamy w ich życiorysach wiadomość, że w wieku już dojrzałym, a nawet i późniejszym, nauczyli się dopiéro którego z nowożytnych języków, dla czerpania w jego literaturze wiadomości potrzebnych do uprawiania umiłowanego przedmiotu. Umiejętność pracy umysłowéj uprzystępniła im zatém trud uczenia się obcéj mowy.

Nauka o rzeczach — jeżeli tylko w nią wychowawca umié wlać życie, jest dzielnym środkiem do pokonania umysłowego lenistwa. Przez interes bowiem, jaki obudzamy w dziecku do poznawanych przez nie przedmiotów, budzi się w nim zmysł spostrzegawczy, zaostrza sąd i myśl pewnéj sprężytości nabywa. Ale obok tych korzyści występują na jaw inne strony ujemne. Dziécię okazuje wstręt do późniejszéj i systematycznéj nauki. Doświadczyłam tego kilkakrotnie, że dziécię przywykłe do nauki w żywém udzielanéj słowie, niechętnie spotyka się z nauką właściwą, chociażby starano się podać mu ją, w formie jak najprzystępniejszéj. Męczy je pisanie kaligrafii, lub dyktanda; zżyma się na trudności ortografii, niecierpliwią je przykłady matematyczne; gramatyka roztargnioném je znajduje i więcéj zajmuje je przelot muchy lub motyla, niż rozbiór prawideł języka, Rozbudzony jego umysł niechętnie zatrzymuje się przez czas dłuższy na jednym przedmiocie, odbiega go uwaga co chwila, reguły gramatyczne nie przykuwają jéj do siebie. Podczas gdy nauczyciel mówi mu: „Rzeczownikami są wyrazy: drzewo, woda, dom...“—dziécię zapytuje nagle:— „A jakie drzewo?“ — i więcéj je zajmuje chęć dowiedzenia się, czy to był dąb, czy brzoza, niż to prawidło gramatyczne, że wyraz drzewo jest rzeczownikiem.

Jak jest męczącém dla nauczyciela takie usposobienie dziecka, czy je nazwiemy lenistwem, czy zbytnią ruchliwością umysłu, ten

tylko ocenić może, kto sam czegoś podobnego doświadczył. Dla zaradzenia téj męczącéj niesforności myśli dziécięcéj, ośmielam się podać radę, aby od najmłodszego wieku odłączać naukę właściwą od téj, którą dziécię bawiąc się zdobywa i przeznaczyć choćby kwandrans, choćby pół godziny na naukę formalną, odrazu nadając jéj obowiązkowy charakter.

Niewiem, czy nauczanie dojdzie kiedy do tego stopnia doskonałości, na jakimby nowocześni pedagogowie widzieć je chcieli, mianowicie co do tego, by stopniowo, a jednak ciągle, przyczyniało się do rozwijania umysłu, tak, aby ten żadnego trudu, żadnego większego nie uczuwał wysiłku, Dotąd wszakże, nie jest ono na tym stopniu i nie prędko na nim się znajdzie, jeżeli tylko znajdzie się kiedy. Nauki szkolne potrzebują mozołu, pracy, wysiłków; złą przeto usługę oddają dzieciom swoim rodzice, którzy zaniedbują wdrażania ich do pracy obowiązkowéj.

Zwrócenie czynności umysłowéj dziecka na dany przedmiot, zatrzymanie ruchliwości jego myśli w obrębie ściśle oznaczonym, zależy w wielkiéj części od taktu i pedagogicznego uzdolnienia nauczyciela, a szczególniéj od tego, aby piérwszy nauczyciel dziecka, był człowiekiem poważnie traktującym swoje zadanie. Znałam zdolnego nauczyciela, który uskarżał się, że wciągu swego zawodu często odziedziczał uczniów po nauczycielkach początkowych, lub bonach, i znajdował umysł powierzonych sobie dzieci znarowiony złą nauką tak dalece, że samo odrobienie złego więcéj mu dawało trudu, niż posiéw nowego ziarna. Jednym z takich narowów, nabytych, wskutek złego uczenia, jest właśnie lenistwo myśli —wada ciężka do wykorzenienia, i w takim razie nauczyciel winien być tém zdolniejszy, tém pracowitszy i wytrwalszy, im więcéj jego uczeń lenistwu myśli i roztargnieniu podlega.

Jednym ze środków, pobudzających dziécię do pracowitości, jest praca odbywana z niém razem, Wiek dziécięcy jest wiekiem naśladownictwa; w téj epoce przykład działa silniéj i skuteczniéj, niż słowa. Dziécię chętniéj kopie lub grabi w ogrodzie, gdy widzi towarzyszy swoich pracujących społem.— Ochotniej wykonywa na fortepijanie sztuczki, ułożone na cztery ręce, niż na dwie; słowem przy każdém zajęciu zachęca je widok pracy,

równolegle z jego pracą idącéj. Nie mam tu wcale na myśli podpowiadania, lub dopomagania dziecku w nauce; przeciwnie niechby dziecko jak najwcześniéj przywykło iść drogą samopomocy, a jak najmniéj posiłkowało się korepetycyjami. Ile razy wszakże praca równocześnie wykonywaną być może, niechby przewodnik mający leniwego ucznia, zniżył się do dania mu z siebie przykładu. Rozumié się samo przez się, że rada ta stósuje się więcéj do pracowitości fizycznéj, niż umysłowéj. Umiejętność oszczędzania czasu jest jednym z tych drogocennych nabytków, w których zastósowaniu przykład wiele może.

Byłoby do życzenia, ażeby ekonomija czasu, tak ważna w życiu późniejszém, znalazła rozumne zastósowanie i w wychowaniu; żeby dziecko nie używało dziesięciu minut czasu na spełnienie czynności, która w pięciu dokonaną być może. Ćwiczenia wojskowe dają nam miarę tego, iż żołnierz powolny, może, bo musi, wyrównać w czynności towarzyszowi żwawszemu; w zakładach naukowych, w konwiktach czas, przeznaczony na ubieranie się, nie może być przedłużony; jedzenie odbywa się również w czasie stale ograniczonym. Przy robotach wydziałowych, fabrycznych, na sztuki, możemy się przekonać, czém jest przyzwyczajenie, ta edukacyja pracy dla ekonomii czasu. Zużywanie tego daru Bożego na błahostki zostaje często przyzwyczajeniem na całe życie, Marudne ubiéranie się kobiét jest nałogiem często niepoprawnym, na który słusznie narzekają mężowie, na którym cierpi ład i porządek domowy. Jakże więc drogocenny nabytek życiowy daje matka córce, ucząc ją zarówno przykładem, jak pewną karnością wychowawczą, prędkiego ubiérania się, jak i téj przytomności umysłu i sprężytości, która pozwala nam wprowadzić ład i pośpiech w każdą naszę robotę. Umiejętność prędkiego uczenia się jest również zdobyczą ogromną. Często dziecko, nawet najzdolniejsze, całe godziny trawi nad nauczeniem się rzeczy, na którą przy dobréj woli i pracy, starczyłby kwadrans.

Trzeba je budzić, zachęcać, wskazywać sposoby praktykowane, przemawiać do rozsądku, wykazując szkodę, jaką sobie wyrządza marnowaniem czasu; wreszcie tak rozłożyć godziny, aby rychlejsze nauczenie się zadania, stanowiło o dłuższym czasie

zabawy, spaceru, konnéj jazdy i t. p. Umiejętność usłużenia sobie samemu, pakowanie i układanie rzeczy, słanie łóżka, czyszczenie ubrania i dokonywanie tego wszystkiego, w jak najkrótszym czasie, daje nawyknienia nieocenione w dalszém życiu.

Pracowitość jest to przedłużenie życia przez wyzyskanie najdrogocenniejszego a niepowrotnego daru — czasu; jest ona nieocenioną cnotą, nietylko z powodu produkcyjnéj wartości swojéj, ale i jako środek hartujący ducha.

Jeżeli w dziedzinie ducha zechcemy doszukać się czynnika, który największą różnicę między ludźmi stanowi, który jednych nad drugich wyżéj podnosi; wtedy uznamy, że tym czynnikiem jest wola, która zawsze u ludzi zjednywa sobie jaknajwyższe uznanie. Inne cnoty bez jéj współudziału istnieć nie mogą. W niéj to mają swe źródło: cierpliwość, wytrwałość, praca, panowanie nad sobą i t, p. Lecz wola ma wyrodne swoje rodzeństwo, które odróżnić od niéj należy, a temi są: samowola i upór. Rodzinne ich pochodzenie jest to samo, tylko piérwsza patrzy ku górze, ku światłu — tam umieściła prawa moralne, którym podlega;— drugie zapatrzone w siebie i w ciasne kółko własnych interesów, działają w ograniczonym jego obrębie. W takiéj téż formie wola zwykle objawia się w dzieciach. Są samolubne i uparte, to jest, mają mniéj lub więcéj silną wolę, ale nie mają jeszcze przekonań, praw moralnych, któreby tą wolą kierować mogły. Ich brak zastępować w nich powinna wola rodziców, aż do czasu, dopóki wychowanie nie wyrobi w nich silnych przekonań. Bez tego steru, czémże jest wola? Często siłą dla społeczeństwa szkodliwą. Posiada ją zbrodniarz, intrygant przewrotny a wytrwały—i wtedy zamienia się ona w siłę ujemną, dającą podporę grzechowi. Jakkolwiek nie można im odmówić wspólności pochodzenia, przecież historyja i życie pokazują nam, że wola, prawom moralnym ulegająca, wzmacnia się tém samém i w potędze o wiele przechodzi samowolę, Dosyć jest przypomnieć sobie straszny dramat prześladowania chrześcijan, gdy

słabe dzieci i podrostki znosiły męczeństwo z wypogodzoném czołem,— ażeby dojść do wniosku, iż silne przekonania, tworzą silną wolę. Zastępując tedy dzieciom z początku owe moralne prawo przez nakazanie posłuszeństwa i karność wychowawczą, nie trzeba zapominać, że środek ten jest tylko zastępstwém chwilowém i że przekonania i wiara powinny być wpajane w serca dziécięce o tyle, o ile serca ich do nich dorosły; że kierunek życia zawisł od przekonań, zatém że je szczególniéj i przede wszystkiém wpajać należy i na ich korzyść powoli ze swych praw rodzicielskich czynić ustępstwa tém większe, im dziecko bliższe jest dojrzałości.

A jakiż sposób wpajania przekonań? Oto—wierzyć samemu i miéć własne przekonania tak niewzruszone, aby apostolstwo ich spływało samo z siebie na dzieci; aby je wyrażało każde słowo, czyn każdy, a nawet spojrzenie każde. Tak się przekazują wszystkie uczucia: wiara, patryjotyzm, miłość i uwielbienie dla cnoty, przekonania polityczne, wyobrażenia ogólne,—słowem wszystko, co w dziedzinie myśli i uczuć jest rodzicielską własnością.

Już wyżéj wspomniałam i tu jeszcze powtórzę, iż w wymaganiu posłuszeństwa, trzeba wielkiego taktu, spokoju, i wyrozumiałości. Nie należy wymagać zawiele i bez potrzeby woli dziecięcéj pogwałcać, bo się ją pozbawia hartu; ale przez wymagania swoje trzeba być żywém uosobieniem prawa moralnego, i równie jak ono, niezmiennym tak, żeby dziecko czuło w nas nie samowolę władzy rodzicielskiéj, ale potęgę władzy wyższéj, mającéj swe źródło w przekonaniach i sumieniu.

Życie dawniejszych epok łacniéj, niż dzisiejsze, kształciło odwagę. Tegoczesne warunki towarzyskie stawiają człowieka w stósunkach uregulowanych przez cywilizacyją do tego stopnia, że wszystkie niespodziane wypadki są w niém rzadkością. Obok tego, wiele czynności, w których dawniéj wola i odwaga kształcić się mogły,— dzisiaj stały się jedynie machinalnym procesem.

Podróże na przykład dawniejsze były prawie walką z żywiołami,— dzisiaj nie jeździmy już, ale wożą nas, przy zupełném obezwładnieniu naszych osobistych pragnień i upodobań. Na oznaczoną godzinę i minutę staje się w miejscu, choćby najodleglejszém i nasza energija w niczém przyłożyć się nie może do przyśpieszenia chwili przybycia. Jeść nam każą na przeznaczonéj stacyi, wsiadać do wagonu na odgłos dzwonka, słowem indywidualność, nasza ginie. Odwaga osobista żadnéj wspólności nie ma z parowemi wozami, telegrafami, drogami bitemi i komfortem życia. Wystawmy sobie Herkulesa w wagonie? Jakżeby on czuł się upokorzonym! Zmalałby w swéj śmiałości na widok siły, wobec któréj jego maczuga byłaby nitką pajęczą. I na nas te wielkie, mechaniczne potęgi działają w tensam sposób, choć sobie z tego nie zdajemy sprawy; pokorniejemy, uczymy się mniéj liczyć na osobiste męstwo nasze i, dumni potęgą umysłu, czujemy nasze ramię bezwładném. Nawet rzemiosło wojenne, przedzierzga się dzisiaj w machinalną działalność mass zostających, pod rozkazami rozumu i rozwagi jednostek,— odwaga osobista mniejszą nierównie, niż dawniéj odgrywa w nim rolę, Do tak umechanizowanych warunków bytu, dodajmy jeszcze upadek w nas sił fizycznych, rozmiękczenie nerwów, tkliwość na cierpienie, bladaczki i katary, a dojdziemy do wniosku, że im okoliczności mniéj się przykładają do wyrobienia w nas odwagi, tém usilniéj starać się nam trzeba o zaszczepienie jéj przez wychowanie.

Młodzieniec przepędza dziś w mieście kilkanaście lat wieku chłopięcego; — w mieście, jeżeli jest na uniwersytecie, wchodzi w wiek dojrzały, a miasto dzisiejsze—to wielka machina, w któréj tryby, każdy, kto żyje w niém, wpleciony być musi. Na odwagę osobistą niéma tam miejsca, wywalczyć śmiałością nic się nie uda i na tém zgiełkliwém polu wszędzie tylko siła ukazuje się pod postacią piéniędzy.

Utyskując tedy na brak dziarskości i odwagi w młodzieży, przyznajemy, że temu brakowi dziwić się nie można, bo z jednéj strony zewnętrzne warunki, z drugiéj wynikający z nich stan naszego zdrowia, nie pozwalają nam ćwiczyć się w odwadze. I jest to zaczarowane koło, z którego wyjść trudno;—słabe nerwy czynią nas tchórzliwymi;—życie, bez niespodzianych wypad-

ków, wystawiających na szwanki nasze osobiste bez pieczeństwo, nie hartuje naszych nerwów.

Dzieci miejskie, ślęcząc nad książką kilka godzin dziennie, a potém ubrane modnie i starannie, wyprowadzone na przechadzkę do ogrodu, gdzie im nawet na trawnik stąpić nie wolno, gdzie tylko, zachwycając się zdaleka kwiatowym kobiercem, chodzić mogą po równych, żwirowanych ulicach—takie dzieci trudno, aby wyrastały na odważnych fizycznie ludzi. Dzieci na wsi chowane, więcéj mające do czynienia z naturą, wdrapujące się na drzewa, przewracające koziołki na kopach siana, jeżdżące konno, bawiąc się w sypanie okopów, których potém jedna część zapastników broni, gdy druga zdobyć usiłuje; dzieci te więcéj mają sposobności do wyrabiania w sobie siły, do kształcenia zręczności i odwagi. Że gry takie wyrabiają odwagę, za dowód mogą służyć znane słowa Wellingtona, który zwiédzając raz szkołę Etońską, któréj był wychowańcem, zawołał, wstępując na plac zabaw:—„Tu zostało odniesione zwycięstwo pod Waterloo!" — W Anglii wielką przywiązują wagę do zabaw chłopców na wolném powietrzu, i przypisują im własności, nietylko rozwijające ciało, ale nadto wpływające korzystnie na charakter, przez kształcenie odwagi, przytomności umysłu i szlachetności; podstępy w zabawie, noszą na sobie piętno zdrady.

Młodzież angielska, z takim zapałem oddaje się tym zabawom, tak ją one interesują nawet w wieku dojrzałym, iż słusznie przypisują im w części wysoką moralność młodzieży, która po skończonych naukach dziennych, bieży ochocza na pola gier, a zmęczona do syta parogodzinną zabawą, nie ma już ani czasu, ani ochoty na szukanie przyjemności zakazanych, ani czytanie gorszących książek, które wyświadczają tyle złego młodzieży naszéj.

O ile można dostarczajmy dzieciom sposobności do zabaw tego rodzaju. Są one zdrowe, zarówno fizycznie, jak moralnie. Dziécię, niezgrzybiałe duchowo przed czasem, zasmakuje w nich niezawodnie: gra w palanta, zdobywanie okopów, gimnastyka, pływanie, konna jazda, gonitwy do mety, — będą dla nich rozkoszném spędzeniem czasu. Naszym szkołom słusznie zarzucić można zupełne wykluczenie takich rozrywek dla młodzieży, ale

ponieważ zaradzenie temu nie od nas zawisło, rodzice powinni się starać, o danie zarówno chłopcom, jak dziewczętom, sposobności i zachęty do gier tego rodzaju; równie, jak do gimnastyki, dającéj zręczność, która z odwagą ma taki stósunek, że tam gdzie zręczny chłopiec zdecyduje się na czyn odrazu, ciężki i niezgrabny, choćby równie odważny, nie zaufa sobie, bo nie będzie czuł się w możności dokonania go.

Niezręczność krępuje i onieśmiela. Któraż z nas na przykład w dzisiejszym stroju, chód utrudniającym, krępującym kolana, nie poczułaby, że nim zdoła przebiedz ulicę dla dania ratunku staruszce lub dziecku zagrożonemu przejechaniem, powóz tymczasem stratuje je z pewnością? Strój zaś wygodny, nieutrudzający poruszeń, zachęciłby niejednę, w podobnym razie, do odważnego kroku, bo uczyniłby jéj poruszenia swobodnemi, nie krępującemi w zręczności.

A teraz zważywszy, że odwaga kształci się praktyką a zręczność ośmiela do czynu, dochodzimy do przekonania, że wyrobienie zręczności, jest już zadatkiem odwagi. Powtórzę tu jeszcze, że zwykłe zabawy dziecinne mianowicie te, którym się dzieci z własnego pociągu oddają, jak najmniéj powstrzymywane być powinny; chyba, że przechodzą granicę przyzwoitości, lub że grożą bezpieczeństwu małych zapaśników.

Ujmowanie tych zabaw w jakieś karby, ściśnianie ich dla tego, że sukienki powalaćby się mogły, że dziewczynkom nie wypada skakać przez baryjerę, lub bawić się w wojsko; że chłopiec z drabiny spaść może, lub że piłką w oko dostanie, byłoby odjęciem dzieciom sposobności nabywania siły, odwagi, sprytu, zręczności. Matka pamiętać powinna, że więcéj dzieci ulega przypadkom z przyczyny wrodzonego, lub wychowaniem nabytego niedołęstwa, niż z żywości.

W Anglii, gdzie, podług zdania większéj części pedagogów, matki najstaranniéj dzieci wychowują, wolność ruchów, samodzielność i zaradność, rozwijane są od dzieciństwa. Często tam widzieć można dziesięcioletnie dzieci, odbywające dalekie podróże, chodzące po mieście i dające sobie radę we wszystkiém.

Jeżeli takie pozostawienie dzieci samym sobie jest narażeniem ich na różne niebezpieczeństwa; to z drugiéj strony, zwią-

zanie zupełne ich wolności, jakie się u nas spotyka, zły wpływ wywiérać musi, tak na nieśmiałe, jak na ruchliwe, a odważne natury.

W piérwszych nie rozwinie zaradności tak w życiu koniecznéj; drugie — zmusza do wyskoków szalonych w chwili, w któréj uwaga starszych jest od nich odwróconą. Dzieci usposobienia burzliwego, krępowane ciągle w swoich ruchach, szukają tylko chwili, aby wybuchnąć, a wybuchy takie bywają częstokroć szalone.

Krępowaniem nie wyrobimy w nich téj godności człowieka, którą wykształcić można tylko okazywaniem zaufania. Niech dziecko widzi, że w jego rozsądek wierzą, że się nie boją jego wybryków, że ufają jego przyrzeczeniom, że go nie podglądają i nie szpiegują. To w niém obudzi szlachetną chęć odpowiadania godnie owemu zaufaniu, a jego gwałtowność zwracać się zacznie ku własnéj osobie, by z wrodzoną odwagą opanowywać nierozsądne i niebezpieczne zachcianki. Niech kierownicy pamiętają, iż żywość, kierowaną tylko i opanowywaną być winna, ale nie tłumioną, gdyż bez niéj nie wyrobiłyby się: wola i stanowczość charakteru.

Smiles, w wybornem swojém studyjum nad charakterem, przytacza liczne przykłady wielkich ludzi, gwałtownych z natury, którzy przez panowanie nad sobą, potrafili ową gwałtowność przerobić na niezwalczoną energiją, wytrwałą pracę i siłę woli niezłomną. Wogóle, wszystko to, co powiedziałam o uporze, da się zastósować do wrodzonéj żywości; potrzeba jéj tylko kierunku, aby została przymiotem. Pewien myśliciel utrzymywał, że prawie każdy złodziéj, mógłby stać się bardzo użytecznym członkiem społeczeństwa, a nawet znakomitym człowiekiem, gdyby jego wrodzoną przedsiębiorczość, jego spryt, odwagę i przemyślność, wychowanie skierowało ku dobremu. Gdy pomyślimy, czém są w człowieku przekonania, poglądy i zasady; będziemy skłonni do przyznania prawdy powyższym dowodzeniom.

Odwaga fizyczna niezawsze idzie w parze z odwagą moralną; dla tego ściśle rozróżnić je należy. Często człowiek, umiejący z najwyższém męztwem bronić własnego życia, lub życia

innych; żołnierz zahartowany w bojach, bohatér w walce, w życiu zwyczajném, okazuje się słabym. Czy to, że czyny odwagi rycerskiéj, spełniają się zwykle w chwili entuzyjastycznego podniecenia i mniéj wytrwałości, a więcéj zapału i chwilowéj przytomności umysłu wymagają; czy to, że moralna odwaga jest poczuciem stale i wytrwale w nas czuwającém; dość, że historyja pokazuje nam ludzi odważnych ramieniem, a upadających w walce z namiętnością, nie umiejących naprzykład oprzéć się nałogowi pijaństwa, lub chylących czoło pod niepowodzeniem życiowém.

Widzimy wielu z nich, ulegających na przykład wpływom złéj i podstępnéj kobiéty; innych niezdolnych oprzéć się rozmiękczającym rozkoszom życia; — innych, którzy przy odwadze w boju, nie mają jéj do obrony własnych przekonań;—nieustraszeni wobec orężnego nieprzyjaciela, boją się słowem odważném narazić na pośmiewisko, naganę, lub na utratę popularności. Z drugiéj strony widzimy ludzi wątłych i słabych ciałem, czujących się niezdolnymi do czynu znamienującego odwagę fizyczną, posiadających przecież wolę niezłomną i odwagę moralną. Do rzędu tych ostatnich, możnaby zaliczyć wiele kobiét, umiejących z bohaterską odwagą znosić przeciwności, wytrwać w obowiązku, pomimo jego trudów i ciężarów, ukryć cierpienie tak głęboko, że go nikt z otaczających nie dostrzeże, spełniać tysiące cichych poświęceń, które nieraz życie ich wyczerpują; a pomimo to lękających się psa, krowy, wydających okrzyk za lada stuknięciem i hałasem.

Jest między niemi wiele takich, które oddałyby swe życie za dziécię, ale obrony dać mu nie potrafią. Niemało się tu przyczyniają bez wątpienia względy fizyczne, rozdrażnienie nerwów: ale nie wszystko im przypisywać należy. — Marek Aurelijusz, filozof, posiadający zatém odwagę myśli, dzielny i nieustraszony żołniérz, mający zatém odwagę rycerską, jest przecież słabym dla Lucyjusza Verusa i pozwala mu na szaleństwa, pochłaniające zasoby państwa; pobłaża rozpuście Faustyny, czyni piętnastoletniego Komodyjusza kapłanem, konsulem, Cezarem, pomimo, że widzi jego występne skłonności, a nawet może w nim podejrzywa ojcobójcze zamiary. Jest zatém słabym moralnie,

nie ma odwagi potępienia czynnie występków, jakie potępia w zasadzie.

Ze sceny i z powieści znany jest typ klnącego wiarusa, dla którego huk armat jest muzyką, zapach prochu przyjemną wonią, a który boi się żony, jak ognia, lub daje się prowadzić na pasku przez lada kogo. Ale poprzestańmy na tém — wszak każdy z doświadczenia życiowego, znajdzie pewno przykład stwierdzający powyższe dowodzenie.

Odwaga moralna jest przede wszystkiém zaparciem się siebie, oderwaniem się od naszego samolubnego *ja*, dla jakiegoś wyższego celu, leżącego po za obrębem naszych własnych korzyści. Jest panowaniem nad sobą, zwalczaniem przyrodzonych popędów, słabości i ślepych instynktów. „Panowanie nad sobą, to jedyna prawdziwa wolność, jaka jest dana każdemu". *) Zrzeka się téj moralnéj wolności, kto pozwala słabościom i namiętnościom podbić siebie w niewolę. Walka odważna w samym sobie, dla zbliżenia się do doskonałości, do Boga — jest dopiéro pasowaniem się na człowieka.

Odwaga, z jaką odpychamy podszepty samolubnych zachcianek, chrześcijańska odwaga wyznawania prawdy zawsze i wszędzie, — to jest najszczytniejsze uposażenie duszy.

Odwaga pokonania próżności dla pokornéj chrześcijańskiéj zasługi; odwaga w szukaniu nagrody jedynie w zadowoleniu własnego sumienia, za czyny potępiane przez innych; zamilczenie własnego usprawiedliwienia, gdyby ono miało bliźniego potępić: oto są czyny wewnętrznéj odwagi — czyny, składające się czasami na bohaterstwo, jeżeli na jego wywołanie złożą się odpowiednie okoliczności.

Równowagę wewnętrzną — jedynie odwaga dać nam może. Przez nią tylko jesteśmy wstanie opanować uczucia, dochodzące nieraz do samobójczego lub zbrodniczego szału.

Utrzymują, że obłąkani byli zwykle ludźmi słabego charakteru; łatwo temu uwierzyć. Uczucia lub myśli, którym nie potrafili odważnie stawić czoła, zwichnęły w nich równowagę

*) Smiles.

władz umysłowych, zwracając całą siłę ducha ku jednostronnemu obłędowi; nie mieli siły zatrzymania się na pochyłości, zabrakło im odwagi na taki wysiłek męstwa.

Być niezmiennie posłusznym prawu moralnemu, jakie nam sumienie dyktuje; ideję obowiązku postawić nad ideję szczęścia: na to potrzeba odwagi, męstwa i siły. Ale, gdy się raz doszło do téj wysokości, na któréj nie mają już do nas przystępu drobne próżnostki, cierpienia miłości własnéj, rozterki wewnętrzne i namiętności słabéj duszy właściwe; wtedy można być pewnym, że się posiada wolność ducha i szczęście prawdziwe; a to oboje— zdobywa się jedynie przez umiejętność panowania nad sobą. Jest to zrazu twarda i surowa reguła, jakiéj człowiek sam się poddaje. Na téj drodze wychowuje on w sobie nowego człowieka, niepodobnego w niczém do tego, czém był; owszem, oddalonego od niego o całe nieba, jakie dzielą istotę, ulegającą ślepym instynktom od istoty, kierującéj się jasnowidzeniem przekonań.

Karność, jakiéj się człowiek z własnéj woli, dążąc do osiągnięcia ideału etycznego, poddaje, winni rodzice zastąpić dzieciom — karnością wychowawczą. Smiles powiada, że: „ta moralna karność, działa z taką siłą, z jaką działa prawo natury—kto jéj raz uległ, ten się jéj późniéj nieświadomie poddaje i, jakkolwiek ona właściwie urabia i rozwija charakter wprzód, nim życie skrystalizuje go w przyzwyczajenie, to przecież tego wpływu, działającego w ten sposób, nie czuje się wcale".— Powiedzieć raczéj należy, że dziecko, czując wpływ, nie rozumié go jeszcze w całéj sile; poddając mu się zaś, uczy się posłuszeństwa prawu, jakie z czasem odezwie się w jego własném sumieniu.

Żeby jednak ten głos sumienia dziecko mogło dosłyszéć i zrozumiéć, potrzebuje matka wielkiéj miłości Boga, miłości cnoty, prawdy i pracy, zapału do wszelkiego dobra, aby mogła przelać go w dziecko. Należy téż od kolébki zaszczepiać w niém ten słodki zaród miłości uszlachetniającéj tak, aby matka pod względem cnoty była w jego wyobrażeniu tém, czém jest pojęcie żywe względem pojęcia oderwanego.

Gdy chodzi o karność, prawo i siłę moralną, jaką się rządzi rodzina, niepodobna ominąć ojca— jako człowieka energicz-

nego, silnego umysłem, którego czyny przejmują dziécię podziwem, a słowa uszanowanie w niém wzbudzają. Matka nie powinna być osamotnioną w téj pracy nad urabianiem charakteru dzieci. Niech one nie usłyszą nigdy z ust ojca takiego zdania, któreby nie dało się dostroić do ducha zdań wpajanych przez matkę. Niech praca tych dwojga idzie równolegle, chociaż natura ich wpływu musi być o tyle różną, o ile różnić się musi charakter kobiécy od męskiego.—Odwaga jest przymiotem męskim; niechże ją zarówno synowie, jak córki czerpią z przykładów ojca. Jego słowo energiczne, śmiałe przystąpienie do każdego dzieła, każde zdanie wypowiedziane bez wahania, godność ludzka, zazdrośna o swe prawa, tryskająca z każdego czynu, oto dla dzieci szkoła odwagi.

Że jednak wartość każdego czynu, uzacniającego duszę, zależy od uczucia, jakie go podyktowało; ponieważ grosz wdowi, będzie więcéj ważył na szali zasługi, niż pyszne dary bogacza; więc i w czynach odwagi, w małych dziecinnych próbach na tém polu, trzeba uważnie śledzić, jakie było uczucie, które je natchnęło. Czy to nie była duma, junactwo, próżność, butna chęć pokazania się, ambitne pragnienie zaćmienia towarzyszy.

Miłość macierzyńska, niech się w tym razie nie da zaślepić pozorem, niech dojdzie do gruntu rzeczy; niech raczéj powodujące uczucie, a nie same czyny bada, niech junackiemu synowi, lub ambitnéj córce stara się zaszczepić, zamiast pogańskiéj dumy, chrześcijańskie pragnienie zasługi. Niech takim dzieciom, jak najrzadziéj powtarza: „Co o tobie powiedzą ludzie?" — „Zobaczysz jak się z ciebie śmiać będą".— „Wszyscy będą uciekać od ciebie".—„Świat daruje wszystko, prócz śmieszności" —i tym podobnych zdań, często powracajacych na usta matek. Takie stawianie czynów dziecka ambitnego, w świetle uznania światowego, zamiast uśmiérzać, rozkrzewia pychę w jego sercu. Nie trzeba zapominać, że duma, próżność, interes, jako pobudki nawet dobrych czynów, nie przestają wyrządzać moralnéj krzywdy dziécięciu; czyn bowiem jest powierzchowną rzeczą,—uczucie zaś kierujące czynem o wartości jego stanowi.

Niemałéj wagi zaletą, jaką bezustanku od najmłodszego wieku w dzieciach wyrabiać należy—jest zamiłowanie porządku. Jakkolwiek jest to przymiot wyłącznie powierzchowny, jeżeli się tak można wyrazić, ma on przecież wpływ bezpośredni na rozwój myśli.

Zaszczepiając w dziecku zamiłowanie porządku, daje mu się zarazem zmysł logiczny, poczucie obowiązku, umiejętność oszczędzania czasu, wreszcie poczucie piękna, jakie z ładu i symetryi kształcącéj oko wynika. Wszystko to cywilizuje i umoralnia dziecko, rozwija w niém zmysł praktyczny, i artystyczne poczucia.

Jeżeli porządek potrzebny jest mężczyźnie, dla kobiéty jest on jednym z nerwów życia, którego brak prawdziwe kaléctwo stanowi. Dziewczynka przypuszczona do współudziału w macierzyńskich staraniach upiększenia wszystkiego wkoło siebie, zamiłuje porządek z łatwością, a dusza jéj powoli otwiérać się będzie na wrażenie piękna, tak uzacniającego charakter i przynoszącego tyle szczęścia w życiu. Mianowicie dla kobiéty, przeznaczonéj do życia zaciéśnionego kółkiem rodzinném, odczuwanie piękna i roztaczanie go w koło siebie, jest zadaniem niemałéj wagi, zwłaszcza ze względu na przyszłe jéj powołanie—kierowniczki rodziny. To téż ściéreczka, lub skrzydełko w ręku małéj dziewczynki jest pocieszającym widokiem. Obowiązkowe to porządkowanie nie ma być przeciążającém, zwłaszcza w piérwszych latach, bo natura dała dzieciom potrzebę zmiany i nowości.

Jestem przekonaną, że między wpływami edukacyjnemi, które się składają na naukę życia, niepoślednie miejsce zajmuje porządek, a gdy się zastanowimy nad wadami naszych kobiét, tém lepiéj jego ważność poznamy. Wszak najwięcéj grzeszymy brakiem wszelkiéj systematyczności, dokładności w naszych spostrzeżeniach, porządku w naszéj nauce i myślach; grzeszymy przerzucaniem się w ostateczności, nieumiejętnością beznamiętnego sądzenia, czyli brakiem logiki—owego ładu umysłowego—który ma niezaprzeczony i ścisły związek z ładem zewnętrznym, czyli zamiłowaniem porządku.

Kobiéta musi żyć sercem, jest to droga wytknięta dla niéj przez Stwórcę; lecz sercu temu należy dać wiernego stróża, w mo-

ralnych zasadach, opartych na umiejętności logicznego myślenia — to jest: należy uporządkować jéj istotę wewnętrzną. Niemało się do tego przyczyni systematyczność i ład, zaszczepione w dziecku, i dla tego podwójnie starać się trzeba o dawanie z siebie w tym kierunku przykładu.

Kładąc nacisk na porządek dziewcząt, niechciałam bynajmniéj dać do zrozumienia, że chłopcu jest on mniéj potrzebny; ale pragnęłam tylko uwydatnić moje co do tego przekonanie, że porządek kobiéty winien być jeszcze bardziéj drobiazgowy, wykwintniejszy, powiedziałabym nawet estetyczny.

„Nigdy nie byłam zdania — mówi pani Guizot w swych „*Listach o wychowaniu*"—by trzeba było przyspieszać rozwijanie zbytniéj czułości w dzieciach; ale mam przekonanie, że trzeba je strzedz od szorstkości i sobkostwa w stósunkach. Wiém, ile potrzebujemy się nauczyć, by się stać dobrymi; ile dobroć prawdziwa wymaga jasności sądu, prawości serca, rozsądku i panowania nad namiętnościami.

Może téż niéma zarodu cnoty, godnego więcéj uprawy i wymagającego tak wielkiéj troskliwości i wytrwałości przy jego rozwijaniu, nad dobroć. Słabe i zależne dziécię ma zwykle mało sposobności służenia bliźniemu; przez żywość i różnorodność swych pragnień jest skłonne raczéj do dogadzania sobie i przekładania osoby własnéj nad wszystko. Trzeba obudzić w niém współczucie, nauczyć je, że mogą być dla niego sprawy droższe, niż jego własne; dać mu je poznać, dać mu je pokochać, często jego uwadze je przypominać. Praca to trudna i delikatna, z któréj usunięty być winien wszelki pozór nakazu, bo jeżeli z dobroci uczynimy dziecku obowiązek, nimeśmy jeszcze natchnęli je samém uczuciem; przyjmie je ono, jako objaw zewnętrzny, jako formę powierzchowną i tak, jak w pewnych godzinach uczy się swych lekcyj, bez żadnéj ochoty do nauki, tak spełniwszy akt dobroci, uzna, że się wywiązało najzupełniéj z obowiązku, niepoznawszy nigdy samego uczucia.

Otwórzmy więc serce dziecka dla dobroci i wspaniałomyślności, owego zbytku szlachetnego, cechującego charaktery wybrane. Dobroć jest jednym z objawów siły i odwagi wewnętrznéj; ujawnia bowiem uczucie kierowane przez wolę, a nie chwiejność i słabość, szukającą podpory w utartym towarzyskim zwyczaju. Tymczasem w pojęciach ogółu, słabość często przybiéra miano dobroci i dla tego chciałabym uwydatnić twych dwóch uczuć różnicę.

Dobroć wprowadza równowagę w uczucia i przekonania nasze, broni nas od stronności, niewyrozumiałości naprzód powziętych, upartych sądów. Nie pozwala nam trwać przez zarozumiałość i upór w opinii, któréj nie uznajemy; pozwala na przyznanie się do błędu, ale bynajmniéj nie obezwładnia przekonań naszych wobec przekonań innych. Dobroć staje się słabością, jeżeli w potrzebie nie umié przybrać *charakteru wytrwałości.* Trzeba umiéć wytrwać w głęboko odczutém przekonaniu, ale trzeba téż umiéć natychmiast od niego odstąpić, skorośmy zostali przekonani. *) „Człowiek o którym się wié, iż gotów dać się przekonać i że miłość własna nie zasłania mu nigdy prawdy, taki człowiek zjednywa najprzód szacunek dla zdania, którego broni z wytrwałością.

Sąd jego obudza zaufanie, gdy się go czasem słyszy potępiającego zdanie własne, które z dobrą wiarą porzucił. Jego przekonanie będzie dawało rękojmię prawdy i światła, gdyż upór i uprzedzenie z szali przeważającéj odrzucił. Wszyscy lubią jego towarzystwo, bo nikt nie boi się z nim wymiany słów nie użytecznych; nie jest bowiem zdolny utrzymywać paradoksu dłużéj nad chwilę, w któréj przekonanym został, jak nie jest zdolny zmienić przekonania przez słabość i chęć przypodobania się.**)

Dobroć uwydatnia się jeszcze w skromnym szafowaniu wiedzą i nauką, jaką się posiada, w umiejętności nie upokarzania nią nigdy osoby, z którą się rozmawia. Mianowicie dla

---

*) Palmerston, któremu w parlamencie zarzucono, iż zdanie swe zmienił—odpowiedział, że tylko człowiek głupi zdania swojego nigdy nie zmienia.

**) Théry, Conseils aux jeunes personnes.

kobiéty wykształconéj, dobroć taka jest prawdziwą ozdobą i przeradza się w skromność, przez chęć nienarzucania się nikomu, nieurażania nikogo na upokorzenie, wobec posiadanéj przez siebie nauki i wiedzy.

Posłuchajmy, co o dobroci téj mówi Théry w swoich: *Zasadach dla matek*:

„Skromne używanie nauki podwaja jéj wartość. Niewiadomość jest zapewne bardzo smutną rzeczą, ale gdy idzie o szczęście domowe, nie wiem, czy pedantka zarozumiała nie jest w warunkach gorszych od kobiéty nieoświéconéj. Ta nie wié, co jest dobrém, — tamta je psuje. Młode dziéwczę, które, postępując w nauce, zachowuje pamięć swego niedoświadczenia i słabości; które pozostaje skromnem i nieufającem sobie, nawet wtedy, gdy przychodzi dać poznać innym to, czego się nauczyło; podnosi swoję zasługę w stósunku do tego, co odmawia własnéj próżności. Niéma wówczas nikogo, coby téj zasługi nie uznał, nie głosił, nikogo — komuby przyszło na myśl ją umniéjszać choćby o odrobinę."

„Młoda osoba, kryjąca bez przesady i afektacyi naukę gruntowną, jaką odebrała, nietylko wzbudza szacunek, ale zdobywa i uznanie dla siebie. Obok wyższości, jaką w niéj każdy uznaje, widzi się jeszcze chęć nienarzucania się nikomu z ową wyższością. Jest w tém uwaga delikatna zwrócona na innych, która każdego zniewala do okazywania dla niéj sympatyi. Jest téż w takiéj skromności dowód pojmowania bardzo subtelnego obowiązków kobiécości i tytułów, za pomocą których kobiéta dowodzi swego rzeczywistego powołania; to téż poszanowanie mądrości, jéj zdrowego sądu, zwykle utwierdza jeszcze przywiązanie i szacunek, jaki przymioty jéj wzbudzają ogólnie."

Nie potrzeba dodawać, że wyżéj przytoczone zdania i do mężczyzn zastósować się dają.

ROZDZIAŁ XI.

Kary i nagrody. Pieszczoty. Posłuszeństwo. Rozkład czasu. Wakacyje Zabawa w wieku chłopięcym. Czytanie. Teatr.

Medycyna posiada bardzo dzielne środki lecznicze w gwałtownych truciznach, które zwykle w aptekach zajmują osobne szafki z wyraźnym napisem: *veninae*. Publiczność, wchodząca do apteki, patrzy z niejaką trwogą na te zapasy, które może wystarczyłyby do wytrucia połowy ludności miasta; administrowane jednak ręką zręcznego lekarza są dobroczynnie działającym środkiem. I wychowawcy mają do rozporządzenia takie środki zabójcze dla moralnéj strony dziecka, które przecież stósowane przez nich umiejętnie, są lekarstwem przynoszącém korzyść dziécięciu. Środkami temi są: kary i nagrody.

Jeżeli lekarz namyśla się długo, bada stan chorego, *stadium* w jakiém znajduje się choroba, własności indywidualne organizmu, nim się zdecyduje na zapisanie ostrego środka, obliczając z góry jego działanie; — wychowawca o tyle jeszcze oględniejszy być powinien, że w rzeczach, moralnéj strony dotyczących, niéma danych, mogących mu naprzód dokładnie ujawnić działanie trucizny, które, jeżeli zbawiennem nie jest, musi być koniecznie zabójczém. Rodzice i nauczyciele, niestety, niedosyć zdają sobie z tego sprawy i stósują kary i nagrody często nieumiejętnie, niezręcznie, bez należytego obliczenia okoliczności i pod wpływem chwilowego uniesienia.

Nie będę tu mówiła o rozmaitych sposobach karania dziecka, bo nie jakość kary trzeba brać na uwagę, ale jéj działanie

na wychowańca, a każdy wié, że często jedno niezadowolone spojrzenie matki, więcéj działa na dziécię tkliwe, niż bicie na krnąbrne, zatwardziałe i znarowione złém prowadzeniem. Zatém począwszy od takiego karzącego spojrzenia, od słówka łagodnego wyrzutu, a skończywszy na karach największych, wartość ich warunkuje się jedynie wpływem, jaki wywrzéć mogą na charakter dziecka.

Jestem mocno przekonana, że jak bicie małego dziecka potrzebne jest tylko dla wyjątków, tak konieczność karania starszego, jest prawie zawsze dowodem braku umiejętności pedagogicznéj w przewodnikach. Jeżeli wychowawca od początku umiał zachować właściwy takt w postępowaniu i, obok jednostajności humoru, kierował się wyrozumiałością do tego punktu, w którym wystąpić powinna stanowczość; dziécię z pewnością nie będzie potrzebowało być ostremi sposobami karane. Jeden z pedagogów niemieckich radzi, by wychowawca usunął się, gdy dojdzie do przekonania, iż jedynie obawą kary może wychowańca prowadzić. Jest to dowodem, mówi ten pedagog, że wychowawcy brak potrzebnéj zręczności i taktu. Lepiéj więc by dzieło zaczęte komu innemu do dokończenia zostawił. Ale teoryja ta, jakkolwiek nie jest pozbawiona słuszności, nie daje się stósować w praktyce, gdy owymi wychowawcami są rodzice, bo choć niezawodnie konieczność karania z ich nieumiejętności lub niedbalstwa wypływa; nie mogą przecież wpołowie opuścić dzieła i dziecko bez kierownictwa zostawić. Niech jednak pamiętają, że karę, jaką zmuszeni są wymierzyć, sprowadziła raczéj ich nieudolność, niż charakter wychowańca; że źle wymierzona jest istotną trucizną, podniecającą w dziecku myśli buntu i krytyki względem rodziców, że je niepotrzebnie rozdrażnia i wyradza w niém upór, zatwardziałość lub apatyczne zezwierzęcenie.

Gdybym wychowywała Emila, jak Rousseau, lub Esquiros, to jest, gdybym urodzone w méj wyobraźni dziécię przeprowadzała przez wszystkie szczeble wychowania, o karze dla niego nie wspomniałabym nawet; ale że niekażde dziécię ma wady i przymioty Emila; że nie każda matka jest taką, jaką stworzyć może wyobraźnia; więc muszę przypuścić, że w niejednéj rodzinie kary,

jako środek edukacyjny wystąpić muszą. Chcę jednak ostrzedz matki, uciekające się do niego, by dobrze zbadały, jaki kara wywrze wpływ na ich dziécię i, czy zamiast przytłumić złe skłonności, nie rozbudzi raczéj nowych, tkwiących głębiéj w jego naturze, a podkopujących szlachetne przymioty człowiecze. I zbrodniarz boi się kary, a jednak zbrodnię popełnia; obawa nie zmienia jego zlych skłonności, czyni go tylko ostróżniejszym. Jeżeli kary w wychowaniu podobny wpływ wywiérają, trzeba je za ujemny czynnik uważać. Skutki tymczasowe, wywołane obawą, powierzchownie zadawalające; będą z drugiéj strony powoływały do życia cały szereg przyczajonych zlych skłonności: obłudę, chytrość, podstępną uniżoność, oschłość, skrytość, kłamliwość.

To téż żadna teoryja *a priori* postawiona, nie może tu miéć zastósowania, bo kara do tego stopnia warunkuje się usposobieniem dziecka, jego zdrowiem, wychowaniem, czyniącém je mniéj lub więcéj wrażliwém; wreszcie wadami i przymiotami jego charakteru, stopniem jego oświecenia, wiekiem, upodobaniami, a nawet położeniem towarzyskiém; że tylko wychowawca rozumny, może jéj rodzaj i stopień w danym wypadku zastósować właściwie. Wogóle co do kar i nagród wszelkie naprzód postawione zasady, wszelkie pewniki przykrojone tendencyjnie do obmyślonéj z góry teoryi—mogą w błąd tylko wprowadzić. Nawet Spencer nie wyszedł zwycięsko z określenia, jakiemi być kary powinny.

Przyjąwszy bowiem naturalne skutki za zasadę wychowawczéj karności; odrzuca wszelkie kary obmyślane i stósowane dowolnie, uznając za dostateczną przykrość, jaka bezpośrednio ze skutków przewinienia dziecka wynika. Jakoż zasada wydaje się logiczną —i jest nią w wielu wypadkach. Dziécię gubi, lub łamie zabawkę— naturalną karą dla niego jest to, że się niéma czém bawić; jest marudne i spóźnia się z ubraniem na godzinę wyznaczoną na spacer; zostaje w domu i kara wypływa z przewinienia logicznie; rozdziéra i nie szanuje sukien, musi samo naprawiać sobie ubranie i t. p.'

Zastanowiwszy się jednak głębiéj, teoryja ta wytrzymać krytyki nie może. I tak Spencer powiada: „Dziecko uderzone

za to, że przez nieuwagę lub złośliwość stłukło zabawkę siostrzyczki, otrzymuje karę zupełnie niezastósowaną do przewinienia. Ojciec sztucznie karze przestępcę, a odkupując córeczce zabawkę, karę naturalną bierze na siebie. I syn i ojciec na tém cierpią niepotrzebnie. Gdyby ten ostatni wymagał poprostu restytucyi; gdyby powiedział synowi: że jego pensyja będzie mu zatrzymywaną aż do chwili, gdy wzrośnie do summy potrzebnéj na odkupienie zabawki; wtedy mniéjby było kwasów obustronnych, a skutek jednaki. Otóż powyższe rozumowanie w praktyce okazuje się błędném. Najprzód dziécię—dajmy na to pięcioletnie nie może miéć sobie wyznaczonéj pensyi, bo jeszcze nie zna i nie pojmuje wartości piéniędzy; a tymczasem w gniéwie umyślnie psuje zabawkę siostry. Powtóre: zepsucie zabawki jest tu, według mnie, przewinieniem najmniejszém, a ukaraną powinna być złość, a tém więcéj złośliwość, jakiéj dopuściło się dziécię. Przez złość rozumiem uniesienie chwilowe, z żywości temperamentu pochodzące; przez złośliwość zaś, wyrabiające się w charakterze uczucie zawziętości, czy zawiści. Ale przypuściwszy, że mały winowajca ma lat 8 lub 9; że ma wyznaczoną sobie pensyją, co tylko w rodzinach zamożniejszych zdarzyć się może— to jeszcze obawa utraty pensyi, niekoniecznie może powstrzymać od dalszych tego rodzaju wykroczeń. Popsuje w chwilach złości jednę, drugą i trzecią zabawkę i będzie się z siostrą tém brutalniéj obchodził, że każdą wyrządzoną jéj krzywdę uważać będzie za usprawiedliwioną, skoro ją piéniędzmi opłaci.

Zapytuje teraz, jaka może być kara naturalna za czyny tego rodzaju? I jaką znowu naznaczyć dziecku ubogiemu, które nie pobiéra pensyi, a jednak psuje w złości dom z klocków, wystawiony przez siostrę, lub rozdziéra sukienkę skromnéj laleczki, jaką uboga dziecina od kogoś ze znajomych w podarunku dostała? Siostra jest młodsza i słabsza, nie umié się bronić, nie może odpłacić bratu tą samą monetą, a więc naturalna kara w tym razie jest niemożliwą.

Siła przed prawem i dla téj siły uciemiężającéj innych, kary naturalnéj niéma, póki się nie znajdzie siła potężniejsza jeszcze, która zresztą zwycięstwo swoje znowu na brutalnéj sile oprzéć musi. Idźmy jednak daléj. Karą, jaką Spencer naznacza

dla dziecka, któreby się dopuściło kradzieży, jest zwrot skradzionego przedmiotu, lub odkupienie go z własnych kieszonkowych funduszów. Lecz czegóż taka kara dziécię nauczy? Oto, żeby w takiéj tajemnicy spełniło następną kradzież, by się nikt nie domyślił jéj sprawcy; żeby łakocie skradzione spożyło w sekrecie tak, by kieszonkowe piéniądze nic na tém nie ucierpiały. Nie mówię już o tém, że daleko więcéj jest na świecie dzieci, nie mających kieszonkowych piéniędzy, niż takich, które je posiadają.

Wykazanie niedostateczności środków Spencera zdawałoby się prowadzić do ukazania na lepsze.

Wyznam jednak otwarcie, że ich nie mam i że z udzielaniem rad w tym względzie na samych ogólnikach ograniczyć się muszę. Nie powiem na przykład, jaką miałaby według mnie być kara dla dziecka, dopuszczającego się kradzieży; ale czuję macierzyńskiém sercem, że restytucyja, lub wynagrodzenie z kieszonkowych piéniędzy byłoby czémś niedostatecznem, za małém, nie powiem już w stósunku do samego przestępstwa, ale ze względu na nikczemność uczucia, jakie dzieckiem kieruje, i tę boleść, jakiéj matka doznaje. Instynkta złodziejskie w dzieciach, wychowywanych starannie, zapewne bardzo są rzadkie; lecz jeżeli je matka dostrzeże, musi z siebie nieszczęśliwemu dać coś więcéj nad proste ocenienie wartości skradzionéj rzeczy, musi coś więcéj w niém obudzić nad obawę stracenia kieszonkowych piéniędzy. Potrzeba tu całéj potęgi miłości, religii, przykładu i pracy, by wykorzenić w niém złe popędy i dać uczuć całą ohydę popełnionego występku.

Kłamstwo jest przestępstwem téjże saméj natury. Jego naturalnym skutkiem jest niewiara, jaką kłamca obudza. Okazanie téj niewiary małemu dziecku wystarcza czasem do poprawienia go, jedynie przez ukazanie mu strony niepraktycznéj kłamstwa; ale gdy ta wada ma za podstawę wewnętrzne uczucie, które urasta do podstępu i fałszu w czynach; logiczny skutek kłamstwa nie wystarcza do jego wykorzenienia. Dowody tego widzimy codziennie, już nie na dzieciach jedynie, ale i na starszych, których to przekonanie, że nikt im nie wierzy, wcale z téj wady nie poprawia.

Kara zatém nie zawsze może być logiczném następstwem przewinienia i dla tego tak trudno podać na nią przepisy. Jakąkolwiek jednak obmyślimy, nie wystarczy ona nigdy do zabicia, nie czynów już, lecz uczucia, kierującego czynami i dla tego towarzyszyć jéj powinna praca wychowawcza, nie na suchéj moralizacyi oparta, ale na pociągnięciu ku dobremu i prawdzie własnym przykładem i miłością, tą słodką wychowania sternicą; wreszcie na ukazaniu dziécięciu potęgi piękna i jasności, jaka cnotę opromieniać zwykła. Wiem, że to, co tu powiedziałam, jest ogólnikiem i teoryją bardzo abstrakcyjnéj natury; ale kto się raz dotknął pracy, tak trudnéj i subtelnéj, jak wychowanie; ten wié, że stereotypowych miar i środków w niéj niéma, że charaktery wychowawców i wychowańców rozmaicie oddziaływają na siebie i są różne w każdéj rodzinie; że nadto odmienne okoliczności i względy towarzyszą każdemu wychowaniu, a nawet każdemu postępkowi dziecka i że tylko miłość rozumna, to jest taka, która czerpie jednakową dozę uczucia z serca, a światło i spokój z głowy, może wyjść zwycięsko z zadania. Matka posiadająca taką miłość, jeżeli tylko dziécię prowadziła od lat najmłodszych, nie będzie potrzebowała poszukiwać dla niego kar dojmujących.

Jedna z moich znajomych miała jedynaka popędliwego, przy najlepszém sercu. Gdy chłopiec się uniósł, powiedział niegrzeczne słowo bonie, lub służącéj, matka wołała go do osobnego pokoju i Oleś po wysłuchaniu jéj uwag, sam sobie karę naznaczał. Kara, którą sobie dziécię samo naznacza i za sprawiedliwą uznaje, do skutecznych wpływów edukacyjnych zaliczoną być może. „Jeżeli chcecie, by się dziécię bało wstydu i kary—mówi Montaigne—nie przyzwyczajajcie go do niéj.“

Zostawiając rodzicom wybór kary, gdy zastósowanie tego ostrego środka za konieczne przez nich uznaném zostanie; należy tu zaznaczyć, że pomimo rozciągłości władzy, jaką nad dziećmi posiadają rodzice, nie mają oni prawa wyznaczać kary *okrutnéj, szkodzącéj zdrowiu i poniżającéj godność człowieka.*

Okrutna i szkodząca zdrowiu jest tak rzadko stósowaną i tylko przez wyjątkowych rodziców, że o niéj mówić nie będę. Szkodliwość jednak kar poniżających, jest mniéj przez ogół po-

jęta, bo wpływ jéj zgubny, nie ujawnia się odrazu; dotyka moralnéj strony, zatém ani faktami stwierdzić, ani obliczyć się nie daje. Zabija przecież ducha przez odejmowanie mu poczucia godności ludzkiéj i wstydu. Zatarcie zupełne wstydliwości w duszy ludzkiéj zaledwo się w skończonych zbrodniarzach spotyka, i wyradza w nich cynizm; upokarzające zaś kary odejmują człowiekowi to, co go strzeże od takiego cynizmu.

Kara zresztą niech będzie skutkiem przewinienia dziecka, nigdy skutkiem złego humoru, popędliwości i niecierpliwości wychowawców. Postępki tych ostatnich, wypływają często z usposobienia despotycznego, nie znoszącego sprzeciwiania się sobie. Każdy samodzielny postępek dziecka, najlżejszy opór, wprawia ich w rozdrażnienie, gniéw, groźby, a więc i kary, A jednak, gdy idzie o wychowanie, „najwyższa doskonałość zależy na połączeniu za pomocą mądrego umiarkowania siły, która powstrzymuje i słodyczy, która przyciąga.“*)

Dziécię czuć powinno, że wychowawca jest łagodny, sprawiedliwy, umiarkowany i wyrozumiały; a już najbardziéj w chwili, gdy naznacza karę, widziéć powinno, że naznaczając ją, cierpi, a nie raduje się. Dla tego to słowa zdradzające radość z wykrycia przewinienia, jak np.—Aha! przecież cię złapałem; teraz mi się nie wykręcisz, poczekaj, pokażę ci ja, kto z nas silniejszy,— są w najwyższym stopniu naganne. Zasmucenie złym postępkiem dziecka, słowa tchnące żalem, że się je znalazło winném, pokuta naznaczona tak, jakby ją dyktowało prawo beznamiętne, nieodwołalne, a nie chwilowa popędliwość wychowawcy; oto kara, mogąca mieć wpływ dodatni. „Nie idzie tu bowiem o zemstę nad współzawodnikiem, albo nieprzyjacielem, ale o poprawę powierzonego nam dziécięcia.“ **)

Wyśmiéwanie dziecka tylko ujemne skutki sprowadzić może. „A to ślicznie ci się udało!—Cieszę się, że się naraziłeś na śmieszność; bardzo dobrze, że się ludzie przekonają, co wart jesteś!“ są słowa, których wychowawca nie ma prawa wyma-

---

*) Rollin, Traité des études.

**) Dupanloup.

wiać. Nic też smutniejszego, jak obsypywanie dziecka znieważającemi przezwiskami. Dziécię tkliwe, wychowane w otoczeniu ludzi przyzwoitych i delikatnych w obejściu, dozna głębokiéj obrazy; nagana wyda mu się niesprawiedliwą, a bolesne upokorzenie odejmie w jego oczach słuszność czynionych mu zarzutów. Dziécię przywykłe do gburowatego obejścia nie poczuje obrazy, ale samo gburowatém się stanie. W jednym i drugim razie wychowawca ubliża sam sobie, schodzi z podniosłego stanowiska, na jakiém tylko spokój i umiarkowanie utrzymać go mogą. Daje dowód braku wychowania i przykład nieumiejętności panowania nad sobą. Wszak jeszcze Seneka wyrzekł, iż „złość jest wadą, jakże więc może być środkiem poprawy wad w innych?"

Przekonani jesteśmy, że przykład w wychowaniu niezmiernie ważną odgrywa rolę, że dziécię, patrząc na postępki przewodników, ich wad i przymiotów nabywa; a pomimo to pozwalamy sobie na szorstkość obejścia, nieumiarkowanie, popędliwość, wreszcie niesprawiedliwość. Czy tym sposobem osięgamy cel wychowania, którym jest wszczepienie zamiłowania cnoty?

Nie należy też czynić kary z nauki. Uczenie się wiérszy przepisywanie prozy, pisanie konjugacyj i deklinacyj, obrzydza książkę i czyni wstrętną naukę, gdy zadaniem wychowania jest zachęcić do niéj.

Rozgniéwany nauczyciel, naznaczając takie uczenie się na pamięć, lub przepisywanie, nie zdaje sobie nawet sprawy z umęczenia, jakie dziecku gotuje, podwaja, potraja karę w uniesieniu, bo mu ławo powiedzieć:—„Przepiszesz to dziesięć, dwadzieścia razy".—Dziécię nabiéra nienawiści do książki, przywyka do nauki machinalnéj i niechętnie a niedbale spełnia swą pracę.

Wogóle wszelka kara jest ostatecznością. — „Udawaj się do niéj—mówi Fenelon — dopiéro wtedy, gdy już wszelkie inne środki cierpliwie wypróbowane zostały."—Jeżeli nie możemy być pewni, że kara jest sprawiedliwą, strzeżmy się ją stósować. Nic tak nie oburza, nie drażni, nic tak długo w pamięci nie zostaje, jak doznana niesprawiedliwość.

Lepiéj w niepewności udać, że się tłómaczeniu dziecka zupełnie wierzy; lepiéj dziesięć razy winę przepuścić, niż nie będąc pewnym, że kłamie, za kłamstwo je karać.

Wzgląd, który powinienby wstrzymywać matkę od nadużywania środków karnych, głównie jest ten, że jak kary, tak nagrody fałszywie stósowane, wprowadzają w błąd sumienie dziecka. Uczy się dobrze, grzecznie się sprawuje, żeby pojechać na spacer, lub dostać jakich łakoci—i już pojęcie obowiązku i cnoty skrzywione, cel chybiony, charakter bowiem nic nie zyskuje, a owszem traci, bo się usposabia do interesowności i cnoty z wyrachowania.

Jeżeli nagroda i kara tak ważną odgrywa rolę w dzisiejszém wychowaniu, przypisać to należy bezmyślności wychowawców, którzy nie zadają sobie żadnego trudu, by obliczyć następstwa środków przez siebie używanych. Że obietnica nagrody lub obawa kary odnosi rzeczywiście skutek chwilowy, używają jéj bez umiarkowania zarówno matki, jak nauczyciele, nauczycielki i zakłady wychowawcze, nie bacząc, że tym sposobem osłabiają zamiłowanie i poczucie obowiązku, stawiając w jego miejsce pojęcia fałszywe.

Przy takich warunkach dziécię zatraca zdolność sprawiedliwego ocenienia słuszności, obowiązku potrzeby nauki. Nieraz słyszałam, jak dziécię zachęcane do niéj, zapytywało:—„A co mi mama da, jeżeli dzisiejsze lekcyje odbędę dobrze?" — „Co mi mama da, jeżeli będę grzeczny?"—Albo:—„Będę grzeczny, ale jak mi mama przyrzecze, że jutro pojedziemy do lasu, lub w sąsiedztwo".—„Mama nie wzięła mię wczoraj z sobą na spacer, to ja za to dziś lekcyi się nie nauczyłem."—Przykłady tego rodzaju postępowania z wychowańcem częściéj się zdarzają, niżby się zdawało i przy tém szamotaniu się z dzieckiem pospolicie braném za wychowanie, kary i nagrody muszą przeważną odgrywać rolę, bo dają matce pozory władzy, to jest chwilowe jéj zastósowanie. Że jednak równie jak człowiek dorosły i dziecko potrzebuje zachęty; więc może nią być dla niego pieszczota macierzyńska, a matka rozumnie kochająca taką wagę nadać potrafi swemu pocałunkowi, że dziécię uważać go będzie za najsłodszą nagrodę.

Ale pieszczoty niech nie będą dla dziecka chlebem powszednim; udzielanym przez słabą matkę dla jéj własnego zadowolenia. Takie pieszczoty męczą dziecko i tak mu powszednieją,

że słyszałam zepsutą jedynaczkę mówiącą: — „Ah! jak mnie mama nudzi; ciągle mię mama tylko całuje a całuje!" — Otóż żeby dziécię czegoś podobnego nie powiedziało, lub nie pomyślało, należy być skąpą w pieszczotach, które bynajmniéj nie rozwijają serca, lecz tylko rozmiękczają nerwy. Gdy matka wystroi dziécię, jak laleczkę, obsypuje je pieszczotami, bo jéj się mały aniołek podoba; gdy zarumienione wychodzi z kąpieli, całuje znowu, bo jest ładne, a ciałko ma delikatne jak atłas; dziécię powié jaki koncept, lub nawet słówko złośliwe, znowu obdarza go pocałunkiem, bo dowcipne. Póki dziécię jest małe, nic mu to nie szkodzi; ale już czteroletnie instynktem odgadnie, czemu je zawdzięcza. Pocałunki te podniecą jego próżność, ale nie obudzą uczuć szlachetnych. Matka rozumna wié, w jakiéj chwili może obdarzyć dziécię pieszczotą. Gdy dziécię ma zachcianki uporu, a jeszcze z nim walczy przez posłuszeństwo i miłość dla matki; wtedy pocałunek utwierdzić je może w dobrém postępowaniu.

Gdy spełni czyn godny pochwały, uścisk matki słodkim mu będzie, bo poczuje, że nań zasłużyło. W trudnościach nauki pieszczota macierzyńska stanie się dla niego zachętą i pomocą. Dla tego nie trzeba lekceważyć tego wielkiego w wychowaniu czynnika i kierować nim z rozsądkiem; inaczéj rozproszy się on w drobnych czułościach okazywanych dziecku nie w porę, tak jak często nie w porę czoło matki się zachmurzy, a głos jéj groźnie się podnosi.

Takie z pozoru małe rzeczy składają się na takt w postępowaniu, ów przymiot tak działający na dziecko, jak ręka dobrego jeźdźca na znarowionego rumaka.

Jedną téż z największych zdobyczy macierzyńskiego wpływu, jaki się otrzymuje przez miłość, kierowaną rozumnie, jest umiejętność zapobiegania postępkom dziecka, przez które może zasługiwać na karę.

A że to do pewnego stopnia daje się osięgnąć, już to przez przyzwyczajenie do posłuszeństwa, już przez taktowne obejście i wpływ, jaki zawsze rozum i stanowczość na dziecko wywiéra; to nie może najmniejszéj wątpliwości ulegać.

Często jedno spojrzenie matki zażegnywa wybuch złego humoru, niecierpliwości i złości; często jedno jéj słowo może za-

chęcić do pracy i umocnić w zachwianém na chwilę dobrém postanowieniu.

Jednym ze sposobów utrzymania tego wpływu jest wielka oględność w wymaganiu posłuszeństwa, szczególniéj, gdy dziécię podrastać już zaczyna. Posłuszeństwa wymagać bezwarunkowo należy aż do chwili dojrzałości chłopięcia; ale matka, nie ustępując nigdy w rzeczach ważnych i nie pozwalając nawet przypuścić, że może kiedy ustąpić, powinna w rzeczach mniejszéj wagi zostawić dziecku swobodę. Zbytnie wymagania i surowość usposabiają do buntu i nieufności. Niewolnicy byli zawsze skryci i zamknięci w sobie. Swoboda w możliwych i rozsądnych granicach nie zawraca głowy młodzieńca, skoro wyjdzie z pod rodzicielskiéj opieki. Wszak dziécię wychowuje się do tego, żeby umiało sobą rządzić, gdy dorośnie; jedynym więc na to sposobem jest przygotowanie go stopniowe do tego samorządu.

Dodać tu należy, że takie postępowanie matki powinno być dobrowolném ustępstwem, ale nigdy słabością, którą dziécię natychmiast odczuje i skorzystać z niéj potrafi.

Wogóle nad ślepe posłuszeństwo, przekładać należy posłuszeństwo uzasadnione na rozumnych powodach, to jest, wymagać od dziecka takich tylko rzeczy, których potrzebę samo uznać jest wstanie. Tym sposobem otrzymuje się wpływ gruntowny; dziécię uczy się ufać matce i widzieć w niéj, nie surową zwierzchniczkę, lecz uosobione sumienie swoje i opatrzność ku dobremu wiodącą, a jednocześnie nabywa doświadczenia, bez którego na nic się nie zdadzą wszelkie wskazówki.

Weźmy na przykład fakt najpospolitszy: Dziécię przy nauce rachunków dowiaduje się o wartości piéniędzy; w przykładach arytmetycznych kupuje i sprzedaje daną ilość materyjałów, za daną ilość piéniędzy; słyszy nieraz rozmowę rodziców o cenie przedmiotów, o drogości lub taniości produktów, obija mu się o uszy mnóstwo szczegółów, tyczących się rodzicielskich dochodów; matka mówi mu o oszczędności, o dobrém użyciu grosza; powiastki opowiadają mu o dzieciach, co piéniądze przeznaczone,

na łakocie, oddają ubogim; widzi nieraz kupno, lub sprzedaże wobec niego dokonywane; czy jednak daje mu to poznać rzeczywistą wartość pieniędzy? Bynajmniéj. Wié ono wprawdzie, że piernik za trzy grosze kupić można, a bułka zwyczajna dwa kosztuje; ale samo ustósunkowanie dochodów z rozchodami zrozumié dopiéro wtedy, gdy będzie miało w ręku pieniądze i władzę ich zużytkowania. Dowié się wtedy przez własne doświadczenie, że wielu rzeczy odmówić sobie trzeba, że nie należy słuchać wszystkich zachcianek wypróżniających kieszenie, a pozostawiających żal, iż się na błahe rzeczy wyrzuciło pieniądze. To doświadczenie, równie, jak wiele innych, dziécię zdobyć musi samo; żadne moralizowanie zastąpić go nie może.

Zaprowadzenie systematyczności w rozkładzie czasu zarówno jest potrzebne w wychowaniu domowém, jak publicznem.

Najprzód więc godzina udawania się na spoczynek powinna być dla dzieci ściśle oznaczona. Wychowaniec, kładący się spać o rozmaitéj porze, wstawać téż będzie codzień o innéj godzinie; rodzice zaś którzyby wymagali, by dziécię, idące spać, kiedy mu się podoba, wstawało zawsze o téj saméj godzinie, naraziliby jego zdrowie na niezawodną szkodę. Dzieci nie mają zwykle skłonności do przyznania się, że im się spać chce; szczególniéj wśród zabawy o spoczynku myśléć nie lubią.

Gdy są goście, lub się wydarzy coś, co dzieci zajmuje; udanie się na spoczynek wywołuje protestacyje bez końca, jeżeli dzieci nie są od najmłodszego wieku przyzwyczajone do niezmiennéj akuratności. Usypiające już powtarzać jeszcze zwykły, że im się spać niechce; dla tego zważać na to nie trzeba i, gdy bije dziewiąta, dzieci powinny niezwłocznie udawać się na spoczynek. Matka niech téż przerwie zajęcie swoje lub zabawę, by zmówić z niemi paciérz, po którym zaraz do łóżek iść powinny.

Porę wstawania ureguluje sama natura. Budzenie dzieci ospalszych, konieczne w zakładach naukowych, w wychowaniu domowém miejsca mieć nie może. Jedne dzieci więcéj, inne mniéj

snu potrzebują; byłoby więc nie uznawaniem dróg natury, gdybyśmy utrzymywali, że taka wrodzona ospałość bez szkody dla zdrowia może być gwałconą codziennie. To też nie należy dziecka budzić; czas wstawania wskaże sama natura, byleśmy nie zapomnieli naznaczyć czasu udawania się na spoczynek. Znam pięcioletnie dziécię, sypiające zwykle po 10—12 godzin; zdarzały się wypadki, że to samo dziécię po dniu letnim, spędzonym na świéżém powietrzu, spało zrzędu godzin czternaście, a jednak, niemniéj było zdrowe, silne, żwawe i wesołe.

Dziécię obudzone niech wstaje natychmiast; zalecają to wszyscy pedagogowie. Leżenie bezczynne w łóżku, zarówno dla ciała, jak dla moralnéj strony jest niedobre. Gnuśność fizyczna, zaraża gnuśnością umysł. Godzin porannych nie należy zresztą tracić napróżno, bo w godzinach tych umysł jest świéży, wypoczęty, do wszelkiego naukowego zajęcia zdolniejszy, niż w ciągu reszty dnia, czego doświadczają i ludzie dorośli. Ci, co pracują najchętniéj w wieczór i w nocy, doznają sztucznego podniecenia nerwowego, choć sobie nie zdają sprawy, jakiego rodzaju jest czynność ich umysłu, i ile na tém zdrowie ich cierpiéć musi. Im mniéj czasu dziécię straci na ubiéranie się i spożycie śniadania, im wcześniéj po wstaniu rozpocznie lekcyje, tém większą z nich korzyść odniesie.

Rozkład umiejętny i ścisły czasu jest konieczny, nie tylko dla tego, że dziécię rozmaitych uczy się przedmiotów, ale, że trzeba umiéć urozmaicić pracę dziecka, i tak umiéć rozłożyć naukę, by przedmioty trudniejsze następowały po łatwiejszych i odwrotnie. „Żądać od dziécięcia więcéj, niż godzinę na jedno i to samo zajęcie, byłoby dowodem nierozumienia szybkości, z jaką dziécię wyczerpuje swoję siłę nerwową; trzeba odwoływać się naprzemiany to do jego umysłu, to do pamięci, ochoty do pisania, zapału do gimnastyki, aby wyzyskać, co dziécię dać z siebie może, nie męcząc go bynajmniéj. Dziécię daje niewiele, gdy się dla niego niéma téj oględności; daje więcéj, niżby można przypuszczać, jeżeli się umié ustósunkować czynność wszystkich władz jego."

„Ta metoda mądrze stósowana w wielu zakładach, jest zanadto zaniedbywana w innych, jako téż w wielu rodzinach,

gdzie dzieci powierzone są osobom, często pełnym poświęceń, lecz małego doświadczenia w sztuce wychowania." *)

Równie jak rozkład czasu, ważném jest umiejętne stósowanie rekreacyj, czyli dłuższych wypoczynków udzielanych dzieciom wśród pracy.

W wychowaniu domowém nie bywa zwykle dwumiesięcznych letnich wakacyj, ani kilkodniowego bezrobocia podczas świąt Wielkiéj-nocy, Bożego narodzenia, Zielonych świątek, karnawału, ani świąt podwójnego wyznania, i wychowawcy mogą, pracę dnia każdego skracając, nie mniejszy postęp w naukach dzieci otrzymać. Pomnażanie godzin codziennéj zabawy kosztem jednorazowych, dłuższych wakacyj, jest zarówno dla zdrowia dziecka, jak dla jego naukowych postępów bardzo korzystném. Umysł nie wysila się i nie nuży, ciało rozwija się swobodniéj, a obok tego unika się owego rozbujania, rozprożnowania, znudzenia, napadającego dzieci wśród długotrwających wakacyj.

Często jednak rodzice, nie dając dzieciom dłuższych wypoczynków, nie przyznają im prawa uczenia się mniéj każdodziennie. Umawiając nauczyciela lub nauczycielkę i chcąc jaknajwiększą korzyść z ich wiedzy dla dziecka otrzymać, wymagają 5ciu a nawet 6ciu godzin nauki, po których dziécię musi jeszcze na dzień następny się przygotować. To za wiele i bez złych następstw dla zdrowia wychowańca taka praca podejmowaną być nie może.

Lekarze utrzymują, że dziécię po obiedzie wcale się już uczyć nie powinno; my zgodzimy się na jednę godzinę pracy poobiednéj, mającéj na celu przygotowanie się na dzień następny, ale więcéj nie obciążajmy dziecka, a zostawmy mu kilka godzin rozrywki, o ile można na świéżém powietrzu. Również w dnie bardzo upalne, dzieci zmniejszoną pracę mieć powinny i odbywać ją rano, póki jeszcze chłód nocny czyni temperaturę

---

*) L' abbé H. Chaumont L' éducation, ses difficultés et son but.

mieszkania znośną. Na wsi rzadko kiedy upał bywa przykrym i w cieniu drzew, na świéżém, otwartém powietrzu uczące się dzieci mniéj doznają zmęczenia.

Zakłady naukowe, dając dłuższe jednorazowe wakacyje, mają na względzie zdrowie uczniów i nauczycieli, potrzebujących często kuracyi, wiejskiego powietrza, swobody, wypoczynku po męczących egzaminach. Mają téż na celu połączenie dzieci z oddalonemi rodzinami, by związki naturalne i najbliższe nie zrywały się i nie obojętniały; by odetchnięcie dłuższe swojskiém powietrzem, odżywiło te uczucia, które w szkole nie znajdowały podniety.

Matka—ta dusza i ognisko rodziny, ma tu piękną rolę. Ona to siłą miłości, powagą życia, w którém czyny, słowa i przekonania zawsze z sobą w zgodzie zostawać powinny, może nawiązać wszystkie przez oddalenie zerwane lub rozluźnione węzły i ciepłem uczucia rozgrzać ostygłą w dziecku wiarę i miłość rodzinną.

Rozrzewnienie, z jakiém się młodzieniec rozgląda po znajomych kątach, z jakiém dziewica wita to wszystko, co otaczało jéj kolébkę, jest najlepszém przygotowaniem gruntu pod pracę matki.

Ma ona obowiązek garnięcia dzieci do siebie, odnowienia i wzmocnienia owego prądu, jaki niegdyś łączył umysł ich z jéj umysłem; odszukania w nich wszystkich tych przymiotów, jakie tak starannie rozwijała w piérwszych latach dzieciństwa; dopatrzenia wad i usterków, jakie świat w nich rozwinął; słowem ma zdobyć nanowo i w całéj pełni to, co mogła ze swego wpływu przez rozłączenie utracić.

Wśród swobody wakacyjnéj, pozwalającéj dziecku na ujawnienie zachcianek, wad i przymiotów, łatwém jest śledzenie kierunku, w jakiem się charakter wychowańca rozwija. Trzeba tylko umiéć patrzéć bacznie, bez narzucania się zbytecznego, nie gderając, co odstręcza dziécię, nie wymagając wiele. Pogadanki z matką, umiejącą zaufanie obudzić, oddziaływują w takich razach nader korzystnie. Niech matka nie uważa ich za stratę czasu dla siebie. Chwil, które syn, czy córka, w jéj towarzystwie spędzają, nie może im żadna nauka, żadna książka zastąpić.

Czas wakacyjny powinien dzieciom upływać swobodnie, wesoło, o ile tylko można w ciągłym ruchy i pracy fizycznéj. Można je zachęcić do pracy nad ojczystym językiem, do przechadzki, mającéj jakiś cel naukowy np. układanie systematyczne zielnika, wreszcie do wspólnego czytania; ale krępować ich uciążliwemi wymaganiami nie należy i nie można. Zaznajamianie ich ze stroną praktyczną życia, ku czemu zawsze prawie skłonnemi się okażą, powinni rodzice mieć na ciągłéj uwadze. Nauki szkolne, z natury swéj oderwane, nie zaprawiają do zaradności, nie otwierają dziecku oczu na stronę życia praktyczną. Za ojcem idącym w pole, do stajni, stodół, i t. d.; za matką czyniącą przegląd gospodarstwa kobiécego, lub zajętą kuchnią, śpiżarnią, apteczką, dziécię idzie z ochotą. Obok towarzystwa rodziców zawsze korzystnego ma w tym razie młodzieniec lub dziéweczka pożyteczną naukę praktyczności. Starsze dzieci mogą wyręczać rodziców w pracy domowéj. Zaufanie okazywane pochlebia młodym. Z przyjemnością wypełniają zlecenia, zaprawiając się jednocześnie do przyszłego życia.

Podczas wesoło spędzanych wakacyj, może przyjść jednak chwila, w któréj dziécię, do obowiązkowéj pracy przyzwyczajone, zaczyna się nudzić, niezajęte niczém, nawet zabawą i więcéj bezczynnością znużone, niżby pracą być mogło. Ruchy ciężkie i powolne, świadczą o ospałości zarówno ciała, jak umysłu, a twarz przybiéra wyraz niezadowolenia i skwaszenia. Wtedy trzeba dziecku wymyślić jakieś zajęcie, pracę, naukę zajmującą a choćby zabawę, byle je ze stanu odrętwienia wyprowadzić.

Wakacyje uczniów należących do zakładów średnich, zwykle bywają krótsze; nadto władze gimnazyjalne przeznaczają im jakąś pracę do uskutecznienia; ale wakacyje uniwersyteckie są bardzo długie, za długie. Młodzież pracowitsza znajduje sobie zajęcie: ale mniéj pracowita, zamożniejsza, wśród długich wakacyj, wskutek bezczynności i bezobowiązkowości najzupełniejszéj, oddaje się zbytecznie, albo owemu gnuśnemu rozleniwieniu, co to leżenie w łóżku do 10téj za przyjemność uważa, albo zbyt rozhukanéj zabawie, nieznającéj ani granic, ani wędzidła. I jedno i drugie rozluźnia hart i karność ducha tak, że zdarza się, iż powróciw-

szy do zakładu naukowego, młodzieniec nie znajduje już w sobie dostatecznéj siły do zapanowania nad lenistwem lub upodobaniem do ciągłych rozrywek. „Młodzież nasza rozbisurmaniona" —mówił, lat temu kilka, jeden z najszanowniejszych profesorów we Lwowie, skarżąc się na niechęć do nauki młodzieży uniwersyteckiéj. Takiemu rozbisurmanieniu się chłopca podczas wakacyj, zapobiegać trzeba o ile można. Niech zabawa będzie najweselsza, ale niech nie przechodzi w szał i niepomiarkowaną żądzę coraz nowéj rozrywki; niech szczególniéj bezobowiązkowość nie wyradza gnuśnéj apatyi i lenistwa, z którego ziewający i wiecznie znudzony młodzieniec, nawet otrząsnąć się nie pragnie.

Wreszcie nadmienić wypada, że rodzice nie powinni zachęcać młodzieńca do przedłużania własnowolnie wakacyj. Często chłopiec utrzymuje, że się jeszcze koledzy nie zjechali, że w ciągu piérwszych dni nic się nie robi, że niéma potrzeby stawiać się punktualnie na oznaczony termin. Takim zachciankom rodzice powinni się w imię idei obowiązku sprzeciwić. Przypuszczając nawet, że wszystkie argumenta ucznia lub pensyjonarki są prawdziwe, należy ich zachęcić, by się na dzień, na godzinę oznaczoną stawili.

Poddawszy się bowiem raz władzy szkolnéj, władzę tę, jako prawo, uważać są obowiązani. Wszelkie zatém wyrabianie fałszywych doktorskich świadectw, lub kłamliwych zaświadczeń, że obecność, np. pełnoletniego studenta uniwersytetu jest koniecznie dla załatwienia spraw familijnych potrzebną, podczas gdy rzecz idzie o uczestnictwo w tańcującéj zabawie, jest w każdym razie ubliżającém rodzicielskiéj powadze. Kłamstwo jest nieszkodliwe z pozoru, ale rodzice, mający być dla dzieci swych uosobieniem prawdy, po napisaniu zaświadczenia takiego, stracili niezawodnie coś z szacunku syna, gdy tymczasem powiedzenie:—„Ja ci takiego świadectwa napisać niemogę, bo byłoby to kłamstwem"—może rozgniéwać chłopca na chwilę, ale dając mu uczuć powagę niezachwianych zasad rodzicielskich, przejmuje go dla nich szacunkiem.

Uczeń klas niższych, zupełnie od rodziców zależny, zawsze na dzień oznaczony stawić się w szkole powinien. Iluż to jednak ojców dla błahych powodów, opóźniwszy podróż do miasta

wobec syna kłamliwemi przyczynami przed dyrektorem usprawiedliwia go, przekładając rumienienie się wobec dziecka, nad zadanie sobie małego przymusu!

Dziécię małe bawi się ciągle, jest to jego potrzebą; powoli nauka odrywa je od zabawy, coraz mniéj na nią czasu mu zostawia, aż wreszcie zupełnie mu go zabiéra.

Jest to zadanie gwałtu naturalnéj potrzebie zabawy, do któréj chęć, acz się z wiekiem zmniejsza, nie ginie przecież zupełnie i kiedy człowiek dorosły potrzebuje rozrywki, témbardziéj potrzebuje jéj dziécię.

Małe bawi się ciągle, ludzie dorośli często, a chłopię — prawie nigdy. Czy to logiczne i naturalne? Bynajmniéj.

Dziécię, uczące się, powinno bawić się często; powinna mu być dostarczana sposobność spotykania się z młodzieżą jego wieku, sposobność tańcowania byle nie w nocy, lecz w dzień; bawienia się z towarzyszami na świéżém powietrzu w gry rozmaite, jak w piłkę, palanta, wolanta, serso, kręgle i t. p.

Panienka wychowująca się w domu za całą rozrywkę ma zwykle przechadzkę z nauczycielką lub matką. To za mało. Dajmy jéj od czasu do czasu zabawę, którąby się naprawdę bawiła, którąby ją wzmacniała fizycznie, strzegąc od przyszłéj niedokrwistości i niedołęstwa.

Do rzędu zabaw dziécięcych zaliczyć wypada czytanie. Owóż patrząc na dzieci począwszy od lat 13tu lub 14tu, mianowicie na dziewczęta, zauważyć można, że wiele z nich zawiele czyta.

Po spędzonym pracowicie dniu nad nauką, dziewczynka, wsparta na oknie, korzysta często z ostatniego promyka słońca, żeby się oddać ulubionemu czytaniu. Rano ledwo wstała, już bierze książkę do ręki, bo śniadanie za kwadrans dopiéro podadzą; lekcyje już umié—więc czyta. Niedzielę niezmiennie spędza na czytaniu i widziałam raz taką zaczytaną dziewczynkę, która wstając z fotelu, w którym przez trzy godziny siedziała w jednéj pozycyi, potoczyła się nagle i omało nie upadła. Umysł, wyobra-

żnia, nerwy, tak w niéj były natężone, że sprowadziły nienormalny przypływ krwi do głowy.

O ile czytanie w miarę jest rzeczą niezmiernie korzystną, o tyle przesada w niém jest dla dziecka bezporównania gorsza, niż zupełne zaniedbanie książki.

Są dzieci (chłopcy szczególniéj), które ukończywszy lekcyje, bawią się, biegają, harcują na koniu, nie czytając nic prawie. Tych tryb życia jest zdrowszy od czytających zawiele; zdrowszy nawet w pojęciu moralném; umysł ich miéwa chwile wypoczynku, rozwija się praktyczniéj, bo na życiu nie na fikcyjach książkowych; zachowuje całą swą naturalną wrażliwość, kiedy przeciwnie dzieci czytające do zbytku, lubią wprawdzie podrażnienie wyobraźni za pomocą pomysłów cudzych, na ich tle wiele marzą; lecz wrażliwość ich wyczerpuje się przez zbytek pokarmu. Pochłaniając zbyt prędko, nie mają czasu przetrawić rzeczy przeczytanéj, a już pożądają nowéj. Odwraca to ich od praktyki życiowéj i przytępia zmysł spostrzegawczy.— „Dziwna bo to rzecz, książka!—mówi Żmichowska.— Komu nie jest straszydłem, temu najsilniejszą pokusą się staje; byle w nią oczy wlepić, to już ich na świat otaczający do koła odwrócić się nie chce; zwolna przytępia się władza, którąby *zmysłem spostrzegawczym* nazwać można; wié się o tém, czego się nie widzi; umié się to, czego się nie zna, i przybywa ludziom uczony, który z ludźmi żyć nie potrafi.” —

Nie taka to jednak uczoność grozi po największéj części naszéj młodzieży, która czyta prawie jedynie książki lekkie, bawiące. Te, pochłaniane nadmiernie, łatwiéj jeszcze wytrącają z kolei życia praktycznego i trzeźwego myślenia. Dzieci „łakomie chłoną całe setki tomów i tomików; przywykają godzinę po godzinie myśléć cudzą myślą, cudze uczucie odczuwać; wrażenia ich, jak woda przez przetak uchodzą, zmieniają się i nikną. Młody, bezsilny jeszcze, niezaopatrzony balastem doświadczenia żeglarz nadpowietrznych krain, co dzień prawie przenosi się w inne okolice, w inne wieki, między inne ludy, a żaden bohatér urojony, czy prawdziwy, nie ostoi się w pamięci jego dość długo, by mógł nabrać wartości ideału. Wszystko przesuwa się, miga, niby słupy telegraficzne po obu stronach spiesznego na kolei żelaznéj

pociągu; ze zbytku wywiązuje się przesyt, z przesytu najgorsza z chorób — apatyja. Samodzielność rozumna wątleje; grunt charakteru mięknie; zasady, przekonania, uczucia chwieją się za byle naciskiem losu i okoliczności, a społeczeństwu przysposabia się cała warstwa szkodliwych, lub, w najlepszym razie, nieszczęśliwych próżniaków.“ *)

Można ustrzedz dzieci, szczególniéj córki pod okiem matki wzrastające, od takiego przesytu, będąc bardzo, ale to bardzo surowym w wyborze książek dla dzieci, z własnego już popędu czytających.

Przy takiéj surowości, biblijoteczka dziecinna nie wzrośnie zbytecznie, bo żadna literatura nie zawiéra wielkiéj ilości podobnego rodzaju książek zupełnie dobrych; gdyby wreszcie liczba ich wzrastała zbytecznie, trzeba i dobremi nie szafować nad miarę, bo i arcydzieła przesyt wywołać mogą. „Nie należy rozpraszać wrażliwości dziécięcéj, ale ją skupiać i natężać ku wyborowym, szlachetnym, prawdziwie pięknym wzorom.“ **)

Nietylko zbytnie i dla wieku niestósowne czytanie, wyczerpuje wrażliwość dzieci, pobudzając je do życia zawczesnego i zaprędkiego; w większym jeszcze stopniu działają w tym kierunku przedstawienia teatralne. Rodzice, prowadzący dzieci do teatru, starają się wprawdzie wybrać dzień przedstawienia sztuki moralnéj, nie mieszczącéj w sobie dwuznaczników, scen gorszących i nieszlachetnéj dążności; ale ani chcą, ani umieją zdać sobie sprawy z nienaturalnego wyczerpania, do którego staje się powodem prawie każda sztuka dla starszych pisana. Dla dzieci rozumiałabym teatr dziecinny, ale bezwarunkowo nie rozumiem dla nich teatru dorosłych.

Teatr działa na starszych tak silnie dla tego, że przez nagromadzenie licznego materyjału życiowego i zamknięcie go w stósunkowo małym zakresie czasu i przestrzeni, skupia nie-

---

*) Gabryjela Żmichowska.
**) Gabryjela Żmichowska.

słychanie i natęża ciekawość. Wypadki idą tu olbrzymiemi krokami w przeciągu godziny, fikcyjne osobistości przeżywają lat dziesiątki, kochają podwójnie, nienawidzą bezmiernie. Każda z nich żyje, jakby nie jedno, ale dwa serca miała w łonie, a gdy takie uczucia uplastyczniają się jeszcze żywą grą artystów, nabiérają siły wymowy, która nawet do umysłu wyziębłego ogółu przemawia. Dla dziecinnéj wyobraźni jest to pokarm zasilny, zanadto wyczerpujący, rozdrażniający nerwy, narowiący umysł, któremu po obrazach jaskrawych, proste i dziecinne smakować przestaną.

Niektóre matki prowadzą dzieci na przedstawienia niewłaściwe dla młodego wieku, tłómacząc się tém, że dzieci jeszcze nic nie rozumieją. Jeżeli to prawda, po cóż je trzymać w gorącu i dusznem powietrzu do godziny jedynastéj, co musi być szkodliwe dla zdrowia; jeżeli zaś wbrew zapewnieniom matek rozumieją sztukę, po co wcześnie przytępiać ich wrażliwość, dawać im obok złego wpływu na zdrowie, owo wczesne wyziębienie uczuć i zepsucie smaku przez zbyt ostre i silne przyprawy, po co je nadmiernie rozdrażniać, ich tkliwość zbytecznie wyzyskiwać? Znajome mi dziécię po przedstawieniu „Zbójców" Schillera, dostało silnéj gorączki.

Dziecko nawet starsze, daleko lepiéj się bawi na ślizgawce, przy grze w kręgle, w piłkę, lub tańcząc, niż niezdrowo spędzając wieczór w teatrze. Jeśli zaś koniecznie rodzice dzisiejsi chcą prowadzić dzieci na widowiska teatralne, należałoby obmyślić osobne przedstawienia wyłącznie przeznaczone dla dzieci.

ROZDZIAŁ XII.

Nauczyciele domowi, prawa ich i prawa rodziców. Przekonania i charakter nauczycieli. Korepetycyje i korepetytorowie.

„Godność nauczyciela, jego powaga, podniosłość i ważność zadania są w naszych czasach nieraz lekceważone i—powiédzmy szczérze— znieważane niegodnie.

Nie będę poszukiwał przyczyn tych zniewag, téj niewdzięczności społeczeństwa; ale wyrażę tu moje przekonanie: mówi mi ono, że pomiędzy wszystkiemi powołaniami, niéma większego i ważniejszego dla szczęścia ludzkości, a więc godniejszego poszanowania, jak zawód nauczycielski."

Powyższe wyrzeczenie biskupa Dupanloup'a, określające wysokość i zasługę zawodu nauczycielskiego, muszą znaleźć oddźwięk w każdym podnioślejszym umyśle. Ta zaś część, która mieści w sobie oskarżenie społeczeństwa o niewdzięczność, a nawet o znieważenie powołania przewodników młodzieży, jest zarzutem, na który może zasługują tylko jednostki, ale który każda matka, każdy ojciec przed własném sumieniem stawić powinni i zapytać się: czy do takiéj opinii nie dorzucają cegiełki własnemi czyny, czy w ich domu, u ich stołu i ogniska nie dzieje się krzywda jednostce, spełniającéj owo podniosłe powołanie; czy w swojéj duszy i umyśle nie znieważają jéj przez niewyrozumiałość lub uprzedzenie niesłuszne.

Bardzo często, znając obowiązki innych względem nas, przeoczamy własne i nie chcemy uznawać praw cudzych, nie umiemy uwzględnić indywidualnych potrzeb i usposobienia osób, z któremi żyjemy. Z takiéj skłonności wypływa, że rodzice skarżą się

zwykle na nauczycieli nawet wtedy, gdy wyjątkom sprawiedliwość oddają; nauczyciele zaś oskarżają rodziców o niewdzięczność i niewyrozumiałość, nawet gdy sami nie doznali złego obejścia.

I jedni i drudzy niezawodnie mają słuszność, co do wyjątkowych położeń,—i jedni i drudzy błądzą, gdy mówią ogólnikowo, bo wtedy czerpią swe przekonania z uprzedzeń, tak właściwych ludziom, którzy źdźbło w oku cudzém przemieniają na belkę, a własnéj belki i za źdźbło nie poczytują. Działoby się jednak inaczéj, gdyby każda strona, bacząc na drażliwość miłości własnéj, raczéj prawo strony przeciwnéj, niż własne w swym umyśle i sumieniu ważyła.

Rodzice jednak, ze względu na swe stanowisko, zawsze mają większy obowiązek okazywania wyrozumiałości dla człowieka, którego na kierownika swych dzieci wybrali. Od nich przynajmniéj powinien wychodzić piérwszy krok dla zawiązania z nim przyjaznego stósunku; do nich należy przygarnąć przybysza, otoczyć go ciepłem własnego ogniska, dać mu miejsce w rodzinie i patrzéć nań okiem życzliwém. Wprawdzie pojmujemy całą trudność, zwłaszcza w początkach podobnego stósunku. Jakóż samo zbliżenie się do człowieka zupełnie obcego, z którym nas często połączył kantor stręczeń, a nie uczucie sympatyi, czy szacunku—wyradza niedowierzanie. Nasze serce nieraz już zrażone przy zetknięciu się z ludźmi, mimowoli się kurczy, gdy mu nagle zostaje narzucony stósunek bliski, do którego nie zostało przygotowane żadném uczuciem przejściowém. Węzły sympatyi zadzierzgają się najłatwiéj, gdy jéj sobie nie nakazujemy, gdy przychodzi ona niespodzianie, wtedy powoli oplątywa nasze serce, aż je sobie zdobędzie nadobre. Tu zaś dzieje się przeciwnie. Łączy nas interes, potrzeba, nie uczucie przyjaźni; a jednak chodzi o to, by to uczucie wlać w ten stósunek tak bliski, bo zawiązany w interesie dziecka. Sympatyja jest to ptak nieuglaskany, przywabić go lub odpędzić trudno; leci gdzie chce, spoczywa, gdzie mu się podoba, na skrzydłach swych niesie zarody przyjaźni, przywiązania, miłości; — gdy mu chcesz usłać gniazdko w twém łonie, tém łacniéj go odstraszysz, a gdy go się najmniéj spodziewasz, przybywa zapukać do twego serca. Zdarza się, że żyjemy z kimś lata całe, a nigdy jego obejścia

twarzy, głosu, charakteru polubić nie możemy, Jest nam bliskim w życiu; w uczuciu zawsze pozostanie dalekim.

Lecz i pod względem uczuć rodzice są w korzystniejszém od nauczycieli położeniu. Wśród miłych sobie twarzy, wśród uciech rodzinnych, znajomych i przyjaciół dobrowolnie wybranych, spotykają w osobie nauczyciela lub nauczycielki jedynie nieznaną i mimowolnie niedowierzaniem przejmującą istotę; dla niéj zaś przeciwnie, wszystko tu jest obcém i nieznaném, nawet ten kącik, który ma swym pokojem nazywać. Oprócz tego uczucia rodzicielskie, mianowicie macierzyńskie, mają władzę jakby rozszerzania serca, podobnie do ciepła, pod którego wpływem każde się ciało rozpręża. Matka, kochająca własne dzieci, nie mniej przeto zdolną jest ukochać dziecko innéj matki, które los skazał na osamotnienie serdeczne. Podobna rozszerzalność obcą jest sercu takiego pod dach nasz przybysza; ono się raczéj kurczy pod wpływem chłodu i przymusu, jaki na piérwszym wstępie spotyka. Niech więc każda matka zdobędzie się na współczucie dla téj istoty oderwanéj od łona własnéj rodziny, która wobec skupionego i jednolitego ciała członków domu, do którego wchodzi, musi się czuć siérotą w znaczeniu moralném. Wreszcie za ustępstwami ze strony rodziców, za wspaniałomyślném poświęceniem, raczéj własnych przyzwyczajeń, upodobań i miłości własnéj, niż wymaganiami podobnych poświęceń od nauczycieli, przemawia zależność tychże od domu, w którym przebywają. Są gośćmi — my jesteśmy gospodarzami. Oni przyjmują — my dajemy. Jestto wprawdzie tylko wymiana usług, lecz właśnie ich względną różnicę należy wziąć pod ścisłą rachubę. Nauczyciele dają naukę i opiekę naszym dzieciom; my im dajemy pieniądze, mieszkanie i wygody;—oni czerpią z dziedziny nieujętéj, bo umysłowéj i moralnéj; — my z kieszeni, a zatem to, co im dajemy, ma dotykalną wartość — są to pieniądze, posiłek każdodniowy; należy więc miéć pewną względność i delikatność wywdzięczając się tym sposobem za usługi moralne.

Nie jedna nieobyta ze światem osoba, rumieni się, gdy z nieśmiałością, przy uścisku ręki podaje doktorowi zapłatę. Czuje bowiem całą nierówność, jaka zawsze istniéć musi, między usługami nauki, wiedzy, współczucia i pracy w dziedzinie intellektualnéj,

a groszem, który je opłaca. Stósunek rodziców do dobrego i sumiennego nauczyciela jest mniéj więcéj taki sam,—oni raczéj, nie on, są obowiązani do wdzięczności; od nich powinien wypływać ten zdrój uczuć życzliwych, który tak łatwo serca domowników pociąga.

Skargi nauczycieli i tych, co w ich imieniu przemawiają, nastrajają się często na zbyt wysoką nutę, co musi zauważyć każdy, kto na tę kwestyją zapatruje się bezstronnie. Lecz niestety! zaprzeczyć nie można, że trafiają się rodzice, którzy, nietylko nie uznają za stósowne uczynić piérwszego, przyjaznego ku nauczycielowi kroku, ale jeszcze okazują mu lekceważenie i rzekomą wyższość swoję. Jakże oni uwłaczają samym sobie, nie umiejąc w nauczycielu uszanować swego zastępcy! Powierzają mu skarb najdroższy — dziécię, jedyną osłodę, jedyny cel życia, a tego opiekuna swéj pociechy lekceważą i nie uznają za równego sobie. Największą krzywdę wyrządzają oni własnemu dziecku, osłabiając w niém uczucie poszanowania, dla przewodnika intellektualnego i moralnego, jakotéż i dla nauki saméj, któréj nauczyciel jest przedstawicielem. To są ludzie złéj woli, albo tak płytkiego umysłu, że nie zdają sobie sprawy z cierpienia, związanéj z nimi roczną umową osoby i z niekorzystnego wpływu, jaki zimny i wiecznie na odpornéj stopie utrzymywany z nauczycielem stósunek na wychowańca wywiéra. Różnorodność charakterów wyrządza tu tysiączne odmiany przykrości, małych i większych zadrażnień, a nawet bolesnych cierpień dla serca lub miłości własnéj

Prawo władzy nauczyciela nad uczniem jest zwykle wyznawane tylko w zasadzie, ale w zastósowaniu, w praktyce, rzecz się ma całkiem inaczéj. Zdarza się nawet, że rodzice wobec dzieci wykrywają śmieszności nauczyciela, krytykują jego postępowanie, dają rozkazy wbrew przeciwne jego zaleceniom i mają sobie za przyjemność okazywać mu, że nie jego, lecz ich wola spełnić się powinna.

Nie mówię tu o wypadkach, w których dobro dziecka nakazuje rodzicom sprzeciwianie się woli nauczyciela; ale o nierozsądném, na niczém nieopartém, lub tylko słabość rodzicielską mającém za źródło lekceważeniu władzy nauczyciela. Jedna taka słabość już rzuciła zamęt w wyobrażeniu dziecka; już ono

wié, że nauczyciel nie jest ostatnią instancyją, że jest władza wyższa i wola nie zawsze z wolą nauczyciela zgodna, do któréj uciekać się można. Nie zaniedbuje téż odwoływania się do niéj, co chwila wynajduje pretekst do szepnięcia skargi do ucha słabéj matki, w któréj mimowoli coraz większa wyradza się podejrzliwość względem nauczyciela. Najlepsze jego chęci są mu poczytane za złe; wychowanie wchodzi na rozdroże niejednolitości i braku systematu, co wszystko zwichnąć może, zarówno charakter, jak naukowe postępy. Praca i usiłowania nauczyciela przynoszą tylko część téj korzyści, jakąby przynieść mogły; stąd wyradza się w nim niezadowolenie z powodu poczucia nieprodukcyjności własnéj pracy, mającéj wszelkie powodzenia warunki, a rozbijacéj się o okoliczności zewnętrzne.

Człowiek, sumiennie spełniający swój obowiązek, cierpi wtedy dotkliwie, lecz w bezskutecznych usiłowaniach nie ustaje; inny, mniéj sumienny, przychyla się do wymagań rodzicielskich i z użytecznego nauczyciela staje się szkodliwym rezydentem.

Jak dawniéj było bezwzględne panowanie rodziców, tak teraz panowanie dzieci w rodzinach coraz wyraźniéj się zaznacza. Któż nie zna domów, w których siedmioletni malce wyrokują w rozmaitych kwestyjach, wtrącają się do rozmowy rodziców, przyznają sobie prawo rozprawiania o zasługach i wartości osób dorosłych, co rodziców cieszy, jako dowód niezwykłego rozumu dziecka. W takich domach opowiadanie gościom wobec dzieci, o różnych wadach i przyzwyczajeniach nauczycieli, zachęcanie ich prawie do złośliwych uwag, odbywa się najnaturalniéj. Nauczyciel spostrzega, że jest przedmiotem krytyki, a wtedy można zrozumiéć cierpienie jego miłości własnéj. Samo skrępowanie uczuć pod wytężoném okiem niechęci już obejście się jego rzeczywiście śmiesznem uczynić może i człowiek, który wśród swoich obracał się swobodnie, wśród obcych kroku stąpić nie umié.

Zdarza się, że taki stan rzeczy jest winą stron obu. Ale w téj chwili mówimy o rodzicach jedynie i ich przekroczeniach przeciw nauczycielom, a za pośrednictwem ich przeciwko dzieciom własnym. Postępowanie ich najczęściéj grzeszy słabością i lekkomyślnością. Spostrzegają, że dziecię potrzebuje już nauczyciela, więc naprzód utyskują na to, zwlekają, wybiérają się do

miasta dla poszukiwań, wkońcu biorą piérwszego lepszego. Nie stawią sobie wprzód pytania, jakie prawa rządzą tego rodzaju stósunkiem, lecz pozwalają temu stósunkowi stać się tém, czém go uczynią ich wady, słabości, lekceważenie, wreszcie sympatyja, jaką wzbudza nauczyciel. A przecież obowiązek rodzicielski jest wcale inny. Nakazuje on przede wszystkiem sumienne poszukiwania, powzięcie starannych informacyj o człowieku, któremu chcą dziecko powierzyć. Następnie ścisłe zbadanie tego, co temu człowiekowi od nich się należy i co z tego stósunku wypłynąć ma dla moralnéj wychowańca korzyści. Czy sympatyja połączy, czy nie serca rodzicielskie z sercem nauczyciela; czy oddziaływanie wzajemne tych istot, pod jednym dachem żyjących, wykrzesze lub nie iskrę przyjaźni; prawa nauczyciela są wyraźne i jedne zawsze i wszędzie. Szukać, dobiérać, przebiérać dowiadywać się—wolno rodzicom; ale raz umową z nauczycielem związawszy się, niewolno im praw jego naruszać.

Jeżeli możecie wzbudzić w sobie życzliwość, rozgrzewajcie nią serce nauczyciela; nietylko już dla téj przyczyny, że jest on waszym bratem w Chrystusie, że jest gościem u waszego stołu, domownikiem i codziennym towarzyszem waszym, ale i dla tego, że życzliwość waszą odda dzieciom waszym a uczniom swoim. Jeżeli uczucie zadowolenia można nazwać opromienieniem życia, to porównanie to zawiéra w sobie i pojęcie tego odblasku, jaki istota zadowolona w swém sercu, rzuca na otaczających w słowie, w czynie, i w każdém niemal spojrzeniu. Nie dziwujcie się, jeżeli nauczyciel, przygnębiony podejrzliwością, niechęcią i lekceważeniem, jakie go na każdym kroku spotyka, obchodzi się z swym uczniem zimno, jest skwaszony i znudzony, gdyż tylko oddaje to, czém go sami poicie.

Gdyby życzliwość i sympatyja nakazywać się mogła, powiedziéćby należało, że ją względem nauczyciela uważać za obowiązek należy; ponieważ jednak uczucie to od nas jest niezależne, więc to tylko można powiedziéć, że rodzice wszystko, co mogą, uczynić powinni, by do niéj usposobić swe serce. Gdyby im się to nie udało, postępowaniem swém okazywać tego nie powinni. Największa grzeczność, uprzejmość i względność niech otoczy człowieka, którego dziécię powinno kochać i szanować. Słowem

rodzice ze wszech miar powinni się starać uprzyjemnić pobyt nauczycieli w swym domu, uwzględniać ich upodobania i przyzwyczajenia. Lecz i nauczyciele nie powinni pozostawać nieugiętymi. I oni, jeżeli chcą na życie znośne zarobić, niech téż starają się przylgnąć do domu, w którym przebywają, nie narzucać zbytecznych wymagań, przykroić się wreszcie do możności rodziców. Zdarza się, że nauczyciel lub nauczycielka, przebywszy lat kilka w domu zamożnym, gdzie stół, otoczenie i wygody były wykwintne i zbytkowne, dostaje się do innego, gdzie pomimo najlepszych chęci, rodzice nie są w stanie takim ich zbytkiem otoczyć. Płacą stósunkowo do swéj zamożności bardzo wiele, robią nieraz wysiłek, by dzieciom dać wychowanie staranne; ale całego domowego trybu zmienić nie mogą, i nawet niepowinni, choćby ze względu na moralne dobro swych dzieci. Widywałam nauczycieli, okazujących w takim razie przy obiedzie, że jedzenie jest złe, że im nie dogadza; utyskujących przed domownikami na to, że do takiego nie są przyzwyczajeni.

To już brak względności i niedelikatność.

Wszak nauczyciele mogą zasięgnąć informacyi o domu, do którego się dostają;—niechże się dowiedzą, rozmyślą się dobrze; ale raz dostawszy się, niech starają się nagiąć do jego zwyczajów, które nie wypływają ze złych chęci rodziców, lecz z konieczności ich materyjalnego położenia.

Szczéra chęć nauczyciela przyczynienia się do utrzymania dobrego stósunku, szczególniéj w takich razach jest konieczną, gdy rodzice są niżsi od niego umysłowo i jeżeli zmuszony jest nad nauką dziecka wyłączny objąć kierunek. Niech to jednak czyni z największą delikatnością, taktem i względnością dla charakteru władzy rodzicielskiéj; niech nigdy nie da dziécięciu podejrzéwać, ani braku oświecenia w rodzicach, ani swéj roli samoistnego kierownika z pozostawieniem na uboczu rodziców.

Do wspólnego pożycia z obcymi, trzeba się przysposobić przez wyrobienie w sobie zapasu dobrych chęci, wyrozumiałości, gotowości do ustępstw i gdy takie usposobienie znajduje się jednocześnie i w nauczycielu i w rodzicach, którzy mu swe dziécię powierzają, wtedy życie staje się, nietylko znośném dla stron obu, ale nawet szczęśliwém.

Tylko ścisłe zjednoczenie się rodziców i nauczycieli może pod względem wpływu na wychowańca prawdziwy przynieść pożytek. Wszystkie te uwagi, jakie obie strony czynić sobie mają prawo, w celu ułożenia do równowagi owego jednolitego wpływu niech mają miejsce w nieobecności dziecka. Jeżeli rodzicom się zdaje, że nauczyciel postępuje z uczniem niewłaściwie, niech mu uczynią stósowne uwagi; ale piérwsza skarga, jaką dziécię ośmieli się zanieść na nauczyciela, niech będzie surowo przez rodziców skarcona, by uczeń zrozumiał odrazu, że między rodzicami i nauczycielem zgoda i jednolitość w poglądach panują. Obok takiéj w obliczu dziecka zupełnéj sankcyi, co do naukowego kierunku nauczyciela, praca nad charakterem musi téż iść równolegle; dla tego to przekonania wychowawcy powinny, być mniéj więcéj zgodne z przekonaniami rodziców.

Bywały niejednokrotne bardzo smutne rodzinne zajątrzenia, bolesne rozdarcia rodzicielskiego serca, z powodu przejęcia się ucznia zasadami nauczyciela, wprost przeciwnemi zasadom rodziców. Bezwyznaniowość jest dziś najczęściéj spotykaném w młodych ludziach, kończących nauki, zjawiskiem; należy téż przestrzedz matki przed zgubnym wpływem, jaki podobny kierunek wywiéra na dzieci. Młodzieniec przesiąkły materyjalizmem nowoczesnym, powinien przynajmniéj zobowiązać się, że nie będzie wygłaszał swoich zasad wobec dzieci i uzna potrzebę czynnika religijnego w wychowaniu. Ktoby nie uznawał téj potrzeby, mógłby ślad swego wpływu na duszę dziecka na całe życie zostawić, całą moralną pracę macierzyńską wniwecz obrócić i, napełniwszy głowę nauką, serce ucznia ograbić ze wszystkich świętości.

Najważniejszą zaletą w charakterze nauczyciela — mojém zdaniem—jest prawdomówność i szczérość. Często obietnice dawane przy umowie bezwarunkowego zgadzania się z przekonaniami rodziców, bywają tylko dowodem jego nieszczerości; praktyka bowiem okazuje następnie, że wszystko było fałszem, w piękne słowa przybranym. Szczérość jedynie może nam dać rękojmię dostateczną; faryzeuszostwo ze względu na zły przykład i wpływ na dzieci, wydaje mi się gorszą wadą, niż różność przekonań występująca szczérze. Walka ze szczerością jest

łatwiejszą; z podstępem staje się niepodobną. Nawet nauczyciel bezwyznaniowy, jeżeli jest szczéry i uznaje prawa rodzicielskie w kierowaniu przekonaniami dziecka,— byle złożył zapewnienie, że im w tym względzie przeszkód stawiać nie będzie, — nawet taki nauczyciel, mówię, mniéj jest szkodliwy, od owych osobistości kłamliwych, których uczynki w wiecznéj są ze słowami niezgodzie. Dziécię odrazu spostrzega, że nauczyciel jest innym w swoim pokoju, niż się przedstawia wobec rodziców; że to wszystko, co mówi o swojéj pracy i gorliwości jest kłamstwem. Już sama różnica wyrazu twarzy w obejściu uderza je; dostrzega tysiące niekonsekwencyj, małych i większych fałszów; zaczyna pojmować korzyści obłudy, aż wkońcu, gdy się nadarzy sposobność, naśladuje wygodną teoryją posiadania daru wymowy na to, aby posłużyła do skrywania głębiéj swych myśli.

Pewna nauczycielka opowiadała mi, że gdy przybyła do nieznajomego sobie domu dla zajęcia się wychowaniem dziewięcio-letniéj dziewczynki, mała uczennica, przy piérwszéj lekcyi, dała jéj następną naukę zjednania sobie rodziców:—„Niech mię tylko pani, zawsze chwali przed tatkiem i mamą, a będą panią wszyscy w domu lubili. Panna X., która od nas za mąż wyszła, zawsze mię przed mamą chwaliła; mama ją téż za to bardzo kochała. Czy dobrze, czy źle lekcyją odbędę, niech pani mówi, że jeszcze pani tak zdolnego i pracowitego dziecka nie widziała, a będzie pani u nas dobrze, jak w niebie." Taka panna X. była zbrodniarką, — ona w sercu młodém nazawsze zaszczepiła obłudę!

Na dziecko przekonania polityczne, czy społeczne, mniéj robią wrażenia, niż charakter jego przewodników. Jeżeli więc tylko można, niech przekonania nauczyciela zgadzają się z przekonaniami rodziców, ale charakter jego niech koniecznie będzie prawy, otwarty, szczéry i jasny. Prawda w uczuciach, słowie, i w czynach— oto najlepszy wzór uczciwości dla wychowańców.

Rodzice powinni zadać sobie pytanie: jakie są prawa nauczycieli, co do potrzeb ich osobistych; co im się należy pod względem wygody, swobodnego czasu i wolności osobistéj? Prawa te powinny być wyraźnie przy umowie określone, aby tym sposobem zabezpieczyć obie strony od wielu nieporozumień i nieprzyjemności.

Dziécię, którego wychowanie we wszystkiém na prawdzie oparte być powinno, niech wié, jeżeli się o to zapyta, że rodzice płacą jego nauczycielowi; ale niech się zarazem dowié z ust matki, że jeżeli czas i pracę opłacić można, to piéniądz nigdy nie jest w stanie wynagrodzić za dobro moralne, za naukę udzielaną, za życie umysłowe, jakie nauczyciel w uczniu rozbudza; niech dziécię wié, że za takie dary płaci się jedynie sercem, miłością i uczuciem wdzięczności.

Rodzice, na wsi mieszkający, w wyborze nauczycieli podwójnie oględni być powinni, gdyż dla nich zmiana musi być trudniejszą. Zobowiązania co najmniéj roczny termin miéć muszą, a nauczyciel, zostający ciągle w domu, jest nietylko przewodnikiem umysłowym, ale i moralnym. W mieście rzadko kiedy dziecko ma stałego nauczyciela. Chłopcy, zwłaszcza sposobiący się do szkół, prawie zawsze powierzani są przychodzącym na godziny. Dla rodzin uboższych takim przewodnikiem jest zwykle uczeń klas wyższych lub uniwersytetu; dla zamożniejszych zaś pedagog z powołania i wyznać należy, że dzieci tych ostatnich najkorzystniéj są uposażone: zostają bowiem ciągle pod wpływem rodziców. Uczeń klas wyższych, lub student uniwersytetu, przychodzący na godziny, bywa zazwyczaj miernym pedagogiem; nad sposobem nauczenia nie pracował on nigdy; jest młody i niecierpliwy; przyszłość ucznia go nie obchodzi, zajęty jest wyłącznie własną przyszłością i groszem ciężko zarabianym, dla utrzymania się w teraźniejszości. I nie może być inaczéj, gdyż położenie to z natury rzeczy wypływa. Trzeba téż, oprócz wiadomości zasięganych poprzednio o takim nauczycielu, aby matka przynajmniéj z początku bywała przy jego lekcyjach obecną. Zachowanie się dziecka, jego uwaga, trzeźwość umysłu, odpowiedzi jasne, oczy niezaspane, dadzą jéj poznać wymownie, czy nauka udzielana przynosi korzyść rzeczywistą lub

wprowadza umysł w stan chorobliwego wytężenia i ospałości. Każde słowo nauczyciela powinno być zrozumiane przez ucznia, każda rzecz przedstawiona jasno i, o ile można, na dotykalnych przykładach.

Zachęcając rodziców do sumiennego zbadania, co się nauczycielom od nich należy, nie podobna przemilczéć, że i rodzice mają swoje prawa, do których nauczyciele nagiąć się powinni. Do rodziców należy przeprowadzenie ogólnego planu wychowania, którego są twórcami i zarazem stróżami; nauczyciel nie może wnosić praw nowych; musi się do raz ustanowionych zastósować, chyba, że jak najczęściéj się dzieje, nie ustanowiono żadnych i wszystko zostawiono na wolę przypadku. W każdym razie nauczyciel czuć się powinien tylko zastępcą, nie bezwzględnym kierownikiem.

Słyszałam nauczyciela, skarżącego się, że matka wtrąca się, nietylko do jego postępowania z dzieckiem, ale i do nauki. Mogła to być nierozsądna i nie dość oświécona matka, która swoim wpływem wywiérała złe tylko skutki; wszakże *wtrącanie się* rodziców do dzieła intellektualnego wychowania dzieci jest w wielu razach jedyną rękojmią postępu.

Nauczyciel, kierownik młodéj duszy i umysłu, jest człowiekiem najczęściéj zupełnie nam nieznanym; czynne więc oko matki powinno bacznie śledzić, tak postępów w nauce, jak i wpływu wywiéranego na dziecko.

Matka powinna od piérwszéj chwili starać się przyzwyczaić osobę, zajmującą się nauczaniem do rozmowy o dziecku, i jego naukach; do udzielania jéj własnych spostrzeżeń i poglądów, jako téż badania poglądów i spostrzeżeń osoby dopomagającéj jéj w nauczaniu i wychowaniu. Często rozmowa taka lub uwaga, gdy jest rzucona dorywczo i niespodzianie, obraża nauczyciela, albo budzi w nim podejrzenie, że dziécię skarżyło się na niego, że rodzice mu nie dowierzają; że są z niego nie zadowoleni; odpowiada więc dumnie, lub usprawiedliwia się, jak oskarżony. Aby tego uniknąć, niech matka od piérwszego dnia zaznaczy w umyśle nauczyciela swoje stanowisko; niech zaraz przy umowie ostrzeże go, że jakkolwiek składa w jego ręce część praw rodzicielskich, przecież sama się ich nie wyrzeka;

niech się przeto nie dziwi, że rodzice, jako naturalni opiekunowie, czynnie będą się interessować jego dziełem.

Zachęcając wszakże matki do sumiennego śledzenia postępowania nauczycieli domowych, trudno dosyć wymownych słów dobrać, aby je przekonać o zgubnym wpływie zarozumiałości, jaka się w nich niekiedy wyradza z fałszywego, a bardzo rozpowszechnionego przekonania, że matka wié najlepiéj, co dziecku potrzeba.

Matka, niestety, nic nie wié, jeżeli nad zdobyciem tych wiadomości nie pracuje. Nim więc uczyni zarzut postępowaniu nauczyciela, niech się dobrze zastanowi i, o ile może, niech zasięgnie rady pedagoga doświadczonego i pism pedagogicznych, które czytać powinna; bo tylko pracą nad teoryją wychowawczą może się sama oświecić i znaléźć drogę właściwą w praktyce. Nie mówię tu o zaufaniu piérwszéj lepszéj rozprawie pedagogicznéj; ale o badaniu przedmiotu, o rozmyślaniu nad nim, na podstawie prac dokonanych w tym zakresie.

Rozmowy z dziećmi, mające na celu rozwijanie ich umysłu, czytanie z niémi, badanie ich skłonności, śledzenie zdolności— wszystko to powinno było przygotować już do pewnego stopnia matkę, i co do wyrobienia sobie systemu, najlepszego sposobu nauczaniu, i co do wytworzenia sobie ogólnego ideału wychowawczego. Zważywszy jednak trudność zadania, pragnęłabym, aby matki nie lekceważyły niczego, co je w tym względzie oświecić może; aby naprzykład zasięgały rady znanych sobie pedagogów i porównywały ich zdania ze zdaniami pedagogicznych nowatorów, jakich dzieła czytać się im zdarzy. Taka praca sumiennéj, a nie zarozumiałéj matki będzie niezawodnie korzystną dla dzieci, tém bardziéj, że wielu nauczycieli domowych traktuje swój przedmiot nienmiejętnie, jak się któremu z nich podoba, a im mniéj są zdolni, tém więcéj bywają zarozumiali.

Praca nauczycielska jest piękną, jest powołaniem szczytném, wielkiém; ale patrząc na to, jak niekiedy bywa spełnianą dochodzi się do przekonania, że mało kto z prawdziwego zamiłowania jéj się oddaje.

Dla mężczyzn zawód ten jest zwykłe tymczasowém zajęciem; po największéj części oddają mu się ludzie młodzi, potrzebujący zarobku na dalsze prowadzenie własnych nauk, lub dla wytchnienia po pracy uniwersyteckiéj lub szkolnéj. Nie jest to więc dla nich zawód, do którego czuliby jakie powołanie; jest to tylko chwilowa i zawsze przymusowa praca, do któréj nawet specyjalnego przygotowania nie posiadają. Zważywszy, ile kierunków pracy przedstawia się dla wykształconego mężczyzny, zgodzimy się na to, że nauczycielstwo domowe jest ostatniém ze źródeł chlebodajnych, z jakich się czerpać odważa. Jest to zawod, zamykający przed nim wszelką nadzieję awansu, wszelką rachubę na stworzenie sobie własnéj rodziny i trzeba być pewnego rodzaju moralnym kaléką, trzeba doświadczyć wyjątkowego, nader dotkliwego niepowodzenia w życiu, aby zawód nauczyciela domowego obrać za stałe zajęcie.

Co do kobiét—rzecz się ma całkiem inaczéj. Dla nich jest to jedyne, przystępne naukowe powołanie; garną się więc do niego wszystkie, których niższe lub wyższe wykształcenie upoważnia do szukania na drodze umysłowéj pracy sposobu do życia. Często nienawidzą swego zawodu, skarżą się na jego trudy i niekorzyści, ale innego obrać nie mogą i trwają w nim aż do późnéj starości. Procent nieudolnych i mało umiejących między niemi jest znaczny. Jeżeli się jednak trafi zdolna i sumienna nauczycielka, położenie jéj wśród obcéj rodziny o wiele może być znośniejszém od położenia nauczyciela. Zwłaszcza dla kobiéty z sercem, wychowanie obcych dzieci staje się pewnego rodzaju macierzyństwem moralném, w którém, niezaspokojone jéj uczucia, pewne zadośćuczynienie znajdują. Gdy rodzice spostrzegą, że obca osoba oddaje ich dzieciom serce, niechże rozszerzą dla niéj kółko rodzinne i przyjmą ją do niego. Powinowactwo takie nie ze krwi, lecz z wyboru, trwać może nawet wtedy, gdy materyjalne względy zmuszają nauczycielkę do szukania innego miejsca, lub gdy wychowanie swych elewek ukończy.

Na święta, wakacyje, przybywa siérota do cudzego ogniska, witana z najserdeczniejszą radością. W niém zaczerpuje nowych sił do pracy i oblewa rozstanie się z obcy-

mi tak gorącemi łzami, jak gdyby z własną żegnała się rodziną.

Wielu pedagogicznych pisarzy zgadza się co do tego, że matki same ze swemi dziećmi powinny korepetycyje odbywać. Wiem, że nie wszystkie żądaniu temu zadosyć uczynić mogą bądź z braku naukowego przygotowania, bądź z braku czasu, zwłaszcza jeżeli położenie materyjalne zniewala je do pracy na chléb codzienny. U nas dawanie téj naukowéj pomocy chłopcom, chodzącym do szkół, lub przysposabiającym się do zakładów naukowych publicznych, uniemożebnia obcy język wykładowy, którego matki nieposiadają wcale, lub znają bardzo niedokładnie. Wszakże te, dla których powyższa przeszkoda nie istnieje, niech pomyślą nad radą, jaką podają teoretycy na polu edukacyjném. Rada ta wydaje się być bardzo dobrą i pomyślaną głęboko.

Jedna spójnia więcéj pomiędzy umysłem dziecka i matki, jedna sposobność więcéj oddziaływania na umysł i duszę młodą— są korzyści niemałego w wychowaniu znaczenia, których lekceważyć nie można. Oprócz tego matka najlepiéj się przekona o pracy i kierunku, jaki umysłowi dziecka dają nauczyciele domowi, czy publiczni.

W ostatnich czasach odzywały się głosy tak przeciwne wszelkim korepetycyjom, że je za zupełnie nieużyteczne, za szkodliwe nawet uznano. Zdaje mi się, że kamień potępienia rzucić można jedynie na złe korepetycyje. Takie rzeczywiście, zamiast rozwijać umysł, utwierdzają go w gnuśności.

Zdarza się, że korepetytor, jak najśpieszniéj od obowiązku uwolnić się pragnący, sam robi za ucznia zadany przykład matematyczny, pisze wypracowanie, które następnie uczeń przepisuje. Takie korepetycyje są nauką próżniactwa i kłamstwa, bo uczeń w szkole pracę cudzą za swoję podaje; jeżeli rozumié

zadanie zrobione przez korepetytora i wytłómaczyć je umié zawsze praca jego, jako niesamodzielna, nie zapewnia trwałego nabytku wiedzy. Nadto dobrowolna ugoda z własném sumieniem, pozwalająca dziecku bez zarumienienia się, podać nauczycielowi pracę cudzą za własną, jest dla charakteru zgubném zaprawianiem się do fałszu. Zatém korepetycyje niesumienne przynoszą w wychowaniu szkodę podwójną: zaprawiają umysł do lenistwa, charakter do fałszu.

Atoli korepetycyje dobrze prowadzone pomagają do systematycznego postępu przez dopilnowanie dziecka, by z zadanych przedmiotów nie zaniedbywało niczego i każdą lekcyją przyswajało sobie gruntownie; takie korepetycyje są dla wielu dzieci koniecznem dopełnieniem nauki szkolnéj i warunkiem postępu.

Rodzice przeto obowiązani są zbadać, jakim jest pomocnik naukowy ich dzieci. Oddalenie ich od miasta utrudnia wprawdzie taki nadzór, ale nie czyni go niepodobnym. Usilnością i staraniem wiele dokazać można. Zasiągnięcie wiadomości o wartości korepetytora jest w każdym razie możliwe; współubieganie się zaś o to zajęcie jest tak wielkie, że zmiana jest łatwą.

Korepetytor nie jest nauczycielem, tylko jego pomocnikiem; wszakże i on potrzebuje pedagogicznego uzdolnienia, które nabywa się wprawą, doświadczeniem, lubo czasem bywa intuicyjnie. Zdarza się często, że młodzieniec podejmujący się téj pomocniczéj nauki, nie posiada zgoła owego uzdolnienia. Wyższe klasy szkolne mogłyby pomieścić w nowym programie naukę pedagogii, przez co młodzież początkująca zyskałaby zdolniejszych pomocników. Że jednak uczeń klas wyższych lub uniwersytetu, nie posiada żadnych zasad pedagogicznych prócz tych, jakie nabył własném doświadczeniem, lub jakich domyśla się instynktowo; tém oględniejszym przeto być potrzeba w przyjmowaniu piérwszego lepszego; jego niedoświadczenie bowiem może zwichnąć zupełnie umysł dziecka i zabić w niém drogocenną dążność do odkrywania i dochodzenia w dziedzinie naukowéj wszystkiego pracą i wysiłkiem własnym, co jest koniecznym postępu warunkiem.

Nauka o rzeczach może umysł dziecka uczynić tak sprężystym, tak chwytającym wykład nauczyciela, że korepetycyje mogą być dla niego zbyteczne i w takim razie, wyznać trzeba, że nauka najlepiéj jest prowadzona: bo obok wykładu szkolnego występuje samodzielność ucznia przy odrabianiu tłómaczeń, wypracowań i zadań wszelkiego rodzaju.

ROZDZIAŁ XIII.

Charakter chłopców i dziewcząt wcześnie swe właściwości ujawnia. Duma męska chłopca. Zaufanie do rodziców nie może być obowiązkiem. Matka powinna wziąć na siebie nauczanie choćby jednego przedmiotu. Objawy zewnętrzne uszanowania. Listy do dzieci oddalonych. Wpływ matki na syna chodzącego do szkół. Drażliwość chłopca na sądy ludzkie, jako wpływ wychowawczy, spożytkować należy. Rodzice wobec niepowodzeń naukowych chłopca. Zwyczaj przymówek i docinków. Oględność postępowania wobec drażliwości chłopięcéj. Poszanowanie indywidualności chłopca. Ratowanie go wrazie upadku moralnego. Starszy brat wobec młodszego rodzeństwa. Kwestyja kobiéca odnośnie do chłopca. Wiadomość o zepsuciu niesie w sobie zarazę zepsucia. Co jest dobre towarzystwo? — Złe książki. Miłość piękna jest obroną przeciw zepsuciu. Kształcenie poczucia piękna. Roboty ręczne. Formy towarzyskie. Wiadomości pedagogiczne dla chłopców. Pragnienie dobrobytu i używania. Wpływ ojca.

Sądzę, że niezmiernie korzystném jest dla dzieci płci obojéj wychowywanie wspólne, aż do oddania chłopców do szkół. To, co w naturze męskiéj jest trochę szorstkiego i dzikiego łagodnieje pod wpływem tkliwszéj, delikatniejszéj natury dziewczęcéj; dziewczynki znowu przejmują od chłopców usposobienie do zabaw ruchliwych, rozwijających ich fizyczny organizm tak nadwątlony w dzisiejszém pokoleniu; stają się odważniejsze, energiczniejsze i łatwiéj umieją potém radzić sobie w potrzebie.

Razem przebyte dzieciństwo, wspomnienia lat pod okiem matki spędzonych, utrwalają téż i czynią rzewniejszém przywiązanie wzajemne.

Takie wspólne wychowanie do lat 12tu, a nawet 15tu, nie zaciéra przecież różnic przyrodzonych. Zwykle z rozpoczynają-

cym się wiekiem chłopięcym, przymioty chłopców i dziewczynek zaczynają przybiérać cechy ich płci właściwe. Tkwiły już one w związku od piérwszych chwil życia, przejawiały się nawet w większéj hałaśliwości i swawoli chłopców, w spokojniejszém i tkliwszém usposobieniu dziéwcząt; ale teraz chłopiec zaczyna już być dumny ze swéj męzkiéj siły, obraża się, jeżeli go kto nazwie dziewczyną; ma wojownicze i rycerskie zachcianki; pogardza lalką siostry, marzy o koniu, siodle i butach, podczas kiedy dziewczynka staje się trochę gosposią, lubi krzątać się z kluczykami, szyć lub zajmować jaką inną robótką. Młodsze, a szczególniéj najmłodsze z jéj rodzeństwa, zajmują ją niezmiernie. Chciałaby je nosić i pieścić, tulić do siebie; — prosi matki i niańki, żeby jéj pozwoliła wziąć je na ręce, upewnia, że go nie upuści; słowem — ma instynkta kobiéce, zupełnie różne od instynktów brata.

Matka, spostrzegłszy tak ujawniające się właściwości natury męzkiéj i kobiécéj, powinna téż i kierunek swego wpływu do nich stósować; chłopca instynkta wojownicze—uszlachetniać, pokazywać mu nizkość siły brutalnéj, która powinna ulegać rozumowi, sile woli i wytrwałości.

Już ośmioletniemu dziecku, powiedzieć można: „Pan Bóg stworzył cię mężczyzną i dał ci siłę, nie dla tego; byś jéj na uciemiężenie drugich, ale raczéj na obronę słabszych używał.” Chłopiec w tym wieku, bierze zwykle na seryjo swą misyją bronienia młodszego rodzenstwa, przed mogącém je spotkać niebezpieczeńswem na odległym spacerze. „Jak zobaczycie psa, to się chowajcie za mnie—mówi on, strojąc minę poważną.— Może on być wściekły, a ja jestem silny, mam gruby kij, to was obronię.” Przykłady i życiorysy sławnych ludzi, silnie na jego umysł działają; zachwyca się męztwem bohatérów, podziwia Demostenesa, przełamującego wadę zająkliwego mówienia i z téj walki wychodzącego wielkim mówcą.

Matka, korzystając z owego zachwytu, mówi mu, jak to człowiek pracą i silną wolą do wszystkiego dochodzi; jąk dziécię może przezwyciężyć trudności, pokonywać swe wady, gdy tylko zechce silnie—całą duszą.

Dumę męską chłopca łatwo ku szlachetnym celom rozumna matka skieruje. Nie należy jéj też ściérać, ale tylko uzacniać. Pokora prawdziwéj wiedzy i rozumu przyjść może z wiekiem jedynie; w chłopięciu wiara w siebie jest samowiedzą ducha i matka powinna dawać mu uczuć, że wierzy w nią także. Jeżeli na przykład przy czytaniu o czynie odwagi, lub poświęcenia, którego z dzieci wsławionych, chłopiec twój zawoła z uniesieniem: —„Jabym tak samo postąpił!— nie okaż mu powątpiewania, ale owszem powiédz, że ufasz, iżby tak uczynił w istocie. Nie mów mu o potrzebie pokory, bo jeszcze na nią czas nie przyszedł, a w dziecku może ona być tylko sztuczną, kłamliwą, lub dowodzić słabości, a nawet podłości charakteru. „Charakter prawdziwie wielki—mówi Smiles—znajduje ostateczne udoskonalenie w cierpliwości i pokorze" ale to już udoskonalenie ostateczne: a nie zdobycz wieku chłopięcego. Wszak ufność i wiara we własne siły, to potęga młodości; w wieku dziecinnym ufność ta dochodzi do zupełnego sił własnych nieobliczania, a im dziecko młodsze, tém mniéj wierzy w niepodobieństwo. Zachciewa mu się księżyca i wyciąga po niego rękę.

W wieku chłopięcym już wié, że księżyca dostać nie można; ale im jest silniejsze, żywsze, więcéj rozwinięte, tém więcéj sobie ufa.

Często można słyszéć dzieci mówiące: — „Jak będę duży jak będę taki, jak tatko..."— I dopiéro puszcza wodze fantazyi. Zdaje mu się, że, gdy będzie tyli jak tatko, potrafi ujeżdżać konie dzikie, zwalczać lwy i tygrysy. Te marzenia matka podchwytywać powinna, bo jéj zawsze coś z ducha jéj dziécięcia odkryją. Powiedzą jéj, czy duch ten nie pełza w zachciankach używania próżniactwa. Może się zdarzyć, że matka usłyszy:— „Jak będę duży, to nie będę nic robił, tylko jadł same cukierki, wszystkie książki w domu popalę, a pić będę nie wodę z sokiem, ale sam sok".— Niech matka nie lekceważy sobie takiego kierunku myśli dziecinnych. Są one zawsze objawem czegoś, co się wyrabia w charakterze i co z całą usilnością wykorzeniać lub rozwijać należy.

Poznanie wychowańca jest piérwszym warunkiem umożebniającym wpływ na niego; w każdéj zatém okoliczności trzeba szukać strony odsłaniającéj pewną właściwość jego ducha.

Na takiém spostrzeganiu matka poprzestać powinna, nie wymagając od dziecka nigdy spowiedzi, jaka należy się tylko— Bogu. Zaufanie nie nakazuje się i nie można czynić z niego obowiązku dla dziecka, w którém, może ono tylko być natchnieniem, nigdy rozmysłem.

Dla stwierdzenia przykładem powyższego zdania, przypuśćmy, że matka zapytuje chłopca, o czém myśli w téj chwili? Na dziewięć dziesiątych razy dziecko śmieje się i twierdzi, że o niczém nie myślało, wykręca się, próbuje wymijających odpowiedzi, lub kłamstwem stara się uwolnić od natręctwa.

Pomimo że zaufanie do rodziców, a szczególniéj do matki jest nader ważną w wychowaniu pomocą, ośmielę się jednak twierdzić, że zaufanie to, zupełne w piérwszych latach dzieciństwa, musi w następstwie znacznie się osłabić. Może ono trwać w całéj pełni odnośnie co do wyjawiania przez dziecko własnych postępków; ale dziedzina myśli i ducha, im więcéj się urabia, kształci i wyosabnia, tém więcéj się zamyka w sobie, lub szuka żywiołów sobie podobnych, które rzadko młodzieniec w duszy matki znajduje. Sama różnica wieku czyni to niepodobném; uszanowanie, jakie matka wzbudzać powinna, bywa téż jedną tamą więcéj.

Ale nie wywołując, nie wymagając zwierzeń, matka może czytać w duszy dziecka, byle patrzéć dobrze umiała. Wpływ jéj łagodny, a nie narzucający się, działać może i powinien aż do zupełnéj dojrzałości wychowańca.

Mało jest matek, któreby mogły czegoś uczyć dzieci. Na przeszkodzie staje im często brak wykształcenia, lub zajęcia domowe. Byłoby jednak pożądaném, by matka, choć jeden przedmiot wzięła na siebie np. naukę ojczystego języka. To łatwiéj odkryłoby jéj trudności nauczania; uczyniłoby ją wyrozumialszą dla nauczycieli i dałoby jéj możność śledzenia rozwoju umysłowego dzieci; pokazałoby jéj nadto w praktyce dwa cele nauki: siłę jéj kształcącą umysł i wpływ jéj na moralny dziecka kierunek, wytworzyłyby jednę spójnię więcéj, łączącą umysł dziecka

z życiem intellektualném matki. Nie jest to wzgląd małéj wagi. Umysł chłopca, przygotowującego się do szkół, wstępuje w zakres nauk zwykle przez kobiéty, a zatém przez matkę, nie uprawianych; marzenia jego już wychodzić zaczynają poza obręb rodzicielskiego domu; jego upodobania do koni, psów i myśliwstwa odrywają go od uciech kółka rodzinnego i często już w tym wieku między umysłem matki i syna tworzy się przepaść, niewidoczna dla mniéj spostrzegawczego oka, zapełniająca się pozornie obustronną miłością, ale niemniéj przepaść, z poza któréj trudno już matce śledzić rozwijanie się ducha i umysłu dużego chłopca, kierowanego w nauce przez obcą rękę, a poza obrębem godzin pracy oddającego się ruchliwéj zabawie na świéżém powietrzu, w któréj matka za nim nie podąży.

Często patrząc na chłopca, hasającego na koniu, łyżwującego po zamarzłym stawie, lub bawiącego się piłką z towarzyszami, matka czuje, że jak nie podąży za nim w zabawie, tak i w nauce straciła już nić rozwoju jego intellektualnego i że myślą i duchem stała się obcą dla niego. Moralizowanie nie nawróci go do niéj, bo jest to sposób sztuczny i skutkować może tylko, gdy ma dane z życia poczerpnięte. Niech więc matka nie omija żadnéj sposobności utrzymania spójni duchowéj między sobą a synem.

Schodząc do coraz drobniejszych szczegółów wychowania macierzyńskiego, nadmienić muszę o zewnętrznych objawach uszanowania dzieci dla rodziców.

O ile niegdyś dochodziły one do takiéj przesady, że syn dwudziestoletni wobec ojca usiąść nie śmiał; o tyle teraz skłaniają się one w wielu rodzinach ku obejściu tak pełnemu swobody, że aż w lekceważenie często przechodzi. I tu utrzymanie średniéj miary jest rzeczą korzystną dla dzieci, a oszczędzającą rodzicom przykrości—często nawet boleści. Zacząwszy od życzenia dnia dobrego i dobréj nocy rodzicom, do czego dziécię od najmłodszego wieku przyzwyczajone być winno; wreszcie dziękowania im i grzecznego proszenia o wszystko; oznaki uszanowania dla rodziców objawiać się powinny w ustępstwach wszelkiego rodzaju.

Rodzice zrzekać się tego nie powinni i dopiéro dla dorosłego dziecka matka może pozwolić sobie rozkoszy ustępowania miejsca najwygodniejszego i najlepszych kawałków z podanego półmiska. Każdemu z nas zdarzyło się widzieć pieszczone dzieci, tak przyzwyczajone do ciągłych poświęceń matki, że je uważały już, jako z prawa sobie należne. To zapewne wyradza zdarzające się często w wieku późniejszym zupełne zapomnienie o wygodach i upodobaniach rodziców.

Dla powracającego ze szkół syna, nie tylko przygotowuje matka, co dom ma najlepszego; ale z radością ustępuje mu miejsca sobie należnego. Syn uważa téż, że jéj obowiązkiem jest dostarczanie mu wszystkiego w najlepszym gatunku. Rzuca naprzykład przed nią koszulę nie dość pięknie uprasowaną, oświadczając, że on w takiéj bieliźnie chodzić nie myśli, a matka bieży coprędzéj, wydając polecenie, by prano koszule synowskie.

Pewien niemłody już człowiek, opowiadał mi, że matka jego, osoba wielkiego serca, przyzwyczaiła go do takiéj o jego wygody dbałość, że ją uważał za rzecz zupełnie zwyczajną. Dorosłym już będąc młodzieńcem, oddawał się gospodarstwu bardzo gorliwie i objeżdżanie folwarków zabiérało mu tak wiele czasu, że wracał zwykle po minionéj dawno obiadowéj godzinie. Zastawał jednak zawsze przyrządzone dla siebie z obiadu najlepsze kawałki, przy czém uwzględnione były jego upodobania i gusta. Raz zdarzyło się, że matka za interesami do miasta powiatowego wyjechała i wróciła późno głodna i zmęczona. Podano jéj resztki z obiadu. W zupie rakowéj nie było ani jednéj szyjki, pieczyste składało się z najgorszych cząstek drobiu, legumina była niekształtnym kawałkiem, jaki zwykle zostaje po obdzieleniu wszystkich.—„Kto pomyślał o zostawieniu mi obiadu?"—zapytała łagodnie matka.—„Nie wiem, zapewne służący."— odparł syn najnaturalniéj. Matka ledwie dotknęła jedzenia. Udała się do swego pokoju, gdzie ją syn w godzinę późniéj zastał płaczącą. Łzy te zrobiły na nim wrażenie, odkrył w końcu ich powód i dopiéro zrozumiał, że bez winy rozmyślnéj serca rodzą się przyzwyczajenia, oddziaływające jednak na oziębienie uczucia i że to ostatnie trzeba wzmacniać w dzieciach, czyniąc je bacznemi na względy należne rodzicom.

Że dziecinną pamięć do tego przyzwyczaić można, mogłabym stwierdzić przykładami. Znam matkę, dla której dzieci wybiérają zawsze najpiękniejsze owoce, znoszą jéj kwiaty, stroją w nie jéj pokój, żadne nie dotknie nigdy przylépki, bo ją mama lubi, okrawają białe skórki od własnych kawałków chleba, niosąc je na serwecie matce i błagając, by je przyjęła, chodzą na palcach, gdy śpi, przestrzegają, by nie robiono hałasu, gdy gra na fortepijanie; z oszczędności własnych obmyślają dla niéj prezenta, a najmłodsza dziewczynka, odpowiedziała komuś, co ten stósunek chwalił:— „Niech się pan nie dziwi, przecież mama to nasza jedynaczka".—Nie każdéj matce zapewne dany jest ten rodzaj taktu i, że tak powiem, wdzięku macierzyńskiego, który wywołuje taką ciągłość poświęceń; ale każda, wymagając od dzieci małych dowodów szacunku i pamięci, może nie zrzekać się praw nabytych, gdy dzieci wieku późniejszego dochodzą.

Gdy dziécię z domu do szkół się oddala, prąd rodzicielskiego wpływu ustaje; potrzeba więc starać się podtrzymywać go sztucznie i zawrzéć w słowie pisaném—w liście. Ale wpływ rodzicielski szedł w towarzystwie wpływów rodzinnych i domowych; był w ciągłém połączeniu z ruchem i życiem uorganizowanego światka, zwanego domem rodzinnym;— otóż listy powinny być żywém jego odbiciem i miéć na celu przedewszystkiém dziécię.

Często matka przywiązana i słaba pisze dla wylania na papiér własnych uczuć, dla ukojenia tęsknoty i zaspokojenia potrzeby własnego serca. I te uczucia, jako naturalne, a mające miłość za podstawę, powinny znaléźć miejsce w listach rodziców. Wszakże obok nich jeszcze czegoś więcéj wymagać się godzi. Jak książki pisane dla dzieci, tak list rodzicielski powinien tchnąć spokojem, uczuciem, prostotą; nie należy go przepełniać suchemi morałami, złośliwemi przycinkami, ani ową logiką zwykłych wychowawców: *Ja ci mówię, więc tak być musi.* Przedewszystkiém powinien zawiérać obrazek dokładny, a jednak nie pozbawiony pewnéj idealności tego, co się w domu dzieje.

Drobne szczegóły najwięcéj interesują dziécię; stawiają mu w oczach dom rodzinny—to ognisko, z którego wszystkie dobre uczucia płynąć dla niego powinny. Obrazek taki przywodzi mu na pamięć dobrą, łagodną, uśmiéchającą się do niego matkę, słyszy głos ojca, szczebiot młodszego rodzeństwa, czuje się prawie owianém rodzinném powietrzem, a wślad za tém przychodzi myśl płodna w zachętę, jak ten jego światek witać go będzie, gdy na święta, lub wakacyje przyjedzie; jaką radość sprawi dobra cenzura; jak matka łzy w oczach—słodkie łzy szczęścia—mieć będzie, czytając ją; jak potém oczy do nieba wzniesie, dziękując Bogu, że syn jéj, lub córka nie wyrasta na próżniaka, że obowiązkom swoim odpowiada.

Każdy, kto był od swoich oddalony wié, że list, nie przynoszący z sobą tego rodzinnego powietrza, nie dający tego obrazka wiernego życia rodziny, mało robi wrażenia, choćby myśli w nim zawarte były złote. Dopiéro wraz z tém żywém, swojskiém tchnieniem, rada macierzyńska lub ojcowska zapada w głąb' serca dziecinnego, a nie prześlizguje się po niém, spowita w nudę suchego moralu, który dziécię pominie, szukając wzmianki o rodzeństwie, ulubionym kucyku, ogródku dziecinnym i tysiącu drobiazgach miłych pamięci i sercu.

Pewna matka poleciła mi, jadącéj do miasta, oddanie listu synowi chodzącemu do szkół, uczniowi klasy 3-éj. Sprowadziwszy chłopca do siebie, oddałam mu list matki, zachęcając, by nie zwlekał czytania przez delikatność, nakazującą mu przedłużać ze mną rozmowę. Chłopiec rozerwał kopertę, przebiegł oczami list tak spiesznie, żem widziała, iż go dokładnie przeczytać nie mógł i dopiéro na ostatniéj stronnicy zatrzymał się dłużéj i wyraz zawodu znikł z jego oblicza.—„Cóż ci mama pisze?"—zapytałam.—„Ej nic"—odpowiedział. — „Jakto nic. Przecież widziałam zapełnione cztery stronnice." — „Doprawdy nic, tylko Staś (młodszy braciszek) pisze mi — tu oczy chłopca rozjaśniły się, że *Kozak* (tak się mój konik nazywa), będzie dostawał codziennie garniec owsa téj zimy; nie będzie już taki słaby na wiosnę, jak przeszłego roku. Biédak pocił się i męczył, ledwiem wsiadł na niego. Dobry tatko, że mu każe garniec owsa dawać, muszę się postarać miéć same *piątki*, żeby tatuś widział, że i ja

pragnę mu zrobić przyjemność."—Wzięłam list z rąk chłopca i zobaczyłam dziecinném pismem u spodu napisane słowa:—„Ściskam cię serdecznie. Tatko powiedział, że Kozak będzie dostawał codzień garniec owsa téj zimy. Staś."— Potém przeczytałam list matki. Był cały zapełniony radami, przypomnieniami danych zleceń, morałami; od nich się zaczynał i na nich się kończył. Poczęłam znowu nalegać na chłopca, żeby mi zdał sprawę z tego, co matka pisała. Zmięszał się, wykręcał, wreszcie powiedział mi, że matka zalecała żeby się dobrze uczył, żeby bieliznę w porządku utrzymywał, żeby codziennie mył zęby. Ani o bieliźnie, ani o zębach, nie było w liście ani jednego słowa i roztarguienie chłopca pomieszane z pragnieniem dowiedzenia się czegóś o domu, nie pozwoliło mu nawet zapamiętać treści listu. Kilka słów dodanych przez brata do reszty słowa macierzyńskie usunęły na stronę.

Wspomnianego tu chłopczyka ani usprawiedliwiać nie chcę ani twierdzić, że wszystkie dzieci tak mało przywiązują wagi do rad rodzicielskich; ale wszystkie bez wyjątku przyjmują je chętniéj, gdy wraz z niemi, szczegółowe wieści o domu im przychodzą. Dziécię nie lubi rzeczy oderwanych, jego czynna, ruchliwa natura ma wstręt do nich; podane żywém słowem, są jeszcze życiem; ale ujęte w martwą literę listu, stają się czczym wyrazem. Ośmielę się téż twierdzić, że na stu chłopców, 99-ciu po przeczytaniu listu, o jakim wyżéj wspomniałam, myślałoby jedynie o *Kozaku* chrupiącym owies, a suche rady matki, przed tym miłym sercu obrazem ustąpićby musiały.

Więc nie dawać rad piśmiennych? Strzedz się morałów listownych? Nie, tylko je podawać w formie dla dziecka sympatycznéj, takiéj, któraby się gwałtem jego umysłu chwyciła, w serce zapadła, a taką formą jest niechybnie, jak rzekłam, rozbudzenie jego uczuć rodzinnych, przez szczegóły, jakie mu się daje o życiu rodziny i tego, co ją otacza. Czy nie byłaby dla dziecka daleko wymowniejsza forma takiego naprzykład morału?—„*Kozak* będzie w zimie dostawał obroku. Ojciec pomyślał o zrobieniu ci téj przyjemności, byś na wiosnę mógł po polach hasać do woli. Dobry, kochany ojciec, myśli o waszych wygodach i upodobaniach. Myślmy téż i my o tém, co mu pociechę

przynieść może. Wystawiam sobie jego radość, gdy przywieziesz dobrą cenzurę, a pan X. zaświadczy o twojém dobrém sprawowaniu." — Albo: — „Myślimy tu o tobie wszyscy, Staś, Zosia, a nawet mała Marynia, mają twoje imię często na ustach, przy każdéj potrawie, którą lubisz, mówią o tobie. Marynia chciała ci wczoraj posłać klusek z sérem w liście; ledwiem jéj wytłómaczyła, że poczta takich posyłek nie przyjmuje. Staś uczy się chętnie; bodźcem dla niego jest myśl, że w tém samém gimnazyjum, co i ty umieszczonym będzie. Chciałby cię naśladować we wszystkiém — pamiętaj, by to naśladownictwo tobie chlubę, jemu pożytek przyniosło. Obiecałam mu, że gdy przyjedziesz, pokażesz mu swoję cenzurę; powiedziałam téż, że będziesz miał białe i czyste zęby, myte codziennie; to go zachęca do poddawania się niemiłéj dla niego operacyi. Nie lubi szczoteczki i proszku, ale wiadomość, że i ty ich używasz, osładza mu codzienną torturę, tak jak tobie osładza ją wiadomość, że ja sobie życzę, byś zęby czysto utrzymywał. Jest to dla zdrowia koniecznie potrzebném." —

Może ktoś powiedzieć, że taka dyplomacyja, starająca się osłodzić pigułkę, nie jest na miejscu między rodzicami a dziećmi. Na to odpowiem, że jeżeli to jest dyplomacyja ze strony rodziców, dzieciom nie wyda się nią bynajmniéj, bo jest to tylko zastósowanie się do kierunku myśli dziecka, do naturalnych jego poglądów i, że tak powiem, przykrojenie własnych pojęć do jego miary, co w wychowaniu jest sztuką najpotrzebniejszą, bez któréj żadne usiłowania nie przyniosą zamierzonych skutków. Pomyślmy zresztą czém dla starszych jest forma;—jak nauki, sztuki, wielkie myśli, pragną się odziać w szatę jak najprzystępniejszą najwdzięczniejszą, gdy przychodzą kołatać do serca i umysłu czytających, a nie będziemy się dziwić, że i dziecku osłodzona pigułka, nie tylko więcéj smakuje, ale większą korzyść przynosi, niż gorzki proszek, na który się krzywi.

Każdy chłopiec, po wyjeździe do szkół, musi przejść przez silnie oddziaływającą na wyobraźnią wiadomość zepsucia. Jest to

wprawdzie tylko teoryja złego, poczerpnięta z opowiadań kolegów, którzy także po największéj części znają tylko jego teoryją. Dla dziecka jednak wychodzącego z pod skrzydeł matki, nieznającego jeszcze brudnych stron życia, i o namiętnościach niskich nie mającego pojęcia; takie naraz odkrycie zasłony, czyni wrażenie podobne do tych, jakie sprawiają widziadła w gorączce.

Chłopiec szepce po kątach z kolegami, czasem wpada mu w rękę książka wyobraźnię jego niesłychanie podniecająca; słowem dziécię, żyjące dotąd naturalném dla niego życiem, zrywa jabłko z drzewa wiadomości złego. I zapobiedz temu niepodobna.

Matka w domu przygotować go do tego nie może, bo jéj obowiązkiem otoczyć dziécię przykładami najczystszéj moralności, atmosferą spokoju, wrażeniami, wypływającemi z uczuć dobra i piękna.

To téż matka, zamieszkała w mieście, powinna być dla syna przeciwstawieniem tych wszystkich kobiét, które go zaciekawiać zaczynają; ta, która na wsi mieszka, niech korzysta z wakacyj, żeby walczyć o duszę dziecka z wpływami świata, majaczącemi przed jego niedojrzałą wyobraźnią i wytwarzającemi w jego myśli świat zupełnie różny od tego, w który wprowadziła go matka.

Rozumna kobiéta niech wtedy bada upodobania dziecka, bo przez nie panuje się najłatwiéj. Jeżeli chłopiec lubi czytanie, niech mu podsuwa rzeczy zajmujące, ale dobre, proste i jasne; jeżeli lubi rozmowę (wcześniejsza nauka o rzeczach zwykle upodobanie do niéj zaszczepia); niech matka stara się zniżyć do jego pojęć, niech urozmaica rozmowę i przez nią budzi w chłopcu podnioślejsze uczucia. Wpływ matki na syna w tym wieku nie może się już ująć w formy stałe i musi się warunkować usposobieniem dziécka i tysiącznemi okolicznościami; ale niemniéj starać się o niego trzeba, zostawiając wolność dziecku aż do téj granicy, na któréj matka musi powiedzieć stanowcze: *nie*, którego nigdy na żadne prośby cofnąć nie powinna. W ogóle, jak najmniéj praw, ale gdy je trzeba było ustanowić, należy je w całéj rozciągłości wykonać.

Wypada tu ostrzédz matkę, że w tym wieku chłopiec bywa najmniéj doskonałym. Latać jeszcze nie umié, a już chodzeniem pogardza; pozory wydają mu się do tego stopnia rzeczą ważną, iż mniema, że gdyby miał podartą podeszwę, wiedziałoby o tém całe miasto. Obraża się téż, jeżeli go ktoś dzieckiem nazywa, słowem na młodzieńca pozuje. Jest to wiek fałszywych, boleśnie piekących wstydów, źle ukrywanych miłości własnych i tych wszystkich uczuć przejściowych, które niezmiernie oszczędzać i umiejętnie traktować należy, żeby zamieniły się w szlachetne przymioty, a nie zeszły na niziny samolubstwa, pychy i podłości. Nadmienić trzeba, że uczucia te, które nazwaliśmy przejściowemi, są w skutkach dla chłopca pożyteczne.

Owa wielka obawa opinii ludzkiéj, z którą rozsądnie walczyć należy, skłania go przecież do uwagi na siebie; daje mu przyzwoite obejście, staranność mowy i ubioru cechującą ucywilizowanego człowieka; wreszcie pobudza go do pracy nad kształceniem własnego umysłu. Zważmy, że młodzi ludzie pozbywający się owéj miłości własnéj, która skłania do dbałości o formy, ubiór i mowę przyzwoitą są zwykle opanowani przez jakąś ideję niedojrzałą, trawiącą często najpiękniejsze siły narodu. Nowatorowie wszelkiego rodzaju afiszowali zwykle pogardę dla form zewnętrznych; nihiliści rossyjscy i socyjaliści zachodni, odznaczają się tém zaniedbywaniem zwyczajowych ustaw— słowem dążność do obalenia porządku istniejącego idzie zwykle w parze z pogardą dla form ustalonych zwyczajem.

Dbałość zatém człowieka ucywilizowanego o piękno zewnętrzne i opinią ludzką jest rzeczą pożądaną, bo daje rękojmią, że umysł, trzymając się dróg wypróbowanych, ubitych i szérokich, nie zejdzie na niebezpieczne manowce. Czułość zbyteczna na sądy ludzkie z czasem przeminie, a świat, czyniąc młodzieńca na swoje zdanie drażliwym, staje się mimowiednym sprzymierzeńcem rodziców, by jego pojęcia utrzymać w obrębie umiarkowania i rozsądku.

Dopiéro zerwanie téj równowagi, miotanie się przeciw prawom społecznym, walka z pojęciami narodu i ludzkości, a co dzisiaj tak często daje się wśród młodzieży spotykać, jest dla matki najboleśniejszym widokiem. Czuje ona, że dziécię wydartém

jéj zostało; serce pęknąć jéj może, gdy usłyszy słowa podobne do tych, jakie znajoma mi matka usłyszała z ust syna, a przypominające bluźnierstwa Franza Moora:—„Rodzice, wydając mię na świat, wcale o mnie nie myśleli — dogadzali sobie; zatém nic im nie winienem; dając mi życie nic wyświadczyli mi żadnéj łaski, wychowywali mię dla zaspojenia własnego instynktu i nic więcéj.“ — Co matka na to odpowiedzieć może? Czy przypomnieć synowi niedospane nad kolébką noce, serdeczne łzy, jakie wylewała nad jego cierpieniem, poświęcenia każdogodzinne, jakie na jego wychowanie się składały? Ależ to było tylko dogadzanie instynktowi macierzyńskiemu; zatém czyn sam w sobie miał już zapłatę i wychowaniec nie winien jéj wdzięczności żadnéj.

Nie potrzeba tu dalszych komentarzy. Fakt sam za siebie przemawia, jeżeli nie do duszy każdego człowieka, to do duszy każdéj matki bez wyjątku.

Mniéj rozdzierającym zapewne, smutnym przecież bardzo dla matki jest widok wyrządzanéj krzywdy moralnéj dziecku bez próżności zapobieżenia złemu. Taką krzywdą są niepowodzenia naukowe, nie z winy wychowańca wypływające.

A jednak zdarza się często, że zamiast pociechy ujętéj w formę zachęty do pracy na innéj drodze; zamiast wiáry w zbudowaną na téj drodze przyszłość, chłopiec cierpiący i zniechęcony znajduje w ustach rodziców gorzkie słowa, powracające za każdą sposobnością. Słowa te rozjątrzają ranę i wprowadzają umysł w ten stan chorobliwéj drażliwości, z któréj tak łatwo przechodzi się do zupełnego zniechęcenia.

Często téż zdarza się, że zdrowie nie pozwala chłopcu na szkolną, systematyczną naukę.

We wszystkich tych wypadkach młodzieniec napotyka na niewyrozumiałość rodziców. Mają oni żal do syna, że mu się nie powodzi i, nie badając, czy winien jest temu, lub nie, do przykrości wypływających z samego położenia rzeczy, dodają jeszcze tysiące wyrzutów i przycinków nie bacząc, że do tego niepowodzenia, może sami przyczynili się, nie dawszy mu gruntownéj podstawy w początkowéj nauce, lub zaprzęgłszy go zbyt wcześnie do pracy nadmiernie wyczerpującéj jego siły. Może téż do

tego przyczyniać się w równym stopniu brak uwagi na prawdziwy rozwój sił fizycznych, nieumiejętne lub niedostateczne odżywanie, co wszystko, przy zupełnéj nieznajomości hygijeny i praw fizyjologicznych przez ogół rodziców bardzo często się zdarza.

Przykłady zatrzymania się młodych ludzi wśród nauk są u nas pospolitsze, niż powszechnie sądzą. Rozbiéranie przyczyn zbyt dalekoby nas zaprowadziło; dość będzie zaznaczyć, że złe, przechodzi miarę wyjątkowych przypadków; że każda okolica posiada mnóstwo młodzieży bez patentu dojrzałości, że liczba uczniów zmniejsza się niesłychanie w wyższych klasach i to w stósunku nigdzie niepraktykowanym; że zatém wśród wielu rodzin spotyka się ofiarę własnego próżniactwa, rodzicielskiéj niedbalstwa lub ciemnoty, wreszcie zbiegu nieszczęśliwych okoliczności. Gdy matka ujrzy syna na takiém rozdrożu powinna zebrać całą siłę umysłu, całą energiją charakteru, by powziąć postanowienie i wspólnie z ojcem natchnąć niém chłopca.

W każdém więc niebezpieczeństwie tylko wielka przytomność umysłu, ocalić może i w tym razie matka powinna ją zachować, a odrzuciwszy wszelkie niewczesne żale, wymówki, wyczekiwania i bezpłodne lamentacyje, stanąć od razu na punkcie praktyczego wyjścia.

Panowanie nad sobą tak potrzebne wychowawcom i tu znajduje zastósowanie. Nie myśląc o doznanym własnym zawodzie, trzeba ratować dziécię, dać możność postawienia się znowu na stałym gruncie pracy, wyszukać cel, do którego mogłoby dążyć.

Chłopiec, tracący czas na bezcelowe i bezczynne siedzenie w domu, odzwyczaja się od pracy, oswaja się ze swojém położeniem; wyszukuje usprawiedliwiających go powodów i w końcu zadawala się niemi.

W mieście szuka rozrywek, zabija czas wałęsaniem się po ulicy; na wsi poluje, jeździ konno, stara się jak najwięcéj czasu spędzić poza domem, by uniknąć niezadowolonych spojrzeń rodzicielskich; ale powoli bezczynność umysłowa zaczyna mu dogadzać; robi projekta dla zaspokojenia własnego sumienia, oddala przecież, o ile można, ich urzeczywistnienie. Projekta te mnożą się coraz bardziéj; dziś usłyszał o *jakiéjś*, *gdzieś* szkole, do któréj egzamina zdać bardzo łatwo; jutro tłómaczy sobie, że

prywatnie do uniwersytetu się przygotuje; pojutrze marzy, że pojedzie kształcić się za granicą; innym razem, że jako wolny słuchacz przygotuje się do egzaminu; to roi o agronomicznym zakładzie, to go szkoła handlowa zachwyca swemi przymiotami i tak schodzą nieraz *lata całe*. A rodzice? I oni powoli przyzwyczajają się do takiego stanu rzeczy. Ojciec utyskuje czasem przed starym przyjacielem na to, że „nie wié co z chłopcem robić;" matka czasem wzdycha, to znowu z upodobaniem patrzy na tryskającą zdrowiem twarz syna, na lekki puszek zapowiadający wąsy; w sekrecie zwierza się mężowi, że syn bardzo wyprzystojniał, na co mąż zapowiada, że „kobiéty za nim przepadać będą" i tak powoli dojrzewa młodzieniec *do niczego*—ciężar społeczeństwa.

Jeżeli rodzice mają zasoby, żyje z nich, marząc tylko o bogatém ożenieniu; jeżeli są ubodzy, musi szukać jednego z tych zajęć, do jakich nie trzeba żadnych kwalifikacyj. Zostaje nauczycielem domowym, praktykantem gospodarskim, dozorcą przy jakiéjś fabryce, lub urzędnikiem najniższego stopnia i z musu zaprzęga się do pracy nieumiłowanéj, którą w duchu przeklina, spełniając ją niedołężnie i niedbale.

Zwrócić tu należy uwagę matek na szkodliwy, a stósowany w takich razach prawie w każdéj rodzinie zwyczaj docinków i przymówek czynionych dzieciom. Póki wychowańcy są mali, przestrogi dawane im są w sposób zrozumiały i jasny, wymówki formułowane dobitnie; gdy jednak wychodzą już z dzieciństwa, rodzice czują, że wobec nich nie umieli zachować władzy moralnéj, opartéj na szacunku; czują, że duchowo dziécię przestało być pod ich wpływem, że rady i wyrzuty doprowadziłby je mogły do buntu wyraźnego, do samowoli; używają zatém sposobu okrutnego, a działającego zwykle wprost przeciwnie oczekiwaniu t. j. docinków i przymówek. Korzystają z każdego zdarzenia, z każdéj rozmowy, żeby dorzucić słówko przykre dla dziecka: —„O, znam ja takich paniczyków—mówi ojciec—którzyby chcieli roztrwonić mienie całéj rodziny. Nie umieją jeszcze zapracować,

a na nic sobie nie żałują z kieszeni ojcowskiéj."—„Niech chłopiec tylko przestanie nosić buciki a włoży buty"—mówi matka.—„To już matka u niego nic nie znaczy, już jéj uwagi ma za nic, zdaje mu się, że ona nic nie wié, nic nie umié, na niczém się nie zna, że jéj wymagania są śmiészne; gdy mu co radzi, rusza ramionami—taka to młodzież dzisiejsza!" — Albo:—„Niéma gorszego nieszczęścia, jak mieć dzieci! Piastuj to, strzeż, pilnuj, pielęgnuj, ucz, staraj się o wygody, żeby potém doczekać się, że tyle dbają o matkę, co o piąte koło u wozu."—Albo:—„Szczęśliwi państwo X., doczekali się pociechy z syna; skończył dobrze nauki, nie tak jak inni, co i t. d."—Podobna taktyka jest jakby rzuconym pierwiastkiem ciągłego fermentu do źródła uczuć rodzinnych. Zamąca je, ostudza, zaprawia kwasem i goryczą.

Drugiém złem, jakie przynosi, jest oswajanie dziecka z niezadowoleniem rodzicielskiém. Niezadowolenie to może być karą, któréj wychowaniec najbardziéj się lęka, jeżeli ono jest wywołane złém jego postępkiem. Jest to — jakby nagle odsłaniające się rozdarte i zranione serce rodzicielskie — widok wstrząsający do głębi.

Ale gdy stan taki przechodzi w ciągłe rozdrażnienie, dziécię oswaja się z niém témbardziéj, że samo w nie wpada i wtedy obawa wywołania niezadowolenia rodzicielskiego przestaje być dla niego bodźcem dobroczynnym.

Niezawodnie nagana i oznaki niezadowolenia często są nieuniknione; ale zawsze rodzice powinni się starać wyczerpać inne środki łagodniejszéj natury. „W biegu codziennego życia rozsądniéj jest dodawać odwagi pochwałą i uznaniem, niż bezustannie robić zarzuty; rozsądniéj ufać, niż posądzać; odwoływać się do przywiązania, niż ganić i upominać." *)

Smutną jest rzeczą, że powyższa beztaktowność rodziców objawia się zwykle właśnie w wieku, w którym zwiększona dra-

---

*) Principles of education by the author of „Amy Herbert".

żliwość młodych i sama ich niedojrzałość wymaga bardzo rozumnego obejścia. W życiu codziennem często małe błędy zatruć mogą szczęście; drobne zaś objawy delikatności, najcięższe położenie znośném uczynić; zatém i w postępowaniu z młodzieżą małych względów lekceważyć nie trzeba.

Pewna młoda osoba wyznała mi, że długo nie mogła ojcu darować upodobania, jakie miał w wymawianiu, z intencyją, w jéj obecności, nazwiska młodego człowieka. Nazwisko to wywoływało zawsze na jéj lica rumieniec. Nie kochała go wcale, ale że ją nim prześladowano, więc się czerwieniła zwyczajem niektórych panien.

Przy obiedzie, wobec zgromadzonéj rodziny, nauczycieli, młodszego rodzeństwa i dwóch praktykantów gospodarskich, ojciec nieodmiennie wymawiał, patrząc na nią, to nieszczęsne nazwisko. Pomimo, że idąc do obiadu nacierała sobie szczotką policzki, żeby już, o ile można, mieć twarz czerwoną; zmieszanie zawsze ją ogarniało i wywoływało uśmiéchy otaczających. Młoda dziewczyna pragnęła wtedy wyjazdu ojca z domu, pragnęła dla siebie choroby, pragnęła, żeby się dom spalił, coby może uwolniło ją od licznego zgromadzania się na obiad tylu świadków uparcie wracających rumieńców. Jest to przykład jeden z tysiąca, w których brak delikatności rodziców i umiejętności odczuwania wrażeń młodzieńczych, sprowadza brak zaufania ze strony dzieci, a nawet rodzi tłumioną niechęć.

Matka szczególniéj może i powinna odczuwać te małe drażliwości, niepokoje; to budzenie się miłości własnéj w dziécięciu. Syn jéj napisał sonet miłosny, który ona przypadkiem znalazła. Jeżeli widzi, że się chłopiec z poetyckiemi próbkami kryje, niechże nie czyni, jak jedna moja znajoma, która sonet wobec kilku osób przeczytała przy zarumienionym i błagającym, by tego nie czyniła, synu. Ta matka już nazawsze straciła zaufanie synowskie.

Inna spostrzega noszony przez młodzieńca medalijon, którego jéj nie pokazał; jeżeli przypuszcza, że zawiéra tajemnicę (często najniewinniejszą), nie powinna wymagać, by go jéj pokazał. Już wtedy niech matka zrozumié, że serce jéj dziecka ma prawo do właściwości nienaturalnéj przez niedyskrecyją choćby

nawet matki. Często w bijografijach i autobijografijach spotykamy się z faktem, że cztérnasto lub piętnastoletni młodzieniec, pała tajemną i nieśmiałą miłością do jakiéj figlarnéj kuzynki, lub starszéj od siebie słynnéj piękności. Rumieńce, zalęknienie, wiązane dla niéj bukiety, zdradzają go. Ludzie obcy się śmieją, ale matka śmiać się nie powinna, ale traktować to uczucie syna z niezmierną oględnością i delikatnością. Jeżeli nie przynosi mu ono szkody, jeżeli od nauk nie odrywa (często chłopiec dla zwrócenia na siebie uwagi ubóstwianego ideału bierze się do nauki i z podwójnym zapałem) trzeba je uważać za to, czém jest w istocie — za marzenie krótkotrwałe a jednak samo w sobie piękne, bo żyjące najczystszą poezyją, najpoetyczniejszego z uczuć, jakiém jest piérwsza miłość. Matki jednak, albo się z niego naśmiewają i obrażają chłopca w najdotkliwszy sposób, albo téż, bojąc się następstw, robią z tego rzecz bardzo ważną; stawiają przeszkody, moralizują syna, śledzą młodych i przeszkadzają ich rozmowie. W jednym i drugim razie dowodzą wielkiéj nieznajomości serca ludzkiego.

W piérwszym młodzieniec wzburzony zamyka się w sobie, kryje się przed matką, unika jéj, nie może się oprzéć uczuciu, pewnéj ku niéj niechęci; w drugim, stawiane przeszkody wywołują opór, a uczucie samo z dziecinnego marzenia urasta na uczucie poważne, którego konsekwencyj już się obawiać wypada. Chłopiec ledwo przed samym sobą wyznał, że kocha, lub nawet nie wyznał jeszcze, a już swojéj miłości bronić musi, już mu trzeba występować do walki o dobro, którego z samowiedzą nie posiadał jeszcze; urasta więc we własném przekonaniu na bohatéra, a nieśmiała skłonność do ładnéj kuzynki na nieszczęśliwą miłość pozować zaczyna, lub się w nią rzeczywiście przeradza. Niech matki pamiętają, że są uczucia zbawienne, gdy stoją w mierze właściwéj i, że dopiéro po przekroczeniu jéj, stają się szkodliwémi. Nie powinniśmy téż zapominać, że jak my, tak nasze dzieci, jesteśmy wypiastowani przez cywilizacyją o niezmiernie delikatnych odcieniach. Składają się na nie zarówno nauki, jak sztuki i literatura, teatr i towarzyskie stósunki. Przy takiém rozdrabianiu się wrażeń naszych, rozpadają się i uczucia na odcienia, o jakich człowiek na niższym stopniu cywilizacyi stojący,

niéma pojęcia. Rodzice na to skarzyć się nie powinni, bo większa wrażliwość dzieci daje im sposobność wszechstronniejszego oddziaływania na nie. Wybór tylko środków z niezmierną oględnością traktowany być powinien.

Gdy syn z chłopięcia już się na młodzieńca przekształcił, gdy ten dojrzałości bliski; rodzice muszą uznać w nim prawa indywidualności. Przekonania jego szanowane przez rodziców być powinny. Nie znaczy to, by im rozsądnie z niemi walczyć nie było wolno, ale tylko że ich lekceważyć nie powinni. Przypominanie im wieku i własnego doświadczenia, jako niezawodnéj gwarancyi słuszności, jest teoryją fałszywą pomimo kredytu, jaki sobie u nas wyrobiła. Słowa:—„Ufaj mi, jako ojcu"—nie przekonywają bynajmniéj, a słowa: — „Co ty tam wiész! Z takimi młokosami i mówić nie warto"—obrażają miłość własną chłopca i wyradzają w nim upór.

W ogóle rodzice z dziećmi dorastającemi nie umieją rozumować. Dowody ich zwykle są nieobmyślane i słabe, a słów i frazesów za wiele. Dają się téż unosić skłonnościom własnego charakteru z zupełném nieuwzględnieniem charakteru młodzieńca. Uniesieni rodzicielskim zapałem, mówią czasem rzeczy raniące duszę młodą i zasłuchani we własnéj wymowie, nie dostrzegają nawet, że młodzieniec albo w duszy lekceważy ich słowa, albo téż osłania się obojętnością, przez którą żaden argument już się przedrzéć nie zdoła.

Grunt dyskusyj jest téż bardzo niebezpieczny dla rodzicielskiego wpływu. Dyskusyja beznamiętna, prowadzona w dobréj wierze, a jednak żywa i nie grzesząca obojętnością jest rzeczą tak rzadką, że prawie do rzędu umiejętności zaliczyć ją trzeba. Zwykle przekracza ona właściwą granicę i odrazu staje na punkcie upartéj i gorączkowéj walki, w któréj już nie chodzi o przekonanie, ale o tryumf zadraśniętéj miłości własnéj. Pomijając wzgląd, że podobna dyskusyja uwłacza rodzicielskiéj powadze, że przyzwyczaja syna do stawania przeciw niéj wyraźnego oporu i zamykania się w dumnéj pewności o prawdzie własnych prze-

konań; trzeba jeszcze zaznaczyć, że dyskusyja taka, nie pogardzając żadną bronią, często używa słów obrażających i nie dających się usprawiedliwić przy spokojnéj rozwadze. Wogóle gdy wychowanie przestało już być wamaganiem z jednéj, a posłuszeństwem z drugiéj strony, powinni rodzice we własném pojęciu określić dobrze naturę wpływu, do jakiego nad dzieckiem mają prawo.

Sądzę, że wpływ ten możnaby nazwać *naturalném oddziaływaniem*, a więc oddziaływaniem doświadczenia, wytrwałości, logiki życiowéj, wreszcie wszystkich tych dodatnich przymiotów, jakie mogą się znaleźć w wyższym stopniu w rodzicach, niż w synu.

Oddziaływanie to więc stanie się tém, czém je uczyni moralna, osobista wartość rodzicielska i zmieniać się musi koniecznie stósownie do okoliczności, oraz indywidualnego usposobienia dzieci.

Przestrzedz tylko rodziców należy, że jak panowanie nad sobą było podstawą ich wpływu na małe dzieci, tak i nadal powinno jego podwaliną pozostać. Umiejętność obchodzenia się z niemi nazwaćby można dyplomacyją, gdyby ta nazwa nie nosiła w sobie pojęcia: podstępu, kłamstwa i fałszu.

Niełatwo wszakże wznieść się na stanowisko, z którego dane indywiduum moglibyśmy osądzić bezstronnie. Ileż tu warunków zbadać trzeba, jak ustósunkować oddziaływanie jednych stron ducha na drugie! Zadanie to byłoby trudne, gdybyśmy nawet przypuścili, iż żadna głębia moralna przed nami się nie utaiła; a co jednak jest niepodobném, gdy weźmiemy na uwagę, że człowiek moralny jest tajemnicą, którą odgadywać można, ale która odczytać się nie daje. Poznanie gruntowne dzieci przez rodziców jest tém trudniejsze, że bezstronność ich zawsze jest podejrzaną wobec uczucia, przywiązania i miłości własnéj, dopatrującéj przymiotów, jakich w dziecku niéma, lub pragnienia widzenia takiéj doskonałości w dzieciach, że małe wady urastają w oczach zaślepionych na grożące całéj przyszłości występki. Zważywszy tę zależność sądu rodzicielskiego, musimy raz jeszcze powtórzyć, że nie należy się spieszyć z ostatecznym wyrokiem. Pojęcie o złém i dobrém jest i pozostanie zawsze jedno i to samo; ale odcienia charakteru, jego odrębności i wybitności niech rodzice uważają

za wyłączną własność dorastającego człowieka i, jako taką, niech ją szanować umieją.

Ileż to dramatów rodzinnych powstało z niewyrozumiałości rodzicielskiéj, ile nieszczęśliwie przebytych młodości! Historyja przedstawia liczne ich przykłady, a i dzisiejsze rodziny nie są wolne od zamieszek, spowodowanych tą niewyrozumiałością. Często popycha do niéj sama miłość rodzicielska. Bezstronność nie zawsze bywa jéj udziałem; zapomina ona często, że jak niéma bezwzględnéj doskonałości, tak téż niéma zła absolutnego. Dawni rodzice przeklinali swe dzieci, często nie przebaczali im, aż na łożu śmiertelném; dzisiejsi, jakkolwiek do téj ostateczności rzadko się posuwają, jednak występne dziécię nazawsze w swéj duszy odsądzają od wszelkiego dobra. Uczucie to, jakkolwiek naturalne, bo je zraniona miłość wywołuje, jest niesprawiedliwém i fałszywém. Człowiek najgorszy nawet ma często w głębi duszy popędy ku dobremu; przychodzą na niego chwile, w których potrzebowałby tylko zachęty, podania sobie ręki życzliwéj, by się w jego sercu ocknęła energija, pozwalająca mu powstać z upadku. Uchybiał obowiązkom swoim, ugiął się w walce z namiętnością, ale poszukajmy tylko w jego łonie iskry Bożéj — może da się ona rozdmuchać i rozpłomienić w ogień szlachetnego pragnienia.

Rodzice, opuszczający dziécię występne, nie szukający dla niego ratunku, czynią zupełnie tak, jak gdyby w niebezpieczeństwie życia zostawiali je własnym siłom.

Często wśród największego upadku, pozostają niektóre szlachetne strony ducha nienaruszone. Człowiek, straciwszy jedno płuco, żyć może, jeżeli drugie zdrowe zostanie, i lekarz, któryby tylko chorą stronę badał i wydał wyrok śmierci na pacyjenta, uczyniłby tak samo, jak owi rodzice, co dla namiętności syna do kart, lub rozrzutności, odsądzają go od czci i wiary.—„Niech mi się więcéj na oczy nie pokazuje!"—woła ojciec, a matka, płacząc po kątach, zbiéra ostatni grosz w sekrecie przed mężem i posyła nieszczęśliwemu dziécięciu, dając mu tém dowody zarówno miłości, jak słabości.

A jednak gdyby ci rodzice chcieli się doszukać tych stron ducha, które pomimo upadku, zostały jeszcze nienaruszone; mo-

żeby zdołali wyrwać dziécię z niebezpieczeństwa i ocalić jego zdrowie moralne. Czyż matka, która urabiała serce syna, nie zdoła przypomnieć sobie, jaka struna dźwięczała w niém najsilniéj? Czy nią była miłość rodziny, kraju, wreszcie pragnienie sławy, odznaczenia się? Czy ocuciwszy tę dawną skłonność, nie dałoby się odbudować zwalonego gmachu choć w części? Czy matka chrześcijanka ma być podobną do owéj pogańskiéj matki, niosącéj piérwszą cegłę do zamurowania żywcem syna? — Nie, ona powinna odczuć, co w duszy jego spożytkowaćby się jeszcze dało na korzyść cnoty i odważnie stanąć do walki z pierwiastkiem złego, zagłuszającym popędy szlachetne. Są rzeczy, na których wspomnienie największy zbrodniarz łzy wyléwa. Jeden zadrży na dźwięk wyrazu: „matka", inny wzruszy się na wspomnienie kraju rodzinnego, cnotliwie spędzonéj miłości i t. p. Więc nie łez, nie marnego grosza posyłanego ukradkiem, oczekiwać należy od téj chrześcijanki, gotowéj umrzéć za prawdę; oczekiwać raczéj od niéj potrzeba pracy, walki, wytrwałego poświęcenia, zdolnego odkupić duszę młodą. Historyja nawróceń podaje nam fakta zadziwiające, a najczęściéj dokonywają się one pod wpływem pomocy, jaką jedna dusza drugiéj podaje, pewnego rodzaju atrakcyi moralnéj, która siłą dodatniego wpływu pociąga ku światłu.

Takie porwanie za sobą w dziedzinę wyższych pragnień musi być wypływem pracy nad temi stronami ducha, które się jeszcze zepsuciu oparły; im więcéj przeto serce umiłowań posiada, tém łatwiéj odkryć w niém dobrą sprężynę. Przyuczać zatém należy dziécię, by od kolébki ukochało to wszystko, co uwielbienia i miłości godne. Własnym przykładem i uczuciem ustrzedz je od powiększenia zastępu obojętnych, bo w sercu tych, gdy upadną, najtrudniéj doszukać się pierwiastku zbawienia. Natury głęboko czujące mają czém zły postępek odkupić, ale obojętni, ubodzy uczuciem—ci dopiéro w dziedzinie ducha tworzą zastęp umarłych. A niestety, młodzież dzisiejsza, młodzież męska szczególniéj, ma pochopność do wygaszania w sobie żywego ognia entuzyjazmu. Wielu z niéj pozbywa się młodzieńczéj wiary w dobro;—wystudzona pierś nie przyjmuje w siebie iskry, jaką rzuca natchnione dzieło mistrza, czyn bohaterski poświęcającego się człowieka. Oko

w którém ogień zapału wygasł nazawsze, nie widzi już dobra w ludzkości, odszukuje w niéj raczéj błędów.

Ah! od młodości staréj strzeżmy dzieci nasze, bo w imię czego przemówimy do tych młodzieńców zgrzybiałych, którzy „nil admirari" uważają za kardynalną życia zasadę? Piéniądze i używanie—oto ich jedyne bogi, a te nie tworzą, owszem wyczerpują resztki dobra pozostałego w duszy.

Mówiąc o uroszczeniach egoizmu, wspomnę tu o stósunku starszego brata do młodszego rodzeństwa. Stósunek ten ulega często zmianie na gorsze, gdy dorastający młodzieniec, jako gość tylko w domu przebywa. Odzwyczajony od domowego trybu, staje się on szorstki dla młodszych sióstr i braci; zdaje mu się, że ma nad nimi prawo wyjątkowe, dyryguje więc rodzeństwem, lub je lekceważy, zamykając się w swéj studenckiéj powadze. Są to egoistyczne przejawy. Spostrzegłszy je, niech matka zbada naprzód sama siebie, ojca, otaczających—może wpływy uboczne źle. oddziaływają na stósunek rodzeństwa.

Niech téż poszuka, coby mogło dawną spójnię między dziećmi przywrócić. Znam przykład, że matka dostrzegłszy w starszym synu owe samolubne zachcianki, które go skłoniły do uważania się za istotę używającą innych praw, niż młodsze rodzeństwo, powierzyła mu podczas dłuższéj nieobecności ojca, opiekę nad dwoma znacznie młodszymi braćmi. Powiedziała mu, z jakich wad pragnęłaby chłopców wyleczyć, jak w tém kierunek męski jest im potrzebny, jak z tchórzostwem Ludwisia postępować należy oględnie, żeby go powoli oswajać ze wszystkiém, a nieosłabić jego systemu nerwowego przez zbytnie wstrząśnienia; jak Władzia trzeba odzwyczajać przykładem i zachętą od marudztwa i powolności. Dodała, że w téj opiece nad młodszymi, starszy brat powinien zastąpić ojca, że ufa jego rozumowi, dobroci i cierpliwości. Chłopiec dumny z takiego zaufania przeniósł się do pokoju młodszych braci: Ludwisia zaczął uczyć konno, Władzia obietnicą spaceru nakłaniał do prędkiego ubierania się i mycia — słowem, oddał się cały narzuconéj mu roli opiekuna.

Matka, o któréj wspomniałam, miała niezawodnie do czynienia z bardzo dobrym młodzieńcem; ale zacytowałam tu jéj przykład, jako dowód, że szukając, znaléźć można sposoby na utrzymanie karności między rodzeństwem, co w dalszém życiu tysiącem błogosławieństw się opłaca.

Wspomniałam wyżéj, iż matka powinna być dla syna żywém przeciwstawieniem, już nie mówię zepsutych, ale lekkich i zalotnych kobiét. Było to może przestrogą zbyteczną; każda bowiem matka, dbająca o cnotę swych dzieci, rolę swoję dobrze pojmuje; innym zaś próżno byłoby wmawiać potrzebę tego, nie zrozumiałyby jéj, a nawet niéma prawdopodobieństwa, by słowo niniejsze przeczytały.

Rola wszakże matki nie ogranicza się tym razem do czynnego przykładu. Wiele kobiét, cnotliwych w gruncie, ma zamiłowanie w skandalicznych wypadkach, które stanowią ich rozmowy towarzyskiéj przyprawę; inne znów używają występków znajomych sobie kobiét za tło, od któregoby ich cnota mogła jaśniéj odbijać i dla tego nie unikają rozmowy, w któréj dwuznacznych napomknieniach ukrywa się zwykle daleko większe zło, niż rzeczywiście było spełnioném. Szkodliwy wpływ takich rozmów zasadza się właśnie na zbyt ujawniającém sie upodobaniu w nich, w zaciekawiających półsłówkach, w tym niby naganiającym tonie, w którym znać brzydkie zadowolenie z możności potępienia bliźniego i upowszechnienia skandalu. Gdyby matka powiedziała poważnie dorastającemu synowi:—„Pani X. stała się niewierną mężowi, jéj występek sam w sobie karę niesie w serdeczném cierpieniu, wyrzutach sumienia, utracie szacunku nietylko znajomych, ale i własnych dzieci. Żałujmy jéj, ale nie przyczyniajmy się ani jedném słowem do pozbawienia jéj dobréj sławy, gdyż ta jest skarbem jéj dzieci.” Takie poważne słowa matki, dobry tylko wpływ wywrzéć by mogły.

Ale ileż złego przynosi ciekawa jéj żądza skandalu — tego obliczyć trudno. Rozmowy światowe, dalekie od rządzenia się chrześcijańskiém sumieniem, odziérają chłopca z dziewiczości

pojęć, brudzą jego myśl i wyobraźnię, rozciekawiają go. Potępiana zwykle surowo kobiéta, a usprawiedliwiany kochanek, daje mu fałszywe pojęcie o błędzie, który w jego nieskażonym umyśle przedstawiał się, jako równy dla stron obu; tymczasem towarzystwo stara się go przekonać, że tak bynajmniéj nie jest, że na *nią* kamieniem rzucić trzeba, *on* ledwo na zarzut nierozwagi zasługuje: „Nie potępiajcie, abyście potępieni nie byli" jest pięknym ewangelicznym przepisem, wykreślonym, niestety! z towarzyskich ustaw.

Obok rozmowy skandalicznéj, występuje ojcowska słabość, przypominanie sobie dawnych sukcesów. Poważny kierownik rodziny nie opowiada wprawdzie o nich wyraźnie, ale półsłówkiem, półuśmiechem daje do zrozumienia, że był kiedyś niebezpiecznym Don Żuanem. Żona do dziśdnia prześladuje go jakąś dawną słabością; gdy wyjeżdża, daje mu żartem zalecenie, by nie zanadto patrzał w oczy słynnéj piękności, którą ma spotkać. Czasem jéj zazdrość jest prawdziwa. Dzieci spostrzegają, że przy wymawianiu pewnych imion kobiécych, matka rzuca na męża spojrzenia badawcze, że go podejrzywa, śledzi, boi się zdrady, i lada słówko staje się dla niéj powodem do poważnych podejrzeń. Oprócz tego, że zazdrość jest najnierozsądniejszą z wad, gdy się ukryć nie umié tak, by jéj żadne oko nie dośledziło, jest i z tego względu niemądrą, że od niczego nie broni, owszem owoc zakazany tém ponętniejszym czyni; jest zaś, gdy daje z siebie dzieciom widowisko, tém samém, co owe skandaliczne rozmowy. Ojca lub matkę podejrzywają, nie ufają im — zatém jest prawdopodobieństwo, że zbłądziéby mogli. Gdyby nie robiła ojcu scen zazdrości, kto wié, czy ojciec nie szukałby poza domem zakazanych uciech.—Gdyby ojciec matki nie pilnował, nie śledził, możeby cnota jéj nie była tak niewzruszona. — I oto dzieci powątpiewają o gruntowności rodzicielskich przekonań.

Godzi się żądać więcéj jeszcze, mianowicie by nawet żart tego rodzaju usunięty był z rodzin przez cały czas wieku chłopięcego. Takie żartobliwe przestrogi i uwagi jak: — „Tylko mi tam żony nie zbałamuć."—„O, moja żona pozawraca dziś głowy wszystkim starym kawalerom i studentom."—„Wszystkie kobiéty się w nim kochają, zdaje się, że i moja żona nie jest obojętna

dla niego" — są w wysokim stopniu niemoralne i gorszące. Chłopiec 17-to letni słucha tych żartobliwych przycinków z zupełném zrozumieniem rzeczy, z uśmiechem domyślnym i powoli rozwiewa się przed jego okiem pojęcie nienaruszalności związków rodzinnych. Matka—ten uosobiony ideał świętości lat dziecinnych, staje się dla syna taką, jak wszystkie, kobiétą;—ojciec— ten wzór męskiéj doskonałości jest słabym niewieścich wdzięków czcicielem. Jakkolwiek świat tego ostatniego upodobania za błąd nie poczytuje i, jakkolwiek syn dorosły mógłby już patrzéć na nie, nietylko z wyrozumiałością, ale nawet mógłby go za błąd nie poczytać; przecież w wyobraźni chłopięcéj, w skutek absolutnego pojmowania rzeczy właściwego temu wiekowi, obleka się ono w szatę niedarowanéj słabości.

Widziałam dzieci nienawidzące kobiety, o którą ich matka była zazdrośną. W stósunku *do niéj* nie było nic nad uznanie wysokich zalet umysłu i uwielbienia dla jéj muzykalnego talentu; w stósunku jéj *do niego* — nad przyjazne i wdzięczne usposobienie za okazany szacunek. Nie będziemy się wdawać w dochodzenie psychiczne, czy ten stósunek mógłby się był przerodzić w uczucie głębsze i żywsze, gdyby temu były okoliczności sprzyjały; to pewna, ze nie był niczém więcéj nad przyjaźń, która zerwała się z chwilą, gdy podejrzywana kobiéta, dowiedziała się o zazdrości nieufnéj żony. Pewnego razu, gdy goście liczniéj się zgromadzili na imieniny téj ostatniéj, przyjechała i nienawistna sąsiadka. Usłyszałam wtedy trzynastoletniego chłopca mówiącego:—„Po co ona tu przyjeżdża? Mama powinnaby kazać ją za drwi wyrzucić. O! patrz Maryniu, jak tatko się wita z nią; pewno przywiozła z sobą nuty, żeby wszyscy jéj śpiéw admirowali. Jak zacznie śpiewać, to my wtedy hałasujmy, ile będziemy sił mieli."— Tatko pewno koło niéj przy herbacie usiądzie— rzekła 12-to letnia Marynia — zawsze koło niéj siada, a ona nic się *nie wstydzi*. Słyszałam, jak tatko do niéj mówił, że już nie miał *nadziei*, żeby przyjechała." Mała więc— gromadka śledziła i podglądała czynności ojca; miała za złe, że obwiniona *nie wstydziła się*, gdy przyjaciel i sąsiad miejsce obok niéj zajmował;— miała żal za frazes najprostszéj grzeczności o utraceniu nadziei przyjazdu sąsiadki; słowem potępiła ojca i niewinną kobiétę, bo

matka była do tyła słabą i nierozważną, że przed dziećmi swoję zazdrość odkryła. Jakże ona w ich pojęciu poniżyła godność ojca, jak skaziła ich charakter, ucząc je szpiegować go!

Gdy się zastanowimy, czém w życiu mężczyzny jest *kwestyja kobiéca*, dojdziemy do przekonania że nie należy nic lekceważyć, co tylko może wpłynąć na ustalenie pojęć chłopca w tym względzie. Matka wprawdzie pośrednio tylko może wpływać na syna w wycieczkach jego wyobraźni, serca i natury, w tę tajemniczą krainę, na któréj bramach wyryty jest wyraz: *kobiéta*; może przecież usposobić go do podniosłego pojmowania, zarówno obowiązków rodzinnych, jak i swego do kobiéty stósunku. Weiss w swoich:—„Zasadach filozoficznych" podaje idealny wizerunek mężczyzny, w którym powiada: „Każdą kobiétę, któréj łaski posiadał, starał się uczynić *uczciwym człowiekiem* i zrobić z niéj istotę godniejszą szacunku, niż była poprzednio. Ta, która była jego kochanką, nie przestała nigdy być jego przyjaciółką."—Mądrość Weiss'a jest może mądrością pogańską, lecz zawsze jest to mądrość szlachetna; jeżeli surowego Józefa trudno wychować w młodzieńcu dzisiejszym, nie dajmy mu przynajmniéj popaść w nikczemny donżuanizm, lub zezwierzęcenie niskie, traktujący kobiétę, jako rozrywkę jedynie.

Język nasz cnotę dosadnie i właściwie nazwał *surowością obyczajów*. W matce ta surowość rozciągnąć się powinna daléj, niż postępki i słowa, powinna ująć w swe karby nawet jéj uśmiech i spojrzenia. Patrząc na przykład na jakiś dwuznaczny illustrowany koncept którego z pism humorystycznych, niech się matka wobec dzieci nie uśmiécha znacząco, podając dziennik w obieg towarzystwu. Jest to drobiazg, ale dorastający syn nie powinien pochwytywać myśli matczynéj, lubującéj się w trywijalnych i bezecnych przedmiotach. Przeczytała koncept, może go zrozumiała— ale jest wyższa nad zadowolenie żądnéj szkandalu, ciekawéj domyślności. Może zresztą konceptu nie zrozumiała wcale, ona tak czysta w życiu, w myśli tak poważna, że nie wié, co brud, nie dotknąwszy go nawet wyobraźnią! Dziécię nieuaprowadzone uśmiéchem, nie doszukuje się znaczenia grubego, trywijalnego dwuznacznika i myśl jego o tyle mniéj jest

zbrudzoną. Jeżeli jednak nieszczęśliwy zwrot rozmowy sprowadzi ją, pomimo usiłowań matki, na tór skandalicznego opowiadania; niech milczeniem swojém i powagą potępi taką rozmowę, niech energicznie broni każdego niedowiedzionego czynu, każdéj oskarżonéj na wiarę pogłosek kobiéty.—„Chcąc uczynić ludzi cnotliwymi, trzeba ich za cnotliwych uważać."—Możnaby to zdanie moralisty inaczéj obrócić: —„Chcąc uczynić dziécię cnotliwém, nie trzeba w nie wmawiać, że ludzie cnotliwymi nie są." Ileż to razy kobiéta właśnie dla tego cnotliwą pozostała, że ją za taką miano i nie ośmielono się rzucić piérwszego słówka, prowadzącego następnie do namiętnych wyznań. Jacy mężczyźni najwięcéj kobiét z drogi obowiązku sprowadzają? Oto ci, co najmniéj w cnotę kobiécą wierzą, Niech więc młodzieniec nie zostanie odartym z téj wiary. Niech ją utwierdzą w nim przykłady życia matczynego, jéj słowa tchnące niezłomném przekonaniem, że ludzie są lepsi, niż ich bliźni malują.

Takie usposobienie dziécięcia dla ludzkości jest tém samém, co szukanie dla niego dobrego towarzystwa, dobréj książki, jest wpływem uzacniającym. Przebywanie w towarzystwie ludzi dobrych i rozumnych, ustrzeże dziécię, od lgnienia sercem do złych i głupich, a nawet uczyni mu wstrętnym z nimi stósunek. Gdy jak najmniéj wié o zepsuciu, będzie się go strzegło i gardziło nim z pewnością.

Wiadomość o złém ma siłę zarazy. Doświadczono już szkodliwości ogłaszania i upowszechniania szczegółów popełnianych zbrodni, samobójstw, zręcznych kradzieży i t. p. Jestto jak nasienie chwastu niesione wiatrem i szukające tylko roli właściwéj, by w nią zapuścić korzenie. Traupmann, 17-to tetni zabójca ufającéj mu kobiéty i jéj sześciorga dzieci, sprawca zbrodni spełnionéj, jakby dla zadowolenia dawno w wyobraźni pielęgnowanego zamiaru; wykształcił się na czytaniu gazety sądowéj, gdzie sławniejsze zbrodnie opisywano nieraz z najdrobniejszemi szczegółami. Czytaniu temu oddawał się z namiętnością i z niego czerpał zarazę.

Historyja samobójstw przedstawia nam to samo zadziwiające zjawisko. Rozgłaszane przez gazety szczegóły oryginalnego sposobu odbiérania sobie życia, wywołują naśladowców. Co za

przestroga dla przewodników młodzieży! Mają do czynienia z dziecięciem — istotą daleko pochopniejszą do przyjmowania wszelkich wrażeń, niż człowiek dorosły. Tymczasem mało wychowawców to rozumié. Pochwycenie przez dziecię grubijańskiego słowa gdzieś na folwarcznym dziedzińcu uważają rodzice za coś wielce zdrożnego; ale sami po kropelce wsączają w duszę dziecka truciznę, przez oswajanie go z zepsuciem, które czerpie słuchając różnych skandalicznych kawałków. Zwykle przy młodych panienkach takich opowiadań towarzystwo się wystrzega; lecz dorastającego chłopca wciąga w nie i wcale jego obecnością krępowaném się nie czuje. A przecież zbrukać może, nie tylko bezpośrednie zetknięcie się z życiem, ale i wyobraźnia skierowana ku przedmiotom brudnym a sprośnym.

Potrzeba dobrego towarzystwa dla młodzieży, jako ogólnie uznana, nie wymaga obrony — każdy ją rozumie; należy tylko zwrócić uwagę na dziwaczne pojęcia, jakie nieraz mają rodzice o tém, co się dobrém towarzystwem nazywa. Jakoż pewna matka opowiadała mi, że gdy syn jéj ukończył gimnazyjum w prowincyjonalném mieście, sama odwiozła go do Warszawy, gdzie miał chodzić na uniwersytet.— „Porobiłam mu stósunki— mówiła—mam tam dawne znajomości; wprowadziłam go do kilku domów; pani wié, dobre towarzystwo to koniecznie potrzebna szkoła dla młodego człowieka.”— Usłyszawszy to w teoryi logiczne zdanie, zapytałam, jakie to są domy, do których przystęp ułatwiła synowi. Wymieniła mi je. Piérwszeństwo pomiędzy niemi trzymały salony paru pań zepsutych do szpiku kości próżniactwem, zbytkiem, strojem, kokieteryją, o których miłostkach mówiono głośno i których życie nic do naśladowania nie przedstawiało. Zawołałam więc:—„Jakto? tam pani syna wprowadziłaś?”— O, pani X. należy do dystyngowanego świata.”—odebrałam odpowiedź. Ona jest z domu Y... W jéj salonie spotyka sie najlepsze towarzystwo. Chłopiec nabierze *manijer*, nie zapomni *francuskiego*, porobi sobie stósunki. Bardzo jestem

kontenta, że tam bywa. Pisał mi że pani X. jest dla niego nader uprzejma. Jak to dobrze nie zaniedbać stósunków w świecie!"

A teraz po opowiedzeniu faktu, który sam za siebie mówi, wypada zapytać matek, czy jest on jedyny w swoim rodzaju? Czy to była jedyna matka, która tak *umyślnie* do stolicy podążała, by syna wprowadzić w świat największego zepsucia, to jest tego, które nie rzuca się w oczy ohydą, ale owszem jest eleganckie i pociągające swemi wykwintnemi formami.

Dobre towarzystwo jest szkołą—prawda; ale dobre, w znaczeniu moralném, nie dowodzące wartości urodzeniem, stósunkami i majątkiem. Dziś już syn mojéj znajoméj spożywa owoce nauk owego *dobrego towarzystwa*. Skończył wprawdzie kursa, ale nic nie robi, nie chce mu się nawet pracować na kawałku ziemi rodzinnéj, jaki posiada. Wypuścił go w dzierżawę, a sam w owym wielkim świecie, który był jego szkołą, kręci się jak nędzny satelita. Podobno jest doskonałym *walserem*, nadto ma wiele zimnéj krwi przy kartach, czuje się przecież nieszczęśliwym, bo jest przekonany, że szczęście zaczyna się dopiéro na tym szczeblu, na którym człowiek może trzymać powóz i parę koni w mieście, a jego majątek umniejszający się z rokiem każdym na tę piérwszą potrzebę życia mu nie pozwala. Matka sama opowiadała mi o tém *pokierowaniu się* syna. Ubolewała nad jego rozrzutnością, ale w jéj tonie przebijało się niejakie zadowolenie z tego, że syn ma takie wytworne upodobania. Gdy w jéj opowiadaniu przyszła koléj na teoryją piérwszego szczebla drabiny szczęśliwości, matka z uśmiechem zakonkludowała: —„Jemu trzeba się było urodzić księciem i milijonerem."—Fakt jest prawdziwy, a jak smutny!

Kto uważniéj patrzał na życie młodzieży, ten zapewne doszedł do przekonania, że łatwiéj jest rodzicom zaszczepić w chłopcu przyzwyczajenie i zamiłowanie dobrego towarzystwa, niż dobréj książki. Młodzież uboga, potrzebująca obok zdobywania nauki zarobić na utrzymywanie dawaniem korepetycyj, ma czas tak zabity pracą, że ani towarzystwo, ani książka nie sta-

nowi dla niéj ważniejszego życiowego wpływu. Młodzieniec ubogi ma czasem *przyjaciela*, rzadko ma *towarzyszy*; praca jest dla niego matką, żywicielką, zarówno ciała jak ducha, pochłania wszystkie jego żywotne nadmiary i zostawia go wyczerpanym wobec intellektualnych rozrywek. Tak jest najczęściéj, jeżeli nie zawsze.

Młodzieniec zamożniejszy, przyzwyczajony w domu do towarzyskich uciech, słuchania muzyki, odbywania wspólnych spacerów, wycieczek, bywania w teatrze, na koncertach, do odwiedzania z rodzicami znajomych, jest od dzieciństwa wciągnięty w życie towarzyskie i, jeżeli rodzice postarają się, by ta nić upodobań towarzyskich nie zerwała się wraz z oddaleniem się chłopca z domu, mogą postarać się dla niego o znajomości korzystne moralnie, uprosić jaką szlachetną znajomą, lub znajomego o wyrozumiałą a życzliwą chęć przyciągnięcia chłopca i ochronienia go od szukania złych stósunków, przez ofiarowanie mu dobrych.

Ale zła książka, to opętanie naszego wieku, nie dla tego by złe książki były dzisiejszym wytworem, ale że pochop do czytania wzmógł się do stopnia nigdy przedtém nieznanego. Już dzieci siedmioletnie czytają czasem z namiętnością;—upodobanie to rozwija się z wiekiem i dochodzi często aż do przesytu, wywołanego zupełném osłabieniem wrażliwości. Dla przesyconych i wyczerpanych, wymyślono *powieść sensacyjną*; dla nich to dostarcza literatura francuska obrzydliwych utworów, zalegających wystawy księgarskie wszystkich stolic, a nawet miast prowincyjonalnych. Niestety, nietylko przesyconym i zepsutym utwory te wpadają w rękę; zdarza się, że powieść zatruta zmysłowością wyrafinowaną, jest piérwszą książką, jaką pochłania młodzieniec, wychodzący z pod skrzydła matki. Jakiś usłużny kolega, traf, przypadek, podsuwa dziécięciu truciznę i cała praca wychowawcza matki, jéj usiłowanie, by dziécię, o ile można, doskonałém uczynić, obraca się w niwecz wobec zepsucia, jakie wytwarza rozbestwiona, zezwierzęcona wyobraźnia, a przechodzącego w niektórych sensacyjnych utworach miarę, nawet rzeczywistego życiowego zepsucia. Trzeba zadrżéć, gdy się widzi całe szeregi złych książek, nastręczających się usłużnie spojrzeniom publicz-

ności—zadrżéć, gdy się pomyśli, że nabyć je może młody człowiek, uczeń z czwartéj lub piątéj klassy i że ta książka rozbudzi w nim śpiącą snem dziécięcym naturę, rozstroi spokojne nerwy, oszpeci duszę, podkopie zdrowie przez nienaturalne podniecenie.

A sposób zaradzenia złemu?

Niepodobna odebrać książki, z którą się młodzieniec tai, niepodobna go upilnować. Wymódz przyrzeczenie, że czytać złych książek nie będzie? Zbyt to hazardowny sposób. Młodzieniec może do złego ziarna, zasianego przez książkę, dodać złe ziarno niskiego czynu — złamanie obietnicy. Żadna straż materyjalna nie zapobiegnie złemu. I więźniowie znajdują sposoby dostawania zakazanych rzeczy i ukrywania ich tak przemyślnie, że nawet oko więziennego stróża ich nie dojrzy.

Jedyna obrona, jaką matka dać może, jest dostarczenie chłopcu tego, co mu złą książkę wstrętną uczyni.

O zasadach moralnych, przekonaniach, mówiliśmy już powyżéj; obecnie więc dodać tylko należy, że obroną przeciw złéj książce jest zdolność odczuwania piękna i jego zamiłowanie. —„Jabym może i lubił złe romanse, gdyby niemoralność nie była tak brzydka!"—mówił mi raz młody człowiek, mający upodobania artystyczne i umiejący odczuć piękno wszędzie, gdzie je napotkał. Nie jestem świętoszkiem i wiem, że się narażam na śmieszność; niemniéj przecież wyznam, że przy czytaniu złéj powieści taki mnie ogarnia niesmak i wstręt, żem jeszcze żadnéj dokończyć nie mógł."—Uwierzyłam mu tém łacniéj, że sama podobnego niesmaku doświadczałam, ile razy chęć poznania tego rodzaju literatury włożyła mi w rękę powieść sensacyjną. Już nie chrześcjanka, ani miłośniczka moralności cierpiała we mnie wtedy, bom była do znalezienia zła przygotowana; ale umysł mój od téj brzydoty odwracał się ze wstrętem, jak się oko odwraca od przykrego widoku. Zatém wszystko, co się w młodzieńcu da spożytkować na korzyść zamiłowań artystycznéj natury, starajmy się wyzyskać.

Dowiedzioną jest rzeczą, że jak pamięć nasza przyjmuje pewną tylko ilość pokarmu i że gdy już jest w pełni wyzyskana, nie może objąć dodawanych sobie ciężarów, tylko odrzucając część dawnych; tak i to, co zadawala nasze upodobania, ma ograniczoną nad człowiekiem władzę, czyli, że używanie zarówno zmysłowe, jak intellektualne, zużywa w człowieku daną ilość wrażliwości i jakiegokolwiek rodzaju była przyjemność, zmęczenie, czy zadowolenie wywołane nią, albo nas czyni niezdolnymi do przyjęcia jakiegobądź, choćby innéj natury wrażenia, albo zaspakaja naszę żądzę przyjemności do tego stopnia, że innéj nie pragniemy. Weźmy piérwszy lepszy przykład. Mało kto, po wieczorze wypełnionym słuchaniem pięciu aktów opery, pomyślałby o upragnioném w innym razie zwiedzaniu galeryi obrazów; albo o poranku muzycznym, po nocy spędzonéj na tańcu. Takto zależność upodobań jednych od drugich i kompensowanie się ich wzajemne schodzi od wrażeń zewnętrznych aż do najgłębszych tajników naszéj istoty. Myśl, wytężona w jednym kierunku, usuwa swoje siostrzyce chociażby najpowabniejsze i najgodniejsze przyjęcia. Boleść silna nad jednym przedmiotem, czyni człowieka niezdolnym do uczucia innéj boleści. Matka, któréj dziécię umiéra, mogłaby obojętnie patrzéć na śmierć wielu innych ludzi. I w świecie fizycznym można znaléźć zastósowanie téj teoryi, jak na przykład: rozwijanie się jednych członków kosztem innych i t. p. Prawdę tę rodzice spożytkować powinni dla dobra dorastających dzieci. Małe pacholę, człowiek dorosły, starzec nawet, potrzebują rozrywki; jak umysł tak ciało szukają odświeżenia się w wrażeniach przyjemności, i rozrywka ta jest rzeczą godziwą, bo naturalną, a zdrową równie w pojęciu fizycznem, jak moralném. Dział przyjemności jest może najwięcéj urozmaiconym i najmniéj może dającym się obliczyć życia ludzkiego — czynnikiem. Przebiegłszy cały szereg zabaw, od najbardziéj roznamiętniających człowieka dzikiego, do najsubtelniejszych rozkoszy umysłowych, którym się oddaje człowiek, stojący na najwyższym szczeblu cywilizacyi, widzimy: że jak piérwsze nie potrzebują żadnego poprzedniego przygotowania umysłowego, tak drugie wymagają studyjów rozlicznych i najwyższego intellektualnego rozwoju, a pomiędzy niemi leży cały bezmiar szczebli rozmaitych, które sto-

pniem przygotowania warunkują przyjemność. Gdy nadto, opiérając się na prawie ograniczonéj możności przyjmowania wrażeń, uznamy, że przyjemności wyższego rzędu zabijają pragnienie niskich i pospolitych rozrywek; pojmiemy, jak ważném jest dla młodzieży przygotowanie jéj do odczuwania przyjemności podnioślejszéj natury. Są niezawodnie istoty obdarzone wrodzonym popędem do oddawania się uciechom szlachetniejszego rodzaju. Ale poetów i artystów się nie urabia—oni się rodzą; a że są to tylko nieliczne wyjątki, zatém wyjątkowe tylko matki mogą iść za wrodzonym popędem wychowańca. Ogół znajduje w swych dzieciach pospolite pragnienia, urastające często na niesforną żądzę jakiéj niskiéj namiętności. Otóż, jako zabezpieczenie od niéj, trzeba się starać rozbudzić w dziecku upodobania podnioślejszéj natury.

Matka wykształcona i czuć umiejąca może podjąć to zadanie względem swych dzieci. Jak przy zaszczepieniu zamiłowania porządku przykład jéj działa najskuteczniéj; tak i tu przykład wzmacnia się jeszcze, przez udzielający się zapał, jaki towarzyszy wszelkim artystycznym upodobaniom. Słowo matki ożywione zapałem łatwiéj objawi chłopięciu piękności dzieła sztuki, niż zimna rozprawa, choćby najuczeńsza.

Pierwiastek téż piękna, wpleciony w życie rodzinne, jest dobroczynnym wpływem na dzieci i, nawet wtedy, gdy dziecko nie okazuje uzdolnienia do uprawy jakiegoś talentu, należy go starannie w niém pielęgnować i rozwijać.

A jednak wyznajmy! Mało jest rodziców, którzyby się o to starali.

Jeszcze gdy chodzi o muzykę, chętnie dajemy jéj miejsce w wychowaniu; ale gdy zdolności dziecka do téj sztuki się nie nadają, innych ani odszukać staramy się, ani téż ujawniającym się nie dajemy poparcia w nauce. Gdy wszakże muzyce prawie wyłącznie powierzone jest kształcenie artystycznych stron ducha naszych dzieci, starajmy się pojąć dokładnie, czém ona dla nich być może i powinna. Wiele matek i każda prawie nauczycielka domowa uczyła się grać na fortepijanie; każde prawie powiatowe miasteczko ma nauczyciela gry fortepijanowéj; każdy dom średnio zamożny i zamożniejszy posiada fortepijan. W społe-

czeństwie zatém, muzyka stała się do tego stopnia popularną, iż kształcenie się w niéj jest dla każdego prawie dziecka możliwém.

To jéj upowszechnienie uciążliwe dla mieszkańców miast, umęczonych słuchaniem gamm i ćwiczeń rozmaitych, nie powinno rodziców zniechęcać; przeciwnie znajdując w społeczeństwie przygotowanie muzykalne, niech z téj pomocy korzystają w celu rozbudzenia w dzieciach zdolności i zamiłowania artystycznego. Mając podstawę, niech jéj nie lekceważą; łatwiéj bowiem wyzyskać środki, jakie się już posiada, niż na innéj drodze je stwarzać. Trzeba tylko już posiadane umiéć spożytkować należycie na korzyść dzieci, których zdolności przyrodzone do tego się nadają. Uznanie, jakiém ogół otacza muzykę, ma jednak cechę takiéj konwencyjonalności, że kwestyją tę należałoby postawić wyżéj nad wymagania mody i zarzuty jednostronnéj krytyki, jakiéj niejednokrotnie była przedmiotem, szczególniéj ze względu na zbyt wybitne miejsce, jakie zajmuje w wychowaniu kobiecém.

Uważana zwykle, jako zabawa, rozrywka i środek podobania się, muzyka sponiewieraną w naszych czasach została. Wywołuje ona przecież zbyt podniosłe i głęboko wnikające do duszy wrażenia, by jéj zadanie do tak błahych tylko ograniczać korzyści. Począwszy od wzruszenia, wywołującego spazmatyczne łkanie, aż do wesołości objawianéj tańcem i śmiéchem; muzyka porusza w naszém sercu całą gammę uczuć. Z tonami jéj przychodzą do nas stare wspomnienia *), wzruszenia dawno w sercu uśpione, myśli, któreśmy już za stracone mieli. Jest więc ona czémś co działa tak silnie na duszę naszą, że ją porywa swoim rytmem, budząc w niéj szereg wrażeń nieujętéj i subtelnéj natury. „Cała seryja uczuć jest nieznana człowiekowi nieumiejącemu odczuć muzyki."—mówi pani de Staël. Rychter to samo

*) Jest starożytna szwajcarska melodyja zwana *Ranz* (le Ranz des vaches). Musiano zakazać grywania jéj wobec najemnych szwajcarskich żołnierzy od ojczyzny oddalonych, bo pieśni ta budziła w nich taką tęsknotę, że dezercyja stawała się ogólną.

innemi słowy wyraża. „Muzyka — powiada on — mówi nam o rzeczach, których nie widzieliśmy i nigdy nie zobaczymy.“ Spencer w filozoficznem studyjum nad muzyką stawia hypotezę, że muzyka kształci w nas uczucia, z których dziś jeszcze nie możemy zdać sobie sprawy, ale które z biegiem postępu i cywilizacyi zajmą ważne miejsce w życiu człowieka; że zatém zadaniem muzyki jest przygotowanie ludzkości do tych uczuć wyższego rzędu, nieznanych jeszcze, a przeczuwanych zaledwie, które kiedyś przyczynią się do jéj uszczęśliwienia. Ten sam uczony utrzymuje, że cywilizacyja zasadza się na usiłowaniu przetworzenia skłonności, czyniących nas antagonistami, a na rozwijanie tych, które wykształcają z nas towarzyskie istoty; — wszystko zatém, co budzi wspólność uczuć i sympatyją uspółecznia nas, wiąże, cywilizuje. Czy muzyka tego posłannictwa nie spełnia znakomicie?

Gdy zejdziemy do wykazania dobrodziejstw, jakie przynosi w rodzinie, cóż zobaczymy? Oto dziecko, usypia przy nucie piosenki; przerywa płacz na dźwięk fortepijanu i skacze na ręku piastunki, z niewypłakanemi jeszcze łezkami w oczach;—inne prowadzi matkę za suknię do fortepijanu, przy którym usiąść ją zniewala, a gdy wesoły zabrzmi krakowiaczek, dziécię skacze, trzepie rączkami i oczy całéj rodziny z weselem zwraca ku sobie. Gronko dziatek starszych śpiéwa za matką ulubioną piosenkę, która łagodzi ich dąsy, swary i napełnia serca błogim spokojem. Starsi, zasłuchani w dźwiękach, płynących z pod palców jednego z członków rodziny, łączą się w wspólnym zachwycie. Zmęczona trudem i kłopotami rodzinnemi pani domu przychodzi do fortepijanu po wytchnienie, po szczyptę poezyi, po złotą nić natchnienia. Szara godzina — godzina marzeń, schodzi jéj na pojeniu się czystą dźwięków rozkoszą, nie zatruwającą zdroju jéj uczuć niezdrowemi pragnieniami i tęsknotą. Szczęśliwy, kto posiada „na słodką Hebe żywota swego“ takie źródełko rozkoszy, którego nawet wielkie niełaski losu nie są w stanie zamącić. Lecz dla matki muzyka jest czémś więcéj, niż pocieszycielką, jest środkiem do rozgrzewania własnym zapałem tego małego światka, jaki ją otacza. I ona i jéj

dzieci posiadają jeden więcéj dar upiększający życie, i jeżeli ważném jest odnalezienie jak największéj liczby środków skupiających i dostrajających do jednego podnioślejszego tonu uczucia szérszego koła; niemniéj pożyteczném jest posiadanie jak największéj ilości sposobów wiązania tysiącznemi niémi w jednę nierozdzielną całość tego małego ogniwa społecznego łańcucha, tego świata w minijaturze—co się rodziną nazywa.

Muzyka więc ma ważne do spełnienia zadanie, zarówno w społeczeństwie, jak w rodzinie. Uznajmyż więc prawa jéj do zajęcia miejsca w wychowaniu, jeżeli zdolności upoważnią nas do obarczania dziecka pracą, która musi być długą, mozolną i poważną, jeżeli ma przynieść pożądane owoce. Powierzchowna i niedokładna nauka nie może postawić muzyki na tym stopniu, na którym zadaniu swemu odpowiedzieć jest w stanie.

Jakaż być jednak może przyczyna, że mężatki zupełnie muzykę zarzucają właśnie w chwili, gdy jako żony i matki prawdziwy i wzniosły cel jéj wśród tworzącéj się rodziny osiągnąć by mogły? Oto najprzód: zbyt małe a najczęściéj żadne wykształcenie w zasadach, które sprawia, że kobiéta, zapomniawszy lub sprzykrzywszy sobie sztuki wyuczone przez nauczyciela, nie posiada dosyć przygotowania do prowadzenia dalszéj samodzielnéj pracy i powoli resztę jakiéj takiéj wprawy utraca. Najwięcéj jednak do powierzchownego traktowania muzyki przyczynia się uważanie jéj za środek zadowolenia próżności, zwrócenia uwagi, zjednania sobie hołdów a nawet zdobycie męża; bynajmniéj zaś nie dla tego, ażeby mu potém jego domowe życie przyozdobić, trudy osłodzić i miéć jeden więcéj środek utrwalenia jego miłości.

Smutną jest rzeczą muzyka uprawiana jedynie dla zadowolenia próżności, nie z tego bowiem uczucia powinno wypływać naturalne zadowolenie, lecz z przekonania, iż się innym robi przyjemność. To téż niech córki nasze wiedzą, że pochwały i grzeczności są zdawkową monetą w salonach ustalony kurs mającą; niech zwrócą uwagę, że najczęściéj po natrętném domaganiu się śpiéwu lub gry od osoby posiadającéj jeden lub drugi z tych talentów, wszyscy w czasie produkowania się jéj prowadzą najbardziéj ożywioną rozmowę.

Ale jakkolwiek zwyczaj ten jest dowodem najwyższéj niedelikatności, nie może być jednak powodem do odmawiania gry lub śpiéwu, jeżeli się jeden z tych talentów posiada. Dajmy towarzystwu, co dać jesteśmy w stanie, a starajmy się obojętnie znosić upokorzenia próżności, gdy nie otrzymujemy spodziewanego uznania.

Do uprzyjemnienia towarzystwa często staje na przeszkodzie prawdziwym nawet talentom trudna do pokonania lękliwość, którą wielu za wygórowaną miłość własną poczytuje. Dla przełamania jéj trzeba skłaniać młodzież do grania wiele na 4 ręce, do towarzyszenia na fortepijanie innym instrumentom, do śpiéwania w duetach, do brania udziału w muzyce zbiorowéj; udział ten bowiem, niewątpliwie znakomicie kształcąc, nie daje tyle podniety dla miłości własnéj, nie uczy śmiałości przedwczesnéj, bo nie zwraca na siebie uwagi wyłącznéj. Gdy się osobistość własną topi w ogólném usiłowaniu, z ogólnéj summy uznania bierze się też tylko cząsteczkę.

Zresztą zamiłowanie sztuki dla sztuki saméj, wpojone przez matkę, umiejącą uwydatnić wszystkie jéj piękności, wykazać całą szlachetność jéj dążności i celów; uchroni dziécię, od uważania muzyki za środek zadowolenia próżności.

Nauka śpiéwu zaniedbana u nas zupełnie w początkowém wychowaniu, w wielu krajach wprowadzoną została do szkół elementarnych i ludowych. Już siedmioletnie dzieci są jéj poddane. Nauka taka, nie mając nawet do artyzmu pretensyi, kształci słuch, uzdalnia go do oddawania wszelkich modulacyj w mowie, deklamacyi w poezyi, daje pewność intonacyi, rozumienie rytmu, podnosi uczucia i bardzo przyjemnie zajmuje dzieci. Musi jednak być umiejętnie prowadzoną, ściśle do skali głosu zastósowaną, nie męczącą i nie nadwerężającą jego organów. Często przy takiéj nauce wychodzi na jaw talent rzeczywisty, odkrywa się głos piękny i silny, który bez niéj niczyjéj nie zwróciłby uwagi.

Rysunek, tak potrzebny chłopcu we wszystkich zawodach technicznych, tak kształcący oko i rozwagę jest u nas w takiém zaniedbaniu, że niejedna nawet wybitniejsza zdolność zmarniała w skutek tego, że rodzice nie mieli pojęcia o konieczności jéj kształcenia.—„I cóż mu przyjdzie z tego rysunku"—mówiła mi

jedna matka—ani to z tém wystąpić w salonie, ani zająć towarzystwo. Co innego muzyka. Lada walc zagrany na fortepijanie zwróci uwagę wszystkich."—Trzeba tu dodać, że środki kształcenia się w rysunku nadzwyczaj są trudne. Nauczyciele domowi rzadko kiedy nauki téj podjąć się mogą, miasta powiatowe nauczycieli rysunku nie posiadają.

Oprócz tych dwóch wybitnych kierunków: muzyki i rysunku, jest jeszcze wiele innych, na które mało zwracamy uwagi. Deklamacyja jest u nas najzupełniéj zaniedbana. W ostatnich wprawdzie czasach, w Warszawie, zaczęto ją traktować jako talent, mogący być jednym z towarzyskich przymiotów; ale każda nauka, czy sztuka, zaszczepiona na pniu towarzyskim, musi najprzód przyjąć się i zyskać prawo obywatelstwa, nim wyda trwałe owoce. Deklamacyja amatorska u nas, nie otrzęsła się jeszcze z pieluch nieśmiałości i rutyny; traktowaną jest téż wyjątkowo tylko i musi czekać długie lata, nim stanie z muzyką narówni.

A jednak kształcenie w deklamacyi, jeżeli nawet nie doprowadzi do uczynienia jéj talentem, rozbudza w wychowańcu zdolność odczuwania poezyi, rozumienia piękności poetyckich utworów, kształci zmysł artystyczno-literacki, bez którego największe utwory naszych mistrzów mogą dla nas pozostać martwemi i niezrozumiałemi. Często widzi się ludzi najzupełniéj obojętnych na piękności poezyi. Niezawodnie wychowanie uczyniło je takimi, pozwalając ich wyobraźni i uczuciu usnąć leniwie, podczas gdy inne wrodzone przymioty rozwijały się ich kosztem. Wychowawcy mają przecie w literaturze naszéj liczne utwory, na których mogliby zaprawiać dzieci do rozumienia i odczuwania poezyi. Mickiewicz, Pol, Syrokomla trzeźwością uczuć i przystępnością formy w wielu swych poematach i drobniejszych wierszach, zupełnie nadają się dla młodocianego wieku. Grażyna, Pan Tadeusz prawie cały, Kęs chleba — oto utwory, które, nie mówiąc dziecku o miłosnych cierpieniach kochanków, stawiają mu przed oczy przykłady poświęcenia się dla ludzkości i kraju — słowem uczucia wzniosłe, poruszające w każdéj epoce życia najszlachetniejsze struny serca.

Minęły czasy, w któréj poezyja, źle zrozumiana, groziła zagładą wszelkich praktycznych i zdrowych poglądów; dziś możemy

ją śmiało dzieciom naszym dać na upiększenia życia i uszlachetnienia uczuć. Nie lękajmy się, by wpływ jéj uczynił syna naszego podobnym do obrazu młodzieży, jaki nakreślił Chateaubriand w r. 1822.— „Młodzieniec modny powinien przedstawiać na piérwszy rzut oka człowieka nieszczęśliwego i chorego; powinien miéć wyraz zaniedbania w całéj postawie, paznokcie długie, brodę nie zapuszczoną, nie wygoloną, ale jakby wyrosłą przypadkiem, zostawioną przez zapomnienie wśród godzin rozpaczy; kosmyki włosów rzucone na wiatr, wzrok głęboki, nieziemski, obłąkany, złowrogi; usta zaciśnięte pogardą dla rodzaju ludzkiego, serce tęskne, bajroniczne, przesiąkłe wstrętem do życia, owiane tajemniczością bytu."—Dalecy dziś jesteśmy od owych urojonych cierpień, które w tamtoczesnych osobistościach urastały na prawdziwe i rzeczywiste nieszczęście. Dziś poezyja niéma już takich ofiar, gdy z jéj skarbnicy wybierzemy dla dziecka pokarm właściwy, możemy tylko do jego szczęścia i udoskonalenia się przyczynić.

Nietylko deklamacyja, ale i czytanie głośne jest u nas w zupełném zaniedbaniu. Ci, których głośnego czytania z przyjemnością słuchać można, do wyjątków należą. Gdy dziécię zwyciężyło techniczne trudności czytania, przez jakiś czas jeszcze każą mu się w niem wprawiać, na to jedynie zwracając uwagę, aby czytało płynnie i dokładnie. Przyznać trzeba, ze zwykle dzieci nie mają dosyć umysłowego zasobu, by mogły ożywić nim chłód słowa pisanego, a co jeszcze więcéj im utrudniamy, dając do czytania książki, których treści i wyrażeń zrozumiéć nie mogą. Gdy zaś dziécię wchodzi w epokę wszechstronniejszego rozwoju, ćwiczenie to znika z programu wychowawczego, a już o podniesieniu go do wysokości sztuki nikt nie myśli.

Dzieci, nie mające zamiłowania do przyjemności podnioślejszéj natury, mogą nabyć zamiłowania do pracy ręcznéj.

Przed dziewczętami otwiéra się rozległy świat *robót kobiécych*, przeciwko którym przyznajemy się do niejakiego uprzedzenia, ale uprzedzenia do tego działu, w którym na wytworzenie

czegoś bardzo zagadkowo i względnie tylko pięknego, zużywa się nieskończona ilość czasu i zdrowia, przez długie pozostawanie bez ruchu w jednakowéj pozycyi. Krzywda często z tego powodu wyrządzana oczom i zdrowiu jest nieobliczona i niewynagrodzona nigdy. Sądzę nawet, iż uczenie córek haftu, mozolnych atłasków i pajączków, wyrabianie koronek i gipiur, nie należy do obowiązków matki.

W wychowaniu musi być bardzo uwzględniona korzyść, jaką dana ilość czasu przynieść może. Że w pracach powyższych zużycie czasu jest stósunkowo nieskończenie większe, niż osiągana korzyść; przeto oprócz szycia pięknego, ręcznego i na maszynie, robienia pończochy i kroju sukien, żadnych innych robót nie wprowadzałabym do wychowania dziéwcząt; chyba że wychowanie ich wyłączałoby kształcenie umysłu i na przyszły zarobek ręczny liczyćby musiały. Dziéwczęta uczące się, niech pająkom zostawią snucie pajęczyn, a w chwilach wolnych od pracy umysłowéj niech raczéj zajrzą do kuchni, gospodarstwa, ogrodu; niech coś uporządkują, ustawią, lub wreszcie niech na świéżém pobiegają powietrzu. A jeżeli ich sukienka nie haftowaną, ale gładką szlarką była obszyta, nic— ale to nic na tém nie stracą; ani się mniéj będą podobać, ani gorzéj zabawią— nawet wdzięk ich sukni wcale się przez to nie zmniejszy.

Gdy już same sobą rozporządzać będą, mogą wtenczas nauczyć się onych tak dobrze zwanych—nie robót, ale *robótek kobiécych*. Matka wszakże niech godziny przeznaczone na owe *robótki*, zamieni na godziny przechadzki, gimnastyki, lub pracy w ogrodzie.

Dla chłopców roboty ręczne, uważane jako rozrywka, składają się z zajęć pożytecznych i kształcących ciało. Tokarstwo, stolarstwo, ogrodnictwo, myśliwstwo, rybołówstwo i tym podobne zajęcia, wyrabiają siły i uczą praktycznéj zaradności—téj nauki rąk, któréj tak brak ladziom, pracującym umysłowo.—„My, ludzie nauką lub interesami zajęci— mówi Legouvé—zbyt zależni jesteśmy od łaski wszelkiego rodzaju rzemieślników. Potrzebujemy pomocy do wbicia gwoździa.“

Chłopcy na wsi chowani, umiejący zaprzęgać, odprzęgać i siodłać swego konia;—noszący mu siano, zajęci jego wygodami

jeżdżący na furach zboża lub siana, zwykle posiadają większą wprawę w rękach, niż dzieci miejskie.

Rousseau uczy Emila stolarstwa. Nasi chłopcy niech też coś rękami robić umieją, a upodobaniom ich do ręcznych robót niech rodzice nie stawiają zapory. Zajęcia te bowiem, równie jak zamiłowanie w sztukach, wywiéra wpływ umoralniający. Praca fizyczna wzmacnia ciało, zużywa nadmiar sił, które pozostawione sobie zwykle obudzają popędy zmysłowe; zamiłowanie zaś artystyczne, nadając podnioślejszy kierunek myślom, utrzymują umysł na téj wysokości, do jakiéj nie dosięga zepsucie.

Zbyt powierzchowne byłoby mniemanie, że przyjęte zwyczaje, manijery, formy towarzyskie — cała ta zewnętrzna szata cywilizacyi, jest czczą i nieużyteczną łupiną. Kształcenie się bowiem form towarzyszyło zawsze postępowi, szło z nim równolegle, a nawet może w pewnym stopniu do jego rozwoju dopomagało; nie powinno zatém być w wychowaniu lekceważone, gdyż uzupełnia estetyczną stronę wychowania, budzi wstręt do wszystkiego, co trąci gburowatością lub stanem poniżającym człowieka.

Zachowywanie form towarzyskich strzeże nas od obrażania miłości własnéj tych, z którymi przestajemy, a nie wykluczając bynajmniéj szczérości, życzliwości i naturalności, czyni stósunki nasze z ludźmi przyjemnemi i pożądanemi.

Należy wszakże odróżnić cześć dla form towarzyskich, od poczucia potrzeby ich zachowywania. Ludzie, którzy z nich sądzą o wartości człowieka i przede wszystkiém cenią blichtr powierzchowny, popełniają tysiące niesprawiedliwości i pomyłek; sami téż coraz bardziéj ubożeją moralnie skutkiem zacieśniania swoich poglądów.

Formy towarzyskie nie przeszkadzają do wewnętrznéj doskonałości i obok niéj mieścić się mogą; naznaczywszy więc przyzwoitości obejścia się drugorzędne miejsce w wychowaniu, zaniedbywać nie należy jéj uprawy. W Anglii liczba i poszanowanie form dochodzi do przesady; nie przeszkadza to przecież społeczeństwu angielskiemu do posiadania licznych i gruntownych

zalet. U nas kodeks przyzwoitości towarzyskiéj nie jest tak obszerny; dość jednak ma wyraźne przepisy, by wprawne oko po chwilowéj nawet rozmowie z człowiekiem, choćby naukowo najwykształceńszym, nie dostrzegło, że nie miał w domu przykładu owéj przyzwoitości form, która jest jakby masońskim znakiem, po którym się ludzie starannie wychowani poznają. To téż matka, przyswajająca dziecku poprawne formy towarzyskie, oszczędza mu niemało cierpień, na jakie jego miłość własna może być narażoną w przyszłości.

Nie mam zamiaru wyliczać tutaj owych towarzyskich przepisów. Matka, która form tych nie zna, nie potrafi ich swemu dziecku przekazać. Chciałabym tylko zaznaczyć miejsce, jakie w wychowaniu zająć powinny.

Ale jeżeli sposób jedzenia, trzymania sztućców, mitygowania głosu, chodzenia, śmiania się i t. d, można do form owych zaliczyć i w wychowaniu im—mniéj więcéj, wybitne miejsce zaznaczyć; to delikatności w obejściu i mowie trudniéj w dziecku zaszczepić. Przy zbliżeniu się do ludzi, w stósunkach rodzinnych, w postępowaniu ze służącymi, delikatność ta, troskliwa uwaga i wyrozumiałość dla upodobań osób, z któremi się żyje, wyrasta już do rozmiarów cnoty i jest nią rzeczywiście, jeżeli treść znajduje w sercu. W tym razie same nawet pozory już są wielkim nabytkiem, bo uszczęśliwiają otaczających; uczynią żonie lekkiém pożycie z mężem, sąsiadowi dają przyjemny stósunek towarzyski, sługom pana uprzejmego, który choćby nawet był wymagającym, wymagania swoje w przyzwoitéj formie wyraża.

„Bądźcie zawsze pełni życzliwości, szlachetnéj uprzejmości i towarzyskiego wdzięku względem tych, co do was przemawiają—mówi SilvioPelico, w swém dziele: *O obowiązkach człowieka.* Grzeczność taka, dając obejście się wdzięczne, usposabia do uczuć życzliwych. Ktokolwiek w obejściu się swojém jest gburowaty, podejrzliwy, pogardliwy, usposabia innych do nieżyczliwości i niechęci.

Czytając jedno z dzieł pedagogicznych nowoczesnych, spotkałam się z myślą, która głęboko w umysł mój zapadła i choć

rozwiązania praktyczego dla niéj nie znalazłam, pragnę ją podać matkom, jako temat do rozmyślania. Gdy uznają jéj ważność, będą mogły choć w części stósować się do niéj w wychowaniu. Autor pomienionego dzieła, Herbert Spencer, krytykując dzisiejsze wychowanie szkolne i program nauk wykładanych młodzieży męskiéj, zastanawia się nad nielogicznością pominięcia w nim pedagogii. Temu spostrzeżeniu nie można odmówić słuszności.

Ta młodzież—wszak to przyszli ojcowie. Niektórzy wprost z ławy szkolnéj lub uniwersyteckiéj wstępują w związki małżeńskie—tworzą rodzinę. Jakiekolwiek jest ich fachowe powołanie, powołanie człowieka jest jedno, i obowiązki rodzicielskie wybitnie w niém występują. Nic przecież w wychowaniu publiczném młodzieży do nich nie usposabia, nic jéj nie daje wskazówek do dopełnienia najtrudniejszego ze wszystkich zadania — wychowania dzieci.

Nauka, kształcąc człowieka, kształci niezawodnie i wychowawcę; uniwersyteckie wykłady medycyny, filozofii, psychologii, fizyjologii, zostają w bliskim związku, bądź z fizyczném, bądź z moralném wychowaniem dzieci; ale pedagogii dla wszystkich, jako dla przyszłych ojców rodziny, nie znajdujemy u nas w żadnym uniwersyteckim programie; gimnazyjalne zaś nauki, prawie nic wspólnego z przyszłém powołaniem rodzicielskiém nie mają.

Błąd to, którego krytykowanie nie wchodzi, ani w zakres mojéj kompetencyi, ani w zakres pracy, mającéj tylko na celu podanie matkom, o ile można, praktycznych wskazówek wychowawczych i rzucenie w ich umysł jak najwięcéj tych myśli, co ożywione dobrą wolą i miłością macierzyńską, wpływają następnie dobroczynnie na młode pokolenie.

Otóż wobec faktu, że wychowanie gimnazyjalne nic, a uniwersyteckie bardzo mało chłopca do obowiązków rodzicielskich przygotowuje; wobec wreszcie tego drugiego faktu, że sama intuicyja nie wystarcza do ich sumiennego i uczciwego spełnienia; musimy się zapytać, co matka uczynić może dla uzupełnienia braków publicznego wychowania i jakim sposobem najskuteczniéj wpływać ma na to, by małżeństwo przyszłe nie występowało w umyśle syna, jako mara miodowych miesięcy i uciech rodzin-

nych jedynie, lecz jako twardy obowiązek, zaciągnięty względem przyszłości.

Zadanie to jest tém trudniéjsze dla matki, że przygotowanie do moralnego ojcowstwa nie może być udziałem wieku dziecinnego, ani nawet większéj części wieku chłopięcego. Trzeba być dojrzałym duchowo, żeby módz innych do życia przygotowywać, a dojrzałości bliskim, by módz zrozumiéć ważność tego zadania i do niego się przysposobić w teoryi. W wieku zaś bliskim dojrzałości, chłopiec najczęściéj oddalony jest od matki i do tego tak zajęty przedmiotami szkolnemi, że go trudno nową nauką obarczać. Wreszcie opinija publiczna tak jest do podobnéj innowacyi nieprzygotowana, że chłopiec naraziłby się na śmiészność, gdyby obok nauk szkolnych, czy uniwersyteckich, pracował nad pedagogiją w téj myśli, że kiedyś ojcem zostanie.

Byłoby jednak do życzenia, by na przykład w dwóch najwyższych klasach gimnazyjalnych, pedagogija wykładaną była, jako nauka obleczona szkolną powagą i, by professor, upoważniony samym przedmiotem, miał możność w ten sposób odzywać się do uczniów:—„Będziecie ojcami, pamiętajcie, byście obowiązki rodzicielskie, nietylko jako dostarczenie dzieciom bytu uważali, lecz jako niesioną im ofiarę z ducha, przykładu i moralnéj pracy waszéj.“—

Otóż myślę, że taki rodzaj przygotowania do ojcowstwa, zasadzający się na obudzeniu poczucia ważności obowiązków rodzicielskich i płynącéj z nich odpowiedzialności, rodzice powinni dać synowi.

Wychowawcy pospolicie są krótkowidzami; matce niejednéj nawet przez myśl nie przejdzie, że ten młodzieniec, którego wąs zaledwie, jako mgławica ukazywać się zaczyna, za lat kilka ojcem zostanie. Marzenie jéj sięga zaledwo zwykłego powieściowego zakończenia — pomyślnego ożenienia się syna. Bajeczna istota, jaka go ma uszczęśliwić, jest bogata, bardzo bogata, dobrze urodzona, jaśniejąca przymiotami, więc *„będą bardzo szczęśliwi.“* Tylko oni mają miéć dzieci! — Niech więc matka o tém pamięta, że młodzieniec, mający zawrócić głowę pięknéj księżniczce, to przyszły ojciec!

Gdy matka patrząc na syna powié to sobie, już uczyniła piérwszy krok na drodze przygotowania go do obowiązków ojcowstwa.

W téj pracy jednak wszelka natarczywość byłaby nie na miejscu. Wielkie i wymowne słowa o przyszłych obowiązkach ojcowskich młodzieńca, mogące mieć znaczenie w ustach profesora pedagogii; w ustach matki powinny się raczéj rozdrabiać na małe i jakby przypadkowe napomknienia. Praca jéj powinna być cicha, nie narzucająca się, łagodna, a nawet nie nadająca sobie takiego znaczenia, jakie ma rzeczywiście. Syn może nie wiedzieć, że w nim potrosze kształcą ojca rodziny; może się nie domyślać, że matka zasięga jego rady, co do pracy wychowawczéj nad młodszemi dziećmi, żeby wywołać rozmowę pedagogiczną. Matka, rozumnie tą rozmową kierując, może doprowadzić do tego, że syn sam wyrzecze słowa mądréj rady, że się przedmiotem zainteresuje, że mu w myśl zapadnie nie jedno zdrowe ziarno. —„Moje dziecko — mówi pewnego razu matka — przeczytaj ten artykuł i streść mi go w kilku słowach. Wiesz, że mię przedmioty pedagogiczne zajmują; powiész mi więc w krótkości to, na co autor użył słów wiele."—Chłopiec czyta artykuł nie dla siebie, ale dla matki, a wynosi z niego korzyść, któréj dziś nie czuje i dopiéro w przyszłości owoc z niéj wyciągnie. — „Chciałabym — mówi innym razem matka—dać do czytania twéj siostrze to oto dzieło (przypuśćmy, że niém są: „Ojcowie i dzieci", Legouve'go), przeczytaj je, proszę! Jesteś w wieku, w którym możesz osądzić, co dla młodszéj siostry może być do czytania pożyteczném." — Albo: — Przypatrz się, proszę cię, jak nauczyciel mojéj siostry postępuje z jéj dziećmi, chciałabym wiedzieć, jakim znajdziesz jego wpływ na nie. Powiész mi, co sądzisz o ogólnym kierunku tych dzieci i co należałoby zmienić w postępowaniu ich rodziców z niemi."— I znowu gotowy temat, do rozmowy o wychowaniu i jego niektórych skutkach, o roli ojca w rodzinie i jego wielkiéj odpowiedzialności.

Rozmowa ta nie wypadła jako luźne moralizowanie, posługujące się ogólnikami, brzmiącemi górnolotnie, ale miała dane poczerpnięte z życia. Takich okoliczności, w których matka może w tym kierunku działać na syna łatwo znaléźć tysiące. Tylko

rodzice zdają się zapominać, że poza obrębem karyjery ożenienia i materyjalnego bytu, jest jeszcze szczytniéjsze nad wszystkie inne — powołanie ojcowstwa.

Podając matce radę, by w udzielaniu wiadomości pedagogicznych synowi, oraz zaszczepianiu w nim przekonania o ważności i wielkości powołania rodzicielkiego postępowała ostrożnie, jakby tylko podsuwając działające wpływy, a usuwając się sama z widowni czynnéj — podając tę radę, nie mieliśmy bynajmniéj na myśli, że w tym dziale pracy wychowawczéj należy jakąś tajemniczość zachować, ale że umysł dojrzewający syna daleko większą korzyść odniesie z myśli i doświadczeń, które będzie uważał za zdobycz własną, niż z tych, które widocznie tylko matce będzie zawdzięczał. Te ostatnie przychodzą mu z zewnątrz, jako natarczywe oddziaływanie, miéć będą raczéj dla niego pozory osobistych wymagań, niż konieczności życiowéj. Nabytki własne najwięcéj się cenią i dla młodzieńca dorastającego są jedynie możliwe. Dla tego téż nie radziliśmy matce przemawiać do niego z wysokości swego doświadczenia i osobistéj wartości, a raczéj dopomagać mu do gromadzenia samemu zapasu rodzicielskiéj mądrości, by się w nim znalazła gotowa, gdy ją przyjdzie stósować.

Znajomość bygijeny i praw fizyjologicznych, jako podstawy fizycznego wychowania, jeszcze łatwiéj naprowadzić może chłopca na robienie w tym przedmiocie własnych spostrzeżeń i doświadczeń.

Tak pracująca matka nie zastąpi zapewna formalnego wykładu pedagogii, ale czy ma obowiązek przygotowywania przyszłości swych wnuków, o ile to jest w jéj mocy, niech sercem osądzą te matki, które już babkami zostały.

Umiéć patrzéć jasno jest jedną z piérwszych zalet wychowawcy. Lecz to jeszcze nie wystarcza. Powinien umiéć i przewidywać. Na to nie trzeba mu zasklepiać się w ciasném kółku własnego otoczenia, ale często jasny i beznamiętny wzrok wytężać na wady wieku, prądy i kierunki społeczne, na których

wpływ wychowaniec wcześniéj, czy późniéj, narażony być musi. Odziać jego pierś w puklerz, przeciw działających tym wpływom przekonań, jest to uzbroić przyszłego człowieka w siłę odporną przeciw złym dążnościom, jakie wraz z dobremi duch epoki niesie w swém łonie.

Materyjalizm, owo ostatnie słowo fałszywego postępu, rzuca długi cień swój na wszystkie życia dziecinnego przejawy. Podobny do stunogiego potworu, ślad swego przejścia w stu naraz tropach zostawia i, chociażeśmy zdołali część ich w duszy naszéj zatrzéć do szczętu, część ich przecież znaczna prawie bez naszéj wiedzy w niéj zostaje.

Młodzież nasza, nawet ta, która z obdarowań duchowych się nie wyzuła, zaczerpnęła z owych prądów społecznych aspiracyje, przeciwko którym rodzice walczyć powinni. Jedną z nich jest gorączkowa żądza dorobku, ale nie tego dorobku sprawiedliwego, w którym zasługa pracy, lub wyjątkowych zdolności i zasobów intellektualnych odgrywa rolę regulatora; lecz dorobku nagłego, nieumiarkowanego, zastósowanego tylko do miary życzeń, nie do miary zasługi. Wytrwałe zdobycze pracy, pragnienia zadawalające się powolnym i do wartości czynów zastósowanym postępem, popadły u młodzieży w pogardę; natomiast chęć przeskoczenia odrazu wszystkich szczebli drabiny i znalezienie się u szczytu, zapaliła jéj głowy.

Na loteryi życia poszukuje się dziś tylko wielkich losów; ci, co dostają mniejsze, uważają się za pokrzywdzonych. Nikt nie patrzy na zasługę własną, nie pragnie znaléźć pracy wedle sił, jakie w sobie czuje, lecz przykrawa wszystko do miary dochodu, do miary dobrobytu, jaki upragniona posada przynosi. Koszt życia powiększył się w ostatnich czasach—to prawda; ale więcéj jeszcze wzrosły wymagania. Młodzieniec, rozpoczynający karyjerę, skarży się i utyskuje na niedostateczność wynagrodzenia, jakiém przedtem zadawalał się jego zwierzchnik. Piérwsze szczeble, małe dochody, drobne oszczędności, powolne postępy, cierpliwa zasługa, już dziś nie wchodzą w rachunek. Zważywszy na ubóstwo naszego kraju, na małą liczbę posad do zajęcia i napływ obcych funkcyjonaryjuszów, widzimy, że wielkie aspiracyje młodzieży naszéj, muszą najczęściéj narażać ją na zawód. Jakże

siły jéj zużywać się muszą na walkę bezowocną, na pragnienia, które się nigdy nie ziszczą, a które tak wysoko nieraz zmierzają!

Społeczeństwa ludniejsze, zamożniejsze od naszego i większy procent ludzi wykształconych dostarczające, mają u siebie mnóstwo posad maluczkich, zajmowanych przez wychowańców szkół wyższych i uniwersytetów. Lekarze za całą klijentelę dwie, lub trzy wsie mający, objeżdżają codziennie konno wszystkich swoich chorych i zadawalają się bardzo skromném honoraryjum; rolnicy są zadowoleni, jeżeli za swą pracę maluchny procent od kapitału włożonego pobiérać mogą; nauczyciele szkółek ubogich, wszelkie kwalifikacyje naukowe posiadający—są tam bardzo częstém zjawiskiem.

U nas młodzieniec, który skończył wyższy zakład naukowy, marzy odrazu o nadzwyczajnéj karyjerze i, jeżeli spotka go zawód, co najczęściéj się zdarza, czuje się nieszczęśliwym. Ludzie z bardzo małą wiedzą agronomiczną chcieliby, jako rządcy, pobiérać pensyje ogromne, na téj często jedynéj zasadzie, że pochodzą z rodziny niegdyś zamożnéj. Młodzież nasza nie bada swych, często zbyt szczupłych zasobów umysłowych, nie oddaje się pracy, z poczuciem obowiązkowości sumiennéj; pragnie tylko używać i to zwykle nie w stósunku do dochodów. Czuć w sobie zasoby i podług nich obiérać rodzaj pracy; chciéć ją uczynić pożyteczną i korzystną materyjalnie — to prawo każdego; lecz nie badając sił własnych, sumienia, zasługi, pożądać bez miary, pogardzać małemi dochodami, nie umiéć zastósować się do nich —to można nazwać nieszczęściem całego życia.

Wobec tak niepohamowanéj chęci wyniesienia się i dostatku, niech rodzice starają się synom dać umiejętność poprzestawania na małém, gdy chodzi o dobrobyt materyjalny i patrzenia jasno we własne sumienie, które pozwoli im szukać czegoś więcéj w pracach, niż dobrobytu jedynie. Ustrzeżenie ich od zużywania sił w kierunku pragnień nadmiernych, i umiejętność korzystania z tych sił w obrębie bliskich i możliwych zdobyczy, byłoby darem nieocenionym. Gonienie na pustyni za złudnemi widmami fata morgany sprawia, że podróżni tracą kierunek drogi, błądzą i giną.

Uganianie się gorączkowe za dobrobytem wymarzonym zwykle tak samo się kończy. Pogardzamy drogą odpowiednią do sił naszych, a rzuciwszy się na inną, upadamy zwyciężeni trudnościami. Widok takiego roznamiętnienia młodzieży do łatwego i niezasłużonego dorobku, pogarda jéj dla stanowisk skromnych, ale pożytecznych i godnych szacunku, brak poczucia obowiązku względem społeczeństwa, wśród którego się żyje; powinien być dla rodziców ważną wskazówką, iż w piérwotném wychowaniu zaszła jakaś nienormalność, którą jednak usunąć trzeba. Ma ona swoje źródło w tém, iż nie wdrażamy dzieci do oszczędności i poszanowania pracy.

Są pojęcia, które wychowawca musi dopiéro stworzyć w umyśle dziecka; inne znajduje już wyraźnie i wybitnie od lat najmłodszych w nim zarysowane. Takiém jest pojęcie własności.—

Czasem jednak stworzyć bywa łatwiéj, niż istniejącém już pokierować, i możemy się przekonać na przykładzie ludzi dorosłych, jak rozsądek i umiarkowanie rzadko towarzyszą posiadaniu, jak trudno między skąpstwem, rachunkowością a rozrzutnością znaléźć miarę, jak oszczędność rozsądna i znająca swe środki jest, zwłaszcza u nas, rzeczą rzadką. To prawie cnota; choć dobrze zrozumiany interes własny powinienby strzedz od rozrzutności, zarówno jak od skąpstwa, téj namiętności okradającéj nas z uciech życia i środków czynienia dobrze, nie już dla społeczeństwa, ale nawet dla najbliższego otoczenia. Życie wszakże nas uczy, że w dziedzinie moralnéj ostateczności częściéj występują na jaw, niż umiarkowanie i że jeżeli gdzie, to u nas, rzadko się zdarza, by kto umiał należycie oceniać własne położenie materyjalne i umiał do niego zastósować swoje wydatki.

Wychowanie nie może pominąć tak ważnéj ze względu na życie późniéjsze kwestyi i musi odpowiednio pokierować owém pojęciem własności i zamiłowaniem posiadania, jakie w wychowańcu złożoném przez naturę zostało.

Już i dzieci okazują skłonność do przeceniania lub lekceważenia własności. W niektórych chciwość objawia się na każdym kroku; chciałyby wszystko miéć dla siebie samych, pożądają zabawek, jakie widzą u innych, nie lubią dzielić się niczém z rodzeństwem.

Inne dzieci gonią znów za nowością, napiérają się ciągle czegoś, a obok tego lekceważą wszelką osobistą własność, psują zabawki, niszczą książki, nie dbają o rzeczy, których tylko co z upragnieniem pożądały. — „To moja zabawka, więc mogę ją psuć" — mówi niedbałe dziécię, tak, jak późniéj nie jeden młodzieniec trwoni majątek dla téj dobréj racyi, że majątek do niego należy.

Widzimy przecież, że nieoględne szafowanie własném mieniem, brak rachunku, prawie niechybnie w dorosłych przemienia się w nieposzanowanie mienia cudzego i rozrzutny człowiek, byle kredyt znalazł, gotów równie mało cenić własność innych, jak swoję. W dzieciach rozrzutność łączy się téż zawsze z nieposzanowaniem mienia rodziców; skąpstwo zaś rodzi chciwość, która mieści w sobie chytrą zazdrość, ową niezdrową żądzę — rodzicielkę najniższych ludzkich postępków.

Ocenianie właściwe i rozsądne tego, co się posiada; umiejętność zadawalania się udziałem, jaki nam przypadł; oględność na przyszłość, prowadząca do umiarkowanéj oszczędności; rozumne staranie się o przysporzenie majątku, nie zarażone wszakże odcieniem brudnego skąpstwa, ani chciwéj zazdrości: jest nader rzadkim, a jednak koniecznym w każdéj moralnéj istocie przymiotem. Taki téż ideał miéć powinniśmy przed oczyma, jeżeli do życia wychowujemy człowieka.

Chciwość należy wykorzeniać od lat najmłodszych, strzegąc, by wpływy postronne jéj nie rozwijały; przyuczając dziécię chciwe do dzielenia się wszystkiém z rodzeństwem, i starając się, by zasmakowało w rozkoszach miłości rodzinnéj i chrześcijańskiéj.

Piéniądze przedstawiają nam posiadanie w formie oderwanéj, gdyż kawałek metalu, czy papiéru, może się dla nas zamienić w używanie i użytkowanie najrozmaitszego rodzaju. Przedstawiają one zarazem w swém obiegu pracę ludzką, uosobioną w sztuce monety, lub bilecie bankowym. Ocenienie zatém właści-

we téj materyjalnéj potęgi, będącéj tylko konwencyjonalną siłą, nie jest rzeczą łatwą. Wielu dorosłych ludzi nie zna wartości piéniędzy, to jest nie zna ich wartości względnéj, nie umié pojąć, jaką doniosłość przedstawia ich własne mienie, do jakich przeto wydatków mogą miéć prawo. Ważną jest zatém rzeczą oswajanie wczesne dzieci z rzeczywistą wartością piéniędzy, przeważnie ciężką zdobywanych pracą. Dziécię uczące się, nie ma czasu zarabiać; zatém i mowy być nie może, by pracą mogło zdobywać piéniądze. Płacenie dziecku za dobre postępki i naukę zawsze wydawało mi się czémś głęboko demoralizującém i wstrętném. Jakóż tym sposobem zabija się w niém poczucie obowiązku, owéj rdzennéj zasady, bez któréj człowiek na pożytecznego członka w społeczeństwie nie wykształci się nigdy. Wszakże dziécię może posiadać piéniądze, jako stałą pensyją miesięczną, wyznaczoną sobie przez rodziców, jeżeli możność ich na to pozwala. Trzeba tylko wymagać, by rachunki z wydatków ściśle były prowadzone przez dzieci i, sprawdzając je, wrazie jakiegoś nadużycia zawsze stósowne robić uwagi. Jakkolwiek należy im zostawić swobodę, co do rozporządzenia tą pensyją, bacznie wszakże czuwać nad tém należy, by nigdy nie zaciągały pożyczek lub nie brały na kredyt sprawunków, gdyż wrazie przeciwnym byłoby to nauką nieporządku, któremu interesa nasze tak często podlegają.—„Nie bierz na kredyt, płać zawsze gotowizną, a nie potrzebnych rzeczy kupować nie będziesz", — mądrą tę radę Tańskiéj nie zawadzi przytoczyć. Oprócz praktycznego względu oswajania dziecka z rzeczywistą wartością piéniędzy, udzielana pensyja da rodzicom możność łatwiejszego poznania skłonności wychowańca, jeżeli tylko troskliwie zwracać zechcą uwagę na jego wydatki, a tém samém skierowywania jego skłonności na taką drogę, jaką sami za właściwą uznają.

Uboga młodzież męska i żeńska zarobkuje wedle sił i możności. Tymczasem dzieci zamożniejszych rodziców, dochodząc do wieku, w którym pracowaćby mogły, oprócz pracy naukowéj dla siebie i gospodarczéj w rodzinie, żadnéj innéj zwykle nie wykonywują. Dla dania im pojęcia dokładnego o wartości pracy i piéniędzy, należałoby je zachęcać do jakiegoś zajęcia zarobkowego, które na każdém stanowisku każdy znaleźć może. To dałoby

im jasne pojęcie o trudności produkowania korzystnego, o stósunku pracy do wynagrodzenia, o wartości piéniędzy i stósunku różnych prac do siebie. Młodzież, któréj uczucia przechodziłyby zwykłą miarę pospolitości, mogłaby zapracowane piéniądze przeznaczyć na cele dobroczynne. Uznanie w sobie możności zarabiania daje bardzo przyjemne uczucie niezależności. Takie uczucie uzacnia człowieka, czyni go odważnym i wytrwałym. Młodzieńca, czy dziewicę oswabadza od niskiego uganiania się za świetném majątkowo małżeństwem, uwalnia ducha od więzów zawisłości od materyjalnego bytu.

Jakiż nacisk potrzeba położyć na ważność wpływu ojcowskiego, gdy idzie o wychowanie synów!—Uderzyły mię słowa jednego z naszych literatów:—„Rzadko kiedy uda się matce wychowanie charakterów męskich; wychowanie trudne i z tysiącami tajemnic psychologicznych złączone, jakich dusza kobiéty we własném doświadczeniu odgadnąć nie miała sposobności. *) Jeżeli tak jest rzeczywiście, jeżeli matka wobec zagadki charakteru męskiego jest do pewnego stopnia bezsilną; jakże ważném jest wciągnięcie ojca do pracy wychowawczéj i jak rola jego staje się wielką przez ów wpływ charakterowi męskiemu właściwy.

Do ojca należy wprowadzenie syna w koło mężczyzn zacnych, mających wyższe cele społeczne.— Towarzystwo z kobiét i mężczyzn złożone, jest szkołą innego rodzaju: kształci ono poglądy moralne, gusta estetyczne, przymioty towarzyskie, uczy znajomości ludzi; ale koło mężczyzn poważnych i myślących zaznajamia z życiem rzeczywistém i jego potrzebami; z położeniem obecném i przeszłością kraju; wyrabia opinije społeczne i polityczne; daje kierunek tym porywom młodzieńczym, które tak potrzebują celu, że chwytają się piérwszéj lepszéj mrzonki, przywięzują się do najniepraktyczniejszéj, najszaleńszéj idei, któréj z całym fanatyzmem służyć gotowi.

---

*) S. K. Rodzina jako stowarzyszenie się do szczęścia.

Są rodziny, towarzystwa, społeczeństwa całe, w których młodzież odstrychnęła się zupełnie od starszych i niéma już z nimi żadnego punktu stycznego, bo pomiędzy nimi zaległa niezgłębiona przepaść—różnicy przekonań. Obejrzyjmy się jednak w koło, czy i u nas podobne symptomata nie dają się odczuwać. Grono starszych wzdycha, narzeka i trwoży się o przyszłość; niezdrowe ideje, mające już i u nas apostołów, zaczynają nurtować grono młodzieży.

Umiéjmy walczyć z temi idejami. Żadne moralizowanie, żadne straszenie następstwami nic tu nie pomoże.

Jedyną skuteczną obroną przeciwko przekonaniom fałszywym jest utrzymanie zdrowych i pożytecznych zasad w stanie żywotnym i w ciągłéj organizacyi. To zadanie ojca. On to powinien ten nierozerwalny łącznik pomiędzy duchem własnym a duchem syna utrzymać. Jeżeli sam mieszka w mieście, gdzie chłopiec kursa naukowe odbywa, niech nie pozwoli na rozdział umysłowy, jaki tak często dzisiaj się zdarza; niech go pociąga za sobą ku takim osobistościom, których czyny i słowa pociągnąć mogą w sferę wyższych dążności. Jeżeli zaś ojciec mieszka gdzieindziéj, niech czyni, co może, by syna zbliżyć do ludzi zacnych, wytrwałych, z przyjaźnią i miłością na młodzież patrzących.

A jednak ze smutkiem wyznać potrzeba, że coraz rzadziéj, w towarzystwie ojców, dają się widywać młodzi ludzie, którzyby z ich rozmów na seryjo prowadzonych korzystać chcieli. Gdzie są wtedy synowie?—Jakim ulegają wpływom?— Gdyby ojcowie chcieli połączyć się w usiłowaniach, by odwieść synów od zgubnego dla nich odstrychania się od ich towarzystwa, oddaliby tém społeczeństwu nieocenioną usługę; ale nie należy pozwolić na piérwszy krok rozdziału; trzeba umieć zbliżyć do siebie młodzież, a przede wszystkiém nie zalegać pola samemu w pracy umysłowéj i być dla syna uosobieniem doświadczenia nietylko życiowego, lecz społecznego i dziejowego.

Historyczne podręczniki szkolne są przepełnione błędami; uczeń o tém wié— i dzieje tracą wartość dla niego. Natomiast fałsze innego rodzaju obiegają niedojrzałe umysły. Broszury socyjalistyczne i komunistyczne spotykają się już w ręku naszéj młodzieży. I gdy syn coraz więcéj porzuca pracę systematyczną

szkolną, dla oddawania się przedwczesnemu uspółecznianiu i politykowaniu, na podstawie danych usłużnie pomiędzy młodzieżą rozpowszechnianych; ojciec nic z prawdy życiowéj i historycznéj wyczerpać nie usiłuje dla przeciwstawienia jéj mrzonkom synowskim. A jednak wiedza i rozum poparte uczuciem ojcowskiém stanowi wpływ potężny na umysł dziecka. Synowie nie są bez winy, ale i ojców należy powołać dziś przed sąd opinii publicznéj, bo nam chodzi o najdroższe ideały, wypiastowane wiekami w łonie społeczeństwa; idzie nam o dzieci nasze.

Ojcowie i dzieci!

Kwestyja ta w innych społeczeństwach już oddawna będąca na porządku dziennym i u nas zaczyna być kwestyją palącą. I u nas ojcowie powinni zrozumiéć niebezpieczeństwo, wziąć się za ręce, otrząsnąć z ospałéj bezwładności, bo zło zapowiada się groźnie. Idzie tu o przyszłość, o społeczeństwo; wreszcie o dzieci, które straciwszy najdroższe skarby ducha, zaniedbawszy się w pracy naukowéj i siebie samych i kraj cały mogą wtrącić w odmęt nieszczęścia.

ROZDZIAŁ XIV.

Szkoła. Przysposobienie umysłu do nauki szkólnéj. Rodzice wobec szkoły. Nauki humanitarne. Kierunek realny. Wybór szkoły średniéj. Wybór powołania.

Nie potrzeba dowodzić, jak wychowanie publiczne jest niezbędném dla chłopców. Społeczeństwo nasze, równie jak rodzice, rozumieją to dobrze i nie ma podobno takich, którzyby nie usiłowali syna swego przez wychowanie szkólne przeprowadzić.

Wielka ich część wszakże nie zdaje sobie sprawy z tego, czém szkoły stać się mogą dla przyszłości naukowéj dziecka, ani czém jest sama nauka dla człowieka, ani wreszcie jakie są obowiązki rodziców względem intelektualnego wychowania dzieci. Szkoły dla wielkiéj liczby ojców i matek przedstawiają się, jako złe konieczne, jak ospa, którą zaszczepić trzeba, lub odra, którą przebyć musi. Od dzieciństwa straszą chłopca wojskiem, w którém, jako prosty żołniérz służyć będzie musiał, jeżeli naukowo wyżéj się nie wykształci; straszą śmiésznością, jaką się okryje, jeżeli patentu, dojrzałości nie otrzyma. Nie starają się przecież rozbudzić w chłopcu czystego zamiłowania nauki, któreby, doprowadzając do celu, uwolniło go od tego stanu duszy, w jakim znajduje się bardzo często młodzież szkólna. Stan ten odznacza się zniecierpliwieniem, spowodowaném długoletniemi studyjami, niespokojném wyczekiwaniem chwili porzucenia ich nazawsze, uważaniem szkoły za miejsce męki, wymyślonéj dla torturowania młodzieży, a nie przynoszącéj żadnéj korzyści. Takie jest dzisiaj pojmowanie rzeczy przez młodzież i rodziców mianowicie, gdy chodzi o studyja klasyczne. Rodzice poczytują je za uciążliwą i trudną naukę, a jednak nie sta-

rają się przygotować umysłu dziecka do jéj przyjmowania. Słyszałam profesorów gimnazyjalnych, skarżących się na brak rozwinięcia umysłu dzieci, które posiadają nieraz dostateczną naukę, aby były, dajmy na to, do klasy piérwszéj przyjęte, ale mimo to całkiem są nieprzygotowane do dalszéj uprawy. Zmysł spostrzegawczy, zdolność kombinacyi są w nich zupełnie uśpione; — trudno pojmują, brak im zamiłowania do nauki, a przede wszystkiém wiary w swe siły. Rodzice tak zaniedbanego dziecka nie stawiii sobie zapewne nigdy pytania, w jaki sposób dziecku naukę uprzystępnićby można? Chłopiec zostawiony był samemu sobie aż do chwili, w któréj wzięty na wakacyje uczeń klasy V lub VI-éj, przygotował go do klasy wstępnéj lub piérwszéj, i rodzice w swojém sumieniu zaspokojeni, dziwią się późniéj, że chłopcu ciężko idą nauki, że ma złe stopnie i po dwa lata w jednéj zostaje klasie. Ani rozumieją tego, że jeżeli nauki klasyczne, nie mające najczęściéj bezpośredniego zastósowania z późniejszym zawodem człowieka, uważane są za przygotowanie do każdéj naukowéj pracy, do rozbudzenia umysłu dziécka przez naukę o rzeczach; przygotowanie go przez uprawę zmysłu spostrzegawczego, i naukę myślenia jest ich głównem zadaniem.

Najczęstszym wszakże błędem rodziców jest niezrozumienie swéj roli odnośnie do szkoły. Zespolenie się w działalności z nauczycielami domowymi jest potrzebą powszechniéj uznaną i zastósowaną po wielu domach; lecz zespolenie się z działaniem naukowém szkoły to rzecz prawie bezprzykładna.

Przekonaniem stale w nas ugruntowaném a jednostronném jest ogólna niewiara w dobrą wolę szkoły. Nietylko jéj dążności społeczne, które tu pomijamy, ale nawet jéj naukowa strona jest między nami zdyskredytowana zupełnie. Jakkolwiek taka namiętność sądu nie zadziwia bynajmniéj, wszakże nad zwyczaj byłoby korzystném gdyby rodzice mieli więcéj bezstronności i gdyby rozróżnić umieli w pojęciu własném— nauki, od tendencyi społecznéj i narodowéj. Nawet widząc braki i niekonsekwencyje szkolnéj nauki (mówię tu o nauce wziętéj saméj w sobie) nie należy podawać jéj w podejrzenie w oczach dzieci, bo nauka powinna zawsze występować przed niemi, w całym

majestacie powagi; inaczéj dziecko będzie ją uważało za ciernistą i niewygodną drogę, którą przebyć potrzeba jakimkolwiek sposobem, byle dostać ów przywiléj na rzucenie w kąt nazawsze wszystkich ksiąg klasycznych — zwany patentem dojrzałości. Wreszcie nikt nie broni rodzicom dopełniania, o ile można, braków wychowania szkolnego; ale dyskredytowanie nauki w oczach młodzieńca jest błędem nie do darowania. Choćby nawet rodzice byli przeciwni kierunkowi klasycznemu — co łatwo zdarzyć się może, gdyż zdania pod tym względem są podzielone, a jednak z jakichkolwiek powodów oddali syna do gimnazyjum klasycznego; niechże go nie napawają gorzką niechęcią do przedmiotów, nad któremi zmuszają go sami pracować. Odarcie z wiary w pożyteczność nabywanéj wiedzy jest odjęciem najdzielniejszéj naukowéj zachęty.

J. K. Plebański, w doskonale opracowanym, jakkolwiek nieco stronnym artykule swoim: „O pedagogicznem znaczeniu nauk klasycznych" skarży się, że młode pokolenie „straciło zmysł do studyjów klasycznych." Czy przyczyną tego nie jest właśnie brak wiary w ich pożyteczność? Czy rodzice, dyskredytujący ich znaczenie w umyśle dzieci, nie przyczyniają się do tego braku zamiłowania, do zatracenia dobrowolnego zmysłu nauki, jaka umysłowi za pokarm jest podawaną? Przypuściwszy nawet, że nauka szkolna jest niewłaściwa, że kierunek jéj fałszywy; to jednak, gdy się jéj raz dziecko poddało, niechże je ona nauczy chętnéj i rzeźwéj pracy, a już tém samém przyniesie mu korzyść ogromną.

Rodzice, nietylko niepowinni osłabiać zamiłowania do nauki, ale mają tysiące sposobności przekonania dziécka, że lata jego nie marnieją na bezpożytecznéj pracy. Ze strony rodziców nie będzie to kłamstwem, ale dowodem konsekwencyi w postępowaniu i braku zarozumiałego zaufania co do wartości własnych, naukowych przekonań. Będzie konsekwentnością, bo oddając dziecko do szkólnego zakładu, dało się tém samém dowód zaufania temuż zakładowi; będzie brakiem zarozumiałości, gdyż zarówno kierunek klassyczny, jak realny mają gorliwych obrońców i powagi naukowe za sobą; mają wreszcie racyją bytu, gdyż jeżeli jeden wykołysał cywilizacyją nowoczesną, to drugi może

szukać w tém chluby, że jest dzieckiem wielkiego tegoczesnego postępu nauk pozytywnych i jeszcze większy ich postęp zwiastuje. Wiemy aż nadto, że oddanie chłopca do szkół nie zawsze jest wynikiem wolnéj woli rodziców, że działają oni często pod wpływem zmuszającéj okoliczności, jaką jest najczęściéj konieczność korzystania z jedynego zakładu, jaki się najbliżéj znajduje, bo szukanie innéj szkoły połączone jest z trudnościami, które nie każdy zwyciężyć jest w stanie. Ale owa konieczność postąpienia wbrew własnéj chęci nie powinna wpływać szkodliwie na dziecko, zniechęcając je i dyskredytując w jego oczach raz obrany kierunek.

Jakkolwiek wpływ matki na obiór powołania syna warunkuje się bardzo wielu względami, nie może ona jednak obojętną zostawać na jego umysłowy kierunek. Z tego powodu pozwolę sobie choć w krótkości zastanowić się nad wykształceniem humanitarném—owéj spuściźnie ubiegłych wieków, jako téż o nowych systematach, usiłujących osłabić wiarę w tę alfę i omegę wychowania dawnego. Ograniczę się na przedstawieniu obu tych kierunków ze stanowiska, z jakiego na nie zapatrują się ich stronnicy, moje bowiem wyrokowanie w tym względzie, uważałbym za nie dającą się niczém usprawiedliwić zarozumiałość.

Zapatrując się beznamiętnie na tę sprawę, dostrzegamy w obu obozach wielką do dziś dnia krańcowość, lubo każdy prawie pisarz pedagogiczny zaczyna od zapewnienia, iż rzecz starał się zbadać bezstronnie. Gdy się jednak ich zdania ostatecznie porówna, widzi się między niemi taką przepaść, iż ma się ochotę przypuścić, że prawda musi znajdować się pośrodku, lub nawet poza obrębem dotychczasowych pojęć. Są w istocie głosy nieśmiałe, przemawiające za szkołami mieszanemi, jakich próby widzimy już w krajach, gdzie nauczanie jest swobodne, lub za kształceniem młodzieży na podstawie czysto narodowéj, to jest: biorąc język, historyją i literaturę własną za punkt wyjścia do urobienia ducha wychowańca. Wszakże spór główny, trwający od wieków, a od początku naszego stulecia zaostrza-

jący się coraz więcéj, toczy się głównie na podstawie dwóch wrogich sobie kierunków, dwa wybitne tworzy naprzeciw siebie obozy. Jeden trzyma się wiernie chorągwi klasycyzmu; drugi nauki fizyko-matematyczne i przyrodzone radzi podawać młodzieńcowi, ufając im zarówno, jako pożytecznéj wiedzy i jako nauce, kształcącéj w młodzieńcu człowieka.

Nie ulega wątpliwości, że cywilizacyja nasza wypiastowaną została przez studyja humanitarne. Wykarmiła się ona arcydziełami ludów umarłych i przyznać trzeba, że w dawnéj epoce były one deską ratunku dla tonącéj cywilizacyi. Zachowane po klasztorach średniowiecznych zabytki działalności umysłowéj Greków i Rzymian, stały się światłem, rozpraszającém ciemności barbarzyńskiéj Europy i źródłem *odrodzenia*. Wszyscy téż prawie bez wyjątku ludzie, którzy, bądź-to w literaturze, bądź w naukach zajaśnieli w ciągu wieków minionych, byli doskonałymi humanistami. Dziwić się nie można, że jako punkt wyjścia do studyjów swoich brali działalność ludów umarłych, przewyższających cywilizacyją epoki późniejsze. Jeszcze mniéj dziwić się trzeba ustawodawcom, opiérającym publiczny wykład nauk na podstawach już znanych, kiedy innego kierunku szukać dopiéro było potrzeba. Tym sposobem nauki humanitarne oddały ludzkości usługi, których zapoznawać nie należy, a wartość ich cywilizacyjna, długiém doświadczeniem stwierdzona, jest do dziśdnia pobudką dla rządów i zakładów prywatnych do utrzymania ich przeważnego pływu w wychowaniu publiczném.

Przyjrzyjmy się, czém są owe nauki humanitarne. Na piérwszym planie widzimy: język i literaturę grecką i łacińską. Jako przedmioty pomocnicze przedstawiają się: geografija i historyja powszechna. Wreszcie matematyka, oraz język, literatura i historyja ojczysta uzupełniają całość wykładanych przedmiotów. Nauki przyrodzone zaledwie trzeciorzędne miejsce w tym systemie zajmują i wykładane są w sposób niemal elementarny. Gdy teraz poszukamy praktycznego zastósowania tych wszystkich nauk, zobaczymy, że jest ono prawie żadne. Studyja gimnazyjalne mają stanowić naukową podstawę dla starożytników, lingwistów, historyków, pisarzy beletrystycznych, wreszcie dla dyletantów wszelkiego ro-

dzaju, czyli dla ludzi bez powołania. Zważywszy, że piérwsi, to jest badacze dziejowi, językoznawcy i ludzie pióra są wyjątkami w narodzie, a drudzy, to jest dyletanci, wyjątkami byćby powinni; musimy przyznać, że użyteczność, czyli życiowa wartość nauk humanitarnych przedstawia się zagadkowo i nie one to są bezpośredniemi twórczyniami wynalazków, dających krajom bogactwo a społeczeństwom —pracę. Przemysł, handel wre coraz więcéj przyspieszoném życiem, a studyja klasyczne są dla niego uosobieniem dawnego mytu — węża pożerającego ogon własny, karmiącego się samym sobą, bez oglądania się na żadne inne warunki bytu. Nawet najwięksi zwolennicy klasycyzmu w nauce, nie dla jego dotykalnéj użyteczności upatrują w nim jedyną zbawienną szkołę dla młodego umysłu. Przekonania ich opiérają się na przyczynie głębiéj ukrytéj: oni wysławiają, nie wartość życiową, lecz wartość pedagogiczną humanijorów, stawiając na poparcie zdania swego wiekowe doświadczenie. „Nauki humanitarne, mówi biskup Dupanloup, nie są celem, ale środkiem — nie są dziełem samém, lecz sposobem i uprawa umysłowa zupełna tylko przez nie może być osiągnięta. Nic zgubniejszego jednak, jak branie ich za cel. Jeżeli humanijora upadły tak bardzo w opinii publicznéj, to dlatego, że zbyt często czyniono cel z tego, co było tylko środkiem. Ograniczano się do nauczania greczyzny i łaciny, a zapominano o rozwijaniu umysłu. Cel humanijorów, to rozwijanie, podnoszenie moralne człowieka. Ten cel, tak wielki i wzniosły zastąpiono ograniczonym celem nauczania. Na humanijora same rzucano błędy tych, co ich nauczali i tym sposobem w walce przeciw nim zapewniono sobie tak łatwe zwycięstwo."—Ten sam autor powiada daléj:—„Nauki humanitarne powinny dążyć do rozwijania umysłu i podniesienia wszystkich władz intelligencyi. To odróżniać ich będzie od wszelkiéj nauki, dążącéj do zaopatrzenia umysłu w wiadomości mniéj lub więcéj ważne, lecz bez związku bezpośredniego i natychmiastowego rozwijania się i podnoszenia władz umysłowych.

Zwolennicy klasycyzmu pedagogicznego ukazują nam długi szereg ludzi sławnych, znakomitych uczonych i poetów, którzy geniusz swój, swoję pracowitość, gust wreszcie, wykształcili

na klasycyzmie. Studyjom nad arcydziełami starożytnemi przypisują owi zwolennicy dawnego kierunku rozbudzenie się literatur narodowych, na co sądzę, że niezupełnie przystać można, gdyż jeżeli literatura klasyczna kształciła gust, zabijała z drugiéj strony samodzielność i oryginalność, a przez długi czas wyzyskiwała siły literackie narodów żyjących na korzyść umarłego języka łacińskiego. Wiemy, że „Boska komedyja" o mało po łacinie napisaną nie została, tym sposobem sława Dantego z pewnościąby o wiele zmalała. Nasi Sarbiewscy, Janiccy, może byliby się stali poetami narodowymi wielkiéj siły, a nawet genijuszu, gdyby nie rutyna klasyczna i dawanie przez nich pierwszeństwa mowie umarłéj nad swojską. O ile wszakże z drugiéj strony nauki humanitarne, wpływając na oświatę i cywilizacyją w ogólności, wpłynęły na wydawanie przez ludzkość mężów znakomitych; to już kwestyja, w któréj otwiéra się szérokie pole do zbiérania dowodów na cześć humanijorów. Zwolennicy klasycyzmu naukowego powiadają daléj, że tylko na jego podstawie da się utrzymać związek pojedyńczych społeczeństw, z powszechną cywilizacyją Europy; że tylko za pomocą dokładnego zbadania starożytności, można dojść do zrozumienia historyi wieków późniéjszych i pojąć, czém dla nich była złota nić tradycyi starożytnéj, snująca się wytrwale przez wieki, a utrzymywana niewidzialną siłą potężnego ducha, który przetrwał samę śmierć tego, co było jego formą zewnętrzną — śmierć języka i narodu, który nim mówił. Historyja położyła na nim kamień grobowy, a on ten kamień odchylił i odżył w umysłach i sercach ludzkich. To świadczy o niepożytéj jego potędze. Dzieje starożytne to nauka życia, jakiéj żadne inne przedstawić nam nie mogą. Naród grecki i naród rzymski, dają nam dowód jasny i niezbity tego, co stanowi o sile i potędze społeczeństw. Widzimy jasno w historyi obu tych ludów, że tylko wartość osobista jednostek stwarza wielkość narodu; że wielkość ta upada w tym samym stósunku, w jakim przychodzi zachwianie się i upadek obyczajów. Historyja ta jest jakby zamkniętym życiowym rozdziałem, w którym odnaléźć można przyczynę każdego wydarzenia i śledzić skutki każdego błędu, każdego postępku aż w ich następstwach najbardziéj oddalonych.

Żadne inne historyczne badanie takiéj moralnéj i filozoficznéj korzyści przynieść nie może; żadne nie urabia umysłu młodzieńca do tak logicznego zapatrywania się na życie ludów, jak ta przeszłość skamieniała, skrystalizowana w wielką, skończoną całość.

Jest w téj przeszłości spokój i jawność, jakiéj żadna inna nie przedstawia epoka. Polityka nie jest tam tą nędzną, przekupną i kłamliwą walką, jaką jest w naszéj epoce. Obradowanie nad sprawami państwa odbywa się na forum lub na rynku w Atenach; wielcy mężowie nie w podstępie, lecz w głośném objawieniu swego zdania szukają ratunku dla ojczyzny, żyją dla idei dobra publicznego. Są to przykłady, w których nie jedno późniéjsze poświęcenie czerpało siłę. I dzisiaj dla młodzieży nie ma zbawienniejszéj szkoły. Potrzebuje ona dla swoich lat młodych piastunki rozważnéj i doświadczonéj, a spokojnéj i uspakajającéj; taką jest starożytność. Przejęcie się ruchem świata, nauką, któréj celem jest zarobek, któréj końca się nie widzi, ulegającéj codziennie postępowi, a więc zmianie—taki stan umysłu nie jest pożądanym dla wychowańca. On powinien miéć za pokarm duchowy naukę, któréj zamknięte szczelnie koło nie pozwalałoby na żadne niespokojne poza jéj obrębem błądzenie, któraby owszem podnosiła go na tak idealne wyżyny, na które życiowy gwar i inne nauki wejśćby mu nigdy nie pozwoliły. Życie zresztą umarłych ludów tak różniące się od wszystkiego, co nas otacza, uczy młodzieńca patrzéć wyraźniéj, bo mu daje nieznaną dotąd miarę porównania.

Wzrok jego poznaje nagle barwy nowe, o jakich dotychczasowe życie nie dało mu pojęcia i te to barwy dopiéro pokazują mu wyraźnie, czém są kolory dzisiejsze. Język zdobywany mozolnie, przy czém żaden szczegół nie może przejść niedostrzeżony, jak to przy nauce pamięciowéj nowożytnych języków ma miejsce; język ten mówię, dopiéro uczy poznawać, czém jest mowa ludzka. Jakoż języki starożytne przez swoje bogactwo i gramatyczną niewzruszoność są źródłem nieprzebranych skarbów, wśród których jednak nie może być żadnéj niespodzianki. Wszystko tam skamieniałe, okryte powagą i spokojem śmierci.—„Niewzruszoność tych języków i tych literatur, pozwala oprzéć naukę

gramatyki i piśmiennictwa na podstawach trwałych, których kaprysy zwyczaju nie przyjdą zmieniać i naruszać w różnych epokach; formy gramatyczne nie będą się chwiać i nauka elementarna nie będzie narażona w każdym wieku na rewolucyją, zgubną dla utrwalenia myśli i jéj obrazu zawartego w słowie; przepisy wymowy będą stałe i określone, wykształcenie literackie młodzieży nie będzie poddane prawom mody, tak niepewnym i często tak niemądrym."*)—Języki te i literatura są jednolite—nasza cywilizacyja jest pochodzenia mieszanego; tam mamy, mianowicie w literaturze i w języku greckim — czystość i oryginalność zupełną myśli ludzkiéj, mamy historyją postępu, niezawikłaną żadnemi wpływami. Literatury i języki nowożytne przeciwnie wynikają z przetworzenia się i mieszania różnych pierwiastków.

Widok takiego pochodu historycznego i umysłowego, gdzie wszystko było zdobyczą zasługi, logiką następstw, racyjonalnym trybem postępu; widok taki pomaga młodzieńcowi do odkrycia w sobie wiecznego, nieskażonego przez wieki pierwiastku duchowego, który, poddany ćwiczeniom zmiennych wpływów dzisiejszéj epoki, zatraciłby swą czystą, naturalną dążność niezależności od wpływów materyjalnych, nie potrafiłby się skupić w sobie i uciszyć wśród „niezachwianych ideałów dobra i piękna", jakie starożytność stawia nam przed oczy. Do poddania umysłu młodzieńczego takiéj szkole potrzeba całości i dokładności obrazu, a nie możnaby go zdobyć bez znajomości języków starożytnych. Tłómaczenia odziérają arcydzieła z ich oryginalności, zatracają ich ducha, nie pozwalają wcielić się myślą w ich życiowe tchnienie, które z poza wiekowych zasłon wydrzéć trzeba za pomocą wszechstronnego w nie wniknięcia.

Humanizowanie, czyli uczłowieczenie młodzieńca musi odbyć się za pomocą oderwania jego umysłu od zgiełkliwego prądu teraźniejszości, a przeniesienia go w świat pierwotny, gdzie wśród niezmąconego naśladownictwem życia, młodzieniec nauczy się rozróżniać piętna wiecznych, przeznaczeniowych, przez Boga w sercu

*) Dupanloup.

człowieka złożonych dążności, od niestałych, chwilowych prądów, jakie wstrząsają chwilą obecną.

To mu daje niezależność sądu, rzecz tak zawsze rzadką i tak zawsze pożądaną i cenioną—rzecz, na której cała moralna wartość człowieka spoczywa. Małecki w swoich prelekcyjach o filologii klassycznéj użala się nad młodzieżą, któréj wśród burz życia, w wieku namiętności, urabiania się i wyzwalania osobistości, brak światła „*lampy greckiéj*, bez któréj trudno trafić do portu".

„W starożytności klasycznéj— mówi I. K. Plebański—spoczywa ta siła żywotna, która z gruzów i ruin klasycznych, z powagą mistrzyni, jeszcze dzisiaj do nas się odzywa. Na stósunkach życia klasycznego, odznaczającego się naturalnością i prostotą, uczy się młodzież pojmować jasno, nietylko nasze dzisiejsze sprawy, ale wnika duchowo we wszystko, co tylko z ideją człowieczeństwa ma związek, przez co wyrabia w sobie jasny pogląd na wszystkie stósunki ludzkie tak, że w późniejszym wieku może samodzielnie pojmować daleko zawilsze, więcéj skomplikowane interesa teraźniejszości."

Pedagogika dzisiejsza, radzi w edukacyi młodzieży postępować temi samemi ślady, jakiemi postępowała ludzkość przy swém cywilizacyjném wychowaniu. Kształcenie umysłu na humanijorach ma być tak dalece naturalną, najwłaściwszą edukacyją ducha, że ta innym żadnym kierunkiem osiągnąć się nie daje a „wartość jéj jest niedocieczona, a jednak stwierdzona przez wieki tysiącznemi przykłady". Rozumieją to ludy i rządy—i Anglija, Ameryka, Prussy, Rossyja na krok od dawnéj tradycyi nie odstąpiły w programach swych gimnazyjów klasycznych. Słyszałam jednego z naszych znakomitych profesorów, dowodzącego z zapałem najwyższym, iż Francyja dla tego upadła w swym pojedynku z Prusami, że duch obywatelski zatracony w niéj został przez tysiące szkół specyjalnych, technicznych i realnych, z wykluczeniem przewagi wychowania humanitarnego.

A teraz co do właściwości kształcących: logikę, sąd, pracowitość, wymowę, pamięć, zdolność myślenia i kombinacyi zawartych w nauce języka greckiego i łacińskiego, zwolennicy humanijorów dowodzą stale i z wielką siłą, iż żadna inna nauka

zalet tych nie rozwija w takim stopniu, ani nie kształci ich tak równolegle i jednostajnie; żadna nie zaprowadza tak doskonałéj równowagi pomiędzy władzami ducha jak one.

Nauki te mają tak konsekwentnie, tak równo wyrabiać wszystkie strony umysłu, że młodzież, która przebyła studyja klasyczne, ma być lepiéj przygotowaną nawet do tych zawodów, do jakich inni przygotowują się specyjalnie; tak że młodzieniec, wstępujący do politechniki, po przebyciu gimnazyjum klasycznego, większe robi postępy, lepiéj rozumuje, bada, dochodzi do większéj specyjalnéj naukowéj wiedzy, niż młodzieniec, który przebył realija. „Matematyka, jako główny przedmiot wykładany w szkołach, nawet matematyków nie wyrabia!" — powiada biskup Dupanloup.

Czy tak jest w istocie? Czy jest to tylko stronniczém zaślepieniem? Nie śmiém orzekać. To przecież zdaje się nie ulegać wątpliwości, że matematyka, ta podstawa nauk ścisłych, aczkolwiek rozwija rozum, w żadnym przecież stósunku nie zostaje z najdroższemi interesami ludzkości, w których prawa ducha jednostki i całych społeczeństw występują na życiową arenę.

Języki starożytne, których ojcowstwa względem języków nowożytnych nikt nie zaprzecza, mianowicie język łaciński, jest cennym nabytkiem, jako źródło języków romańskich, jako język kościoła katolickiego i wreszcie, jako język naukowy wieków przeszłych, dający klucz do skarbów wiedzy ubiegłych stuleci. Uczony spotyka na każdéj drodze potrzebę posiadania go, jeżeli zajrzéć zechce w dawniéjsze księgi naukowe. Słuszném téż jest, aby katolik go rozumiał, gdy do niego kapłan od ołtarza bożego przemawia.—„To nie jest język umarły— woła de Maistre—to język nieśmiertelny!

Język naukowy u wszystkich cywilizowanych ludów jest wprawdzie dzisiaj bogaty i nie potrzebujemy się już, jak dawniéj, posługiwać łaciną; jednakże w każdym języku jest mnóstwo technicznych wyrazów i nazw naukowych, które wykazują greckie lub łacińskie pochodzenie i źródła ich wśród świata starożytnego szukać potrzeba. Każda nauka ma dążność szukania własnego źródła, każda znajduje go wstarożytności i jéj językach. Można rzeczywiście powiedzieć, że język łaciński „zmartwychwstał na pra-

wdę podobny do tego, którego od dwudziestu wieków wysławia, raz zmartwychwstawszy—nie umrze więcéj." *)

A teraz powtórzmy tu za przyjaciołmi humanijorów, że złe ich nauczanie, jest najważniejszą przyczyną zdyskredytowania nauk klasycznych w opinii publicznéj; że nie jedna szkoła zdaje się nie domyślać roli, jaką mają do spełnienia w życiu człowieka, że posługuje się niemi, jako środkiem jedynie tylko do zakuwania umysłu modzieży. Wreszcie przytoczę tu jeszcze słowa I. K. Plebańskiego.

— „Myliłby się bardzo, ktoby sądził, że jakakolwiekbądź nauka języków klasycznych zapewnia wskazane powyżéj pedagogiczne korzyści. Mając od tylu lat zwrócone oko na trudne warunki kształcącéj się młodzieży, przekonałem się nieraz, że dla niéj nauka języków klasycznych może się stać taką torturą, o jakiéj fantazyja najokrutniejszych wrogów nawet nie zamarzyła. Dzieje się to wtenczas, gdy bez znajomości metody pracy filologicznéj, bez rutyny i nauki pedagogicznéj, traktujemy w szkole języki klasyczne w sposób niewłaściwy zadaniu téj nauki. Wtenczas cel jest zupełnie chybiony, czas dla młodzieży stracony, a umysł młodzieńczy przytłumiony bezmyślnemi trudnościami, z niekłamaną przyjemnością goni myślą za gotowemi, nader łatwemi, jak sądzi, rozkoszami przemysłu, rzemiosła lub handlu."

Co za smutna rzecz usłyszéć, iż młodzież po ośmiu latach pracy, chybiła celu, straciła bezkorzystnie drogi czas, a umysł jéj bezmyślnemi trudnościami przytłumiony został! Dość jest spojrzéć na niejednego młodzieńca skończonego, aby się przekonać, że taki wypadek studyjów nie jest rzadkiém zjawiskiem. Piękne jest założenie klasycyzmu pedagogicznego, że szkoła nietylko uczyć ale i wychowywać powinna; że przygotować należy do życia w szkołach średnich przez uczłowieczenie ogólne, nie przez fachowe kształcenie młodzieńca; lecz gdy złe wykonanie założenia nie przynosi, ani nauki, ani podniesienia umysłu na wyżyny idei człowieczeństwa; gdy nawet, jak to w wielu razach widzimy, nie daje dokładnéj znajomości języka łacińskiego, a tém mniéj zaopa-

*) De Maistre.

truje młodzieńca w ową „lampę grecką", przeprowadzając go jednak przez całą „grecką torturę"; wtedy nie dziwmy się, jeżeli wiara w humanijora upada w społeczeństwie i w rodzinach i, że szukając w ciemności, chwytamy się z zapałem nowych kierunków, których dotykalna korzyść, jako widoczniejsza, łatwiéj wzrok nasz zatrzymuje na sobie.

Zwolennicy nauk humanitarnych, zarzucają kierunkowi realnemu, iż zajmuje się wyłącznie objawami świata zewnętrznego, nie dając szérszego naukowego poglądu na objawy ducha; że kształci techników, ale nie zdoła wpłynąć na równomierne rozwinięcie w człowieku wszystkich władz moralnych i intellektualnych. Na niższym stopniu nauki w gimnazyjach nie należy specyjalizować wiedzy. Fachowe ukształcenie nie może być udziałem dziecka. Dopiéro umysł przygotowany i rozwinięty do pewnego stopnia, może obrać powołanie, którego nikt narzucać nie ma prawa.

Przeciwnicy humanizmu pedagogicznego, mają o tyle łatwiejsze pole do potępienia go, że przedstawia się on w niecielesnéj formie duchowych jedynie korzyści; że cała jego budowa jest natury czysto filozoficznéj, abstrakcyjnéj; że na całą i jedyną obronę swoję stawia długo-wiekowe doświadczenie. Ale wiara ludzi w doświadczenie, w ostatnich czasach zachwiała się, jak nigdy. Patrzymy wszyscy przed siebie, szukając postępu. Mało kto z wiarą w przeszłość spogląda, starożytna ufność w rozum, który, o tyle był potężniejszy, o ile głowa zawiérająca go była bielszą — dzisiaj upadła zupełnie. Jak wielo-wiekowa teoryja obrotu słońca około ziemi, upadła, obalona pociągnięciem pióra jednego człowieka; tak widzimy codziennie nowe wynalazki, rugujące nazawsze stare wynalazki ludzkiego rozumu. Na samę myśl o nowém odkryciu akcyje dawniejszych przedsiębiorstw spadają; przemysł nieufny i lękliwy ze swéj natury, tak już dzisiaj wierzy każdéj nowości, że piérwsza na przykład wiadomość o wynalazku światła elektrycznego obniżyła akcyje towarzystw oświetlania gazowego. Doświadczenie wieków przestało być argumentem doświadczenia.

W wychowaniu intelektualném, metoda indukcyjna, obaliła dawnego o słomianych nogach olbrzyma — dedukcyją. Czy humanijora ze swoją czysto abstrakcyjną dyjalektyką miałaby zastać nienaruszone dla tego, że przez wieki dzierżyły berło ducha i nauki? To już dla dzisiejszych pokoleń dostatecznym dowodem być nie może. Żądza dociekania, owa piękna, lecz czasem tak zgubna właściwość umysłu ludzkiego, doprowadziła do tego, że nowatorowie każdą wiarę poczytali za przesąd—i zapragnęli oswobodzić się od wpływu tego wszystkiego, co tylko nie było ich własną zdobyczą; co było podane ręką obcą i cudzego doświadczenia nosiło na sobie piętno, to wszystko wydało się napojone naleciałością przesądu i uprzedzenia, było: „trudnemi do skruszenia kajdanami ciemnoty."

Najpierwszym warunkiem przy badaniu, mówi Tyndall, jest uczciwa chęć przyjęcia prawdy takiéj, jak nam ją natura przedstawia i porzucenie wszelkiéj wiary naprzód powziętéj, jakkolwiek drogąby nam była." Cóż w obec takiego poszukiwania stać się musiało z władzą humanijorów idealnéj natury? Zapytano, jaki stósunek mają one z życiem, z potrzebami człowieka? a nie znalazłszy w nich żadnéj utylitarnéj i bezpośredniéj korzyści dla młodzieńca, wydano przeciw nim wyrok potępienia. „Ślimacza skorupa nauk humanitarnych" czémże się wydać musiała młodym pokoleniom? Para, która je przenosi z miejsca na miejsce, dała im, jakby potrzebę wyrównania jéj szybkości we wszystkich życia przejawach. I jest rzeczą bardzo zrozumiałą, że podczas kiedy przemysł wre coraz pełniejszém życiem; kiedy słowo pisane, a niesione parą, już nam się wydaje powoli wlokącą się wieścią i ledwo szybkość elektryczności zadowolić nas może; długa nauka szkolna, nie mająca z późniejszą działalnością dotykalnego stósunku, musiała wywołać opozycyją. W ogóle charakter kontemplacyjny dawnych studyjów zamienił się w dzisiejszych pokoleniach w gorączkową walkę z naturą, aby jéj wydrzéć tajniki i poddać ją sile rozumu, a razem z tym nowym kierunkiem podkopaną została teoryja komentowania rzeczy przeszłych a powstała praca dla przyszłości.

Dzisiejsi ludzie śpieszą się, nie mają czasu jednéj epoce, zdawna umarłéj, poświęcać dziesięciu lat życia; nie mają czasu

dla podziwiania Ilijady w oryginale przygotowywać się tak długo, bo na nich czeka prac życiowych tyle — tyle wynalazków jest jeszcze do zrobienia z dnia na dzień!

Nie samym chlebem człowiek żyje; — przyznając nawet tę prawdę, zwolennicy realnego kierunku wychowania powiadają, że wszystkie arcydzieła starożytności w tłómaczeniu czytać można, co nawet naukę języków umarłych czyni dla wielu bezcelową; że literatury nowożytne posiadają równie godne uwagi arcydzieła, że Dante, Szekspir, Goethe nie mniejsze smugi światła za sobą zostawili, jak Homer, Eschiles i Wirgilijusz. I nie do tych ostatnich uciekają się dziś najchętniéj ludzie spragnieni pokarmu duchowego, nie u nich szukają natchnienia poeci, nie w ich fantazyi ludzie pospolici znajdują pierwiastek piękna, jakiego brak im w życiu codziennem. Nie umniejsza to zalet arcydziełom umarłych cywilizacyj i w historyi postępu ludzkości; będą one zawsze miały miejsce pierwszorzędne, tylko ich usługi przestały mieć dla dzisiejszych pokoleń tak doniosłą wartość, jaką miały przed wiekami.

Nauki pozytywne zrobiły w naszych czasach tak ogromny postęp, że spójrzawszy z jednéj strony na ogrom pracy, jakiéj każda gałąź wiedzy wymaga; z drugiéj na krótkość życia ludzkiego; przeciwnicy dawnego wychowania, ubolewają nad strawionym przez młodzież czasem i zużywaném zdrowiem dla nauczenia się języków umarłych, z któremi jéj przyszłość niéma nic wspólnego. A kształcenie pamięci, sądu, inteligencyi?... I na to jest odpowiedź. Nauki ścisłe otwierają pole daleko szérsze dla gimnastyki umysłowéj, niż mogą to uczynić języki. Poszukiwania w dziedzinie przyrody, są wysiłkami, które z młodzieńca czynią człowieka. Nie „lampa grecka" może ocalić wśród trudów życia, lecz „pochodnia natury."

Jeżeli humaniści przypisują nauce języków i literatur starożytnych zdolność rozwijania sądu, logiki i jasności poglądu— tę samę kształcącą władzę przypisują realijom ich zwolennicy. Humaniści czynią zarzut naukom realnym, że te odwodzą od ducha prawdziwéj religijności; pozytywista, Herbert Spencer, powiada zaś wyraźnie ku naszemu zdziwieniu, że kształcenie w naukach fizycznych, przyrodniczych i matematycznych tém swą

wyższość nad zwykłą edukacyją zaznacza, że daje umysłowi uprawę religijną. — „Ma się rozumiéć, dodaje uczony angielski, że nie używamy tutaj wyrazu *religijny*, w znaczeniu ograniczoném, w jakiém zwykle jest brany, lecz w jego znaczeniu najszerszém i najpodnioślejszém. Zapewne, że nauka przeciwna jest przesądom, które w świecie często za religiją są poczytywane, ale nie jest przeciwną religii prawdziwéj, którą te pozesądy zasłaniają nam tylko. Zapewne, że część nauki bieżącéj przesiąkła jest niereligijnością; ale ten duch nie panuje w prawdziwéj nauce, w téj, co zgłębia więcej, niż powierzchnię przedmiotu.

Były głosy, nawet z łona kościoła wychodzące, które osłabienie w naszych czasach wiary przypisywali powierzaniu lat młodzieńczych dzieci naszych wpływom pogańskiéj starożytności— i przypisujące większą pobożność kobiét, niż mężczyzn temu, że panny na wzorach chrześcijańskich, młodzież zaś męska na wzorach pogańskich się kształci.

Zwolennicy kierunku realnego śmieją się z dowodzenia, że humanijora są jedynym sposobem harmonijnego wykształcenia wszystkich władz umysłu i ducha. Jakto?—wołają— więc inna szkoła jest potrzebną do nabycia nauki, a inna jako przygotowanie umysłu do jéj nabywania? Co za nielogiczność! Byłby to jedyny w przyrodzie wypadek, w którym dla dopięcia celu, trzebaby szukać środków nienaturalnych. Tylko chodząc, uczymy się chodzić, a tu—aby się nauczyć chodzić, każą nam pozostać w pozycyi leżącéj. We wszystkich kierunkach wprawa nabywa się pracą na polu samémże działalności. Chcąc na przykład grać na fortepijanie, nie wprawiamy się do gry na flecie; a umysł miałby potrzebować innéj nauki, jako gimnastyki umysłowéj, a innéj, jako bezpośredniéj życiowéj wiedzy? Co da nam w przyszłości znajomość warunków życia, świata otaczającego, nas samych, jako istot z ciała i ducha złożonych, czy język grecki i łaciński? Czy czcze słowa, choćby przez Cycerona związane w barwną całość, mogą nam zastąpić umiejętność zachowania naszego zdrowia, lub umiejętność zapracowania na życie? Patrząc na młodzieńca, który zdawszy egzamin dojrzałości, rzuca książkę grecką na ziemię, wołając z zapałem, że już w życiu swojém nigdy do niéj nie zajrzy, przypomina się trywijalny

koncept przepisu, bardzo trudnéj do wykonania i skomplikowanéj potrawy, którą, z mozołem w końcu sporządziwszy, należy za okno wyrzucić.

Wreszcie jeżeli do naszego szczęścia, nie tylko względy cielesne i utylitarne przyczynić się mogą; jeżeli nauki, sztuki, poezyja i filozofija mają w jakimś stopniu na to szczęście się składać; to nauka natury, połączona z nauką języków obcych, żyjących i języka ojczystego, wszystkim tym warunkom odpowiada dostatecznie. Jeżeli zaś chodzi o moralne doskonalenie się, to, jak utrzymuje jeden z angielskich uczonych, nauki humanitarne czynią młodzieńca zarozumiałym i dumnym ze swéj wiedzy; przemawia on z wysokości epoki, z jaką ogół żadnéj styczności niéma; czuje się w posiadaniu jakiegoś magicznego, abstrakcyjnego klucza, którym, jak go nauczono w szkole, otwiérają się wszystkie zamki, zdobywa się wszystko, co w dziedzinie umysłowéj jest do zdobycia. Wynalazki, nad jakiemi inni pracowali długie lata, wydają mu się łatwą i naturalną zdobyczą, bo dotknąwszy tylko powierzchni nauki, nie zna, ani jéj trudności, ani jéj rozległości. Nie korzy się on przed mądrością i logiką praw rządzących naturą; półbogowie, których czyny komentował, wielkość pojedyńczych ludzi, od których humoru nieraz losy świata zależały— te wszystkie ludzkie, nie boże drogi, dają mu nadmierną dumę człowieczą.

Nauki, mające za cel naturę, czynią człowieka pokornym. Prawdziwy uczony uderza czołem przed niezgłębionością, którą spotyka u kresu każdéj nauki. On oblicza odległość gwiazd i słońc rzuconych w przestwór, ale z pokorą wyznaje, że nie zna i nigdy poznać nie jest w stanie siły twórczéj, wobec któréj umysł jego czuje się małym i słabym.

Żeby dostateczne dać wyobrażenie o krańcowości przekonań, dodać wypada, że z swéj strony zwolennicy pedagogiczni nauk humanitarnych, oskarżają także realija o wbijanie w pychę młodzieży. Powiadają, że ciągle postępująca wiedza, codzienne prawie odkrycia, dają młodzieży przekonanie o bezkrańcowości zdobyczy umysłu ludzkiego i bezmierną napawają go dumą.

I jedni i drudzy są może w błędzie. I jedni i drudzy za mało biorą w rachubę to, że nie nauka sama, ale sposób

jéj udzielania stanowi najczęściéj o jéj pedagogicznéj wartości.

Streszczając to, cośmy tu powiedzieli, o sprzeczności kierunków i wyobrażeń, nie trudno dojść do przekonania, że szkoły średnie nie jednemu jeszcze ulegną przetworzeniu. Chodzi tu głównie o to, aby wszystkie władze intelektualne i moralne, złożone w młodzieńcu przez Boga, doszły w przeciągu nauki od lat 10-ciu do 18-stu tego stopnia rozwinięcia, żeby na ich podstawie mógł on sam odkryć w sobie te wszystkie zdolności, któreby stanowiły o przyszłém jego powołaniu, a tém samém i obraniu właściwego fakultetu, czy innego specyjalnego zakładu. Ustósunkowanie zatém nauk, z uwzględnieniem umysłowych moralnych zasobów, złożonych przez naturę w dziecku, jest zadaniem do rozwiązania.

A teraz, gdy przychodzimy do praktycznego zastósowania, to jest do roli rodziców przy oddawaniu syna do szkoły, musimy zwrócić ich uwagę na to, że i w tym razie, jak w wielu innych, dokładne ocenienie zdolności syna, a więcéj jeszcze jego przyszłych środków, materyjalnych jest nieodbicie potrzebne.

Zdolności dziecka są jego prawem, którego rodzicom zapoznawać nie wolno; ale na zdolności mniejszy nacisk kładziemy dla tego, że jest to nieznana kraina, w któréj odkrycia nie są łatwe. Często zdarza się, że nagle, w pół drogi, zdolność inny przyjmuje kierunek, że dziécię traci, lub nagle nabywa pamięci, że się rozwija niespodzianie i późno, lub wielkie obietnice lat dziecinnych zawodzi. Przyczyny takich zjawisk tkwią, bądź w fizycznym stanie dziécięcia, bądź w kierunku, jaki mu pierwotne wychowanie nadało, bądź téż, gdy idzie o dzieci rozwijające się późno, w naturalnéj ich umysłu dążności do nieprzyjmowania niewłaściwego kierunku, który późniéj sama natura, lub wpływy edukacyjne, odnajdą szczęśliwie.

Dla takich to zjawisk obserwowanych codziennie przez pedagogów, dla uprzedzeń, jakim często rodzice podlegają, wreszcie dla wpływów okolicznościowych, jakiemi są: rozwijanie z zamiło-

waniem w dzieciach przez nauczycieli domowych pewnych stron umysłu, z zaniedbaniem innych, co wyradza powołania fałszywe i zwichnięcie zdolności; dla takich przyczyn radzę rodzicom bardzo oględnie wyrokować o zdolnościach dziecka. W zasadzie trudno zaprzeczyć, że zdolności wybitne istnieją, że się objawiają od lat najmłodszych; ale strzedz się należy zbytniego zaufania do lada ich objawu, który może być sztucznym i chwilowym.

Materyjalne środki rodziców, prawidłowe rozwinięcie władz umysłu dziecka, stanowią wzgląd bez porównania wyższy, niż wybitna zdolność w pewnym kierunku. Takie twierdzenie potrzebuje bliższego określenia i wykazania, że ze względów praktycznych, rzeczywiście tak, a nie inaczéj ta okoliczność się przedstawia. Kierunek humanitarny, który, jak widzieliśmy, w obozie swych największych zwolenników nie przedstawia się, jako wychowanie przynoszące bezpośrednią korzyść życiową, lecz jako przygotowanie do nabycia wiedzy specyjalnéj; kierunek, mówię, humanitarny, prowadzi za sobą może korzystniejszą, lecz dłuższą pracę, wymaga koniecznie uzupełnienia przez nauki wyższe — przez uniwersytet. Inaczéj jest on rzeczywiście dziełem nieskończoném, do celu nieprowadzącem. Szkoły techniczne, rzemieślnicze, technologiczne, handlowe, realne dają znowu naukę, która, w razie zatrzymania się w połowie drogi, zapewnia możność korzystania w jakibądź sposób z nabytéj wiedzy—słowem dają zarobek. Zatém, jeżeli rodzice ubodzy widzą w swym synu zdolności mierne, z których wnioskować o przyszłości naukowéj nie mogą; niech nie ulegają pokusie oddania go do gimnazyjum klasycznego.

Chłopiec ubogi, który, nietylko się uczyć, ale i na życie własne w ciągu nauki zarabiać będzie zmuszony, z pewnością nieukończy gimnazyjum i tylko powiększy zastęp, tak liczny w naszym kraju młodzieży, która żadnego zakładu naukowego nie przeszła. Niech tacy rodzice szukają raczéj szkoły, dającéj synowi wiedzę, któréj utylitarne korzyści byłyby niezaprzeczone. Jeśli wśród takiéj nauki, brak zdolności lub niemożność oddawania się jednocześnie nauce i zarobkowéj pracy na życie, zatrzymują go w połowie drogi, zdobędzie przynajmniéj zasób pożytecznych wiadomości, które go uzdolnią do skromnego może, ale fachowego zajęcia.

Pomyślmy, że dla ubogiego chłopca praca w szkołach podwaja się. W niższych klasach nie ma on korepetytora; więc postęp, przy niedostatecznem rozwinięciu i przygotowaniu domowém, jest dla niego cięższy, przy większéj pracy i gorszém pożywieniu. W klasach wyższych znowu, widzi on zwykle wysychające coraz bardziéj źródło rodzicielskiéj pomocy. Albo młodsze bowiem rodzeństwo potrzebuje wychowania, albo też na piérwsze jego kroki tak się wyczerpała możność rodziców, że na dalsze już jéj zabrakło. Musi więc, żyjąc najskromniéj, często nie jedząc obiadu, pracować umysłowo na przyszłość własną i zabijać się pracą korepetytorską. To jest zaledwie możliwe dla młodzieńca zdolnego; mniéj zdolny, upada pod ciężarem takiego życia, traci zdrowie, energiją, w końcu opuszcza szkoły i szuka chleba, jako rzemieślnik, albo wykonawca gospodarski, lub urzędnik niższego stopnia.

Jeżeli był w zakładzie technicznym i opuścił go nieskończywszy, — coś mu jeszcze z jego wiedzy na życiową korzyść przypadnie. Jeżeli wyszedł z gimnazyjum klasycznego, dajmy na to z klasy V lub VI-éj, bardzo mało umié on rzeczy kształcących człowieka, nie umié zaś nic, coby zarobkową pracę ułatwić mogło.

Zatém rodzice ubodzy, słuszniéj uczynią, jeżeli dzieci mniéj zdolne oddadzą do zakładów technicznych; chyba że mieszkają w mieście, mogą synowi zapewnić zdrowe pożywienie, okrycie,— słowem wygody życia, któreby mu pozwoliły całą usilność zwrócić wyłącznie na kształcenie się własne. Dzieci zdolne i żądne wiedzy stanowić mogą od powyższéj reguły wyjątek. Jakkolwiek ciężką i wyczerpującą organizm będzie ich praca w gimnazyjum; wszelako można miéć nadzieję, że ich zdolność, chęć do pracy i powołanie naukowe, potrafią zwalczyć trudności; że zdołają ukończyć gimnazyjum klasyczne, a potem uzdolnią się fachowo na uniwersytecie.

Gimnazyjum klasyczne otwiéra wszystkie drogi; jego uczniowie zarówno do uniwersytetu, jak do politechniki są przyjmowani; młodzieniec zatém, który je ukończył, ma zupełnie rozwiązane ręce przy obiorze powołania. Szkoły realne uzdalniają młodzież jedynie do zakładów politechnicznych. Ktoby chciał

po ich skończeniu wstąpić na uniwersytet, musiałby wprzódy poddać się egzaminowi z nauk objętych, programem gimnazyjów klasycznych. Jest to wzgląd niesłychanie ważny. Nawet ubodzy rodzice, jeżeli ze zdolności syna rokować mogą, że gimnazyjum klasyczne ukończy, wzgląd ten na uwadze mieć powinni.

Szczęśliwiéj zaś położeni rodzice, którzy mogą synom swoim zapewnić niezależność materyjalną, ci niechaj raczéj wybierają gimnazyjum klasyczne; chyba że wybitny brak zdolności do języków, a natomiast widoczne zamiłowanie do matematyki, lub nauk przyrodzonych, nic zostawia wątpliwości co do powołania dziecka.

Rodzice bogatsi grzészą słabością, częstokroć więcéj, niż ubodzy. Tych ostatnich samo położenie stawia w konieczności, szukania dla chłopca zakładu najbliższego i trzymania się przy nim wytrwale. Ta okoliczność zapewnia przynajmniéj tę wielką korzyść, jaką daje jeden i niezmienny system wychowania i ten rodzaj karności, jaką w chłopcu rozbudza przekonanie, że niemogąc szukać gdzieindziéj nauki, musi koniecznie wytrwać na jedném miejscu i w raz obranym kierunku.

„Lepszy zły system, niż żaden.“ Tymczasem rodzice bogatsi, w swéj pobłażliwości dla dziecka, zawsze przyznają mu słuszność i, raz doszedłszy do tego wniosku, że szkoła nic nie warta, przenoszą je do coraz innego zakładu. Znam młodzieńca, który żadnéj szkoły nie skończył, właśnie z téj przyczyny, iż go z naszych szkół przeniesiono do Poznania, stamtąd do Galicyi, a gdy i tu nie otrzymał patentu, miał się przygotować w Rydze do politechniki na wydział agronomiczny. Gdy zaś i ten zamiar spełzł na niczém, zamierzył udać się do Instytutu rolniczego w Puławach. Tu jednak znowu stanęła mu na przeszkodzie trudność zdania egzaminu w obcym języku; powrócił więc w progi rodzinne, gdzie przez lat parę karmił się z rodzicami tą błogą nadzieją, że pojedzie do Grignon i tam zakład agronomiczny ukończy. Ale nasunęły się różne względy i uwagi rodzicom; już to

odległość miejsca, już bliskość Paryża, tak niebezpiecznego dla natury hulackiéj syna, wreszcie niski kurs naszych pieniędzy; wszystko to opóźniało wyjazd do chwili podniesienia się waluty. Tymczasem skończyło się na tém, że ów młodzieniec pozostał w domu i zmarnował się, jak wielu innych.

Często uprzedzenia osobiste rodziców, co do tego lub owego w wychowaniu kierunku, przynoszą wielką szkodę młodzieży. Jeżeli rodzice w życiu doznali niepowodzenia w swym zawodzie, niepowodzenie to, przypisują rodzajowi pracy, nie sposobowi jéj traktowania i tak dalece zaślepiają się, iż żadnemu z dzieci nie pozwalają wstępować w zawód, jaki dla siebie sami obrali. Pewien nauczyciel muzyki, opowiadał mi, że syn jego ma niepospolite zdolności muzykalne, ale nie będzie się uczył grać na żadnym instrumencie, bo muzyka chleba nie daje, a jéj nauczenie jest przeklętém rzemiosłem, nad które stokroć lepsze jest powołanie szewca lub krawca. Syn byłby może wyrósł na muzyka, ale nie wolno mu było dotknąć się fortepijanu, a każda próba ukradkowa dziecka sprowadzała pioruny gniewu ojcowskiego.

I inni rodzice mówią:—„Syn nasz musi być gospodarzem rolnym. My, i ojcowie nasi, na téj drodze dorabialiśmy się chleba. Niech więc i on na zagonie pracuje".—Więc musi być rolnikiem, choć zdolności jego byłyby go może sławnym okulistą zrobiły.

Są rodzice znowu, którzy nie wymagają od dzieci bezwarunkowego posłuszeństwa, gdy chodzi o wybór powołania; ale chłopiec tyle w domu nasłuchał się utyskiwania rodziców na powołanie prawnika lub agronoma, że chociażby jego zdolności najdoskonaléj nadawały się do jednego z tych powołań, to przecież powzięty wstręt i obawa popchną go na inną i często niewłaściwą drogę.

Trafiają się wszakże położenia, w których rodzice przy wyborze zawodu syna, mają obowiązek utrzymania się stanowczo przy swéj woli, choćby ta miała się sprzeciwiać żądaniom dziecka, a to wtedy, gdy chwilowy, a w młodości często zdarzający się zapał do jakiego zawodu, skłania go do porzucenia raz powziętego zamiaru, do ustania w połowie drogi i kapryśnego przerzucania się na inną.

Dla objaśnienia przytoczmy przykład, w którym dajmy na to, syn ubogich rodziców wyobraża sobie, że ma uzdolnienie poetyckie dla tego, że udało mu się zręczny ułożyć wierszyk; upaja się więc i rozgorączkowywa myślą przyszłéj sławy i oświadcza rodzicom, że pragnie iść na wydział historyczno-filozoficzny, bo ten wydaje mu się najwłaściwszy dla jego literackich zdolności.—„Więc po ukończeniu tego wydziału — mówi ojciec —życzysz sobie być profesorem?" — „Profesorem za nic w świecie! — woła syn.— Uczyć drugich! to najostatniejsza z prac ludzkich, wolałbym cieślą, niż profesorem zostać!"—„Z jakąż więc myślą wstępujesz na wydział literacki?" — „Czuję w sobie natchnienie, którego nie godzi się zabijać studyjami prawniczemi lub medycznemi, ani téż suchą nauką matematyki."

Ojciec lub matka, nie mając żadnych dowodów genijalności syna, a pamiętni na nędzny żywot tylu poetów, którzy kończyli częstokroć na łożu szpitalném, lub bacząc na tych wszystkich nieszczęśliwych, którzy, tworząc dla chleba, tracili ostatki iskry bożéj i stawali się kalékami moralnymi; mają prawo czynić uwagi synowi, przedstawiając mu, że sami żyją tylko z pracy, że dzieciom nie są wstanie zapewnić środków utrzymania, że więc mają prawo żądać, aby syn obrał sobie zawód, mogący zapewnić chléb powszedni; że w każdym kraju pisanie wierszy, nie poparte zdobytą sławą, nie zapewnia utrzymania, a w naszym i sława go nie daje.

Rodzice zatém mają prawo zwalczać nawet upór syna wszystkiemi możliwemi środkami perswazyi. Jednakże i tu należy im się odezwać do niego głosem doświadczenia, które niezawodnie dobrze radzi, gdy zachęca do wyrobienia sobie niezależności, jednego z najwyższych darów nieba.

Głos doradczy zostawiony jest zawsze rodzicom, byle tylko ten był wynikiem namysłu, a nie kapryśnéj, pełnéj uprzedzeń samowoli. Taki głos ma prawo wystąpić, gdy rodzice wiedzą, że syn ich przy obiéraniu zawodu działa pod wpływem cudzéj namowy, lub fałszywego obliczenia korzyści, jakich spodziewa się w przyszłości.

Ale najwięcéj chybionych powołań wypływa z pragnienia zdobycia sobie jak najspieszniejszego karyjery. Pragnienie to, gdy

występuje zbyt wybitnie, staje się gorączką, zamącającą zdrowy pogląd na rzeczy. Młody chłopiec, kończący szkoły, słyszy o młodym człowieku, którego los, lub wybitne zdolności, umieściły na stanowisku wysokiém i przynoszącém znaczne dochody; więc spragniony dobrobytu, rzuca się w zawód nieodpowiedni zdolnościom, a zatém gotujący mu w przyszłości rozczarowanie i zawody. I tu rodzice stać na straży powinni. Znają oni syna najlepiéj; wiedzą, jakie od dzieciństwa objawiały się w nim zdolności; niech więc używają téj wiedzy na osiągnienie dobroczynnego wpływu nad młodzieńcem. Niech jednak zawsze będzie to rozumne przemawianie doświadczenia, a nie gorzkie słowa upokarzające miłość własną.

Największa odpowiedzialność spływa na rodziców, gdy syn, skończywszy gimnazyjum, pomimo otrzymanego patentu dojrzałości, jest jeszcze umysłowo tak niedojrzały, że potrzebuje kierunku. Jego chwiejne przekonanie, sąd niewyrobiony, oglądają się za cudzém zdaniem.

Takie usposobienie nie jest rzadkie w naszéj młodzieży. Wszak często w latach 18-tu kończy chłopiec gimnazyjum. Przebywanie wśród umarłych wieków starożytności nie mogło mu dać doświadczenia życiowego, ani oświecić o znaczeniu niektórych nauk. Prawo przedstawia mu się jako wyobrażenie ogólne; ale o tém, co jest praca prawnicza, jakie jest zastósowanie prawa w jego urzędowych rozgałęzieniach, jaką zatém przyszłość w zastósowaniu przedstawia, tego młodzieniec nie może wiedzieć w sposób ujawniający mu wyraźnie powołanie do tego zawodu. Medycyna znów—to chlebodajne źródło. Ale czém jest medycyna, jako nauka, jakiemu rodzajowi pracy poddaje umysł? Młodziedziec nie zdaje sobie sprawy i nie wié, czy ma do niéj powołanie. Miara, podług któréj sądzi w tym razie o swojém usposobieniu, jest możność znoszenia widoku krwi i ran ludzkich, lub wstręt do ciał nieżywych i widoków wzbudzających odrazę.

Jest to kwestyja nerwów jedynie. Ze względu na nie trudno sądzić o powołaniu. Nie jeden bowiem, patrzący z krwią zimną na ludzkie i zwierzęce cierpienia, w umyśle swoim, ani w charakterze nie ma żadnych danych do zostania lekarzem inteligentnym i zamiłowanym w swoim zawodzie.

Zdarza się tedy, że młodzieniec po skończeniu gimnazyjum, nie wié jeszcze o tém, jakie powołanie otworzy przed nim największe pole zasługi i szczęścia. Ogląda się więc niespokojnie za wpływem, mogącym go oświécić i popchnąć na jednę z dróg, stojących przed nim otworem. Od kogóż najsprawiedliwiéj i najlogiczniéj oczekiwać ma tego wpływu stanowczego? Nie można zaprzeczyć, że powinien on wyjść od rodziców. Tak téż dzieje się zwykle, ale bądźmy szczerzy; jeżeli chłopiec sam siebie zbadać nie może, rodzice nie lepiéj z tego zadania się wywiązują. Tysiące różnorodnych względów nimi kieruje, z wyjątkiem logiki i sprawiedliwości. Nie mogą otrząść się z uprzedzeń. Jedni na urojonéj zasadzie, że prawnicy u nas „z głodu umiérają"— albo: że lekarz „zawsze chléb znajdzie," oddają syna na medycynę. Inni o zarobkach inżynierów mają przesadne pojęcie; inni widząc, że inżynierom o znalezienie pracy już dziś trudno, wpadają w przesadę i utrzymują humorystycznie, że inżynierów teraz już na podkłady pod koléj żelazną używają. Zawód nauczycielski znów taką niechęć obudza, że mało kto na profesora się kształci. Często bardzo, mrzonka, żart, frazes piękny lub złośliwy, stanowi o powołaniu. Ktoś rozgłosił jakąś niedorzeczną wiadomość, inny żartował w towarzystwie z kandydatów do posad sądowych, jakiś przybysz rozpowiedział wieść najmniéj podobną do prawdy, a jedynie zrodzoną we własnéj wyobraźni, i już staje się to dla rodziców wskazówką, któréj się trzymają, jak nici zbawienia, choć rzeczywiście jest ona pajęczą przędzą ludzkich przywidzeń.

Jeżeli już koniecznie o powołaniu syna stanowić trzeba, gdy on sam na postanowienie zdobyć się nie umié, czy nie może, niechże to będzie przynajmniéj na podstawie znajomości jego charakteru i umysłowych zdolności. Takie stanowienie będzie miało przynajmniéj jaką taką rękojmię słuszności, będzie wypływało z logicznéj zasady i choć nieomylność nie jest rzeczą ludzką, choć z uprzedzeń osobistych wyléczyć się trudno; będzie to jednak przyznaniem praw indywidualności dziecka, na którą wpływy zewnętrzne powinny oddziaływać w sposób naturalny; nigdy, jako siła krępująca despotycznie i wyrokująca nieodwołalnie.

Ileż to powołań zwichniętych, ile obowiązków narzuconych, a tém samém i źle spełnianych! Obliczyć tego trudno, rozpamiętywać jednak warto, bo i dziś jeszcze niejedni rodzice, uważając dziecko za własność, sądzą się być w prawie postępowania z niém samowolnie.

O przesądach piętnujących niektóre zajęcia i prace pogardą, niechcę tu mówić, bo one w pewnych tylko, nielicznych kołach panują. Ogół czuje już szacunek dla każdéj uczciwéj pracy, choć jeszcze sam systematycznie pracować nie umié, wierząc w tradycyjne: „Jakoś to będzie".

Miejmy jednak nadzieję, że i to znamię lekkomyślności ustąpi z latami. Już od czasu naszych praojców, których ojczyzna „nierządem stała" i którzy w dobréj wierze powtarzali tę potworną zasadę, wiele w krwi narodowéj się zmieniło, i w tym razie zmieniło się na lepsze.

ROZDZIAŁ XV.

Wpływ matki na córkę i powołanie kobiéty. Zdrowie. Nowicyjat macierzyństwa. Gospodarstwo domowe.

Wielcy ludzie mieli znakomite matki, — stało się to już prawie pewnikiem psychologicznym. Że wielkich kobiét ludzkość małą stósunkowo liczbę posiadała; stąd trudno oznaczyć, o ile matki wpływały na ich przymioty: historyja zaś kobiét zacnych i szlachetnych, nie przechodzi ograniczonego kółka współczesnych i ginie wraz z pokoleniem, które je wydało.

A jednak oznaczenie stopnia oddziaływania matek na córki wykazałoby dopiéro całą ich wpływu doniosłość. Przysłowia — owa mądrość ludów — zostawiły ślady istniejącego od dawna przekonania, że podług matki, córkę sądzić należy: „*Jakie ziele, taka nać; jaka córka, taka mać. Niedaleko jabłko pada od jabłoni*" Mówi się téż i nie bez słuszności: „Chciałbym, żeby syn mój wziął żonę *z dobrego gniazda*. Dobre gniazdo — to przede wszystkiém dobra i cnotliwa matka. Tak, dwa razy ona córkę porodzić powinna, raz — dając jéj życie ciała — co trwa chwilę; drugi raz, dając jéj życie ducha — co trwa wiecznie, bo wpływ jéj wywiérany na nią, od epoki dzieciństwa, do chwili jéj dojrzałości, sięga daléj, bo aż na pokolenia następne, którym znów ona z kolei da życie.

Wychowanie córki nie koniecznie oddala ją z domu. Najkorzystniéj jest, gdy się pod okiem matki całe jéj wychowanie odbywa i to ciągłe zetknięcie czyni matkę niejako szafarzem darów moralnych i umysłowych, jakie dziéweczkę mają ubogacić. Odpowiedzialność téż się zwiększa, dzieło kierownictwa prawie na dzieło twórcze urasta.

Gdy pomyślimy, jaką rolę w składzie moralnym człowieka odgrywają przekonania, religija, poglądy, nauka i przyzwyczajenia, czyli to wszystko, z czém się człowiek nie rodzi, lecz co przez wychowanie nabywa, łatwo poznamy, czém może być wpływ ciągły, naturalny i nieodstępny, jakim jest wpływ matki na córkę.

Jakąż wszakże ma być owa spuścizna moralna, jako przekaz macierzyński, spływający na młode dziéwczę?

Skargi na złe i fałszywe wychowanie kobiét powtarzają się nie tylko u nas: francuscy, niemieccy, angielscy moraliści prawie jednogłośnie utyskują na nicość moralną kobiét. Buckle, zastanawia się nad tém, jak wielkie mogłyby one oddawać usługi ludzkości, „gdyby ich umysł nie był poddany fałszywemu, pełnemu przesądów i potworności systemowi, który nazywa się ich wychowaniem, a zależy na staranném usuwaniu od nich wszelkich pożytecznych wiadomości, a troskliwém nauczaniu wszelkich niedorzeczności dopóty, dopóki ich piękny i czysty umysł nie ulegnie zupełnemu skażeniu.“ Spencer, przypuszcza ironicznie: „że osoby, zajmujące się wychowaniem dziéwcząt, działają pod wpływem przekonania, że nie jest wcale rzeczą pożądaną wykształcenie w kobiécie siły fizycznéj; że zdrowie czerstwe i siła są zaletami plebejuszowskiemi; że pewna delikatność, wytrwałość obliczona na krótkie przechadzki i łatwo, małemi dozami zaspakajający się apetyt, połączony z tą nieśmiałością, która towarzyszy słabości — są przymiotami stósowniejszymi dla kobiét światowych“.

Uczony angielski dodaje wprawdzie, że mu nikt podobnych wyznań nie robił, ale wyobraża sobie, że w umyśle każdéj wychowawczyni ideał panny dobrze wychowanéj bardzo jest podobny do nakreślonego powyżéj, a jeżeli tak jest, to wyznać trzeba, że zaprowadzony system wychowawczy powszechnie jest do tego ideału zastósowany wybornie. Zdanie Milla o losie mężczyzn, związanych z próżnemi i bezmyślnemi niewiastami przytoczyłam powyżéj.

Co do zapatrywania się na wychowanie dzisiejszych kobiét wolałam zacytować zdania myślicieli angielskich, niż francuskich i niemieckich, bo te dają nam dopiéro miarę wielkości wymagań,

skoro w kraju, w którym kobiéta najlepiéj stósunkowo spełnia swe posłannictwo i gdzie rzeczywiście stoi na wysokim stopniu oświaty — jéj wychowanie za fałszywe i bezpodstawowe uznano.

U nas téż nie lepiéj się dzieje.

Rzadko kiedy piękne, wrodzone kobiécie przymioty, właściwie rozwinięte bywają. Zwykle wychowanie jéj grzeszy słabością, brakiem wszelkiéj systematyczności. Czy jednak są tu winne matki jedynie? Nie będziemy się nad tém zastanawiać. Zaznaczymy tylko, iż od matek zależy, by stan rzeczy się poprawił; by w warunkach dzisiejszych, które od razu zmienić nie mogą, wychowało się jednak dziéwczę lepiéj do życia przygotowane, niż owe kobiéty, na które tyle, niestety! słusznych utyskiwań słyszymy.

Starajmy się tylko kwestyją powyższą postawić na gruncie praktycznego zastósowania. Jeżeli moralistom wolno podawać społeczeństwu projekta reform idealnych; jeżeli im wolno stawiać wymagania urzeczywistnić się mające tylko przy zmianie wszystkich okoliczności zewnętrznych, któremi są: prawa krajowe, zakłady naukowe, stan obecny społeczeństwa i t. p.; to przecież matka, jakkolwiek władza jéj moralna nad dzieckiem jest wielką, niema prawa odbywania nad niém prób, które w swych następstwach mogłyby się zgubnemi okazać.

Byłoby to nadużyciem władzy macierzyńskiéj, samowolą.

Postęp jest zawsze możebny, ale trzeba go budować na utworzonéj przez życie podstawie. Wolno było Platonowi, w swojéj „Rzeczypospolitéj" komunistycznéj, porównać kobiétę z mężczyzną do tego stopnia, że naznaczył jéj nawet miejsce w szeregu bojowym i od służby wojskowéj nie uwolnił; ale czy wolno było matkom na zasadzie reformatorskiéj mrzonki, utworzyć legijon z swych córek i popchnąć je tém samém na drogę niewłaściwą niewieście?

Owóż, nie dochodząc bynajmniéj, czy próby dzisiejsze, w różnych krajach praktykowane, co do otwarcia kobiétom wszystkich zawodów, w jakich dotąd pracowali mężczyźni, przyniosą pomyślne rezultaty; czy te kobiéty uznane zostaną przez społeczeństwo rodzinne za zdrowe i pożyteczne nabytki dla jego dobra i postępu; nie dochodząc, czy przypuszczenie kobiét do uni-

wersyteckich egzaminów i wydawanie im stopni naukowych, jest objawem rzeczywistéj potrzeby społeczeństw, czy tylko uroszczeniem chwilowém, bez istotnéj życiowéj wartości, przejdźmy do kwestyj dla nas bardziéj żywotnych.

Zważmy przede wszystkiém, iż przepisy krajowe uniedostępniają dla kobiét większą część posad naukowych, zajmowanych przez mężczyzn, jak np. posady inżynierskie, katedry profesorskie, adwokatura sądownictwo i t. p. Szkół wyższych dla kobiét nie posiadamy. Zatém matki, które marzą o wprowadzeniu córek na drogi nowe, *marzą* jedynie.

Nie jest to w nich rozumném ogarnięciem myślą przedmiotu, ale tylko *mrzonką,* pod którą domyślać się trzeba chęci usprawiedliwienia własnych błędów, popełnionych w wychowaniu swych córek; zrzucenia z siebie winy na okoliczności, społeczeństwo, przesądy, uroszczenia męskie i t. p. Matka niezawodnie musi widzieć trudności wychowania córki, na zdrowego i czynnego członka społeczeństwa. Musi dostrzedz, jak trudno nauczycielce domowéj, którą jéj dała, rozwinąć wszystkie władze umysłowe dziécięcia, jak towarzyskie wymagania nie zgadzają się z postępem, z jakim przecie godzić wychowanie należy. To wszystko niech matka widzi i czuje; ale stawiając odważnie czoło przeciwnościom, niech nie wpada w marzycielstwo i kierunku praktycznego nie opuszcza ani na chwilę dla idealnych dążności, bo do tego niema prawa.

Zadanie do spełnienia na świecie jest inne dla mężczyzny, a inne dla kobiéty, to matka powinna dobrze rozumiéć. Różnic moralnego usposobienia nie należy zapoznawać w wychowaniu; przepaść bowiem dzieląca obie płci pod względem powołania, nigdy zapełnić się nie da tak, jak różnic fizycznych nic zmienić nie może.

Bóg, nie niższe, ani mniéj ważne stanowisko naznaczył kobiécie w ludzkości, tylko inne, niż mężczyźnie; nie mniejsze skarby duchowe w niéj złożył, lecz je uczynił różnemi od tych, jakiemi obdarzył mężczyznę. Mówiliśmy wyżéj, czém jest dla społeczeństwa rodzina.

Wielkie zadanie jéj słusznie cenione, choć nigdy nieocenione dostatecznie, nakreśla zarazem granice dla działalności i powoła-

nia kobiéty. Dopiéro gdy w nich naznaczymy jéj miejsce, widzimy, że na żadnym stanowisku, ani takiéj zasługi, ani tak odpowiednéj pracy dla siebie znaleźć nie może, jak na stanowisku żony i matki. Tam dopiéro przymioty jéj kobiéce jaśnieją w całéj pełni; tam uczucie miłości, którą Bóg w sercu kobiéty umieścił, staje się słońcem ożywczém.

Nie możemy wątpić, że Bóg do tego, a nie innego powołania przeznaczył kobiétę, tę — a nie żadną inną wytknął jéj drogę.

Wychowanie zatém zapoznaje cele boże, jeżeli nie kształci przede wszystkiém kobiéty na żonę i matkę.

Uzdolnienie córki, by sobie dała radę, jeżeli za mąż nie pójdzie, powinno być dopiéro drugiém zadaniem wychowania; piérwszém niech będzie zawsze uzdolnienie kobiéty do spełnienia powołania przeznaczeniowego.

Opinija publiczna w ostatnich czasach na błędną weszła drogę;—widok smutnego położenia niezamężnych kobiét, nie mających przed sobą innego nad nauczycielstwo zawodu, przejął nagle trwogą myślących wychowańców. Zaczęto więcéj obawiać się o to: czy kobiéta, zostawszy panną, da sobie radę, niż o to, czy zostawszy żoną i matką powołaniu temu godnie zadosyćuczynić potrafi.

Jest rzeczą nieprzyznawaną może głośno, ale uznaną po cichu, że na matkę kobiéty usposabiać nie trzeba, że każda obowiązkom macierzyńskim odpowiedzieć potrafi. Wychowanie nie uczy téż pospolicie niczego, coby z obowiązkami temi miało jakikolwiek związek. A jednak takie tylko wychowanie można nazwać rozumném, które, uwzględniając przyrodzone przymioty i skłonności, widzi, jako cel zawsze przed sobą, przyszłe powołanie, prawdopodobną działalność życiową wychowanicy.

Jednym z bardzo ważnych darów dla człowieka, na jakiémkolwiek stanowisku przeznaczenie go umieści; darem, którego brak tak bardzo w życiu naszych kobiét uczuwać się daje—jest zdrowie.

„W dzisiejszych czasach ogólnego upadku fizycznego rozwoju niewiasty — mówi doktór Lutostański — gdy czerstwa, zdrowa i hoża panienka należy do wyjątków godnych zazdrości dla rówieniczek; — gdy zdrowa kobiéta znikła z horyzontu domowego pożycia, a na jéj miejscu pojawiły się chorowite postacie, nie wychodzące z opieki lekarskiéj, jakby przeznaczone do pompejańskiéj ciszy i żałoby; staranie o fizyczne wychowanie dziéwcząt należy do najważniejszych obowiązków matek i wychowawczyń, do powinności, które wkraczają już w dziedzinę zadań społecznych, gwałtownie domagających się ratunku dla upadającego tętna życia."

Brak zdrowia niepozwala kobiétom wydawać na świat dzieci zdrowych. Wpływ bladaczki, którą wszystkie, z małemi wyjątkami, przechodzimy, fizyjologowie uważają za niesłychanie zgubny dla rozwoju, zarówno fizycznego, jak umysłowego przyszłych pokoleń.

Wpływ ten na nas samych już jest widoczny.

Niedokrwistość czyni z nas niedołężne, wrażliwe, do niczego istoty, odejmuje nam energiją, wolę i siłę do pracy; pozwala naszym nerwom nad całym organizmem brać górę; wreszcie, z ilości przeznaczonego, osobistego szczęścia, wydziéra nam część bardzo znaczną, bo na odczuwanie go nie mamy siły i, skracając nasze życie przez zabójczy wpływ choroby, jeszcze je skraca tym sposobem, że działalność jego ogranicza przez odjęcie sił, zarówno fizycznych, jak moralnych. Zdrowie téż, ze wszystkich skarbów, jakie człowiek zdobywa, jest jednym z najgodniejszych uwagi, a dla kobiéty, jako przyszłéj matki, ważniejszym może nawet, niż dla mężczyzny, bo jest siłą, pięknością, wdziękiem. Matki, tyle dbające o rozwijanie talentów w córkach, nie domyślają się chyba, że zdrowie, to jeden z najgłówniejszych środków podobania się. Mówią, że była moda bladych i wątłych kobiét. Dziś przeszła ona zupełnie. O zdrowie dla kobiét wołają nietylko pedagogowie, fizyjologowie i myśliciele wszelkiego rodzaju, ale i kandydaci do stanu małżeńskiego.

Domowe wychowanie zamało baczy na danie dziéwczętom silnego i trwałego zdrowia; pensyje, ogólnie biorąc, mniejszy jeszcze wzląd na nie mają; a jednak fakt ogólnego osłabienia ko-

biét, powinienby w wychowawcach zwrócić na siebie pilną uwagę.

O hygienicznym sposobie życia i pożywieniu mówiliśmy w innym rozdziale; tu wspomnijmy jeszcze, że między wpływami rujnującemi zdrowie dziéwcząt zamieścić wypada: ubiór obcisły i niewygodny, barbarzyńskie sznurówki, buciki o zbyt wysokich obcasach, zamało ruchu a i ten zanadto przepisami określony, za mało świéżego powietrza i przebywania wśród ogrodów, pól i lasów, wreszcie zbyt wczesne zasadzanie dziéwcząt do nauki i złe nauczanie, zabiérające dwa razy więcéj czasu, niżeli go na dobre potrzeba.

Często 7mio lub 8mio letnie dziéwczątka po kilka godzin są zajęte, bo rodzice dziś spieszą się z nauczaniem niesłychanie. Czują oni, że do lat 16tu, epoki, w ktoréj dziéwczęta zwykle się uczyć przestają,—córka ich ma dużo wiedzy do nabycia, a czasu przeznaczonego na to mało; zatém chcieliby zacząć wcześniéj, by w określonym czasie przebyć więcéj drogi. Jest to jednak zgubna i fałszywa teoryja. Umysł wysila się na pracę przedwczesną i nadmierną; zdrowie zamiast się rozmacniać, słabnie z wiekiem i następuje obezwładnienie ogólne, tak często napadające młodzież wśród rozpoczętéj pracy naukowéj.

Złe uczenie przyczynia się téż niesłychanie, nie tylko do powiérzchownego wykształcenia kobiét, ale i do osłabienia ich zdrowia.

Uczą je zawiele rzeczy na raz, wykładają w dzieciństwie przedmioty, które dopiéro szesnastoletniéj panience rzeczywistą korzyść przynieśćby mogły, a wykładają je źle, bez systematu, powierzchownie i jakby jedynie dla zabicia czasu i zdrowia. Ubolewać często trzeba dla jak błahych rezultatów dziéwczę zarabia sobie na bladaczkę! Nie umié nic, a jednak zabito już w niéj zdrowy i rzeźwy krwi obieg, co to w sobie niesie siłę, energiją—wszystkich przyszłych czynów zadatek.

O naukach, źle udzielanych, a zatem zabijających czas bezpożytecznie, dałby się napisać długi rozdział. Co to papiéru pochłonęły nieskończone, a zawsze w końcu złe tłómaczenia z jednego języka na drugi; co to mozołu nad gramatyką języków, niepoznanych przed tém praktycznie; co za zabójczy sposób wy-

kładania geografii, podobnéj do dykcyjonarza, bo napełnionéj tylko szczegółowém wyliczaniem miejscowości; co gamm granych źle, bez równoległego zastósowania biegłości, tak, że ze zdobytego mechanizmu, prawie żadna nie wypływa korzyść dla sztuki. Bez przesady powiedzieć można, że w zwykłych wypadkach połowa czasu wystarczałaby na otrzymanie tych samych, a nawet większych korzyści.

Na pensyjach wykład bywa lepszy, niż w domowém wychowaniu, ale zdrowie nie więcéj na tém zysknje.

Zaliczywszy do wpływów szkodliwych na zdrowie brak dostatecznego ruchu, świeżego powietrza i zawczesną i złą naukę, postawię jeszcze w ich rzędzie chorobliwe rozwijanie się wyobraźni, wywołane złém wychowaniem i nauką. Jak dla żołądka są rzeczy, które go wzmacniają lub osłabiają; tak i dla umysłu są niezawodnie nauki posilne i rozstrajające. Większa część nauk, jakie podają kobiétom, zaliczyć wypada do rzędu tych ostatnich; wykładane bowiem nie systematycznie i za pobieżnie mają raczéj na celu powierzchowne oznajmienie z przedmiotem, niż rozwój władz umysłowych.

Nie wszyscy wychowawcy mają dokładne pojęcie, czém jest w zwykłych warunkach głowa 16to-letniéj dziewczyny. Co za ciekawość i rozmarzenie, jaka żądza wrażeń i namiętność do powieści, wykradanych i czytanych w sekrecie, jakie bicie serca przy scenach miłosnych, których szczególniéj szuka się w romansie z opuszczeniem wszystkiego, co z niemi nie zostaje w związku. Czytanie takie wprawia w stan gorączkowy wszystkie dziéwczęta z żywém uczuciem i wyobraźnią — i zdrowie ich cierpi na tém niezmiernie. Jeżeli jeszcze przyłączy się do tego ideał wcielony i dziéwczę wyobraża sobie, że kocha, to się już miara złego dopełnia. Dla zaradzenia mu byłoby dobrze, nie zaczynając nauki tak wcześnie, jak to zwykle ma miejsce, przeciągnąć ją aż do dwudziestego roku życia dziéwczęcia. Te cztéry lata (od 16-tu do 20-tu) przyniosłyby jéj pożytek naukowy ogromny, dałyby pojęcie o tém, czém jest nauka i praca, wpoiłyby w nią do niéj zamiłowanie, a ochroniły od owego niezdrowego marzenia, od czytania powieści dla scen miłosnych, obmyślania

sytuacyj, w których się we własnéj wyobraźni urasta na bohatérkę romansu.

Doświadczeni lekarze wiedzą, ile zguby zdrowiu takie rozmarzenie przynosi.

Jedna młoda, znana mi chora na bladaczkę osoba, poszła zasięgnąć rady u nie żyjącego już dziś doktora Dietla, w Krakowie.— „A jak wiele czytało się tam romansów, i co o ideale marzyło?" — zapytał staruszek, wpatrując się w bladą dziewczynę.

Logika, zdrowy sąd, praktyczność, o tyle dobrze na zdrowie wpływają, o ile je rozmarzenie i egzaltacyja podkopują. Brak trzeźwości umysłowéj, jakim się w życiu tyle kobiét odznacza; zarzucana im miękkość charakteru, brak ciągłości w myślach i działaniu, niedojrzałość sądu i upadek siły moralnéj — oto są wady ogólne kobiét, szkodzące im na każdém stanowisku, lecz szczególniéj na stanowisku matki i żony. Wady te po większéj części wypływają z wątłego zdrowia, lecz bardziéj jeszcze z fałszywego wychowania, ze źle i bezpożytecznie spędzonych lat młodości, owych próżniaczych dni, rozpoczynających się od skończonych lat szesnastu. Praca — oto wzmacniający czynnik dla władz człowieka! Bez niéj zarówno wiedza, jak i charakter muszą być chwiejne i słabe; tymczasem my, narzuczając zbytnią i niestósowną pracę kobiécie w wieku dziecinnym, nie wymagamy jéj od niéj wtedy, gdy ją podjąć i korzyść z niéj odnieśćby mogła.

Jako dziécię—uczy się, pracuje często nad siły i potrzebę; jako żona i matka ma do spełnienia surowe obowiązki, którym jeśli ma odpowiedzieć sumiennie, musi miéć zasób moralny i umysłowy niemały, musi zupełnie o saméj sobie zapomnieć. Tymczasem te dwie epoki oddzielone są kilkoma latami zupełnéj bezobowiązkowości, z uwagą zwróconą jedynie na własną osobę, przy czém tak nauka, jak i przygotowanie się do obowiązków matki, najzupełniéj są zaniedbane. A przecież dopiéro w tym wieku nauka rzeczywistą korzyść przynosi. Praca dziécięcia jest tylko przygotowaniem do niéj; lecz świadomość, zamiłowanie, zrozumienie jéj potrzeby, może być tylko starszego wieku udzia-

łem, bo wtedy dopiéro duch przemawiać wyraźniéj zaczyna i obudza się pragnienie własnego udoskonalenia. Kto w tym przedmiocie rozmawiał z nauczycielami i profesorami, ten wié, że jeżeli w tym wieku panienki poddane są nauce systematycznéj, do któréj poprzednio przygotowane zostały, to pracują z niezmiernym zapałem i dopiéro rzeczywistą korzyść odnoszą. Często wprawdzie zapał ten przechodzi w przesadę i dziewczyna traci rumieńce nad książkami; ale dzieje się to dla tego, że czuje ona, iż i tak odstąpiła niesłychanie od przyjętego zwyczaju, przeciągnąwszy naukę poza lat szesnaście, że rodzice niecierpliwią się jéj studyjami; że wobec towarzyszek, *w świat wprowadzonych*, okrywa się śmiesznością; że trzeba jéj się tedy spieszyć z nauką, bo czas nagli i dzieje się wykroczenie przeciwko wszystkim prawom i obyczajom społecznym.

Gdyby dzieweczka przy pracy mogła miéć spokój zupełny pod wyżéj wspomnionemi względami, gdyby kierunek jéj usiłowań był ujęty w systemat, zawiérający zarówno studyja, mające na celu rozwój jéj umysłu, jak przyszłe jéj obowiązki żony, matki i gospodyni domu; byłoby to ugruntowaniem w niéj wszystkich rozstrzelonych dotąd nabytków moralnych i umysłowych, które jéj przyniosło życie i książki.

Dzisiejsze kobiéty są słabe, miękkie, chwiejne; trzeba więc, by matki wykorzeniały te wady w swych córkach, by nauką pojętą seryjo, a nie obliczoną na popis, podparły rozsądek i wolę; by systematyczném a gruntowném jéj udzielaniem usunęły tak powszechne wady naszych kobiét, jak lekkość i niestałość. Tego gruntu potrzeba córkom naszym, jak okrętowi kotwicy, by go fala nie porwała. Ale gdzież go mają szukać, kiedy już w szesnastu latach stawiają im tylko do osiągnięcia dwa cele: zabawę i dostanie męża! Jakże żądać od osoby, która kilka lat spędziła na takich zajęciach, by potém zrozumiała, co to jest twardy obowiązek i życie pojmowane, jako praca, zasługa i dopełnienie raz przyjętych obowiązków?

Śmiać się trzeba z tych mężczyzn, co narzekając na stan obecny, zamykają oczy na istotną złego przyczynę. Wszak są ojcami, mogliby do nowéj ery dać hasło. Prawodawcy, wydając prawa nowe, muszą przypuścić, że ludy już są do nich przygoto-

wane i dorosłe i tak je traktować, jakby prawa owe weszły już w ich krew i stały się przyzwyczajeniem. I ludzie pragnący postępu, zwłaszcza ci, co czują, jak zgubne jest próżnowanie młodych panien, niech przypuszczą, że społeczeństwo już dorosło do pragnienia posiadania żon i matek rozumnych i wytrwałych; niech córkom swym, od lat 16tu, zamiast stroju, zabawy, próżniactwa i wycieczek, mających na celu szukanie męża, dadzą naukę życia i światło dla umysłu.

Nie chcę przez to powiedzieć, że zabawa z życia dorastających i dorosłych panien zupełnie wykluczoną być winna. Rozrywka po pracy jest ze wszech miar pożyteczną; ale rozrywka, jako jedyny cel, w wieku nieustalonych jeszcze przekonań i przyzwyczajeń, musi wywrzéć najzgubniejsze skutki na przyszłość moralną, zarazem na zdrowie przez zbytnie podniesienie nerwów i wyobraźni.

Ustósunkowanie w wychowaniu względów, dotyczących strony moralnéj, intelektualnéj i fizycznéj dziecka tak, by utrzymywana równowaga nie dozwalała żadnéj z tych stron kosztem innych się rozwijać— oto zadanie, do którego zmierzać ustawicznie trzeba i trzeźwo się na nie, o ile można, zapatrywać. Tymczasem rzeczą ludzką, a bardziéj może jeszcze rzeczą kobiécą, jest wpadać w przesadę i, na przykład, dla dania dziecku jak najrozleglejszéj wiedzy, zapominać i przeoczać warunki dotyczące zdrowia, albo znowu tworząc sobie strachy, i drżąc wiecznie o zdrowie dziecka, obawiać się skutków jego pracy umysłowéj i wszelkiego przymusu do tego stopnia, że troskliwość macierzyńska przechodzi, nie tylko w pobłażanie lenistwu, ale prawie w zachętę do niego.

Wychowanie chłopca wzięte jest niejako pod kontrolę społeczeństwa. Wiek wstąpienia do każdéj klasy oznaczony jest ściśle; wymiar nauki również określony, stawia matkę w konieczności regulowania stopnia intelektualnego jego rozwoju do programatu szkolnego. Często, niestety! i charakter i fizyczna strona cierpi na tém i matka z boleścią patrzéć musi na demorali-

zujący wpływ towarzystwa kolegów, na ujemne oddziaływanie szkoły na moralną stronę i powietrza miejskiego na zdrowie, upadające pod nadmiarem pracy umysłowéj. Wyboru jednak niéma. Chłopiec czuje potrzebę nauki, pracować pragnie i tamy stawiać mu nie można.

Ale dla chłopca przyszła obywatelska i chlebodajna praca, streszczając się w szkolnéj nauce, daje mu zarazem daleko większą, niźli pannie swobodę; przeto nawet ucząc się, w wyższym stopniu w sobie praktyczność i samodzielność wyrabia.

Tymczasem dziewczynka zupełnie w innych znajduje się warunkach.

Wiedza, czy to w domu, czy na pensyi zdobyta, mało jéj daje nauki życia, która nie w książkach, lecz w praktyce życiowéj się mieści. Gdy nowicyjatem przyszłego życia dla mężczyzny jest świat, jak długi i széroki; dla dziewczynki jest on w domu rodzinnym zawarty, bo rodzina stanie się prawdopodobnie polem jéj pracy życiowéj. Zostanie matką, jéj rękom powierzone będą dzieci, zatém obok światła, wiedzy, nauki, dajmy jéj coś więcéj, coby ją przygotowało do życia. Chłopiec, który się uczy medycyny, na przykład, kształci się jednocześnie na człowieka, mogącego na własny i rodziny byt zapracować, wreszcie na ojca o tyle, o ile wychowanie dzieci zostaje w stósunku z gałęzią wiedzy przez niego wybraną. Dziewczynka ucząc się trzech języków, muzyki, geografii, historyi, rysunku, odrobiny nauk przyrodzonych, pośrednio tylko kształci się na matkę, raczéj na nauczycielkę, niż wychowawczynią; niéma bowiem do czynienia z dziećmi, nie oswaja się z obchodzeniem z niémi;—jako gospodyni nie kształci się również, nie uczy się téj mrówczéj domowéj pracy, która nie zależy na naukowém oderwaniu myśli, lecz właśnie na skupieniu jéj w koło drobnych życia objawów.

To za mało matki rozumieją. Pragną dla córek wiedzy, pojmując ją najczęściéj fałszywie, biorąc blichtr za jéj istotę; a jeśli do pewnego stopnia przyuczają ich umysł do skupiania się abstrakcyjnego, to nie wprowadzają je w nowicyjat przyszłego życia. Dziécię małe rozpoczyna od nauki doraźnéj, téj, jaką zdobywa w godzinie lekcyj; potém stopniowo powierzana mu bywa praca samoistna coraz większa; musi się do lekcyi przygotowy-

wać, wzmagać się na wysiłki naukowe własne, pisać ćwiczenia, rozwiązywać zadania, a im postępuje daléj, tém się wymagania zwiększają.

Co do nowicyjatu jednak przyszłego życia rzecz się ma wcale inaczéj. Dziewczynka mała styka się jeszcze z pracą domową i gospodarską; jeszcze, uprosiwszy matkę lub szafarkę, pomaga im niby w ich zajęciach, jeszcze czasem je wyręcza, w przygotowaniu zastawy stołowéj. Ale z czasem i ta nawet mała praktyka znika zupełnie. Dziewczynka zamknięta w pokoju szkolnym, lub oddana na pensyją, nie wié o ruchu domowym; nawet spacery jéj są *abstrakcyjnéj* natury. Idzie z nauczycielką w godzinie na to przeznaczonéj na przechadzkę w stronę, gdzie droga najrówniejsza, aleja najcienistsza, ale, ani robota w polu, ani pasące się bydło, ani praca w ogrodzie, nie zajmuje jéj w sposób praktyczny. Przechodzi koło nich zadumana, lub wesoła, lecz myśli ku nim ani na chwilę nie zwróci. Z młodszém rodzeństwem, z dziećmi, wogóle nie ma do czynienia wcale; czasem zachwyci się wprawdzie jakiém wystrojonem dzieckiem w ogrodzie publicznym, lecz jest to poryw czysto artystyczny. Ochronki w miastach, ogródki dziecinne są dla niéj światem nieznanym; nie ma wyobrażenia, ani o pielęgnowaniu niemowląt, ani o obchodzeniu się z dziećmi.

Stósunek dziewczynki do prac domowych i rodzinnych powinien iść w kierunku odwrotnym.

Małe czynności ręczne i gospodarskie dziecka, pod okiem matki dokonywane, zajęcie się młodszém rodzeństwem, powinny z wiekiem, równie jak nauka, przeradzać się w zajęcia obowiązkowe i samoistne tak, by dorosła panna, wtajemniczona w ruchy wszystkich kół i kółek domowéj maszyny, stała się w końcu żywym członkiem pracowitéj spółki rodzinnéj. Że przy takiém rozdwojeniu pracy, czas na naukę się umniejsza; więc, jak to już mówiliśmy powyżéj, przedłużyć ją wypada do lat 20tu, nie mówiąc już o tém, że późniéj sama jeszcze panienka naukowo pracować nad sobą powinna i zawodowo się kształcić.

Dzieweczka, mająca młodsze rodzeństwo w domu, może praktykę przyszłego macierzyństwa pod okiem matki odbywać. Dziewczynka 10 letnia, nic nie wiedząc o zasadach pedagogicz-

nych, znajduje wyborny nowicyjat przyszłych obowiązków w obchodzeniu się z młodszym o lat 6, na przykład, braciszkiem. Gdy z nim idzie na spacer pod opieką niańki, matka zleca dziéweczce pilnowanie, by zaraz po zachodzie słońca włożono mu paltocik; strzeże, by nie pił zimnéj wody, jeżeli jest przy zabawie spocony; by nie wychodził do zimnéj sieni bez stósownego okrycia, by nie stawał przed płomieniem pieca lub kominka, bo nietylko sukienka zapalić mu się może, ale takie grzanie się katar sprowadza; by nie brał zapałek do ręki, bo małe dziécię nie umié się jeszcze z niemi obchodzić; by mając w ręku scyzoryk lub nożyczki, któremi może już strugać drzewo, lub wycinać figurki z papiéru, nie biegał z niemi, bo, upadając, mógłby sobie oko wykłóć, lub skaléczyć się i t. p.

Wiadomości powyższe tyczące się wychowania fizycznego, posiada każda matka i niepotrzeba uczyć ich dziewczynki; ale oddaje się nieocenioną usługę przyszłym jéj dzieciom, jeżeli się ją przyucza do praktyki, to jest do uwagi zwróconéj na malca do troskliwości o jego zdrowie i potrzeby.

A pod moralnym względem co za zdobycze! Jak dziewczynka, wprawiona przez matkę, umié się obchodzić z uporem dziecka, jak je umié zachęcić do posłuszeństwa, zająć opowiadaniem moralnéj bajeczki, wmówić mu grzeczność i delikatność dla sług, jak je uczy chodzić na palcach, gdy rodzice śpią, jak umié je zachęcić do zrobienia przyjemności komuś z otaczających, jak je namawia do podania mamie stołeczka pod nogi, jak mu przypomina, by dziękowało za wszystko, by dla bony było względne. — „Daj pokój teraz pannie Emilii, ona i tak dosyć się z tobą namęczyła, pozwól jéj trochę poczytać.”—„Czy mówiłeś paciérz?” — „A widzisz, o jedzeniu myślisz, a nie modliłeś się do Boga, co nam dał wszystko i mamę kochaną i tatkę i wszystko, co widzimy, co jemy, w co się ubiéramy.”—„Nie bij pieska, on dobry, on nam służy, on nas pilnuje, w nocy nie śpi, czuwa, by nam zły człowiek czego nie zabrał. I jego pan Bóg stworzył, jak ciebie, a choć on nie ma takiego rozumu, jak ty, co jesteś człowiekiem, przecież czuje, kto go lubi i pieści, a kto się z nim źle obchodzi. Czy ty byłbyś kontent, żeby cię kto bił?” — A co za troskliwość dziéweczki, gdy dziécię jest chore!—„Mamo, jemu

tak w skroniach pulsa biją! Możeby mu wody zimnéj do głowy przyłożyć, możeby go nie okrywać tak gorąco?" — Mała kobiécina z czułością przemawia do chorego, pieści go, zabawia, wynajduje prawdziwie genijalne czasem sposoby, żeby dziécię rozerwać, skacze w koło niego, rysuje mu, wystrzyga i ustawia żołnierzy: czasem jéj czułość dochodzi do prawdziwego poświęcenia. Czy to nie praktyka macierzyństwa?

Jedna taka siostrzyczka, widząc, że matka nie mogła namówić chłopczyka, w skutek długiéj choroby od kąpieli odzwyczajonego, by wszedł dobrowolnie do wanienki, uprosiła matkę, by jéj pozwoliła spróbować wymyślonego przez się sposobu. Kazała opróżnić wanienkę, wysłała ją suchém prześcieradłém i dziécię, ubrane w koszulkę, wsadziła w nią, jak w wózek, obiecawszy mu, że je będzie wozić po pokoju. Przez jakiś czas posuwała dziécię z wanienką, bawiąc je, rozśmieszając; potém nakładała w wanienkę klocków i zabawek drewnianych, następnie zachęciła dziécię, by z naczynia napełnionego letnią wodą, samo ją nabiérało i wléwało sobie na nóżki, przeléwało w kubeczki, bawiło się nią. Gdy dziécię zajęte już było tą zabawą, zaczęła sama ostrożnie coraz więcéj wody doléwać do wanienki, aż nakoniec uszczęśliwione dziécię znalazło się w kąpieli.

Tym sposobem przełamała jego wsrtęt do wody.

To są wszystko małe rzeczy, drobiazgi nie uczące może niczego w teoryi, ale dające ogromne praktyczne zdobycze, w przyuczaniu małéj kobiéciny do zajęcia się dzieckiem, do prowadzenia i poświęcania się dla niego.

Gdy pomyślimy, że największa część wykroczeń rodziców względem dzieci wypływa z egoizmu, dojdziemy do przekonania, że niesamolubne wysiłki siostry dla rodzeństwa są do macierzyństwa podwójnie dobrém przygotowaniem.

Zwykle wszakże, szczególniéj w zamożniejszych domach, odsuwają dziéweczkę uczącą się od młodszego rodzeństwa, by jéj w pracy nie przeszkadzało; gdy zaś dorośnie, prowadzi żywot wyłączny, zostawiając najobojętniéj młodsze dzieci z bonami i nauczycielami. Nie poczuwa się względem nich do obowiązku żadnego. To téż szczytne poświęcenia braterskie i siostrzane zwykle tylko w ubogich rodzinach się zdarzają. Tam to widziéć

można pierworodnego chłopca, największemi ofiarami rodziców niezamożnych doprowadzonego do jednéj z wyższych klas, utrzymującego młodszego brata w jednéj z klas początkowych, dającego mu korepetycyje i tym sposobem stawającego się moralnym ojcem chłopięcia.

Z niezamożnych téż domów wychodzą te zacne siostry, co pracą nauczycielską zdobywają grosz potrzebny na wychowanie młodszych sióstr lub braci; co odmawiają sobie, nietylko przyjemności, ale prawie piérwszych potrzeb życia, by zadaniu podołać. Nie jedna z takich odmówiła rękę człowiekowi, którego kochała, bo, zaciągnąwszy własne rodzinne obowiązki, nie byłaby mogła braci w szkołach utrzymywać. Tak ciche poświęcenie życia całego— nie jest że wzruszającym i godnym uwielbienia obrazem?

W rodzinach zamożniejszych, dorosła panna zajęta sobą jedynie, nie znajduje chwili czasu na poświęcenie jéj rodzeństwu. Nie czuje obowiązku dania mu nic z własnéj duszy, lub z intellektualnych zasobów. A przecież, jakże korzystne dla stron obu byłoby zajęcie się starszéj młodszemi! Jeżeli w nauczaniu dzieci nie ufa sobie, jeżeli widzi, że nauczyciele lepiéj się od niéj wywiązać z tego potrafią, niechby wzięła na siebie myślenie o potrzebach dzieci, chodzenie z niemi na spacer i rozmowę dla nich pożyteczną, a z serca siostrzanego płynącą; niechby młodszą siostrzyczkę wzięła do swego pokoju i urabiała grunt jéj moralny, niechby wreszcie dzieliła zabawę z dziećmi, z czego i onaby moralną korzyść odniosła.

Doprawdy! dziwić się nieraz trzeba obojętności starszego rodzeństwa względem młodszego.

Matka, zajęta wprowadzaniem w świat dorosłéj panny, obmyślaniem dla niéj strojów i konkurentów, zaniedbuje młodsze dzieci; dla dorosłéj zaś córki ten mały, krzykliwy światek staje się nieznośnym ciężarem.

Słyszałam jednę taką siostrę, ubolewającą nad tém, że dzieci wszystko jéj rozrzucają, suknie gniotą i zazdroszczącą jedynaczkom ich błogosławionego żywota. Zapewne w tém utyskiwaniu nie było winy serca; ale była wina bezobowiązkowości starszéj siostry względem młodszego rodzeństwa. Nie pracowała nad niemi, nie była z niemi związana żadnemi moralnemi węzły, a widząc

się piérwszą w domu, posuwała egoizm aż do odczuwania ciężaru téj licznéj rodziny, krępującéj trochę jéj ruchy i zamiary.

Kto się baczniéj przypatrzył zwykłemu położeniu dorosłéj panny w domu zamożniejszym, ten wié, że staje się ona celem marzeń i poświęceń rodzicielskich. Dla niéj kupują nowe meble, dom się urządza i na wystawniejszą stopę prowadzi; toaleta matki się odświéża, żeby wstydu córce nie zrobiła; ojciec nawet przyzwyczajenia i narowy swoje stara się poskramiać, żeby nie odstraszyć gości; córka starsza występuje na piérwszy plan do tego stopnia, że młodsze dzieci schodzą na ostatni. Co za zgubny dla całéj rodziny system!

Rodzice zaniedbują obowiązki względem młodszych, starsza panna w egoizmie się rozrasta; rodzeństwo czuje jéj niesprawiedliwość, zniechęca się do siostry i spójnia rodzinna sama z siebie się rozrywa. Są przykłady rujnowania się rodziców w celu wydania świetnego starszéj córki; przykłady pozostawienia młodszych, w najtrudniejszych warunkach bytu dla tego, że potrzeby dorosłéj panny zjadły ich mienie.

Oprócz, że jest to nieoględnością i niesprawiedliwością, wpływ moralny na rodzinę staje się w najwyższym stopniu demoralizującym.

Jak każda wspólność jest spójnią w rodzinię, tak każde wyosobienie się jest téj spójni nadwyrężeniem. To téż dorosła córka powinna być tak wychowana, by się zawsze czuła członkiem rodziny, by umiała podzielać jéj pracę, dążenia, by znała położenie rodziców i umiała się zastósować do niego. Zamożność ich nie upoważnia jéj bynajmniéj do próżniactwa. Oprócz pracy naukowéj, powinna, odbywając nowicyjat przyszłych obowiązków, podzielać zajęcia matki, zajmować się młodszemi dziećmi, gospodarstwem, myśléć o potrzebach domowych i wygodach rodziców, wreszcie kształcić się zawodowo i w naukach, potrzebnych przyszłéj wychowawczyni.

Gospodarstwo kobiéce, tak ważna umiejętność dla przyszłéj żony i matki, jest, jako teoryja, niezmiernie łatwą do nabycia

i dla tego zapewne bywa w wychowaniu dziéwcząt lekceważona. Matki, opiérając się na przekonaniu, że dziewczynka zostawszy panią domu, *byle chciała*, łatwo gospodarstwa się nauczy; wcale jéj do niego nie zaprawiają. Przekonanie takie jest błędne, bo w tym razie *chciéć* bardzo trudno, osobie przez wychowanie do niepraktyczności i niezaradności przyzwyczajonéj. W gospodarstwie kobiécém teoryja daleko mniéj warta od praktyki, a bez téj ostatniéj jest niczém dla tego, że praktyka wyrabia się dopiéro przez przyzwyczajenie do pracy gospodarczéj, do rannego wstawania, do stósunku ze służącemi, do utrzymywania między niemi karności, do umiejętności wymagania w miarę, a jednak dostatecznie; wreszcie pamiętania o ich wygodach i zrobienia sobie dokładnego pojęcia o tém, co od nich zwierzchniczce, a co nawzajem im od zwierzchniczki należy.

Ale jest jeszcze coś, bez czego żadna teoryja nie przyniesie korzyści, a co koniecznie za pomocą przyzwyczajenia wyrobić trzeba; jest to zainteresowanie się gospodarstwem i ekonomiją domową.

Gospodarstwo kobiéce jest rzeczą drobiazgową, zabiérającą wiele czasu na drobne czynności, potrzebującą wyćwiczonéj pamięci, rozpraszającéj się na szczegóły najdrobniejsze, wiele logiki i zmysłu spostrzegawczego, oka otwartego zawsze na małe i najmniejsze tryby téj maszyny. Tego nie nauczy teoryja żadna i koniecznie do tego trzeba wprawy. Jest wiele mniejszych i większych pań wiejskich, które teoryją gospodarską znają dostatecznie a nawet gotowe wcale zadowalająco wytrzymać dysputę o wszelkich działach kobiécego gospodarstwa; gotowe narzekać na naszę polską nieoględność, nieumiejętność spożytkowania tysiącznych wiejskich produktów i wyciągnięcia z gospodarstwa korzyści; rozprawiających o niesumienności sług i potrzebie pilnowania ich na każdym kroku; ale przypatrzmy się bliżéj ich życiu, a przekonamy się dopiéro, że rozprawiając pięknie w teoryi, w praktyce ani czasu sobie rozłożyć, ani na wytrwałą pracę zdobyć się nie umieją; że gospodarstwo nic, lub bardzo mało zyskuje na ich teoretycznych wiadomościach. Od dzieciństwa czas ich pochłaniały języki, talenta ręczne, *nie roboty* lecz *robótki*, wychowanie oddzielało je od domowéj pracy zupełnie i doszły do tego, że

już nawet *chciéć* nie umieją. Przyzwyczajenie stało się ich drugą naturą. Próżnowanie, okryte pozorem umysłowéj pracy, zasadzającéj się na powierzchownem czytaniu, najczęściéj powieści, wyrabianiu niepożytecznych haftów i koronek, które u sąsiadek podziw wywołują, wstręt do wystawiania się na zmiany powietrza psujące płeć; późne czuwanie, a zatém i późne wstawanie — oto wrogi pracy gospodarskiéj. Wystrzyżone z kretonu barwiste kwiaty, przeniesione na atłas, lub tiul są ładną a nawet zajmującą robotą, bo już artystycznego smaku wymagającą, ale, patrząc na takie wyroby, pochłaniające uwagę, a więcéj jeszcze nieskończoną ilość czasu, trzeba pomyśléć, że matka i pani domu, która im się z zapałem poświęca, pewno interesuje się mało gospodarstwem i nie ma ochoty wstawać z kanapy, gdzie, ubrana starannie, oddaje się haftowi lub czytaniu wzruszającéj powieści, dla dojrzenia roboty sérów lub masła.

Do gospodarstwa potrzeba przede wszystkiém zainteresowania się czynnego, jako podstawy, a na niéj dopiéro teoryją budować można. „Gospodyni wiejska", książki z przepisami, kalendarze z zasadami gospodarczemi, to wszystko może być źródłem postępu w teoryi, lecz jedynie dla tych, co mają dosyć interesu dla téj gałęzi i już praktycznego przygotowania, by postępu pragnąć i umiéć go stósować.

Jeżeli dziewczynka idzie z matką parę razy na tydzień do obory i widzi obchodzenie się z cielętami, przychodzi po kilku takich wizytach do interesowania się *Bieliszką, Granichą, Kwiatulą*.—„A czy pojone?—zapytuje już sama.—Trzeba im podesłać świéżéj słomy, trzeba je lepiéj czyścić. Mamo, *Kwiatula Bieliszkę* od żłobu odtrąca, jest silniejsza; trzebaby je przegrodzić".—„Czy dziś pójdziemy do obory? Ja tak lubię moją Granichę, chciałabym, żeby jak najprędzéj urosla. Pewno nic nie ma za drabiną, możeby tatko pozwolił dawać jéj koniczynę; ona daleko lepiéj lubi koniczynę, niż siano".—Ta dziewczynka, jeżeli dalsze wychowanie nie odsunie jéj od gospodarstwa domowego, już ma piérwsze i najlepsze dane na zostanie dobrą gospodynią, już ją praca gospodarska zajmie czynnie, nie będzie dla niéj abstrakcyją, ale utrwali się w jéj pamięci i sympatyi. Tylko rzeczy spełniane z zamiłowaniem, mogą być spełniane dobrze.

Śmiało twierdzić można, że prawie każda dziewczynka ma usposobienie na gosposię, ale matki często z rozmysłem odsuwają córki od ruchu domowego, już to, by się od nauki nie odrywały, już to dla oddalenia ich od sług, z któremi zetknięcie się uważają za szkodliwe. Przyszła pani domu i gospodyni w największém żyje od nich oddaleniu. Prosi o wszystko grzecznie i za wszystko dziękuje—trzeba jéj oddać tę sprawiedliwość; ale po za tém, nic o nich nie wié.

A przecież każde przyzwyczajenie wchodzi w krew i owa egoistyczna, wygodna dobroć, co to jest dobrem bierném, nie przynoszącém nikomu krzywdy wyraźnéj, ale wyrządzającém ją domowi przez rozprzężenie, jakie wprowadza, to zgubne przyzwyczajenie słabości, nabywa się wychowaniem. Często bardzo słabość ta nie da się już pokonać w dalszém życiu i mężatka, pani domu, utyskuje na sługi, zanosi na nie skargi do męża, daje się owładnąć jakiejś przebiegłéj szafarce lub pannie służącéj, któréj może nawet nie ufa, ale czuje, że stanowi w zarządzie domowym siłę, jakiéj sama nie posiada. „*Jakoś to będzie*" staje się dewizą kobiécego gospodarstwa i domowego ładu. Często kobiéta dobra, mało wydająca na własne przyjemności i potrzeby, zupełną abnegacyją okupować musi brak inicyjatywy i umiejętności pomnożenia dochodu przez pracę i utrzymywanie domowéj karności. Największa siła, na jaką zdobyć się może, jest podejrzliwość.

Nie wié, ile masła do obiadu potrzeba; więc podejrzywa, że kucharz kradnie; nie wié, ile krowy dają mléka i co jedzą; więc ma przekonanie, że szafarka jest nieuczciwa, że mléko na stronę gdzieś się rozchodzi. Niejasne ma pojęcie o tém, co się znajduje w spiżarni, więc mówi: — „Musi tam jeszcze gdzieś być mąka. Jakto, wszystka mąka wyszła? To być nie może!" — Przeczy—ale na jakiéj zasadzie? Sama nie wié. Podejrzliwością nieuzasadnioną zraża do siebie służących, a często w tych razach, gdy malwersacyja jest widoczna, pozwala w siebie wmówić, wszystko, co tylko kto zechce.

Nieraz w radach dla matek spotyka się zalecenie, żeby dzieci ze służącemi nie miały żadnych stósunków. Zacna Klementyna Tańska tę radę także podaje. Pomimo tak ustalonego

mniemania, ośmielę się twierdzić, że dziewczynka młodsza nic nie traci na widoku pracy i życia służących, jeżeli to zbliżenie w obecności matki ma miejsce, bo choć czasem obije się o jéj uszy jakieś słowo grube lub przekleństwo, dziewczynka wié, że powtarzać go nie można, że to są słowa brzydkie do wymawiania i przykład służących, przeciwważony uwagą matki, raczéj odstręczy ją od grubijaństwa, niżby ją do niego miał zachęcać. W obecności matki żadne inne zło dziécięciu nie grozi. Im więcéj dziewczynka godność swą osobistą odczuwać zaczyna (nie mówię tu bynajmniéj o dumie zwierzchniczki, ale o poszanowaniu w sobie godności ludzkiéj); tém śmieléj można jéj pozwalać na rządzenie służącemi, pilnowanie ich robót, kontrolowanie zajęć.

Przykład macierzyński, światło wiedzy, podnoszące umysł i serce, ochronią dziéweczkę od zasmakowania w domowych plotkach i rozterkach, jakie zawsze niesłychanie zajmują służących. Matka powinna tu stać na straży, nie przed wiadomością, że się ekonom z szafarką kłóci, lub Marysia Nastkę wybiła, ale przed zniżeniem się umysłu dziéweczki, aż do zasmakowania w plotkach tego rodzaju i słuchania o nich relacyi.

Często się zdarza, że zamożniejsze panienki hodowane, jak roślinki w cieplarni, bynajmniéj nie pogardzają tego rodzaju wiadomościami, nieraz wielce obudzającemi ich ciekawość. Jakaś zaufana pokojówka, podczas czesania panienki, znosi jéj plotki i rozmowa idzie w najlepsze o tém wszystkiém, o czém w mniemaniu rodziców dziéwczę nie ma pojęcia.

Panna nie uniknęła zatém zgorszenia, a pracy gospodarczéj się nie nauczyła.

Powiédzmy tu jeszcze, że, o ile występek w romansie francuskim, lub życiu klas oświeceńszych, okryty pięknemi zasłonami i wystawiony ponętnie, rozbudza fantazyją, a przez nią i czysto zmysłowe uczucia, o tyle występki wszelkiego gatunku w ludzie naszym noszą charakter tak gruby i wstrętny, że popsuć dziéweczki nie mogą.

Złodziejstwo, pijaństwo, nawet rozpusta kobiét, zwykle w pijaństwie szukająca podniety — są to odstręczające obrazy dla duszy, na rzeczach podnioślejszych wykarmionéj. Nawet do owéj

pilnowanéj i odosobnianéj panienki przedrze się zawsze wieść o występku i zepsuciu; więc cel odosobnienia chybiony, a umiejętność pracy nie osiągnięta. Nasze prababki przepędzały często długie wieczory zimowe na przędzeniu z czeladzią; dorastające i dorosłe dziéwczęta towarzyszyły matkom przy tém zajęciu; słuchały rozmów i opowiadań wieśniaczych, a przecież cnota ich i obyczajność dotąd jako wzór służyć nam mogą, gdyż stoją o całe niebo wyżéj od tych wypieszczonych sfrancuziałych kobiét, jakie późniéjsze pokolenia wydały.

W piérwszych tém mniéj było chorobliwéj wyobraźni, im ręce więcéj były pracą zajęte; w drugich mała i powiérzchowna oświata, połączona z bezczynnością zupełną, wyradzała sentymentalizm, smutki nieokréślone, marzenia niezdrowe, niezadowolenie z życia, gonienie za *nieznaném*, oczekiwanie *niespodzianego*, brak energii i umiejętności dawania sobie rady.

Dawne polskie niewiasty od dzieciństwa do pracy gospodarskiéj przyuczane, nietylko nie traciły niewinności i cnoty, ale nabywały niepośledniéj siły moralnéj. W nieobecności męża umiały rządzić liczną służbą, dzieci w pobożności i cnocie chować i takim je dla siebie natchnąć szacunkiem, że wola matki była prawem dla dorosłego nawet młodzieńca. O, bo czynność, przy obowiązkowéj pracy, ma władzę wzmacniania charakteru.

Od dawien dawna znakomite matki nie pogardzały domowemi zajęciami i umiały je pogodzić z macierzyńskiemi obowiązkami.

Len przędząc, wychowywały bohatérów.

To téż postać *zadreptanéj*, zakrzątanéj i wiecznie zafrasowanéj gospodyni, biegającéj rozpaczliwie w tę i ową stronę, tu zapominającéj kluczyków, tam zostawiającéj robotę, więcéj zajętéj schowaniem niedopalonego kawałka świécy, oszczędzeniem kawałka cukru lub mydła, niż spokojną i wyrozumowaną pracą jest nowoczesnym wytworem.

Ta gospodyni bez głowy i taktu była kiedyś panną, wyczekującą konkurenta z założonemi rękami. Umiała trochę francuzczyzny, trochę gry fortepijanowéj, wyrabiała jakieś robótki, dużo czasu spędzała przy toalecie, a gdy się nagle po zamążpójścia ujrzała w konieczności zajęcia domem, pojęła pracę

z jéj strony drobiazgowéj i konserwatywnéj jedynie, a nie z szérszego stanowiska, z którego gospodarstwo przedstawia się, jako gałąź przemysłu, w któréj potrzebne jest doświadczenie, umiejętność, spokój, porządne rozłożenie czasu, energija i pamięć baczna na wszystko.

Usunięcie od pracy domowéj, oprócz chronicznéj słabości i niezaradności, daje nadto dziewczynce kierunek myśli tak niepraktyczny i pozbawiony wszelkiéj logiki, gdy chodzi o sprawy materyjalne, że nawet poczucie potrzeby i miłość macierzyńska, nie zdoła natchnąć kobiéty owym tak pożytecznym zdrowym rozsądkiem, którego brak nam zarzucają powszechnie. A zarzut to jest słuszny. Bo naszą narodową wadą jest niepraktyczność; a w kobiétach rozwija się ona jeszcze przez wychowanie, odsuwające ją zupełnie od życia rzeczywistego. Życie dla dziéweczki —to praca rodzinna, gospodarska; dla tego wdrażajmy do niéj córki od dzieciństwa. Dziéwczę dorastające niech już coś pożytecznego spełnia, ale nie dorywczo i po amatorsku, lecz obowiązkowo i stale. Matka naturalnie baczyć powinna, żeby dziéweczka na dészcz, na zimno, błoto i niepogodę, miała stósowne okrycie, zabezpieczające ją od przeziębienia, tak zgubnego w tym wieku. Spódniczki, majteczki i obuwie, powinny być ciepłe i dokładnie otulające, ściśle zastósowane do pogody. Widmo *czerwonych rąk* przestrasza matki; niech więc dadzą córkom rękawiczki, właściwe na każdą porę roku; ale niech dla trochy bielszéj ręki i twarzy nie odejmują im wdzięku zdrowia, pracowitości, wesołéj i rzeźwéj czynności i codziennie uprawianéj energii przy obowiązkowém zatrudnieniu. A gdy w ten sposób do przyszłego powołania ją zaprawią, twardy obowiązek nie spadnie na barki słabe i nieprzygotowane; poniosą go one rzeźwo i ochoczo.

ROZDZIAŁ XVI.

Oświata i praktyczność. Pensyje. Wychowanie zawodowe. Hygiena. Towarzystwo. Przejście z dziecińśtwa do młodości. Wybór męża. Rodzice po wyposażeniu synów i córek. Zgrzybiałość ich, a nawet śmierć przynoszą dzieciom naukę.

Każdy zawód potrzebuje uzdalniającéj nauki. W wychowaniu kobiet klas zamożniejszych prawda ta nie znajduje zastósowania i kiedy mężczyzni całe lata trawią na przysposobieniu się do przyszłego zawodu, kobiéty spędzają młodość na przygotowaniu się do krótko trwającéj chwili, w któréj mają prawo myśléć o podobaniu się, zjednaniu sobie serca męskiego i wyborze dozgonnego towarzysza. Bo nie łudźmy się; wychowanie panien naszych, skierowane jest ku temu celowi. Matki nie wyznają może tego głośno, lecz w sercu swém bez przestanku pielęgnują myśl przyszłych powodzeń córki. W wielu z nich myśl ta kieruje wszystkiemi edukacyjnemi pracami. I nie w tém błąd, że myślą o téj w życiu ich córek stanowczéj chwili, ale że poza nią niczego więcéj nie widzą. Doczekać chwili, w któréj córka ma rolę narzeczonéj odegrać, wreszcie zostać mężatką szczęśliwą, bogatą i wystrojoną, to cel wszystkich ich marzeń; ale czy z niéj będzie silna, wytrwała i rozumna towarzyszka pracy mężowskiéj, czynna i rządna władczyni małego królestwa domowego, wreszcie światła i pojmująca swe obowiązki matka — o to się wcale nie troszczą. Nauka, jakiéj dla niéj pragną — to błyskotliwa, salonowa zręczność i ogłada, która może podobać się konkurentowi, zachwycić *epuzera*, ale nie może wystarczyć późniejszego życia zadaniu. Matki nie rozumieją tego wcale, ale co dziwniejsza, nie rozumieją tego i ojcowie, ani młodzież męska, wstępująca w związki małżeńskie. Kobiéta zdaje się być

dla nich cackiem, tém milszém, im jest lżejsze. Nie dziw, że panny ani chcą, ani rozumieją potrzeby otrząśnięcia się z bezmyślnéj bezobowiązkowości, w jakiéj lata całe spędzają. Dziéwczę, żyjące poza obrębem wszelkich praktycznych zajęć, porównywane w poezyi do kwiatu, wyobraża sobie, że kwitnąć w słońcu i rosie bożéj, zachwycając przechodniów, jest jedyném zadaniem jéj na świecie. Pozuje na kwiat, zapominając, że przychodzi chwila, w któréj wonne listki owoc odsłonić powinny, że inaczéj będą piękném, lecz niepożytecznem zjawiskiem.

Uspasabiając dziewczynkę na matkę i gospodynią, nie zapominajmy, że będzie téż ona żoną. Rodzice przypuszczać zawsze powinni, iż może znaleźć człowieka umysłem i sercem wyższego; dla niego więc dziéweczkę wychowywać powinni. Niech ten człowiek wyższy znajdzie w niéj oddźwięk dla każdego przez siebie wyrzeczonego słowa, niech nie będzie zmuszony, części swéj duszy zostawiać zawsze samotną przy domowem ognisku, ze smutném przeświadczeniem, że żona, ani pojąć, ani odczuć jego dążeń nie umié. Niech będzie naukowo przygotowaną do tyla, by mogła zrozumieć i ocenić pracę męża. Kto nie zna trudności nauki i jéj zadania, nigdy nie potrafi pojąć zasługi uczonego, a czy jest co boleśniejszego, jak wśród swoich, najbliższych sercu, być zawsze i na każdym kroku zapoznawanym? Historyja wielkich ludzi przedstawia nam wiele przykładów takiéj niestósowności wyboru, okupionéj następnie całém życiem niesmaku i tęsknoty. A czy niejedna wielkość nie zmarniała wśród codziennych małostek, jakiemi napawał ją wytrwale domowy światek i mała, nędzna istota, jako dozgonna towarzyszka, przywiązana do jego boku?

Niech więc matka nie zacieśnia koła wiedzy swéj córki przez względy zwyczajowe; owszem niech to koło rozszerza, o ile można, o ile umysł dziéwczęcia do tego się nadaje. Jest to prawo kobiéty, jako człowieka, by umysłowe jéj zdobycze, ograniczone były tylko jéj zdolnościami. Będzie żoną i ma sprostać mężowi w głębokości i powadze myśli; będzie matką i ma

prowadzić młode pokolenie drogą postępu, a czyż do tego nie trzeba światła? Może okoliczności zrządzą, że na jéj barkach spocznie cały ciężar rodziny; że owdowiawszy na utrzymanie dzieci zarabiać będzie musiała, lub zostawszy panną niezależny byt wyrobić sobie zechce. Warunki, w jakich dziś zostaje kobiéta, coraz twardsze i uciążliwsze się stają. Minęły czasy, gdy z Tańską zgodzić się było można, że: „aby dopełnić przeznaczenia swego, kobiéta nie potrzebuje, ani nadzwyczaj mocnéj duszy, ani zbyt oświeconego umysłu. Dziś i jednego i drugiego potrzebuje ona koniecznie; jéj człowieczeństwo coraz wyraźniéj w ludzkiéj rodzinie się zarysowuje i, o ile z oznak dzisiejszych sądzić można, z czasem stanowisko to rozszerzyć się może. „Wszelki jednakże postęp nieodzownie w swych początkach łączy się z zamięszaniem i nadużyciem. Zdanie to da się zastósować do dzisiejszego kobiét położenia. Porównywając ogólne zacofanie w wychowaniu kobiécém z pojedyńczemi wybrykami, musimy przyznać, że obecnie żyjemy w czasach zamętu, z którego z czasem dopiéro wyniknie dodatni rezultat. Matka z sercem przewidującém, z umysłem dojrzałym, niech się stara czas ten wyprzedzić i, przystępując do wychowania córki, odrzuci z jednej strony niepraktyczne wnioski, a z drugiéj stłumi obawę o to, co na jéj usiłowania powié przesądna i płytka *opinija ludzka*.

Jaknajwięcéj światła! O, tak, ale obok niego żadnego zaniedbania w tém, co się odnosi do praktyki życia. Samo światło, niech, o ile można, zwrócone będzie ku potrzebom życiowym, niech ma na celu umiejętność radzenia sobie we wszystkich położeniach skutecznie. Zwykle kobiéta, którą wychowanie obdarza wyższém wykształceniem, jest pochłonięta przez nie zupełnie. Jéj władze, zdolności, dążenia, zwrócone są jedynie ku wiedzy oderwanéj. Stąd wyrodziło się w społeczeństwie uprzedzenie do kobiét uczonych.

Widziałam raz na balu młodą osobę, umiejącą po łacinie, z któréj po cichu wszyscy się wyśmiewali jedynie z powodu téj łaciny.—„Nie mam odwagi zamówić tego Cycerona do mazura, choć mię gospodyni domu o to prosiła“ — mówił obok mnie jeden z tancerzy do przyjaciela.—„O, że ja się do tego dykcyjo-

narza ani zbliżę, to pewna — brzmiała odpowiedź. — Z umarłemi językami niechcę mieć nic do czynienia, kiedy tu jest tyle różowych, żyjących języczków.“ — I młodzieniec pobiegł w stronę, gdzie mignęła niebieska suknia, wyćwiczonéj w kokieteryi panienki, mającéj w głowie i sercu pustki.

Nie chcę tu bynajmniéj przedstawiać łaciny, jako koniecznéj umiejętności dla kobiéty, jakkolwiek mogłaby ją posiadać, gdyż filologiczne studyja są gałęzią wiedzy bardzo dla kobiéty właściwą; chcę tylko dać przykład uprzedzeń, jakie tkwią w umysłach, zarówno męskich, jak kobiécych. Poszukawszy przecież przyczyny tych uprzedzeń, znajdujemy ją właśnie w jednostronności, jaka zwykle bywa wadą wychowania. Najczęściéj się zdarza, iż rodzice, pragnący córce dać wyższe umysłowe wykształcenie, zapominają o wszystkiém inném dla dopięcia tego jednego celu. Z tego powodu kobiéta uczona bywa złą gospodynią, matką opuszczającą dzieci, dla oddawania się ulubionym studyjom, do których jedynie zaprawioną była za młodu. Boimy się jéj, jak ognia, zapominając, że błyskotliwe wychowanie na nowożytnych językach i talentach oparte, również nie kształci żon i matek i kobiétom płytkim, posiadającym jedyną umiejętność podobania się, powierzamy bez trwogi los naszych synów i braci. Taka nielogiczność trudna jest do zrozumienia. Trzeba mieć nadzieję, że w bliskiéj przyszłości pojęcia zmienią się; ale na to trzeba, by matki dzisiejsze zrozumiały dobrze, iż wychowanie córek nie powinno być jednostronne i ograniczać się jedynie do wymagania sfery towarzyskiéj.

Owszem pomiędzy naukami należałoby koniecznie pomieścić znajomość praw i ustaw krajowych, którym, zarówno kobiéta, jak i mężczyzna, podlega. Nie mówię tu bynajmniéj o znajomości prawa szczegółowéj, ale o tych wiadomościach zasadniczych, które posiada każdy wykształcony mężczyzna. Niech panna wié, co to jest instytucyja hypoteki, towarzystwa kredytowego, co są obroty papiérów publicznych, co banki, giełda, prawo wekslowe, jaka jest różnica prawa cywilnego i kryminalnego, jakie są obecne stósunki włościańskie, jaki jest początek praw obowiązujących obecnie, zmiany, które w nich w ostatnich

czasach zaprowadzone zostały; jakie wreszcie są atrybucyje sądów gminnych, a jakie sprawy ich atrybucyje przechodzą.

Byłoby nader pożądaném, by się ktoś zajął wydaniem podręcznika popularnego, zawiérającego wiadomości, odnoszące się do powyżéj wzmiankowanych gałęzi życia społecznego; podręcznika, któryby mógł dać kobiécie pojęcie o głównych czynnikach i podstawach bytu narodów. Jéj nieświadomość i obojętność w téj materyi przechodzi wszelkie granice. Panna, którąby się wstydziła wyznać, iż nie zna podania o Romulusie i Remusie, zapyta z bardzo naturalną minką: co to jest hypoteka? albo i nie zapyta wcale, choć nie wié, gdyż ją to bynajmniéj nie obchodzi. Dotąd gotów twierdzić nie jeden, że taka nieświadomość warunków materyjalnych i społecznych jest w pannie zachwycającą. Kto jednak poważniéj na rzecz tę się zapatruje i wié, ile razy kobiéta niezamężna, lub wdowa, postawiona jest w konieczności prowadzenia interesów i jak je zwykle niedołężnie prowadzi; ten uzna, że panna dorosła powinna, nie tylko umiéć zarządzić domem, ale i znać warunki prawa bytu społecznego, na którym i byt jednostek się opiéra. Nie twierdzę, żeby znajomość taka pobieżna i ogólna tylko miała dać kobiécie umiejętność radzenia sobie, jeżeli ją los postawi u steru rozległych interesów; ale przynajmniéj do zrozumienia ich pomoże i da jéj w rękę nić przewodnią, która ją z labiryntu nie jednéj sprawy wywiedzie.

Ileż to bowiem fałszywych kroków popełnia się codziennie z powodu zupełnéj nieznajomości prawa! Ile to nielegalnych testamentów, zapisów niejasnych, spadków przechodzących w ręce, w które nie chciano ich oddać! Kodeks zapowiada, że nikt nie może tłómaczyć się nieznajomością prawa, a ogromna połowa wykształconéj ludzkości — ogół kobiét, nawet zasadniczych, najgłówniejszych praw nie zna i narażona jest na popełnianie tysiącznych bezsensów, na wpadanie w ręce zręcznych wydrwigroszów jedynie z powodu swojéj nieświadomości, któréj często same kobiéty nie domyślają się nawet i postępują w interesach na oślep, jak gdyby prawo nie istniało na świecie. Nieświadomość ta prowadzi je naturalnie do lekceważenia praw najważniejszych, do odkładania ich na późniéj, do nieporządnego utrzy-

mywania regestrów, kwitów, korespondencyj, do nieoględnego udzielania podpisów na aktach, podsuwanych sobie bez zbadania ich osnowy i znajomości skutków, jakie z nich mogą wyniknąć.

Prawnicy utrzymują, że niéma uciążliwszéj i nieznośniejszéj rzeczy nad rozmowę o interesach z kobiétą, wdową, która przez rodziców odsuwana od życia praktycznego, następnie przez męża utrzymywana w stanie dziécięcéj nieznajomości zewnętrznego życia warunków—nic nie rozumié, wszystkiego się lęka, a o niczém nie ma najmniejszego pojęcia.

Bo niech nikt nie sądzi, że nielogiczność i niedołęstwo jest wrodzoną wadliwością kobiécego umysłu. Po co wymyślać przyczynę dalszą i przypuszczalną, kiedy mamy pod ręką najbliższą i dotykalną? Jest to wada, wychowania, które tak odsuwa kobiétę od praktycznego życia i praktycznéj użytecznéj nauki, że w końcu niedołęstwo zaszczepia jéj na całe życie. Mężowie z różnych przyczyn zostawiają kobiétę w tym stanie nieświadomości. Niektórzy, pragnąc ją otoczyć samemi kwiatami życia, odsuwają z jéj drogi wszystko, coby ją utrudzić mogło — cały ciężar biorą na siebie. Inni, przekonani, że kobiéty do rozsądnego zapatrywania się na *interesa* nie są zdolne, ukrywają przed żoną stan materyjalny rodziny. Inni, prowadząc zawikłane sprawy, niechcą w nie wtajemniczać żon swoich. Inni znowu, z jakiegobądź powodu, wystawiwszy raz fałszywie narzeczonéj, lub młodéj małżonce stan majątkowy już ją zawsze utrzymują w nieświadomości prawdy. Inni czynią to samo z egoistycznych pobudek, lękając się kontroli nad własnemi wydatki. Inni wreszcie, obawiając się rozrzutności żony, umniejszają w jéj oczach dochody i fałszywie stan majątkowy jéj przedstawiają. To téż mało jest małżeństw, w którychby, pod względem materyjalnego bytu rodziny, panowała zupełna otwartość. Żona zwykle niedokładne i bardzo pobieżne ma o nim pojęcie. Jest w tém wina zarówno jej niedołęstwa, jak i lenistwa, oraz braku przewidywania ze strony męża, któremu się nie chce kształcić pod tym względem matki swych dzieci, mogącéj przecież, w razie jego śmierci, zostać ich jedyną opiekunką.

Gdyby panna, idąca za mąż, nie była zupełnie pod względem życia praktycznego ograniczoną; gdyby znała warunki ma-

teryj alnego bytu i była wstanie zdać sobie sprawę z ich znaczenia; niepozwoliłaby się oszukiwać słabemu mężowi, w silniejszym wzbudziłaby zaufanie i pragnienie podzielenia z nią kłopotów lub majątkowych niepowodzeń.

Słyszę już zarzut, że takie oswajanie dzieweczki ze sprawami dotyczącemi bytu materyjalnego, uczynić ją może zimną, goniącą za mieniem, spekulantką wytrawną. Nie wierzmy temu. Wszak roje dzisiejszych, wypieszczonych i naiwnie nieświadomych panien, ugania się za dobremi partyjami, idzie za starców i ludzi, do których czuje wstręt nieprzeparty, byle ci byli w możności usłać jéj gniazdo w złotéj klatce. Przyzwyczajone do życia z dnia na dzień, do wygód i zbytku, nie umiejąc pracować i czując, że w żadnym razie radyby sobie nie dały, rozbawione panny na wydaniu, szukają wygodnego bytu i stanowiska, na którém wiedzą, że piękne białe ich rączki nie zgrubieją w pracy domowéj. Życie schodzi im na pieszczeniu się z własną osobą. Znam dwie staruszki, które nigdy od kolébki, aż do dziś dnia, nie uczesały się same; służące ubierały je zawsze jak lalki, począwszy od włożenia im pończoch, aż do zapięcia rękawiczek. Nigdy same nie odbyły najkrótszéj nawet podróży. Taka istota niedołężna, czyż nie potrzebuje koniecznie dostatków? Cóżby poczęła w późniejszém życiu, gdyby jéj los nie był zesłał bogatego męża? Dzisiejsze panny z zamożnych domów, niedołężne fizycznie, umieją po większéj części czesać się i ubiérać same; ale za to, powiedzmy prawdę, są niedołężne moralnie. Nie dziw więc, że gonią za dostatkiem. Kto jednak czuje w sobie rzeźwą i zdrową energiją, nie uginającą się przed materyjalném niepowodzeniem; pewność nieustraszoną, że w każdém położeniu rada w oświeconym umyśle i czynnych rękach się znajdzie; ten śmieléj pozwoli sobie pójść za głosem serca, nie bacząc na ciężar życia pracowitego. Ślub z ubóstwem lekkiém sercem się czyni, gdy się wié, że umiejętność pracy ubóstwu nie pozwoli zamienić się w nędzę.

Jedném z najważniejszych w kobiécem wychowaniu jest pytanie, czy należy kształcić je w domu, czy lepiéj powierzyć je pensyi?

Pragnę na to zagadnienie odpowiedzieć, o ile można bezstronnie i dla tego przypuszczam, że pensyja, na którą dziécię ma być oddane, jest wyjątkowym zakładem, gdzie dzieci otrzymują pokarm obfity i zdrowy, gdzie względy fizycznego wychonia są wzięte pod ścisłą uwagę, a nauka wykładana systematycznie i sumiennie; że pensyja ta jest o tyle doskonała, o ile zakład wychowawczy publiczny doskonałym być może. Uczennice ją chwalą, rodzice są zadowoleni, pensyja cieszy się uznaniem ogólném, wychowanki jéj, jako nauczycielki, poszukiwane są i cenione, przewodniczka jest osobą znanych przekonań i godna największego uznania. Lecz przypuściwszy taką pensyją doskonałą, przypuśćmy z drugiéj strony, że matka, mająca dziewczynkę do wychowania, jest kobiétą zacną, rozsądną, pełną dobrych chęci, a nadto jest dobrą żoną, rządną gospodynią i ma środki materyjalne dostateczne do kształcenia córki w domu. Otóż gdyby mię ta matka zapytała, czy ma oddać córkę, niemającą jeszcze lat 16-tu lub 17-tu na tę pensyją uznanéj doskonałości, odpowiedziałabym jéj stanowczo: nie.

Ależ pensyja jest wyborna, wydała już znakomite nauczycielki! Nie wątpię o jéj zaletach, lecz przekładam zawsze dom rodzinny, jako szkołę dla dziewczynki.

Najprzód pensyja każda musi ze swéj natury być zakładem wykształcającym raczéj umysł, niż charakter. Niedostateczność wpływów moralnych oddawna zarzucają szkołom męskim; przy obmyślaniu zaś środków poprawczych dla dzieci występnych, starano się zastąpić wpływ rodzicielski przez sztuczne stwarzanie im rodziny, przez danie każdemu z nich nielicznego rodzeństwa i moralnego ojca, mieszkającego w osobnym domku z przybranemi dziećmi i ojcem przez nie nazywanego. Rodzina tedy niczém zastąpioną być nie może i tam, gdzie jéj niéma, sztucznie stworzyć ją trzeba. Nie dziw więc, że pensyja nie może pod tym względem iść z nią w zawody. Dziécię, które matka zna do gruntu, którego wady starała się przytłumiać, a przymioty kształcić, wpada w różnolity zastęp towarzyszek i, jako

indywidualność, niknie w nim zupełnie. Przełożeni nie znają przeszłości téj młodéj duszy, nie śledzą jéj rozwoju, gdyż w tłumie innych, badanie drobnostkowe jednostki jest niepodobne. Wyżéj już powiedzieliśmy, że nietyle czyn sam godzien jest uwagi, ile uczucie, które go podyktowało; pensyja zaś, nawet najlepsza, niemoże schodzić do takiéj subtelnéj analizy. Dla niéj czyn — jest wszystkiém. Musi z zasady wynagradzać dobremi stopniami postępy uczennicy, chociażby dumnéj, pysznéj i zarozumiałéj i temi nagrodami duszę jéj w pysze utwierdzać; z zasady musi upokarzać biédne dziewczę, niezdolne i nie mogące za innemi podążyć; nie kontroluje uczuć dziewczęcia chciwego i nieużytego, które wprawdzie odnosi karę w nieprzyjaźni koleżanek, ale nie dotyka go dobrodziejstwo tkliwiéj, serdecznéj pracy macierzyńskiéj, pragnącéj siłą uczucia otworzyć zdrój w skale zatwardziałości dziécięcéj. Dziewczynka lekkomyślna i rozrzutna, lubiona przez wszystkich, nie spotyka się z widokiem pracy rodzinnéj, zapobiegliwości macierzyńskiéj, pragnącéj spożytkować oszczędnie rzecz każdą; nie widzi wytrwale sztukowanych sukienek, łatanych koszulek rodzeństwa, troskliwie chowanych skrawków, rozmyślania nad użyciem najpraktyczniejszém kwoty dochodowéj, przysporzeniem dochodu przez racyjonalną pracę domową, gospodarską na wsi, a w mieście czysto ekonomicznéj natury. Przyodziewek pensyjonarki, dostarczany być musi podług przepisu szkolnego, bieliznę jéj utrzymuje gospodyni; na pensyjach zaś klasztornych — zakonnica; bieliznę tę ma sobie podawaną w dniach przepisanych regulaminem i nawet o przygotowaniu jéj z wieczora na dzień następny myśléć nie potrzebuje. Na liczniejszych pensyjach naprawa bielizny wcale do dziéwczęcia nie należy; w godzinach, na ręczne roboty przeznaczonych, wychowanki oddają się robotom fantazyjnym. I trudno, by było inaczéj. Każda z uczennic nie może tracić czasu rozdzielonego akuratnie na przeglądanie bielizny, rachowanie jéj, oddawanie do prania i odbiéranie z niego.

Od wszelkich zajęć domowych dziéwczę z konieczności musi téż być usunięte. Nic nie wié o przygotowaném jedzeniu, nie ma pojęcia ani o kombinowaniu dochodu z wydatkiem, ani o wartości spożywanych artykułów, ani o przyrządzaniu nabiału,

konserw zimowych, ani o po porządném utrzymaniu spiżarni, ani o praniu i prasowaniu, ani o roli, jaką odgrywają w gospodarstwie kobiécém systematyczność porządek.

Wszystko to dla niéj jest abstrakcyją. Bo nawet, jeżeli na pensyi znajdą się wykłady chemii gospodarczéj, nawet gdy z najwyższéj klasy panienki uczą się niby gotować; zaręczyć można z przykładów żywych, jakie na to znaléźć łatwo, że dla największéj części dziéwcząt bez żadnéj to pozostaje korzyści.

Pensyja tedy nie usposabia dziéwcząt do przyszłéj pracy domowéj; mniéj téż, niż rodzina, usposabia do czekających kobiétę obowiązków macierzyńskich. Daje wprawdzie w najwyższéj klasie lekcyje pedagogii, co jest wielce korzystne i racyjonalne, ale praktyki żadnéj.

Pensyjonarki klas wyższych, zwykle młodszych do swego towarzystwa nie dopuszczają; zatém dziéwczę nie ma tam wprawy, jaką w domu mieć może przy pracy wychowawczéj nad młodszém rodzeństwem.

Wpływ towarzystwa koleżanek jest prawie zawsze niekorzystny.

Dzieci, przyjmowane przez zakład wychowawczy, rozmajcie były prowadzone; wyniosły często z domu zły przykład i skrzywione pojęcia. Często na pensyją oddane zostały dla wad nieznośnych, trudnych do zniesienia w domu. Złe, jakie się krzewi w ich duszy, daleko łatwiéj się przyjmuje w sercach koleżanek, niż dobre skłonności.

Wiadomości zakazane obiegają pensyją i wciskają się do duszy. Myśl dziéwczęcia zaczyna się brudzić. Dowiaduje się o miejskiém zepsuciu z ust równych sobie wiekiem dziéwcząt, zatém zło, zawarte w wiadomości, nie jest zażegnane przez sposób przedstawienia. przez pogląd krytyczny, jaki mogłaby jéj dać matka. Zło to w umyśle dziécięcia przybiéra dziwaczne formy. Wyobraźnia uderzona obrazami miłości, namiętności, zmysłowości, wszędzie dopatruje się czegoś, co z témi obrazami zostaje w związku. Dziewczyna, przedwcześnie z myśli dziecinnych wyprowadzona, w każdém męskiem spojrzeniu dopatruje się czegoś bardzo znaczącego. Uścisk ręki ma dla niéj wagę wyznania, grzeczne słówko na oświadczyny urasta. — „On się w tobie kocha! — On

się we mnie kocha! Żebyś wiedziała, jak on na mnie spojrzał!" —Oto często między pensyjonarkami powtarzane słowa. Dziwaczne wiadomości i spostrzeżenia w szeptach obiegają klasę i dziewczynka, nietylko wchodzi w zakres marzeń niezdrowych, nie tylko przychodzi to dla niéj przedwcześnie, ale prawda życiowa przeinaczona i przekształcona, a zatém nieprawdziwa, występuje przed nią, nie jako objaw woli Bożéj i mądrości przyrody, ale w formie owocu zakazanego, pochłanianego w tajemnicy, którego podniecający smak żadnym innym zneutralizować się nie daje. Na każdéj téż pensyi zdarzyć się mogą dziewczęta, które pochwyconą w sekrecie złą książkę miały już w ręku.

Dodać jeszcze należy, że podstawa wychowania—nauka religii, nie na wszystkich pensyjach wpływ pobożnéj matki może zastąpić.

Niektóre pensyje, lubo nie u nas, zarażone są nihilizmem; do naszych zaś przedziéra się materyjalizm pod różnemi postaciami, a przejawia się w lekceważeniu, jeżeli nie przeczeniu prawd religii. Czasem dziwić się trzeba, skąd pensyjonarki czerpią ideje nie wygłaszane im, ani przez nauczycieli, ani przez kierunek nauki. Słyszałam panienkę, ledwie pasowaną na uczennicę klasy najwyższéj, siedemnasto-letnie dziewczę, najpoważniéj rezonujące o prawdopodobieństwie pochodzenia człowieka od małpy. Teoryja ta—nawet przez swoich wyznawców nieśmiało stawiana i tylko jako hypoteza przed umysłem uczonych materyjalistów występująca, była naturalnie w młodéj głowie dogmatem, choć nader mglisto przedstawiającym się jéj pojęciu. Dziewczyna nie zdawała sobie sprawy z tego, co mówiła; był to raczéj popis erudycyi, niż przekonanie na wywodach naukowych oparte; ale jéj umysł był już opanowany obłędem. Był to posiéw dopiéro, plon może zbiorą jéj dzieci.

Ksiądz Chaumot, w świéżo wydaném dziele *), nie radzi córek na pensyją oddawać. Arcybiskub Fénelon w *Radach dla pewnéj damy*, powiada: „Daleko lepiéj jest, gdy córka przyzwy-

(*) L'education, ses difficultés et son but.

czaja się powoli do życia przy matce pobożnéj, która jéj z niego to tylko pokaże, co córka widzieć może, bez szkody dla charakteru. Matka nauczy ją używać świata z umiarkowaniem, wskaże jéj jego wady. Wysoko cenię wychowanie na dobrych pensyjach klasztornych, ale liczę więcéj na wychowanie dobréj matki, gdy mu się oddać może".—

Pani Campan, która spędziła życie na kierownictwie zakładów wychowawczych dla dziewcząt i zasłynęła, jako przewodniczka młodych panienek, pisze w swém dziele o wychowaniu: — „Niéma pensyi, choćby najlepiéj prowadzonéj, niéma narodowego zakładu, choćby najmądrzéj zorganizowanego, niéma klasztoru, jakakolwiek jest jego zakonna reguła, któryby mógł dać wychowanie, równające się temu, jakie córka od matki otrzymuje, kiedy ta matka jest wykształcona, kiedy znajduje najmilsze zajęcie i szuka jedynéj chwały w wychowaniu córek swoich."

A jednak pensyje mają niezawodną przyczynę bytu. Są w społeczeństwie nieodzownie potrzebne; są oświatą daną siérocie, mającéj grosz potrzebny na opłacenie nauki, ale dla któréj źródło macierzyńskich darów moralnych jest na wieki zamknięte. Niosą opiekę i światło tym dzieciom, które w rodzinném gnieździe miałyby przykład rozterki, próżniactwa, lub były opuszczone przez matkę, zajętą pracą na chléb, pochłaniającą jéj cały czas, lub przez światową wietrznicę, zostawiającą domowe ognisko wygasłém.

Niezgodne stadło odsuwa dzieci z domu, czując, jak zgubny przykład im daje; matka uboga duchem, czująca się niezdolną do wyboru nauczycielki i kierownictwa domowego dzieckiem, przelewa swoje prawa na pensyją; czyni to także, jeżeli nie potrafiła ustalić swéj władzy nad dzieckiem i widzi, że jest ono nieposłuszne, lekceważące i nie szanujące rodziców.

Dziewczę niezamożne na pensyi znajduje uzdolnienie do przyszłego nauczycielskiego zawodu; zakłady przeto naukowe żeńskie, niezawodnie wielkie usługi społeczeństwu oddają; lecz nie zapominajmy, że są tylko surogatem, zastąpieniem rodziny; nigdy wszakże o lepsze z nią walczyć nie mogą. Stąd wypada, że mając do wyboru posyłanie codzienne córki na pensyją, lub

oddanie jéj tam zupełne, piérwsze przełożyć należy, by dziécię w ciągłym z rodziną własną zostawało stósunku; nad takie zaś wychowanie przełożyć wypada zostawienie dziéwczęcia w domu i nauczanie domowe, jeżeli rodzice łożyć na nie są wstanie przynajmniéj do lat 16-tu, to jest do chwili, w któréj już poglądy panny stają się mniéj chwiejne, a charakter i przekonanie pewną siłę odporną nabyły. Wcześniéjsze usunięcie dziéwczęcia z pod wpływu matki rozsądnéj i cnotliwéj, musi mu przyniéść szkodę. W kobiécie, matce, leżą żywe źródliska życia, zarówno fizycznego, jak moralnego; z nich tylko córka, wziąwszy życie ciała, może czerpać zdrowe życie ducha, pozwalające jéj na przekazanie własnym dzieciom tradycyi niewieściéj działalności i cnót domowych.

Wpływ zakładu wychowawczego, pozbawionego z swéj natury miłości macierzyńskiéj, oddziaływającéj na miłość dziécięcia, musi wyglądać bardzo blado, porównany z wpływami rodziny.

Dopiéro gdy w 16-tu lub 17-tu latach córka, jako indywidualność do pewnego stopnia się wyrobi, można wyższy zakład naukowy uznać dla niéj za korzystne ze wszech miar dopełnienie wychowania.

Dla tego pozwólmy sobie na reformatorską mrzonkę:

Gdyby mogła być urządzona w Warszawie szkoła wyższa dla kobiét z kursem cztéroletnim; gdyby wymagane egzamina wstępu ściśle określały stopień wykształcenia, potrzebny do słuchania kursów; dziéwczęta wychowane w domu do lat 16-tu lub 17-tu, mogłyby w téj szkole pobiérać wyższe naukowe wykształcenie; te zaś, które po jéj skończeniu i odebraniu świadectwa odbytego egzaminu, chciałyby nauczycielkami pozostać, przedstawiałyby kwalifikacyje zupełne do przygotowania dziéwcząt do owéj szkoły wyższéj.

Pensyje wszelkiego rodzaju, miałyby téż określony zakres działalności: musiałyby uzdatniać wszystkie dziéwczęta do wstąpienia do owéj szkoły wyższéj i byłyby tém, czém jest gimnazyjum dla uniwersytetu, z tą tylko różnicą, że egzamina na pensyi, nie uwalniałyby od egzaminu wstępnego do szkoły wyższéj. Domowe wychowanie musiałoby téż być prowadzone systematyczniéj i miéć określone pole pracy naukowéj, jeżeliby rodzice chcieli

dziewczynkę wyżéj naukowo kształcić. Tym sposobem wychowanie intelektualne, czyto pensyjonarskie, czy domowe, byłoby pod pewną kontrolą. Ale zwracam się z drogi reformatorskich moich marzeń. Gdy się jest bezsilną do ich urzeczywistnienia, trzeba miéć przynajmniéj powagę głosu, któréj sobie nie przypisuję.

Naznaczywszy pannie miejsce czynnego członka w rodzinie, uznawszy jéj obowiązek i prawo do pracy; należy powiedzieć że jakkolwiek jest ona cząstką rodziny nierozerwalnie połączoną, z jéj życiem, sama przecież w sobie jest całością, któréj winniśmy poszanowanie. Jest ona istota „z nas, lecz nie dla nas zrodzoną".

Wychowanie nie jest tworzeniem, ale tylko uprawą, udoskonaleniem; tego zapominać nie należy. Mianowicie w wychowaniu córek strzedz się trzeba zapomnienia téj prawdy.

Syn, kształcący się poza domem, może swą indywidualność za wyzwoloną uważać; swoboda indywidualności w córce, po największéj części zamało jest uwzględnianą. Nawet dzisiejsze niedołężne wychowanie, zanadto niweluje skłonności i na jeden wzór wszystkie panny urabia. Strzeżmy się jednak, byśmy zmieniwszy ideał, nie przykrawali do niego znowu niewolniczo naszych córek. Pamiętajmy, że „one, to nie my". Zakreślić granicę pomiędzy wolnością dziécięcia a prawem rodziców, to rzecz niesłychanie trudna i, jakeśmy to już mówili, usamowolnienie powinno następować powoli i logicznie tak, by w końcu obok naszéj indywidualności, stanęła indywidualność naszéj córki, traktowana przez nas z poszanowaniem, jakie jéj się należy. Wprawdzie daliśmy jéj z siebie niesłychanie wiele, jest nam bliską; ale może być różną od nas pod względem serca i umysłu, jak różną jest w zewnętrznéj swéj postaci.

Jeżeli zachęcaliśmy matki do rozwijania córek swych wszechstronnie, do wprawiania ich zarówno do pracy naukowéj, jak do zajęć gospodarskich, rodzinnych i robót ręcznych; to w części i dla tego, że dziécię jednostronnie kształcone, dorosłszy, z trudnością odkrywa w sobie powołanie, a często mija się z niém

w skutek samowolnego kierunku rodziców. Prawa wychowawcy stoją do istoty wychowywanéj w takim samym stósunku, jak obowiązki przeznaczeniowe do indywidualnéj wolności człowieka. Przeznaczenie ogólne, a powołanie osobiste—to często dwie różne rzeczy. Kobiéty przeznaczeniem jest zostać matką; ale ta, którąby kochając mężczyznę, odrzuciła jego rękę i szczęście rodzinne dla jakiéjkolwiek idei, dla nauki, czy sztuki—byłaby w swojém prawie. Moglibyśmy nie podzielać jéj przekonań, ale powinniśmy szanować w jéj czynach prawo osobistéj wolności.

Ta indywidualna wolność córek naszych zostaje z ich kształceniem się zawodowém w nierozerwalnym stósunku. Matka ma obowiązek ukształcić w córce przede wszystkiém człowieka, zaszczepić w niéj zamiłowanie pracy i zajęć, do jakich powołuje ją przeznaczenie; uszlachetnić jéj serce i umysł za pomocą nauki, rozwinąć w niéj uczucia obywatelskie, wstręt do gnuśnego i egoistycznego próżniactwa,—ale co do zawodu, ten córka powinna obrać sobie sama. Ona jedna może wśród własnych pragnień i popędów rozstrzygać o swém powołaniu. Dla tego z obraniem go dla córki nie należy się spieszyć, a potém zostawić jéj swobodę wyboru, o ile ten nie wkracza w dziedzinę szalonych i niepraktycznych zamiarów.

Powiedziałam wyżéj, iż matka nie ma obowiązku popychać córki na drogi nowe, szukać dla niéj uniwersytetu zagranicznego, by jéj wiedzę rozwinąć w kierunku zawodowym; ale z drugiéj strony, widząc w niéj nienasycone pragnienie wiedzy, wybitnie skierowane ku pewnéj gałęzi naukowéj, musi, choćby miała wstręt do takiego kierunku, uznać ją wolną, w zaspokojeniu intelektualnego pragnienia.

„Dla mężczyzn — powiada Legouvé — bodźcem w suchych studyjach jest ambicyja, konieczność, interes, powołanie do jakiegoś stanu. Ale młodéj kobiécie brak tych wszystkich sprężyn. Dla niéj nauka ma tylko jeden cel—rozwinięcie umysłu. Ona dla nauki czuć tylko może bezinteresowną miłość". — Takiéj bezinteresownéj miłości, czystemu, niezamąconemu nadzieją zysku pragnieniu nauki, tamy stawiać nie można. Niech powołana idzie gdzie ją prowadzi jéj miłość, a choć kobiéta, jako teoretyk prawnik, lub inżynier-amator, byłaby pewnego rodzaju anomaliją,

prawo wolności osobistéj nie zostawia nam wątpliwości, co do macierzyńskiego obowiązku w tym razie. Rodzice muszą się zgodzić z powołaniem córki, głos doradczy tylko sobie zostawiając.

Dziś takie rzucenie się młodéj dziewicy na drogi nowe może być tylko wyjątkowym wypadkiem; dla tego nad kierunkiem podobnym powołania kobiécego nie zatrzymuje się dłużéj.

Jeżeli nauka właściwa mało niewiast liczy w swoich szeregach; literatura i sztuki poważny wykazują ich zastęp. Artystek i autorek wszelkiego rodzaju, we wszystkich krajach, widzimy wiele, choć genijuszów między niemi nie znajdzie. Natomiast nie brak talentów. Artyzm i autorstwo niewieście wyrobiło już sobie obywatelstwo na całym świecie; ponieważ jednak są to raczéj dary natury, niż wychowania, nadmienić więc wypada, że obowiązek rodziców jasno i dokładnie jest tu wytknięty. Wybitnéj zdolności dziecka należy dać jak najsilniejszą, jak najgruntowniejszą pomoc naukową, a co następnie z tym darem bożym uczyni człowiek dorosły, to już dotyczy jego sumienia i bogactwa uposażenia naturalnego. Wszakże przy kształceniu artysty nie trzeba zapominać, że w wychowaniu, jak w życiu, jedna przyczyna wywołuje często wielorakie skutki i że talent ma prawo być przedmiotem starań wychowawcy, do tego tylko punktu, do jakiego bez przyniesienia uszczerbku moralnéj stronie uprawianym być może. „Cele wieczne" — jak je nazywa Dzieduszycka — powinny być zawsze na piérwszym planie, a wyrobienie człowieka występować ma przed wyrobieniem artysty.

Bądź co bądź, artyści są i będą zawsze wyjątkami w narodzie; dzieci, obdarzone wybitnym talentem są wyjątkami w rodzinach; powyższe więc słowa do małéj tylko liczby rodziców się odnoszą. Ogół trudniejsze ma do rozwiązania zadanie, gdy mu przyjdzie pomyśléć o mnogim zastępie niezamożnych kobiét, w których liczbie i ich córka znaléźć się może i o nielicznych polach działania otwartych przed niewiastą.

Praca samotna i niezależność na niéj oparta, są tak wielkiemi darami, uposażenie duchowe nieograniczone żadnemi wyłącznemi prawami, a rozwijające umysł aż do granic naturalnéj możebności, są tak piękną i godną zazdrości rzeczą, iż dziwić

się nie można, że zamknięcie przed kobiétami wszystkich tych dobrodziejstw, oburza te z nich szczególniéj, które nie mają podpory męskiego ramienia, a o własnéj sile stanąć nie mają prawa.

Los kobiéty z życiem niezapełnioném rodzinnemi obowiązkami jest smutny, zarówno przez brak tych obowiązków, jak przez brak pracy dającéj niezależność. Przyznać należy, iż w tym razie los kobiét niewykształconych jest stósunkowo lepszy od losu tych, które umysłową pracę podjąćby mogły. Praca ręczna kobiéca, jakkolwiek mniéj popłacająca, niż męska, przecież w naszym kraju, chętnym dłoniom przedstawia łatwy zarobek. Rzemiosła, przemysł, handel — nie zapiérają wrót swych przed kobiétą; znajduje w nich ona oddawna pole pracy korzystnéj; szkoły specyjalne, jakich próby mamy już w naszym kraju, powiększą jeszcze zastęp pracownic.

Nauczanie dziéwczęcia chlebodajnego rzemiosła i wprowadzenie go na drogę pracy, jest zapewnieniem mu niezależności wrazie niepójścia za mąż. Rzecz wydaje się jasną. Przecież rodziny ubogie, nie mogąc dać córkom wykształcenia, a mające tradycyje dawnéj zamożności i stósunków, wolą córki wychowywać na niepożyteczne nikomu i wiecznie utyskujące istoty, niż wstyd, z przyczyny ich pracy rzemieślniczéj, ponosić. Wiele matek, mających zamożnych krewnych, woli swe, ledwo dorastające córki, skazać raczéj na smutną rolę rezydentek, niż żeby pracą ręczną zarabiały na życie. Ale walka z przesądem jest najniewdzięczniejszą i kiedy smutny los ubogich, a niczém niezajętych panien, nie wystarcza na wyleczenie z dawnych uprzedzeń; słowa tém mniéj na nie wpłynąć potrafią. Jeżeli jednak dziwić się i potępiać trzeba matki ubogie i nie mające środków kształcenia córek swoich, że pracy rzemieślniczéj dla nich się boją; matkom zamożnym i córkom wykształconym nie można miéć za złe, że się do niéj nie garną. Różnica zajęć musi wypływać z różnicy majątku i wychowania; zrozumiéć więc łatwo, że kobiéty wykształcone, a niezamężne, skarżą się na brak pracy niezależnéj w zawodach naukowych. Nie wszystkie mają powołanie do nauczycielskiego zawodu, choć przyznać trzeba, że dla kobiéty niéma nad tę właściwszéj pracy.

W Ameryce dziewięć dziesiątych publicznych posad nauczycielskich zajmują kobiéty, a ich współobywatele, podróżni europejscy, równie jak oddają im największe pochwały. Wynagrodzenie ich jest stósunkowo bardzo niskie, a przecież oddają one największe usługi społeczeństwu; nie wzbudzają też, jak u nas, politowania filantropów, ani same mają się za najnieszczęśliwsze pod słońcem istoty.

Wziąwszy nawet na uwagę wszelkie niekorzyści stanu nauczycielki domowéj, wszystkie przykrości, jakie ją w obcéj rodzinie wyjątkowo spotkać mogą; przyznać należy, że skargi nauczycielek i objawy współczucia dla nich ze strony ludzi myślących, nastrajają się często u nas na zbyt wysoką nutę i że smutki wypływające z położenia kobiéty niezamężnéj, a zatém bezdzietnéj, często kładzione są na karb nauczycielskiego zawodu. Uprzedzenie do pracy, jaką kto podejmuje, jest złém do niéj przygotowaniem, a jednak z uprzedzeniem, często posuniętém do egzaltacyi, przystępują nauczycielki do tego zaszczytnego zawodu. Młode panny, przygotowujące się do niego, naprzód ubolewają nad przyszłém swém położeniem. Jest ono trudne, to prawda; ale jest pełne zasługi moralnéj, a i materyjalnie opłaca się dobrze.

Wziąwszy 400 rubli za przeciętną zapłatę dobréj nauczycielki, możemy to tylko zaznaczyć, że mnóstwo naukowych powołań męskich nie opłaca się w ten sposób, by po odtrąceniu wszystkich (z wyjątkiem ubrania) potrzeb życia, zostało jeszcze 400 rubli na pojedyńczą osobę. Materyjalne korzyści są więc bardzo wystarczające, a co do przykrości.... toć przecie w każdém położeniu i zawodzie ma się ich tysiące. Choćbyśmy nawet przypuścili, że zawód nauczycielski jest ze wszystkich najprzykrzejszy, to i tak jeszcze kobiéta mężna duchem i w pracy gorliwa, może go podjąć z nadzieją, że byle się ze swych uczuć egoistycznych wyzuła, może i na téj drodze znaléźć odrobinkę szczęścia dla siebie.

W braku swoich, wychowywać będzie dzieci cudze, da im cząsteczkę własnego ducha, co także niemałą jest pociechą, a od nich obok możliwych przykrości, odbierze też i uczucia trochę. Tylko więcéj odwagi i dobrych chęci, pracy, sumienności i wiary,

a mniéj podejrzliwéj nieufności i zniechęcenia. I w obcéj rodzinie można znaléźć przyjaciół i serca chętne dla nieznajomej. A szczęście? Skąd takie uroszczenie? Wszak na wszystkich stanowiskach nieszczęśliwych bez liku! Spojrzyjcie na żony, na matki, ileż między niemi opłakanych położeń, od których ucieczki niéma, podczas kiedy nauczycielka z miejsca swego niezadowolona, otrząsnąć może proch z obuwia swego i u innego ogniska szukać znośniejszych bytu warunków. To téż pomimo wszystkiego, co na niekorzyść nauczycielskiego zawodu powiedzieć można i głęboko przeciw niemu zakorzenionych przesądów, zachęcam matki zamożniejsze, a zatém mogące naukowo kształcić swe córki, do sposobienia ich na nauczycielki.

Raz dla tego, że jest to jedyna praca dostępna dla wykształconéj kobiéty, a powtóre, że nauczycielek dobrych niesłychanie jest mało; poszukiwania zaś ich z każdym dniem się zwiększają.

Obok tego, specyjalność ta w każdym razie kobiécie przydać się może, bo jeżeli pójdzie za mąż i zostanie matką, własne jéj dzieci korzystać będą z jéj uzdolnienia; umiejętność więc nauczania stawiam w wychowaniu zawodowém na piérwszym planie, tak jak ją już na nim stósunki społeczne postawiły. Trzeba tu dodać, że dobra nauczycielka niekoniecznie w obcéj rodzinie umieszczać się musi. Może, uzdolniwszy się specyjalnie w jednym przedmiocie, wykładać go na pensyjach, lub dawać lekcyje prywatne, co może nie opłaca się tak dobrze, jak nauczycielstwo domowe, ale daje swobodę ruchów i własny dom zapewnia.

Uważałam, że największe skargi na zawód nauczycielski wychodzą z ust złych nauczycielek.

Nie mówię tego z ironią; jest to bowiem rzecz naturalna. Tylko zamiłowanie, ukochanie obowiązku i pracy, jakiéj się poświęcamy, może nam dopomódz do jéj dobrego spełnienia. Rozróżnić wszakże trzeba dwa rodzaje złych nauczycielek. Jedne, źle nauczają i czują się nieszczęśliwe dla tego, że nie mają powołania, choć mają dostateczną wiedzę; — drugie, a tych liczba nieskończenie większa, źle nauczają, bo same nic dobrze nie umieją i podręcznik naukowy jest dla nich alfą i omegą wiadomości w danym przedmiocie.

Czują swą nieudolność, zniechęcają się machinalną pracą i użalają na trudne położenie, zamiast utyskiwać na swoję nieumiejętność.

Otóż od takiego nauczycielstwa strzeżmy córki nasze.

Czy bowiem może dać zaspokojenie grosz mozolnie zarobiony na smutném oszukiwaniu siebie i rodziców, powierzających nam dzieci? To ów podaniowy kamień, za ciężki na słabe barki, który przecież nosić trzeba przez życie, uginając się i upadając pod jego brzemieniem. Wmawiać drugim to, w co się samemu nie wierzy—co za smutne przeznaczenie! I jakże się dziwić, że się skarży na swój los taka nauczycielka? Zaręczyć można, że większa część tych biédnych ofiar złego wychowania, odrazu odzyskałyby spokój i zadowolenie, gdyby jaka wróżka przyniosła im w darze wiedzę, na jakiéj im zbywa. Ale wróżki nie obdarowują już ludzi i tłum biédnych nauczycielek do swéj pracy nieprzygotowanych, ciągnąć będzie, jak dotąd, ciężką taczkę żywota. Lecz te, które umiejąc, nienawidzą nauczania — te są prawdziwemi ofiarami społecznego porządku. Na innem polu mogłyby stać się użytecznemi i szczęśliwemi. Pola tego niéma i czy otworzy się kiedy? Wielkie pytanie!

Owóż, zachęcając matki do kształcenia córek na nauczycielki, pragnęłabym, aby obok nauki ogólnéj, obrały przedmiot jeden, do którego największą okazują zdolność i pociąg i w tym przedmiocie wyjątkowo córkę wykształciły.

Najczęściéj się zdarza, że dziécię od piérwszych chwil okazuje zdolność taką. Jedno posiada zdumiewającą lingwistyczną intuicyją; inne rozwiązuje z łatwością i zamiłowaniem zadania arytmetyczne; inne znowu ledwie pisać zaczyna, już jest autorem; nad innego kolébką „anioł muzyki białe skrzydła rozwinął" — i już kierunek wskazany.

Żyjemy w epoce specyjalności. Już dziś nie wiem, czy sam Leonardo da Vinci nie musiałby zwrócić swéj zdumiewającéj wszechstronności na jednę gałąź wiedzy, czy sztuki. Ci z uczonych, którzy nas jak Buckle, Humboldt, Spencer, Bain zadziwiają swą wiedzą uniwersalną i głęboką; zdobywają ją pracą całego żywota i nie naukę na korzyść życia, lecz życie na korzyść nauki zużywają. Gdy przecież chodzi o chlebodajne zajęcie, o usposo-

bienie córki na nauczycielkę, należy, uważając życie, a nie naukę za cel główny, dać jéj taki jeden *gradus ad Parnassum*, na którym, obiema nogami silnie stanąwszy, mogłyby się czuć panią zupełną przedmiotu. Taka jedna gałąź, wyjątkowo uprawiana, zawsze, obok innych traktowanych dostatecznie, przynosi człowiekowi wielkie zadowolenie.

Spojrzyjmy do koła siebie.

Ten muzyk, uczeń znakomitego konserwatoryjum, jest teoretykiem i wykonawcą jedynie; dar twórczy nie został mu dany; ale jakże on pojmuje, jak kocha muzykę? Na jego stoliku spostrzegasz kilka pism muzycznych, oszczędności jego wszystkie idą na nuty; drży na samę wieść, że Gounod napisał nową operę, i że on doczeka się rozkoszy odczytania jéj na swoim instrumencie, a może usłyszy ją przedstawioną w teatrze.

Tam znowu nauczycielka domowa, wśród obcéj rodziny żywot pędząca, z radośném drżeniem oczekuje paru godzin samotności wieczornéj, jaką sobie wymówiła na wyłączną własność. Co ją do téj samotności pociąga?

Czy jałowe marzycielstwo, przynoszące jéj przez cud wyobraźni te wszystkie radości, jakich odmówiło jéj życie? Tęsknoty, którym z taką namiętnością oddają się istoty słabe, nerwowe i wrażliwe?

Nie, ona w téj samotnéj godzinie nie rozstrojenie, lecz siłę do życia czerpie.

Otwiéra szufladę ze skarbami swojemi i oto wydobywa z niéj gruby tom, wydobywa kajet, ścisłém zapełniony pismem i nad ulubioną gałęzią wiedzy pracować zaczyna. Nie ma męża, nie ma rodzinnych radości, ale ma swoję cichą pracę i ta ją broni od zwątpienia, apatyi, rozpaczy. Chociaż czuwała długo z wieczora, rano zrywa się żwawo i ochoczo. Trzeba co najwcześniéj lekcyje dziecinne rozpocząć, odbyć pracę obowiązkową w przeznaczonéj godzinie, by ani minuty ulubionym studyjom nie odjąć. Ta miłośnica wiedzy, nie posunie jéj ani na krok jeden. Czyż byłaby owładnięta jakąś nieprodukcyjną maniją? Ah! ona mądrość prawdziwą zdobyła. Własnemi usty wydobyła ze skały małe źródełko szczęścia i z niego czerpie czysty, uśmierzający wszystkie cierpienia napój.

Często słyszy się dziewczynkę powtarzającą:—„Jak ja lubię historyją, albo geografiją, rachunki....“ — Takie zamiłowanie do danego przedmiotu wiedzy to już piérwszy krok do zdobycia jéj, jako specyjalności, którąbym pragnęła widzieć w posiadaniu każdéj dorosłéj panny. Taka specyjalność nie zaszkodzi nauczycielce domowéj, a dla nauczycielki, dającéj lekcyje na godziny, będzie warsztatem pracy korzystym i przyjemnym.

Wreszcie co do korzyści intelektualnéj, wziętéj oderwanie, zapytajcie uczonych, a powiedzą wam, że jeden przedmiot zgłębiony dokładnie, wart dla umysłu stokroć więcéj, niż dziesięć traktowanych pobieżnie.

A teraz dodajmy, że jak gospodarstwo i umiejętność obchodzenia się z dziećmi, tak i sztuka nauczania nie na saméj teoryi zasadzać się powinna. Teoryja bez praktyki—to dusza bez ciała. Dziéwczę dorastające i dorosłe, powinno już nauczać obowiązkowo. W wielu rodzinach starsza siostra wprawi się do tego, dając korepetycyje młodszemu rodzeństwu. W mieście, panna dorosła, może wyświadczyć prawdziwe dobrodziejstwo jakiéj ubogiéj dziewczynce, podejmując się przez parę godzin dziennie uczenia jéj systematycznie; na wsi zaś każda, która tylko zechce, znajdzie uczennicę, lub ucznia, bo niéma dworu, gdzieby się nie znalazło, chętne dziécię, któreby mogło korzystać z dobrodziejstwa elementarnéj nauki.

Logiczne i konsekwentne rozwijanie wychowania trudném jest niezawodnie, zarówno dla matki zamożnéj, jak i ubogiéj; piérwsza jednak w urzeczywistnieniu ideału wychowaczego nie spotyka żadnéj przeszkody; podczas gdy druga, musi stósować się do swych szczupłych dochodów. Stąd dla ostatniéj trudniéjsza rola przypada, szczególniéj, jeżeli sama wzrastała w dostatkach i bezczynności. W takim razie bowiem potrzebuje ona wielkiego spokoju, rozwagi, siły moralnéj i logiki, żeby wychowanie zastósować do przypuszczalnéj przyszłości córki i nie wykoleić jéj ze stósunków, w jakich pozostać musi, a co tak często się trafia

wśród ludzi, którym wychowanie dało pragnienia wyższe nad możność ich zaspokojenia.

Gdy więc matka nie ma środków wykształcenia naukowo swéj córki, niech ją odważnie sposobi na sumienną, biegłą rzemieślniczkę. Obok udzielania jéj w ojczystym języku nieodzownych w życiu wiadomości, praca ręczna stać się musi głównym wychowania celem: pranie, prasowanie, gotowanie, umiejętność usłużenia i zaradzenie sobie we wszystkiém, hartowanie sił przez obowiązkowe zajęcia ręczne, oto przygotowanie do przyszłego zawodu.

Ale żadnych nierozsądnych z jéj strony utyskiwań nad przyszłością dziécięcia!

Próżniactwo tylko jest wstrętne i godne pogardy; każda zaś praca ma prawo do uznania i szacunku ludzi. Tylko ta z nich unieszczęśliwia, do któréj z uprzedzeniem i bez należytego przygotowania przystępujemy. W tém wszelkie nieudatne próby mają swe źródło.

I tak, ktoś zakłada szwalnią, fabrykę kwiatów, lub magazyn krawiecki. Zakład taki trwa zwykle chwilę. Założycielka nie zna się na wyrobach swego handlu, nie umié prowadzić rachunków, daje się oszukiwać, lekceważy rzeczy główne, przecenia drobiazgi, nie ma pojęcia o ekonomii przemysłowéj, przygotowuje, jako towar, rzeczy niepożyteczne i nie mogące miéć zbytu, natomiast brak pokupnych w jéj składzie; bilansu nigdy dokładnego ułożyć nie może, łudzi się nadziejami, zapomina mnóstwo rzeczy, nie wié, jak i czego od robotnic wymagać, w stósunku z publicznością taktu zachować nie umié, rzuca się na wszystkie strony, zaciąga długi nieoględnie, w końcu wierzyciele zabiérają, co zabrać można, a biédna ofiara wychowania, które do żadnego zawodu jéj nie przygotowało, wpada w głęboką nędzę, z któréj już powstać nie może.

Ta znowu, dla swéj uczciwości przyjętą została, jako panna sklepowa. W krótkim czasie właściciel sklepu, mówi z oburzeniem:—„A cóż mi z téj uczciwości? Wolałbym prawie malwersacyje, niż takie niedołęstwo. Publiczność źle obsłużona, lekceważenie, zapominalstwo, opuszczanie się w obowiązku, odkładanie wszystkiego na późniéj, nieporządek, codzienna niezgodność rachunków,

apatyczna niechęć do pracy. A jakie to dumne, drażliwe, wiecznie skwaszone i wiecznie wzdychające! Takiéj uczciwéj niedołęgi trzymać dłużéj nie mogę".

Inna jeszcze obiéra zawód bony. Najprzód sama ta nazwa już ją obraża; lubi powtarzać, że nie jest boną, lecz nauczycielką do początków, że jéj rodzice byli z wyższego stanu i ma krewnych bogatych i wysoko położonych. W lada słowie podejrzywa chęć uchybienia sobie, w powozie na przodzie jeździć nie może; dzieci ją nudzą, służących traktuje z góry, wyrzeka wciąż na trudne położenie, obowiązki swoje spełnia źle i niechętnie.

Nieskończyłabym, gdybym chciała te istoty nieszczęśliwe *bez powołania*, śledzić we wszystkich położeniach. Każdy je zna, gdyż nie brak ich nigdzie. Starajmy się przynajmniéj nie powiększać ich liczby przez nierozsądne wychowanie naszych córek i myślmy lepiéj i praktyczniéj o ich przyszłości.

Jak znajomość hygieny jest konieczną do życia, możemy się łatwo przekonać, spojrzawszy na nasze społeczeństwo. Statystyka wykazuje, ogromną różnicę śmiertelności, wypływającą z warunków otaczających człowieka i jego pożywienia. Wszakże nietylko przyczyny od nas niezależne, nietylko niedostatek, nędza, brak powietrza w zaciśniętych mieszkaniach i ulicach, wydziéra codziennie tysiące ofiar; prawie równie zabiéra je nieumiejętność obchodzenia się z własném zdrowiem — nieznajomość hygieny.

Pomińmy ofiary nędzy — ubogi lud miejski, a wejdźmy między naszych włościan. Warunki sanitarne tu lepsze, dobrobyt w ostatnich czasach znacznie podniesiony, a jakaż niepomierna śmiertelność, nietylko wśród starszych, pracujących często zbyt wiele, żywiących się nieodpowiednio; ale niemowląt, znajdujących w piersiach zdrowych matek daleko lepsze pożywienie, niż je dać mogą swym dzieciom niedokrwiste i ogólnie słabowite kobiéty warstw wykształceńszych. Śmiertelność ta pochodzi jedynie, z nieumiejętnego obchodzenia się *z biédnym ludem* niemowląt, poddanym barbarzyńskiemu sposobowi postępowania. Star-

szych zabija niestrawność, zaziębienia, znachory i znachorki; niemowlęta zaś, zabijają własne matki.

Nie rozszerzając téj kwestyi poza obręb dotykalnego przykładu, powiedzieć można, że to wszystko, co ogół oświéceńszy wié o hygienie więcéj od włościanina, jest wobec nauki bardzo małą zdobyczą. To, co się nam wydaje niedarowanym błędem, budzącym politowanie w postępowaniu włościanina; popełniamy sami na każdym kroku, w mniejszych rozmiarach, to jest, pominąwszy najgrubszą niewiadomość; dajemy jednak ludziom więcéj od nas umiejącym ten sam widok nieznajomości i błędów, jakim się gorszymy, patrząc na włościan.

Niech jednak matki nie sądzą, że hygiena, jaką znać ogółowi kobiét należy, jest trudną, niedostępną, specyjalną, wymagającą nadmiernéj pracy, nauką. Tak bowiem nie jest. Niektóre pensyje żeńskie już ją nawet u nas pomieściły w swoim programie. Jest ona bardzo ważną, jedną z najważniejszych wiadomości, jakich nabycie uchronić nas może od tysiąca chorób i wpłynąć starannie na całe nasze życie. Dla kobiéty zwłaszcza, jako przyszłéj matki, wiadomości te są nieocenionéj wagi. — „Tysiące istot ludzkich, które umiérają przedwcześnie—mówi Spencer—setki tysięcy, które, jeżeli pozostają przy życiu, to na to jedynie, by dźwigać ciężar nadwątlonego zdrowia; milijony, wzrastające z konstytucyją mniéj silną, niżby ją miéj powinny, dają nam miarę zła, zrządzonego przez rodziców, nieznających praw życia."

Żądając od kobiéty znajomości głównych praw hygieny, bynajmniéj nie jestem oryginalną.

Wszyscy prawie pedagogowie nowocześni żądają wprowadzenia téj nauki do wychowania kobiét i dziwią się, że w naukach szkolnych dla mężczyzn pomieszczoną nie została.

Hygiena potrzebna jest kobiécie, jako wychowawczyni młodego pokolenia i, jako gospodyni, żywicielce domowników swoich. Ona dysponuje obiad w domach bogatszych, gotuje go w uboższych.

Potrzeba jéj przeto znać własności rozmaitych pokarmów, wiedzieć, które ich gatunki stósowne są dla chorych i przychodzących do zdrowia, jakie potrawy przedstawiają się, jako lekkostrawne, a jakie do niestrawnych zaliczyć należy.

Oprócz nieświadomości, mamy jeszcze mnóstwo hygienicznych przesądów. Wiele matek (włościanki wszystkie) wyobraża sobie, że surowe mléko dzieciom szkodzi; że cukier podburza robaki, a miód je truje, i t. d. Możnaby bez końca wyliczać takie uprzedzenia hygieniczne, które stały się powszechnym prawie przesądem.

Niektóre wiadomości fizyjologiczne, znajomość własnego organizmu i jego potrzeb, dałyby kobiécie wiedzę konieczną, jako opiekunce chorych, którzy między rodziną, czy domownikami się znajdą.

Matka jest sprawozdawczynią przebiegu choroby wobec doktora. Ona dzień i noc przy łóżku chorego dziecka przebywając, śledzi postęp i objawy cierpienia. Lecz jakże niedołężnie często je obserwuje! Nie wié wcale, co może być ważném, a co jest objawem bez znaczenia; jednak jéj sprawozdanie jasno i rozumnie lekarzowi podane, mogłoby nieraz wywrzéć wielki wpływ na przebieg choroby. Czy byłoby zbytecznem, aby takie wiadomości, jakie ma np. każda płatna opiekunka chorych lub siostra miłosierdzia, miała panna dorosła podane sobie w treściwym wykładzie? Uchroniłoby to ją od wielu błędów, popełnianych w leczeniu dzieci, a które są wszystkich przemądrzałych i zarozumiałych matek udziałem. Każdy lekarz ma sposobność przekonania się w swéj praktyce, jak często matki, zamiast zjednoczyć z nim swe usiłowania w celu ratunku dziecka, szkodzą mu raczéj, nie spełniając ściśle przepisów.

„Gdy matka dziécię swoje przez nieświadomość zabije, czy będzie to dla niéj pociechą, że może czytać Dantego w oryginale? —zapytuje Spencer, wykazując nielogiczność uczenia kobiéty kilku języków, a zaniedbania najelementarniejszych wiadomości z hygieny i fizyjologii. Dziś jeszcze, w wychowaniu domowém szczególniéj, niezmierna jest trudność zasilenia dziéwczęcia na życie, tak pożytecznemi wiadomościami. Łatwiéj w istocie znaléźć nauczycielkę, cztery języki posiadającą, niż taką, którąby się podjęła uposażyć dziéweczkę w ową mądrość tak potrzebną do życia.

Słyszymy często i powtarzamy sami, że towarzystwo w młodości jest jednym z wpływów najsilniéj działających. Nic nad to prawdziwszego! To téż z tym potężnym czynnikiem rodzice koniecznie liczyć się powinni

Nie zważając na względy przyjaźni i stósunków rodzicielskich, dziewczynkę można otaczać tylko takiém towarzystwem, jakieśmy za stósowne dla niéj uznali. Zdarzają się wprawdzie i tu od nas niezależne wypadki.

Ktoś ze znajomych przyjeżdża, czy przychodzi z panienką — mniéj więcéj w wieku córki naszéj będącą i ta kilku słowy rzuca w duszę dzieweczki ziarno szkodliwe; albo przy odwiedzaniu towarzyszki, na zaprzyjaźnienie się z którą matka pozwoliła, spotyka dziéwczę towarzystwo najzupełniéj dla niéj niestósowne. To są wpływy nieprzewidziane, wymagające koniecznie oddziaływania matki za pomocą ufności i szczerości, jaką wzbudzić w córce powinna, przynajmniéj co do wrażeń, jakie ją spotkały.

W zwykłém jednak położeniu matka tak jéj wydzielać może pożywienie duchowe, że będzie ono tylko tém, czém je sama uczynić zechce. — „Jak wielu zostałoby dobrymi, albo stałoby się o wiele szlachetniejszymi i zdolniejszymi do każdéj wyższéj czynności, gdyby lepsze otoczenie — mówi Niemeyer — znaleźli. Samo zbliżenie się do dobrego i szlachetnego lub złego i niskiego charakteru człowieka wywiéra wpływ potężny. Budzą się myśli, któreby się nigdy nie zbudziły; skłonności, które przez całe życie pozostałyby w uśpieniu; sympatyje, których inaczejby się nie znało".

Nie będę się tu wdawać w podawanie środków praktycznych postępowania matki, co do otaczania dziéwczęcia właściwém i dobrem towarzystwem, gdyż te zależne są od stósunków każdéj rodziny i okoliczności zewnętrznych; pragnę tylko zwrócić uwagę na to, co za dobre i złe towarzystwo uważać trzeba.

Mądre przysłowie nasze: „Kto z kim przestaje, takim się staje", daje nam wyborną wskazówkę, co do wyboru towarzystwa dla naszych dzieci. Wszakże rzadko kiedy dziewczynka spotka się u nas z wpływem psującym bezpośrednio; z osobistością, którąby w niéj podkopać mogła wiarę w prawdy objawione,

w cnotę, w rodzinę, jako podstawę społeczeństwa; z osobistością mówię, którąby w dziécięciu naszém osłabić chciała pogardę dla występku, występek ubrać w powaby, cnotę odrzéć z jéj aureoli, zetrzéć w niéj wstyd, i dumę dziewiczą. Tacy propagatorzy zepsucia znajdują się może, ale chwała Bogu, nie każdy ich na swéj drodze spotyka. Zwykle złe ziarna przychodzą do naszych dzieci w innéj formie, mianowicie w formie próżności, kokieteryi, rozmarzenia i lekkości.

Dziéwczę, które staraliśmy się zrobić podniosłém duchowo, przed którém usiłowaliśmy postawić najczystsze ideały: wiary, zasługi, prawdy i uszlachetniającéj pracy; winno być odsuwane od wszystkiego, co ideały te przed jego wzrokiem zmienić może.

Przebywanie więc w towarzystwie dziéwcząt przesiąkłych próżnością, marzących tylko o świetnych strojach, balach, karnawałach, podróżach, bogatych partyjach, jest wpływem niezmiernie dla nich szkodliwym. Takie dziéwczęta mogą być bardzo *dobrze wychowane* w znaczeniu, w jakiém dobre wychowanie zwykle pojmują; mogą mówić kilkoma językami, grać, śpiéwać i malować i być bardzo przyjemne w rozmowie; niemniéj wolałabym, jako towarzystwo dla mojéj córki, dziéweczki mniéj świetnie wychowane, uboższe i mniéj w towarzystwie przyjemne; ale zacne, pracowite i niewiedzące, co to jest świat próżności, na którego targowisku panna tylko tyle warta, ile wynosi jéj posag.

Któż z nas nie słyszał rozmowy takich światowych panien? Co za nędza!

Świetne tualety, zadziwiająca przepychem czyjaś wyprawa, bogate małżeństwo, marzenie o pałacach, podróży, wreszcie obmowa znajomych i nieznajomych — oto temat do ich towarzyskiéj rozmowy. Wszakże i w tym świecie znajdzie się często jakaś dusza wyższa, estetyczna, mająca szlachetniejsze dążenia i pragnienia wiedzy. Takiéj towarzystwo tylko uzacniać może, tém bardziéj, że wdzięk form zewnętrznych, połączony z wyższością duszy, są bardzo pięknem zjawiskiem.

Z drugiéj strony, próżność i pretensyje gnieżdżą się często i w ubogich rodzinach, a gdziekolwiek wyrosną, gdziekolwiek

grunt moralny przesiąkły jest tym pospolitym, a zabijającym wszelką wyższość i samodzielność pierwiastkiem, tam niezdrowo przebywać dziécięciu.

Obok próżnych, zmateryjalizowanych, występuje inny gatunek panien, tak zwanych: *kumoszek*. Te już nietyle myślą o świetnéj partyi, ile o intrydze miłosnéj. Układają plany, swatają, podpatrują tajemnice drugich, lub się ich domyślają, szepcą po kątach z towarzyszkami, kolportują wiadomości niezmordowanie. Małżeństwo nie występuje przed ich wzrokiem, jako rzecz poważna, nakładająca odpowiedzialność wobec Boga i ludzi; lecz jako zabawka, jako romans ciekawy, którego kartki przerzucić chciałoby się jak najprędzéj. Kumoszki, jako towarzystwo, są mniéj szkodliwe od panien próżnych, a pociągających większą ogładą i wdziękiem; ale i one wciągają w swoje koło i odziérają myśl dziéwczęcia z czystéj i szlachetnéj prostoty. W ich towarzystwie dziéwczę uczy się nadawać wyrazom własnym i wyrazom przez młodzież męską wyrzeczonym, znaczenie zupełnie różne od tego, jakie im dotąd przypisywało; staje się ciekawe, budzi się w niém zalotność, nieufność do rad macierzyńkich, ma tajemnice własne i cudze i chęć do intryg powstaje w młodym umyśle. Gmach prawości czystéj, wzniosłych aspiracyj duchowych, podkopany zostaje przez tego rodzaju małostki. Jest to jednak zaraza chwilowa, z którą walka łatwiejsza i która nie wytępia jeszcze wszystkich zasobów duchowych, jak to czyni próżność rozwielmożniająca się tak łatwo i pochłaniająca całą naszę istotę, że wszystko—naukę, przymioty, samę nawet cnotę wyeksploatować na swą korzyść potrafi. Przestajemy już bowiem w czynach naszych szukać innéj korzyści nad korzyść zadowolenia próżności.

Obok wyżéj wspomnianych rodzajów źle wychowanych panien, oddziaływających szkodliwie na dorastające dziéwczęta spotykają się jeszcze inne szkodliwe i chorobliwe wpływy, jak apostolstwo źle zrozumianego równouprawnienia kobiét i inne mrzonki.

Towarzystwo uzacnia lub psuje, stósownie do tego, z jakich żywiołów się składa. Dobre — oświeca, daje znajomość świata i ludzi, łatwość obejścia i wysłowienia, obznajamia wresz-

cie z warunkami społecznemi i ekonomicznemi kraju, wiadomościami tak niezbędnemi dla wszystkich. Jakie skutki złe towarzystwo wyrządza, o tém szerzéj rozpisywać się nie warto. Jak piérwsze tak drugie ma to do siebie, że pociągnąć ku sobie może, a więc tém bardziéj wpływać na tych, którzy w niém zasmakują. Francuzi mówią: — „Powiedz mi z kim obcujesz, ja ci powiem jakim jesteś." — Jest to wielką prawdą. To téż matki wszelkich starań dokładać powinny, aby ich córki wcześnie już zasmakowywały w towarzystwie, któreby im jedynie korzyść moralną przynosić mogło.

„Chłopcy między sobą się poprawiają — dziéwczęta wzajemnie się psują." Jakkolwiek ten frazes Legouvé'go w całości jest paradoksem, w drugiéj swéj połowie zawiéra wiele prawdy. Zrobiłam w mojém życiu nieraz spostrzeżenie, że dziéwczęta z towarzystwa swoich rówieśniczek mało wynoszą pożytku i dlatego radziłabym matkom, aby córek swoich nie przyzwyczajały wyłącznie do towarzystwa koleżanek. Niech dorastająca i dorosła panna należy do towarzystwa w ogóle; niech ją interesują rozmowy starszych, niech w nich nawet bierze udział, byle zdania swego nie stawiała z arogancyją. Są domy, w których panny ze swojemi młodemi gośćmi zawsze są gdzieś na uboczu, nigdy razem ze starszymi; stąd wszelkie kwestyje poważniejsze, jakie roztrząsane bywają w towarzystwie są dla nich—*nudziarstwem*. Towarzystwo starszych traci na tém, bo ożywienie i wesołość młodzieży usposabia je do dobrego humoru, ale bez porównania więcéj traci młodzież.

Dawniéj rozmowę starszych uważano dla młodzieży za szkołę życia i niezawodnie ona najlepiéj może rozwijać poglądy na życie praktyczne i na warunki bytu społeczeństwa, wśród którego się żyje. Młodzież dzisiejsza, mianowicie dziéwczęta, inaczéj się na to zapatrują. To téż dla nich sprawy krajowe — to *nudziarstwo*, polityka — *nudziarstwo*, handel, przemysł, gospodarstwo, sztuki piękne, literatura poważniejsza — *nudziarstwo*. Dzięki temu usposobieniu z kolei i rozmowa poważna z rodzicami *nudziarstwem* się staje, a panny za mąż wychodzące, w swych poglądach na świat i życie są do zdumienia naiwne. Ile traci na tém pożycie małżeńskie, ile stąd rozczarowań, za-

wodów, boleści — pojąć łatwo, tém bardziéj, że widzi się je codziennie.

Panny nudzą się śmiertelnie w towarzystwie starszych mianowicie kobiét. Jeszcze starszy mężczyzna, przeplatający rozmowę żartem, komplementem, podnoszący słówka i nadający im wartość wyjątkową, cierpiany jest przez panny; ale wyraz *starsze panie* oznacza nudy do niezniesienia. Jeżeli są śmiészne, przynajmniéj nażartować się z nich i naśmiać można, ale jeżeli są, broń Boże, poważne i rozumne, to już się od nich o sto mil ucieka.—„Uciekajmy! bo tam siedzą starsze panie."—„Takie tam były nudy, bo były tylko starsze panie."—Wiem, że panie starsze bywają czasem bardzo nudne; ależ nawet wtedy, gdy niemi nie są, panny żadnéj przyjemności w ich towarzystwie nie znajdują. To jest wadą wychowania. Jak trzeba dziécię przyzwyczajać do umiejętności odczuwania małych przyjemności, by się one składały na szczęście codzienne, zwyczajne, a jednak osładzające życie; tak trzeba się starać zainteresować je do wszystkiego. Rozwijanie umysłu za pomocą nauki o rzeczach, rozmów, czytania, powinno mu było dać tę żywość umysłu, który wybiega naprzeciw każdéj kwestyi i chętnie ją przyjmuje za osnowę swych myśli.

Jakże drogocennym przymiotem byłoby w dziéwczęciu tak łatwe zajmowanie się wszystkiém i czerpanie ze wszystkiego korzyści! Starajcie się przelać w córki wasze żywy interes do tego, co wykracza z granic czczéj paplaniny i plotek, a wchodzi w zakres doświadczenia, wiedzy życia, umiejętności jakiejkolwiek: wtedy *starsze panie* przestaną być postrachem dla młodych dziewcząt.

Co to za nieoszacowany dar ta żądza umysłu przyswajania sobie wiadomości pożytecznych! Rozmowa poważna, naukowa, literacka, zajmuje, kształci, uczy; ale dla tego, że się ją tylko co słyszało, nie należy pogardzać rozmową niedaleko widzącéj kobieciny, która ci będzie mówiła o gospodarstwie i dzieciach. Kwasi ona ogórki w pewien sposób wyborny, sobie tylko wiadomy; ale byle ją zachęcić, gotowa się z sekretu wygadać. Śmiejcie się, moje panny! Wszakże wam powiem, że i to jest interesujące, bo co w jakibądź sposób z życiem się łączy, nie

może dla człowieka być obojętne. Starajcie się tylko obudzić ku wszystkiemu ciekawość, a w każdym najskromniejszym człowieku znajdziecie coś takiego, co was zająć i nauczyć czegoś potrafi.

Ale i tu niestety! próżność staje na zawadzie. Trzebaż na coś wyższego pozować. Pospolite sprawy nudzą; potrzeba koniecznie jakiegoś pieprzyku towarzyskiego, jakiéjś areny dla swych przymiotów, hołdów młodzieży męskiéj, popisu próżności przed towarzyszkami, czegoś, coby wykluczało to, co ma wartość bezwzględną, a miało wartość tylko przez podnoszenie nas samych w obliczu naszéj próżności.

Książka działa na wyobraźnią i dopiéro za jéj pośrednictwem wpływa na charakter. Jest to najsubtelniejszy pokarm, jaki się dostaje do naszego umysłu. Dzieło fantazyi, powieść, jest niby obrazem życia, a przynajmniéj życie zawsze za wzór bierze i jakkolwiek nadzwyczajne wymyśla wypadki i sytuacyje, można przypuścić, iż życie nie ustępuje jéj w niczém co do różnorodności i grozy swych przejawów. Ale życie ma brutalną wymowę, ma nagość form, która rzadko pozwala oku na złudzenie. Widzimy jasno jego cienie i światła; półcienia zaś, albo osłonięte są tajemnicą, albo nam się zdają, gdy patrzymy na nie z punktu naszych przekonań, cieniem zupełnym lub zupełną jasnością. Do takiéj bezwzględności sądu młodość szczególniéj ma wielką pochopność. Są dla niéj aniołowie i szatany — pośrednich istot niéma. Wyrozumiałość — to pocieszycielka lat późniejszych, zbieramy ją, stąpając po cierniach życia, jeżeliśmy dobrze chodzić po nich umieli. Taka z jednéj strony surowość dla zła, z drugiéj uwielbienie dla dobra, jest przymiotem tak naturalnym młodości, że z nim walczyć byłoby zapoznaniem tych samych wpływów, jakiemi poiliśmy dziécię od piérwszéj chwili i jakie gruntowaliśmy w niém codziennie, składając mu ręce do modlitwy, okazując mu zachwyt dla dobra i piękna, a wstręt do występku.

Życie widziane zdaleka nie gorszy dziecięcia, chyba żeśmy atmosferą zepsucia oddychać mu kazali, ale fakt widziany w ca-

łéj swéj nagości, zachwyca je, lub przejmuje zgrozą. Człowiek, który zdradził przyjaciela, niedotrzymał przyrzeczeń narzeczonéj — to człowiek podły. Inny, który się poświęcił dla idei szlachetnéj — to godzien uwielbienia bohatér. Im postępek brzydszym lub piękniejszym przedstawia się młodemu, tém potępienie lub pochwała jest wyraźniejsza. Nawet w tych razach, w których postępowanie bliźniego mogłoby dla wytrawnego umysłu przedstawiać niejakie wątpliwości, co do kierujących nim pobudek, więc co do rzeczywistéj wartości człowieka; dla młodéj dziewczęcéj duszy jest zawsze złém lub dobrém, bo nie zna ona jeszcze żadnych dróg wymijających, pobocznych, żadnych składanych pojęć w sprawach dotyczących moralności.

Zdarzyło mi się słyszéć w towarzystwie bardzo wyraźnie występujące posądzenia względem młodéj, światowéj kobiéty. — „O to nieprawda! — zawołała, przysłuchująca się rozmowie młoda panna—ja codziennie widuję ją w kościele" — a w głosie jéj zawdźwięczała wiara, z najgłębszego przekonania płynąca Dziéwczę nie mogło przypuścić, by osoba, codziennie uczęszczająca do przybytku bożego, mogła źle postępować, lub kłamać. Wiele osób rozśmieszył ten dowód, dający wymowne świadectwo o niewinności dziewczyny; lecz znaleźli się i tacy, co na nią spojrzeli z rozrzewnieniem, przypominając sobie własne lata młodości, lata wiary w szlachetną ludzką naturę. Jeżeli więc zgodzimy się na to, iż życie, widziane zdaleka, rzadko kiedy zgorszyć może dziéwczę do zepsucia wychowaniem nie przygotowane; to musimy przyznać, że sama treść powieści opowiedziana po prostu, sam fakt życiowy w niéj zawarty, rzadko kiedy mógłby źle wpłynąć na charakter, dorastającéj, czy dorosłéj panny. Skądże więc taka obawa złych książek, takie na nie napadanie moralistów? — Bo nie treść sama książki wywiéra wpływ szkodliwy, ale sposób, w jaki ją autor naszéj wyobraźni przedstawia. W tém właśnie tkwi zło i zaraza, choć jakże mało matek to pojmuje! — Kontrolując książkę, którą mają podać dziewczęciu, szukają tego jedynie, czy treść nie przedstawia obrazów nieprzyzwoitych, zmysłowych. Chętnie się zgadzam na klątwę rzuconą na wszystkie zbyt jaskrawe, a podniecające wyobraźnią i zmysły, obrazy. Ale żądać należy od

matek głębszego zastanowienia, osądzenia ducha, nie formy. Często autor tak występek przedstawia, iż go rzeczywiście czyni nienawistnym i wstrętnym i wtedy nas utwór nie gorszy; ale gdy nam go podaje okrytym kwiatami uczuć, paradoksalnych usprawiedliwiań; wytępia w nas właśnie tę świętą młodości surowość, czyni nas miękkimi wobec pokus, uczy zawiérania z własném sumieniem wygodnych tranzakcyj, dopasowywania jego wymagań do naszych zachcianek, rozluźnienia tęgości tych zapór moralnych, które bronią złemu przystępu.

Jest jeszcze innego rodzaju wpływ, jaki zła książka wywywiéra, mianowicie gdy życie w fałszywych barwach przedstawia. Na taki wpływ dziéwczęta najbardziéj są narażone, bo często książka nie zawiérająca w sobie nic gorszącego, zawiéra potężną dozę tych barw zwodniczych, które porównane z życiem, jakie nas otacza, czynią je mdłém, niezajmującém, niedorastającém do miary naszych pragnień i rzekoméj idealności i anielskości naszéj duszy. Młoda osoba, po przeczytaniu takiéj książki, czuje się osamotnioną w rodzinie, stworzoną do innego życia; nie umié się już zadowolić tém, co posiada i od zwykłych, dawniéj chętnie spełnianych zajęć i obowiązków, wybiega myślą ku idealnym światom, których atrakcyja odciąga ją od trzeźwéj pracy rodzinnéj.

Jakże często spotyka się młode osoby, tak wytrącone ze zwykłéj kolei żywota, przez świat powieściowy Jerzych Sand'ów, Balza'ców i t. p. Czasem najpiękniejsza pod względem artystycznym i literackim powieść nosi na sobie piętno bajronizmu, tak łatwo wnikającego do młodéj duszy. Nasza literatura powieściowa nie wiele posiada niemoralnych książek; jednak zważywszy, jaki wpływ na młodą wyobraźnię mieć mogą, powiem, że ton sarkastyczny i sceptyczny, jakim niektórzy nowsi przemawiają pisarze, przytępiać może w młodych czytelniczkach czysty zmysł poetyczny i podnioślejsze aspiracyje; a jeżeli zbytnie podniecenie wyobraźni jest szkodliwe, realizm powieściowy nie jest téż stworzony dla młodych dziéwcząt. Nastrój autora udziela się czytającéj dzieweczce; czuje się naraz odartą ze złudzeń młodości, z jakiemi patrzała na życie, a to odarcie, jest tém szkodli-

wsze, iż nie przychodzi z własnego doświadczenia, ale niejako narzuconém zostaje.

Tyle jest rzeczy pięknych, czystych, zdrowych do czytania, że matka może być wymagającą, wybredną nawet w wyborze.

Z rad praktycznych w tym przedmiocie podam tylko jednę: książki, którą uznamy za niewłaściwą dla naszéj córki, nie należy nigdy zostawiać nieschowanéj. Nie każda dziewczyna jest niepohamowaną w swéj ciekawości, ale są i takie, których na pokuszenie nie należy wystawiać.

Czy potrzeba dowodzić, że zamiłowanie do czytania poważnego, naukowego, jest nieocenionym na całe życie nabytkiem? Do takiego zamiłowania można dziéwczę przygotowywać powoli, prawie od dzieciństwa. Wielu uczonych w dziełach swych stara się o tak przystępną formę, że ta, nawet mniéj rozwiniętym umysłom, zrozumienie treści ułatwia. Byle więc poszukać, można i dla dzieci znaleźć dzieła naukowe, a jednak dostępne i zajmujące. Najłatwiéj téż zaprawić dorastające dziéwczę do zamaskowania w przedmiotach poważnéj treści przez wspólne z niém czytanie. To zamiłowanie, szczególniéj w późniejszém życiu wyda owoce zbawienne. Nad czytaniem matka rozciągnąć może kontrolę i uczynić je posilném, a nie szkodliwém dla ducha; gdy jednak panna zostanie mężatką, może łatwo, jako młoda i niedoświadczona, przez czytanie złych książek zejść na błędne manowce. Balzac, ten znawca serc ludzkich, zwłaszcza niewieścich, wytrwale w swych powieściach przeprowadza typ młodéj kobiéty, zepsutéj przez świat, która, po kilku latach małżeństwa, ogląda się za nową miłością — gdyż jest dojrzałą już do namiętności. Wyznać należy, że jest wiele prawdy w tém spostrzeżeniu francuskiego pisarza. Lecz co ową dojrzałość sprowadza? Zapewne, że oprócz powodów, tkwiących w życiu samém, iż obok braku religii, pracy i obowiązkowości, jedną z najczęstszych przyczyn jest jeszcze czytanie niemoralnych, a wykończonych artystycznie powieści. Namiętność jest w nich przedstawiona w sposób poetyczny, egzaltowany, wzniosły, rozbudzający wyobraźnią, poruszający jakieś instynkta dotąd zostające w letargu, okazujący owoc zakazany w świetle powabném, wobec którego małżeństwo wydaje się zimnym związkiem, przy-

kuwającym lodowemi kajdanami obowiązku. Za wyobraźnią idzie często uczucie — i oto jedna więcéj nieszczęśliwa istota, wybiegająca sercem poza progi rodziny; jeden więcéj dramat rozgrywający się w piersi ludzkiéj, rozwiązany jeszcze pomyślnie, jeżeli tylko jednę istotę pozbawił szczęścia i spokoju.

Matka, która wpoiła w córkę zamiłowanie poważnego czytania, rzuciła może pod jéj stopy deskę zbawienia, mającą ją uchronić od prądu zgubnéj namiętności.

Jest to fałszywe i zgubne mniemanie, że mężatka już wszystko czytać może. Dla wyobraźni mężatki, zwłaszcza młodéj, potrzebny jest równie, jak dla panny, kordon sanitarny. Przynajmniéj z rąk matki nie powinna nigdy otrzymywać książki niemoralnéj.

Ci, co okiem badawczém spoglądają na dojrzewanie wewnętrzne człowieka, uważają, że chwila przejścia od dzieciństwa do epoki młodości jest stanem wyjątkowego spotęgowania się serca i umysłu, w któréj przebudza się to wszystko, co jest najszlachetniejszém w naturze ludzkiéj; słowem jest chwilą, w któréj życie pełnym kwiatem wystrzela.

Być widzem takiego budzenia się indywidualizmu i wkraczania w najpiękniejszą, najbogatszą i najniebezpieczniejszą epokę życia, a do tego być matką — jest to zaprawdę wzruszającém do głębi.

Serce matki szczególniéj drży, gdy idzie o córkę.

Syn? Ależ przed nim świat stoi otworem, może do każdych drzwi, do każdego serca zapukać, walczyć i zdobywać i byle moralnie nie upadł zbyt nisko — podnieść się może z każdego upadku.

Świat otacza wyrozumiałością niektóre z jego postępków, pozwala mu na dłuższą młodość, zatém na dłuższą epokę bezobowiązkowości i doświadczenie życia. Matka boi się wprawdzie o niego, ale nie czuje ciążącéj na sobie odpowiedzialności za jego czyny, jako dojrzałego sercem i umysłem człowieka; wreszcie, jako kobiéta, nie mogąc we własném życiu odnaleźć tego

psychologicznego procesu, jaki się w uczuciach syna dopełnia, nie jest wstanie także i całéj jego doniosłości zrozumiéć.

Lecz córka? Matka pamięta jeszcze ów stan własnéj duszy, dla którego określenia zapożyczę się u pani Necker de Saussure: — „Niema dla dziéwczęcia dorastającego nic zupełnie nowego, a jednak wszystko oddziaływa na nią w sposób inny, niż dawniéj. Te same przedmioty mogą ją zajmować, te same obrazy mogą się w jéj myśli zarysowywać, a przecież wywiérają silniejsze na nią wrażenia. Słowa mają znaczenie głębsze i silniéj ją wzruszają. Wyrazy, które byłaby dawniéj wymówiła bez namysłu, zatrzymują się na jéj ustach i jéj wyrażenia są często o tyle obojętne, o ile uczucia są żywsze. W ten sposób powstaje to umiarkowanie, ten spokój, który towarzyszy godności dziewiczéj. Co dawniéj było skutkiem wychowania, dziś staje się objawem jéj natury i nieznacznie ideał kobiéty urzeczywistniać się w niéj zaczyna."

Wdzięk niebezpieczeństwa tego nowego stanu duszy, to zdolność uwielbiania i kochania, która się prawie nadmiernie rozwija. Wspaniałość przyrody większe na dziewicy wywiéra wrażenie i głębsza sympatyja dla przyjemności i smutków cudzych wzrusza jéj serce. Każde z jéj ukochań staje się tkliwszém; imiona córki, przyjaciółki, siostry są jéj droższe; poświęcenie staje się dla niéj potrzebą. Z tego połączenia uczuć rodzi się rodzaj poezyi wewnętrznéj — cichy hymn, którego tajemnica zdradza się tylko w spojrzeniu.

Co z tą uroczą poezyją młodości uczyni życie? Czy dziéwczę na wylanie tego nadmiaru uczuć, przepełniającego jéj serce znajdzie upust w cichym świecie własnéj rodziny? Jakim będzie ten świat, a przede wszystkiém człowiek, który ją weń wprowadzi? Matka o to wszystko zapytuje siebie, cierpi wewnętrznie, i często w jéj obejściu, sposobie postępowania z córką przebija niecierpliwość, nietaktowność, wywoływana pragnieniem uposażenia dziéwczęcia kilkonastoletniego w pięćdziesięcioletnie doświadczenie.

Z takiego stósunku wyradza się nieufność z jednéj, rozdrażnienie z drugiéj strony i wpływ matki, tak ważny w téj epoce, staje się raczéj szkodliwym, niż dobroczynnym. Ogrodnik

nic nie może uczynić dla rozwijającego się pączka i musi czekać cierpliwie chwili, którą przyroda na rozkwit przeznaczyła; zasłania więc go tylko przed wiatrem i zimnem, daje podporę przeciwko burzy, ocienia przed zbytnim żarem słonecznym. Matka też niech pilnie nad tém czuwa, by w epoce, poczynającego się rozkwitu nie zabrakło córce takiéj osłony i podpory, przeciw wszystkim błędom wyobraźni i uczuciom, szukającym ujścia dla siebie, a którą dla niéj najskuteczniejszą znajdzie w nauce i pracy, jeżeli do nich wdrożoną poprzedniém wychowaniem została.

Nadto matka dla córki dorastającéj jest uosobieniem doświadczenia, jakby sumą tych wszystkich nieujętych i rozrzuconych wartości życiowych, które powolnie i niedostrzeżenie wnikają w jéj serce umysł. Matka zatém w swych czynach, słowach, obejściu się, powinna być uosobieniem prawdy życia, nieodwołalnéj, logicznéj, konsekwentnéj; ale powinna być jéj obrazem żywym, to jest przedstawiać ją córce w każdéj chwili życiem własném, a nie przygotowanym i do okoliczności stósowanym morałem.

Młodość ma wstręt do doświadczenia starszych, obleczonego tylko w martwą szatę słowa. Szczególniéj w owéj epoce przejściowéj jest ona niesłychanie drażliwą i przed narzucającą się radą zimnego doświadczenia zamyka się w sobie i zwija listki, jak roślina *czułkiem* zwana, która cierpi za każdém dotknięciem.

Spojrzyjmy na dorastającą panienkę. Lada słowo, lada wejrzenie, lada uśmiech, a oblicze jéj staje w płomieniach; nasz *czułek* zwija listki. Powiadają, że są ptaszyny opuszczające gniazdko i nigdy już do niego nie wracające, skoro tylko oko ludzkie zajrzało w jego zaciszną kryjówkę. Taką niedyskrecyją, płoszącą nazawsze ufność i otwartość dziéwczęcia, jest chęć matki, ciągłego kierowania jéj uczuciami. Każdy stan wyjątkowy ducha, jeżeli nie poniża człowieka, godzien jest poszanowania i matka przeradzanie się indywidualności córki również szanować powinna, nie gwałcąc jéj nadużyciem rodzicielskiéj władzy i zważając bacznie, gdzie się kończą prawa téj władzy, a zaczynają prawa indywidualności dziécięcéj. Delikatność

uczuć matki, powinna się dostroić do owéj przejściowéj drażliwości uczuć córki. Niech matka nie zauważa czasem jéj rumieńca, niech oszczędza dającą się łatwo podrażnić jéj miłość własną i zawsze przeciwstawia niepokojom, budzącéj się młodości, spokój własny, nieskazitelność życia, dobroć szlachetną i rozsądną i stałość, zdobytych trudami życia, przekonań.

Jeżeli matka nie jest pewna, jakie uczynią jéj słowa na córce wrażenie, niech ich lepiéj nie wypowiada. Jest to wiek, w którym jedno słowo tak głęboko w serce zapada, że niekiedy pozostaje tam na całe życie. My starsi, ostudzeni tysiącem rozczarowań, doświadczeń i przejść życiowych, często dotkliwie odcierpiéć musimy lekkie zadraśnięcia uczuć naszych; umiejmyż oszczędzać młodzieńczego wieku uczucia, stokroć drażliwsze, bo podniecone bujną wyobraźnią i krewkością.

Byłoby do życzenia, by dziéwczę nie pokochało w téj epoce życia. Panny starsze rozumują i, nim pokochają, mogą ocenić przymioty mężczyzny; młodsza przeciwnie, kocha, bo kocha, a taka miłość często jest początkiem nieszczęścia całego życia. Jak wybór powołania, tak i wybór męża nie powinien być narzucany córce przez rodziców; niechże więc go uczyni wtenczas, gdy dojrzałość umysłu daje już rękojmią, że się nie pomyli w wyborze. Dawniéj rodzice zwykle wybierali męża i córka przyjmowała tego, kogo dać jéj chcieli. Dziś wybiéra sama; czy przeto rola rodziców zupełnie bierną ma pozostać? Stanowić despotycznie — nie mogą; ale mają prawo oddziaływać na jéj serce i umysł, wspiérając ją doświadczeniem i radą o tyle, o ile zdołali ją natchnąć ufnością i wiarą ku sobie. Szczególniéj zaś z tego wpływu należy im korzystać, gdy idzie o uratowanie i osłonięcie dziecka przed miłością upokarzającą, przed niebezpieczeństwem oddania ręki człowiekowi niegodnemu jéj serca, zwłaszcza, gdy wiedzą, że ten może zdeptać najświętsze jéj uczucia i zwichnąć przyszłość jéj dzieci.

Jeżeli jednak sami rodzice, zapominając o swych obowiązkach, sprzedają córkę dla zapewnienia jéj materyjalnego bytu?... Wtedy popełniają grzech, nie tylko przeciw cnocie, prawdzie i moralności, ale i ze względu na szczęście córki.

Dobrobyt ma niezaprzeczoną wartość, ale wtedy jedynie, gdy się łączy ze względami moralnemi, gdy służy za środek do uszlachetnienia i wyzwolenia ducha, a nie uczynienia z niego niewolnika bogactw i próżności. Niech więc rodzice przy wyborze męża dla córki kładą na szali przymioty moralne, do których przede wszystkiém zaliczyć należy umiejętność pracy i specyjalne uzdolnienie, które zabezpiecza od nędzy. Kobiéta usposobiona wychowaniem do zamiłowania życia obowiązkowego, będzie się czuła szczęśliwą przy boku człowieka kochającego i ukochanego, choćby nawet nie otoczył jéj zbytkiem i zapewniał tylko skromny dobrobyt.

Wszyscy myśliciele, badający przyczynę zmniejszającéj się liczby małżeństw, za jednę z nich uznają zbytnie wymagania kobiét, nie pozwalające mężczyznom na zakładanie rodzinnego ogniska. — „Nie mogę pozwolić sobie tego zbytku — mówi nie jeden. — „Moje dochody, wystarczałyby zaledwo na toaletę żony.“—Gdy się spojrzy na życie nie jednéj z kobiét naszych, widzi się, że żona częstokroć bywa rzeczywiście *kosztownym zbytkiem*. Matka, któraby dała córce przygotowanie do życia pracowitego i skromnych wymagań, ułatwiłaby jéj znalezienie człowieka, mogącego jéj szczęście zapewnić, a któryby się na małżeństwo odważył, gdyby widział, że jego skromne mienie wybranéj szczęście zapewni.

Nie lekceważmy miłości, jako piérwszego warunku związków małżeńskich. Bóg, dając ją ludziom, chciał, by na jéj podstawie wznosiła się rodzina. Żadne inne uczucia zastąpić jéj nie mogą, a najmniéj umiłowanie w człowieku jego dostatków.

O ile tylko można, niech dziéwczę w domu rodzicielskim, widuje takich ludzi, którym serce oddaćby mogło, bez upokorzenia wypiastowanych w duszy ideałów dobra i cnoty. Młode uczucia i wyobraźnia błądzą łatwo i rodzice, którzy dom swój starają się oczyścić z młodzieży próżniaczéj i zepsutéj, nietylko synów strzegą od złego przykładu, ale i córki od upokarzającéj miłości.

Tylko miłość na szacunku oparta może szczęście zapewnić, tylko na takiéj podstawie można budować przyszłéj rodziny zawiązek. Miłość—według angielskiego poety—jest posiewem czynów szlachetnych; słońcem, w którém to wszystko, co zacne

dojrzewa. Ale tak działać może tylko miłość, która w niezłomnych przekonaniach czerpię swą siłę."

Życie jest sztuką trudną—mówi K. J. Weber;—małżeństwo jest najtrudniejszą i najbardziéj skomplikowaną jéj częścią. Kiedy życie pojedyńcze jest tak trudne, o wieleż trudniejszém być musi życie we dwoje! Dwoje ludzi, a jedno życie! Bo wszystko, co stanowi życie duszy, cierpienie i radość, nadzieja i zawody, trudy i nagrody, odczuwane wspólnie przez dwoje ludzi, czyż to się jedném nie nazywa życiem? A przecież dwie głowy, które myślą, dwa serca które czują, dwie różne natury i organizmy spotykają się i krzyżują w tysiącznych sprawach mniejszéj i większéj wagi."

Córka ani się domyśla tych trudności, wypływających z połączenia dwóch egzystencyj w jedno życie; lecz matka zna je dobrze i dla tego to małżeństwo córki, musi być dla niéj jedném z najcięższych przejść. Obawa, niepewność rozdzierają jéj serce; rozłączenie z córką, przeraża ją myślą osamotnienia; wszakże powinna nakazać milczenie własnym uczuciom, bo nie o nią tu idzie. Ona zostaje na uboczu. Spełniwszy zadanie, musi pozostać, jak roślina, która wydawszy ziarno, widzi je uniesione daleko od siebie; sama zaś ogołocona z liści, czeka zimy, która przyjdzie niebawem.

Czy matka może co dla szczęścia swéj córki uczynić, gdy ta już jest mężatką?

Mogła za pomocą wychowania położyć fundament przez danie jéj ograniczonych materyjalnych wymagań; przez uprawę serca do owego szczęścia wewnętrznego, którego burze życia naruszyć nie mogą; przez usposobienie do zamiłowania pracy i przyjętych na siebie obowiązków; mogła ze swego doświadczenia dać jéj dział taki, jaki córka przyjąć chciała i mogła;—ale wobec spełnionego faktu małżeństwa i po za niém występujących praw męża, matka jest bezsilną i musi bezczynną pozostać, ograniczając się do roli bardzo oględnéj doradczyni.

Są wyjątkowe i rzadkie bardzo wypadki, w których matka, zamieszkawszy u córki zamężnéj, może się do jéj pomyślności przyczynić. Ale jako zasadę ogólną postawić należy, że rodzice nie powinni stawiać się zależnymi od swych dzieci, zwłaszcza

przez zamieszkanie razem z niemi. Jeżeli życie we dwoje jest trudne, to we troje, lub czworo przedstawia jeszcze większe trudności.

Zięć lub synowa, ci przybysze w rodzinie, są obcy rodzicom duchem, charakterem, przyzwyczajeniami; naginanie się do nich byłoby dla rodziców przykrością i uwłaczaniem ich powadze. Widok znowu niezadowolenia rodziców, dla kochającéj córki lub syna, stanowi o nieszczęśliwém pożyciu: są bowiem przykrości które samemu znieść można; lecz wyrządzone rodzicom, stają się krzywdą, któréj darować nie jesteśmy w stanie.

Miłość, łącząca młode małżeństwo, młodość, łatwiéj naginająca się do wymagań nowego trybu, ułatwiają córce, czy synowi szkołę życia we dwoje; lecz obecność ciągła rodziców pozbawia małżonków koniecznego warunku: ułożenia do równowagi różnych żywiołów, jakie każde z nich do życia wspólnego z sobą przynosi.

Mała niecierpliwość męża wydaje się żonie nieszczęściem, jeżeli w rodzicach ma świadków. Matka nie zdaje sobie sprawy, że często jedno słówko czulsze, szepnięte przez męża do ucha córki, już jéj wynagrodziło wyrządzoną przykrość.

Matka nie wié, jaka siła tkwi w uczuciu jéj dzieci, które często w jedném spojrzeniu zawrzéć umié przebaczenie, lub gorącą prośbę o darowanie winy, i rozrania sobie serce macierzyńskie bolesném i długiém rozpamiętywaniem najmniéj znaczącego słówka, najbłahszego zdarzenia. Wesołość córki bierze za chęć oszczędzenia jéj widoku smutku, płynącego z zawiedzionego uczucia; stąd w ich stósunek zakrada się nieufność; zięć spostrzega w obejściu i wzroku matki naganę dla swych postępków: ta trzecia osoba przy ognisku, ten ciągły świadek jego czynności staje mu się ciężarem. Czuje się skrępowany tym wzrokiem badawczym matki, zazdrośnéj o szczęście córki i przez sam nadmiar uczucia skłonnéj do przesady i niesprawiedliwości. Córka często nie wié, komu przyznać ma słuszność— matce, czy mężowi? Mąż, w chwilach samotnych, umié bardzo wymownie usprawiedliwiać się, a matce przypisywać winę. W saméj rzeczy, staje się ona winną, bądź to przez zbytek uczucia, bądź przez niewyrozumiałość dla przybysza, który po-

siadł serce jéj córki. Bardzo często najrozumniejsza we własnéj rodzinie kobiéta staje się drażliwą przy ognisku, którego nie jest panią. Zarządzała domem własnym, gdzie wszystko stósowało się do niéj; dziś w domu córki bezczynność ją męczy i nudzi. Nie znając siebie, pragnęła spoczynku, bo się jéj zdawało, że można nagle porzucić zajęcia, do których zaprawiło ją życie i nie tęsknić za niemi.

Tak nagła zmiana stósunków pozbawia nieraz rodziców dotychczasowéj równowagi. Zdarzyło mi się widzieć nie jednokrotnie podobne wykolejenie rodzicielskich, już nie powiem uczuć, ale usposobienia, temperamentu, zwyczajów. Gdy się znaleźli w zależności od własnych dzieci, z ludzi pełnych taktu stawali się wymagający, obrażliwi — słowem trudni w pożyciu.

Zaledwie wspomnę tu o niewdzięczności dzieci. U włościan naszych spotyka się ona często. W klassie oświeceńszéj zło jest mniéj widoczne, rzadsze, lecz mówmy szczerze, i między nami spotykają się niewdzięczne dzieci i uczucie to rodzi się najczęściéj wtedy, gdy rodzice zdali się na ich łaskę.

Ojciec bywa lekceważony przez syna, u którego obrał mieszkanie; synowa tchnie czasem do teścia źle ukrywaną niechęcią. Rodzice więc, którzy zdali się na łaskę dzieci często cierpią—lecz nie o to tu chodzi. Oni, co gorsza, wnoszą w rodzinę uczucia mętne i niedobre; oni wnukom dają widok niewdzięczności synowskiéj.

Wnuczęta—te najmilsze dziadów pociechy—są często powodem nieukontentowania rodziców. Wady dzieci przypisują niewłaściwemu postępowaniu babki; dziadek je psuje, pozwala na wszystko; żeby nie te pieszczoty, dzieci byłyby anioły. Często jest w tém dużo prawdy; częściéj jednak zupełna niesprawiedliwość ze strony młodych małżonków, szukających tylko wymówki dla własnych błędów, popełnionych w wychowaniu dzieci i znajdujących ją gotową w podziale władzy z babką, lub dziadkiem wychowańców.

Przy wspólném życiu tyle jest sposobności rozmaitych niezadowoleniał Małżonkowie znoszą je, bo znosić je muszą; nadzieja przyszłości, dzieci, wspólność interesów—wszystko ich wiąże.

Po wązkiéj ścieżce idą, ująwszy się pod ręce, czując, że jednę do przebycia mają drogę. Kroki ich równe, życie pełne sił, postępują raźno i odważnie. Podążający za nimi ojciec lub matka, zmęczeni życiem nie mogą im nastarczyć. Nużą się drogą i ustają, a idący przodem czują się związani tymi towarzyszami. Serce im nakazuje zwolnienie kroku, życie popycha ich naprzód i obie strony czują nierówność sił, zmęczenie, wywołane potrzebą oglądania się wzajemnie na siebie.

Po moralnych, występują względy materyjalne. Rodzice dla dobra moralnego rodziny, powinni zapewnić sobie materyjalną niezależność życia.—„Dzieci dzisiejsze mają nieposkromioną żądzę otrzymania spadku po ojcu za jego życia; to jest: objąć po nim jego fabrykę, dom handlowy, kancelaryją, skoro tylko prawo im na to pozwoli. Dewizą prawie wszystkich synów jest pospolite, a tak okropne w swéj pospolitości wyrażenie:— „*Usuń się stąd niech ja wejdę*".*)

Nie zawsze i nie we wszystkich rodzinach, ale i u nas zdarza się owa niecierpliwość dzieci, spragnionych ujęcia we własne ręce mienia rodzicielskiego. Myśl, że rodzice wszystkiego dla swych następców wyrzecby się powinni, występuje w ich umyśle może niejasno i nieśmiało, niemniéj przecież powraca wytrwale. Ani się temu dziwmy. Młode siły pragną warsztatu do pracy, młode głowy przeceniają własną zdolność prowadzenia interesów, a niedość ufają umiejętności rodzicielskiéj. Dzieci dorosłe powiadają sobie, że wziąwszy majątek rodzicielski, otoczyliby rodziców wygodą i dostatkiem, szacunkiem i miłością—i byłoby błogo wszystkim, bo młode siły i zasoby umysłowe potrafiłyby majątek podwoić, dochody nieskończenie powiększyć.

Intencyje więc z początku są najlepsze i nie z winy dobrych chęci majątek w rękach niedoświadczonych przepada, lub dochód tak się umniejsza, że na wypłatę zadeklarowanego procentu rodzicom nie staje. Niech więc rodzice, jeżeli miłość dla dzieci nakłania ich do poświęceń, oddadzą im dobra ziemskie, fabrykę, dom handlowy, ale niech sobie zostawią potrzebny do życia ka-

*) E Legouvé: Ojcowie i dzieci w XIX wieku.

pitał, zabezpieczając go w obcych, a nie w rękach swych dzieci. Jeżeli dzieci potrzebują większego poświęcenia, niech rodzice ograniczą się więcéj, niech obszerniejsze mieszkanie na szczuplejsze zamienią, obiad zmniejszą o jednę potrawę, wreszcie swoje potrzeby zredukują do minimum; będzie to dla nich nie ofiarą, lecz zadowoleniem serdecznem. Ale niech zachowają kąt własny, choćby najskromniejszy, najciaśniejszy. Niech nie zdają się na łaskę zięciów i synowych, a nawet synów i córek. Niech w ich rękach nie umieszczają fortunki, jaką sobie zostawili. Legouvé, z wielką trafnością tłómaczy powód zasady powyższéj. Posłuchajmy słów jego:—„Dożywotnia pensyja, tém samém, że jest trwałą, staje się powoli, dla płacącego, powodem do rozdrażnienia, chociażby dla tego, że się jednostajnie powtarza. Po upływie pewnego przeciągu czasu, pensyja rodzicielska traci w oczach dzieci charakter długu, a przyjmuje charakter darowizny. W końcu sprzykrzy się im ciągle ją dawać. Co się zaś stanie, gdy przy przy złym obrocie interesów wypłata zacznie być męczarnią; gdy pochłonięty lub zmniejszony kapitał, zmieni obowiązkową wypłatę w ofiarę? Wtedy następują opóźnienia, prośby o umorzenie, przy każdém nadejściu nowego kwartału: — *Jakto już?* — zapytują w końcu zdziwieni, bo nic bardziéj nie skraca czasu, jak termin wypłaty".

Gdyby rodzice narażali tylko siebie, nie należałoby może im doradzać takiéj oględności; ale narażają oni swój stósunek moralny do dzieci, budząc w ich sercach mniéj szlachetne uczucia. Jeżeli przeto miłość rodziców doradza im oddanie dzieciom więcéj, niż zostawiają dla siebie, zgoda; niech im oddadzą wszystko, co przekracza miarę najskromniejszego życia; ale niech oddawszy pałace, jeżeli je mieli, zostawią sobie żółwią skorupę dla zaspokojenia swéj starości, swoich przyzwyczajeń, nałogów, upodobań i wygód.

Oto reguła ogólna.

Wyjątki od niéj muszą być liczne — nie przeczę. Ubogie rodziny muszą najczęściéj całe przy jednym warsztacie pracy się gromadzić. Pracują tam nietylko dzieci, ale i rodzice i wspólność pracy zbliża wszystkich i skupia. Stara matka pilnuje wnuków i gospodarstwa, podczas gdy córka zarabia na życie pracą po-

zadomową. Stary ojciec wnosi do rodziny małą emerytalną pensyją, która jest jedynym stałym dochodem wszystkich, lub zarabia jakimkolwiek innym sposobem. Bywają tam kłótnie i swary, ale nerwy ciężko pracujących ludzi są wytrzymalsze; małe burze nie stanowią nieszczęścia i pogoda po nich nastaje; wreszcie rodzice żadnych żalów w sercu nie żywią, nic dzieciom nie dali, ciężka praca utrzymywała ich w zależności przez całe życie, niezależności zatém nie utracili. Wiąże ich z dziećmi wspólny interes, niéma tam mowy o dożywotnich wypłatach, wszyscy czerpią ze wspólnéj kassy; praca zabija subtelności, sentymentalizmy; nie pozwala na ważenie każdego słowa na szali wyrafinowanéj delikatności.

Wyjątek stanowi rzadki dobór charakterów, które rozkosz, nie trud, we wspólném życiu znajdują. Bywają idealni zięciowie, synowe lepsze od córek, tak jak bywają zjawiska nadzwyczajne, zdarzające się raz w przeciągu wieku całego.

Rodzice więc spełnili już wszystko, gdy córki za mąż wydali, a synów wyposażyli? Więc należy im tylko pod brzemieniem wieku schylać się coraz więcéj ku ziemi, w któréj znajdą wieczny spoczynek? U nas większa część rodziców tak się zapatruje na resztki życia swojego. Pozwalają starości zapanować nad sobą, nad ciałem, nad uczuciami, pędzą życie bezczynne, schodzą w pełni sił z pola życiowéj pracy, zasklepiają się w sobie, wygasają powoli w uczuciach i pozwalają duszy umrzéć przed ciałem.

A jednak i starość ma swoje do spełnienia zadanie. Bóg nie mógł jéj uczynić bezpłodną, obdarzając ją skarbem doświadczenia, wytrwałego sądu i beznamiętnych poglądów.

By korzystać z tych darów trzeba podtrzymywać w sobie ogień żywotny, potrzeba umiéć kochać, nietylko siebie jedynie. Ludzie, oddający się z zamiłowaniem jakiéjbądź pracy społecznéj nie mają starości. Śmierć zastaje ich na stanowisku. Pijus IX z całą przytomnością władz umysłowych zstąpił do grobu, otoczony błogosławieństwy świata; Thiers umiéra, wywiązując się chlubnie do końca z położonego w nim zaufania narodu; Maryja

Carpentier, w późnym już wieku, odbyła podróż do Indyj dla urządzania tam dobroczynnych zakładów; Moltke'go plany dają narodowi zwycięstwo; D'Izraeli, na schyłku dni swoich schwycił ster rządu żelazną prawicą; Hugo tworzy z uczuciem młodzieńca; Kraszewski z coraz bogatszą fantazyją wskrzesza przeddziejowe i młodociane życie narodu, hojną do zdumienia ręką kréśli obrazki społeczne, zasila wszystkie pisma i żadna struna w nas nie zadrga, któraby nie znalazła pierwéj w jego sercu oddźwięku.

My zaś, po latach pięćdziesięciu, zaczynamy się uważać za starych i rozpoczynamy okres wegetacyjnego istnienia. Czynimy się starymi z upodobaniem, choć jeszcze nie jesteśmy nimi w rzeczywistości, a przecież gdy się chce, można ze starością walczyć długo, nim ona w końcu, jako zwycięzca, w progi nasze zawita. Stary żołnierz trzyma się prosto, chociaż już w szeregu nie staje: przyzwyczajenie strzeże jego ciało od przygarbienia starości. Takiém przyzwyczajeniem w świecie moralnym — jest praca. Byle się z nią zrosnąć i rąk od niéj nie odrywać, zostanie ona najmilszą towarzyszką starości, jak była młodości piastunką. Dzieci mają zapał, energiją, rodzice zimną krew i doświadczenie; szanse są więc prawie równe i dla tego ci, co wcześnie schodzą na nieprodukujących członków społeczeństwa, są godnymi politowania, są to przed śmiercią—umarli.

Na to, by zgrzybiałość była świadectwem dobrego życia, by wzbudzała cześć i szacunek, by ją otaczała aureola zasługi, tryskająca jeszcze niezgasłém światłem i żywym prądem przykładu; trzeba, by starość nie usuwała się z koła żyjących i nie porzucała pracy.

Rodzice, wyposażając dzieci, mogą być jeszcze w pełni sił. Choć włos ich przypruszyła siwizna, a czoło poorały zmarszczki, młodość wewnętrzna może jeszcze nie być wygasła i to wczesne układanie się z upodobaniem do spoczynku znamionuje słabość charakteru i fałszywe ocenienie szczęścia, upatrywanego nie w pracy, lecz w bezczynności. Rodzice mają obowiązki względem siebie, względem społeczeństwa, mają je też do końca życia względem swych dzieci.

Człowiek do śmierci uczy się i kształci; do śmierci odczuwać jest wstanie wpływ innéj osobistości, a gdy wpływ ten po-

chodzi od rodziców, gdy przewodniczy mu miłość dziécięca, jakże do końca wielkim, jak potężnym być może! Lecz nie trzeba pozwalać sobie porastać skorupą bezczynności. Nietylko bowiem umysł i ciało odczuwają rdzę próżniactwa, ale i charakter, poglądy zatracają pod nią wszelką żywotność i, jak słońce za chmurami ginie dla naszego wzroku, tak prąd żywego wpływu rodziców rozkłada się w ich bezczynności. Dzieci kochają ich, ale to uczucie jest podobne do tego, jakie żywi matka dla niemowlęcia; jest połączone z litością dla słabości. Dzieci dorosłe mimowoli odczuwają, że odpoczywający rodzice odeszli przed wieczorem, nie dożąwszy zagona i mają ich za robotników opieszałych. Nie ufają im, gdy mówią o życiu, które jest walką i pracą. Jest to nietylko naturalny wynik martwoty słów, którym przykład nie towarzyszy, nie tylko nieufność do teoryi nie zastósowanéj w praktyce, ale słuszne niedowierzanie poglądom ludzi, wykolejonych z dotychczasowego życia, którzy sami wytrącili sobie z rąk kierunek pracy. Gdy tego kierunku zabraknie życiu pędzonemu czynnie, wszystko w wyobrażeniach i usposobieniu wykrzywia się, bo poczucie w sobie siły, bez możności lub chęci jéj użycia, sprowadza wewnętrzne bankructwo i utratę równowagi.

Jeżeli więc rodzice nie są jeszcze zgrzybiali, lub niedołężni zupełnie, niech nie ustają w pracy, czy ona jest zarobkowaniem na byt własny, czy jakimbądź społeczném zajęciem. Tym tylko sposobem utrzymają wpływ na swe dorosłe dzieci, nie przez wymaganie bezwzględnego posłuszeństwa, lecz oddziaływanie doświadczenia, wytrwałości, indywidualnych przymiotów i miłości. A jakże często oddziaływanie to potrzebne jest dzieciom; jak w każdém niebezpieczeństwie, nieszczęściu, niepowodzeniu, zawodach — zwracają one wzrok ku rodzicom! Nie jedna matka pogodziła córkę swoję, poważnioną z mężem, nie jeden ojciec dał dzieciom radę skuteczną w chwilach niepowodzenia. Dla wnuków dom patryjarchalny dziadków bywa szkołą życia. Nie raz we wspomnieniu zostaje im nazawsze pamięć dziadka, otoczonego szacunkiem i niosącego jeszcze dań pracy społeczeństwu i rodzinie; obraz babki, pełnéj młodzieńczości uczuć pod znękaną laty i życiem powłoką, zapominającéj o dolegliwościach starości,

garnącéj do swego serca wszystkich, którym służyć może. Każdy dom, do którego ta para starców wchodzi, uczuwa jakby spływające błogosławieństwo boże. Miłość ich dzieci łączy się z czcią, najgłębszą. Ci starcowie, trwający na placówce obowiązku, to relikwije. Samo zbliżenie się do nich ulepsza i uzacnia; a gdy wreszcie niemoc zgrzybiałości uczyni ich niezdolnymi zupełnie, wówczas mogą pozwolić dzieciom otoczyć swą słabość silném ramieniem i dać im uczuć szczęście pielęgnowania podeszłych lat rodzicielskich. Dzieci te same już są ojcami i matkami; ich uczucia przeszły owo wielkie przetworzenie rodzicielstwa, które nazwaćby można—odkupieniem miłości.

Zgrzybiali wreszcie rodzice są znikającemi cieniami. Oni już odchodzą. Każdy dzień ich pobytu na ziemi jest darowany. Ich siwiejące dzieci starają się podtrzymywać gasnące życie. Jest to jakby chwila pożegnania tém droższa, że ostatnia. — Starość niesamolubna niesie w sobie naukę, niesie ją i zgrzybiałość, wzbudzająca cześć i będąca żywą przestrogą, że każda młodość w nią się kiedyś zamieni, jeżeli nie zniknie przed czasem i wtedy życie tylko tyle będzie warte, o ile było pożyteczne i dobre.

Sama śmierć ma swoję wymowę i naukę.— „Nauczę mego syna umiérać"—mówi idealny ojciec Legouvé'go.

Zbliżenie się rodziców w podeszłém wieku do grobu, owo *zasypianie w Bogu*, rzuca w duszę żyjących wielkie i głębokie myśli. Śmierć cnotliwego zachęca do cnoty. Rodzice wydarci są dzieciom, ale ich pamięć żyje pośród nich i często, w godzinie wahania się między dobrem a złem, ku piérwszemu zachwiane ich kroki kieruje.

Przykład więc i cnota rodziców i z poza grobu przemawiają jeszcze do serca ich dzieci.

ROZDZIAŁ XVII.

Ogólny sposób nauczania. Nauka rysunku. Nauka czytania i pisania. Nauka języka ojczystego. Języki obce. Nauka rachunków. Nauki przyrodzone. Geografija. Historyja.

Wychowawca, przystępujący do kształcenia umysłu wychowańca, przede wszystkiém powinien sobie jasno zdać sprawę z tego, czém jest umysł ludzki, jakie są drogi, które przebyć musi w swoim rozwoju i jakie prawa zaznaczyła natura dla jego postępu.

Jakkolwiek trudno zakreślić granice tego rozwoju, „sztuka w swém działaniu musi się liczyć z owemi przyrodzonemi prawami. Drogi natury, czyli forma rozwoju, jakiéj poddany jest umysł, sama w sobie jest niewzruszona i wieczna i dla sztuki, jaką jest wychowanie, musi być pierwowzorem".*) Badając owę nieomylną mistrzynią, widzimy, że zmysły są pośrednikami, za pomocą których otrzymujemy wrażenia, składające w umyśle naszym obrazy, z których dopiéro wysnuwają się pojęcia. Dziécię od piérwszych chwil prawie wytęża słuch i wzrok, wyciąga ręce, by dotknąć wszystkiego, co widzi. Zmysły jego budzą się piérwsze i wpływ natury na nie przyczynia się do dobrego umysłowego rozwoju. Powoli z pojęć prostych, powstają pojęcia złożone, ale „umysł nie może posiadać nic, coby nie było podaném mu początkowo przez zmysły."**)

---

*) Pestalozzi. Wie Gertrud ihre Kinder lehrt.

**) Schumann, Leitfaden der Pädagogik.

W swojém więc rozwijaniu się nienaturalném, w swéj własnéj, nie kierowanéj przez nikogo prac umysłowéj, dziecko postępuje bezwiednie sposobem—*indukcyjnym*. Od obserwacyi częściowéj i wyobrażeń przechodzi do pojęć coraz więcéj złożonych, jakie swą inteligencyją ogarnąć może.

Człowiek, zdobywający jakąkolwiek wiedzę, nie inaczéj ją zdobywa, jak tylko ze spostrzeżeń doraźnych, tworząc sobie późniéj teoryją naukową. Abstrakcyja wszelka musi nastąpić dopiéro, jako wynik badań częściowych. Gramatyka tylko na podstawie praktyki językowéj się tworzy; filozofiją musiało uprzedzić życie, musiała uprzedzić historyja; śpiéwano i grano przed utworzeniem kontrapunktu i harmonii; geografija dla piérwszego człowieka była tylko znajomością najbliższych okolic i dopiéro zwolna ludzie zbudowali tę ogromną naukę, która nam ziemię w jéj całokształcie, jak i w najdrobniejszych szczegółach opisuje.

Tylko więc za pomocą indukcyi ludzkość krok za krokiem zdobywała sobie wiedzę, w jaką dzisiaj jest tak bogatą. I ona, jak dziécię od kolébki poczynając, szła ową przez naturę wyznaczoną drogą, bo zarówno postęp jednostki, jak i społeczeństw, tym samym podlegać musi prawom. I „jakkolwiek świat w ogóle ciągle idzie naprzód, młodzież musi zawsze od początku zaczynać i człowiek, jako indywiduum, musi przebiedz wszystkie epoki postępu.“ *)

Wskazówki więc z życia i natury czerpane, doprowadziły myślicieli pedagogów do wniosku, że tylko za pomocą metody indukcyjnéj podawana nauka może być zgodna z przyrodzonym rozwojem umysłu ludzkiego; że zdobywanie praktyki przed teoryją, obserwowanie pojedyńczych zjawisk przed teoretycznym wykładem przyczyn, doświadczenia empiryczne przed uogólnianiem ich za pomocą sformułowanego prawa — jest najwłaściwszym sposobem postępowania z młodocianym umysłem. Światło indukcyi, przyświecające ludzkości w jéj cywilizacyjnym pochodzie powinno również przewodniczyć téj wielkiéj pracy, jaką w młodości

*) Goethe. Dichtung und Wahrheit aus meinem Leben.

umysł ludzki przebywać musi, aby sobie przyswoił, choćby pewną gałąź nauki.

Dla ułatwienia téj późniéjszéj pracy, piérwsze lata dziécięcia spożytkować należy na kształcenie zmysłów, przedstawiając im jak największą ilość wrażeń. To, co w przyrodzie znajduje się rozproszone, zbiérając i podając w porządku; co oddalone, zbliżając; wreszcie co zawikłane, rozplątując dla przedstawienia zmysłom dziecka w przystępnéj szacie. Kształcone zmysły nabiérają coraz większéj wrażliwości i siły; stąd coraz większą ilość pojęć do umysłu przenoszą.

Wrażenia, chwytane przez nie, stają się dokładniejsze i zaznaczają się trwaléj w myśli, rozbudzając czynność jéj doraźną i przygotowując w niéj grunt do późniejszéj pracy.

W wieku piérwszego dzieciństwa wszystkie wrażenia, udedające zmysły, powtarzają się wielokrotnie. Nie są to obrazy, znikające po jednorazowém okazaniu się, przeciwnie, powtarzają one codziennie swoje działanie na zmysły. Światło, ciemność, dźwięki głosu ludzkiego, przedmioty miękkie, twarde i różne ich kształty, wywiérają wpływ na dzieci wprzód dosyć długo, nim ono je rozpozna dokładnie. Tak samo przy nauczaniu początkowém, na pojęciach elementarnych, pierwiastkowych, na najniższych stopniach, nauczyciel winien długo się zatrzymywać i nie postąpić ani kroku daléj, póki owe podstawowe pojęcia nie wniknią w umysł dziecka tak głęboko, że ich nic wzruszyć nie zdoła. Jeżeli są chwiejne i powierzchowne, nie trzeba iść daléj, bo gmach budowany na podwalinach kruchych nigdy trwałym nie będzie; bo nadto nauka, przekraczająca obręb pojęcia wychowańca, jest budowaniem w powietrzu. Nie chcąc tedy tego błędu popełnić, należy od początku badać naturę umysłu i uzdolnienie wychowańca; uwzględniać jego indywidualność; zdawać sobie dokładną sprawę ze stopnia rozwoju, na jakim umysł jego się znajduje i z tego, w jakim stopniu już przyswoił sobie umiejętność danéj gałęzi wiedzy.

Powtarzanie jest tu nieodzownym warunkiem. Oprócz wierszy i prozy, których się dziécię uczy dla kształcenia pamięci i które, jako środek pomocniczy zapomniane przez nie z czasem

być mogą; wszelka inna nauka, raz przyswojona, powinna pozostawać w umyśle w ciągu dalszego nauczania.

Postępując w nauczaniu zawsze od przedmiotu bliskiego do oddalonego, od łatwiejszego do trudniejszego, od pojedyńczego do złożonego; podając naukę powoli, stopniowo i dokładnie; możemy, nie wysilając władz intelektualnych dziecka, iść w nauczaniu równolegle z rozwijającym się jego umysłem.

Przez lekcyją dzisiejszą, uczeń tak powinien być przygotowany do lekcyi jutrzejszéj, ażeby mógł sam następne odkryć jéj ogniwo. Dziécię, przyzwyczajone do myślenia i kombinacyj przez naukę o rzeczach, nabiéra upodobania w wyprowadzaniu konsekwencyj do tego stopnia, że prawda, wygłoszona przez nauczyciela, a przygotowana poprzedniemi lekcyjami, wydaje mu się wynikiem naturalnym i racyjonalnym do którego samo wprzód już instynktowo dochodzi.

Takie nauczanie można porównać do powolnego wstępowania na wyżynę, które nie męcząc, odkrywa dla oka coraz nowe widoki i, prowadząc zwolna do szczytu, wzbudza ciągłe zajęcie i wewnętrzne zadowolenie. Zadowolenie to, towarzyszące zawsze naturalnemu przyswajaniu sobie pojęć, jest zarówno bodźcem w nauce, jak i czynnikiem ułatwiającym jéj zdobycie, bo rozbudzając czynność umysłu, usposabia go tém samém do jéj przyjęcia. Nauczyciel przeto powinien tak wybiérać i przygotowywać pracę, jaką daje do odrobienia uczniowi, by ta budziła w nim zajęcie i ochotę do jéj wykonania.

Że jednak nauczanie, nietylko samę wiedzę powinno mieć na celu, ale i kształcenie charakteru i przekonań ucznia; zatém interes, wzbudzony nauczaniem, musi być bezpośredni, to jest wywołany samym przedmiotem i musi przedmiot ten wyłącznie mieć na celu. Działanie wychowawcze nauki osłabia się, gdy obudza pośredni tylko interes i służy nie za cel, ale jako środek do jego osiągnięcia wiodący. Nauka, gdy ochotę do niéj podnieca nadzieja nagrody, obawa kary, pragnienie wyróżnienia się przez otrzymanie dobréj cenzury i t. p., ma nader wątpliwą pedagogiczną wartość, bo wyklucza wzgląd na moralne wykształcenie, które cel główny stanowi.

Wzgląd ten na ogólne wykształcenie, na rozwinięcie i spożytkowanie wszystkich władz umysłowych, jakiemi uczeń rozporządza, wymaga, by wiadomości, które mu podajemy, nie były odosobnione, lecz ściśle połączone ze sobą. To wcale nie znaczy, że wykład nauki ma w sobie cały zakres wiedzy obejmować, ale że przedmioty naukowe nie powinny pozostawać w umyśle, oddzielone jedne od drugich. W nauczaniu, mianowicie początkowém, należy wyprowadzać jeden szczegół z drugiego, łączyć pokrewne sobie przedmioty, bo w wychowaniu wszystko powinno wspiérać się i dopełniać wzajemnie. W przyrodzie widzimy tę zależność wzajemną przedmiotów, to związanie ich w tak nierozerwalny łańcuch, że przeskok gwałtowny nigdzie zauważyć się nie daje. Odbiéranie wrażeń ze świata zewnętrznego wywołuje ciągłe kojarzenie się jednych wrażeń z drugiemi—nic odosobnionego nie występuje. Nauczanie, również prawom téj ciągłości odpowiadać powinno. Przy takiéj metodzie wychowaniec uczy się kombinować, kształci swój sąd i tém łatwiéj cel nauki pojmuje, gdy mu się ona nie przedstawia w odosobnionych i luźnych zarysach.

Nauki ścisłe większéj jeszcze i innego rodzaju wymagają po nauczycielu zdolności, niż nauki społeczne. Do tych ostatnich można obudzić interes, ułatwić je stopniowaniem i urozmaicaniem wykładu; przy nauczaniu zaś piérwszych można bystrość ucznia do tego stopnia rozwinąć, że ten sam dochodzi do wykrywania prawd wyższego rzędu, na mocy prawd piérwéj poznanych. Samopomoc ta, od najmłodszego wieku stósowana w nauce, przynosi nieobliczone korzyści.

Dziecku podają się środki i prostujące wskazówki; ale również daje mu się sposobność odkrywania prawd samemu. Metoda ta ani na chwilę nie pozwala na mechaniczną czynność umysłu i tym sposobem ułatwia naukę, że daje taką siłę i trwałość wrażeniom, jaką tylko doświadczenie własne dać może. Każda prawda, którą uczeń sam odkrył, każde zagadnienie, które rozwiązał, staje się trwałą jego zdobyczą, któréj wartość rzeczywistą z całą świadomością we własném przekonaniu ocenia.

Nauka, w ten sposób prowadzona, jest nietylko trwałym nabytkiem, lecz zarazem obudza i chęć do dalszego postępu.

Obok tego, spotęgowana zdolność myślenia logicznie, wytrwałość w poszukiwaniu prawdy, dopóki ta przed nami nie wykryje się w całości, zatrzymanie w umyśle, już poprzednio zdobytéj wiedzy, bez czego wszelki postęp jest niemożliwy; oto korzyści, jakie otrzymujemy z nauki, podobną prowadzonéj metodą, która, jako zgodna z naturą, nie może tém samém wyczerpywać sił wychowańca.

Takie rozwijanie sił umysłowych samo z siebie wypływające, jest ideałem pedagogiki obecnych czasów.

Rzecz niezawodna, że przy coraz nowych odkryciach i wzrastających wymaganiach naukowych, jedynie tym sposobem można uzdolnić umysł ludzki do objęcia coraz większych nabytków wiedzy i, czyniąc naukę przyjemną, nie osłabiać ciała przez nadmiar pracy umysłowéj.

Dla dania dotykalnego przykładu, czém owa samopomoc w nauczaniu być może, wypada powiedzieć, że np. miary i wagi, powinny być dziecku okazywane w naturze i że ono samo powinno ich podziału dochodzić, oraz poznać zastósowanie według wskazanego mu sposobu ich użycia. Jest to rzecz elementarna, wszakże mnóstwo dzieci, mówiących o korcach, garncach, centnarach, łutach, łokciach, calach, prętach, miar tych i wag nie widziało; są więc one dla nich abstrakcyją. Rachunek początkowy ma być podobnież na przykładach dotykalnych prowadzony. Niech dziécię rachuje choćby fasolę, byle liczby, które wymawia, nie były dla niego pojęciem oderwaném. Spencer, Tyndall i inni radzą uczyć stereometryi na figurach kartonowych; używać sześcianów, dających się rozkładać na części, aby uczeń mógł w praktyce odkryć te prawdy, które późniéj formuły mu uogólnią. Tyndall opowiada, że będąc nauczycielem matematyki, odrzucił zupełnie rutynę książkową i otrzymywał „postępy zdumiewające", wyzyskując własną inicyjatywę dzieci. Musiały one wszystko same odkrywać i znajdować. — „Dzieci te, raz zakosztowawszy rozkoszy, jaką daje każda zdobycz intelektualna, szukały sposobności do nowych odkryć", były niemi uszczęśliwione, a nauka stała się dla nich „zdrowém i radosném rozwijaniem sił umysłowych".

Dziécię więc, uczące się w ten sposób, jest szczęśliwe. Nie czuje ciężaru nauki, natężenie jego umysłu jest dobrowolne, naturalne; szuka znajduje i to je przejmuje radością! Gdyby nauczanie tą metodą żadnéj innéj nad dawną rutyną nie miało wyższości tylko tę jednę, że dziecku daje zadowolenie i że jego lata chłopięce ozłaca promieniem radości, jużby matki powinny wdzięczne dłonie ku takiemu nauczaniu wyciągać i, o ile to się okaże możliwém, w wychowanie domowe je wprowadzić.

Wykładana podług dawnéj metody nauka jest męczarnią dla dziecka. Nie pojmuje ono wcale, na co jest mu ona potrzebną, na co na przykład uczy się ułamków prostych i dziesiętnych, na co mu się każą uczyć części mowy, z których każda występuje określona formułą, nim się dziecko nauczy rozróżniać ją w języku? Jest to wyprzedzanie następstw naturalnéj logiki, zmuszanie umysłu do przeskakiwania całéj ogromnéj przestrzeni, która dzieli spostrzeżenia doraźne od ogólników, będących ich ostatecznym wynikiem.

Jeszcze dzisiaj można spotkać dzieci, o których rodzice mówią, że umieją cztery działania. I rzeczywiście mechanicznie i bezmyślnie umieją one dodawać całe kolumny cyfr, wypisanych jedna pod drugą i odejmować długie rzędy liczb jednych od drugich, oraz mnożyć, a nawet, jak się jedna matka chwaliła przede mną, dzielić przez dziewięć; ale nie umieją objaśnić sobie tych działań, a często i stósować ich do najłatwiejszego przykładu.

Wprawdzie użyteczność dodawania i odejmowawania niektóre dzieci rozumieją intuicyjnie; ale czém właściwie jest mnożenie lub dzielenie, tego one nie wiedzą, ani pragną dochodzić umysłem, przygnębionym fałszywą nauką.

Takich dzieci jeszcze można setkami, tysiącami naliczyć. Do tych należą także te nieszczęśliwe istoty, które od reguł gramatycznych zaczynają naukę języka! Ileż z nich trawi smutne i ciężkie godziny nad tą pracą niewdzięczną, którą nazwaćby można gwałcicielką przyrody. Sylabizowanie kwitnie jeszcze w najlepsze w tych domach, gdzie rodzice, mając mało styczności ze światem wiedzy i postępu, nie domyślają się nawet innego sposobu nauki czytania. Geografija rozpoczyna się

nieodmiennie od wyliczania części świata, oceanów, rzék, gór, miast i t. d. w wieku, w którym uczeń nie jest wstanie pojąć ziemi, jako sfery, podzielonéj na lądy stałe i wody.

Dodać do tego należy, iż rzadko w którym domu globus się znajduje. Znałam sześcioletnią dziewczynkę, którą babcia na pamięć uczyła wszystkich krajów Europy, oraz ich miast stołecznych. Dziecina z namaszczeniem powtarzała: „Miasto stołeczne Francyi—Paryż; miasto stołeczne Hiszpanii—Madryt i t. d. I cóż to znaczy miasto stołeczne?—zapytałam dziewczynki. Nie umiała mi odpowiedzieć na to pytanie. Czy to dom, ogród, czy tam są ludzie, czy téż las może? Dziécię nic nie wiedziało. Wychowana na wsi, nie była nawet nigdy w mieście większém, a mała mieścina, którą znała, nie mogła jéj dać pojęcia o tém, co to jest miasto. Tém mniéj mogła wiedzieć, co jest stolica kraju. I tu, jak w innych razach niestety, dałyby się przytoczyć słowa Mann'a:— „Nauka sama jest dobrą dla umysłu ludzkiego, tylko nauczanie może ją uczynić złą i niewłaściwą".

Inne dzieci powtarzają długie ustępy poezyi, któréj rozumiéć nie są wstanie. To wszystko składa się na przytępienie umysłu do tego stopnia, że dziecko nie czuje nawet potrzeby rozumienia tego, co usta machinalnie powtarzają. I nie może być inaczéj, gdy każda nauka zaczyna się od zapytania— czém ona jest i jakie jéj zadanie? Niezliczone pokolenia wychowały się na tym systemie; pytano zawsze dziecka na samym wstępie: — „Co to jest geografija? Co jest gramatyka? A uczeń, jak nakręcona maszynka, odpowiadał bez zająknienia:—„Geografija jest to opisanie ziemi, na któréj mieszkamy i t. d."

Ileż to dzieci, odpowiadających tak płynnie, nie rozumiało treści swéj odpowiedzi, a nauczycielowi wcale o zrozumienie nie chodziło!

Dzisiaj ruszamy ramionami na wspomnienie tych czasów, tak niedawno ubiegłych. Dzisiaj wołamy: ależ takie określenie nauki, to jest wniosek, jaki można uczynić dopiéro po jéj poznaniu! Gramatyka, nauczywszy nas zasad języka i jego poprawności, ułatwiwszy dobrze nim pisanie i mówienie, wtedy dopiéro cel swój nam ujawni. Cóż więc za potrzeba uczenia dziecka

wstępnego frazesu, który dla niego musi być pojęciem abstrakcyjném jedynie?

Piérwsze lata dziécięcia, spożytkowane na rozwinięcie jego zmysłów, mających z umysłem bezpośredni stósunek, powinny były obudzić czynność doraźną myśli, pragnienie tłómaczenia sobie wszystkiego, co za pomocą owych pośredników naturalnych, powinno było poruszyć działalność samego umysłu. Tymczasem uczenie się formułek, bez ich rozumienia dokładnego, jest jakby obliczone właśnie na przecięcie stósunku między zmysłami a umysłem. Ucho przeprowadza wyrazy do pamięci, w takim kształcie, w jakim je podano; ale pomiędzy umysłem a pamięcią wznosi się powoli mur chiński i podczas, kiedy pamięć wyrabia się machinalnie, umysł pozostaje bezczynnym. Wiemy wszakże, że jedyny sposób rozwijania organów, polega na ciągłém wprawianiu ich w czynności. Wyrazy zawiérające pojęcia abstrakcyjne, owe kwiaty mowy cywilizacyi, które zdobywała sobie, przygotowawszy piérwéj dla wyrazu—ciało żywego uczucia, pojęcia, lub wiedzy; takie wyrazy nie mogą być zrozumiane przez dziecko, którego umysł nie został przygotowany poprzednio przez takie same poszukiwania, z jakich pomocą ludzkość je zdobyła.

Czy jest sposób udzielania odpowiedzi jasnéj i zrozumiałéj, pięcioletniemu dziecku, pytającemu nas na przykład:—„Co to jest rezygnacyja, poświęcenie, przestrzeń i t. p.?" — Czy można dać pojęcie prawdy, przedstawionéj pod postacią abstrakcyjną, wprzód, nim ją damy poznać w formie konkretnéj? Będzie to zawsze wyobrażenie niejasne, luźnie w umyśle zostające, nie związane bynajmniéj, z szeregiem pojęć, jakie się złożyły na jego wydanie. Tak samo rzecz się ma z formułami, które będąc uogólnieniem faktów pojedyńczych, mają racyją bytu dopiéro po uprzedniém owych faktów poznaniu. Spostrzeżenia empiryczne, doraźne, uprawiają w umyśle dziecka grunt pod teoryją. Bez nich jest ona odcięta w umyśle od ciała, które ja wydało.

A zatem fakta przed ogólnikami, wiadomości pojedyńcze przed teoryją, pojęcia proste przed pojęciami złożonemi, przykłady przed zasadą, forma konkretna przed formą abstrakcyjną.

Oto są zasadnicze prawa dzisiejszéj metodyki. Czy przyszłość położy na nich swoję sankcyją? Odgadnąć trudno. W każdym razie są one tak stanowczym postępem odnośnie do dawnéj, zabójczéj w nauczaniu rutyny, iż dziś żadnéj wątpliwości w umyśle nie zostawiają co do nieomylności zasady, jaką się kierują. Dość jest przyjrzéć się dzieciom i ich naturalnemu usposobieniu, żeby się o tém, gdzie leży prawda przekonać.

„Ludzie rysowali długo przed tém, nim pisać zaczęli. Gdy Hiszpanie przybyli do Meksyku, jego mieszkańcy nie mieli alfabetu. Opowiadanie ich o wylądowaniu Hiszpanów, przesłane do Montezumy, było wyrażone pismem malowaném, czyli za pomocą obrazów, wystawiających wypadek. W piśmie chińskiém dwie kobiéty zwrócone twarzą do siebie znaczą: kłótnię; ptak na gnieździe: zachód słońca i t. d. Od rysunku zaczynała ludzkość, od rysunku zaczyna dziécię w swoich naturalnych popędach, gdy kréda, ołówek, węgiel, służą mu do niezgrabnego odwzorowania przedmiotów, gdy wszystkie znalezione lub wyproszone kawałki papiéru okrywa rysunkami, widząc rzeczywiste kształty ciała ludzkiego i zwierzęcego w postaciach niezgrabnych figur, wytwarzanych przez się z takiém upodobaniem.

Wiele upłynęło czasu, nim się spostrzeżono, iż z téj dziecinnéj skłonności należy korzystać, że zadaniem wychowania jest dać pomoc wrodzonym usiłowaniom dziécięcia. Dotąd wszakże mało osób zdaje sobie sprawę z użyteczności rysunku i z rodzaju korzyści, jakie kształcenie się w nim przynosi, jak również ze sposobu, w jaki udzielać go wypada. Rysunek uważa się zwykle w wychowaniu, jako talent; zatém, jako przedmiot dodatkowy, nie przynoszący nic prócz przyjemności i towarzyskiego popisu; nauczanie go jest więc odkładane do czasu, na który przypada, tak zwane *dokończenie edukacyi*. Wówczas matki starają się dać córkom nauczyciela rysunku i wtedy to wychodzą z pod palców dziéwcząt mozolnie odtwarzane z wzorów kwiaty, widoki i głowy, spoczywające następnie w jakiéjś zapomnianéj szufladzie i do żadnego rezultatu artystycznego nie doprowadzające młodéj osoby.

Późniéj sama dziwi się sobie, jak mogła narysować tę głowę! Zapomina, że nauczyciel daleko więcéj, niż ona do jéj odtworzenia się przyczynił.

O nauce rysunku elementarnéj niéma mowy w naszém wychowaniu domowém, chociaż pedagogowie uznają ją za niezbędną.—„Nauka rysunków w wychowaniu elementarném niéma sposobić dziecka na malarza lub sztukmistrza; ale jak każdy przedmiot, którego celem jest kształcić władze umysłowe, dążyć winna głównie tylko do tego, aby budzić i rozwijać uśpione w dziecku zdolności do tworzenia i składania pewnych form i figur. To znowu, budzi z czasem uczucie piękna i symetryi, z tego zaś wypływa konieczne uczucie i zamiłowanie czystości, ładu i porządku. Krom tego nabywa tu uczeń stopniowéj wprawy i zdolności do rysowania tego wszystkiego, czego po nim stósunki, w których się znajdzie, i przyszły zawód jego wymagać będą" *)

Czas byłoby zreformować dotychczasowy stan rzeczy, rozszérzając aż do kółek rodzinnych pojęcia, znajdujące już zastósowanie w wielu szkółkach elementarnych; czasby się spostrzedz, że skłonność dziecka do rysunku wyzyskać koniecznie należy, że inaczéj siły, złożone w niém przez naturę, nie rozwiną się wpełni, ale owszem stłumione zostaną przez wychowanie fałszywe, usiłujące rozwinąć to, czego w dziecku niéma, a nie biorąc w rachunek naturalnych jego popędów.

Nie każde dziécię śpiéwa lub wygrywa sobie na fortepijanie, znane ze słuchu piosenki; lecz każde bez wyjątku rysować lubi. Popęd to naturalny w każdém dziécięciu i, byle dobra wola rodziców, byle możność dania pomocy naukowéj, a przybywa w wychowaniu środek wielkiéj wagi i pożytku. Dla chłopców w wielu zawodach rysunek jest koniecznie potrzebny; kobiéta, jako przyszła wychowawczyni, mająca za jedno z głównych zadań zaszczepienie uczucia piękna, oraz utrzymanie porządku domowego i ładu, znać się na nim bezwarunkowo powinna. Poczynanie w późniejszym wieku od sztrychów, linij

*) August Jeske: Pedagogika.

i t. d., a kończenie na głowach starców i pięknych klasycznie kobiét, nie daje właśnie téj korzyści, jaką dzisiejszy elementarny rysunek zapewnia, ani téż dopomaga do kształcenia oka i ręki. Nadto nie wyzyskuje tych zdolności i upodobań, jakie natura dała dziécięciu; wreszcie w daleko niższym stopniu budzi uwagę i rozwija pojęcie piękna i symetryi. W nauczaniu elementarném, idzie przede wszystkiem o wykształcenie oka, o rozwinięcie zmysłu spostrzegawczego. Dziécię, zaledwie ołówek lub krédę utrzymać w ręku jest w stanie, już odtwarza na papiérze lub tablicy otaczające je przedmioty.

Przy pomocy wyobraźni wystawia sobie, iż wyrysowało dom rodzinny, konia, na którym ojciec jeździ, człowieka, psa lub krowę. Trzeba więc z tego popędu skorzystać i zachęcić je do rysowania z natury, ale rzeczy łatwiejszych. Domy, okna, książka, lampa, ławka, zégar, konewka i t. p. przedmioty w wysokim stopniu zajmują dziécię, uczą je rozróżniać kierunek linij, patrzéć uważnie, a skoro mu się raz i drugi wskaże sposób postępowania, wtedy nawet szybko pewnéj wprawy nabywa. Z kolei można przyjść do ludzi i zwierząt. Niech dziécię rysuje na papiérze nieglansowanym, ołówkiem miękkim, żeby nabywało od razu lekkości i pewności ręki. Wzory rysunkowe zastępują tylko naturę, nigdy jednak nie zastąpią okazów żywych. Nie trzeba wszakże dziecku wzbraniać przerysowywania obrazków, jeżeli ma do tego ochotę. Również jego namiętność do ich oglądania trzeba wyzyskać, zwracając jego uwagę na najdrobniejsze szczegóły i nie pozwalając na bezmyślne przewracanie kart książki, gdy dziécię ledwo okiem rzuci na obrazek i już szuka nowego.

Owszem niech dziécię często powraca do oglądanego już obrazka; niech za każdym razem wykrywa jakiś szczegół, a gdy mu się zdarzy przyjemność widzenia nowego rysunku, niech matka lub nauczyciel zwrócą jego uwagę na nieznane dotąd piękności i szczegóły, a nawet błędy. Umiéć patrzéć — to już połowa zdobytéj do rysunku wprawy.

Zajęcie się nauczyciela wzbudza zajęcie i w dziecku; niech więc ono widzi, że jego kierownik nie patrzy obojętnie i z lekceważeniem na jego pracę, że się nie wyśmiewa z jego

próbek, że niezasłużenie ich nie chwali. Obok niedołężnego konia, nakreślonego przez dziecko, niech nauczyciel wyrysuje drugiego i wskaże różnice, błędy i braki; na przechadzce zaś niech porówna te rysunki z kształtami konia żywego i, o ile można, zaprawia dziécię do umiejętnego patrzenia, porównywania i śledzenia natury linij i konturów. Kształcąc tak oko, trzeba zawsze iść od przedmiotów o linijach prostych do linij krzywych; od powierzchni płaskich do bryłowatych; od konturów, jak najmniéj skomplikowanych, do trudniejszych, nie tamując przecież popędów naturalnych ucznia i stósując się do rodzaju jego upodobań i zdolności.

Piérwsze próby rysownicze małego dziecka, piérwsze ujęcie przez nie ołówka i usiłowanie odtworzenia, którego z otaczających je przedmiotów, już jest piérwszą lekcyją rysunku. — Nie należy tylko wymagać od dziecka zbytniéj dokładności, równości linij i piękności odrobienia. Zachęcać — nie zniechęcać je trzeba. Jego mała rączka nie może miéć dostatecznéj pewności; wreszcie pewność ręki znajdzie się z czasem, byle oko nauczyło się chwytać kształty, kontury, linije; byle tak umiało patrzéć na formy przedmiotów, by raz widziane, mogły się wyryć w pamięci.

Lekcyje rysunku niech w dziecku obudzają uczucie przyjemności. Widziałam dzieci spieszące do nich, jak na zabawę i jeżeli naukę muzyki trudno zajmującą uczynić, bo czytanie nut i gamy, nużą niesłychanie cierpliwość dziecka, to naukę rysunku można zrobić interesującą i przyjemną.

Na sposób siedzenia, trzymania papiéru i ołówka od razu zwracać trzeba uwagę, i nie pozwalać na nabywanie złych przyzwyczajeń, co jest stokroć łatwiejsze, niż odzwyczajanie od nich późniéj. Takie od razu nabyte dobre przyzwyczajenia dadzą stopniową wprawę ręce. Nie ulega wątpliwości, że gimnastyka palców, jaką daje początkowe rysowanie, jest do późniejszego rysunku bardzo potrzebną. Im bystrzejszym wzrokiem dziécię chwytać będzie kształty przedmiotów, im je dokładniéj odrabiać potrafi; tém palce większéj nabywać będą wprawy. Dopiéro późniejsza, wyższa nauka, może zaprawić do pewności sztrychu, do odrobienia od ręki wzoru w tych samych rozmiarach, w jakich

się oku przedstawia; do zmniejszania i powiększania przedmiotów, w miarę żądania; do perspektywy, cieniowania, uwagi na padające światło, na cień rzucany na przedmioty, co najlepiéj wskaże sama natura. Rysunki ornamentacyjne należą już do właściwéj nauki, która bada styl, piękno linij, kompozycyją, jéj zalety, odnośnie do estetycznych wymagań.

O téj wyższéj szkole rysunkowéj mówić nie będziemy. To już sztuka i to jedna z najpiękniejszych. Matka niech stara się tylko przez elementarną naukę rozwinąć wrodzone dziecka zdolności; niech jego oko nauczy się patrzéć, ręka być posłuszną wskazówkom wzroku, umysł i serce odczuwać piękno.

Mówiliśmy przed wszystkiemi innemi naukami o rysunku, bo ten jest naturalném przygotowaniem do nauki pisania bo kształcąc oko i rękę, ułatwia o wiele zadanie. Prowadzony systematycznie, np. podług metody Froebla, zaznajamia dziecko ze wszystkiemi zasadniczemi kształtami, z których powstają litery pisma.

Za pomocą téj metody dziécię uczy się poznawać różne kierunki linij: pionowy, poziomy, ukośny, czyli pochyły od ręki prawéj i pochyły od ręki lewéj; wreszcie różne ich kształty: półkole, koło, półkole zwrócone od ręki prawéj, półkole zwrócone do ręki lewéj i t. p. Za zrozumieniem wyrażeń idzie wykonanie, kształcące oko i rękę. Stopniowo przechodzi do pisania liter.

Że czytanie z pisaniem zostaje w najbliższym związku, gdyż jest bezpośredniém jego następstwem, więc téż obie nauki, w początkach jednocześnie prowadzone być winny. Gdy dziécię umié już czytelnie pisać samogłoski, powoli wprawia się łączyć z niemi spółgłoski. Ustósunkowanie postępu jest nader ważną rzeczą. Trzeba od sylab dwuzgłoskowych, przechodzić do trzygłoskowych, wybiérając najprzód najłatwiejsze i tak prowadzić ucznia stopniowo, by nigdy złożenie sylaby trudniejszéj, nie przyszło mu niespodzianie, bez poprzedniéj znajomości kombinacyj łatwiejszych.

Każdy nowy, w ostatnich czasach wydany elementarz, może być pomocą w usystematyzowaniu początkowego pisania

i czytania. Na tym piérwszym stopniu nauczania dziécię uczy się tylko pisania alfabetu i to ułatwia mu zadanie. Nadmienić tu wypada, że spółgłoski nie powinny być przez dziécię wymawiane podług ich nazwy w alfabecie przyjętéj; ale podług ich brzmień właściwych; inaczéj występuje wszędzie już potępione sylabizowanie. Dziécię nie może zrozumiéć, dla czego dźwięk *be* i dźwięk *a* składają sylabę: *ba*, i uczy się mechanicznie, powtarzając jedynie to, co nauczyciel wskazuje. Przy pisaniu dziécię odrazu powinno wymawiać każdą sylabę wyraźnie, nie sylabizując jéj, czyli składając z pojedyńczych, oddzielnie nazywanych dźwięków. Te wszakże dzieci, które bądź same czytać się nauczyły, bądź przy piérwszych wskazówkach okazują intuicyjną do niego zdolność; te dzieci mówię, niech idą za popędem wrodzonym, przy czém czytanie musi o wiele prześcignąć pisanie, które długo zostanie niekształtném i mozolnie odbywaném zajęciem.

Gdy już dziécię zrozumié składanie pojedyńczych dźwięków w sylaby; tworzenie z nich łatwiejszych wyrazów, oraz postęp w nauce pisania, musi podlegać innemu kierunkowi i wtedy to powinno poznać litery drukowane i wprawać się w czytanie druku. Jak tylko uczeń przezwyciężył piérwsze trudności i nabył w czytaniu niejakiéj wprawy, pozwalającéj mu na treść zwrócić uwagę, wtedy treść ta staje się dla niego materyjałem umysłowym i środkiem zdobywania wiadomości. Logiczne i estetyczne czytanie wypływać musi z dokładnego rozumienia treści i dla tego nietrzeba nigdy dawać dziecku rzeczy, napisanych stylem dla niego niedostępnym, lub zawiérających pojęcia dla dziecka niezrozumiałe. Niech ośmioletnie dziecko czyta tylko najłatwiejsze dziecinne powiastki i opowiadania, któreby je zajmowały. Niech malec z ciekawością wybiega myślą naprzeciw każdemu słowu, inaczéj może się wprawdzie nauczyć płynnego czytania, ale nauczy się zarazem rzeczy złéj bardzo: czytania mechanicznego, w którém myśl nie bierze najmniejszego udziału. Tak czytają u nas dzieci w szkółkach wiejskich, lub uczone przez nieoświeconych rodziców. Wziąwszy raz do nauki syna ekonoma, chłopca umiejącego już płynnie czytać, musiałam najprzód przedsiewziąć mozolną pracę oduczenia go od bezmyśl-

nego czytania. Najłatwiejsze dziecinne powiastki czytał, jak gdyby po chińsku były pisane, nic nie rozumiejąc, bo myśl przy czytaniu wcale czynną nie była.

Jeżeli ośmioletnie dziecko z trudnością tylko może myśl przywiązać do powiastki, przeznaczonéj dla jego wieku; należy mu dobiérać utwory łatwiejsze, jak np. wierszyki Chęcińskiego z „Malowanki", którą dzieci tak lubią, ale niech czytanie odrazu będzie celem, nie środkiem, niech zajmuje, uczy, lub bawi, nie ograniczając się do technicznego procesu czytania.

Ci rodzice, którzy wybiérają rzeczy trudne, dla tego, aby, jak mówią, dziecko wprawić do czytania wyrazów mniéj używanych, są w błędzie i, pragnąc dobra swego dziecka, złą mu raczéj oddają usługę. Czytanie powinno być zawsze zastósowane do stopnia rozwinięcia umysłowego czytelnika. Nauka czytania niéma się kończyć z chwilą zupełnego zwyciężenia strony jego technicznéj. Pozostaje jeszcze krok do uczynienia naprzód; trudność do pokonania największa, cel do osiągnienia najpiękniejszy, to jest czytanie głośne, pojęte jako sztuka piękna. Mało kto u nas jest w stanie przeczytać jakibądź utwór tak, aby go z przyjemnością słuchać można było, a jednak czytanie takie, aby w niém myśl autora uwydatniła się żywo odczuta, a wygłoszona słowem dźwięczném, dobitném, urozmaiconém i nie monotonném; takie czytanie jest jednym z najprzyjemniejszych towarzyskich talentów.

Uczeń, zaprawiony do spostrzegania różnic między kształtami przez naukę przygotowawczą rysunku, posiadający już niejaką pewność ręki, przechodzi od czytelnego pisania liter, do pracy nad ich piękném wykonywaniem.

Często nie zdajemy sobie sprawy przy nauce kaligrafii, jak ważną rzeczą jest piękne i czytelne pismo; zapominamy, że celem pisania jest, aby było czytane i lekceważymy kaligrafiją, powtarzając sobie na pociechę, że wielcy ludzie, po większéj części, brzydko pisali. A jednak wiele to niedoczytanych listów, wiele myśli fałszywie pojętych, wyrażeń przekręconych w druku, z powodu nieczytelnego pisma!

Dla tego w elementarném nauczaniu należy zwracać ciągłą baczność na kaligrafiją, gdyż wtenczas to dzieci nabywają

złych przyzwyczajeń, wpływających na charakter późniejszego ich pisania, uczą się: źle trzymać pióro, rękę, papiér, garbić się i pochylać, co wpływa szkodliwie na zdrowie.

Do chwili odłączenia nauki pisania od czytania, dziécię mogło posługiwać się ołówkiem, lub tabliczką z rysikiem; skoro wszakże nauczyciel uznał, że ma dostatecznie wyćwiczoną uwagę i wprawę oka i ręki do pięknego i kształtnego pisania; wtedy już pióro zastąpić powinno ołówek. Papiér, na którym dziécię pisze, niech będzie gładki i dobry; na papiérze bowiem złego gatunku trudniéj nabywa się lekkości i pewności ręki. Z początku dziécię pisze w dwóch linijach podług wzorów, wypisanych ręką nauczyciela, lub jakie każdy elementarz podaje. Uczeń powinien siedzieć prosto, ciałem i twarzą do stołu obrócony, nie dotykając go piersiami, i trzymając głowę i ciało o tyle tylko pochylone, o ile wymaga tego wzrok piszącego, którego bystrość bywa rozmaita. Im zaś jest krótszy, tém pochylenie się nad papiérem musi być większe. Najlepiéj jest, gdy światło pada na papiér od lewéj strony; w wieczór, jeżeli uczeń pisać jest zmuszony, czego jednak unikać wypada, najlepiéj, by miał lampę zawieszoną nad stolikiem, przy którym pracuje i by światło padało z góry; jeżeli posługuje się światłem świécy, jedna da mu go zamało i dwie miéć koniecznie powinien, dość wysoko umieszczone, by światło padając wprost, nie raziło oczu swym blaskiem. Papiér, nieco ukośnie leżący, ma być przytrzymywany lewą ręką, podczas gdy prawa, od łokcia na stole oparta, powinna swobodnie się poruszać, a dłoń i palce piszącego opiérać lekko na końcu małego palca. Pióro, przynajmniej o cal od końca ostrego, trzymane palcem wielkim i średnim, ma być z wierzchu naciskane lekko palcem wskazującym, który zupełnie wyprostowany na piórze leżéć powinien.

Obok liter małych i dużych, dziécię powinno się uczyć pisać znaki pisarskie i liczby, zawsze poczynając od rozmiarów większych, w dwóch linijach, schodząc stopniowo do mniejszych. Na jednéj linii dopiéro wtedy można dziecku pozwolić pisać, gdy się już we dwóch wprawiło do pisma kształtnego i równego. Przez cały czas początkowéj nauki pisania uczeń, w godzinach pracy, nie powinien być pozostawiony samemu sobie. Obec-

ność nauczyciela jest tu konieczną, jest zachętą dla dziecka, chroni je od nabywania złych przyzwyczajeń. Nawet późniéj, gdy wypracowania i tłómaczenia w nieobecności nauczyciela odrabia, lub gdy pisze dyktando, należy od niego wyraźnego i kaligraficznego pisma wymagać — inaczéj zepsuje sobie charakter.

Pewność i wprawa ręki, nabyta w dzieciństwie, ułatwia w wysokim stopniu późniejszą pracę ucznia, w któréj tyle pisania od niego wymagać będą; oszczędza téż wzrok, tak nadwątlony w dzisiejszém pokoleniu. Amerykanin Carstair powiada, że wprawa piśmienna więcéj od wyćwiczenia ręki, niż oka zależy. Tak jest w istocie. Człowiek, który wiele pisał w życiu, prawie z zamkniętemi oczami pisać może. Ludzie, dotknięci utratą wzroku, mogą i wtedy jeszcze pisać, gdy czytać nie są już w stanie. Szajnocha, zupełnie ociemniały, pisywał jednak z pomocą linijki, którą obsuwał za każdym napisanym wierszem. Nie lekceważmy tego sposobu, w jaki uczeń trzyma pióro, i rękę, i w jaki sam przy pisaniu się trzyma, bo wprawa ręki od tego w wielkiéj części zależy.

Nauka ortografii od początku z czytaniem i pisaniem łączyć się powinna. Wyraźne, wierne i dobitne czytanie, ułatwia dziecku zrozumienie porządku następujących po sobie głosek, składających zgłoskę. Pisanie rozpoczęte, jak mówiliśmy od sylab dwugłoskowych, ułatwia zrozumienie zasad pisowni, prowadząc dziécię od wyrazów łatwiejszych do wyrazów, w których rozróżnienie dźwięków po sobie następujących, jest trudniejsze. W tym razie, nie tylko posługuje wprawa ucha, ale i oko przenosi do pamięci taką pisownią wyrazów, jaką ją w książce i przykładach piśmiennych znajduje. To téż dawanie uczniowi przykładów umyślnie błędnie pisanych dla tego, by je poprawiał, jest najzupełniéj potępione przez dzisiejszych pedagogów. Dziecię, ani w książce, ani w piśmie nauczyciela z błędami ortograficznemi spotykać się nie powinno. Przepisywanie łatwych zdań, pisanie z pamięci wyuczonych poprzednio ustępów, wreszcie dyktowanie wyrazów i zdań najłatwiejszych, jest pracą przygotowawczą do ortografii, opartéj na zasadach gramatycznych.

Przy początkowém przepisywaniu i dyktandzie można dawać dziecku niektóre łatwe do zastósowania wskazówki, mianowicie przyuczać je do zwracania uwagi na wyrazy pochodne, dające się urabiać od wyrazu, co do którego pisowni nasuwa mu się wątpliwość. Np. mamy wyraz: *jabłuszko*, więc nie *japko*, ale *jabłko* pisać należy; mówi się kubek, kubeczek, więc kubka a nie *kupka;* wreszcie róg, nie rók bo jest w rogu, rogiem i t. p.

Znaki pisarskie, zachowywane od początku przy dyktandzie, przygotowują późniejsze zrozumienie ich użycia, co dopiéro przy nauce o zdaniach osiągnięte być może.

Mowa, jaką dziécię słyszy, jest dla niego piérwszą nauką ojczystego języka; dlatego starać się należy otoczyć je osobami mówiącemi poprawnie, akcentem wolnym od prowincyjonalizmów, wyrażającemi się szlachetnie i jasno. Żadna późniejsza znajomość gramatyki nie jest w stanie praktyki zastąpić. Tylko za jéj pomocą poznaje się duch języka, jego właściwości, zwroty, charakter i bogactwo.

Lecz i tu stopniowanie postępu jest konieczne. Język poprawny i jasny, którym się do dziecka przemawia, powinien być zupełnie zastósowany do jego pojęć i stopnia umysłowego rozwoju, ze zwróconą bacznie uwagą, czy dziécię rozumié i jak rozumié dawane mu określenia przedmiotów.—„Wychowawcy za mało przywiązują wagi do wyobrażeń, jakie dzieci zdobywają o tém, co je otacza — mówi Zschocke.—Przywykliśmy mniemać, że dzieci w ten sam sposób wystawiają sobie rzeczy dla tego, że taką samę, co i my dają im nazwę. Gdybyśmy częściéj żądali od nich, by nam ze swych wrażeń zdawały sprawę, wtedy przekonalibyśmy się zdziwieni, że w ich umyśle wyrazy, których za naszym używają przykładem, zupełnie nie odpowiadają wyobrażeniom przez nie zdobytym. Tego jednak nie domyślamy się nawet. A przecież jest to koniecznem. Dzieci używają wprawdzie naszego języka, ale ucząc się go, nie mogły zarazem przyswoić sobie wyników naszéj wiedzy i doświadczenia."

W tém spostrzeżeniu jest wiele prawdy; dla tego ważną wprawą początkową dla dziecka jest zachęcanie go do opowiadań, dotyczących przedmiotów spostrzeganych, obrazków, zwierząt, wydarzeń codziennych. Takie opowiadania pozwalają nam poznać, jakie znaczenie przywięzuje dziecko do wyrazów używanych przez siebie; dają możność prostowania jednocześnie pojęć i wyrażeń i nadawania każdemu przedmiotowi właściwéj nazwy tak, aby dziécię współmiernie, a jednak coraz dokładniéj, rozszerzało zakres swych pojęć i znajomości języka. — „Chciałbym— powiada Claude Fleury—by dziecko przyzwyczajano wcześnie do zdawania sobie sprawy z własnych myśli i wyrażenia ich, o ile można, jasno i dobitnie. Da się to osięgnąć, gdy przywyknie każdą rzecz dokładnie rozróżniać od innych i dawać jéj nazwę właściwą". — Każda nauka powinna za pomocą wykładu, udzielanego w mowie poprawnéj, być jednocześnie nauką języka; każdy téż krok, postawiony naprzód, w jakiéj bądź gałęzi wiedzy, winien być postępem w mowie.

Piérwszą wprawą językową, obok małych opowiadań, nie mających nawet cechy lekcyi i systematycznéj pracy, może być umiarkowanie podawana nauka wierszyków, jeżeli uczeń chętnie i z przyjemnością się jéj oddaje. Dziécię wymawiające tylko krótkie frazesy, często jąkające się i zacinające w opowiadaniu, lub fałszywie układające wyrazy w zdania, na wierszykach uczy się płynnéj i poprawnéj mowy. Nie należy tylko dziecku dawać wierszy, którychby nie rozumiało. Dzieci, deklamujące wyższą poezyją, to istne papugi, wprawiające się w wymawianie ludzkiej mowy bez jéj rozumienia. Popisy dziecinne z deklamacyją są niestósowne ze względu na próżność, jaką w nich rozwijają; że jednak często z podobnemi popisami spotkać się można, wynosi się z nich spostrzeżenie, iż zwykle tylko matka rozumié, wymawiane przez dziecko wyrazy; dla innego słuchacza jest to dźwięk jednostajny głosu dziécięcego, mruczenie piskliwe, wśród którego jakiś wyraz oderwany zaledwie staje się dotykalnym dla obcego ucha. Jeżeli dziécię uczy się wierszyków, trzeba, aby, rozumiejąc je, mówiło powoli, dokładnie, z właściwemi przestankami i oddechami. Deklamacyi uczuciowéj wymagać nie można; uczucie wyuczone jest zawsze źle wyrażoném uczuciem; ale dokładność,

czystość i wyrazistość mowy, to już stanowi stronę techniczną, którą dobra nauka wykształcić może.

Gdy dziécię już zwyciężyło piérwsze techniczne trudności i nieco wprawy w pisowni nabyło, można mu zadawać do obrobienia krótkie i do jego pojęć zastósowane stylistyczne wypracowania. Najłatwiejszém, a zatém najstósowniejszém na początek będzie dla dziecka streszczenie kawałków łatwéj prozy, któréj się poprzednio na pamięć wyuczyło. Następnie, gdy się z tego wywiązuje zadowalająco, można mu dawać do napisania łatwą, maluchną powiastkę, lub tylko część powiastki, którą nauczyciel kilka razy dziecku poprzednio dobitnie i z należytym wyrazem przeczytał, a potém dziécię samo jeszcze ją raz, lub dwa razy opowiedziało. Zamienianie wierszy, kilka razy przeczytanych na prozę, streszczanie poznanych prozaicznych ustępów, wszystko to daje wprawę w styl, w którym stopniowo, bez przeciążania pracą dziecka kształcić należy. Dla osiągnięcia tego celu nauczyciel powinien dobrze zbadać stopień umysłowego rozwoju ucznia i nigdy w zadaniach nie przekraczać miary jego wiadomości i doświadczenia. Prostota stylu niech odpowiada prostocie myśli dziécięcych i dopiéro z ich rozszerzaniem niech wytworniejszą przybiéra szatę. Bogactwo stylu nie może być udziałem dziecka, nie odpowiada szczupłym rozmiarom jego inteligencyi.

Z systematyczną nauką gramatyki nie potrzeba się spieszyć. Przekonanie, że gramatyka nie należy do nauk początkowych, coraz powszechniéj się ustala. Ludzie długo mówili i pisali, nawet tworzyli arcydzieła, nim dla własnego języka utworzyli kodeks, złożony z praw, w zjawiskach językowych wykrytych. Dojrzałość językowa, poprzedziła wszędzie gramatykę. Takiéj dojrzałości przez długi czas nie spostrzegamy w dziecku. Niektórych czasów nie spostrzegamy nawet w jego mowie: *byłbym był, byłabym była wiedziała, będący, idąc* i t. d. są to zwroty nie używane przez dziecko, a zatém nie zrozumiałe dla niego. Ciążenie umysłu dziecka ku pojęciom prostym, pojedyńczym, objawia się i w jego języku; gramatyka zaś, jako nauka natury filozoficznéj, zawiérająca mnóstwo pojęć składanych, musi miéć pod swoję uprawę grunt należycie przygotowany. Wszędzie spotykamy się z żądaniem, by dziecku przed rozpoczęciem nauki,

dać jak najwięcéj pojęć za pomocą metody poglądowéj. Owóż przed nauką gramatyki trzeba mu dać jak najwięcéj form językowych, przez opowiadania i wprawę piśmienną, aby jak najdokładniéj zrozumiało zastósowanie trybów, czasów, imiesłowów, zaimków, nim się nauczy właściwym terminem je oznaczać.

Czém jest gramatyka dla mowy, nietylko wcale nieznanéj, ale i znanéj niedokładnie, przekonać się można na tych, którzy, pomimo długoletniego uczenia się i przepisywania konjugacyj, najfałszywiéj używają czasów, gdy mówią i piszą po francusku. Większa połowa, używających u nas tego języka, nie czuje różnicy pomiędzy czasem: *imparfait a passé défini*, a trzy czwarte niéma pojęcia o używaniu czasu przeszłego trybu łączącego. Gramatyka więc nie daje zrozumienia subtelności językowych, tylko je podprowadza pod pewne prawa. Przygotowaniem do ich przyswojenia sobie są przykłady—praktyka językowa, która koniecznie powinna poprzedzać teoryją. Wszakże i gramatyka może być nauczaną doraźnie. Pojęcia językowe, które dziécię już przyswoiło sobie dokładnie, mogą być łączone w jednę grupę, czyli formułę gramatyczną. Stopniowo zebrać je można i związać węzłem definicyi. Jeżeli imiesłów (którego dzieci nigdy nie używają), jest trudnym dla nich do zrozumienia, to rzeczownik i jego rodzaje dziécię pojmuje z łatwością; jeżeli zaimek, przyimek, przysłówek spójnik — to labirynt, w którym dziécię z niechęcią błądzi; to wykrzyknik jest odpoczynkiem, na który myśl się raduje. Ale niestety, ta ukochana przez dzieci część mowy, we wszystkich niemal gramatykach, znajduje się dopiéro na końcu całego szeregu nienawistnych elementów! Otóż nie rozumiem, dla czegoby jéj nie można podać dziécięciu przed innemi? Takie powolne, częściowe grupowanie wyrazów w jego umyśle, byłoby przygotowaniem do późniejszéj, systematycznéj nauki gramatyki.

Wszystko zresztą, co daje dziecku jakąbądź językową wiadomość—w gruncie jest gramatyką. „Nie mówi się *robiemy*, ale *robimy*, bo nie można powiedzieć on *robie*, tylko on *robi*; nie mówi się *tą razą*, lecz *tym razem*, bo *ten raz*, nie *ta raza*. Podobne wskazówki dziécię, jak tylko zdobędzie jaką taką wprawę w mówieniu, rozumié. Czy to nie gramatyka? Gramatyka, tylko wypływająca doraźnie z praktyki językowéj. Bardzo wiele takich

pojęć nagromadzić można w umyśle dziecka, nim się przystąpi do systematycznego wykładu. Nie inaczéj też prowadzić go należy., jak według metody indukcyjnéj, zaczynając nie od reguł, sformułowanych abstrakcyjnie, lecz od jak najliczniejszych przykładów, z których owa reguła dopiéro wypływać powinna. Reguła każda musi najdokładniéj przez ucznia być zrozumiana, ale trzeba ją umysłowi jego przyswoić za pomocą powtarzania stósownych ćwiczeń ustnych i piśmiennych, „bo teoretyczna znajomość gramatyki bez ćwiczeń jest kwiatem bez owocu".*)

Stopniowanie ćwiczeń od prostszych do trudniejszych, uławi uczniowi zrozumienie wszystkich trudności języka tak, że rozbiór gramatyczny, zwykle męczący umysł dziecka, gdy mu się każe go robić, bez należytego przygotowania, stanie się rzeczą łatwą i prostą.

Ćwiczenia gramatyczne można rozpocząć od zamiany w zdaniach liczby pojedyńczéj na mnogą, piérwszéj osoby liczby pojedyńczéj na piérwszą liczby mnogiéj, oraz i na inne osoby kolejno; daléj czasu teraźniejszego na przeszły, lub przyszły; wreszcie, zamieniając zdania twierdzące na przeczące lub skracając je zapomocą imiesłowów np. *Wituś, który szedł drogą* na: *Wituś, idący drogą.* — Nadto ważną jest także odmiana rzeczowników przez przypadki, byle branych nie w oderwaniu, ale w zdaniach, do których materyału dostarczyć mogą znane dziecku przedmioty, oraz wykonywane przez nie czynności. Takie zdania można stopniowo uzupełniać i rozszerzać przez inne części mowy, ucząc na nich praktycznie zawisłości i zgody, wchodzących w skład ich wyrazów. Nie trzeba tylko dawać uczniowi do poprawiania zdań błędnych, bo to bałamuci go i tłumi w nim poczucie poprawności stylowéj i gramatycznéj, nabytéj przez słyszenie i czytanie dobréj mowy.

Ćwiczenia piśmienne przez długi czas powinny być tylko opisywaniem tego własnemi słowy, co uczeń poprzednio przeczyczytał, lub miał sobie opowiedziane. Dopiéro, gdy w nim spostrzeżemy do tego stopnia rozwinięty zmysł spostrzegawczy,

---

*) Schumann: Lehrbuch der Pädagogik.

wprawę językową i siłę myślenia, że możemy być pewni, iż wypracowania samoistne nie będą dla niego wyczerpującém zajęciem; wtedy dopiéro możemy przystąpić do zadań, w których oprócz podanego tematu i wskazówek co do jego rozwinięcia, wszystko już dziecko z siebie czerpać powinno. I tu z początku szukajmy tematów najłatwiejszych. Niech nam uczeń opowié jakieś wydarzenie, które zaszło w jego obecności, przejażdżkę, przez się odbytą; słowem coś, co się raczéj odnosi do świata zmysłowego, niż do dziedziny pojęć i uczuć. Gdy zaś doprowadzimy go do tego stopnia, że i ta sfera stanie się dla niego dostępną; wtedy dobierajmy mu tematów, które mogą mu dać sposobność do wypowiedzenia i uczuć, ale takich jedynie, których już doznał lub w swoim wieku doznać jest w stanie.

Głębie nieznanych namiętności, boleści, czy radości, pojęcia wzniosłością przechodzące miarę poglądów młodocianych: nie są właściwemi przedmiotami do ćwiczeń dla młodzieży.

Samoistne wypracowania gdy do nich dorósł umysł dziecka są praktyczną szkołą logiki. Wnoszą do myśli młodzieńca światło i porządek, zmuszając go do przygotowania sobie i uporządkowania materyjału, nim myśl swoję zamknie w słowie pisaném; przyzwyczajają go do umysłowéj pracy, samodzielności i wytrwałości, bo wymagają skupienia i natężenia myśli; umacniają i rozszerzają wiadomości o rozmaitych przedmiotach przez zastanawianie się nad ich stósunkami, w jakich zostają odnośnie do innych przedmiotów, oraz względami, pod jakiemi rozważane być mogą. Względy praktyczne, wynikające ze stósunków życia, również zaniedbywane być nie powinny. Do tych więc celów i zadania piśmienne stósować należy.

Niech uczeń dowié się od nauczyciela: jak się piszą listy w interesie; jaka ma być intytulacyja listu do osoby nieznanéj; jak się ta intytulacyja zmienia, względnie do stanowiska adresanta; jakie jest przyjęte zwyczajem zakończenie listu do osoby starszéj, nieznanéj, lub znanéj bardzo mało; w jaki sposób adresuje się listy stósownie do urzędu, tytułu i stanowiska osoby, do któréj się pisze; jak się piszą kwity, zaświadczenia z odbioru przysłanego sprawunku, posyłki pocztowéj, i t. p.

Wyjątkowe dzieci, mające upodobanie do pisania listów, dzienników, powiastek na swoję rękę, można do dalszych usiłowań zachęcać, ale nigdy zmuszać. Przede wszystkiém zaś trzeba umiéć pozyskać ich ufność, któraby nam pozwoliła kierować początkowym prac tych rozwojem, nie mówiąc jednak nic o nich przed obcymi przy dziecku, gdyżby to mogło w niém próżność i zarozumiałość obudzić.

Nie potrzebujemy dodawać, że gramatyka języka ojczystego powinna być poznaną przed gramatyką języka obcego. Dziécię, znające doskonale język własny praktycznie, a następnie poznawszy go gramatycznie, umié sobie już zdawać najzupełniéj sprawę, nietylko z tego, czém jest gramatyka względem pojedyńczego języka, ale nadto łatwiéj pojmuje różnice, jakiemi się mowa obca w swych formach i budowie od języka ojczystego odznacza. Gramatyka łacińska nie będzie już dla niego abstrakcyją, bo ją z nauki własnego języka zrozumié. To samo odnieść należy do dziewczynek, uczących się gramatyki francuskiéj. Jest to największą nielogicznością uczyć zasad języka, który dziécię zna gorzéj, zaniedbując zasady, które są dla niego dotykalne w mowie ojczystéj. Gramatyka języka obcego oszczędza połowę trudności uczniowi, który przed tém swojéj się nauczył.

Dwa są sposoby nauczania obcego języka: piérwszy polega na przyswojeniu sobie mowy przez ciągłe jéj słyszenie; drugi, za pomocą książek, metody gramatyki. Wyższość sposobu piérwszego oddawna uznaną w praktyce została.

Światło indukcyi, wprowadzone do wszystkich gałęzi nauczania i w téj świéci w całéj pełni, bijąc w oczy natychmiastową korzyścią. Kto więc za pomocą ciągłéj konwersacyi przyswoić chce dziecku mowę obcą, nie spychając własnéj na plan podrzędny, niech mu da to nieporównane ułatwienie uczenia się najprędszego i całkiem naturalnego, bez odczuwania natężenia umysłu, bez zdawania sobie sprawy z nabytków pamięciowych i słuchowych. Języka własnego nie można znać dokładnie bez poparcia nauki praktyką, a praktyki teoryją,

czyli gramatyką; obcy potrzebuje również takiego dopełnienia, ale w wieku, w którym już uczeń rozumié znaczenie gramatyki.

Nauczanie obcéj mowy sztuczne, to jest za pomocą prawideł, przedstawia dla dziecka nader wielkie trudności. Tym razem język obcy jest dla niego czystą abstrakcyją. Nic mu nie pomoże wiadomość, że nim mówi naród żyjący; dla niego w praktyce pozostaje on martwym. Pracując nad nim codziennie, zdobywa mozolnie słowa pojedyńcze, nie rozumiejąc ducha i właściwości języka, nie mogąc nawet przełamać trudności wymowy. W wielu jednak wypadkach nauka języka obcego nie może być inną, musi ograniczać się godzinami przeznaczonemi na wykłady. W takim razie trzeba się starać, ile można, zbliżyć ją do wskazówek natury, nie przeładowywać dziecka regułami i formami, lecz starać się uprzystępnić mu przede wszystkiém zrozumienie języka. Z metod dotyczasowych, metoda Robertsona najlepiéj odpowiada zadaniu. Do nauki dzieci młodszych można ją stósować, dając do uczenia się na pamięć, łatwiejszy ustęp prozaiczny, któryby im się poprzednio wytłómaczyło gruntownie; następnie zawartych w nim wyrazów używa się w innych zdaniach dopóki dziecko nie pojmie ich zastosowania i znaczenia. Piérwsze lekcyje nie powinny obciążać pamięci dziecka więcéj jak trzema, lub czterema wyrazami i z pomocą tych należałoby robić wszelkie możliwe kombinacyje. Dopiéro po doprowadzeniu dziecka do rozumienia należytego łatwiejszych ustępów z prozy, można z niém teoryją zaczynać.

Co do wyboru, który z obcych języków wprowadzić do wychowania należy? — dałabym przed innemi francuskiemu pierwszeństwo. Jest bowiem najwięcéj upowszechnionym językiem. Posiadając go, można całą Europę przejechać, nie będąc w żadném mieście większém narażonym na przykre położenie człowieka, którego nikt nie rozumié. Literatura francuska jest jedną z najpiérwszych i upowszechnioną też we wszystkich krajach do tego stopnia, że każdy naród, wyższą cywilizacyją posiadający, ma jakby dwie literatury: swoję i francuską i księgarnie całego świata przepełnione są francuskiemi dziełami. Oprócz tego język francuski jest językiem międzynarodowym i ję-

zykiem wyższych towarzystw, w których łatwo można się z cudzoziemcami spotykać.

Z innych języków obcych, żyjących, po francuskim, najwłaściwiéj byłoby do wychowania wprowadzić język niemiecki. Jego literatura tak bogata co do treści, odkrywa nieprzebrane skarby dla każdego, kto jakąkolwiek gałąź wiedzy uprawia, a choć znajomość języka angielskiego nie mniéj bogatą skarbnicę wiedzyby nam odkryła; musimy przecież językowi niemieckiemu dać pierwszeństwo ze względu na nasze geograficzne położenie i sąsiedzkie stósunki.

Języki angielski i włoski, wprowadzone wyjątkowo do wychowania, przedstawiają każdy innego rodzaju korzyści. Twarda i trudna w wymowie angielszczyzna jest mową jednego z największych narodów i jednéj z najbogatszych literatur; dźwięczny i słodki język włoski jest kochankiem muzyki i sztuki.

Bardzo często błądzimy, nie zdając sobie sprawy z pojęć, jakie być mogą dla umysłu dziecka przystępne, a jakie przechodzą jego pojęcie. Nie zastanawiamy się nad tém na przykład, czém dla niego jest liczba oderwana, cyfra pisana, i każemy mu najprzód rachować do 10, 20 i t. d.; następnie liczby te pisać, po czém naraz przystępujemy do czterech działań arytmetycznych.

Już czteroletnie dzieci rachują do pewnéj liczby, a rodzice przypuszczają bezzasadnie, że one nie powtarzają tych liczb mechanicznie, ale wiedzą czém jest rachunek. Odrzućmy wszakże całą nabytą wiedzę i doświadczenie własne i postawmy się w położeniu dziecka, któremu każą rachować do dwudziestu, powtarzając to codziennie. Czy ono może wiedzieć, do czego je ten rachunek prowadzi? Czy może rozumieć, czém jest każda liczba? My, ludzie dorośli, i wykształceni, znajdując się za granicą, długo nie możemy pojąć wartości względnéj i rachunku obcych pieniędzy, z jakiemi się spotykamy. Wchodzimy np. do sklepu i zapytujemy o cenę podanego nam przedmiotu, gdy zaś ją kupiec oznaczy, obliczamy wprzódy, ile żądane pieniądze

wynoszą na złotówki lub ruble, a dopiéro wówczas pojmujemy wartość względną wzmiankowanéj kwoty. Mówimy nieraz: „Nie rozumiem tych funtów szterlingów, franków, marek, reńskich...

I powoli dopiéro umysł zaczyna się oswajać z nową monetą i jéj wartością, chociaż zawsze miarą porównania zostaje nam piéniądz własnego kraju.

U nas samych trafiają się ludzie młodzi, którzy z trudnością rachują na złotówki, jak niemniéj dobrze już starsi, dla których rachunek na ruble nie od razu jest zrozumiały. Piérwsi każdą sumę wykazaną w złotych i groszach zamieniają sobie na ruble i kopiejki, ażeby pojąć, co właściwie cyfra ta oznacza; drudzy przeciwnie, w tym samym celu, zamieniają ruble i kopiejki na złote i grosze.

Jeżeli więc umysł ludzi dojrzałych z taką trudnością się oryjentuje; jakże możemy od dziecka wymagać, żeby, nie mając żadnéj miary porównania, żadnych danych praktycznych, mogło pojąć oderwane liczenie jak: jeden, dwa, trzy, cztéry i t. p.? Jak możemy wymagać, aby dziecko pojęło cyfrę napisaną?

Spróbujmy pokazać kartę geograficzną naszemu włościaninowi, czy on zdoła pojąć, że papiér ten przedstawia kraj, w którym mieszka, ziemię, po któréj chodzi?

Taką samą abstrakcyją niépojętą, jak karta geograficzna dla nieoświéconego włościanina, jest cyfra pisana dla naszego dziecka, jeżeliśmy go poprzednio nie przygotowali, przez danie mu żywego o ilości pojęcia.

Dziecku wypisujemy cyfry, każemy je czytać, dodawać, mnożyć i dzielić, kiedy uczeń ani przybliżonego nawet nie ma pojęcia o ich rzeczywistém i praktyczném znaczeniu.

W matematyce wyższéj uczeń, wsparty na prawach już zdobytych poprzednio, pojmuje dobrze znaczenie równań z samych znaków algebraicznych złożonych, lubo w nich niéma oznaczonych w cyfrach wartości; ale dla dziecka, które o ilości niéma najmniéjszego pojęcia, samo machinalne liczenie jest tylko stratę czasu przynoszącém zajęciem.

Żadna elementarna nauka nie jest tak źle wykładana, jak rachunki. Nauka, która najdzielniéj może umysł rozwijać, staje

się w naszych rękach poprostu środkiem zakuwania głów dziécięcych. Obecnie mamy już przecież podręczniki, wskazujące właściwą metodę nauczania. „*Arytmetyczka*" i „*Arytmetyka*" Jeskego podaje bardzo dobrze wskazówki. Nie ukrywamy wszakże przed matkami, że nie każdy nauczyciel, potrafi się zastósować do tych podręczników. Wynika to z saméj natury takiéj nauki, jak arytmetyka. Dziecko tylko wtedy nabywa do niéj zamiłowania, gdy w samém początkowém kształceniu damy mu gruntowne jéj podstawy. Uprzystępnić je zaś dla dziécięcego umysłu, jest daleko trudniejszém zadaniem, niżby się na pozór zdawało. Potrzeba tu niemałéj znajomości przedmiotu i doświadczenia pedagogicznego, by podołać zadaniu.

Matematyka nadto jest przedmiotem, tak różniącym się od wszystkich innych wykładanych nauk w gimnazyjum, że potrzebuje odrębnéj niemal umysłowéj uprawy. Rzućmy tylko okiem na program gimnazyjalny, a przekonamy się, iż tak jest rzeczywiście.

Języki, geografija, historyja i t. d. nadają umysłowi całkiem inny, niż matematyka kierunek. Jeżeli więc w wychowaniu domowém nie rozwiniemy w dziecku władzy kombinowania i nie damy mu jasnego o prawdach zasadniczych w téj nauce pojęcia; natenczas możemy być pewni, iż do jego umysłu nazawsze dla niéj zamkniemy przystęp i zabijemy w niém zdolności, które przy umiejętnéj metodzie dałyby się rozwinąć.

Nauczanie niech będzie poglądowe. W tym celu trzeba dać dziecku dokładne pojęcie jedności, ukazując mu pojedyńcze przedmioty w pokoju, ogrodzie i t. d. Jeżeli dziecko należycie to zrozumié, należy mu dać pojęcie ilości, dodając do jedności — edność drugą tegóż samego gatunku, a wszystko to na przedmiotach podpadających pod zmysły np. pręcikach, guzikach, orzechach, jabłkach, fasolach i t. p. Na tych przedmiotach, nietylko można dziecku dać pojęcie ilości, ale nadto wyuczyć je 4rech działań arytmetycznych, oraz udostępnić mu pojęcie całego systemu liczenia.

Z danych przykładów i własnego doświadczenia dziécię powinno wyciągnąć regułę, wykryć ją samo drogą powolnego dochodzenia i kombinowania. Niech regula na kombinowaniu się

opiéra, by rachunek był pracą myśli i rozwagi, a nie pamięciowém stósowaniem reguł, którychby dziecko zrozumiéć nie było wstanie. Samodzielność bowiem czynności przy dochodzeniu prawd jest kształceniem umysłu i zdolności myślenia za pomocą rachunku elementarnego. Każdy postęp nowy niech będzie wynikiem pracy poprzedniéj i tak z nią ściśle się łączy, by w całości żadnéj przerwy nie było. Nigdy przeskoków gwałtownych, tylko powolne posuwanie się naprzód, z zatrzymywaniem na każdym stopniu, przy każdém nowém działaniu, dopóki go sobie uczeń nie przyswoi dokładnie.

Początkowe liczenie od 1 do 100 powinno trwać długo i wyczerpywać wszelkie możliwe kombinacyje na przykładach dotykalnych; dopiéro po takiém przygotowaniu i zdobytéj wprawie można z uczniem do rozwięzywania tych samych zadań w cyfrach na papiérze, lub tablicy przystąpić. Czém jest litera odnośnie do dźwięku mowy, tém cyfra w stósunku do ilości. — Od dokładnego zrozumienia znaczenia cyfry, jako umówionego znaku, oraz znaczenia jéj względnéj wartości, stósownie do miejsca, jakie w danéj liczbie zajmuje, zależy możność przejścia od praktycznego do piśmiennego rachunku.

Przykłady, zadawane dziecku, powinny dotyczéć przedmiotów, które uczeń zna: wag, miar, monet i t. p., których zastósowanie dobrze z praktyki rozumié. Dziécię, na wsi mieszkające, niech w przykładach kupuje i sprzedaje zboże, zasiéwa daną ilość morgów, daną ilością ziarna, zbiéra plony, wypłaca robotnikom; mieszkające w mieście, niech kupuje bułki i mięso, sprzedaje, lub kupuje towary, opłaca doróżkarza, kursa omnibusowe i t. d.

Nietylko cztéry działania, lecz i ułamki zwyczajne i dziesiętne, a nawet reguła trzech może być wykładana powyżéj wskazanym sposobem.

Nieporównaną zdobyczą dla umysłu jest możność wytłómaczenia sobie najdokładniéj i zrozumienia najgruntowniéj każdego z działań, służących do rozwięzywania zadań. Iluż to z nas, w działaniach arytmetycznych postępuje wedle wyuczonych niegdyś formułek, nie rozumiejąc zgoła, jakim sposobem one powstały. Wrazie zapomnienia któréj z nich, tracimy całą naszę

wiedzę arytmetyczną i nie umiemy sobie radzić, gdy do jéj użycia jesteśmy w praktyce zmuszeni.

Zdumiewający rozwój nauk przyrodzonych w ostatnich czasach, jak z jednéj strony w pewnych kołach obudził przesadzone obawy, do tego stopnia, że na nie rzucono klątwę, powodującą zupełne wykluczenie ich z programu szkolnego, tak z drugiéj znowu, zanadto przeceniono ich znaczenie, przyznając im siłę wszechmocną, mającą wytłómaczyć potęgę twórczą, działającą w przyrodzie. Człowiek uznał w sobie moc zbadania i uklęknął przed własną hypotezą.

Upojenie uczonych udzieliło się całym stronnictwom: społecznym, politycznym i literackim; zaprzeczono istnienia ducha i starano się dowieść, że nauki przyrodzone stwierdzają w pełni teoryją materyjalizmu. Takie dowodzenie obudziło ku tym naukom nieufność społeczeństwa, czującego się zagrożoném w tém, co stanowiło jego przekonania najdroższe.

Czy jednak nauki przyrodzone były temu winne? Bynajmniéj.

Jeżeli w jakiéj nauce, to w nauce przyrody na każdym kroku, w każdym z tych cudów, mnożących się do nieskończoności przed wzrokiem badacza i niewyczerpujących nigdy swych bezmiernych bogactw, widzi się wielkie imię Boga i kształci się ducha przez uczucie uwielbienia dla Niego. Materyjaliści nie dostrzegają Go w przyrodzie, nie dostrzegają Go nigdzie, bo nie zdolni Go uczuć we własném sercu.

Teoryja ich nie jest teoryją nową. Zmieniła tylko nazwę, formę, lecz pozostała czém była przed wiekami: dążnością niektórych umysłów do odrzucenia praw ducha, krępujących zmysłowe i samolubne popędy człowieka, a zawierzenia tylko prawom ciała, potrzebom materyi, które nazwano prawami przyrodzonemi, wyszukując dla nich w dzisiejszych czasach przyczyn i naukowych sprawdzań w przyrodzie.

Lecz czy za obłędy umysłów ludzkich można oskarżać bożą księgę natury? Czy można przypuścić, aby rodzaj wiedzy

najwznioślejszéj spiskował przeciwko naszemu moralnemu udoskonaleniu? Czy z drugiéj strony można znaléźć korzyść w niewiadomości i tém lepiéj używać darów największych Stwórcy, darów przyrody, im mniéjby się je znało? Myśl taka byłaby najsmutniejszą nielogicznością.

Zapoznanie znaczenia nauk przyrodzonych w wychowaniu intelektualném byłoby obaleniem zupełném metody indukcyjnéj, zbudowanéj na początkowém kształceniu zmysłów.

Wszak przyjęliśmy za zasadę żadnego zapytania dziecka nie pozostawić bez odpowiedzi, ale owszem zaspakajać jego naturalną ciekawość, zwróconą najczęściéj ku dziełom przyrody, lub jéj prawom. Czyżbyśmy chcieli nagle zagrodzić mu drogę do dalszego postępu w chwili, gdy umysł przez naukę o rzeczach i rozbudzenie umysłu spostrzegawczego jest przygotowany do przyjęcia prawd, empirycznie poznanych, i oczekujących tylko ostatecznego wyjaśnienia i usystematyzowania za pomocą nauki? Zaprawdę, znaczyłoby to wprowadzić w wychowanie bezmyślność, na jaką narzekamy w teoryi.

Każda nauka kształci pewne strony umysłu; nauki przyrodzone uprawiają tak wybitnie i tak wyjątkowo władze umysłu, iż brak ich niczém zastąpić się nie da. Nie o to właściwie téż idzie, czy nauki przyrodzone w systemie wychowania są potrzebne, ale o to, jak do innych nauk ustósunkowane być powinny. Jakóż, jak w innych razach, tak i w tym względzie potrzeba kierować się umiarkowaniem: żyjemy bowiem w epoce krańcowości, jakeśmy już o tém wspomnieli, mówiąc o humanitarném wychowaniu chłopców.

Strzeżmy się zatém przesady, gdy idzie o wyznaczenie roli, jaką nauki przyrodzone mają w wychowaniu odegrać. Nie zapominajmy ich wysokiéj pedagogicznéj wartości; ale téż nie przypisujmy im wszechmocnéj nad umysłem potęgi. Zarówno bowiem usunięcie ich z planu, jak i wyznaczenie im piérwszorzędnego miejsca w wychowaniu byłoby błędem niepowetowanym — bo prowadzącym do jednostronności.

Od przekonań nauczyciela, jego poglądu filozoficznego na przedmiot wykładany, ducha podręcznika, jakim przy wykładzie się posługuje, zależy umocnienie dziecka w macierzyńskiéj wierze lub napojenie go najbardziéj krańcowym materyjalizmem. Nie

nauk przyrodzonych obawiać się potrzeba, lecz poglądów na nie i wniosków nauczycieli i autorów. Materyjalistyczne naukowe traktaty nie powinny miéć wstępu do domu, gdzie są dorastające dzieci.

Nauczanie ma być prowadzone metodą indukcyjną.

„Najkorzystniéj, najdokładniéj przedstawiają się dziécięciu skarby wiedzy przyrodniczéj, jeżeli nie będą zamknięte jedynie w granicach godzin lekcyj, lecz wykładane przy każdéj sposobności, mianowicie pod otwartém niebem wobec natury. Jakaż to gruntowna podstawa do zbudowania piérwszych pojęć o historyi naturalnéj może być położona wśród zabawy dziecka, gdy się jego oczy zwraca na wszystkie skarby, jakie pola, góry, lasy i wody roztaczają przed niém w takiéj mnogości! To téż rodzice bardzo grzeszą względem swych dzieci, gdy, posiadając dostateczną ku temu wiedzę, przez lenistwo i lekceważenie swych obowiązków nie obracają jéj na korzyść dziécięcia i pozostawiają jego nauczanie płatnemu nauczycielowi, mającemu wyznaczoną na to godzinę. Jakżeby im było łatwo wpoić w serce dziecka najczystsze i najwznioślejsze uczucie miłości przyrody, gdyby je nauczyli znać jéj bogactwa i prawa. Bo wraz ze znajomością przedmiotu obudza się miłość ku niemu.

Jest to prawie koniecznością wtedy, gdy dziécię wzrasta w wielkiem mieście, gdzie ptaki tylko w klatkach, kwiaty w wazonach, kamienie w bogatéj oprawie widuje..... Stąd wychowańcom miast brak tak często zmysłu do ocenienia piękności natury i stąd tak często nauka, wykładana w sali szkolnéj, prowadzi do wstrętu, lub obojętności względem nauk przyrodzonych. Jakże inaczéj się dzieje, jeżeli dziécię wcześnie nauczyło się karmić swą duszę widokiem dzieł bożych, wśród cudów natury, jeżeli mu się serce, umysł i oczy otwarło na niezliczone bogactwa, w jakie obfituje świat boży! Bo—powtórzmy to jeszcze: wraz ze znajomością, powstaje miłość. A zatem wychodźmy z ciasnych izb jak najczęściéj, niech dziécię, przez wychowawcę za rękę oprowadzane wśród żywéj natury, uczy się patrzéć i sercem jéj piękności odczuwać.*)"

*) Friedrich Ascher. Die Erziehung der Jugend.

Nauka o rzeczach stanie się czémś więcéj, niż rozbudzeniem w dziecku zmysłu spostrzegawczego. Przy obcowaniu dziecka z naturą możemy je zaprawić do systematycznéj, samoistnéj pracy. Należy tylko obrać sobie pewną gałąź wiedzy przyrodniczéj.

Niektórzy uczeni za najwłaściwszą uważają botanikę i za jéj pomocą, radzą systematycznie władze umysłowe dziecka rozwijać. Rzeczywiście świat roślinny ze wszech miar stósownem polem dla badań dziécięcych się wydaje. Inne działy wymagałyby nagromadzenia okazów kosztownych, lub doświadczeń trudnych i zawiłych. Badanie zwierząt na okazach żywych może być niebezpieczném, a nawet trudném, zwłaszcza gdy idzie o ptaki, ryby, gady i robaki. Samo schwytanie zwiérzątka sprawia mu widocznie mękę, a cóż dopiéro badanie jego organizmu? Roślina zaś nie ucieka, nie skarży się, nie cierpi; stósunek z nią rzadko bywa niebezpieczny, rozczłonkować pozwala się bez oporu, nie wydziela nieczystości a prawie nigdy niezdrowych wyziewów. Sama obfitość materyjału naukowego, dającego się łatwo zebrać, przemawia za botaniką. Każdy las, każdy ogród — to niewyczerpane pole badań. A co piękności, co wdzięku w tym świecie roślinnym!—Jak, żyjąc z nim, możemy wykształcić w sobie poczucia estetyczne i zamiłowanie piękna; jak umocnić zdrowie, oddychając świeżém powietrzem!

Nauczyciel winien pamiętać, że książka, gdy idzie o wiedzę przyrodniczą, jest raczéj dla niego samego potrzebném przypomnieniem, usystematyzowaniem, ułatwieniem, niż materyjałem naukowym dla ucznia, który materyjału tego ma szukać w przyrodzie, o ile tylko to jest możebne. Dziécię każde jest samoukiem w elementarném téj nazwy znaczeniu. Zna zwierzęta domowe, ich użyteczność, obyczaje, wié jakiego potrzebują pożywienia, rozróżnia ssące od ptaków i ryb, mięsożerne od roślinożernych i t. d. Roślinność, jaką dziécię w koło siebie widzi, nauczyła je wiele: rozróżnia drzewa od krzewów, traw, roślin pnących się, grzybów mchów, porostów; zna kwiaty, owoce, liście tych roślin; wié, że niektóre z nich parzą, kolą, czepiają się ubrania, mają skrzydlate, strączkowe, w pochewce lub kłosie zawarte nasiona; wié, że dészcz spadający pokrywa ziemię wilgocią, słyszało grzmot,

widziało błyskawice, chmury; zna wiatr, uczucie zimna i gorąca, gatunkową ciężkość wielu przedmiotów, zastósowanie praw ruchu i t. p. Nauka winna na podstawie wiadomości, już zdobytych przez dziécię, budować daléj i w tym samym kierunku, to jest, nie odrywając od spostrzeżeń doraźnych i doświadczalnych, kierować je, prostować, wspiérać, porządkować i w systematyczną ujmować całość. Nazwa techniczna niech podawana będzie dziecku wtedy, gdyż już poznało zjawisko, lub przedmiot, którego owa nazwa dotyczy. Wiedza przyrodnicza niech będzie, o ile tylko można, poznaniem samych przedmiotów, nie tego, co o nich w książce lub przez nauczyciela powiedzianém zostało; niech daje pojęcia przyswojone uczniowi przez obserwacyją, doświadczenie, badanie i własnych zmysłów świadectwo. Wykład niech się zawsze wspiéra na doświadczeniu.

Przy wyborze treści wykładu „uwzględniajmy szczególniéj takie zjawiska i przedmioty, które w zwykłém domowém życiu są ważne".*) Wskazując uczniowi przedmioty, wybiérać należy te, które umysł jego najłatwiéj przyswoić sobie potrafi i, od tych zaczynając, ukazywać mu następnie trudniejsze do pojęcia. Niech się dziécię uczy poznawać naprzód rośliny, zwierzęta, kamienie i metale, znajdujące się w naszym kraju, nim przejdzie do innych. Życie, natura chwytana na gorącym uczynku, a nie martwa nauka—oto zawsze i wszędzie początek pracy przyrodniczéj. Określenia, ogólniki — to konieczne uporządkowanie i ugrupowanie nieskończonych i nieprzeliczonych tworów, niech przychodzi dopiéro po zbadaniu naocznem okazów; niech się dziécię dowiaduje o rodzinie dopiéro po poznaniu osobnika. Nie należy nigdy przeładowywać umysłu dziecka zbyt obfitą treścią wykładu. Wybiérajmy dla dokładnego zbadania przedmioty charakteru typowego, a około nich dopiéro grupujmy pochodne i pokrewne. Doktór Nowicki, w zoologii swéj, wydanéj świéżo w Krakowie, (w piątéj edycyi), przedstawia uczniowi 21 osobników zwierzęcych i koło nich grupuje tyleż gromad. Każdego podanego przez siebie osobnika opisuje dokładnie, według cech jemu właściwych

*) Schumann: Leitfaden der Pädagogik.

i stawia na piérwszym planie; grupując następnie koło niego zwierzęta pokrewne, nie uwydatnia już ich znamion rodowych, lecz ogranicza się tylko na wskazaniu różnic. W taki sposób, od grupy do grupy przechodząc, uczeń poznaje cały świat zwierzęcy, mając ułatwione przedstawienie go sobie przez małą stósunkowo ilość osobników typowych.

Taka sama metoda, oparta na badaniu pojedyńczych faktów przed ogólnemi, daje się zastósować z równą korzyścią, do innych gałęzi nauk przyrodzonych.

Tu należy także zaznajomienie ucznia z własnym jego organizmem, z prawami jego rozwoju, aby umiał zachowywać go w stanie zdrowia, znał szkody, jakie mu wyrządza nieprawidłowy tryb życia i nadużywanie sił, złożonych w nas przez naturę.

Nauka elementarna fizyki, jaką wychowanie domowe pospolicie dziéwczętom podaje, musi być prowadzona umiejętnie, ażeby, badając prawa natury na doraźnych dowodach, nie rozpraszała się w drobiazgach, ale owszem dawała dokładne pojęcie o zasadniczych i najgłówniejszych zjawiskach.

Chemija elementarna niech będzie wykładana ze szczególniejszym względem na życie praktyczne, hygienę, gospodarstwo, kuchnię, bo w stósunku do życia codziennego najwięcéj kobiécie przydać się może, a nawet do pewnego stopnia jest jéj koniecznie potrzebną.

Jeżeli pogadanki, czyli tak zwana „nauka o rzeczach" przygotowywa dziecko do wszystkich umiejętności, rozwijając jego zmysł spostrzegawczy; to dla nauki geografii jest ona najwyborniejszym przewodnikiem.

Ten wielki organizm, jaki kula ziemska w swéj całości przedstawia, składa się ze szczegółów przystępnych dla umysłu dziecinnego; szczegóły te nastręczają najbogatszy przedmiot do owych pogadanek. Wschód i zachód słońca, położenie miejscowości względem siebie, bieg rzeki lub strumienia, oznaczenie jego prawego i lewego brzegu, znaczenie, dolin, gór, jezior, sama wreszcie roślinność, a nad tém wszystkiém sklepienie niebieskie: oto

są przedmioty, które mają bezpośredni stósunek bądźto z fizyczną, bądź z polityczną lub ekonomiczną geografiją.

Gdy się zbliża czas uczenia geografii, wychowawca powinien, zwrócić wyjątkową uwagę na przygotowanie do niéj dziecka po za obrębem szkolnego pokoju. Przechadzki w tym celu odbywane przynoszą korzyść ogromną. Nauczyciel, któryby z dzieckiem odbył pieszą przechadzkę od źródła najmniéjszego strumyka, aż do jego ujścia, dałby dziecku nazawsze wyobrażenie o tém, czém jest rzeka o nierównem i krętém łożysku, jakie sobie tworzy, napotykając na różne przeszkody; jak niektóre z tych przeszkód zwalcza, a do innych swój bieg stósuje; dałby dziecku pojęcie o wyspach i półwyspach, które tenże sam strumyk tworzy na małą skalę.

Często mówimy o górach, o wzniesieniu ich nad poziom morza dzieciom, które nietylko morza, ale i góry nie widziały; mówimy im o cieśninach, przylądkach, kataraktach, wulkanach, nie troszcząc się o to, czy mają choćby przybliżone o nich pojęcie. Jeżeli nie możemy pokazać im tego wszystkiego na okazach dotykalnych, starajmy się przynajmniéj, by nasze tłómaczenie, rysunek, porównania objaśniały rzecz uczniowi, o ile tylko można dokładnie; by słowa nasze określały przedmiot właściwie i abyśmy niemi dziecku, o ile to podobna, praktykę zastąpili. Mierzmy z niém: grunt, dom, oznaczmy mu przypuszczalną wysokość pagórka, budynku, by miało miarę porównania; rysujmy na tablicy ów pagórek, a obok niego Łomnicę, Mont-Blanc, Dawaladżyry i t. d. Zbudujmy wspólnie z dzieckiem okręt, choćby z łupiny orzecha i puśćmy go na wodę, byle wyobrażenia dziecka miały dotykalny przedmiot, do którego przywiązaćby mogły porównawczą pracę myśli.

Oprócz naukowego celu mają nadto przechadzki inne, łatwo dające się osiągnąć zadanie, to jest: rozbudzenie w dziecku ochoty i zamiłowania do nauki geografii, zaciekawienia go przedmiotem i dania mu odrazu pojęcia czém jest ta umiejętność. Zamiast rozpoczynania podawnemu geografii od pytania: „Co jest geografija?", przystępujemy z dzieckiem od razu do praktyki: tę ziemię, która mu podpada pod oczy, samo sobie opisuje. Gdy już dziecko zdobyło wszystkie pojęcia, jakie z najbliższego otoczenia

i przechadzek wypłynąć mogły; trzeba się starać dać mu dokładne wyobrażenie o karcie geograficznéj, oraz o sposobie, w jaki powierzchnię ziemi przedstawia.

Nauczyciel powinien rozpocząć od nakréślania dziecku planu domu, który zamieszkuje; daléj otaczających go zabudowań, dziedzińców, dróg, ogrodów. Na dużéj tablicy czarnéj najlepiéj się tego dokonywa. Takie plany, z oznaczeniem stron świata, rozszerzające się stopniowo, stósownie do rozwijającego się w dziecku pojęcia o przedmiocie powinny długo służyć za podstawę i treść wykładu. Dziecko niech samo rysuje plany. Zna ono okolicę, w któréj mieszka, a karta topograficzna wsi, gminy, czy parafii, wypracowana przez nauczyciela, nie będzie dla niego literą martwą. Dość jest spojrzéć na dziecko, które uczono geografii według dawnéj metody i porównać je z inném, prowadzoném według metody dzisiejszéj, aby się o wyższości téj ostatniéj przekonać. Dziecko uczone błędnie, przygnębione określeniami, których znaczenia nie rozumié, nazwami, które obciążają jedynie pamięć, nie rozwijając umysłu; odpowiada machinalnie na zapytanie, naprzód wyuczone pamięciowo; podręcznik naukowy był dla niego wszystkiém, tak dalece, że nie wychodziło poza obręb wyrażeń używanych w książce, — mapa czystą abstrakcyją.

Racyjonalnie prowadzony wykład geografii inaczéj zajmuje. Gdy nauczyciel rysuje plan dobrze znanéj wsi lub gminy, dziécię śledzi uważnie zakręty linij, oznaczeń miejscowości: —„Pan zapomina, że tam jest droga, a tu lasek" — woła malec uszczęśliwiony, iż lepiéj od nauczyciela zapamiętał położenie. Dziécię, dla którego litera o tyle ma znaczenie, o ile jest znakiem dobrze rozumianego pojęcia, nie odbiega myślą od przedmiotu, nie przyjmuje nic od nauczyciela, czego by nie rozumiało gruntownie, a co w nauczaniu jest już ogromną zdobyczą.

Plan wsi, gminy, rozszerza się powoli do mapy powiatu, która nie potrzebuje być szczegółową, ani dokładną. Nie jest to mapa dla specyjalisty, lecz obznajomienie dziécięcia ze sposobem odtwarzania sobie w umyśle położenia kraju, odczytywania go z mapy. Skoro własny powiat dostatecznie dziecku jest znany, skoro już samo potrafi nakréślić jego plan, chociażby najbardziéj pobieżny; nauczyciel oprowadza je daléj po własnym

kraju. Ośmielę się przecież wyrazić przekonanie, że zbyt drobiazgowa geografija, choćby własnéj ziemi, jest niepotrzebném obciążaniem pamięci dziecka. Podział na gubernije zachować należy, ale szczegółowe zarysy wszystkich powiatów — to już zawiele. Mniemam, iż znajomość gubernij i w każdéj z nich więcéj wsławionych i wybitniejszych miejscowości, o których nauczyciel miałby sposobność pomówić dłużéj, byłaby dla dziecka wystarczającą. Nazwy powiatów wkraczają już w dziedzinę czczéj nomenklatury, nie uczą właściwie niczego, a danie dzieciom wyobrażenia, w jaki sposób ludzie rozdzielili ziemię, w jaki sposób rząd w niéj prowadzą, nie potrzebuje takiéj drobiazgowości nazw; w późniejszém wychowaniu jest ona pożyteczną, dla dziecka zbyteczną.

Zadaniem nauczyciela jest także ustósunkowanie geografii fizycznéj, politycznéj i ekonomicznéj tak, by żaden z tych działów nie cierpiał na rozszerzeniu zbytecznem drugiego. Błędem najpospolitszym jest takie przekraczanie miary w geografii politycznéj, bez uwagi, że to są rzeczy najbardziéj zmienne i najmniéj rozwijające. Obok podziału ludzkiego, w zarysach nie bardzo szczegółowych, ukażmy dziecku powierzchnię ziemi, jak ją stworzyła ręka Boga i jak ją praca ludzka urobiła. Każdy fakt większéj wagi powinien zatrzymywać dłużéj uwagę ucznia.

Umiejętność narysowania łańcucha Karpat, Wisły w jéj biegu kapryśnym, z oznaczeniem główniejszych miast nadbrzeżnych, daleko jest korzystniejszém, niż wyliczanie szczegółowe powiatów i znajdujących się w nich miasteczek.

Kartografija w ostatnich czasach znaczne zrobiła postępy i dziś już nauczyciel skarżyć się nie może na brak map wszelkiego rodzaju. Globusy, mapy wypukłe, mapy ślepe, wszystko to nauczyciel może miéć pod ręką i nauczyć dziécię, jak się ma właściwie z niemi obchodzić. Od kraju własnego należy przejść do geografii Europy, następnie innych części świata, a im od nas są dalsze, tém mniéj szczegółową nauka być winna. Opis ziemi, jako kuli, otoczonéj atmosferą i należącéj wraz z innemi planetami do systemu naszego słońca, może być dziecku w ogólnych tylko objaśniony zarysach.

Już wtedy, gdy dziécię zapytuje, dlaczego słońce rano w okna sypialni zagląda, a po obiedzie posyła swe promienie do jadalnego pokoju, można mu wytłómaczyć kulistość ziemi i jéj bieg koło słońca. Zmiany pór roku, różność klimatu — są to wszystko rzeczy, które najprzód zwracają myślącego dziecka uwagę. Najmniéj oświecona niańka już mówi mu: „o ciepłych krajach", do których wędrują ptaki; najelementarniejsza książka dziecinna pokazuje mu lwa, słonia, papugę i t. d. Dziécię pyta, dla czego tych zwierząt niéma u nas? — „Bo one żyją tylko w ciepłych krajach." — „A dla czego nasz kraj nie jest krajem ciepłym?" — Wychowawca musi to wytłómaczyć. Dlaczego więc, kiedy dziécię widzi kopułę niebieską po nad sobą, doskonale zaokrągloną liniją horyzontu, poza którą świat zdaje się kończyć, dla czego nie powiedzieć mu przyczyny tego zjawiska, gdy skutki obudzają jego uwagę. Niech w tym razie o zakresie podawanéj wiedzy stanowi tylko rozwój pojęcia ucznia.

Umiejętność geografii jest tak obszerna, że niéma umysłu, któryby ją we wszystkich jéj działach zgłębić potrafił; u szczytu zaś swego rozgałęzia się i na specyjalne części rozpada. Inną jest dla fizyka, geologa, historyka, topografa, meteorologa i służy już tylko jako środek pomocniczy do badań naukowych innego rodzaju.

Historyja jest jednym z przedmiotów, które tak zależą od sposobu wykładu, że niepodobna oznaczyć wieku, od którego wypada jéj naukę rozpocząć. Najprzód trzebaby wiedzieć, co nauczyciel chce wziąć z bezmiernego obszaru przeszłości, co z niéj podać istocie, którą dla przyszłości wychowujemy. Dzieje, to skarbiec niewyczerpany, odsłaniający ciągle nowe bogactwa, z którego czerpać można zarówno najpiękniejsze, jak i najbrzydsze obrazy. Dla tego to, o ile historyja traktowana umiejętnie, może mieć wysoką wartość pedagogiczną i dać wychowawcy jeden środek oddziaływania na dziécię; o tyle historyja, traktowana bez względu na pożytek duchowy, jaki z niéj otrzymać można, staje się niezdrowym i niestrawnym pokarmem.

Podręczniki historyczne, jakie posiadamy, nie odpowiadają po największéj części zadaniu: traktują bowiem historyją dla historyi, a nie historyją, jako posiłek dla młodocianego umysłu. Dziécię uczy się z nich imion następujących po sobie królów, cesarzy, z datą ich panowania i śmierci; widzi barwną tkankę wypadków, których często, ani pojąć, ani wytłómaczyć sobie nie umié; uczy się historyi, jak bajki, któréj początku zapomina stopniowo, w miarę tego, jak się zbliża do końca. Taka historyja jest skieletem historycznym, dobrym dla dorosłego człowieka, który na takim skielecie za pomocą badania, rozmyślania i pracy, buduje filozofiją historyi, czyli tę jéj stronę, która mieści w sobie prawdziwy i jedyny dla człowieka pożytek. Nie zapoznajemy pożytku tego dla ludzi dorosłych, zapoznajemy go przecież, gdy idzie o dzieci.

Dzieci jednak nie mogą dochodzić same do filozoficznych wniosków; nie mogą w ogóle, ani pojąć, ani zajmować się tą najgłębszą z prac ludzkich, jaką jest filozofija historyi; mogą przecież z niéj czerpać nie same tylko fakta i wypadki dziejowe. Pszczoła z wonnego kielicha wypija tylko pokarm, jaki ma ją żywić; i my powinniśmy, jak ona, wybiérać z rozległego pola historyi te tylko kwiaty, które w swym kielichu zawiérają słodki miód mądrości dla naszego dziécięcia.

Nie sądźmy, że nie dając młodszemu dziecku systematycznego kursu historyi, spowodowywamy dla niego wielką stratę, choćby tylko téj konwencyjonalnéj wiedzy, jaką zawiérają podręczniki historyczne. Spojrzyjmy na ogół kobiét;—one od dzieciństwa ślęczały właśnie nad ową historyją, przyswajaną jedynie pamięciowo. Cóż im z niéj pozostało? Chaos, z którego wydobywają się niektóre imiona, niektóre wypadki. O systemacie żadnym mowy niéma. Taką téż jest i historyja, któréj zwykle uczymy dzieci. Zapomną ją niebawem; nie uczynimy im więc krzywdy, opóźniając tego rodzaju wykład dziejów.

Że jednak, o poglądzie ogólnym na dzieje, o filozoficznym ich wykładzie, nie może być mowy dla dziecka młodszego; więc nauczyciel powinien z historyi wybiérać tylko te obrazy, z których dla ucznia może wypłynąć korzyść moralna. Ludzkość w kolébce nie inną karmiła się historyją. Postacie bohaterów,

urastających w zabobonnéj wyobraźni na postacie półbogów, były ideałami człowieczeństwa. Ku nim zwracała się myśl człowieka-dziécięcia dla wyrobienia sobie pierwiastków idealnych duchowych, oraz tych uczuć etycznych, których w nim dzikość i materyjalizm piérwotnego życia nie byłyby w stanie rozwinąć. Skarbiec historyi może dla dziécięcia dzisiejszego dostarczyć bohatérskich rapsodów, uderzających wielkością jego wyobraźnią; dostarczyć ustępów, budzących wszystkie wzniosłe uczucia, jakie drzémią w piersi człowieka. Czyny wielkie, szlachetne poświęcenia, zasługi, na jakiémbądź polu położone, a wszystko to obleczone z powagą prawdy, staje się dla myśli dziecka posilnym, zdrowym pokarmem.

Do lat 14-tu ucznia, historyja może być traktowana epizodycznie (wyłączam tu historyją dziejów ojczystych, którą dziécię powinno umiéć wcześniéj i dokładniéj). Dobry nauczyciel może takie epizodyczne wiadomości ugrupować do pewnego stopnia w umyśle ucznia; — za tło do opowiadania szczegółowego o jednéj postaci, dać w kilku słowach skréśloną historyją całego narodu lub epoki. Na dowód, że to jest możebne, przytoczę tu opowiadanie znajdujące się w jedném z pism francuskich dla dzieci.*) Opowiadanie to, obejmuje na kilku stronnicach, historyją narodu francuskiego. Dzieci słuchają jéj z największą ciekawością i zajęciem; nie obciąża ona bynajmniéj ich pamięci, bo nie zawiéra, ani nazwisk, ani dat. Pozwolę sobie tu opowiedzieć ją w skróceniu, dla dania matkom naszym próby opowiadania historycznego systematycznego, a nie obciążonego nazwiskami i chronologiją.

Proboszcz, otoczony wiejskiemi dziećmi, pokazuje im w lesie wielki kamień, wzniesiony na trzech innych i tworzący niby stół. Dzieci dziwią się, przyglądają i wypytują do czego mógł służyć ten kamień? Ksiądz opowiada im, że w wielu miejscowościach Francyi znajdują się podobne kamienie, że pochodzą z epoki najdawniejszéj, o jakiéj historyja tego kraju zachowała

*) Les récréations instructives. (Dziełu temu przyznany został medal na powszechnéj międzynarodowéj wystawie w Londynie, w r. 1862).

wspomnienie, że Galowie, owocześni mieszkańcy, na tych kamieniach składali ofiary ze zwierząt i ludzi. Tu proboszcz przystępnie i zajmująco opowiada obyczaje Galów, ich dzikość, stan ówczesny kraju i dla zaznaczenia téj epoki w pamięci dzieci nazywa ją epoką: *kamienia wzniesionego.*

Podczas opowiadania, przychodzi ze wsi robotnik, który kopiąc studnię, znalazł był garnek pełen sztuk złota i pragnie się dowiedzieć, jaka jest ich wartość. Ksiądz ogląda je wraz z dziećmi i powiada małym słuchaczom, że to są rzymskie monety. Wypytywany przez nie, opowiada o najściu Galii przez Rzymian, o ucisku i niewoli mieszkańców, wreszcie o wierze chrześcijańskiéj, wraz z legijonami rzymskiemi wchodzącéj do Galii. Tę epokę związaną z wykopanemi monetami, nazywa proboszcz epoką: *rzymskich sztuk złotych.*

Słuchający opowiadania tego stary Szymon, mówi, że nietylko złote monety znajdują się w ziemi; — on kiedyś wykopał żelazny krzyż, dziwacznie wyrobiony. Proboszcz prosi go o przyniesienie tego krzyża, zdejmuje z niego warstwę gliny, oskrobuje rdzę i odkrywa rękojeść pałasza. Przypatrzywszy się uważnie, znajduje, że jest to bardzo ciekawy zabytek, mający styczność z epoką, jaka nastąpiła po epoce: *sztuk złotych rzymskich.* Opowiada tedy, że przeszło w 400 lat po narodzeniu Chrystusa, Rzymianie opuścili Galiją, lecz nie uczynili tego dobrowolnie, ale wypędzeni przez ludy, równie dzikie, jak niegdyś byli Galowie przed przybyciem Rzymian. Między temi ludami był jeden dzielniejszy i silniejszy, który pobił inne, zwany ludem Franków, od którego cały kraj późniéj nazwano. Stąd powstało nazwisko Francyi, a naród francuski utworzył się z mieszaniny narodu frankońskiego i innych dzikich ludów, z dawnemi mieszkańcami — Galami. Rękojeść pałasza, odkopana w ziemi, była kiedyś własnością jakiegoś wojownika frankońskiego. Zapytany przez dzieci proboszcz, po czém to poznaje? odpowiada im, że na wierzchu rękojeści wyrzeźbiona jest głowa człowieka z długiemi włosami, związanemi przepaską przez czoło, z wąsami bardzo długiemi, spadającemi po obu stronach twarzy. Pisarze owocześni, zostawili opisy dowódzców frankońskich, malujące ich zupełnie podobnymi, do tego wizerunku na

staréj rękojeści pałasza. Długie włosy były u Franków oznaką szlachetnego rodu i dowództwa. Proboszcz robi przypuszczenie, że musiała być kiedyś bitwa, między Rzymianami i Frankami, na płaszczyźnie, na któréj wykopano ten pałasz. To daje księdzu sposobność do powiedzenia, jakim sposobem walczono w owych czasach.

Zlanie się tych nowych przybyszów z dawnemi plemionami nie nastąpiło od razu. Potrzeba było na to znowu lat 400tu niezgody, walk i bitew. Wyszedł z nich nareszcie naród francuski, żeby zająć piérwsze miejsce między najznakomitszemi ludami na świecie. Tę epokę trzecią, z któréj zostały miecze, wykopywane dotąd na polach, francuskich nazywa proboszcz epoką: *miecza frankońskiego.*

Wśród rozmowy ksiądz pokazuje następnie dzieciom ruiny zamku warownego, sterczące na pobliskiém wzgórzu. Stary Szymon przypomina sobie, że takich mniéj lub więcéj zrujnowanych zamków widział wiele, a proboszcz opowiada, jak po uformowaniu się narodu francuskiego, nastąpiło panowanie tych, którzy mieli ziemię w swém posiadaniu. Władza, honory, bogactwa należały do nich. Byli to po największéj części potomkowie dowódzców frankońskich. Każdy taki właściciel ziem, zamknięty w swoim warownym zamku, miał prawo życia i śmierci nad ludem, mieszkającym na jego ziemi; bronił go za to od napaści i zaborów. Duch wojowniczy tych panów pobudzał ich do ciągłych kłótni i wojen między sobą. Zameczki ich wytrzymywały częste napady, a potężniejsi wojowali nawet z królami. Na okrzyk dzieci, że lud przy takim stanie rzeczy musiał być bardzo nieszczęśliwy, proboszcz stara się im nakreślić dokładny obraz położenia, ostrzegając, by nie sądziły zbyt pospiesznie. Opowiada o stopniowém podnoszeniu się przemysłu, o wynalezieniu papiéru i druku, o tém, jak wszelki postęp musi przychodzić bardzo wolno i bardzo wolno dojrzewać.

Wreszcie człowiek, coraz więcéj otrząsając się ze swéj dzikości, zaczął myśléć więcéj i głową pracować. Koniec wieku 15 jest końcem epoki: *zamku warownego*, a zaczyna się wiek 16ty zwany: *wiekiem odrodzenia.* Tu proboszcz opowiada o wynalazkach i pracach, w owym wieku dokonanych i podkopujących potęgę

panów feodalnych, która to potęga przenosi się do rąk królów' mających jéj bardzo mało w epoce: *zamku warownego.*

Epokę władzy królewskiéj proboszcz nazywa epoką *kwiatu lilii*, z téj bowiem epoki pozostało tysiące zabytków, opatrzonych tém godłem królewskiém. Noszą je na sobie bramy pałaców i zamków, widać je w salach rezydencyj królewskich, rzeźbione na gmachach i pomnikach. Monety z owéj epoki noszą ich odciski, wreszcie widzi się je na oprawie książek i na rycinach, a nawet haftowane na materyjach, wyrabianych dla użytku królów.

Proboszcz powiada, jak w téj epoce lud wzrastał w siły, jak nareszcie stał się postrachem dla królów, którzy w nim ujrzeli rywala; jak walka trwała czas jakiś głucha, aż wreszcie wybuchła groźna i okrutna. Staruszek ksiądz, widział, gdy był dzieckiem, dobrego króla umiérającego za winy swych przodków i od téj to chwili, zaczyna się dla Francyi: *epoka rewolucyi.* Lud nie może dobrać sobie formy rządu, burzy się i szuka coraz nowych panów, lub strąca naruconych sobie przemocą. Proboszcz kończy życzeniem, by—*epoka rewolucyi*, trwająca dotąd, sprowadziła—*epokę braterstwa*, w któréjby ludzie znaleźli nakoniec szczęście i zadowolenie.

Wszystko to opowiedziane tak zajmująco, z taką znajomością tego, co dzieci najwięcéj zainteresować może, a jednak z unikaniem obrazów jaskrawych, że mały słuchacz, zachęcony przez matkę, lub nauczyciela, do powtórzenia tego, co miał opowiedziane, może się łatwo wywiązać z zadania.

Dziécię, mając tak ogólne pojęcie o dziejach jakiegoś państwa, już posiada niejako ramy do umieszczania w nich pojedyńczych obrazów. Dziécię francuskie na przykład, które zapamiętało podział na epoki wyżéj wspomniane i poznało tych epok wybitny charakter, na każdym kroku może spotkać coś, co mu każdą z nich przypomni.

Ruiny zamku uprzytomnią mu dzieje wojowników i zuchwałych panów; lilija na staréj monecie przywiedzie mu na myśl powolnie zdobywaną władzę królewską. Monety piérwszego i drugiego cesarstwa przypomną mu epokę rewolucyj, bo jak piérwsze tak drugie, było stanem przejściowym jedynie, zaczynało się bowiem i kończyło rewolucyją. Przypuszczam teraz, że dziécię

owo przeczyta lub usłyszy historyją, którego z królów lub bohatérów Francyi. Wtedy nie będzie to dla niego szczegół zupełnie oderwany, bo samo umieszczenie go w jednéj z wymienionych epok, już mu da pojęcie, w jakich mniéj więcéj okolicznościach żył ów bohatér. Gdy będzie mowa o Karolu Wielkim, a nauczyciel powié dziécięciu, że żył on na samym początku epoki *zamku warownego*, że swemi ustawami późniejszy stan rzeczy przygotował; już dziécię wié, w jakie ramy włożyć postać wielkiego króla. Jeżeli będzie mowa o Napoleonie 1ym (któreż dziécię francuskie o nim nie wié?...) a powié się małym słuchaczom, że panował on w epoce rewolucyj, już dzieci potrafią wyobraźnią postać tę oddzielić od szeregu królów, to jest od epoki *kwiatu lilii*.

Przy odrobinie pracy matka wykształcona mogłaby w ten sposób opowiedzieć dzieciom historyją ojczystą, historyją grecką, rzymską i przy ciągłém powtarzaniu dojść do tego, że dziécię będzie miało, wprawdzie pobieżne, a jednak systematyczne pojęcie o dziejach.

Ułatwiłoby mu to naukę epizodyczną, uczyniłoby opowiadanie dziejów rzeczywiście korzystném, bo rozświécającém coraz bardziéj rzeczy znane w zarysach ogólnych, a więc pewną całość tworzące.

Wszystko jest jeszcze do zrobienia na tym polu, bo podręczników tego rodzaju nie mamy i dopiéro trzeba ich od przyszłości oczekiwać. W nowoczesnym sposobie pisania dziejów dla starszych podobny kierunek już się stanowczo ustala. W pojmowaniu ich strony najdonioślejszéj, dającéj wskazówki życiowe najpotrzebniejsze, dawniéjsze szczegóły coraz mniéj zwracają uwagi.

Życiorysy osobistości, dzierżących władzę, królów i książąt, schodzą na drugi plan. Dawniéj stanowiły one treść kronik i podręczników historycznych; dziś zostawione są specyjalistom a na ich miejscu staje historyja życia społeczeństw, postępu, cywilizacyi, ducha epok, rozwoju umysłowego narodów. Że historyja musi być w ten sposób wykładaną, na to każdy się zgodzi.

Nietylko że w téj formie podana więcéj rozwija umysł, niż gdy tylko pamięć ćwiczyła, ale jeszcze ułatwia zrozumienie całości dziejów, uczy życia, jego obyczajów daje wreszcie możność, śledząc dzisiejsze przewroty, dopatrywać w nich logicznego następstwa przeszłości, oraz szukać wskazówek przyszłych ludzkiego ducha kierunków.

Taka tylko nauka przeszłości przynosi dla teraźniejszości pożytek.

Jeżeli zapytamy n. p. człowieka pięćdziesięcioletniego o jego historyją, pojętą w znaczeniu poważnem tak, by z niéj pytający mógł wyciągnąć naukę dla siebie; niezawodnie nie zacznie on od wymienienia nam nazwiska swéj mamki, bony, daty szczegółowéj ich przybycia i odejścia, ani nam będzie podawał drobne, nic nieznaczące fakta, które na jego życie nie wywarły żadnego skutku; nie powié nam, że ojciec był niski a matka wysoka, że jego siostra była brunetką; że w ogrodzie rodzicielskim więcéj było lip, niż kasztanów; ale powié, jakim od natury obdarzony został charakterem, jakie było jego wychowanie, postępy naukowe i moralne; wreszcie jakie wydarzenia, spowodowały zmiany w jego życiu;—powié, jakim sposobem doszedł do stanu majątkowego, w jakim się znajduje; jakie zdobył przekonania, czyli własność moralną, któréj go nikt nie jest wstanie pozbawić i t. p.

Dzieje narodów porównać można do życia pojedyńczego człowieka i dopatrzéć w ich historyi, owych na rozwój ich wpływających czynników, nie mających nic wspólnego z tém, jakie imiona nosiły królowe, jakie bitwy wygrywali królowie.

Gdy przyszłe generacyje coraz więcéj od początku czasów historycznych oddalać się będą takie ujęcie dziejów w formę filozoficzną coraz konieczniejszém się okaże. Szczegółowe opisy historyczne czasów nowych przybiérają tak olbrzymie rozmiary, iż pamięć ludzka, mająca od natury nakreślone granice, nie byłaby nawet wstanie objąć wszystkiego.

Epoka przedhistoryczna, ta, którą odczytujemy z wykopalisk, grobów, czaszek ludzkich i zwierzęcych, mieszkań nadwodnych, po-

przelupywanych kości, przedstawia nam skończony obraz, choć nie wiemy nic o nazwiskach ówczesnych wodzów i wielkich myśliwych.

Epoka kamienia, bronzu i t. d. stanowi dla nas łańcuch, łączący się z późniejszemi dziejami. Dzisiejsze usiłowania zbadania ducha epok są poszukiwaniem niezmiernie podobném do tego, jakiemu oddaje się uczony, odbuduwujący umarłą przeszłość z owych resztek ludzkich i zwierzęcych. Kroniki, będące najczęściéj stronniczą bijografiją królów, zaczynają w tych poszukiwaniach podrzędną odgrywać rolę. Uczeni badają język danéj epoki, szczątki budownictwa, przemysłu, wyrobów zbytkowych i toaletowych, korespondencyje prywatne ludzi pojedyńczych, często nawet niczém nie wsławionych—słowem to wszystko, co historyją ducha ludzkiego rozświécić może i z tego dopiéro urasta pogląd na dzieje, mogący, co do życia dzisiejszego, dać pouczające wskazówki.

Podręczników, w ten sposób traktujących historyją dla dzieci starszych, niéma. Przyszłość dopiéro nam ich dostarczy, a jestem téż przekonana, że i w tém, jak we wszelkim postępie, nie może być przełomu gwałtownego, tylko stopniowe i powolne odstępowanie od dawnych uprzedzeń. Są wprawdzie wielkości dziejowe, konwencyjonalne, o których wiedzieć trzeba, nie dla tego, by na losy ludzkości wpłynęły w sposób wyjątkowy, ale że dobrowolną ugodą społeczeństw zyskały sobie prawo obywatelstwa i występują w literaturze dramatycznéj i powieściowéj, śpiéwają na wszystkich scenach świata przez usta sopranów, tenorów i barytonów; rzeźba i malarstwo odziały je w idealne kształty, zatém ignorowanie ich jest niepodobne. Don Karlos hiszpański, Maryja Stuart, Semiramida, Kleopatra i t. d. są to postacie przez wieki utrwalone w pamięci ludzkiéj i z tego względu godne uwagi.

Pomyślmy, jakąby się okrył śmiésznością, człowiek, któryby nie wiedział, że Nabuchodonozor, jako wół rozkoszował się pastwiskami swéj ojczyzny, że Krezus miał nieprzebrane bogactwa, że Lukulus był człowiekiem, który najlepsze jadał obiady, że zła żona Sokratesa nazywała się Ksantypą i t. d. Dopóki więc, przy postępie wieków i te postacie, wystające z obrazu nie

znikną w pomroce; dopóty trzeba, zmieniając system uczenia historyi, dać uczniowi o nich wiadomości, bardzo nieliczne zresztą, ale które przez utarty zwyczaj zajęły w epizodycznéj i oderwanéj od całości historyi, miejsce niezasłużone, ale wybitne. Jest to ustępstwo, jakie należy się uczynić dla dostrojenia umysłu i wiedzy wychowańca do wiadomości ogólnych, byle obok nich, przyswoił sobie na własność pojęcia jasne i wyraźne o całości, jakie bynajmniéj nie mieszczą się w zwykłém nauczaniu, pozostawiającém w umyśle, po upływie krótkiego czasu, bezład, jakiby strzępkami historycznemi nazwać można.

Około 15go roku dziecka historyja może już stawać się rozumowaną historyją, na tle podręcznikowego skieletu budowaną. Stopniowo zarysy powinny się rozszerzać coraz bardziéj; nauka, jaką dzieje dają pokoleniom dzisiejszym, coraz lepiéj się uwydatniać, aż póki młodzieniec nie stanie na wyżynie, na któréj już własny pogląd na dzieje jest możebny.

Historyja więcéj może, niż inne nauki, daje pole do poglądów dowolnych; widzi się w niéj często dowody, jakie się widzieć pragnie; czerpie się naukę, jaką się chce czerpać. Stąd to bezstronność historyczna jest tak bardzo rzadka, stąd tyle dzieł historycznych, nacechowanych namiętną stronniczością. Nauczyciel, szukający dla dziecka epizodów pouczających, lub wykładający mu ogólną charakterystykę danéj epoki, będzie miał pole gruntowania w niém tych poglądow, jakie sam w sobie wyrobił; przekonania więc nauczyciela historyi zwrócić powinny uwagę rodziców.

Drugim względem, o jakim wspomnieć się ośmielę, jest stósowanie epizodycznych opowiadań historycznych do usposobienia dziecka. Dzieciom zimnym, egoistycznym z natury, można i trzeba rozgrzewać ducha i wyobraźnią wielkiemi bohatérskiemi czynami przeszłości; można z niéj wybiérać obrazy, działające potężnie na uczucia.

Ale są dzieci skłonne do egzaltacyi, do widzenia wszystkiego w świetle niezwykłém; upajające się tak niesłychanie pięknemi i bohatérskiemi czynami przeszłości, że teraźniejszość wydaje im się zmalałą i niegodną uwagi. Takie usposobienie źle przygowuje do życia; namiętność zaślepia; wreszcie mały

człowiek uczy się z zewnętrznego świata brać tylko czarne i unieszczęśliwiające pierwiastki i nosić w swojéj duszy ideał, zbudowany na fałszywéj podstawie, mianowicie na rzekoméj doskonałości dawnych czasów i ludzi, przewyższającéj o całe niebo naszę dzisiejszą pospolitość. Dla takich egzaltowanych dzieci, historyja powinna przybrać więcéj realistyczne cechy, odziać się w surową prawdę życia.

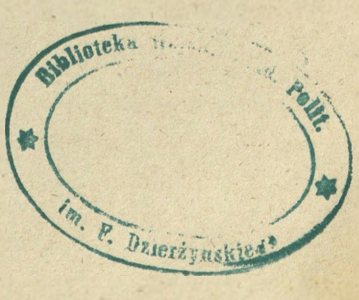
Biblioteka Politechniki im. F. Dzierżyńskiego

TREŚĆ:

ROZDZIAŁ I.

Str.

Obowiązki matki zaczynają się przed urodzeniem dziecka. — Matka wiele może dla zdrowia swych dzieci. — Wpływ zachowania się matki ciężarnéj na dziécię, które nosi w łonie. 7

ROZDZIAŁ II.

Niemowlę zaraz po urodzeniu. — Obchodzenie się z niém.— Karmienie uważane, jako wpływ moralny na dziécię i na matkę.—Matka jest najwłaściwszą mamką dla dziécięcia.— Czas odłączenia dziecka od piersi i żywienie go po odłączeniu. — Ubranie niemowlęcia. — Łóżeczko, czy kołyska? — Przedwczesne zmuszanie do siedzenia i chodzenia.—Pielęgnowanie skóry.—Mieszkanie.— Hartowanie.—Manija leczenia.—Lekarz. —Pożywienie.—Ubiór.—Strój. 13

ROZDZIAŁ III.

Zabawa i zabawki. — Gimnastyka.— Trzymanie się prosto.— Systematyczność w wychowaniu fizycznem. 42

ROZDZIAŁ IV.

Piérwsze ocknięcie się inteligencyi w niemowlęciu.—Jego otoczenie jest piérwszą jego szkołą. — Władza assymilacyi. — Matka od razu swój wpływ zaznaczyć powinna.—Karmienie, jako wpływ moralny na dziécię i matkę.—Zbyt wczesne rozwijanie dzieci jest szkodliwe. — Matka powinna poważnie do zadania wychowawczego się przysposobić. — Ojciec względem niemowlęcia ma obowiązki. — Siła moralna i jednostajność humoru są warunki ustalenia wpływu wychowawczego.— Wpływ pobożności matki. 53

ROZDZIAŁ V.

Str.

Wyjście z niemowlęctwa.—Łakomstwo.—Poszanowanie cudzéj własności.— Grzeczność.— Temperament i dziedziczność. — Nieposłuszeństwo i upór.—Kłamstwo.— Prawda jest podstawą wychowania.—Wyobraźnia dziecka.—Próżność systematycznie rozwijana. 71

ROZDZIAŁ VI.

Ciekawość wrodzona dzieci.— Opowiadanie. — Umiejętność słuchania.— Nauka o rzeczach.—Nauczanie początkowe.—Czytanie dziecinne.—Szkodliwy wpływ bajek na małe dzieci. — Bona.— Nauka obcego języka.— Moda francuzczyzny. 86

ROZDZIAŁ VII.

Obowiązki matki postronne.— Światło wiedzy.— Poczucie obywatelskie. —Praca na byt rodziny.—Zarząd domowy.—Obowiązki towarzyskie. — Gościnność.—Równoważenie w wychowaniu wpływów światowych przez oświecony wpływ rodzicielski.—Co przez postęp rozumiéć należy? . . 109

ROZDZIAŁ VIII.

Wiek chłopięcy.—Religija.— Miłość rodzinna.—Wpływ ojca w rodzinie 125

ROZDZIAŁ IX.

Miłość bliźniego.—Miłość ojczyzny i rzeczy ojczystych — Prawda.—Sumienie.—Honor.—Szczęście. 137

ROZDZIAŁ X.

Nauka nie jest wszystkiém.—Charakter.—Pracowitość.—Wola.—Odwaga.—Porządek.—Dobroć. 162

ROZDZIAŁ XI.

Kary i nagrody.—Pieszczoty.—Posłuszeństwo.—Rozkład czasu.—Wakacyje.—Zabawa w wieku chłopięcym.—Czytanie.—Teatr. 186

ROZDZIAŁ XII.

Nauczyciele domowi, — prawa ich i prawa rodziców. — Przekonania i charakter nauczycieli.—Korepetycyje i korepetytorowie. 207

ROZDZIAŁ XIII.

Charakter chłopców i dziéwcząt wcześnie swe właściwości ujawnia.— Duma męska chłopca.—Zaufanie do rodziców nie może być obowiąz-

Str.

kiem. — Matka powinna wziąć na siebie nauczanie choćby jednego przedmiotu.—Objawy zewnętrzne uszanowania.— Listy do dzieci oddalonych.—Wpływ matki na syna, chodzącego do szkół.—Drażliwość chłopca na sądy ludzkie, jako wpływ wychowawczy, spożytkować należy.— Rodzice wobec niepowodzeń naukowych chłopca. — Zwyczaj przymówek i docinków.—Oględność postępowania wobec drażliwości chłopięcéj.—Poszanowanie indywidualności chłopca. — Ratowanie go wrazie upadku i moralnego. — Starszy brat wobec młodszego rodzeństwa.— Kwestyja kobiéca odnośnie do chłopca. — Wiadomość o zepsuciu niesie w sobie zarazę zepsucia. — Co jest dobre towarzystwo? — Złe książki. — Miłość piękna jest obroną przeciw zepsuciu. — Kształcenie poczucia piękna.— Roboty ręczne. — Formy towarzyskie. — Wiadomości pedagogiczne dla chłopców. — Pragnienie dobrobytu i używania. — Wpływ ojca. . . 223

ROZDZIAŁ XIV.

Szkoła.— Przysposobienie umysłu do nauki szkólnéj. — Rodzice wobec szkoły. — Nauki humanitarne. — Kierunek realny. — Wybór szkoły średniéj.—Wybór powołania. 278

ROZDZIAŁ XV.

Wpływ matki na córkę i powołanie kobiéty. — Zdrowie. — Nowicyjat macierzyństwa.—Gospodarstwo domowe. 304

ROZDZIAŁ XVI.

Oświata i praktyczność. —Pensyje.—Wychowanie zawodowe.—Hygiena. —Towarzystwo.—Przejście z dzieciństwa do młodości.—Wybór męża.— Rodzice po wyposażeniu synów i córek. — Zgrzybiałość ich, a nawet śmierć, przynoszą dzieciom naukę. 327

ROZDZIAŁ XVII.

Ogólny sposób nauczania.—Nau a rysunku.—Nauka czytania i pisania. —Nauka języka ojczystego.—Języki obce.—Nauka rachunków.— Nauki przyrodzone.—Geografija.—Historyja. 376

BIBLIOTEKA NAUKOWA
WDP
54377/I
2